KWARTALNIK O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



GRYF POMORSKI
Tajna Organizacja Wojskowa

ŻYCIORYSY HEROICZNE
GEN. MICHAŁ TOKARZEWSKI-
-KARASZEWICZ →
← POR. JAN RODOWICZ „ANODA”



HISTORIA

POLSKA ZBROJNA

NR 1 (13) 2020
www.polska-zbrojna.pl

CENA 9,99 ZŁ (w tym 8% VAT)
ISSN 2543-8735

TEMAT NUMERU
Wielka polska konspiracja

Moja ojczyzna podziemna

PPS KONTRA SOWIECKA ZARAZA

Tajemnice Armii Krajowej
sprawa płk. Albrechta

SKRYTKI I LOKALE KONSPIRACYJNE

Gra pozorów
Jak Niemcy i komuniści podszywali się pod polskie podziemie

Taktyka walk partyzanckich

POWSTANIE STYCZNIOWE
Żołnierze Wyklęci z Góry Giedymina

ISSN 25438735
01
9 772543 873007



III FERIE DLA BOHATERA

19 - 27 KWIETNIA \ RYNIA \ HOTEL AMW REWITA

DOŁÓŻ SWOJĄ CEGIEŁKĘ NA WYPOCZYNEK DLA KOMBATANTÓW

61 1140 2004 0000 3902 7866 0327
Z DOPISKIEM „FERIE DLA BOHATERA"

ORAZ LICYTUJ PRZEDMIOTY NA:
Bazarek.PaczkaDlaBohatera

SZCZEGÓŁY AKCJI:
PaczkaDlaBohatera



FOT. CEZARY POMYKAŁO

ANNA PUTKIEWICZ
REDAKTOR NACZELNY

„ABY KRAJ NASZ POWSTAŁ, PEWNA ILOŚĆ LUDZI MUSI BYĆ ZDECYDOWANA NA WSZYSTKO" – PISAŁ DO RODZICÓW PPOR. WALDEMAR SZWIEC

Jeden był rasowym żołnierzem, drugi – księdzem z powołania. Historia ppor. Waldemara Szwieca „Robota", cichociemnego, dowódcy II Zgrupowania Świętokrzyskiej AK to jedna z moich wczesnych szkolnych fascynacji. Wojenne dzieje kapłana Jana Machy, członka śląskiej konspiracji, poznałam później. Pisząc te słowa spoglądam na ich czarno-białe zdjęcia. Próbuję sobie przypomnieć dynamikę własnych uczuć sprzed lat, gdy pierwszy raz zaczytywałam się historią żołnierzy polskiego podziemia. Były to w zasadzie historie ich kolejnych śmierci. Próbuję przypomnieć sobie własne uczucia – żalu, rozpaczy, fali odroczonej żałoby – przeżywane szczególnie intensywnie przez młodzieńczą psychikę rozmiłowaną w polskiej koncepcji eschatologii, gdy bez chwili refleksji zgadzamy się wyprawianie do kolejnych powstań najlepszych synów narodu, wszak miłość żąda ofiary. A potem uczucie zwyczajnej, ludzkiej, dojrzałej złości, zawarte w pytaniu – czemuśmy sami potracili takich ludzi. Długo nie będziemy jeszcze gotowi na rozmowę, czy ten honor – ważny dla nas i święty, wymieniany jednym ciągiem razem z Bogiem i Ojczyzną – czy wart jest tej pustki po stracie, tego horyzontu cmentarnych krzyży, a w końcu tej innej, nieznanej Polski, która by przetrwała, gdybyśmy zachowali najlepszą biologiczną substancję narodu – o co apelował przed Powstaniem Warszawskim Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski. No, ale to by oznaczało rzecz trudną do pomyślenia i niemożliwą do przyjęcia – że faktycznie kapitulujemy.

Fenomen na skalę światową. Tak lubimy określać Polskie Państwo Podziemne. Opisujemy w ten sposób nasz wysiłek podjęty w celu dokonania czegoś w istocie niezwykłego. Zdołaliśmy błyskawicznie, biorąc pod uwagę okoliczności, przenieść naszą ojczyznę z jej systemem ciągłości państwa poza ramy życia legalnego, pod powierzchnię wydarzeń. Polscy patrioci, cywile i wojskowi, już we wrześniu 1939 r. policzyli się w szeregach Służby Zwycięstwu Polski i w setkach innych, podziemnych organizacji, a nawet w oddziałach partyzanckich.

Obiegowa teoria głosi, że jako naród obdarzeni jesteśmy nadzwyczajnym genem konspiratora, że kapitulujemy chowając za plecami zapasową broń. Czas wojny i powojennej sowieckiej okupacji, nazwanej także czasem Wielkiej Trwogi, to także czas narodowego kuszenia insurekcją. Tymczasem mimo fatalnych doświadczeń dziejowych, beznadziei klęsk ostatnich dwóch wieków, ledwo opadł kurz upokorzenia po niemieckiej paradzie zwycięstwa w Warszawie, a Sowieci rozpoczęli instalację swych struktur na Kresach Wschodnich – my już szykowaliśmy się do powszechnego powstania. Okupowana Polska została pokryta siatką komend okręgów Związku Walki Zbrojnej i władz cywilnych, które scalić miały w imię jednej idei skłócone dotąd partie polityczne. Społeczeństwo scalone w konspiracji miało utrzymać wysokie morale i niezbędny stopień wyszkolenia wojskowego. I czekać na odpowiedni moment.

My jednak nigdy nie czekaliśmy bezczynnie. Porucznik Szwiec, młody student prawa, żył bez wytchnienia – walczył w kampanii wrześniowej w Armii „Pomorze", po klęsce przedostał się na Węgry, walczył pod rozkazami gen. Stanisława Maczka we Francji, w Szkocji został żołnierzem 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. W 1942 r. państwo Szwiecowie otworzyli list od syna: „Kochani Rodzice! Jest to może ostatni list do Was. Zdecydowałem się skoczyć do Kraju jako spadochroniarz-dywersant. Zdecydowałem się dobrowolnie jako ochotnik, gdyż doszedłem do jasnego wniosku, że aby Kraj nasz powstał, pewna ilość ludzi musi być zdecydowana na wszystko"[1]. Zdecydowany na wszystko młody porucznik skoczył do Polski. W świętokrzyskiej AK stał się legendą za życia. Zginął rok później, na skutek zdrady.

W tym samym czasie, w grudniu 1942 r. w wieczornej ciszy pochylała się nad listem od syna śląska rodzina Machów. Ksiądz Jan Macha, jeden z założycieli Polskiej Organizacji Zbrojnej, pisał z więzienia w Katowicach po ciężkim śledztwie, wymyślnych torturach, które przetrwał mężnie nie wydając nikogo: „Kochani Rodzice i Rodzeństwo! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! To jest mój ostatni list. Za 4 godziny wyrok będzie wykonany. [...] pogrzebu mieć nie mogę. Umieram z czystym sumieniem. Żyłem krótko, lecz uważam, że cel swój osiągnąłem. Nie rozpaczajcie. Bez jednego drzewa las lasem zostanie. [...]". Duchownego zgilotynowano.

Mam nadzieję, że wybaczy mi, iż wątpię w jego ostatnie słowa. Utracone życie młodego porucznika, życie młodego kapłana mnożę przez podobne tysiące tysięcy. Czy bez tych drzew las rzeczywiście pozostał lasem? Nie wiem.

[1] Spuścizna Antoniego Hedy „Szarego" w zasobach Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

nr 1



SPIS TREŚCI



OKŁADKA: FOT. CEZARY POMYKAŁO/MONTAŻ MARCIN DMOWSKI

Polskie Państwo Podziemne

JACEK ŻUREK
20 Rzeczpospolita podziemna
DAWID GOLIK
24 Zwycięstwo będzie twoją nagrodą
MARIUSZ OLCZAK
40 Tajemnice skrytek konspiracyjnych
MARIUSZ OLCZAK
46 Fabryka fałszywych dokumentów
MARIUSZ OLCZAK
188 Dokumenty Polskiego Państwa Podziemnego

Wojna i polityka

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
30 Wielka lista wrogów Rzeszy
Rozmowa z Grzegorzem Bębnikiem
KRZYSZTOF PIĘCIAK
96 Gra pozorów
PIOTR KORCZYŃSKI
108 PPS kontra „sowiecka zaraza”

Niemieckie obozy zagłady

BOGUSŁAW KOPKA
36 Zajrzeć do piekła

Z dziejów chwały

PRZEMYSŁAW BENKEN
53 Łatwiej walczyć niż żyć
por. Jan Rodowicz





Z dziejów hańby

PRZEMYSŁAW BENKEN
60 Niezniszczalny funkcjonariusz bezpieki

Kedyw w Krakowie

PIOTR KORCZYŃSKI
65 Krakowska triada
Rozmowa z Januszem Basterem

Strategie

TOMASZ MLECZEK
70 Bić się na małym polu walki
JULIUSZ S. TYM
78 Taktyka walk partyzanckich

Z arsenału Muzeum Wojska Polskiego

MICHAŁ MACKIEWICZ
84 Peemy dla Armii Krajowej

Tajemnice wywiadu

PIOTR KORCZYŃSKI
88 Targnąć za wąsy tygrysa
ŁUKASZ WOLAK
129 Ochotnik do Polski
MARIUSZ BOROWIAK
134 Dwa oblicza agenta wywiadu

Konspiracja na Pomorzu

ANDRZEJ GĄSIOROWSKI
91 Tajny i skuteczny „Gryf Pomorski”

Tajemnice Armii Krajowej

PIOTR KORCZYŃSKI
102 Sprawa płk. Albrechta

Narodowe Siły Zbrojne

PIOTR KORCZYŃSKI
113 Przeciw dwóm wrogom
Rozmowa z Wojciechem Jerzym Muszyńskim



Życiorysy heroiczne
JERZY KIRSZAK
117 Żadnej kapitulacji Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz

Armia Krajowa w akcji
GRZEGORZ MAKUS
124 Rajd porucznika „Podkowy”

Zapomniane bitwy
ANDRZEJ ŁYDKA
140 Bitwa pod Krechowcami cz.1

Lotnictwo
MARIUSZ NIESTRAWSKI
145 Piloci z Legionów

Sztandary Wojska Polskiego
JAROSŁAW PYCH
150 Jak cesarz Franciszek Józef sztandary Legionom nadawał

Motoryzacja
JAN TARCZYŃSKI
153 Centralne składy samochodowe 1919-1921

Orzeł Biały
TOMASZ ZAWISTOWSKI
158 Orzeł z monogramem Waleriana Łukasińskiego

Powstanie Styczniowe
KAROL JADCZYK
162 Żołnierze Wyklęci 1863 r. z Góry Giedymina

Kawalerowie Virtuti Militari
ANNA DĄBROWSKA
169 Najmłodszy żołnierz AK wyróżniony Orderem Virtuti Militari

Rzeczy ostateczne
MIROSŁAW LENART
170 Powiedz mu, że umiera

Konstruktorzy broni
PIOTR KOCYAN
174 Najgorszy karabin

Ceremoniał wojskowy
MARIUSZ KUBAREK
178 Pod sztandarem i z orkiestrą

Pamiątki polskie
DOMINIK KAŹMIERSKI
182 Okruszki

Wielkie kolekcje
ROBERT MARCINKOWSKI
184 Przewodnik po miejscach, których już nie ma





WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
Aleje Jerozolimskie 97, 00–909 Warszawa

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
tel. 261 845 365, 261 845 685, faks 261 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA. HISTORIA

REDAKTOR NACZELNY
Anna Putkiewicz, tel. 261 846 764;
pzhistoria@zbrojni.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
– SEKRETARZ REDAKCJI
Małgorzata Łętowska, tel. 261 845 165;
pzhistoria@zbrojni.pl

REDAKCJA
Piotr Korczyński
tel. 261 845 604;
pzhistoria@zbrojni.pl

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik),
Marcin Izdebski (projekt szaty graficznej i opracowanie),
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel. 261 845 579

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:
Anna Dąbrowska, Mariusz Borowiak, Maciej Chilczuk, prof. Andrzej Gąsiorowski, Jarosław Godlewski, dr Grzegorz Jasiński, Łukasz Jędrzejczak, dr hab. Jerzy Kirszak, ks. płk dr Zbigniew Kępa, Wojciech Krajewski, Mikołaj Kubacki, płk Mariusz Kubarek, prof. Mirosław Lenart, ppłk Andrzej Łydka, Michał Mackiewicz, dr Mariusz Niestrawski, dr Konrad Paduszek, dr Anna Pastorek, prof. Bogusław Polak, prof. Wojciech Polak, dr hab. Jakub Polit, Paweł Rozdżestwieński, Paweł Sztama, dr Jan Tarczyński, prof. płk Juliusz S. Tym, dr Krzysztof Wielgus, prof. Wojciech Włodarkiewicz, Tadeusz Wróbel, Łukasz Zalesiński, Tomasz Zawistowski

KWERENDA FOTOGRAFICZNA: Dominik Kaźmierski

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Beata Stadryniak-Saracyn,
January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki, Patryk Czarnowski, Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska, Marta Szulc,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

DRUK:
ARTDRUK, ul. Napoleona 4,
05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej. Historia” można składać pod adresem:
sklep.polska-zbrojna.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Punkt Pocztowy Włocławek
ul. Duninowska 9a, 87–823 Włocławek
tel. 885 870 509, tel. kom. 502 012 187;
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów. Egzemplarze kwartalnika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: tel. 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.


okaziciel niniejszego
Seweryn Wielanier
urodzony d. 2 I 1902 r.
w mieście Częstochowie
obecnie zamieszkuje we
wsi Konopiska gminy
Dzbów – 1917 – 25/IX
Wójt gminy Dzbów
J. Sączek

Fot. archiwum rodzinne Marii Polakowskiej

Czternastoletni Sewek z podczęstochowskich Konopisk urzeczony opowieścią miejscowego organisty, który tajnym sposobem osobiście oczyścił z wszy ubranie brygadiera Józefa Piłsudskiego, postanowił wstąpić do polskich legionów. Uciekł więc z rodzinnego domu wraz ze starszym bratem Rochem. Rosiek jednak po drodze się rozchorował i młodszy brat musiał odnieść go na własnych plecach z powrotem. Na zdjęciu widać Sewka, który w 1917 r. pełnił służbę wartowniczą pod Częstochową na straży bliżej jeszcze niesprecyzowanych granic Królestwa Polskiego. Legitymował się fotografią w szkolnym mundurku, na której odwrocie stosowne zaświadczenie wydał pan Sączek, wójt macierzystej gminy Dźbów, dla powagi dodając posiadaczowi rok życia.

Sewek, czyli Seweryn Makary Wielanier, to przyszły inżynier Zakładów Amunicyjnych „Pocisk", zaprzysięgły cywil, sierżant Armii Krajowej noszący pseudonim „Prawa Ręka", pracownik Oddziału Kwatermistrzowskiego Komendy Głównej AK – jeden z głównych konstruktorów przystosowanego do użycia w konspiracji pistoletu maszynowego „Błyskawica", z którego razili później wroga żołnierze Polski podziemnej. Dzieło swych rąk Seweryn ukrył na działce w podstołecznym Józefowie, w którym i sam ukrywał się podczas niemieckiej okupacji. Wydobył „Błyskawicę" z ziemi 30 lat później, usprawnił i oddał jako eksponat do Muzeum Wojska Polskiego, co przedstawia drugie zdjęcie.

Zmarł przeżywszy dziewięćdziesiąt lat z okładem. W praskiej dzielnicy Saska Kępa, na ścianie bloku przy ulicy Londyńskiej, gdzie po wojnie zamieszkał z rodziną, obejrzeć można poświęconą obojgu pamiątkową tablicę. Na matowej szybie, pomiędzy portretem inżyniera uzbrojenia a miniaturą jego śmiercionośnej broni, widnieje epitafium: „Starość jest potrzebna, by obejrzeć się wstecz. Miałem szczęśliwe życie, bo nie znalazłem się nigdy w sytuacji, w której musiałbym strzelać do drugiego człowieka".

Maria Polakowska



PŁK STEFANIA SZANTYR-POWOLNA,
DR N. MED., HONOROWY PREZES STOWARZYSZENIA
ŁAGIERNIKÓW ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

W wileńskiej AK

Urodziłam się w Wilnie i dotąd to miasto jest dla mnie najwspanialsze i najukochańsze. Moje dzieciństwo było pełne miłości, bezpieczeństwa, ciepła i wielkiego patriotyzmu wyniesionego z rodzinnego domu. Ten obraz bezpieczeństwa, który wydawał mi się niezmienny, dany raz na zawsze, został naruszony po raz pierwszy wraz ze śmiercią marsz. Józefa Piłsudskiego. Ogromnym wstrząsem zaś był wybuch II wojny światowej, gdy ten piękny świat nagle runął.

W październiku 1939 r. spotkałam starszego kolegę z harcerstwa, który zaproponował mi przyłączenie się do konspiracji. Zostałam zaprzysiężona w grupie, która potem weszła do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, i przyjęłam pseudonim „Hanka". Stało się to zimą w domku na peryferiach Wilna. Wtedy poczułam się dorosłą osobą.

Praca w konspiracji i szkoła pochłaniały mnie wówczas całkowicie. I cała młodzież, kto tylko mógł, gromadziła się w grupy konspiracyjne. Zadania polegały na kolportażu ulotek, gromadzeniu środków opatrunkowych i pozyskiwaniu broni. Byliśmy szkoleni na kursach sanitarno-łącznościowych. Z czasem te zadania stawały się coraz poważniejsze. Byliśmy przekonani, że od każdego takiego pojedynczego działania zależy, czy Polska będzie wolna.

Rosjanie pod koniec października 1939 r. przekazali Litwinom całą administrację w Wilnie i okolicach. Bojówki litewskie atakowały Polaków za mówienie w ojczystym języku na ulicach Wilna i w kościołach podczas liturgii. Gdy do szkół wprowadzono jako wykładowy język litewski, młodzież odpowiedziała ogólnym strajkiem w szkołach podstawowych, gimnazjach i na uniwersytecie. Zostałam za strajk wyrzucona ze szkoły z wilczym biletem. Po pewnym czasie język polski powrócił do szkół. I ja też mogłam już kontynuować naukę. Sowieci w połowie 1940 r. ogłosili powstanie Litewskiej SRS.

W 1941 r. Niemcy bombardowali i zajęli Wilno. Od 1942 r. formowały się polskie oddziały partyzanckie w lasach. Wtedy nasiliła się aktywność konspiracyjna. Łączność z nimi spoczywała przede wszystkim na młodzieży, do której należało przeprowadzanie ludzi do lasu, szukanie kwater dla ukrywających się, przenoszenie broni, kolportaż prasy podziemnej. Czasami zdarzały się zadania o charakterze wywiadowczym. Założyłam pluton sanitarno-łącznościowy, którym dowodziłam. Kontaktowałam się między innymi z oddziałem partyzanckim Okręgu Wilno Armii Krajowej – 3 Wileńską Brygadą Armii Krajowej por. Gracjana Fróga „Szczerbca".

W 1943 r. oddziały Armii Krajowej zgromadzone w lasach na Wileńszczyźnie, które stały się już prawie regularnym wojskiem, zdecydowały się uwolnić z rąk niemieckich Wilno. Wykorzystując osłabienie wojska niemieckiego, siły AK w lipcu 1944 r. oswobodziły miasto w ramach operacji „Ostra Brama". Nie umiem wyrazić, jaka to była radość. Polacy wychodzili z mieszkań na ulice, krzyczeli, płakali. Kiedy zobaczyli biało-czerwoną flagę na Górze Zamkowej, szczęście było nie do opisania. Nie trwało to jednak długo, do miasta wkroczyła bowiem ponownie Armia Czerwona, jak w 1939 r. Zmieniła się flaga na Górze Zamkowej, odtąd była czerwona.

Podstępnie zostali zwabieni i aresztowani przez Sowietów przywódcy Armii Krajowej wraz z komendantem Okręgu Wileńskiego AK Aleksandrem Krzyżanowskim „Wilkiem". Ujawniający się żołnierze także dostali się do niewoli. Ja też zostałam aresztowana. Po ciężkim śledztwie dostałam wyrok 10 lat zesłania na Sybir. W ten sposób znalazłam się w łagrze w Workucie za kołem podbiegunowym. To, czego tam doświadczyłam, powraca do dziś w nocnych koszmarach. Dzięki staraniom mamy i Tej, co w Ostrej świeci Bramie, po 11 latach udało mi się wrócić do Polski. Przyjechałam do Gdańska.

Teraz, kiedy nam, żołnierzom Armii Krajowej mocno posiwiały głowy, chcemy powiedzieć młodym ludziom, żeby się cieszyli, że mogą mówić po polsku, myśleć po polsku, działać po polsku. Żeby wzorcem dla nich były postaci bohaterów naszych narodowych zrywów niepodległościowych. Żeby cenili Orła Białego i wiarę ojców oraz język polski – naszą tożsamość. Wolność nie jest dana raz na zawsze, o nią stale trzeba zabiegać.

Notowała Małgorzata Łętowska

Bitwa pod Koronowem

10 października 1410 r.



1

2



3

Po zwycięstwie pod Grunwaldem wojska polsko-litewskie przystąpiły do oblężenia stolicy Krzyżaków – Malborka. Twierdza była znakomicie przygotowana do obrony przez komtura Świecia, Henryka von Plauena. Po dwóch miesiącach bezskutecznych walk król Polski Władysław Jagiełło zarządził odwrót. Wykorzystując wycofanie się wojsk polskich, Krzyżacy rozpoczęli kontrofensywę, odzyskując wiele miast i zamków, które poddały się Polakom po bitwie pod Grunwaldem. Największe zagrożenie dla Królestwa Polskiego stanowiła operująca na pograniczu Pomorza i Wielkopolski armia wójta Nowej Marchii Michaela Küchmeistera licząca ok. 4 tys. zbrojnych. Po zdobyciu Tucholi wojska te skierowały się na południe, a ich celem było opanowanie warownego klasztoru Cystersów w Koronowie, który mógł się stać znakomitą krzyżacką bazą wypadową do ataków na Bydgoszcz. By zatrzymać postępy wojsk zakonu, Władysław Jagiełło wysłał pod wodzą wojewody poznańskiego Sędziwoja Ostroroga ok. 2 tys. jazdy, której udało się zająć Koronowo.

Kiedy wojska krzyżackie przybyły na miejsce, ich dowódca Michael Küchmeister był za-



skoczony wielkością sił polskich i nie chcąc ryzykować starcia o klasztor, zarządził odwrót. Pościg za wycofującym się przeciwnikiem podjęły polskie lekkie chorągwie złożone z konnych strzelców (inne źródła mówią o Tatarach), którzy rozpoczęli ostrzał Krzyżaków. Wkrótce do pościgu przyłączyli się ciężkozbrojni rycerze polscy. Po kilku kilometrach Küchmeister zdał sobie sprawę, że nie uniknie bitwy, nakazał zatrzymanie pochodu i uszykował wojska do bitwy. Wkrótce na pole bitwy przybyły również polskie oddziały. Obie armie ustawiły się w klasyczny rycerski szyk, tzw. płot. W szyku tym w pierwszej linii ruszali ciężkozbrojni rycerze, a w kolejnych szeregach giermkowie, konni strzelcy i reszta rycerskiego pocztu. Po zakończeniu przygotowań obie armie ruszyły na siebie i po zwarciu się ze sobą bitwa natychmiast rozpadła się na liczne pojedynki między rycerzami lub toczone pomiędzy wrogimi pocztami niewielkie potyczki. Walki prowadzono z zachowaniem ceremoniału i zasad kodeksu rycerskiego – upodobniało to bitwę do wielkiego turnieju. Dwukrotnie ogłaszano przerwy, co obie strony wykorzystywały na znoszenie z pola rannych i zabitych, a rycerze polscy i krzyżaccy odwiedzali się wzajemnie w obozach, wymieniając uprzejmości oraz chwaląc dokonania swoje i przeciwników. Dopiero trzecie starcie zadecydowało o wyniku bitwy. Podczas tego ataku polski rycerz Jan Naszon z Ostrowiec zdobył główną chorągiew krzyżacką. Utrata tego znaku spowodowała zamieszanie i upadek morale oddziałów zakonnych, które rozpoczęły odwrót. W pościg ruszyli polscy rycerze, ostatecznie rozbijając siły przeciwnika i biorąc do niewoli licznych jeńców (ok. 1 tys.), w tym dowódcę Michaela Küchmeistera. Po przybyciu do Bydgoszczy znaczniejszych jeńców zaprezentowano królowi Władysławowi Jagielle, który wyprawił dla nich wielką ucztę. Zwycięstwo pod Koronowem przekreśliło nadzieje zakonu na odzyskanie inicjatywy po klęsce pod Grunwaldem i skłoniło go do negocjacji zakończonych pierwszym pokojem toruńskim podpisanym 1 lutego 1411 r. ■

MUZEALNE PAMIĄTKI

1. Kord w formie miecza, początek XV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

2. Miecz bastardowy, początek XV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

3. Tunika kolcza, XV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

4. Miecz bastardowy o kolnej głowni, początek XV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

5. Kusza jazdy, lewar typu kozia nóżka i bełt, XV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

6. Miecz bastardowy, koniec XIV – początek XV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, mediewista i rekonstruktor historyczny.



Obraz *Bitwa pod Oliwą 1627*, Marian Mokwa, 1935. Na pierwszym planie dwa okręty: z prawej (od strony dziobu) polski okręt admiralski „Święty Jerzy", z lewej (od strony rufy) szwedzki okręt admiralski „Tigern". Na drugim planie z prawej nadpływają polskie okręty „Biegnący Jeleń" i „Panna Wodna". Z lewej widać drugą walczącą ze sobą parę – prawdopodobnie szwedzki „Solen" i polskie „Słońce" oraz „Wodnik".
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Bitwa pod Oliwą

28 listopada 1627 r.

Bitwy morskie w historii polskiego oręża nie były częste. Niemniej mamy kilka starć pokazujących Polaków walczących równie skutecznie zarówno na morzu, jak i na lądzie. Jednym z nich jest bitwa pod Oliwą, którą stoczono w czasie wojny (1626–1629) o ujście Wisły. Wzięła w niej udział szwedzka eskadra dowodzona przez adm. Nilsa Göranssona Stiernskölda w liczbie 6 okrętów oraz polska flota, w skład której weszło 10 jednostek pod dowództwem adm. Arenda Dickmanna.

Po sukcesach w Inflantach i Kurlandii król Szwecji postanowił uderzyć na Pomorze, co miało odciąć drogę spławną do Gdańska dla towarów z Polski centralnej. Przenosząc tym samym działania wojenne na ziemie strategicznie istotne dla Rzeczypospolitej, Gustaw Adolf chciał zmusić Zygmunta III Wazę do zawarcia pokoju, w którym król Polski zrzekłby się ostatecznie praw

do korony szwedzkiej. Szwedzi starannie przygotowali się do nowej kampanii, tworząc potężną flotę złożoną ze 125 okrętów i statków transportowych, na pokładach których znajdowało się 14 tys. żołnierzy. Po wysadzeniu desantu zadaniem floty szwedzkiej była blokada portów polskich, a w szczególności ujścia Wisły.

W okresie żeglownym na Bałtyku dowództwo szwedzkie utrzymywało znaczne siły, uniemożliwiając podjęcie akcji zaczepnych okrętom króla polskiego. Z nastaniem jesieni, kiedy pogorszyły się warunki żeglugowe, większość szwedzkich okrętów odpłynęła do Szwecji, by uzupełnić zapasy i wykonać naprawy. Szwedzkie dowództwo pozostawiło dwie eskadry, mające po sześć okrętów, do wahadłowego blokowania Zatoki Gdańskiej. Jedna eskadra miała przebywać w Pilawie, zadaniem drugiej było dozorowanie ujścia Wisły. Pod koniec października eskadrą blokującą Gdańsk dowodził Stiernsköld. W skład jego sił wchodziło pięć dużych okrętów (galeonów) i mała jednostka zwana pinasą, dysponujące łącznie ok. 140 działami. Stacjonująca przy twierdzy w Wisłoujściu flota Zygmunta III składała się z 10 jednostek, ze 170 działami, jednak tylko 4 okręty były galeonami dorównującymi szwedzkim. Pierwszą próbę wyjścia z portu i przełamania blokady Polacy podjęli 26 listopada, ale przy opuszczaniu portu ostrzelała ich flota szwedzka i wycofali się pod ochronę dział z fortecy Wisłoujście.

Eskadra szwedzka ponownie zjawiła się przy porcie gdańskim 28 listopada i tym razem ku jej wielkiemu zaskoczeniu unikający dotąd walki Polacy wypłynęli jej na spotkanie. Szwedzi, nie chcąc podjąć bitwy, próbowali oderwać się od okrętów polskich, jednak manewr ten się nie powiódł. Doszło do pierwszej wymiany ognia artylerii okrętowej. Polski okręt flagowy „Święty Jerzy” zaczął ostrzeliwać admiralski okręt przeciwnika „Tigern”. Po krótkiej wymianie ognia okręty szczepiły się burtami, a załogi rozpoczęły walkę wręcz. W czasie zmagań ciężko raniony został adm. Stiernsköld. Wkrótce „Tigern” się poddał, a w ostatniej fazie abordażu od zabłąkanej kuli zginął polski adm. Dickmann. Gdy zmagały się ze sobą okręty admiralskie, toczył się też drugi pojedynek, który stał się symbolem bitwy. Dowodzący „Wodnikiem” wiceadm. Herman Witte zaatakował o wiele większy okręt szwedzki „Solen”. W pierwszej fazie przewagę zyskali Szwedzi, ale na pomoc „Wodnikowi” przybył „Biały Lew”. Zanim polski okręt zdążył dojść do burty „Solena”, nastąpiła olbrzymia eksplozja. Jeden z marynarzy szwedzkich, widząc, że okręt jest w pułapce, podłożył ogień do magazynów prochowych. Pozostałe okręty szwedzkiej eskadry zaczęły uchodzić z pola bitwy. Polskie okręty kontynuowały pościg za uciekającym nieprzyjacielem, jednak bez rezultatu. Straty floty polskiej wyniosły ok. 50 marynarzy; uszkodzeniu uległo kilka okrętów, które trzeba było poddać remontowi. Straty szwedzkie były znacznie większe: zginęło ok. 350 marynarzy, a ok. 60 dostało się do niewoli; utracili też 2 okręty (jeden wysadzony przez własną załogę, a drugi zdobyty przez Polaków). Zwycięstwo pod Oliwą odblokowało port gdański do momentu przybycia większych sił szwedzkich i pokazało całej Europie, że Rzeczpospolita potrafi pokonać Szwedów, którzy dotychczas rządzili na wodach Bałtyku. ■

JAROSŁAW GODLEWSKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kustosz w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, specjalista od epoki nowożytnej, autor publikacji dotyczących wojskowości XVI–XVIII w.

Określenie ”double headed” odnosi się zarówno do kul łańcuchowych, jak i do kul prętowych. Po wystrzeleniu kula dzieliła się na połówki, które leciały jedna za drugą, ale jednocześnie z pewnym rozsunięciem i z pewną różnicą prędkości, co wywoływało ruch wirowy. Dzięki temu działała na zasadzie piły, niszcząc ożaglowanie i takielunek. Od kul łańcuchowych ginęli również admirałowie, między innymi brytyjski adm. John Benbow w starciu z francuską eskadrą niedaleko Santa Marta w 1702 r. Wystrzelony pocisk zmiażdżył mu nogę i w wyniku rany zmarł kilkanaście dni później. Niecałe 40 lat wcześniej w bitwie pod Lowestoft przykre zdarzenie spotkało adiutantów księcia Yorku, kiedy wystrzelona kula łańcuchowa z holenderskiego okrętu zabiła kilku z nich.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

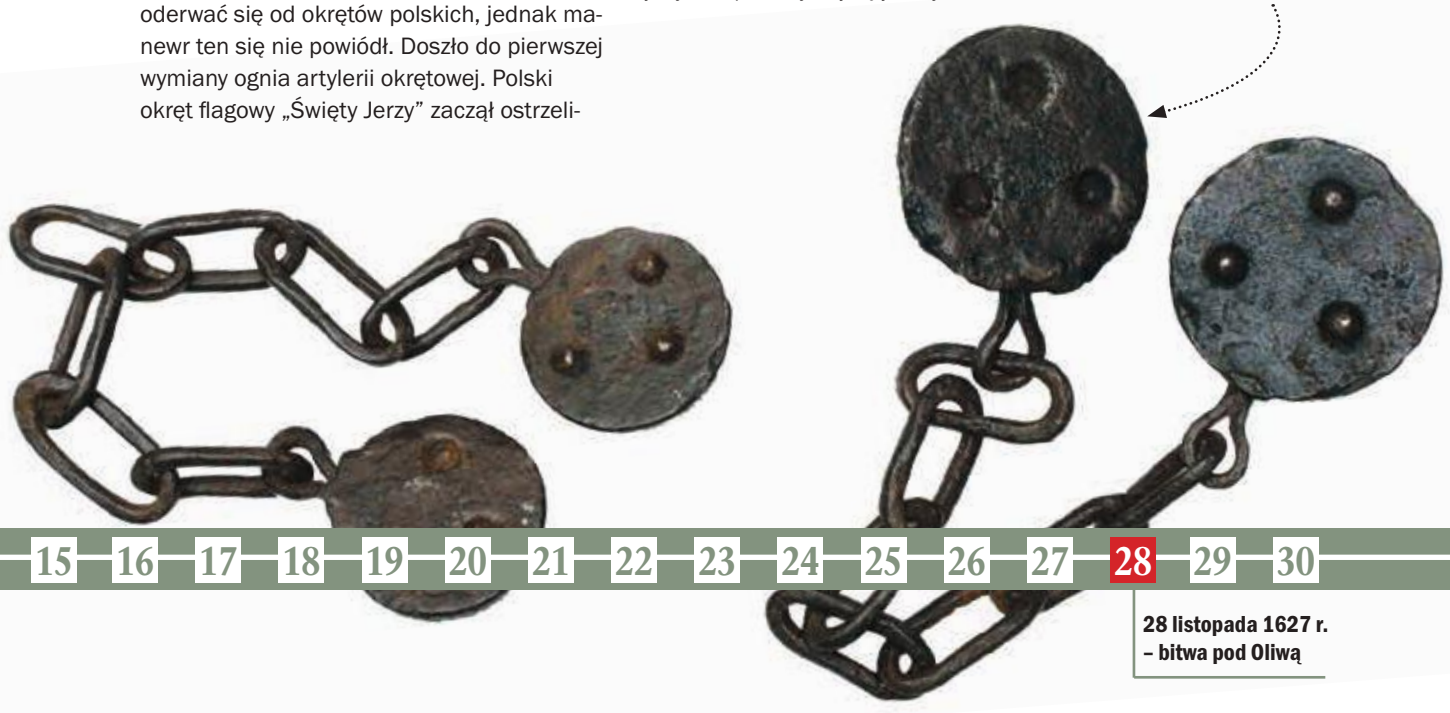

Bitwa pod Civita Castellana

4 grudnia 1798 r.



1. **Pistolet hiszpańskiej gwardii królewskiej, używany m.in. w armii neapolitańskiej na przełomie XVIII i XIX w.**
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

2. **Pistolet francuski Mle 1777, używany przez oficerów armii francuskiej i Legionów Polskich.**
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

W maju 1798 r. z południowej Francji i północnych Włoch wypłynęła olbrzymia, licząca ponad 350 jednostek, flota francuska z ponad 30-tysięczną Armią Orientu. Na pokład największego okrętu ekspedycji „L'Orient" wszedł pogromca Austriaków z kampanii włoskiej 1796–1797, gen. Napoleon Bonaparte. Wyprawa francuska na Egipt, wchodzący wówczas w skład Imperium Osmańskiego, wywalczona dominująca pozycja Francji w zakończonej rok wcześniej wojnie oraz nieobecność Bonapartego w Europie – sprowokowały pokonanych monarchów europejskich do zawiązania kolejnej koalicji do walki z rosnącą w siłę republiką.

Jako pierwsza Francuzów zaatakowała neapolitańska armia dowodzona przez cieszącego się opinią zdolnego dowódcy gen. Karla Macka. Naprzeciw wojsk neapolitańskich liczących 60 tys. bagnetów i szabel stanęły skromne (niespełna 20 tys. żołnierzy, w tym 3 tys. legionistów dowodzonych przez gen. Karola Kniaziewicza) siły gen. Jeana-Étienne'a Championneta. Położenie armii republikańskiej było niekorzystne. Wojska Macka nie miały doświadczenia w walce, ale rozproszone oddziały Championneta atakowali zewsząd włoscy powstańcy, republikanom brakowało amunicji, a ich droga odwrotu na północ w każdej chwili mogła zostać przecięta.

Ofensywa rozpoczęła się pomyślnie dla koalicjantów – oddziały włoskiej armii 27 i 28 listopada opuściły Rzym, do którego jednocześnie wkroczyli Neapolitańczycy. Upojony pozornym sukcesem gen. Mack oczekiwał kilka dni na triumfalny wjazd króla Ferdynanda I do Wiecznego Miasta, gdzie Zamku Świętego Anioła wciąż bronił silny oddział francuski.

Zwłoka ta dla Francuzów okazała się zbawienna. Dzięki niej dowodzący w tym rejonie gen. Étienne Macdonald skoncentrował w rejonie Civita Castellana rozrzucone wcześniej wzdłuż granicy neapolitańskiej oddziały francusko-polsko-włoskie. Przypadkowo natrafiono na spory magazyn z amunicją, co również poprawiło sytuację.

Generał Mack 3 grudnia opuścił wreszcie Rzym, by zaatakować oddziały Macdonalda. Podzielił przy tym siły na sześć kolumn – główne zadanie miały wykonać trzy kolumny liczące ponad 30 tys. bagnetów i szabel, trzy pozostałe w sile 6 tys. żołnierzy operowały na lewym skrzydle Francuzów z zadaniem przecięcia ich linii odwrotu oraz wzniecenia powstania. Słabością planu austriackiego było duże rozproszenie sił, które nie były w stanie ze sobą współdziałać, mglista i deszczowa pogoda oraz nieznajomość terenu.

Ten ostatni czynnik odegrał kluczową rolę już na początku bitwy, gdyż główną kolumnę neapolitańską – 20 tys. żołnierzy – na cały dzień zatrzymały w skalistym wąwozie zaledwie dwa bataliony. Druga kolumna uderzyła tymczasem pod Nepi na siły gen. François Kellermanna. Po dłuższej walce Francuzom zaczęły wyczerpywać się siły. Generał Macdonald skierował wówczas do pomocy II batalion Legionu Polskiego dowodzony przez mjr. Józefa Chłopickiego. Nieocze-



Karol Kniaziewicz w mundurze generała dywizji wojsk Księstwa Warszawskiego.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

kiwane posiłki złamały opór Neapolitańczyków, którzy stracili ok. 3 tys. żołnierzy. Gdy walka jeszcze trwała, trzecia kolumna Neapolitańczyków zaczęła wychodzić na tyły Francuzów pod Santa Maria di Falari. Jedyną zaporę stanowił tu silny polski batalion wsparty słabym polsko-włoskim legionem rzymskim, batalionem francuskim i nielicznym pułkiem francuskiej kawalerii. Oddziałami tymi, pięciokrotnie słabszymi od sił nieprzyjaciela, dowodził gen. Karol Kniaziewicz. Manewrując zręcznie, nie dał się pokonać i zadał przeciwnikowi wysokie straty. Dysponował jednak zbyt skromną liczbą żołnierzy, aby rozbić kolumnę neapolitańską. Podczas przedłużającej się walki dowodzący siłami wroga książę Józef Ksawery Wettyn został trzykrotnie postrzelony przez polskich strzelców, co wywołało popłoch w jego szeregach. Wykorzystał to Kniaziewicz, który ruszył do kontrataku. Linie neapolitańskie pękły. Za cenę 40 rannych wzięto do niewoli 600 nieprzyjaciół, którzy dodatkowo stracili 8 armat oraz ok. 400 zabitych i rannych, a także znaczną część taborów. ■

MIKOŁAJ KUBACKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Muzeum Wojska Polskiego, napoleonista, pasjonat dziejów militarnych od XVIII do początków XX w.

Bitwa pod Byczyną

24 stycznia 1588 r.


PIESN
NOVA,
O SZCZESLIWEY POTRZEBIE
POD BYCZYNAM Z ARCY-
XIAZ: MAXIMILIANEM.
Wydana przez
IOACH: BIELSKIEGO.

Pieśń o potrzebie pod Byczyną Joachima Bielskiego, 1588 r.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Miedzioryt, Byczyna, zdobycie zamku i wzięcie wojsk arcyksięcia Maksymiliana do niewoli, autor nieznany, XIX w.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

d. 26 Jan. 1588.

Na zamku w Grodnie w pochmurny grudniowy dzień Roku Pańskiego 1586 zmarł Stefan Batory, drugi król Polski, którego wybrała szlachta. Od śmierci ostatniego polskiego króla z rodu Jagiellonów w 1572 r. o sukcesji tronu polskiego decydowała elekcja. Ponownie szlachta miała zadecydować o losach państwa. Tym razem głównymi kandydatami byli arcyksiążę Maksymilian Habsburg i królewicz szwedzki, spokrewniony po kądzieli z Jagiellonami, Zygmunt Waza. Obaj pretendenci mieli gorących zwolenników, a żadna ze stron nie zamierzała przyjąć niekorzystnego dla siebie werdyktu.



Siodło jazdy z połowy XVII w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Maksymilian, nie mogąc pogodzić się z porażką w wyścigu o polską koronę, zebrawszy armię, ruszył pod Kraków. Próba zdobycia miasta spełzła na niczym, a przeciwko nieprzyjacielowi wyruszyła armia koronna pod wodzą hetmana wielkiego koronnego i kanclerza w jednej osobie Jana Zamoyskiego. Siły polskie liczyły około 6 tys. żołnierzy, gdy pod dowództwem Habsburga znajdowało się 6,5 tys. ludzi. Do starcia doszło pod miejscowością Byczyna.

Obie armie stanęły naprzeciw siebie. Polacy, wykorzystując zalegającą mgłę, przekroczyli groblę, rozstawiając swoje oddziały na wprost lewego skrzydła sił habsburskich. Po kilku godzinach mgła podniosła się, odsłaniając manewr żołnierzy Zamoyskiego. Arcyksiążę zareagował szybko, rzucając do ataku kawalerię, która starła się z chorągwiami kozackimi. Cięższa jazda zachodnioeuropejska zmusiła do odwrotu polskie chorągwie, którym w sukurs hetman posłał część odwodów. Tymi siłami udało się Polakom powstrzymać żołnierzy arcyksięcia. Widząc to, Maksymilian posłał do boju swoich najemników węgierskich, którzy wsparli cofającą się jego jazdę. Zamoyski, by zapobiec rozbiciu swojej kawalerii, rzucił do ataku husarię pod wodzą Stanisława Żółkiewskiego. Atak ten w okamgnieniu zmusił do odwrotu żołnierzy habsburskich. W tym momencie do generalnego szturmu ruszyła cała armia polska. Widząc zbliżającą się klęskę, Maksymilian uciekł do Byczyny, zamykając się w murach miejskich. Większość jego żołnierzy zbiegła z pola walki. Po krótkim oblężeniu arcyksiążę oddał się w ręce zwycięzcy.

Bitwa trwała zaledwie około półtorej godziny, ale należy do jednych z krwawszych starć, ponieważ obie strony poniosły znaczne straty. Z polskich szeregów ubyło 1 tys. żołnierzy (zabitych i rannych), gdy siły habsburskie straciły ponad 2 tys. ludzi (zabitych i rannych). Dla naszej historii miała olbrzymie znaczenie, gdyż przekreślała szanse na tron polski komukolwiek z domu habsburskiego. Pokazała też siłę chorągwi husarskich, które jedną szarżą były w stanie rozstrzygnąć losy bitwy.

W bitwie tej wyróżnił się szczególnie Stanisław Żółkiewski, który dowodził chorągwiami Zamoyskiego, a ponadto zdobył sztandar Maksymiliana. Odniósł również w tym starciu ranę nogi, która doskwierała mu do końca życia. Drugą postacią, którą warto przypomnieć czytelnikom, jest Hawrył Gabriel Hołubek. Kozak na służbie Rzeczypospolitej od 1579 r., który wyróżnił się w licznych kampaniach, dzięki czemu zdobył szacunek u dowódców, a także szlachectwo. W czasie inwazji Maksymiliana był dowódcą zamku w Rabsztynie i odmówił jego poddania, stwierdzając, że wszyscy, którzy mieli zdradzić Rzeczpospolitą już są w obozie arcyksięcia. Zginął podczas bitwy, a jego ciało pochowano w Grębaninie (do dziś stoi tam obelisk). Jego postawa wywarła tak wielkie wrażenie, że powstawały o nim pieśni, które przetrwały do XIX w., a w 1608 r. ks. Stanisław Grochowski opublikował utwór zatytułowany *Pieśń o Gabryelu Hołubku i jego dziełach rycerskich*. ■

Jarosław Godlewski



Portret Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, autor nieznany, XVII w.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Reprodukcja ryciny z 1590 r. przedstawiającej Jana Zamoyskiego, hetmana wielkiego koronnego, XX w.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

25 lutego 1831 r. bitwa pod Grochowem



Mundur czwartaka.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Usunięcie przez sejm cara Rosji Mikołaja I z tronu Polski 25 stycznia 1831 r. uniemożliwiło negocjacje między Petersburgiem a rządem powstańczym. Miesiąc później 130-tysięczna armia rosyjska feldmarsz. Iwana Dybicza dotarła pod Warszawę. Podczas trzytygodniowego marszu doszło do kilku starć z powstańcami, zakończonych niewielkimi polskimi sukcesami. Potyczki te dodały Polakom animuszu i wiary we własne siły. Rosjanie musieli uporać się z roztopami, które sprawiały, że kolumny piechoty brnęły po kolana w błocie, a działa i furgony tonęły po osie. Takie warunki marszu męczyły żołnierzy i utrudniały manewry, wskutek czego 25 lutego pod Warszawą stanęła zaledwie połowa armii feldmarsz. Dybicza.



Portret poległego w bitwie dowódcy 2 Dywizji Piechoty gen. Franciszka Żymirskiego.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Sytuację Polaków komplikowały nieporozumienia w naczelnym dowództwie. Popularny w armii gen. Józef Chłopicki był zwolennikiem ugody z Rosjanami i w połowie stycznia zrzekł się władzy dyktatorskiej. Zastąpił go książę Michał Radziwiłł, który nie miał doświadczenia i nie wierzył w swoje umiejętności. Generał Chłopicki został jego doradcą, a następnie objął dowództwo oddziałów pierwszej linii. Tymczasem Dybicz postanowił obejść polskie pozycje pod Grochowem i rozbić polską osłonę pod Białołęką, by następnie przejść na tyły głównej armii powstańczej.

Wczesnym rankiem 25 lutego siły gen. Jana Krukowieckiego uderzyły pod Białołęką na osamotniony rosyjski korpus gen. Iwana Szachowskiego. Feldmarszałek Dybicz, obawiając się zniszczenia tych sił przez główną armię powstańczą, zaniechał pierwotnego planu i zdecydował się na atak czołowy. Posłał część sił na pomoc gen. Szachowskiemu, a o 9.00 rozkazał otworzyć ogień działowy na pozycje polskie pod Olszynką. Po niespełna trzech kwadransach ostrzału zaczął się atak. Nacierające bataliony, które miały rozpoznać polskie pozycje obronne, przywitali ogniem tyralierzy z 2 Pułku Strzelców. Celny ogień nie zatrzymał Rosjan, ale 2 Pułk Strzelców, wsparty przez 7 Pułk Piechoty Liniowej, z łatwością odparł nieprzyjaciela. Kolejny szturm przypuściło 11 rosyjskich batalionów, ale i ten atak udaremnił gen. Franciszek Żymirski, dowódca polskiej 2 Dywizji Piechoty, wzmacniając siły obrońców Olszynki.

Dopiero trzeci atak pozwolił Rosjanom wedrzeć się na krótko do zagajnika. Czwarty atak 27 batalionów wspartych przez kilkadziesiąt dział, który rozpoczął się po 11.00, po zaciętej i długiej walce doprowadził do wyparcia Polaków z Olszynki. Około 12.00, gdy rosyjska piechota zaczęła wychodzić z lasu,



Wojciech Kossak, *Olszynka Grochowska*.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

polska artyleria uderzyła na Rosjan i zdziesiątkowała ich kartaczami. Generał Chłopicki osobiście pokierował kontratakiem 3 Dywizji gen. Jana Skrzyneckiego. Wsparte przez 4 Pułk Strzelców: 4 Pułk Piechoty Liniowej, Pułk Grenadierów Gwardii i 8 Pułk Piechoty Liniowej podjęły atak na bagnety, którego chaotyczny ogień karabinowy nie zatrzymał. Polacy rozbili walczących zażarcie obrońców i przy okazji zdobyli kilka dział. Kula armatnia raniła wówczas gen. Żymirskiego, który po kilku dniach zmarł w szpitalu. Mimo kontrataku elitarnej 2 Brygady Karabinierów czwartacy nie oddali pola i utrzymali Olszynkę. Ataki ponad 22 tys. Rosjan odparło 8 tys. polskich piechurów. Generał Chłopicki postanowił wtedy zakończyć bitwę, niszcząc rozbite bataliony rosyjskie szarżą kawalerii, jednak dowódca II Korpusu Jazdy, gen. Tomasz Łubieński, oraz gen. Krukowiecki odmówili wykonania rozkazów, twierdząc, że podlegają gen. Radziwiłłowi. Niesubordynacja generałów zaprzepaściła szanse Polaków, gdyż Dybicz ściągnął posiłki, które stopniowo wykruszyły polską obronę.

Gdy Chłopicki miał odbierać meldunki, granat artyleryjski rozerwał się pod jego koniem, raniąc dotkliwie nogi generała. Pozbawiona dowódcy obrona polska załamała się. Dybicz skierował wówczas do szarży 60 szwadronów kawalerii. Część polskich batalionów nie wytrzymała uderzenia, ale kolejne zatrzymały Rosjan. Szczególnie mężnie sprawili się czwartacy i ósmacy, którzy zdziesiątkowali ułanów gwardii i kirasjerów księcia Alberta. Przez polską pierwszą linię przedarły się jednak cztery szwadrony kirasjerów, rozbiły dywizjon polskiego 2 Pułku Ułanów i rozproszyły artylerzystów jednej z baterii artylerii. Zatrzymali ich polscy rakietnicy salwą rac kongrewskich, a pogromu Rosjan dopełniła szarża 2 i 5 Pułku Ułanów.

Przewaga Rosjan pozwoliła im na zdobycie Olszynki, ale dywizja Skrzyneckiego skutecznie osłoniła odwrót armii polskiej do szańców Pragi. Wyczerpani i wykrwawieni Rosjanie nie zdecydowali się jednak na szturm Pragi.

Całodzienny, nierozstrzygnięty bój kosztował Rosjan niemal 9 500 zabitych i rannych. Polacy mimo mniejszych sił stracili nieco ponad 7 tys. ludzi. Generał Chłopicki, gdy ujrzał męstwo Polaków w Olszynce, przekonał się o realnych szansach na zwycięstwo, lecz zastąpili go kunktatorzy i dowódcy, którzy nie wierzyli w powodzenie powstania. ■

Mikołaj Kubacki

Zdobycie Kwidzyna

14 marca 1520 r.



Piesi w czasach Zygmunta I Starego. Gwasz Bohdana Wróblewskiego.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Od momentu zawarcia II pokoju toruńskiego w 1466 r. zakon krzyżacki podważał jego warunki. Wielcy mistrzowie wielokrotnie łamali przysięgę lenną, spiskowali z wrogami Królestwa Polskiego oraz próbowali odzyskać utracone Pomorze i zrzucić zależność lenną wobec królów polskich. W 1511 r. wielkim mistrzem został Albrecht Hohenzollern, który postawił sobie za cel całkowite uniezależnienie się państwa zakonnego (Prus Zakonnych) od króla Zygmunta Starego (wuja Albrechta). Wykorzystał do tego konflikt polsko-litewsko-moskiewski i zawarł sojusz z wielkim księciem moskiewskim Wasylem III. Polacy potraktowali to jako casus belli do wypowiedzenia w grudniu 1519 r. wojny Krzyżakom.

Pierwsze uderzenie wykonały wojska zakonne, które 1 stycznia 1520 r. zdobyły Braniewo. W tym samym czasie do ofensywy przystąpiły siły polskie zarówno na morzu, jak i na lądzie. Flota kaperska Zygmunta I rozpoczęła blokadę głównych portów krzyżackich w Królewcu i Piławie, a oddziały królewskie ruszyły w kierunku Prus Zakonnych, bijąc siły Albrechta pod Pasłękiem i przystępując do oblężenia miasta. Druga armia polska podeszła pod Kwidzyn, ale – nie mając ciężkiej artylerii – ograniczyła się do blokady miasta.

Kwidzyn otaczała typowa pojedyncza linia późnośredniowiecznych murów miejskich, wzmocnionych jedenastoma basztami. Do miasta prowadziły trzy ufortyfikowane bramy. W północnej części miasta znajdowała się gotycka katedra, otoczona niskim murem, połączona z zamkiem zbudowanym na planie czworokąta, z czterema narożnymi wieżami. Piąta wieża, latrynowa (tzw. gdanisko), była wysunięta poza linię fortyfikacji, połączona z zamkiem krytym gankiem, zbudowanym na arkadach. Całość założenia miejsko-zamkowego chroniła fosa. Jedynie podzamcze, umiejscowione na północ od twierdzy nie było chronione fosą, tylko pojedynczym murem. Załogę stanowili głównie mieszczanie kwidzyńscy, dowodzeni przez Hansa von Kospotha.

Gdy do blokującej Kwidzyn armii polskiej dotarły z Krakowa ciężkie działa, polska artyleria rozpoczęła intensywny, trwający dwa dni ostrzał miasta i zamku. Nowoczesna renesansowa artyleria z łatwością kruszyła średniowieczne fortyfikacje, doprowadzając do powstania wielu wyłomów w kurtynie murów. Ucierpiał również zamek. Krzyżaccy obrońcy zdawali sobie sprawę, że przy tak licznych uszkodzeniach i wyłomach nie zdołają powstrzymać szturmu polskich zaciężnych. Po zakończeniu bombardowania miasta, Kwidzyn skapitulował 14 marca 1520 r. W kolejnych tygodniach Polacy pokonali pod Bartoszycami oddziały zakonne i pod koniec kwietnia zdobyli Pasłęk. Nie udało się odzyskać Braniewa. Latem 1520 r. Krzyżacy przystąpili do kontrofensywy po uzyskaniu poparcia legatów papieskich i otrzymaniu posiłków z Rzeszy. Ostatecznie w wyniku wyczerpania finansowego obu stron w 1521 r. zawarto rozejm, a – po długich negocjacjach – Albrecht Hohenzollern w 1525 r. dokonał sekularyzacji państwa zakonnego i Zygmuntowi Staremu złożył hołd lenny, zwany hołdem pruskim. ■

Łukasz Jędrzejczak



Żeleźce runki, XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Szabla, pocz. XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Hakownica wałowa, XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Rzeczpospolita

Rzeczpospolita podziemna – tak zatytułował swe opus vitae Tomasz Strzembosz, badacz polskiej konspiracji okresu II wojny światowej. Nie Polska, nie państwo polskie, a – Rzeczpospolita, urzędowe i historyczne miano naszego państwa, będące staropolskim tłumaczeniem łacińskiego Respublica, co oznacza sprawę powszechną, wspólną dla całego narodu, to jest publiczną.

JACEK ŻUREK

Nazwa Rzeczpospolita pasuje zarówno do historii republikańskiej monarchii od końca XV w., jak i do czasów parlamentarnej demokracji w wieku XX. Tytuł, który nadał prof. Tomasz Strzembosz swojej książce, jest więc oksymoronem, oryginalnym, jednak na tyle oczywistym dla przeciętnego mieszkańca naszego kraju, że nie budzi zdziwienia.

Pod koniec XVIII stulecia Polska w dramatycznych okolicznościach utraciła niepodległość. Państwa powstają i nikną, jednak zaskakujący charakter tego wydarzenia polega na tym, że Rzeczpospolita była największym z ówczesnych państw europejskich, nie licząc na poły azjatyckiej Moskwy. Monarchią o dziewięćsetletniej historii, której pierwszy chrześcijański władca rządził samodzielnie rozległym krajem w czasie, gdy władza hrabiego Hugona Kapeta, założyciela narodowej dynastii francuskiej, ograniczała się do Paryża i jego okolic. W rezultacie z ostatnich 250 lat polskich dziejów, czyli w całym okresie historii Stanów Zjednoczonych, mniej więcej cztery piąte przypadły na czasy podziału kraju między jego sąsiadów, niekiedy w postaci autonomii poszczególnych jego dzielnic, w najlepszym razie niesuwerennej państwowości. W tym na 123 lata tak zwanej niewoli narodowej (1795–1918), jak nieco pompatycznie określa się okres utraty niepodległości po rozbiorach, przypadło około dziesięciu zrywów powstańczych z bronią w ręku, z czego cztery miały charakter regularnej wojny z sąsiadami: wojna polsko-rosyjska w 1793 r., Insurekcja Kościuszkowska przeciwko Rosji i Prusom w 1794 r., Powstanie Listopadowe przeciwko Rosji z 1830 r. oraz Powstanie Wielkopolskie z roku 1918 przeciwko republikańskim Niemcom.

Aby przygotować powszechne powstanie pod obcą okupacją, potrzebna jest rozbudowana konspiracja – właściwie cały ten okres historii Polski obfitował w nieustanne spiski, sprzysiężenia, organizacje półlegalne, niejawne, legalne organizacje o celach ukrytych, które bez przerwy były śledzone przez, jak napisał z ironią Cyprian Kamil Norwid, „policje – tajne, widne i dwu-płciowe". Macki spisków, a za nimi akcji policyjno-wywiadowczej, sięgały większości głównych stolic europejskich, bo wszędzie tam osiadała polska emigracja polityczna, która marzyła o jednym – wojnie powszechnej. Ona jedna dawała Polakom nadzieję na odzyskanie niepodległości w tak beznadziejnej sytuacji geopolitycznej. Konspiracje te apogeum osiągnęły, gdy na początku siódmej dekady XIX w. – akurat kiedy w Stanach Zjednoczonych wybuchnie wojna secesyjna – w należącym do Rosji Królestwie Polskim powstało prawdziwe państwo podziemne, kierowane przez Rząd Narodowy, któremu na krótki okres podporządkowała się większość klasy ziemiańskiej i niższego duchowieństwa katolickiego, stanowiąca naturalne zaplecze antyrosyjskiej konspiracji.

W 1830 r. Adam Mickiewicz przedstawił na emigracji program polityczno-wychowawczy dla kraju we wspaniałym, a jednocześnie przerażającym wierszu *Do Matki Polki*, która ma uczyć syna od kołyski: „Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,/ Postać mieć skromną, jako wąż wystygły". Nieco 100 lat później Stanisław Baliński, jeden z najwybitniejszych spadkobierców Mickiewicza, na co dzień urzędnik emigracyjnego rządu polskiego w Londynie, pisał z emfazą: „Moją ojczyzną jest Polska Podziemna".

Emigracja i kraj

Historia nowego państwa podziemnego zaczyna się wraz z wybuchem II wojny światowej: 1 września 1939 r., a może nawet wcześniej. Traktaty rosyjsko-niemieckie z sierpnia i września określa się w Polsce mianem czwartego rozbioru, przez nawiązanie do trzech trakta-

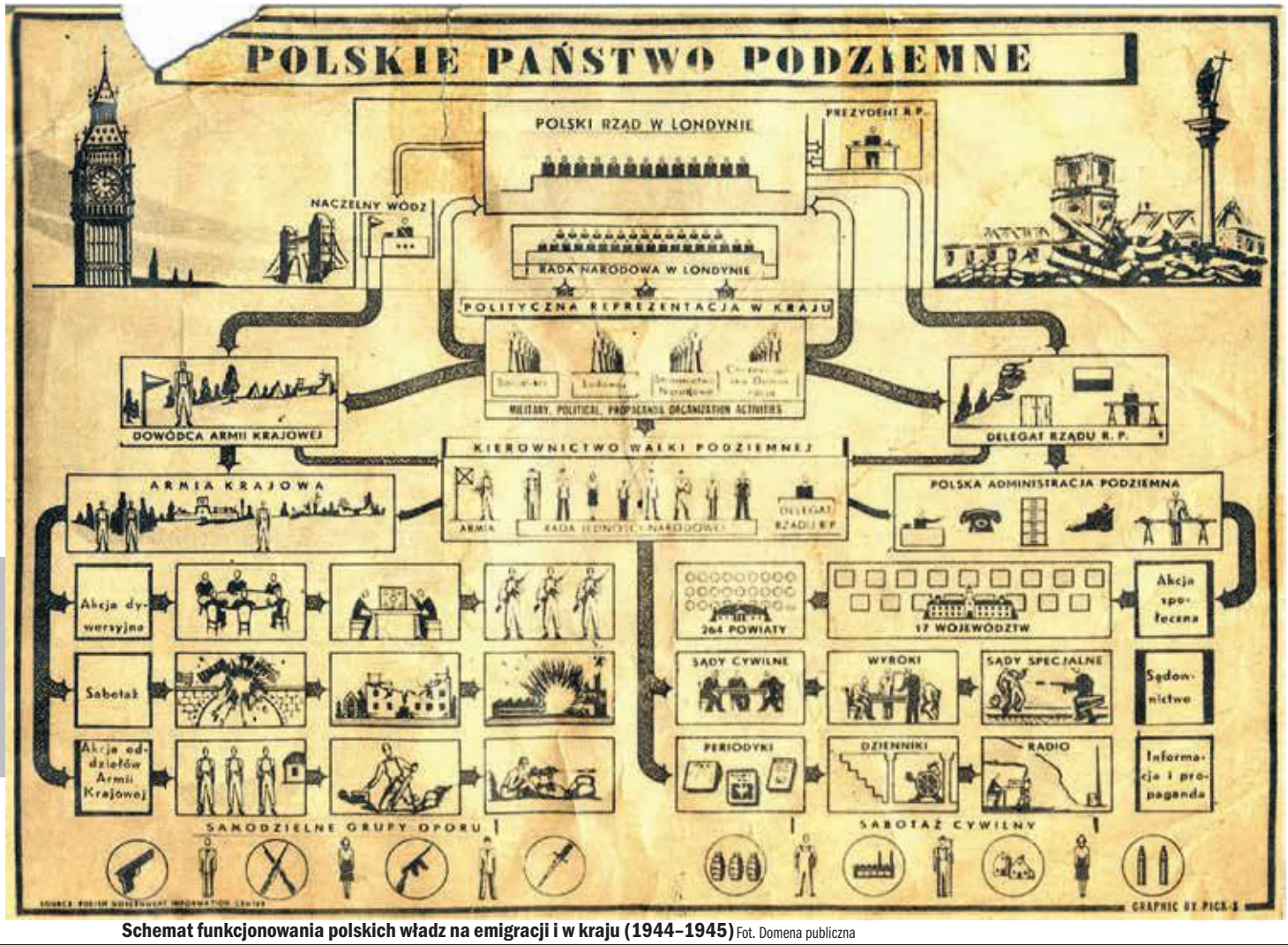

Schemat funkcjonowania polskich władz na emigracji i w kraju (1944–1945) Fot. Domena publiczna

podziemna

tów rozbiorowych z lat 1772–1795, w wyniku których Rzeczpospolita znikła z mapy Europy, podzielona między protestanckie Prusy, prawosławną Rosję i katolicką Austrię. Odzyskanie niepodległości, które nastąpiło w latach 1917–1919 dzięki pomyślnej koniunkturze politycznej spowodowanej jednoczesnym rozkładem trzech państw zaborczych, przyniosło Polakom wolność równo na lat 20. Widmo nadchodzącej nowej wojny światowej, którą w końcu rozpętały Niemcy do spółki z sowiecką Rosją, spędzało politykom sen z oczu. Wszyscy chcieli, skoro już zanosiło się na konflikt, albo na nim skorzystać (Włosi, Słowacy, Chorwaci, Węgrzy, Litwini, Japończycy), albo przynajmniej zminimalizować jego skutki (Anglicy, Francuzi, Belgowie, Hiszpanie, Czesi, Rumuni, Amerykanie). Do wojny opłacało się wejść w gronie zwycięzców, a w każdym razie jak najpóźniej, by uniknąć furii pierwszego ataku lub długotrwałej okupacji. Interes zarówno brytyjski, jak i francuski wymagał, by uderzenie niemieckie poszło na wschód, co odsuwało spodziewany konflikt w czasie i pozwalało na większe uzależnienie partnerów. Cała polska tradycja powstańcza i szkoła polityczna okresu zaborów („boso, ale w ostrogach") czyniła z Polaków idealny obiekt na mięso armatnie.

Wiosną 1939 r., po likwidacji przez Niemcy Czechosłowacji, „odbyło się [...] zebranie poufne większej części ministrów późniejszego rządu paryskiego, lecz bez generała Władysława Sikorskiego, na którym to zebraniu

referat wygłosił przybyły z Londynu do Warszawy Józef Retinger. Tematem była przyszła wojna. Tezą Retingera było: Wojna będzie jeszcze w tym roku. Nie pójdzie ona, jak wielu myślało, w kierunku południowym (kolonie angielskie), lecz na wschód, przeciw Polsce. Anglia da pieniądze, żołnierza i broń, ale pod warunkiem, że Polska pozbędzie się rządu ozonowego”[1], czyli rządu Obozu Zjednoczenia Narodowego, to jest pogrobowców Józefa Piłsudskiego.

W passusie tym jak w soczewce skupia się cała problematyka genezy i funkcjonowania w czasie wojny Polskiego Państwa Podziemnego. Zaczęło się ono kształtować jeszcze w trakcie kampanii niemiecko-rosyjskiej w Polsce. Organizacje podziemne, utworzone przez zawodowych wojskowych, piłsudczyków, powstały pod koniec września 1939 r. w oblężonej przez Niemców Warszawie i we Lwowie, który w końcu poddał się Sowietom. Organizacja warszawska, Służba Zwycięstwu Polski, w dramatycznych okolicznościach otrzymała placet wysłannika polskiego Naczelnego Wodza, którym był, internowany już w tym czasie w Rumunii, następca Piłsudskiego, marsz. Edward Śmigły-Rydz. W stolicy Francji jednak zaczął działalność „rząd paryski”, czyli grupa opozycyjnych polskich polityków, która z poparciem rządów francuskiego i brytyjskiego doprowadziła do przewrotu, obejmując władzę na emigracji pod przywództwem frankofila gen. Władysława Sikorskiego, nowego premiera i Naczelnego Wodza. Szarą eminencją przy nim był wymieniony w cytowanym wspomnieniu Józef Retinger, który do roku 1944 pilnował w tym rządzie interesów brytyjskich. W rezultacie na emigracji powołano jeszcze w 1939 r. Związek Walki Zbrojnej, którego pierwszym komendantem, z siedzibą w Paryżu, został kandydat kompromisowy, dawny towarzysz walk Piłsudskiego, gen. Kazimierz Sosnkowski, mający piękną kartę bojową w kampanii wrześniowej. Nowe kierownictwo polityczne i wojskowe nie chciało dopuścić, by przywództwo nad konspiracją krajową wymknęło mu się z rąk. Walka polityczna, stan ciągłego napięcia pomiędzy „Paryżem”, następnie „Londynem” a krajem, trudności związane z utrzymaniem regularnego kontaktu i wiążące się z tym wewnętrzne rozgrywki partyjne, brak krytycyzmu dwóch premierów i ich ministrów w trzech kolejnych rządach aż do listopada 1944 r., a przede wszystkim międzynarodowa gra polskich wrogów i sojuszników – wszystko to wpływało fatalnie przez całą wojnę na spoistość polskiego podziemia, a przede wszystkim na zdolność do podejmowania decyzji o charakterze dyplomatycznym i wojskowym. Tragicznym symbolem tego stanu rzeczy stała się osierocona decyzja o wybuchu powstania w Warszawie, podjęta pod koniec lipca 1944 r. właściwie rzutem na taśmę przez dowódcę Armii Krajowej, bez należytego rozeznania zarówno sytuacji militarnej, jak i międzynarodowej, w której znalazła się Polska.

Wojsko

Pion wojskowy tej konspiracji miał skomplikowaną strukturę. Agendy krajowe Związku Walki Zbrojnej, któremu podporządkowała się większość wojskowych, zaczęły żmudną pracę scalania setek organizacji podziemnych, wyrastających pod okupacjami niemiecką i sowiecką jak grzyby po deszczu. Do czerwca 1941 r., gdy nastąpiła agresja Niemiec na Związek Sowiecki, obszar konspiracji dzielił się na trzy części. 1) Polskie ziemie zachodnie zostały wcielone do niemieckiej Rzeszy, a stosowana przez Niemców polityka narodowościowa (ludobójstwo od pierwszych dni wojny, masowe wysiedlenia, deportacja do obozów koncentracyjnych, przymusowa germanizacja ludności) uniemożliwiła szerszą działalność konspiracyjną, która stopniowo przeniosła się do Polski centralnej. 2) Tereny, na których Niemcy utworzyli tak zwane Generalne Gubernatorstwo, twór quasi-państwowy, zarządzany przez okupacyjną władzę niemiecką. Terror był tu nie mniejszy, jednak bardziej ograniczony ze względu na słabość żywiołu niemieckiego, co pozwoliło na rozwój konspiracji wojskowej i cywilnej o charakterze politycznym. 3) Strefa obejmująca okupowane przez Rosjan ziemie wschodnie Polski. Tu konspiracja była utrudniona z dwóch powodów – większość mieszkańców, co prawda na wsi, stanowili Rusini/Ukraińcy i Białorusini oraz Żydzi w miasteczkach, zaś NKWD, rosyjska policja polityczna, postępowało nie mniej brutalnie niż niemieckie gestapo, jednak daleko bardziej sprawnie, gdy chodzi o penetrację polskiego podziemia. W rezultacie pod koniec rosyjskiej okupacji większość polskich agend Związku Walki Zbrojnej i pokrewnych, lokalnych organizacji została zinfiltrowana przez agentów bądź rozbita. W wyniku ataku Niemiec na ZSRS w sposób naturalny, od połowy 1941 r., konspiracja z Polski centralnej połączyła się z resztkami organizacji na wschodzie. Nadal istniały kordony graniczne, lecz odtąd pod jedną, niemiecką okupacją, co znacznie ułatwiało Polakom działanie.

Proces zbierania w całość polskich organizacji konspiracyjnych pod okupacją niemiecką nie tyle zakończył się, co został symbolicznie zaakcentowany w lutym 1942 r., gdy ogłoszono powstanie jednolitej, scalonej z wielu podziemnych grup Armii Krajowej, z własnym sztabem pod dotychczasową nazwą Komendy Głównej i własnym dowódcą oraz wojskową siatką sięgającą do poziomu placówek w poszczególnych gminach. Armia ta stanowiła część Wojska Polskiego, na czele którego stał Naczelny Wódz wraz ze swym sztabem w Londynie, dokąd przeniósł się rząd emigracyjny po klęsce Francji w czerwcu 1940 r. Od tego czasu faktyczna władza znalazła się w rękach komendanta głównego/dowódcy w kraju, pod okupacją niemiecką. Kolejno, pod zwierzchnictwem Kazimierza Sosnkowskiego, od roku

1941 Sikorskiego (Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza), a po jego śmierci znów pod komendą Sosnkowskiego, funkcję tę pełnili generałowie: Stefan Rowecki „Grot", aresztowany przez Niemców w lipcu 1943 r., Tadeusz Komorowski „Bór", który poszedł do niemieckiej niewoli w październiku 1944 r. po kapitulacji sił powstańczych w Warszawie, i Leopold Okulicki „Niedźwiadek", aresztowany przez Rosjan w podwarszawskim Pruszkowie w marcu 1945 r. „Grota" zamordowali Niemcy w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen w sierpniu 1944 r. po wybuchu powstania w Warszawie, „Niedźwiadka" – Rosjanie w więzieniu butyrskim w Moskwie w grudniu 1946 r., „Bór" został symbolicznie mianowany Naczelnym Wodzem Wojska Polskiego 30 września 1944 r., wchodząc w obowiązki po uwol-

ARMIA KRAJOWA LICZYŁA OK. 380 TYS. ŻOŁNIERZY. BYŁA TO ARMIA O CHARAKTERZE KONSPIRACYJNYM I PARTYZANCKIM, ZWIĄZANA Z CYWILNYM ZAPLECZEM.

nieniu z niemieckiej niewoli w 1945 r., następnie był premierem emigracyjnego rządu polskiego w Londynie oraz członkiem Rady Trzech, czyli kolegialnego urzędu prezydenta. Zarabiał na życie jako tapicer, zmarł w 1966 r.

Poza Armią Krajową pozostały trzy poważne organizacje wojskowe: Bataliony Chłopskie stanowiące siłę zbrojną Stronnictwa Ludowego na wsi; Narodowe Siły Zbrojne – będące frakcją części Stronnictwa Narodowego, największej przedwojennej partii politycznej w Polsce, oraz Gwardia Ludowa – organizacja polskich komunistów. Dwie pierwsze uznawały z różnymi zastrzeżeniami zwierzchnictwo władz polskich w Londynie, lecz nie w kraju, trzecia organizacja stanowiła agenturę rosyjską, nieliczną, lecz niebezpieczną. W szczytowym okresie rozwoju, latem 1944 r., gdy na ziemiach polskich trwała akcja zbrojna o kryptonimie „Burza", namiastka powstania powszechnego przeciwko Niemcom, Armia Krajowa liczyła ok. 380 tys. żołnierzy. Była to armia o charakterze konspiracyjnym i partyzanckim, związana z cywilnym zapleczem w terenie, słabo uzbrojona, mocno zależna od, niewielkiej zresztą, pomocy brytyjskiej i oczywiście bez sił pancernych, lotnictwa oraz własnego przemysłowego zaplecza, decydujących o wyniku wojny.

Cywile

Władze cywilne miały charakter polityczny, działały samodzielnie, lecz w porozumieniu z rządem na emigracji, będąc drugim fenomenem Rzeczpospolitej podziemnej. Symbolem ich pozostaje od roku 1940 urząd tak zwanego delegata, stojącego na czele Delegatury Rządu na Kraj, to jest konspiracyjnego rządu z własnymi ministerstwami pod nazwą departamentów oraz wojewodów i starostów, czyli delegatów okręgowych i powiatowych. W lipcu 1944 r., tuż przed wybuchem powstania w Warszawie, Delegatura została przekształcona formalnie w Krajową Radę Ministrów, delegat zaś otrzymał status wicepremiera emigracyjnego rządu. Namiastką konspiracyjnej władzy ustawodawczej było porozumienie czterech partii politycznych, zwanych grubą czwórką (socjaliści, ludowcy, narodowcy, chadecy), z których na początku 1944 r. powstała Rada Jedności Narodowej, rodzaj podziemnego „parlamentu", odpowiednik Rady Narodowej na emigracji, będącej od grudnia 1939 r. ciałem doradczym przy prezydencie Władysławie Raczkiewiczu. Obie instytucje miały charakter symboliczny i fasadowy.

Upadek

Rozkład państwa podziemnego rozpoczął się wraz z ponowną okupacją ziem polskich przez Rosjan od początku roku 1944. Rząd polski w Londynie nie przewidywał walki z nowym okupantem (analogicznie jak jego poprzednik we wrześniu 1939 r.), była ona w praktyce niemożliwa. Sowiecki walec przetoczył się przez całą Europę Wschodnią i zatrzymał dopiero na Łabie, a więc w środku Niemiec. Armia Krajowa została rozwiązana w styczniu 1945 r. rozkazem jej dowódcy; członków Krajowej Rady Ministrów wraz z gen. Okulickim aresztowali Rosjanie, urządzając im następnie proces pokazowy w Moskwie; władze polskie w Londynie utraciły zaś międzynarodowe uznanie na rzecz powołanego przez Rosjan w Warszawie rządu z udziałem emigracyjnych i krajowych polityków, którzy firmowali w ten sposób nową okupację. Pacyfikacja polskiego podziemia była masowa i okrutna, choć nie tak straszliwa jak pacyfikacje niemieckie, za to bardziej skuteczna. Dywizje Wojsk Wewnętrznych NKWD wycofano do Związku Sowieckiego w 1947 r. Do tego roku rozbito wszystkie większe oddziały partyzanckie oraz unieszkodliwiono konspirację polityczną. W 1952 r. skompromitowano ostatecznie utrzymywaną przez Amerykanów siatkę wywiadowczą władz emigracyjnych. Ostatni polski partyzant Józef Franczak „Lalek" zginął w obławie w 1963 r. ■

JACEK ŻUREK doktor historii, redaktor wydawnictw historycznych Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

[1] J. Gawlina, *Wspomnienia*, Katowice 2018, s. 198–199. Por. tamże, s. 145 i zapis z dziennika biskupa polowego pod datą 25 II 1939, w: *Kapelani wrześniowi*, red. W.J. Wysocki, Warszawa 2001, s. 443.

ZWYCIĘSTWO BĘDZIE NAGRODĄ



Armia Krajowa była niezwykle złożonym organizmem, który przez cały okres II wojny światowej ewoluował i dopasowywał się do zmian zachodzących w okupowanej Polsce. Służący w jej szeregach żołnierze wywodzili się z różnych środowisk społecznych, deklarowali też odmienne sympatie polityczne, łączyła ich jednak wspólna idea walki o niepodległość ojczyzny.

DAWID GOLIK

W obliczu klęski we wrześniu 1939 r. niemal natychmiast w całej Polsce zaczęły powstawać grupy oporu i organizacje konspiracyjne skupiające ludzi chcących kontynuować walkę z okupantami. Z dzisiejszej perspektywy najtrudniej jest uchwycić te, które powstawały samorzutnie pośród wracających z wojny żołnierzy i wśród młodzieży patriotycznej. Nie miały one z reguły żadnej nazwy, a ufający sobie nawzajem ludzie gromadzili broń, mundury i wyposażenie wojskowe pochodzące z pobojowisk, licząc na to, że przyda się ono w niedalekiej przyszłości.

Konspiracja czy konspiracje?

Z oczywistych względów struktury podziemne rozwijały się jednak najlepiej w kręgach wojskowych. Często w konspiracje wchodzili oficerowie i żołnierze należący do tych samych jednostek Wojska Polskiego, stąd też mówi się w tym wypadku o tzw. kołach pułkowych. To z nimi związani byli początkowo między innymi dowódca 21 Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy” płk dypl. Stanisław Sosabowski oraz płk dypl. Jan Karcz, który w czasie walk wrześniowych stał na czele Mazowieckiej Brygady Kawalerii.

Struktury konspiracyjne tworzyli też generałowie, wzorując je najczęściej na znanych im z okresu I wojny światowej tajnych sieciach Polskiej Organizacji Wojskowej. Łącznie jesienią 1939 r. aż 12 generałów Wojska Polskiego podjęło próby stworzenia zrębów ogólnopol-



Rys. Rafał Roskowiński

skich organizacji konspiracyjnych. Na rozkaz szefa sztabu Naczelnego Wodza gen. Wacława Stachiewicza 17 września powstała Tajna Organizacja Wojskowa, która silne struktury zbudowała między innymi na Lubelszczyźnie i w Małopolsce. Kilka dni później w walczącym jeszcze Lwowie gen. Marian Januszajtis założył Polską Organizację Walki o Wolność, na czele której stanął gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Na kadrach dawnych struktur Korpusu Ochrony Pogranicza osobną konspirację tworzył też od października 1939 r. gen. Wilhelm Orlik-Rückemann, nazywając ją Komendą Obrońców Polski. Do podziemia nakazywał przechodzić swoim żołnierzom także kapitulujący pod Kockiem gen. Franciszek Kleeberg, którego podkomendni włączyli się niebawem do budowy tzw. Organizacji Wojskowej „Longinusa". Ta ostatnia powstała z inspiracji pozostającego we wrześniu 1939 r. bez przydziału gen. Władysława Sikorskiego.

Organizacje podziemne mające być w założeniu strukturami ogólnopolskimi tworzone były też przez oficerów niższego szczebla. Na szczególną uwagę zasługuje w tym względzie powstała w Małopolsce Organizacja Orła Białego, której twórcą był mjr rez. Kazimierz Kierzkowski, a jej pion wojskowy objął dawny szef sztabu 18 Dywizji Piechoty ppłk dypl. Kazimierz Pluta-Czachowski. Konspiratorzy opierali się w tym wypadku na tworzonych jeszcze przed wybuchem wojny kadrach tzw. dywersji pozafrontowej oraz na ludziach działających wcześniej w Związku Strzeleckim, Związku Oficerów Rezerwy i Przysposobieniu Wojskowym.

Od „Torwida" do „Rakonia"

„Stoję na czele organizacji skupiającej wszystkie wysiłki Polaków na obszarze okupacji niemieckiej i rosyjskiej nad odtworzeniem kadr wojskowych i przygotowaniem władz adm[inistracyjnych] do opanowania Kraju w chwili załamania się Niemiec"[1] – pisał na początku grudnia 1939 r. gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz „Torwid" do nowego Naczelnego Wodza i premiera Rządu RP na Uchodźstwie gen. Władysława Sikorskiego. Podobne ambicje do odgrywania kierowniczej roli w przyszłym podziemiu miał zapewne każdy z generałów próbujących jesienią 1939 r. budować struktury konspiracyjne na terytorium Polski. Nieprzypadkowo to właśnie „Torwidowi" udało się te cele zrealizować, powołując do życia 27 września 1939 r. Służbę Zwycięstwu Polski. Przemawiały za nim najważniejsze argumenty – zaplecze polityczne, pieniądze, a przede wszystkim mandat, który tworzona przez niego organizacja otrzymała od gen. Juliusza Rómmla, a ten z kolei od opuszczającego granice II Rzeczypospolitej Naczelnego Wodza, marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Tokarzewski-Karaszewicz myślał o SZP jak o strukturze łączącej w sobie zarówno pion cywilny, jak i wojskowy. Rozwijał więc równolegle kadrowy szkielet wojskowej konspiracji oraz tzw. ośrodki tymczasowej władzy narodowej, złożone z urzędników państwowych i polityków różnej orientacji, w tym socjalistów, ludowców i narodowców. Wchłaniał przy tym i włączał do organizacji inne grupy konspiracyjne, zdając sobie sprawę z potrzeby stworzenia jednolitego dowództwa w kraju. Ta pierwsza nieformalna akcja scalenia podziemia przebiegała nader sprawnie i struktury SZP szybko objęły zasięgiem całą Polskę.

Mimo że SZP dynamicznie się rozwijała, decyzje funkcjonującego na uchodźstwie we Francji rządu polskiego dotyczące ogólnopolskiej konspiracji nie uwzględniały jej wiodącej roli. Zarówno osobista niechęć gen. Sikorskiego do „Torwida", jak i jego oba- ▶

wa, że SZP może być w Polsce „ostoją sanacji", sprawiły, że postanowiono rozdzielić obszar konspiracji cywilnej od wojskowej i tę ostatnią powierzyć Związkowi Walki Zbrojnej, który powstał 13 listopada 1939 r. Kierowany z Paryża przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego ZWZ miał oprzeć się na sieciach utworzonych już przez „Torwida", wykorzystując struktury sztabowe przygotowane przez Dowództwo Główne SZP. Najważniejszą też osobą w kraju i de facto reprezentantem gen. Sosnkowskiego w okupowanej Polsce stał się dotychczasowy szef sztabu SZP i zaufany współpracownik „Torwida" płk dypl. Stefan Rowecki „Rakoń".

Tokarzewski-Karaszewicz, mimo że formalnie nie został odsunięty od organizacji, to otrzymał rozkaz objęcia dowództwa nad podziemiem na Kresach, gdzie był


1


2


3

1. Tadeusz Bór-Komorowski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe **2. Stefan Rowecki, zdjęcie z lat trzydziestych.** Fot. Domena publiczna
3. Minister spraw wojskowych gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski, lata 1922–1924 Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

osobą publicznie znaną i nie miał szans na zakonspirowanie się. Pisał o tym po latach: „Prawem dowódcy jest określać, że któryś z jego żołnierzy jest mu potrzebny nie tu a tam, czy w ogóle niepotrzebny. I jest też prawem dowódcy posłać żołnierza na posterunek indywidualnie dla tego żołnierza z góry stracony. [...] Oskarżenie moje, którego nie wnoszę ani też nie wniosę – dotyczyłoby tylko osobiście brzydoty, nieżołnierskości sposobu, w jaki mnie usunięto"[2]. „Torwida" aresztowano zaraz po przekroczeniu Sanu, w nocy z 6 na 7 marca 1940 r.

Siły Zbrojne w Kraju

Niewątpliwie to z osobą Stefana Roweckiego należy wiązać budowę pierwszych struktur wojskowej konspiracji na terytorium Polski. Ten błyskotliwy oficer, awansowany wiosną 1940 r. do stopnia generała, odpowiadał między innymi za płynne przekształcenie już istniejących sieci SZP w komórki ZWZ. Stanął też początkowo na czele jego struktur na terenach okupacji niemieckiej, a później także sowieckiej. W końcu, po upadku Francji w czerwcu 1940 r., przejął od gen. Sosnkowskiego dowodzenie całą wojskową konspiracją, obejmując funkcję Komendanta Głównego Związku Walki Zbrojnej.

W podstawowym dokumencie programowym ZWZ – Instrukcji dla Obywatela Rakonia – sprecyzowano główne cele i zadania pionu wojskowego podziemnego państwa. Przede wszystkim podkreślono w niej potrzebę przygotowania struktur podziemnych do przyszłego powstania i wspominano o obowiązku prowadzenia bieżącej walki z okupantem. Pisano: „przez skupienie w związkach konspiracyjnych jednostek najstaranniej dobranych, [należy] stworzyć ośrodki czynnego oporu narodowego przeciwdziałającego załamaniu się sił moralnych polskiego społeczeństwa"[3]. Dodawano przy tym, że – planowane jako ostateczny efekt działań podziemia – powstanie wybuchnie na tyłach armii okupacyjnych dopiero „z chwilą wkroczenia regularnych wojsk polskich do Kraju"[4].

Przy tworzeniu struktur Związku, przekształconego w 1942 r. w Armię Krajową, wykorzystano wzory wojskowe. Funkcjonowała więc zasada pionowej i hierarchicznej podległości służbowej, a kwestie szczegółowe zawarto w powstałych bardzo szybko regulaminach. Podkreślano w nich, że „ZWZ stanowi część składową Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej podległą przez Komendanta Głównego Naczelnemu Wodzowi Wojsk Polskich"[5]. We wrześniu 1941 r. Związek został uznany

przez Naczelnego Wodza za główną część Sił Zbrojnych RP. Odtąd komendant główny Związku Walki Zbrojnej posługiwał się tytułem komendanta Sił Zbrojnych w Kraju. Podlegał mu od początku centralny aparat dowodzenia w postaci Komendy Głównej ZWZ, z jej biurami, wydziałami i szefostwami, a także dowództwa terenowe. Te, podobnie jak pierwsze struktury centralne, wywodziły się wprost z sieci Służby Zwycięstwu Polski. Tereny znajdujące się pod okupacją niemiecką i sowiecką podzielono na obszary, które z kolei dzieliły się na okręgi – mające odpowiadać zasadniczo przedwojennym województwom. Niższym szczeblem terenowym ZWZ były obwody odpowiadające powiatom i placówki obejmujące zasięgiem poszczególne gminy. Szczeblem pośrednim między okręgiem a obwodem był Inspektorat Rejonowy skupiający kilka obwodów. W sytuacjach szczególnych, w celu sprawniejszego dowodzenia strukturami, powoływano też do życia podokręgi lub podobwody. Na czele terenowych ośrodków konspiracyjnych stali komendanci i inspektorzy.

Czynna walka

Podział terytorialny ZWZ usprawniał bieżące funkcjonowanie konspiracji i wprowadzał hierarchicznie uporządkowane ośrodki dowódcze, dzięki czemu Komenda Główna mogła się skupić na planowaniu przyszłych ogólnopolskich działań i poprawianiu już istniejących struktur. W przyszłości to tzw. teren miał wziąć na siebie ciężar walk powstańczych i odtwarzania sił zbrojnych. Placówki podziemia miały szkolić przyszłe plutony bojowe, z których na szczeblu obwodów powstawać miały kompanie i bataliony ZWZ. Na poziomie inspektoratów i okręgów odtwarzane miały być z kolei pułki i dywizje podziemnego wojska.

W pierwszym okresie okupacji, planując ogólnopolskie powstanie i przygotowując się do niego, ograniczano jednak do minimum tzw. walkę czynną. Okupanci byli na tyle silni, że akcja zbrojna słabego jeszcze i źle uzbrojonego podziemia nie mogła wpłynąć na sytuację w kraju. Co najwyżej mogła pogorszyć los cywilów, wobec których okupant bardzo chętnie przeprowadzał akcje odwetowe, czego dowody dał już przy okazji likwidacji Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala". Akcja zbrojna mogła też pociągnąć za sobą aresztowania i wsypy, które dezorganizowały komórki podziemia i zmuszały dowództwa do mozolnego odtwarzania niezbędnych w przyszłości struktur. Takie kwestie często podnoszone były w płynących z Francji, a następnie Anglii instrukcjach dla Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. W jednej z nich, z 3 listopada 1940 r., przeczytać można: „Nadal należy się wstrzymać od wszelkich akcji dywersyjnych na terenie kraju, które mogłyby sprowadzić represje zarówno Niemców, jak i bolszewików w stosunku do ludności polskiej. Dopuszczalne są oczywiście akty, które są konieczne dla ochrony samej organizacji (akcja odwetowa)"[6].

Niewątpliwie jednak to właśnie celowo ograniczana przez dowództwa akcja czynna stanowiła najbardziej widoczny przejaw działalności podziemnej, budziła też żywe zainteresowanie społeczeństwa i podtrzymywała w nim nadzieje na odzyskanie niepodległości. Nic dziwnego, że już w 1940 r. powstał zupełnie osobny pion Związku Walki Zbrojnej – Związek Odwetu – zajmujący się koordynacją walki czynnej. Rok później akcję dywersyjną rozszerzono o tereny wschodnie, obejmując je działaniami tzw. Wachlarza. Obie te struktury połączone zostały, już po powstaniu Armii Krajowej, w Kierownictwo Dywersji, a stąd niedaleko było do rozpoczęcia na ograniczoną skalę akcji partyzanckiej.

Podziemne wojsko, partyjne „wojskówki"

O ile stosunkowo sprawnie następowało wchłanianie przez SZP-ZWZ-AK innych niepodległościowych organizacji konspiracyjnych opierających się na modelach wojskowych lub też kierowanych przez dawnych zawodowych oficerów, o tyle pewne trudności następowały przy próbach scalenia z podziemnym wojskiem bojówek partyjnych. Największe pozostające w konspiracji partie polityczne nie tylko współtworzyły krajową reprezentację polityczną i angażowały się w budowę pionu cywilnego podziemia, ale także dużą aktywność przejawiały na polu organizacji tzw. wojskówek. Wykorzystywano je bowiem w celu zapewnienia ochrony strukturom partyjnym, a z czasem angażowano także w działania porządkowe zlecone przez cywilną część podziemnego wymiaru sprawiedliwości.

Scalanie zmilitaryzowanych struktur partyjnych następowało od początku z pewnymi oporami, było procesem długotrwałym i konfliktogennym. Chyba najsprawniej w struktury ZWZ, a następnie AK udało się włączyć Gwardię Ludową Polskiej Partii Socjalistycznej (posługującej się konspiracyjną nazwą Wolność, Równość, Niepodległość). Jej scalenie z pionem wojskowym Polskiego Państwa Podziemnego zapoczątkowano już w 1941 r., jednak struktury socjalistów przekazywane były stopniowo, zachowywały też autonomię i nazwę. Socjaliści, pozostając do końca wojny lojalni wobec ZWZ-AK, część swoich oddziałów zachowali do wyłącznej dyspozycji partii w postaci tzw. Milicji Robotniczej PPS-WRN. W podobny sposób postąpili ludowcy z konspiracyjnego Stronnictwa Ludowego „Roch", którzy w maju 1943 r. podpisali wprawdzie umowę scalającą ich Bataliony Chłopskie (do 1941 r. Straż Chłopską – czyli tzw. Chłostrę) z AK, ale na potrzeby partyjne wyodrębnili z niej dobrze wyposażone, kadrowe oddziały Ludowej Straży Bezpieczeństwa. Stąd też w wielu mel- ▶

Komendant Sił Zbrojnych
w Kraju

7

ROZKAZ Nr. 74

Scalenie wysiłków wojskowych w Kraju

Od dłuższego czasu prowadzę akcję scalania organizacyj wojskowych, działających na terenie Kraju, gdyż zespolenie wszystkich wysiłków da nam potrzebną siłę i zapewni zwycięstwo nad wrogiem. Akcję tę podjąłem na podstawie oceny sytuacji, która nasunęła konieczność scementowania tych poczynań i prowadzę ją całkowicie po linii zamierzeń Naczelnego Wodza i zgodnie z Jego rozkazami.

Oto wyciągi z rozkazów N.W.:

I. Rozk. Nr. 2926-41 z dn. 3.IX.41 r. „1) Wobec tej sytuacji najistotniejszym czynnikiem w przyszłej walce o odzyskanie niepodległości Polski jest organizacja wojskowa w Kraju, którą uważam za główną część dowodzonych przeze mnie Sił Zbrojnych, 2) By armia przygotowana konspiracyjnie w Kraju stała się tym czynnikiem siły w odpowiedniej chwili, pracę wojskowo-organizacyjną musi zespolić wszystkie wysiłki, jakie w tym zakresie na terenie Kraju istnieją. Jest to najpilniejsze zadanie".

II. Rozk. Nr. 927-42 z dn. 14.II.42 r. „Znoszę dla użytku zewnętrznego nazwę ZWZ. Wszyscy żołnierze w czynnej służbie wojskowej w Kraju stanowią „Armię Krajową", podległą Panu Generałowi, jako jej dowódcy".

III. Rozk. N.W. i M. S. Wojsk. Nr. 3326-42 z dn. 15.VIII.42 r. „1) Wszystkie organizacje wojskowe istniejące na terenie Kraju i których celem jest współdziałanie w walce z nplem lub w pomocniczej służbie wojskowej, podporządkowuję Dowódcy Armii Krajowej. 2) Zależnie od charakteru organizacji Dowódca Armii Krajowej a) albo zarządza całkowite lub częściowe wcielenie organizacji do Armii Krajowej, b) albo pozostawia ich dotychczasowy charakter, określając stopień podporządkowania. 3) D-ca Armii Krajowej zapewni organizacjom tym wszelką pomoc i środki konieczne do wykonywania powierzonych im zadań o charakterze wojskowym, a to: uzbrojenie, zaopatrzenie materiałowe, pieniężne itp. w ilościach ustalonych przez niego i przy uwzględnieniu jego możliwości. 4) W skład organizacyj niewcielonych do Armii Krajowej mogą wchodzić żołnierze Armii Krajowej tylko za specjalnym zezwoleniem D-cy Armii Krajowej. 5) Organizacje wojskowe, uchylające się od podporządkowania D-cy Armii Krajowej, nie będą uznane przez władze polskie. Udział żołnierzy Armii Krajowej w takich organizacjach jest zakazany. 6) Żołnierze Armii Krajowej, którzy — mimo zakazu — będą nadal należeli do nieuznanych przez D-cę Armii Krajowej organizacyj wojskowych, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności sądowo-karnej".

Z rozkazów Naczelnego Wodza wynika więc jasno, że na terenie Kraju jedynie Armia konspiracyjna dowodzona przeze mnie stanowi część Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, że w mej konsolidacyjnej działalności posiadam całkowite i wyłączne pełnomocnictwo i że zarządzenia moje w tym względzie są obowiązujące. Odmienne przedstawienie powyższej sprawy przez postronne czynniki jest niemiarodajne, idzie wbrew zamierzeniom Naczelnego Wodza i zmierza ku jakimś innym celom, niezwiązanym z założeniami ogólno-państwowymi.

Stwierdzam, że mimo rozkazów N.W. i moich wysiłków ciągle jeszcze istnieją organizacje paramilitarne, separujące się lub opozycyjne. Niektóre z organizacyj politycznych, pod płaszczem pracy ideowo-wychowawczej usiłują prowadzić robotę wojskową — jak o tym świadczą ujawnione rozkazy i programy — której celem służba nie Rzeczypospolitej lecz partii. W bezwzględnym dążeniu do partyjnego celu organizacje tego typu nie wahają się chwytać wysoce szkodliwych metod, jak próby utrudniania konsolidacyjnej pracy Sił Zbr. w Kraju, jak szerzenie wersyj, że ugrupowanie wojskowe danego stronnictwa politycznego jest właśnie uznaną przez N.W. częścią Sił Zbrojnych w Kraju, bądź też, że na podstawie porozumienia z K-dą Sił Zbrojnych w Kraju ich ugrupowanie ma pozostać obok Sił Zbrojnych jako autonomiczna organizacja wojskowa.

Powyższe wersje i sugestie określam jako fałszywe. Wypływają one z niezdrowych ambicyj poszczególnych ludzi czy ugrupowań, nacechowanych dążeniem do osiągnięcia własnego celu bez względu na szkody dla całości przygotowań czynu zbrojnego.

Dla usunięcia jakichkolwiek wątpliwości zaznaczam, że wyłącznie moim uprawnieniem jest dokonywanie wcielenia organizacyj paramilitarnych w szeregi Sił Zbrojnych w Kraju, wyłącznie do mnie należy określenie stopnia wcielenia czy podporządkowania. Wstępne rozmowy co do przeprowadzenia podporządkowania nieuprawniają do wysuwania wniosku, że dana organizacja jest już częścią składową Sił Zbrojnych. Wejście w skład Sił Zbr. określam każdorazowo swoim wyraźnym rozkazem.

Stwierdzam, że żołnierze znajdujący się w Kraju podlegają moim rozkazom. Wszystkim, należącym do jakichkolwiek organizacyj o charakterze wojskowym, polecam, aby upewnili się, czy dana organizacja jest przeze mnie uznana i czy wchodzi w skład Sił Zbrojnych, podlegających moim rozkazom. Zakazuję żołnierzom należenia do organizacyj wojskowych nieuznanych przeze mnie.

Właściwi komendanci okażą niniejszy rozkaz osobom niezorientowanym lub wprowadzonym w błąd, celem wyjaśnienia istotnego stanu rzeczy.

Rozkaz niniejszy wydaję aby w sposób autorytatywny wyjaśnić stan rzeczy istniejący na odcinku podziemnej pracy wojskowej.

KOMENDANT SIŁ ZBROJNYCH W KRAJU

GROT

listopad 1942 r.





Fot. Archiwum Akt Nowych



Konferencja prasowa Naczelnego Wodza gen. Tadeusz Bora-Komorowskiego (drugi od lewej), Londyn, maj 1945 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

dunkach płynących z kraju lokalni dowódcy AK narzekali, że z BCh przechodzi do nich wprawdzie wielu ludzi, są oni jednak bardzo słabo wyszkoleni i właściwie bezbronni. W związku z tym jeszcze większe napięcia wywoływały sytuacje, kiedy na danym terenie zrywano umowy scaleniowe i dawni bechowcy opuszczali szeregi AK – tym razem już z bronią, amunicją i w mundurach, których nie zamierzali oddawać.

Do tarć dochodziło też w kwestii obsady struktur dowódczych, gdzie zwykle miejscowy komendant BCh stawał się zastępcą już piastującego to stanowisko komendanta z ramienia AK. Odpowiedni podział stanowisk następował też na wyższych szczeblach, gdzie na przykład komendant główny BCh płk. Franciszek Kamiński objął funkcję szefa Oddziału I (Organizacyjnego) KG AK. Na tej samej zasadzie stanowisko inspektora KG AK otrzymał ppłk Józef Rokicki, komendant Narodowej Organizacji Wojskowej (wojskówki Stronnictwa Narodowego) scalonej z AK na mocy umowy z listopada 1942 r. Nie wszyscy narodowcy podporządkowali się jednak decyzji o połączeniu z podziemnym wojskiem i pozostali poza jego strukturami, tworząc Narodowe Siły Zbrojne. Późniejsze próby podporządkowania AK również tej organizacji nie przyniosły spodziewanych rezultatów i istotna część NSZ pozostała do końca wojny poza pionem wojskowym Polskiego Państwa Podziemnego.

Niejawna wspólnota

Mimo wywodzenia się z wielu różnych grup społecznych i odmiennych doświadczeń życiowych osób przystępujących do SZP-ZWZ-AK, struktury wojskowe podziemia miały mieć charakter egalitarny. W jednej z pierwszych instrukcji wysłanych do kraju gen. Sosnkowski stwierdzał jasno: „Przy rekrutowaniu członków i w toku pracy organizacyjnej nie ma środowisk uprzywilejowanych. Obowiązuje w tym zakresie na terenie kraju równość startu i równość praw dla wszystkich stronnictw czy też ugrupowań społecznych i ideowych, działających pod określoną egidą polityczną”[7]. Związek Walki Zbrojnej, a następnie Armia Krajowa miały być więc z zasady ponadpartyjne i apolityczne, a ludzi w nich służących scalać miała idea walki z okupantem o wolność Polski.

Elementem spajającym podziemne wojsko miała być też zredagowana po raz pierwszy już w 1939 r. przysięga organizacyjna, w której kandydat wstępujący do konspiracji „w obliczu Boga Wszechmogącego” deklarował stanie na straży honoru Polski i walkę ze wszystkich sił o jej wyzwolenie. Opracowując jej rotę, pomyślano też o innowiercach, zwalniając ich z religijnej części treści przysięgi i z obowiązku przysięgania „na krzyż”. Członkiem ZWZ lub żołnierzem AK zostawało się dobrowolnie, ze świadomością wszystkich konsekwencji i wynikających z tego faktu obowiązków. Wystąpienie z konspiracji było wprawdzie możliwe za zgodą przełożonych, ale raz powierzone tajemnice musiały zostać zachowane niezależnie od okoliczności. Przyjmujący do organizacji stanowczo podkreślał: „Zwycięstwo będzie Twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią”[8].

Chociaż wielu wstępujących do podziemia szeregowych konspiratorów nie wiedziało nawet, jaką nazwę nosi organizacja, z którą się oni wiążą, to charakter funkcjonowania ZWZ, a później AK sprawiał, że czuli się od początku częścią najważniejszego ruchu podziemnego w okupowanej Polsce. Ta świadomość była niezwykle ważna. W maju 1940 r., w pierwszym sprawozdaniu półrocznym z działalności ZWZ, pisano: „Siłę istotną organizacji stanowi przede wszystkim moc duchowa społeczeństwa polskiego”[9]. Jak się miało okazać, moc ta towarzyszyła podziemnemu wojsku i jego żołnierzom nieprzerwanie do końca wojny. ■

DAWID GOLIK doktor historii, politolog, pracownik Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie, gdzie zajmuje się poszukiwaniami i identyfikacją ofiar zbrodni totalitarnych. Specjalizuje się w historii polskiego podziemia niepodległościowego w latach 1939–1956. Autor monografii *Partyzanci „Lamparta”. Historia IV batalionu 1. pułku strzelców podhalańskich AK oraz Wrzesień 1939 w dolinie Dunajca. Bój graniczny i walki nad górnym Dunajcem między 1 a 6 września 1939 roku*.

[1] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 1, cz. 1: Wrzesień 1939 – czerwiec 1941, Warszawa 2015, s. 100. [2] M. Ney-Krwawicz, *Dowódcy Armii Krajowej*, Warszawa 2009, s. 43. [3] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 1, cz. 1: Wrzesień 1939 – czerwiec 1941, Warszawa 2015, s. 91. [4] Tamże, s. 92. [5] Tamże, s. 176. [6] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 1, cz. 2: Wrzesień 1939 – czerwiec 1941, Warszawa 2015, s. 584. [7] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 1, cz. 1: Wrzesień 1939 – czerwiec 1941, Warszawa 2015, s. 75. [8] Tamże, s. 93. [9] Tamże, s. 380.



WIELKA LISTA WROGÓW RZESZY

Specjalna księga gończa dla Polski miała pomóc niemieckim służbom w wyłapaniu wrogów Rzeszy i zaprowadzeniu na zagarniętych ziemiach nowego ładu. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że to publikacja chaotyczna, tworzona w pośpiechu i bez jasnych kryteriów – przekonuje dr hab. Grzegorz Bębnik z IPN w Katowicach, który opracował polskie wydanie unikatowego dokumentu.



Poszukiwany przez Niemców polski konsul Leon Malhomme. Na zdjęciu w towarzystwie żony na przejażdżce konnej przed wojną.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/koloryzacja Mirosław Szponar

Czym była Sonderfahndungsbuch Polen, czyli Specjalna księga gończa dla Polski?

W największym skrócie: to spis osób podejrzewanych o działalność wrogą wobec III Rzeszy, a także zwykłych kryminalistów. Został on stworzony na potrzeby niemieckich służb w okupowanej Polsce.

A przy okazji zadaje kłam obiegowej opinii o ich rzetelności, doskonałej organizacji, skrupulatności. Tak przynajmniej stwierdził Pan w jednym z wywiadów.

Bo to publikacja niechlujna, chaotyczna, stworzona naprędce i niestarannie. Już pobieżny jej ogląd wystarczy, by stwierdzić, że była redagowana przez ludzi, którzy nie znają języka polskiego, często na podstawie odręcznych notatek. W imionach, nazwiskach i nazwach miejscowości roi się od oczywistych błędów. Te ostatnie w dodatku zamiast w mianowniku, nagminnie podawane są w miejscowniku. Na przykład w adnotacjach dotyczących miejsca urodzenia pojawiają się formy „Olkuszu", „Krakowie", „Warszawie". Można odnieść wrażenie, że urzędnicy słowo w słowo przepisywali ustępy z przejętych od Polaków kartotek. W przypadku wielu osób dane są niepełne. Jakby Niemcy klecili spis z tego, co akurat mają pod ręką.

Niemcy musieli się bardzo spieszyć.

Niewątpliwie tak. Decyzja o stworzeniu księgi zapadła 23 października 1939 r., podczas narady w gabinecie szefa gestapo Heinricha Müllera. Najpewniej apelowali o to dowódcy grup operacyjnych niemieckiej policji bezpieczeństwa, którzy w ślad za Wehrmachtem wkroczyli na terytorium Polski. Mieli tam zaprowadzić „porządek", tymczasem szybko zaczęli poruszać się trochę na oślep. Lista proskrypcyjna, którą dysponowali, okazała się niewystarczająca. Dlatego też Müller wydał podwładnym polecenie, by do początków grudnia zgromadzili dane niezbędne do stworzenia nowego spisu osób poszukiwanych. Do początków grudnia! Przecież takiego zadania nie sposób wykonać w nieco ponad miesiąc. Choć więc brakuje na to materialnych dowodów, zakładam, że termin ten był kilkakrotnie przekładany. Ostatecznie księga była najpewniej gotowa w pierwszej połowie 1940 r. Ale i tak efekt był daleki od ideału.



GRZEGORZ BĘBNIK
doktor habilitowany, historyk, politolog, socjolog. Pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach. Autor licznych publikacji na temat Górnego Śląska w XIX i XX w., między innymi książek *Sokoły kapitana Ebbinghausa. Sonderformation Ebbinghaus w działaniach wojennych na Górnym Śląsku*; *Wrzesień 1939 r. w Katowicach*; *W stronę wojny. Gliwice 1939*.



A przecież wydaje się, że Niemcy w sporządzaniu takich wykazów musieli mieć wprawę?

Tak mogłoby się wydawać. Księgi poszukiwanych to właśnie wynalazek niemiecki. Pierwsze tego typu publikacje pojawiły się w początkach XIX w., kiedy kraj był jeszcze podzielony na mnóstwo odrębnych państewek i wolnych miast. Wraz z nastaniem epoki napoleońskiej codziennością stało się migrowanie pomiędzy nimi, a społeczną ruchliwość dodatkowo jeszcze wzmógł późniejszy rozwój przemysłu. Ludzie podróżowali, by schronić się przed wojną i za pracą. A wraz z szacownymi obywatelami przemieszczali się wszelkiej maści przestępcy. Czasem wystarczyło im kilka godzin, by opuścić terytorium swojego państwa i rozpłynąć się w tłumie. Dlatego niemieckie policje zawierały porozumienia ponad granicami i tworzyły tzw. listy włóczęgów. Na ich podstawie można było namierzyć i zidentyfikować delikwentów podejrzanych o zakłócanie publicznego ładu, a następnie odstawić ich przed oblicze sądu. Zestawienia listów gończych dojrzalszą formę przybrały po 1871 r., kiedy doszło do zjednoczenia Niemiec. Jednak dopiero w 1938 r. listy gończe z całego kraju spięto w jednolitą całość [zebrano w jeden dokument; nadano im jednolitą formę – przyp. ŁZ]. Wkrótce też zasięgiem objęły one także włączoną do Rzeszy Austrię. Powstały wówczas dwie księgi: Niemiecka księga poszukiwawcza oraz Lista pomagająca w ustaleniu miejsca pobytu. Pierwsza zawierała dane osób ściganych za rozmaite przestępstwa, druga przede wszystkim personalia zaginionych.

ODRĘBNA LISTA PROSKRYPCYJNA POWSTAŁA, RZECZ JASNA, RÓWNIEŻ Z MYŚLĄ O POLSCE, CHOĆ DO DZIŚ NIE UDAŁO SIĘ HISTORYKOM ODNALEŹĆ ŻADNEGO JEJ EGZEMPLARZA.

A czy pierwsza z ksiąg obejmowała też osoby poszukiwane z powodów politycznych?

Zasadniczo tak. Potem pomysł ten był powielany podczas tworzenia specjalnych list i ksiąg gończych. Trafiały one do rąk policyjnych grup operacyjnych, które w ślad za Wehrmachtem wkraczały do Austrii, Czechosłowacji, ZSRS i Jugosławii. Niemcy mieli listę proskrypcyjną dotyczącą Wielkiej Brytanii, stosowny spis przygotowali przed inwazją na Francję i kraje Beneluksu. Obejmował on także Szwajcarię i Liechtenstein, czyli państwa, z którymi ostatecznie wojny nie toczyli. Jak jednak widać, zakładali taką możliwość. Odrębna lista proskrypcyjna powstała, rzecz jasna, również z myślą o Polsce, choć do dziś nie udało się historykom odnaleźć żadnego jej egzemplarza. Ale publikacja istniała ponad wszelką wątpliwość, jest bowiem wielokrotnie wspominana w niemieckich rozkazach i korespondencji z tamtego czasu.

Kiedy rozpoczęło się jej tworzenie?

W pierwszej połowie 1939 r. W lutym Adolf Hitler ostatecznie zdecydował, że uderzy na Polskę. Przygotowania do wojny nabrały tempa jednak dopiero w kwietniu, już po wypowiedzeniu przez Niemcy deklaracji o niesto-



Umieszczony na liście wicewojewoda śląski Tadeusz Saloni. Uwieczniony na fotografii, gdy składał wieniec na płycie pomnika Nieznanego Powstańca Śląskiego w 1937 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

sowaniu przemocy we wzajemnych stosunkach. Miesiąc później w głównym urzędzie SD, czyli nazistowskiej służby bezpieczeństwa, została powołana Centralna Placówka II P. Zajęła się ona gromadzeniem danych tych Polaków, którzy z różnych względów mogli się okazać niewygodni i niebezpieczni dla Rzeszy.

W jaki sposób informacje były kompletowane?

Pochodziły one z bardzo różnych źródeł. Przede wszystkim od agentów niemieckiego wywiadu, ale też z kręgów dyplomatycznych: ambasad, konsulatów, wreszcie – od tych przedstawicieli mniejszości niemieckiej, którzy zdecydowali się na współpracę z nazistami. Warto zaznaczyć, że Niemcy mieszkający w Polsce często z własnej inicjatywy tworzyli lokalne listy proskrypcyjne, które już po wybuchu wojny przekazywali przedstawicielom nowej administracji i niemieckich służb. Ale to dwie różne sprawy, których nie należy ze sobą mieszać.

Kto trafiał na listy proskrypcyjne?

Niemców bardzo mocno interesowali pracownicy tzw. Dwójki, czyli polskiego wywiadu i kontrwywiadu. Do tego dochodzili dawni powstańcy wielkopolscy i śląscy, działacze plebiscytowi, członkowie takich organizacji jak choćby Związek Obrony Kresów Zachodnich. Słowem: wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, którzy byli zamieszani – jak to formułowali naziści – w antyniemieckie ekscesy. Czasami jednak na listy proskrypcyjne trafiały osoby zupełnie przypadkowe. Zdarzało się, że członkowie mniejszości wskazywali SD swoich osobistych wrogów, nierzadko też posiłkowali się plotkami, pogłoskami, własnymi błędnymi wyobrażeniami.

Czy wpisanie na listę było równoznaczne z wyrokiem śmierci?

Niekoniecznie. Zdarzało się, że takie osoby rozstrzeliwano na miejscu, częściej jednak trafiały one do odpowiedniej placówki gestapo. Potem mogły zostać wysłane do więzienia, obozu, z czasem oczywiście także na szubienicę lub przed pluton egzekucyjny. O dziwo, zdarzały się jednak przypadki, że były wypuszczane na wolność i obejmowane rodzajem policyjnego dozoru. Wiele zależało od indywidualnej decyzji niemieckich funkcjonariuszy, którzy prowadzili daną sprawę.

A jak długa była owa lista i kto z niej korzystał?

Zakładam, że mogła zawierać kilka tysięcy nazwisk. Musiała mieć formę zwartego druku, a nakład wynosił co najmniej kilkaset egzemplarzy. Na pewno korzystały z niej grupy operacyjne policji bezpieczeństwa, tzw. Einsatzgruppen, ale też funkcjonariusze z komend powiatowych niemieckiej policji na Górnym Śląsku. Oczywiście raz jeszcze należy zastrzec, że cała nasza wiedza na temat tego właśnie spisu i losów ludzi, którzy się na nim znaleźli, pochodzi z innych dokumentów. W wielu przypadkach skazani jesteśmy na spekulacje, domysły i teorie budowane na podstawie pewnych prawidłowości. Do tej pory bowiem nikomu nie udało się trafić na choćby jeden egzemplarz tego wydawnictwa.

Aż trudno w to uwierzyć...

Ale to prawda. Większość egzemplarzy została zapewne zniszczona na mocy decyzji o wycofaniu dokumentu z użycia. A stało się tak, ponieważ przygotowaną jeszcze przed wojną listę proskrypcyjną Niemcy zastąpili Specjalną księgą gończą dla Polski. Przedstawiciele służb już po wkroczeniu do Polski doszli do wniosku, że stary spis nie spełnia swojej funkcji. Część figurujących na nim osób została wyłapana, a jednocześnie Niemcy przez cały czas pozyskiwali informacje o nowych wrogach Rzeszy. W sporej części pochodziły one ze wspomnianych już lokalnych list proskrypcyjnych przygotowywanych przez członków mniejszości niemieckiej. Na tym jednak nie koniec. We wrześniu 1939 r., w miarę zbliżania się frontu dyrektorzy polskich zakładów karnych często decydowali się na otwieranie cel i wypuszczanie więźniów. Nie chcieli, by skazani trafili w ręce Niemców. W ten sposób na wolności znalazła się spora grupa pospolitych kryminalistów, którzy ponownie zaczęli robić to, co umieli. Kradli ▶



i organizowali napady. Dla niemieckich władz okupacyjnych to także był problem.

Oni również trafili do księgi?

Tak, można ich łatwo rozpoznać po umieszczonych przy nazwiskach literkach EG, z niemieckiego *entlassener Gefangener*, czyli zwolniony więzień. Poza tym ich dane są zazwyczaj pełne, ponieważ spisano je z dokumentów przejętych w zakładach karnych. Więźniowie, którzy wraz z wybuchem wojny odzyskali wolność, stanowią blisko 40 procent z 8,8 tysiąca osób, które figurują na liście. Choć zastrzec przy tym trzeba, że mimo oznaczenia nie wszyscy z nich to pospolici kryminaliści. W tej kategorii znaleźli się także komuniści. Pozostałe wpisy – tak jak w przypadku wcześniejszej listy proskrypcyjnej – dotyczą agentów polskich służb, działaczy niepodległościowych i przedstawicieli administracji znanych z antyniemieckiej postawy.

Przy każdym z nazwisk widnieją oznaczenia, z których wynika, co z takim człowiekiem po zatrzymaniu zrobić. Generalnie możliwe były dwa rozwiązania. Część zatrzymanych miała niezwłocznie trafić do najbliższej placówki policji politycznej, czyli gestapo, po czym w areszcie oczekiwać na decyzję o ewentualnym przekazaniu nadrzędnym instancjom. W przypadku pozostałych droga wiodła poprzez najbliżej położoną siedzibę policji prosto do odpowiedniego wydziału gestapo. Schwytaną osobę należało niezwłocznie wykreślić z księgi.

Spis liczył blisko 200 stron. Przeważały w nim nazwiska osób z terenów wcielonych do Rzeszy, czyli Wielkopolski (3 tysiące), Pomorza (2 tysiące) oraz Górnego Śląska (1,2 tysiąca). Zostały one ułożone w porządku fonetyczno-alfabetycznym. Obok siebie autorzy zamieścili na przykład nazwiska na „S” i „Cz”, ponieważ ten polski dyftong Niemcy często odczytują jako „Sz”. Po nazwiskach na „F” znalazły się te na „V”. Chodziło o to, by osoby nieznające języka polskiego mogły sprawniej identyfikować zatrzymanych. W księdze jest sporo wolnego miejsca na kolejne wpisy. Jej użytkownicy mogli ją uzupełniać spływającymi z centrali wklejkami.

Były tam znane nazwiska?

Trochę ich było. Przede wszystkim Władysław Raczkiewicz, który w 1939 r. został prezydentem RP na uchodźstwie. Tyle że w księdze gończej figuruje on jako wojewoda pomorski. Urząd ten pełnił do czasu wybuchu wojny. Na listę trafili wojewoda wołyński Aleksander Hauke-Nowak oraz dwóch wicewojewodów śląskich Tadeusz Saloni i Leon Malhomme. Do tego doszło kilku generałów, w tym Wilhelm Orlik-Rückemann, dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza. Wśród komunistów natrafiłem na Stefana Wierbłowskiego, który po wojnie przez dwie dekady był członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, oraz Alfreda Lampe, członka Związku Patriotów Polskich. Analizując listę pod tym kątem, po raz kolejny można dojść do wniosku, że Niemcy działali chaotycznie. Długo zastanawiałem się na przykład, dlaczego trafiło na nią dwóch śląskich wicewojewodów, a nie ma tam ich szefa Michała Grażyńskiego, który przed wojną stał się wręcz symbolem antyniemieckiej postawy. Doszedłem do wniosku, że Niemcy nie wzięli go pod uwagę, ponieważ musieli wiedzieć, że Grażyński jest już za granicą. Donosiły o tym przecież wydawane na Zachodzie media. Jednocześnie trudno przypuszczać, by autorzy książki przeoczyli, co w chwili jej tworzenia robił Raczkiewicz. Inna ciekawa sprawa to obecność na liście Leona Malhomme. Kiedy Niemcy wpisywali go na listę, był już w rękach NKWD.

INOFRMACJE POCHODZIŁY Z BARDZO RÓŻNYCH ŹRÓDEŁ. PRZEDE WSZYSTKIM OD AGENTÓW NIEMIECKIEGO WYWIADU, ALE TEŻ Z KRĘGÓW DYPLOMATYCZNYCH.

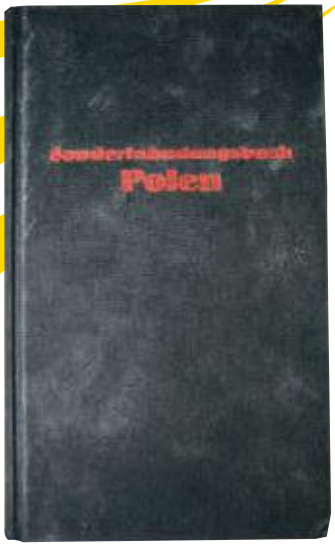

Reprint przygotowany na podstawie egzemplarza Sonderfahndungsbuch Polen. Wyd. Instytut Pamięci Narodowej, Katowice-Warszawa 2019

Niemcy o tym nie wiedzieli?

Z całą pewnością nie. Malhomme nie był wyjątkiem. W księdze mamy plejadę osób, które jeszcze w 1939 r. wpadły w ręce sowieckich służb, a kilka miesięcy później spoczywały już w zbiorowych mogiłach w Katyniu, Bykowni i Miednoje. Współpraca pomiędzy NKWD a gestapo z pewnością istniała. Zawartość Sonderfahndungsbuch Polen do-

wodzi jednak, że niekoniecznie musiała ona obejmować wymianę informacji na temat poszukiwanych.

Tymczasem Polacy trafiali nie tylko na listy polskie. Można ich odnaleźć także w spisach dla Francji i Beneluksu oraz Wielkiej Brytanii. Łącznie to kilkaset nazwisk.

Emigranci zarobkowi?

Nie. W tamtejszych księgach znalazły się między innymi nazwiska polityków i wojskowych, którzy po wrześniowej klęsce przedostali się na zachód Europy. Są tam na przykład premier Władysław Sikorski, gen. Józef Haller, kilku członków Rady Narodowej RP, która stanowiła organ konsultacyjny dla rządu i prezydenta na uchodźstwie. Na liście brytyjskiej znalazł się też wspomniany wcześniej Raczkiewicz. Jednak to zaledwie kilkanaście nazwisk. Znacznie więcej poszukiwanych to osoby związane z wywiadem i kontrwywiadem – tak jak w przypadku polskich list proskrypcyjnych. Każde z tych nazwisk opatrzone było sygnaturą III C. Oznaczała ona wydział Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, który zajmował się sprawami polskimi. W razie schwytania poszukiwani mieli być przekazani funkcjonariuszom tego wydziału.

Wróćmy jednak do Sonderfahndungsbuch Polen. Dokąd trafiały poszczególne egzemplarze księgi? Były na każdym posterunku policji?

Aż tak to nie. Na pewno księga znajdowała się w wyposażeniu posterunków policji w powiatach i miastach na prawach powiatu. Ale trzeba tu wyraźnie zastrzec, że mogli z niej korzystać wyłącznie funkcjonariusze niemieccy. SD wydało zalecenie, by spisu pod żadnym pozorem nie udostępniać pracownikom tzw. granatowej policji. Niemcy mieli świadomość, że część z nich współpracuje z polskim podziemiem. Te osoby mogły ostrzec poszukiwanych. Tu jednak rodził się istotny problem. Szefowie polskiej policji tłumaczyli swoim niemieckim zwierzchnikom, że obostrzenia utrudniają im weryfikowanie danych nawet pospolitych przestępców. Niemcy musieli coś z tym zrobić. I dlatego w połowie 1940 r. ukazała się odrębna dwujęzyczna publikacja nazwana Książką inwigilacyjną dla Polski. Złożył się na nią wyciąg nazwisk z Sonderfahndungsbuch Polen. Zawarte w niej dane dotyczyły jednak wyłącznie sprawców pospolitych przestępstw.

Z jakim skutkiem Niemcy ścigali osoby z listy?

To wymaga szczegółowych badań, można jednak założyć, że z bardzo różnym. Autorzy księgi nie ułatwiali im bowiem zadania. Spis, jak już wspomniałem, sporządzono byle jak. Zdarzały się więc przypadki kuriozalne. Kolega, który zajmuje się historią rejencji ciechanowskiej włączonej do Prus Wschodnich, podesłał mi kiedyś dokumenty dotyczące dwóch mężczyzn zatrzymanych na przejściu granicznym pomiędzy Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem. Obydwaj mieli figurować w księdze, ale nawet z niemieckiego punktu widzenia trudno ich było uznać za postaci znaczące. Jeden z poszukiwanych na przykład należał niegdyś do Związku Młodej Polski, czyli młodzieżówki Obozu Zjednoczenia Narodowego. Ponoć jeszcze przed wojną w Grudziądzu głośno pouczał pewnego Niemca, że nie powinien używać na ulicy ojczystego języka. Fakt ten został skrzętnie odnotowany przez niemiecki konsulat w Toruniu i w stosownej chwili przypomniany.

Mężczyźni trafili pod klucz. Ale Niemcy nijak nie mogli potwierdzić, że zatrzymani to właśnie osoby z księgi. Nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić. W końcu... puścili ich wolno. Ale oczywiście nie zawsze podobne historie kończyły się w taki właśnie sposób. Wiele osób wpis na listę proskrypcyjną przypłaciło życiem, więzieniem, zsyłką do obozu koncentracyjnego. Śmiało można przyjąć, że za większością wpisów kryją się ludzkie dramaty, których finał był tragiczny.

Pierwsza lista proskrypcyjna nie zachowała się. A jak Pan trafił na drugie wydawnictwo?

Zacznijmy od tego, że w Polsce mamy obecnie trzy egzemplarze tego wydawnictwa. Jeden znajduje się w Bibliotece Śląskiej w Katowicach, drugi w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Nasz jest trzeci. Znaleźliśmy go, porządkując dawną siedzibę Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Istnieje jeszcze fotokopia czwartego egzemplarza przechowywana w poznańskim Instytucie Zachodnim. W opracowaniach historycznych wzmianki o Specjalnej księdze gończej dla Polski pojawiły się już w latach pięćdziesiątych. Do dziś jednak jest ona często mylona z listą proskrypcyjną, z której Niemcy korzystali, wkraczając na ziemie polskie. Uznaliśmy więc, że nasz egzemplarz warto opracować, opatrzyć wstępem i wydać. Być może publikacja pomoże w wyjaśnieniu wielu niewiadomych, które wiążą się z tematem niemieckich represji.

Dużo jest tych białych plam?

Mnóstwo! Mamy nadzieję, że księga dotrze do bliskich tych osób, które w niej figurują, a których losów nie znamy. I że w ten sposób czegoś się o nich dowiemy. Być może na podstawie pozyskanych w ten sposób informacji będziemy w stanie wzbogacić wiedzę na temat kryteriów, którymi kierowali się Niemcy przy sporządzaniu list proskrypcyjnych. Może też będziemy się w stanie dowiedzieć czegoś jeszcze o aparacie terroru, który stworzyli.

Przede wszystkim jednak ciągle liczę, że kiedyś w końcu znajdzie się jakiś egzemplarz pierwszej księgi gończej. Byłaby to absolutna naukowa sensacja. ■

Rozmawiał Łukasz Zalesiński

Zajrzeć do piekła

Szacuje się, że w latach 1939–1945 straty śmiertelne obywateli polskich pod okupacją niemiecką wyniosły około pięciu i pół miliona ludzi, w tym około dwóch milionów ośmiuset tysięcy obywateli pochodzenia żydowskiego.

BOGUSŁAW KOPKA

Głównodowodzący wojsk alianckich w Europie Zachodniej, amerykański generał Dwight D. Eisenhower, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, po wizycie w leżącym nieopodal Weimaru Buchenwaldzie kazał udokumentować na taśmie filmowej prawdę o niemieckich obozach koncentracyjnych. Obiecał wtedy publicznie, że osoby winne zbrodni poniosą zasłużoną karę. W ramach reedukacji niemieckich cywilów, którzy mieszkali w pobliżu miejsc kaźni, Eisenhower nakazał przymusowe zwiedzanie obozów. *Niemieckie obozy koncentracyjne. Stan faktyczny* – tak miał się nazywać pełnometrażowy dokument o wyzwalanych w 1945 r. obozach. Nie został zrealizowany do końca. Odbudowa ze zniszczeń wojennych Europy była priorytetem. Film miał być ukończony później. Zachowały się jednak do dnia dzisiejszego fragmenty wstrząsających obrazów z kronik filmowych ze stosami szkieletów ludzkich zwłok. Jeden z operatorów powiedział, że miał wrażenie, iż zajrzał do piekła. Fragmenty tego filmu wykorzystano w pierwszym procesie sądowym narodowosocjalistycznych przywódców III Rzeszy, który toczył się w latach 1945–1946 w Norymberdze. Dowody materialne w formie kronik filmowych i zeznania ofiar o niemieckich obozach przyczyniły się zasadniczo do sformułowania przez amerykańskiego prokuratora Roberta H. Jacksona aktu oskarżenia przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym, których udało się postawić przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym. Trybunał uznał zbrodnie popełnione w niemieckich obozach koncentracyjnych za nieulegające przedawnieniu zbrodnie przeciw ludzkości.



Delegacja chłopów z Inowłodza u prezydenta RP Ignacego Mościckiego przebywającego w Spale. Pierwszy z lewej ojciec Maksymilian Maria Kolbe. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Obozy w Polsce

Po wybuchu 1 września 1939 r. II wojny światowej Niemcy na ziemiach polskich wybudowali największą w okupowanej Europie sieć obozów koncentracyjnych służących zagładzie Polaków i Żydów. Przetrzymywani w nich byli również sowieccy jeńcy wojenni, a od 1943 r. także jeńcy włoscy. Szacuje się, że w latach 1939–1945 pod okupacją niemiecką śmierć poniosło łącznie około pięciu i pół miliona obywateli polskich, w tym około dwóch milionów ośmiuset tysięcy obywateli pochodzenia żydowskiego. Większość polskich Żydów zginęła w obozach koncentracyjnych i ośrodkach zagłady. Polska podczas II wojny światowej poniosła więc największe wśród walczących stron, w odniesieniu do ogółu ludności państwa, straty ludnościowe.

Pierwszy transport ze 135 Polakami z Wolnego Miasta Gdańska już 2 września 1939 r. dotarł do niemieckiego obozu Stutthof, który w 1942 r. okupant przekształcił w obóz koncentracyjny – miejsce mordów na Żydach, Polakach oraz jeńcach wojennych-cywilach. KL Stutthof był ostatnim takim obozem zajętym przez Armię Czerwoną, co nastąpiło dzień po zakończeniu wojny, 9 maja 1945 r. W Generalnym Gubernatorstwie, czyli na ziemiach centralnej Polski, których nie wcielono bezpośrednio do Rzeszy, przywódcy narodowosocjalistycznych Niemiec założyli trzy obozy koncentracyjne: w Lublinie na Majdanku, KL Warschau w Warszawie, potocznie zwany Gęsiówką, oraz KL Plaszow w Płaszowie pod Krakowem. Na ziemiach zachodnich Polski wcielonych do Rzeszy, na przełomie maja i czerwca 1940 r. założono Konzentrationslager Auschwitz (następnie KL Auschwitz-Birkenau), który z czasem stał się największym niemieckim kacetem (KZ-lager) w okupowanej Europie. Pierwszymi więźniami KL Auschwitz byli Polacy, więźniowie polityczni aresztowani za działalność konspiracyjną – transport 728 osób przybył tu z niemieckiego więzienia w Tarnowie 14 czerwca 1940 r. Od 1941 r. KL Auschwitz-Birkenau spełniał również funkcję ośrodka zagłady ludności żydowskiej z terenów okupowanych przez III Rzeszę oraz z terytoriów sprzymierzonych z nią krajów europejskich. Zagłady tej dokonano w ramach planu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" (Endlösung der Judenfrage). Rok później w obozie rozpoczęto przeprowadzanie na więźniach, w tym na sowieckich jeńcach wojennych, pseudomedycznych eksperymentów.

Leben für Leben

Życie za życie – tak brzmi tytuł słynnego filmu fabularnego o polskim franciszkaninie Maksymilianie Marii Kolbem, który w lipcu 1941 r. zdecydował się oddać życie za Franciszka Gajowniczka. Kolbe ofiarował życie za nieznanego sobie współwięźnia, ojca dwójki chłopców, skazanego przez Niemców wraz z innymi więźniami na śmierć głodową w odwecie za ucieczkę z obozu jednego z uwięzionych. Zmarł 14 sierpnia 1941 r. dobity zastrzykiem z trucizny w serce w oświęcimskim bunkrze. Ciało jego zostało spalone w obozowym krematorium.

Chwilę tę Gajowniczek wspominał następująco: „Dziesięciu więźniów z mojego bloku wyznaczono na śmierć. Dowódca obozu Fritzsch w towarzystwie Rapportführera Palitzscha dokonał selekcji (wyboru). ►



Państwowe Muzeum na Majdanku. Jeden z dwóch pieców tzw. małego krematorium zainstalowanego w obozie w czerwcu 1942 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Widok, który zastali żołnierze amerykańscy po wkroczeniu do KL Dachau. Materiały propagandowe Armii Stanów Zjednoczonych.
Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego





Władysław Szewczyk, więzień KL Auschwitz-Birkenau. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Nieszczęśliwy los padł również na mnie. Ze słowami: »Ach, jak żal mi żony i dzieci, które osierocam« udałem się na koniec bloku. Miałem iść do celi śmierci głodowej. Te słowa usłyszał ojciec Maksymilian Kolbe, franciszkanin z Niepokalanowa. Wyszedł z szeregów, zbliżył się do Lagerführera Fritzscha i usiłował ucałować jego rękę. Fritzsch zapytał tłumacza: – »Was wüscht dieses polnische Schwein?« (czego chce ta polska świnia). Ojciec Maksymilian Kolbe, wskazując ręką na mnie, wyraził swoją chęć pójścia za mnie na śmierć. Lagerführer Fritzsch ruchem ręki i słowem: – »Heraus« (wyjść) kazał mi wystąpić z szeregu skazańców, a moje miejsce zajął ojciec Maksymilian Kolbe. Za chwilę odprowadzono ich do celi śmierci, a nam kazano rozejść się na bloki. W tej chwili trudno mi było uświadomić sobie ogrom wrażenia, jaki ogarnął mnie; ja, skazaniec mam żyć dalej, a ktoś chętnie i dobrowolnie ofiaruje swoje życie za mnie. Czy to sen, czy rzeczywistość?[1]”.

Ocalony w ten sposób Gajowniczek przebywał w KL Auschwitz-Birkenau do 25 października 1944 r., następnie został przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen niedaleko Berlina. W maju 1945 r. wraz z innymi więźniami uwolnili go Amerykanie. Doczekał ogłoszenia Kolbego świętym Kościoła katolickiego przez papieża Polaka Jana Pawła II w 1982 r. Zmarł w Polsce w 1995 r. w wieku 94 lat.

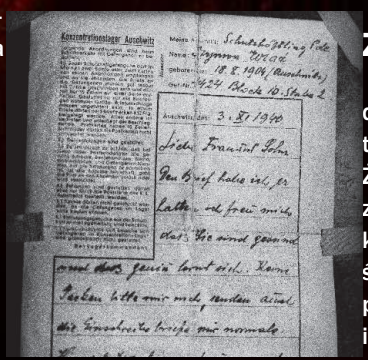

List z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau napisany na specjalnym druku.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Żydzi

W KL Auschwitz-Birkenau od 1941 do 1944 r. zabito łącznie około 900 tys. Żydów, z czego połowę stanowili Żydzi węgierscy zgładzeni w 1944 r. po zajęciu przez Niemcy terytorium ich kraju. W Auschwitz zginęły jednocześnie 202 tys. osób innych narodowości, przede wszystkim Polaków, Rosjan i Cyganów. Ogólna liczba ofiar obu obozów wynosi milion sto tysięcy osób.

Drugim co do wielkości, największym ośrodkiem zagłady na ziemiach polskich była Treblinka na Podlasiu.



Brama obozu koncentracyjnego Dachau; po zajęciu przez wojska amerykańskie. Materiały propagandowe Armii Stanów Zjednoczonych.
Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego

W latach 1942–1943 Niemcy wymordowali tu 974 tys. osób, w tym 300 tys. Żydów z warszawskiego getta. Janusz Korczak, słynny polski pedagog i pisarz żydowskiego pochodzenia, wraz ze 192 wychowankami Domu Sierot, którego był dyrektorem, 6 sierpnia 1942 r. doprowadzeni zostali przez Niemców na warszawski Umschlagplatz, skąd wywieziono ich bydlęcym wagonem właśnie do Treblinki. W innych obozach zagłady na ziemiach Polski centralnej, w Bełżcu i Sobiborze, Niemcy zamordowali blisko dwa miliony ludzi.

W wolnej Polsce

Żywa jest pamięć o ofiarach niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady. Działają muzea i miejsca pamięci, największe z nich w małopolskim Oświęcimiu i na Majdanku w Lublinie. To ostatnie powstało już w listopadzie 1944 r., a więc jeszcze podczas wojny, jako pierwsze muzeum upamiętniające ofiary II wojny światowej w Europie. W Polsce do dziś uroczyście obchodzi się rocznice wyzwolenia obozów. Wydawane są pamiątkowe publikacje, organizowane okolicznościowe wystawy. Wszystko po to, aby nigdy więcej nie powtórzył się koszmar obozów koncentracyjnych XX w., w których, jak napisała o czasach wojny i okupacji polska pisarka Zofia Nałkowska – „ludzie ludziom zgotowali ten los”. ■

BOGUSŁAW KOPKA doktor habilitowany historii. Autor publikacji z zakresu II wojny światowej oraz dziejów PRL, w tym *Konzentrationslager Warschau: historia i następstwa*, za którą otrzymał nagrodę „Klio” oraz *Gułag nad Wisłą: komunistyczne obozy pracy w Polsce 1944–1956*.

[1] Por. F. Gajowniczek, *Głos ocalonego*, „Rycerz Niepokalanej” 1946, nr 5.



Państwowe Muzeum na Majdanku. Fragment ogrodzenia terenu obozu. W oddali wieża strażnicza.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

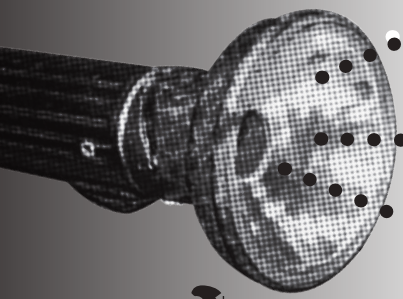

Tajemnice skrytek konspiracyjnych

Wciąż odnajdywane miejsca, w których żołnierze ZWZ-AK i NSZ ukrywali konspiracyjne dokumenty, zaskakują pomysłowością ich twórców. Skrytki te są nieocenionym źródłem wiedzy o Polskim Państwie Podziemnym i jego bohaterach.



MARIUSZ OLCZAK

Zagadnienie skrytek konspiracyjnych używanych przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego łączy się bezpośrednio z tematem lokali konspiracyjnych. W nich zlokalizowane były skrytki stałe, do nich dostarczano też w skrytkach przenośnych materiały, które przygotowano do ukrycia.

Lokale konspiracyjne

Halina Czarnocka „Maryla Bonińska", bliska współpracowniczka szefa sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej Tadeusza Pełczyńskiego „Grzegorza", która z lokalami konspiracyjnymi miała do czynienia na co dzień, wymieniła następujące ich typy: meliny (skrytki głębokie i łatwiej dostępne; dla dokumentów i dla broni), lokale pocztowe, kolportażowe, odprawowe, kontaktowe, do pracy, depozytowe, rezerwowe, kwatery noclegowe, punkty alarmowe i tzw. dojścia rezerwowe. W zasadzie we wszystkich tych lokalach znajdowały się bardziej lub mniej skomplikowane skrytki, w większej lub mniejszej ilości, co uzależnione było oczywiście od potrzeb. Zaprezentowane adresy lokali mogą być wskazaniem, o ile dane budynki się zachowały, gdzie jeszcze należy poszukiwać skrytek z okresu wojny. Odkrycia dokonane w ciągu ostatnich lat potwierdzają, że skrytki często przetrwały, szczególnie w mieszkaniach, gdzie zachowano stare meble lub nieprzeprowadzono remontów podłóg i parkietów ani nie dokonano przemieszczenia innych elementów wystroju.

Emil Kumor „Krzyś", szef Wydziału Inwestycji i Zakupów Oddziału VII Biura Finansów i Kontroli KG AK, dzielił z kolei



Tzw. szafa rektora, w której odnaleziono skrytki z dokumentami Komendy Głównej NSZ.
Zbiory Archiwum Akt Nowych/Zbiory Muzeum Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego



Bibularz ze skrytką używaną przez komendanta Okręgu Warszawskiego AK Antoniego Chruściela „Montera”.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

łych obszarach i okręgach struktur Polskiego Państwa Podziemnego funkcjonowały referaty odpowiedzialne za przygotowanie skrytek dla codziennej działalności. W czasie Powstania Warszawskiego i działań wojennych na terytorium Polski duża część zarówno lokali konspiracyjnych, jak i zlokalizowanych w nich skrytek uległa zniszczeniu, zostały one bezpowrotnie utracone. Z kolei po 1945 r. rozpoczęło się opróżnianie skrytek zarówno przez uczestników konspiracji, jak i funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, którzy przy okazji prowadzonych przesłuchań i śledztw pozyskiwali wiedzę o ich lokalizacji. Wówczas zawartość skrytek zdekonspirowanych – w postaci dokumentów – pierwotnie została złożona w aktach śledztw, później

lokale konspiracyjne na służące: do zamieszkania, do prac specjalnych, na odprawy i zebrania, na magazyny i składy, na siedziby radiostacji krótkofalowych oraz działające jako wytwórnie i fabryki. Zanim podjęto decyzję o oddaniu konkretnego lokalu do użytku, przeprowadzano w nim odpowiednie prace, w tym związane ze skrytkami. Najbliższymi współpracownikami Kumora byli Antoni Baranowski „Alan”, „Bagnet”, szef działu skrytek ruchomych Oddziału VII Biura Finansów i Kontroli KG AK, oraz bohaterski Stanisław Doruchowski „Smyk”, szef działu skrytek stałych Oddziału VII Biura Finansów i Kontroli KG AK, który po aresztowaniu przez Niemców w więzieniu przy ulicy Szucha popełnił samobójstwo, połykając cyjanek ukryty w sygnecie.

Najwięcej skrytek znajdowało się w stolicy i w ośrodkach podwarszawskich, co wiąże się przede wszystkim z wielkością siatki konspiracyjnej. Niemniej w pozostałych obszarach i okręgach struktur Polskiego Państwa Podziemnego funkcjonowały referaty odpowiedzialne za przygotowanie skrytek dla codziennej działalności. W czasie Powstania Warszawskiego i działań wojennych na terytorium Polski duża część zarówno lokali konspiracyjnych, jak i zlokalizowanych w nich skrytek uległa zniszczeniu, zostały one bezpowrotnie utracone. Z kolei po 1945 r. rozpoczęło się opróżnianie skrytek zarówno przez uczestników konspiracji, jak i funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, którzy przy okazji prowadzonych przesłuchań i śledztw pozyskiwali wiedzę o ich lokalizacji. Wówczas zawartość skrytek zdekonspirowanych – w postaci dokumentów – pierwotnie została złożona w aktach śledztw, później trafiła do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a następnie do Wojskowego Instytutu Historycznego im. Wandy Wasilewskiej i Centralnego Archiwum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Lokale i skrytki „Grota”

Emil Kumor pisał o warszawskich lokalach komendanta głównego Armii Krajowej Stefana Roweckiego „Grota” przy ulicach Kopińskiej 25, Elektoralnej 22 m. 8, Solnej 14 m. 7, Marszałkowskiej 4 oraz przy Twardej 36. Lokale konspiracyjne zapamiętane przez Irenę Rowecką-Mielczarską i Eugenię Rowecką mieściły się w Warszawie przy Alejach Jerozolimskich 91 lub 93, Nowym Świecie 46, ulicach Chocimskiej 22, Marszałkowskiej 20, Polnej 36, Partyzantów 5, Jaworzyńskiej 4 lub 6, Leszczyńskiej i Topiel na Powiślu. Były też inne.



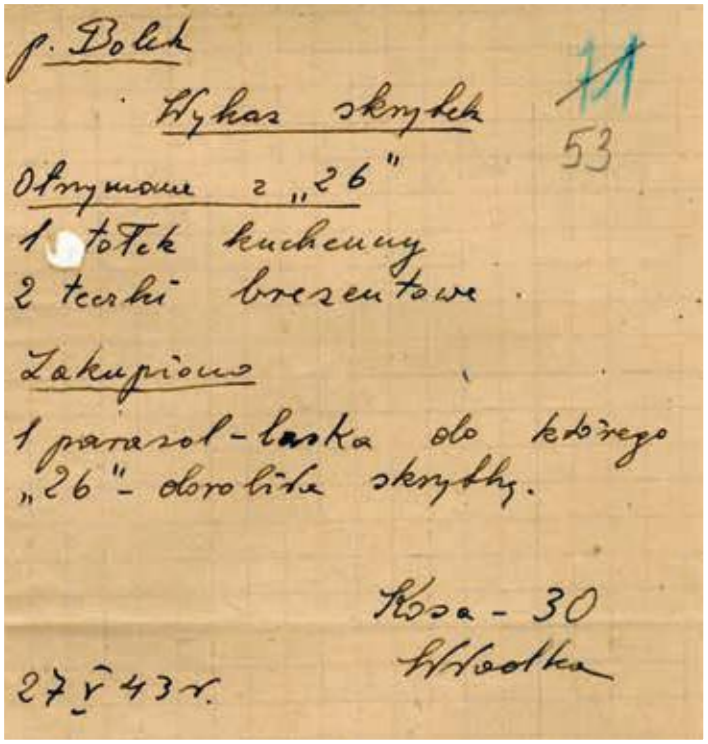
p. Bolek
Wykaz skrytek
111
53
Otrzymano z „26"
1 tobołek kuchenny
2 teczki brezentowe.
Zakupiono
1 parasol-laska do którego
„26" - dorobiła skrytkę.
Kosa - 30
Wrzodka
27 V 43 r.

Wykaz skrytek oddziału „Osa" – „Kosa" z 27 maja 1943 r.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

Stefania Aluchna „Ala", „Czajka", szefowa Kancelarii Komendy Okręgu Warszawskiego AK. Zbiory Archiwum Akt Nowych

Swemu adiutantowi Ryszardowi Jamonttowi-Krzywickiemu „Szymonowi" „Grot" powiedział jednak, że najbezpieczniej czuje się w lokalu przy ulicy Twardej 36. Miejsce to dokładnie opisał Emil Kumor. Składało się ono z trzech połączonych mieszkań (nr 4, 10, 11) usytuowanych na drugim piętrze. Zostały one odpowiednio przygotowane i przystosowane z zabezpieczeniem na kilka sposobów. W czasie odpraw w pobliskiej herbaciarni przesiadywała obstawa – w razie niebezpieczeństwa dawała ona znak, na który w lokalu 10 zapalała się czerwona lampka. Rzeczy z lokalu przy Twardej 36, tj. szafę na ubrania, szafę gabinetu kosmetycznego, szafę-bar, wykonano przy ulicy Dzielnej w fabryce „Szczerbiński-Kamler", bibliotekę i skrytki w meblach wykonał N.N. „Adam", opancerzenie drzwi lokali 4, 10 i 11 zaś ślusarz Pękalski.

Za jedną ze skrytek przy ulicy Spiskiej służyła wisząca na ścianie dość duża plakieta z głową Chrystusa. Skrytki w tym lokalu „Grota" opróżnił oddział ewakuacyjny. Niemcy ich nie odkryli, a w skrytkach pozostały jedynie dokumenty osobiste „Grota", bez żadnych organizacyjnych.

Przemyślność konspiratorów

W skrytkach konspiracyjnych ukrywano przede wszystkim dokumenty, mapy, szkice i plany. Można wymienić także radiostacje i inne środki łączności, drukarnie i materiały drukarskie, z kolei najważniejsze na wojnie broń, amunicję i materiały wybuchowe, wreszcie ludzi. Skrytki były stałym elementem wyposażenia wszystkich lokali konspiracyjnych, lokali kontaktowych, pracowni, biur, „skrzynek pocztowych" oraz mieszkań prywatnych osób pracujących w konspiracji.

Przenośne skrytki można podzielić na jednorazowe i wielokrotnego użytku. Jako jednorazowe były między innymi – wykorzystywane latem i jesienią – owoce i warzywa. W cebuli, głowach kapusty przenoszono na przykład mikrofilmy. O każdej porze roku wykorzystywano

pieczywo, kiełbasę i rąbankę. Materiały konspiracyjne imitowały też opakowania serów topionych.

Skrytki były różne w zależności od zakresu i sposobu ich wykorzystywania. Inne były dla łączników poruszających się po mieście, inne dla łączników wyruszających w dalekie trasy. A na przykład w lokalach jednopokojowych były takie, by osoba odwiedzająca nie mogła zobaczyć miejsca i sposobu ich otwierania. Skrytki były dostosowane do typu i alibi łączniczek, miały różną wielkość, jakość, wygląd, kolor i rodzaj.

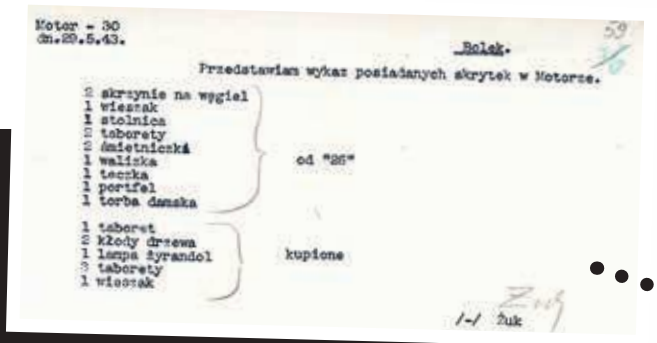
Motor - 30
dn.29.5.43.

Bolek.

Przedstawiam wykaz posiadanych skrytek w Motorze.

2 skrzynie na węgiel
1 wieszak
1 stolnica
2 taborety
2 śmietniczki
1 walizka
1 teczka
1 portfel
1 torba damska
od "26"

1 taboret
2 kłody drzewa
1 lampa żyrandol
3 taborety
1 wieszak
kupione

/-/ Żuk

Wykaz używanych skrytek w oddziale „Motor" Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, 29 maja 1943 r.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

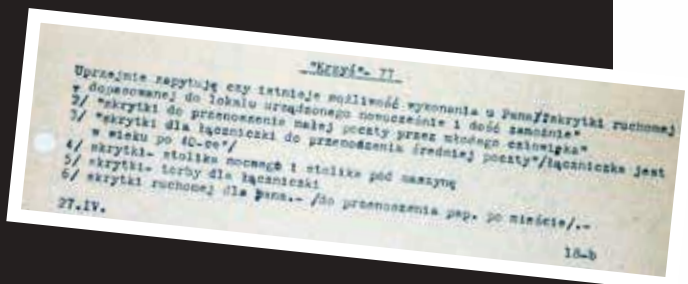
"Krzyś"- 77

Uprzejmie zapytuję czy istnieje możliwość wykonania u Pana/skrytki ruchomej
w dopasowanej do lokalu urządzonego nowocześnie i dość zamożnie"
2/ "skrytki do przenoszenia małej poczty przez młodego człowieka"
3/ "skrytki dla łączniczki do przenoszenia średniej poczty"/łączniczka jest
w wieku po 40-ce"/
4/ skrytki- stolika nocnego i stolika pod maszynę
5/ skrytki- torby dla łączniczki
6/ skrytki ruchomej dla pana.- /do przenoszenia pap. po mieście/.-

27.IV.

18-b

wspominał wytwarzane paczki na węgiel, skrzynie na piasek, młynki do kawy, stolnice, pudełka na karty, szkatułki, torby gospodarcze, torebki damskie. Tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego jego konspiracyjna komórka dysponowała blisko 1000 egzemplarzy różnych skrytek ruchomych i przenośnych.

Wszystkie skrytki – zarówno przenośne, jak i ruchome – ewidencjonowano pod kryptonimami w specjalnej kartotece. Dzięki temu możliwe było sprawdzenie, gdzie w danej chwili dana skrytka się znajduje i ile jej jest jeszcze w magazynie. Kartotekę założył i prowadził mjr Antoni Baranowski „Alan", kierownik działu skrytek ruchomych. Przechowywał ją u siebie w pracy obok pracującego w sąsiedztwie niemieckiego komisarza. W prowadzeniu kartoteki Baranowskiemu pomagał magazynier i dostawca Józef Sosnowski – „Brzeziński".

W czasie drugiej wsypy w Oddziale VII KG AK ppłk Stanisława Thuna „Leszcza" w maju 1944 r. musiano



Pismo do Emila Kumora „Krzysia" w sprawie wykonania skrytek dla kontrwywiadu Komendy Głównej Armii Krajowej. Zbiory Archiwum Akt Nowych

Stałe skrytki dzieliły się na podłogowe i ścienne oraz podręczne, najczęściej meblowe. Można również wyodrębnić te przygotowane z zamysłem i użyte ad hoc, na przykład w momencie nagłej rewizji. Podobnie ze względu na wielkość: duże (najczęściej podłogowe i ścienne) oraz małe (zazwyczaj przenośne).

Zanim lokal konspiracyjny oddano do użytku, umieszczano w nim skrytki. W 1942 r. Emil Kumor dysponował wieloma wytwórniami, które działały tylko po to, by móc je wykorzystać dla celów konspiracyjnych. Jedną z nich była znana jeszcze przed wojną z produkcji zarówno na rynek krajowy, jak i zagraniczny fabryka mebli „Szczerbiński i Kamler". Kierował nią Jerzy Kamler „Stolarz". Stworzył on ze swoich pracowników dobrze uzbrojony oddział bojowy, którego broń była trzymana w skrytkach fabryki.

Inna duża wytwórnia mebli pracująca dla konspiracji mieściła się przy ulicy Wolskiej 4 w Warszawie. Liczne mniejsze zakłady wytwarzały „mebloskrytki". Kumor szybko opróżnić warszawski lokal przy ulicy Hożej 64, gdzie przechowywano broń. „Leszcz" polecił Kumorowi, by udał się tam ze specjalistą od otwierania skomplikowanych skrytek, aby szybciej od Niemców przejąć broń. Pierwsi byli jednak Niemcy, którzy opróżnili skrytkę, a nawet ją sfilmowali; ich dowódca stwierdził, że nie przypuszczał, iż wykonawcy schowków są aż tak pomysłowi.

Zasady korzystania ze skrytek

Halina Czarnocka w opisie zasad konspiracji panujących w służbie łączności KG AK podawała wiele przypadków korzystania ze skrytek. Prasę i nasłuchy radiowe maskowano i kamuflowano na przykład w koszyku z jarzynami, woreczku z kaszą lub zwykłym opakowaniu. W sytuacji zagrożenia łączniczki mogły je porzucić w dowolnym miejscu i czasie. Były też mody na skrytki, które wykonywano seriami, a dopiero w przypadku

wpadki wycofywano je odpowiednimi rozkazami alarmowymi. Kiedy przyszedł trend na stołki kuchenne, stolnice, wałki i termosy, to wyprodukowano ich tyle, że na przykład w jednym z lokali „Grota" zgromadzono aż siedem termosów. Jego łączniczka Jadwiga Piekarska „Basia" zgłosiła postulat, aby je z czasem powymieniać. Sensacją okazała się słynna maszynka elektryczna łączniczki Haliny Rose „Dagny". Po aresztowaniu „Dagny" maszynka przeleżała w depozycie więziennym i dopiero konspiracja więzienna podmieniła ją, by można było wydobyć z tej skrytki dokumenty.

O ogromnej różnorodności skrytek świadczą również zachowane oryginalne dokumenty z czasu wojny.



Sensacją okazała się słynna maszynka elektryczna łączniczki Haliny Rose „Dagny". Po aresztowaniu „Dagny" maszynka przeleżała w depozycie więziennym i dopiero konspiracja więzienna podmieniła ją, by można było wydobyć z tej skrytki dokumenty.

W meldunku z 27 kwietnia 1944 r. kontrwywiad KG AK kryptonim „18-b" pytał Emila Kumora „Krzysia" z „77" (Oddział VII KG AK) o możliwość wykonania u niego następujących skrytek: ruchomej dopasowanej do lokalu urządzonego nowocześnie i dość zamożnie, do przenoszenia małej poczty przez młodego człowieka, dla łączności do przenoszenia średniej poczty, stolika nocnego i stolika pod maszynę, torby dla łączniczki, a także skrytki ruchomej dla pana do przenoszenia papierów po mieście.

Wśród odnalezionych ostatnio schowków konspiracyjnych i powstańczych są: skrytka Kancelarii Komendy Okręgu Warszawskiego Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej w lokalu przy ulicy Filtrowej 68 w Warszawie i skrytka Komendy Głównej Narodowych Sił Zbrojnych w szafie rektora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

Skrytka Kancelarii Komendy Okręgu Warszawskiego ZWZ-AK

Późną jesienią 2008 r. jeden z mieszkańców kamienicy przy ulicy Filtrowej 68 w Warszawie przyniósł do Muzeum Powstania Warszawskiego ok. 400 stron dokumentów, które znaleziono podczas remontu mieszkania nr 48 w skrytce z okresu konspiracji pod parapetem okna. Dokumenty były zapakowane w szczegółowo opisane koperty. Na podstawie analizy zarówno dokumentów, jak i miejsca ich odnalezienia można uznać, że są one częścią archiwum Komendy Okręgu Warszawa ZWZ-AK z lat 1940–1943.

Do niezwykłych obiektów związanych z działalnością konspiracyjną należy wybudowany w 1926 r. według projektu Mariana Lelewicza Dom Dochodowy Pocztowej Kasy Oszczędności przy ulicy Filtrowej 68. Tutaj 31 lipca 1944 r. podpisano rozkaz rozpoczęcia Powstania Warszawskiego. Dokumenty znaleziono w mieszkaniu nr 48, do celów konspiracyjnych wykorzystywano również mieszkanie nr 46 znajdujące się na tym samym piętrze. Pod nr. 33 mieszkała łączniczka II Oddziału KG AK Janina Woyciechowska, a na drzwiach jej mieszkania oficjalnie znajdował się napis „Pani Szafranowa". Odnalezione przy ulicy Filtrowej dokumenty po głębszej analizie źródłowej można powiązać z osobą Stefanii Aluchny, gdy pełniła ważne funkcje w Sztabie Okręgu Warszawskiego ZWZ-AK. Do czasu odnalezienia skrytki brakowało oryginalnej dokumentacji tego okresu jej życia. Wspomnienia Aluchny nie były poparte szczegółowymi informacjami, które przez lata znajdowały się w dokumentach ukrytych w jej dawnym mieszkaniu w Warszawie. Konspiracyjną pracę w mieszkaniach przy ulicy Filtrowej na pewno ułatwiał współpracownik Aluchny, dozorca domu Błoszyk, były powstaniec wielkopolski. Adres mieszkania Aluchny nr 46 znał zarówno Antoni Chruściel „Monter", jak i szef Sztabu AK Stanisław Weber „Chirurg", którzy w nagłych wypadkach odbywali tutaj narady i konferencje. Przybywający zaś z meldunkami gońcy znali jedynie adres: Filtrowa 68 m. 48 i tylko tam zostawiali meldunki.

W czerwcu i lipcu 1944 r., gdy intensywnie przygotowywano się do powstania, Aluchna w domu przy ulicy Filtrowej 68 organizowała pracę konspiracyjną. Pełniła wówczas funkcję szefowej łączności Okręgu Warszawskiego AK i kierowniczki Kancelarii Sztabu Okręgu. Dyrektor administracyjny Polskiej Kasy Oszczędności dr Marian Wilczyński dał jej klucze do swojego mieszkania pod nr. 45. Właśnie w tym lokalu „Monter" odbywał codziennie odprawy z dowódcami podległych jednostek. „Skrzynka Alarmowa Ali" czynna była przez cały dzień. Aluchna wstawała wówczas o godz. 5 rano. Pół godziny później przychodziły do niej kierowniczka Poczty Okręgowej, kierowniczka

Poczty Obwodowej, alarmistka, łączniczka „Montera”, łączniczka Komendy Głównej i szyfrantki Okręgu. „Monter” 31 lipca 1944 r., po powrocie z odprawy w Komendzie Głównej AK, polecił Aluchnie wysłać zaszyfrowany rozkaz o godzinie „W” wyznaczonej na 1 sierpnia 1944 r. Aluchna rozkaz ten zaszyfrowała, a N.N. „Basia” i N.N. „Orska” przepisały go na maszynie w wielu egzemplarzach. Odebrały go następnie łączniczki, które rozbiegły się po mieście. O godz. 7 rano 1 sierpnia 1944 r. odbyła się odprawa dla łączniczek w sprawie rozkazu o godzinie „W”, który nie dotarł wszędzie na czas z uwagi na późną godzinę jego rozesłania w dniu poprzednim.

Aluchna opuściła mieszkanie 1 sierpnia, zabierając ze sobą maszynę do pisania, akta i wykazy nowych kryptonimów. Mogłoby się wydawać, że lokal wówczas opróżniono z dokumentacji. Nic bardziej mylnego. Pozostała w nim skrytka z obszerną dokumentacją, podobnie jak w lokalu nr 48. Krótko po wojnie i już po przeprowadzce do Słupska Aluchna zdecydowała się na opróżnienie pierwszej skrytki. Obawiając się jednak funkcjonariuszy MBP, postanowiła dokumenty zniszczyć. Pisała o tym tak: „po powrocie do Słupska zniszczyłam uratowane materiały z okresu okupacji, które ocalały w moich skrytkach w W-wie”[1].

O skrytkach z dokumentami Komendy Okręgu Warszawskiego ZWZ-AK przy Filtrowej Aluchna pisała w 1957 r. w korespondencji z Kazimierzem Malinowskim, który interesował się żywo sprawami łączności Komendy Okręgu. W listach tych twierdziła, że opróżniła skrytki przy Filtrowej dopiero po wojnie, kiedy w 1954 r. przesłuchiwali ją w Warszawie funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Dalej jednak stwierdzała: „W W-wie mam jeszcze w jednym lokalu skrytkę, gdzie zgłoszę się, gdy przybędę do W-wy. Zobaczę, czy to jeszcze jest, zresztą nowi lokatorzy nic o tej skrytce nie wiedzą, też jest na Filtrowej”[2]. Dalej potwierdzała w innym liście do Malinowskiego w grudniu 1957 r.: „Dam znać zresztą kiedy i spotkamy się na Filtrowej 68 m. 46 i razem może zabierzemy archiwum, które mam w tej kamienicy z czasów okupacji. Obecni lokatorzy tego mieszkania nie wiedzą o tym. Jeśli ocalało będzie moc materiału”[3]. Do dokumentów tych Aluchna jednak nie dotarła.

Skrytki Komendy Głównej NSZ w SGGW

Z pewnością to jeden z największych odnalezionych po 1989 r. zbiorów źródeł dotyczących Polskiego Państwa Podziemnego. Dokumenty odkryli pracownicy Katedry Konserwacji Drewna Zabytkowego na Wydziale Technologii Drewna Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w ostatnich dniach grudnia 2008 r. w budynku SGGW przy ulicy Rakowieckiej 26/30 w Warszawie. Znajdowały się one w dwóch skrytkach umieszczonych w drewnianej szafie żaluzyjnej o wysokości nieco ponad 1,50 m. Nowa, dębowa szafka, jak wynika z zachowanego w odnalezionej dokumentacji rachunku, została kupiona w Warszawie 29 kwietnia 1944 r. Data wskazuje na to, że zrobiono ją z myślą umieszczenia w niej schowka. Ukrycie w nim archiwum należy wiązać ze zmianą w dniach 22–23 kwietnia 1944 r. na stanowisku komendanta głównego Narodowych Sił Zbrojnych. Funkcję tę objął wówczas ppłk. Stanisław Nakoniecznikoff-Klukowski, wcześniej między innymi komendant Podokręgu II Związku Walki Zbrojnej Północne Mazowsze. Z nim należy wiązać odnalezione archiwum.

Nowa szafa, która kosztowała 2500 zł, dawała pewność, że mebel nie zostanie w najbliższym czasie spalony lub wyrzucony. Takie ryzyko mogło istnieć w przypadku wykorzystania starej szafy. Podobnie wybór szafy z żaluzjami był podyktowany stosunkowo łatwym umieszczeniem w niej bezpiecznego i obszernego schowka mogącego pomieścić ok. 0,5 m dokumentacji w teczkach. Szafę kupiono dla firmy Zieliński przy ulicy Królewskiej 33 w składzie mebli W. Stokowski i S-ka przy ulicy Królewskiej 6. Mebel ten miał dwie skrytki. Pierwszą u podstawy, w przestrzeni, która mogła się wydawać przeznaczona do zasuwania drewnianej żaluzji. Drugą w zwieńczeniu szafy. Nie można wykluczyć, że skrytki wykonano od razu w zakładzie Stokowskich.

Znamienne jest, że w podobnie wykonanej szafie biurowej Władysław Weker, szef Biura Fałszerstw Narodowych Sił Zbrojnych – Związku Jaszczurczego, ulokował archiwum swojej komórki. Szafa znaleziona w SGGW została dokooptowana do mebli wykonanych w latach trzydziestych XX w. Na podstawie analizy dokumentacji można stwierdzić, że jest to główna część archiwum Dowództwa NSZ z lat 1942–1944. Zbiór liczy ponad 4500 stron. Z tego 2425 stron stanowią dokumenty, reszta to prasa, ulotki, broszury i opracowania. Najstarsze dokumenty pochodzą z 1 stycznia 1942 r. i 15 grudnia 1942 r., zaś najmłodszy z poranka 1 sierpnia 1944 r., kiedy to ukryto archiwum. Skrytka po konserwacji pozostała w zbiorach Muzeum SGGW, natomiast dokumenty przekazano do zasobu Archiwum Akt Nowych.

Mimo wielu akcji społecznych mających na celu odnalezienie konspiracyjnych skrytek nie mam wątpliwości, że kolejne lata będą nas zaskakiwać niespodziewanymi znaleziskami, które powiększą naszą wiedzę o pracy struktur Polskiego Państwa Podziemnego. ■

MARIUSZ OLCZAK historyk-archiwista, absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Badacz i dokumentalista Polskiego Państwa Podziemnego. Autor biografii Jana Rodowicza „Anody” i Ryszarda Białousa „Jerzego”. Wydawca dokumentów Okręgu Warszawskiego ZWZ-AK i Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Kierownik Archiwum Czynu Niepodległościowego i zastępca dyrektora Archiwum Akt Nowych.

[1] Wspomnienia Stefanii Aluchny, Archiwum Akt Nowych. [2] Korespondencja Stefanii Aluchny, AAN. [3] Tamże.

FABRYKA FAŁSZYWYCH DOKUMENTÓW

Kryptonim „Agaton" zapożyczono z kalendarza – podobnie jak kryptonimy innych komórek II Oddziału KG AK pochodzące od imion kolejnych świętych z początku stycznia. Imieniny Makarego przypadały 2 stycznia, Genowefy 3 stycznia, a Agatona 10 stycznia.

MARIUSZ OLCZAK

Działalność Wydziału Legalizacji i Techniki Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej Armii Krajowej o kryptonimie „Agaton" była wzmiankowana w wielu wydawnictwach poświęconych zarówno samej Komendzie Głównej, jak i poszczególnym jej oddziałom. Pojawiała się również w wydanych drukiem wspomnieniach wyższych oficerów AK, w tym przede wszystkim szefa wydziału Stanisława Jankowskiego „Agatona". Trzy relacje żołnierzy Wydziału Legalizacji i Techniki Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego KG AK o kryptonimie „Park" – Wojciecha Zabłockiego „Derkacza", Haliny Franciszki Łaniewskiej-Malinowskiej „Klary" i Róży Giergielewicz „Staszkl" – zamieszczone zostały w zbiorczej publikacji wspomnieniowej żołnierzy KG AK. O pracy legalizacyjnej wspominają również w swoich publikacjach Piotr Niwiński i Juliusz Kulesza.

Prace nad legalizacją dokumentów trwały od początku organizowania się konspiracji. Aparat legalizacyjny organizacji wywiadowczej „Muszkieterowie" wraz z jego kontaktami i personelem przeszedł stopniowo do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Duże zasługi w rozwoju aparatu miał Kazimierz Leski „Bradl", szef kontrwywiadu „Muszkieterów".



RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia

Wzór Nr. 3
(dla mężczyzn w wieku od lat 16 do 50)

Gdańsk-Port

Zaświadczenie № 780163

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Jankowski Stanisław
(nazwisko, imię i imię ojca)
Czesława pr. Warszawie 29. 9. 1911
(rok i miejsce urodzenia)
przybył do Polski z terytorium Anglii
i dnia „9" IX. 1946 r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w Gdańsk-Port
Obecnie udaje się do Warszawy
(dokładny adres)
Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5.5.45
ob. Jankowski ma pierwszeństwo i prawo
jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkiemi środkami lokomocji do
Warszawy
Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego.

UWAGA:
1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu – na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia

Wydano dn. 9 IX 46 r. w Gdańsk-Port
Ważne do dnia 23 IX 46 r.

200008–XII. 45. – Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi

Zaświadczenie repatriacyjne Stanisława Jankowskiego, 1945 r. Zbiory Archiwum Akt Nowych



Pamiątka świąteczna na Wielkanoc 1943 r.
Archiwum rodziny Stanisława Jankowskiego/ Zbiory Archiwum Akt Nowych

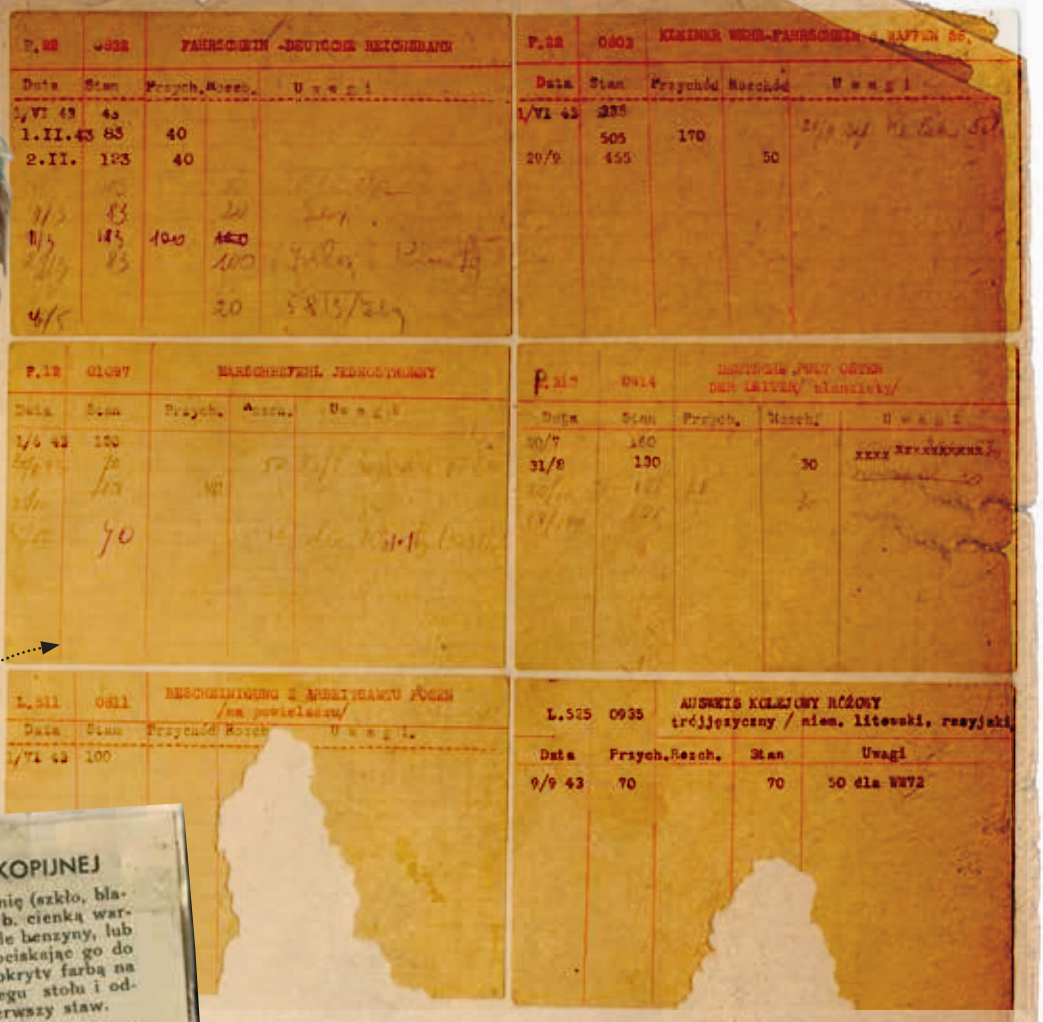

Fragment kartoteki Wydziału „Agatona" z informacjami o wytwarzanych dokumentach legalizacyjnych i personalnych, 1943 r. Zbiory Archiwum Akt Nowych

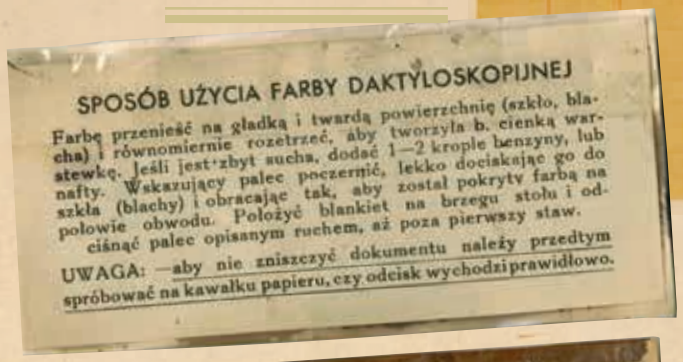
SPOSÓB UŻYCIA FARBY DAKTYLOSKOPIJNEJ

Farbę przenieść na gładką i twardą powierzchnię (szkło, blacha) i równomiernie rozetrzeć, aby tworzyła b. cienką warstewkę. Jeśli jest zbyt sucha, dodać 1—2 krople benzyny, lub nafty. Wskazujący palec poczernić, lekko dociskając go do szkła (blachy) i obracając tak, aby został pokryty farbą na połowie obwodu. Położyć blankiet na brzegu stołu i odciągnąć palec opisanym ruchem, aż poza pierwszy staw.

UWAGA: —aby nie zniszczyć dokumentu należy przedtym spróbować na kawałku papieru, czy odcisk wychodzi prawidłowo.


SPOSÓB UŻYCIA FARBY DAKTYLOSKOPIJNEJ

Wskazujący palec lekko poczernić i położywszy blankiet na brzegu stołu, odciskać ruchem walcowym w odpowiedniej rubryce aż poza pierwszy staw. Jeśli farba jest zbyt sucha rozcieńczyć ją kilkoma kroplami benzyny, lub nafty.

Uwaga: Aby nie zniszczyć dokumentu, należy przedtym wypróbować na kawałku papieru, czy odcisk wychodzi prawidłowo.


YCIA FARBY DAKTYLOSKOPIJNEJ.

lekko poczernić i położywszy blankiet na dociskać ruchem walcowym w odpowiedniej pierwszy staw. Jeśli farba jest zbyt sucha kilkoma kroplami benzyny, lub nafty.

dokumentu, należy przedtym kawałku papieru, czy odcisk

Przepis na używanie farby daktyloskopijnej przy składaniu odcisków palców w dokumentach osobistych, 1943 r.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

Zorganizowaną przez niego siatkę wykorzystał w swojej działalności późniejszy Wydział Legalizacji i Techniki Oddziału II KG AK. Pierwszym szefem komórki legalizacji ZWZ został Julian Bohdanowicz, dyrektor Szkoły Rzemiosł Artystycznych w Warszawie. Po jego aresztowaniu Marian Drobik w kwietniu 1942 r. zdecydował o mianowaniu szefem nowo powołanej komórki w randze wydziału cichociemnego Stanisława Jankowskiego „Burka", który posługiwał się nazwiskami konspiracyjnymi: Stanisław Kucharski, Stanisław Wszucki, Stanisław Kowalski, Stanisław Wiśniewski, Stanisław Zawadzki. Współcześnie postać ta przywoływana jest z jego nieformalnym pseudonimem „Agaton", który pierwotnie był kryptonimem kierowanego przez niego wydziału.

Wybór Jankowskiego na szefa tego wydziału nie był przypadkowy. W opinii sporządzonej po ukończeniu szkolenia, 31 marca 1942 r., czyli już po zrzuceniu do kraju, napisano o nim w dziedzinie techniki wywiadu: „Pracuje szybko, inteligentnie, dokładnie i z planem. Doskonale łączy umiejętność analizy z ujęciem syntetycznym zagadnienia. Pomysłowy. Z inicjatywą. Spostrzegawczy. Krytyczny. Szeroki horyzont myślenia. Bardzo stanowczy. Silna wola i chęć narzucenia jej

otoczeniu. Pewna bezwzględność w postępowaniu. Umie wymagać od innych i umie dbać o swoje sprawy. Ogólnie: bardzo dobry. Nadaje się do samodzielnej pracy terenowej na stanowisku kierowniczym lub w organizacji centralnej. Fotografia wywiadowcza. Pełne wyszkolenie w reprodukcji Leica i innymi aparatami. Zdjęcia przestrzenne, pieczątki i błonowanie. [...]. Chemia wywiadowcza. Atramenty sympatyczne – duża pracowitość i staranność, specjalnie dużo inicjatywy wykazał przy pisaniu wewnątrz kart. Otwieranie i zabezpieczanie korespondencji – pracuje czysto, dokładnie i sumiennie. Pieczęcie lakowe – dużo inicjatywy i nowe pomysły. Postępy bardzo dobre. Pranie dokumentów – bardzo dokładny i sumienny. Postępy bardzo dobre.

Mechanika wywiadowcza. Zapoznał się praktycznie z techniką otwierań zamków drzwiowych, kłódek szufladowych, teczkowych, walizkowych, przygotowaniem szperaków, kluczy na podstawie odcisków, szkicowania i pomiarowania. Zapoznał się teoretycznie z techniką włamań, a z narzędziami do tych prac praktycznie. Oficer wybitnie kwalifikujący się do służby wywiadowczej. Reprezentuje doskonałą harmonię zalet charakteru, umysłu i uzdolnień fizycznych. Wysokiej klasy ideowość łączy z dużą życiowością w podejściu do zadań. Intelekt wybitny połączony ze zdolnością do praktycznego wykorzystania wiedzy i łatwości uczenia się”[1].



Stanisław Jankowski w Anglii.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

To zdecydowało później o sukcesie odniesionym przez Jankowskiego i przez kierowaną przez niego komórkę.

Kryptonimy

Wydział w swojej działalności posługiwał się kolejno kryptonimami: „198”, „C-8”, „518”, „Wd-68”, „128”, „Agaton”. Pierwszy: „198” – wymyślony przez Mariana Drobika „Dzięcioła”, używany był przez cztery miesiące (od kwietnia do sierpnia 1942 r.). Następny „C-8” funkcjonował w korespondencji w 1943 r.: w lutym 1943 r.; 15 kwietnia, 25 maja 1943 r., w sierpniu 1943 r., podobnie jak „518” i „Wd-68” – 19 sierpnia 1943 r., który funkcjonował jeszcze na początku 1944 r.: 5 stycznia 1944 r. W 1944 r. używano kryptonimów „128” i od stycznia do końca Powstania Warszawskiego – „Agaton”. 18 stycznia 1944 r., od 28 stycznia 1944 r. do 21 lutego 1944 r. – „218”, ale już 26 stycznia 1944 r. – „Agaton”.

Kryptonim „Agaton” – podobnie jak kryptonimy innych komórek II Oddziału – został zapożyczony z kalendarza (imieniny Agatona: 10 stycznia).

Struktura

Wydział był podzielony na pracownie, które specjalizowały się w poszczególnych segmentach działalności legalizacyjnej. Kryptonimy ich ustalono w 1942 r. w taki sposób, aby mogły być swobodnie używane w rozmowach w miejscach publicznych oraz telefonicznych, a także w korespondencji. Nie mogły one kojarzyć się z jakąkolwiek działalnością konspiracyjną ani z charakterem pracy wydziału, podobnie musiały być na tyle charakterystyczne, aby nie powodować pomyłek w przesyłaniu poczty i meldunków. Jak wspominał Jankowski, ustalono więc, że za kryptonimy pracowni będą służyć nazwy popularnych gastronomicznych lokali warszawskich – Blikle, Pomianowski, Gajewski, Żmijewski. Nie były one jednak używane w meldunkach ani sprawo- zdaniach wydziału. W odnalezionych archiwaliach wydziału kryptonimy te pojawiają się jedynie kilkakrotnie, natomiast w żadnym z zachowanych dokumentów nie są wykorzystane jako oznaczenie adresata lub nadawcy.

W sprawozdaniach finansowych wydziału w latach 1942–1944 używano form literowo-numerycznych 01, 02 oraz R 1 i kolejno 2, 3..., przyjętych w całym Oddziale II dla oznaczenia konkretnych form działalności. W pierwszej zachowanej strukturze wydziału z grudnia 1942 r. funkcjonują oznaczenia: 01 oraz R 1, 2, 3, 4, 6, 12, 13. Rok później, w grudniu 1943 r. wraz z odbudową wydziału były to: 01, 02 oraz R 1, 4, 6, 7, 12, 13, 16, 19, 47. W styczniu 1944 r.: 01, 02 oraz R 1, 4, 6, 7, 12, 13, 16, 19, 47. W lutym 1944 r.: 01, 02 oraz R 1, 3, 4, 6, 7, 12, 13, 16, 19, 47. W marcu 1944 r.: 01 i 02 oraz R 1, 3, 4, 6, 7, 12, 13, 16, 19. W kwietniu 1944 r.: 01, 02 oraz kolejno R 1, 3, 4, 6, 7, 12, 13, 16, 19, 47. W maju 1944 r.: 01, 02 oraz R 1, 3, 4, 7, 12, 13, 14, 16, 19, 47. W czerwcu 1944 r.: 01, 02 oraz R 1, 3, 4, 7, 12, 13, 16, 19, 47. Pod kątem tych kryptonimów układano dla poszczególnych komórek zadania dotyczące potrzeb lokalowych i finansowych oraz materiałów do wytwarzania dokumentów.

Inaczej niż „Agaton” zorganizowany był Wydział Techniczno-Legalizacyjny (Centralne Biuro Legalizacji) Oddziału I KG AK o kryptonimach „Park”, „Leta, „Izba”, którego struktura odpowiadała konkretnej specjalizacji w produkcji dokumentów. Funkcjonowały w nim pra-

cownie o nazwach: Dowody osobiste, Zatrudnienie, Metryki, Meldunki, Dokumenty podróży, Druki, uzupełnione o Komórkę Koncepcyjno-Kontrolną, Pracownię Techniczną i Dział Łączności Wewnętrznej.

Tadeusz Sztumberk-Rychter, „Żegota", szef Wywiadu Ofensywnego Wydziału II Obszaru Warszawskiego AK, widział różnicę pomiędzy działalnością „Parku" a komórką „C-8" w tym, że „Park", szeroko rozbudowany, produkował rozmaite dokumenty masowo i z tego powodu nie był w stanie dla każdego z dokumentów wypracować odpowiedniej podbudowy, stąd sprawdzały się one do chwili ich dokładnego zweryfikowania. Komórka „Agatona" produkowała zaś specjalistyczne dokumenty.

Pracownie

Podział łączności i zadań pracowni oraz poszczególnych komórek wydziału przedstawił po wojnie Stanisław Jankowski. Pracownia „Gajewski" to pierwsza pracownia Wydziału zlokalizowana w pomieszczeniach Sekcji Budownictwa Lądowego Wydziału Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej przy ulicy Koszykowej 55. W jej skład wchodzili: dr architekt Piotr Biegański „Paweł", starszy asystent Zakładu Historii Architektury i Sztuki; Kazimierz Piechotka „Jacek", student, młodszy asystent Zakładu Architektury Polskiej, zaprzysiężony w konspiracji w roku 1940; Zofia Chojnacka „Agata", inżynier architekt, w roku 1940 zaprzysiężona w ZWZ. Kierownik pracowni „Gajewski" Piotr Biegański został w 1940 r. wprowadzony do konspiracji przez Jana Zachwatowicza „Profesora Jana" i skierowany pierwotnie do komórki legalizacyjnej „Muszkieterów" prowadzonej przez Kazimierza Leskiego „Bradla". W kwietniu 1942 r. Jankowski powierzył mu prowadzenie pracowni „Gajewski", którą kierował Biegański aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. Lokal kontaktowy i skrzynka pocztowa pracowni mieściły się w mieszkaniu Zofii Chojnackiej przy ulicy Filtrowej w Warszawie.



Stanisław Jankowski w Anglii.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

Pracownię „Żmijewski" zorganizowano latem 1942 r. W czasie swej działalności mieściła się w kilku miejscach w Warszawie: w lokalu przy ulicy Ludnej 9 w mieszkaniu rodziny Grzybowskich, przy Zajęczej 8 w mieszkaniu łączniczki Janiny Szybińskiej „Sławy" i na Saskiej Kępie w mieszkaniu rodziny Strachockich. Obsadę personalną stanowili: Andrzej Strachocki „Żmijewski" i Danuta Strachocka „Małgorzata". Pracownia wytwarzała dokumenty, które wymagały od jej obsady wybitnych zdolności kreślarskich i artystycznych. Wykonywano w niej linoryty pieczęci, kopie druków w skali 1:1, wystawiane na transparencie (winiecie). „Flancowano" w niej dokumenty, czyli zamieniano w autentycznych dokumentach fotografie właścicieli. Przygotowanie takich dokumentów wymagało szczegółowych analiz i wymiany wielu informacji. W tej pracowni po raz pierwszy podrobiono kolorowy Durchlaßschein (przepustkę graniczną) oraz dla dodania otuchy pracującym kartkę świąteczną z 25 kwietnia 1943 r. przedstawiającą baranka z chorągiewką z orłem i napisem „Alleluja! 28.IV.1943. C8". Szef pracowni przeprowadzał szkolenia i przygotował podręczne zestawy fałszerskie.

Pracownia „Blikle" rozpoczęła działalność w maju 1943 r., a mieściła się w lokalu konspiracyjnym przy ulicy Tamka 14 w Warszawie. Jej obsadę personalną stanowili: Zygmunt Skrobański „Blikle", student architektury; Krystyna Woyzbun-Skrobańska



Stanisław Jankowski po wojnie. Zbiory Archiwum Akt Nowych

Stanisław Jankowski, drugi od lewej, podczas szkolenia w Anglii. Zbiory Archiwum Akt Nowych

Fot. Domena publiczna

„Katarzyna", łączniczka poczty głównej ZWZ-AK od 1941 r., i Zofia Woyzbun-Romańska „Żania". Pracownia specjalizowała się w metrykach urodzeń, kenkartach, przepustkach nocnych, kartach pracy, Durchlaßscheinach, legitymacjach, zaświadczeniach, korespondencji urzędowej i przepustach kolejowych. W pracowni tej wykonano też przeznaczoną dla komórek wywiadowczych w terenie *Techniczną instrukcję wywiadowczą* (TIW) opracowaną przez Biuro Studiów. W instrukcji – obejmującej 80 stron tekstów, rysunków, szkiców – przedstawiano sposób rozpoznawania broni, samolotów, czołgów, artylerii i okrętów marynarki wojennej, a także sposób sporządzania meldunków i analiz. Do opracowania tego dołączono „dodatek nr 1" noszący tytuł *Instrukcja dla zdobywania wiadomości o dokumentach legalizacyjnych*. Pisano w nim: „Umiejętnie zebrane i zestawione dokumenty umożliwiają zarówno legalne uplasowanie się w wybranym miejscu, jak i swobodę poruszania się po terenie – co w pracy konspiracyjnej, zwłaszcza wywiadowczej, ma pierwszorzędne znaczenie. Odmienne pod względem legalizacyjnym traktowanie przez nieprzyjaciela poszczególnych obszarów czy nawet miejscowości, różnorodne przepisy dotyczące przejazdów, konieczność stosowania częstych zmian w sposobach legalizacji, by na jakiś nagminnie używany dokument nie zwrócić uwagi wroga itp. – wszystko to wymaga posiadania w dyspozycji dużej ilości wzorów i form legalizacji. Produkcja dokumentów nie przedstawia trudności, kierownicy komórek wywiadowczych mogą być – w razie potrzeby – zaopatrywani w nie centralnie. Natomiast dużą trudność stanowi zdobywanie wiadomości o aktualnie obowiązujących dokumentach na różnych terenach, o sposobie ich wystawiania, przedłużenia ważności itp. W tym zakresie proszę kierowników komórek wywiadowczych o jak najdalej idącą inicjatywę. By pracę tę ułatwić i usprawnić, podaję poniżej zestawienie poszukiwanych dokumentów i formę, w jakiej należy ją opisywać"[2]. Pracownia „Blikle" wydała również okolicznościowe życzenia z okazji Świąt Wielkanocnych 1944 r. i Bożego Narodzenia 1943 r. Te kartki świąteczne zachowały się, mimo że pierwotnie były przeznaczone do zniszczenia po otrzymaniu.

Pracownia „Franaszek" działała przy ulicy Wolskiej 43 w Warszawie, a kierował nią Czesław Wagner „Bartek", współpracownik Stanisława Jankowskiego z pracowni „Pniewskiego", zaprzysiężony w 1940 r. Wytwarzano w niej dokumenty szczególnie trudne do podrobienia, jak Durchlaßschein ze znakiem wodnym (kolorowa przepustka zagraniczna) oraz legitymacja Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS (SD) – Sicherheitsdienst. des Reichsführers SS (SD).

Pracownie dokumentów uzupełniały pracownie fotograficzne. Pracownia fotograficzna „Senex" urządzona była w mieszkaniu przy ulicy Bednarskiej 23 w Warszawie, gdzie pracował Zdzisław Marcinkowski „Senex", z kolei pracownia fotograficzna „Inżynier"

Pieczątki używane do wytwarzania fałszywych dokumentów w II Oddziale Komendy Głównej Armii Krajowej. Zbiory Archiwum Akt Nowych



w mieszkaniu przy ulicy Czerwonego Krzyża w Warszawie, przy Teatrze Ateneum, a obsadę personalną stanowił Zbigniew Gniazdowski „Inżynier".

Pracownia fotograficzna „Kubuś" urządzona była najpóźniej w mieszkaniu przy ulicy Chłodnej 20 w Warszawie. Kierował nią Stefan Bałuk „Kubuś".

Pracownia „Ambas" rozpoczęła działalność jesienią 1942 r., wraz z przejściem od Muszkieterów. Działała w drukarni braci Cukrowskich. Jej skład personalny to: Aleksander Skrzyński „Ambas", drukarz, członek Polskiej Partii Socjalistycznej; Henio zwany Złotą Rączką, przed wojną kartograf w Wojskowym Instytucie Geograficznym, wspomniany przez Leskiego jako pracownik Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych o pseudonimie „Batah", „Bataha", „Batasa", przez Jankowskiego zaś opisywany szczegółowo, ale jedynie z podaniem używanego przed aresztowaniem pseudonimu „Trzaska". Pracownia „Ambas" była łącznikiem z poligrafią wydziału, czyli z drukarniami, magazynami papieru, odlewniami pieczęci. Wykorzystywała również kontakty z działającymi oficjalnie drukarniami. Dzięki temu „Ambas" dostarczał również do wydziału oficjalne dokumenty drukowane w PWPW. Szczególnie istotne było to, że wydział miał do dyspozycji przykładowe dokumenty, legitymacje, przepustki, zanim jeszcze trafiały do oficjalnego obiegu poprzez niemieckie urzędy.

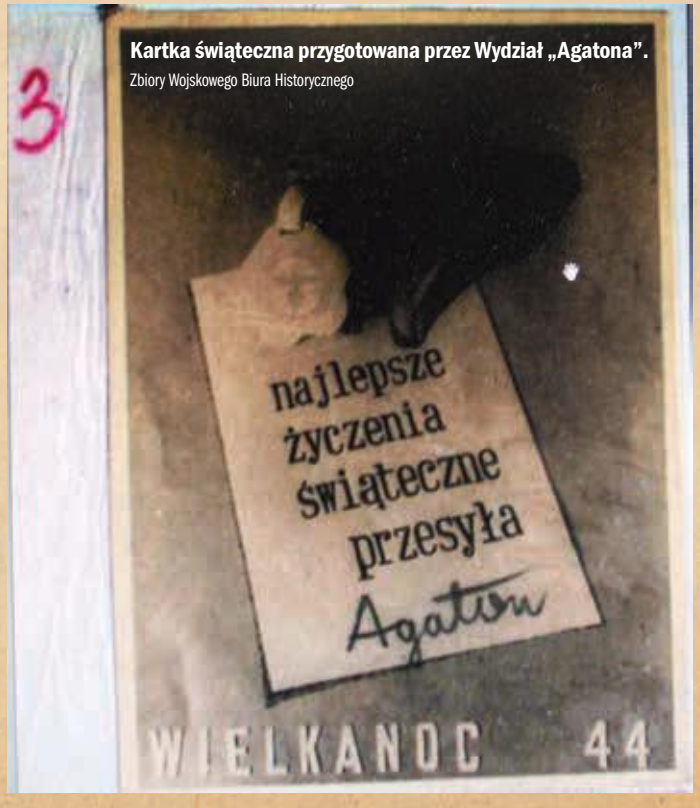

Kartka świąteczna przygotowana przez Wydział „Agatona".
Zbiory Wojskowego Biura Historycznego

Pracownia „Pomianowski" mieściła się w lokalu przy ulicy Polnej w Warszawie, a kierował nią Wojciech Korsak „Jan". Do jego zadań należało tłumaczenie zarządzeń i instrukcji niemieckich, przygotowywanie i redagowanie wszelkiego rodzaju zaświadczeń, zarządzeń, korespondencji i instrukcji.

Pracownia „Piekarnia" rozpoczęła działalność na przełomie 1943 i 1944 r. Prowadził ją Wojciech Bernatowicz „Marek". Zajmowała się produkcją fałszywych pieczęci, a poprzez osobiste kontakty Bernatowicza odpowiadała za kontakty z Wydziałem Ewidencji Ludności Zarządu Miejskiego. Było to szczególnie ważne z uwagi na uwiarygodnianie danych w wystawianych dokumentach.

Pracownia „Wedel", powołana do życia na początku 1944 r., działała przy ulicy Genewskiej w Warszawie, a prowadziła ją Maria Ambrożewicz-Woyzbun „Magdalena". Do jej zadań należało wykonywanie fotokopii z wykradanych od Niemców lub z wypożyczanych prawdziwych dokumentów.

Pracownia fałszywych dokumentów „Bracia Pakulscy" funkcjonowała w lokalach konspiracyjnych: w stolarni przy ulicy Chłodnej 5 (lokal Pakulskiego), w lokalach przy ulicach Królewskiej i Solnej oraz na Marymoncie i Żoliborzu. Kierował nią Leon Putowski „Leon", „C20", „Pakulski", technik dyplomowany, stolarz, elektryk, chemik, mechanik. Pracowali w niej: Jerzy Woyzbun „Wedel", Piotr Woyzbun „Janusz", Marek Morawski „Tomek", „Paweł", Witold Ambrożewicz „Witek", Artur Czarnomski" Kleofas", „Czarny" oraz N.N. „Henryk", N.N. – „Olek". Podstawowym zadaniem pracowni było projektowanie i wytwarzanie skrytek stałych i przenośnych. Z tego też powodu wydział „C8" nazywano niekiedy w oficjalnej korespondencji II Oddziału w cudzysłowie „fabryką zabawek".

Pracownia „Philips" zajmowała się konstruowaniem aparatów radiowych dla potrzeb siatek wywiadowczych. Kierował nią Adam Drzewoski „Benon", „Philips", a podlegali mu: Kazimierz Łumiński „Kocio", inż. Kazimierz Hantz „Kazio" i Marek Morawski „Paweł".

Archiwum „Domek", podstawowe archiwum wydziału, urządzono w studni pod piwnicą domu na Kole, używane było wcześniej przez komórkę „Bradla". Uzupełniało go archiwum podręczne funkcjonujące w podziemiach budynku „Zachęty".

Budżet

Pewnym śladem działalności wydziału są środki pieniężne przeznaczone na jego rozwój i wydatkowane na bieżące zadania. Ze sprawozdań finansowych i preliminarzy możemy określić szczegółowy budżet zarówno poszczególnych komórek, jak i wydziału. Przedstawiał się on następująco: w grudniu 1942 r. – 39 395 zł; w listopadzie 1943 r. – 163 595 zł; w grudniu 1943 r.





Zofia Kochańska „Maria Springer" używająca dokumentów legalizacyjnych II Oddziału Komendy Głównej Armii Krajowej.
Zbiory Archiwum Akt Nowych

– 133 751 zł; w lutym 1944 r. – 300 515 zł; w marcu 1944 r. – 232 783 zł; w kwietniu 1944 r. – 312 776 zł; w maju 1944 r. – 237 171 zł; w czerwcu 1944 r. – 482 391 zł.

Wytworzone dokumenty

Wiele informacji o działalności wydziału „Agatona" pozostało w dokumentach, które trafiały do innych komórek wywiadu, znalazły się we wspomnieniach ich dowódcy wydziału oraz jego podwładnych i współpracowników. Dużo wiadomości niesie niewykorzystany dotychczas w publikacjach fragment archiwum wydziału „Agatona" z kartoteką poszczególnych wytwarzanych dokumentów, pieczęciami służącymi do preparowania dokumentów, wreszcie z ogromną liczbą rozmaitych wykonanych lub zdobytych zaświadczeń, legitymacji, kenkart, ausweisów, personalausweisów, sonderausweisów, poświadczeń, rozkazów podróży, świadectw, potwierdzeń wymeldowania, pism urzędowych, potwierdzeń zatrudnienia, zaświadczeń lekarskich, podań, kart meldunkowych, wyciągów z kart meldunkowych, kwestionariuszy o zamieszkaniu, zawiadomień o nieobecności w miejscu zamieszkania, zawiadomień o chorobie zakaźnej, wypisów z aktów urodzenia, aktów ślubu, zaświadczeń o szczepieniu, orzeczeń lekarskich, kart żywnościowych, czyli dokumentów, które mogły stanowić o bezpieczeństwie agentów wywiadu AK.

Wydział wykonywał dokumenty legalizacyjne dla żołnierzy i dowódców z konspiracji oraz dokumenty potrzebne podczas ważnych akcji wywiadowczych. Można tu wymienić dokumenty szefa Oddziału II Kazimierza Iranka-Osmeckiego i prawdopodobnie gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, komendanta głównego Armii Krajowej. Wykonane na życzenie Karola Trojanowskiego „Radwana", szefa Wywiadu Ofensywnego dokumenty dla Blanki Kaczorowskiej „Sroki", Mariana Drobika „Dzięcioła", Zofii Kochańskiej „Marii Springer", Kazimierza Leskiego „Bradla", Kazimierza Iranka-Osmeckiego „Makarego" oraz Romana Kiźnego „Poli". Do dzisiaj zachowały się tylko niektóre, podobnie jak i nie przetrwała dokumentacja obrazująca skomplikowany proces ich projektowania, przygotowywania i tworzenia.

Źródłem porównawczym są z pewnością materiały przygotowawcze dokumentów legalizacyjnych kilkudziesięciu agentów „Lombardu", w tym: kryptonim „L-102" „Marii" podróżującej w celach wywiadowczych po Rzeszy; „L-92" „Prota" kursującego w celach wywiadowczych m.in. do Wiednia, Ostrawy i Pragi, a po powrocie relacjonującego wydziałowi „Agaton" kontrole dokumentów, m.in.: „W Trzebini była kontrola odbyta zresztą bardzo szybko. Pokazałem tylko Dienst i Sonderausweis. W Bogumianie kontrola dokumentów jak poprzednie. Pokazałem znów Dienst i Sonderausweis"[3]; L-157 „Klimonta", penetrującego rejon Sarnak i poligon w Bliźnie; o nim pisał 20 maja 1944 r. do „Agatona" Bogusław Żurawski „Miron": „Proszę o alarmowe wykonanie 1. Karpia dla VD z terenu GG; 2. Dienstausweisu z jakiejkolwiek firmy niemieckiej z terenu Warszawy, 3. Zaświadczenia firmy, upoważniającego do wyjazdu służbowego na teren miast Dębica, Mielec, i miasta Siedlce w celu nabycia drzewa jako materiału budowlanego dla potrzeb firmy. Data urodzenia agenta 10.III.1902. Wszystkie inne dane – dowolne. Przewidywany wyjazd agenta w dniu 25.V.1944 r." (wydział miał więc pięć dni na wykonanie tych dokumentów; „Agaton" zaopatrywał Aleksandra Pieńkowskiego „Klimonta" w dokumenty we wszystkich jego wyjazdach wywiadowczych); „L-119" Aleksego Jendryczkę „Pomorskiego" rozpracowującego poligon w Peenemunde i zakłady w Policach.

Prężną działalność wydziału Stanisława Jankowskiego „Agatona" przerwało Powstanie Warszawskie. „Agaton" został wówczas dowódcą plutonu w Batalionie „Pięść". W okresie Powstania Warszawskiego oddział „Agatona" składał się z 4 oficerów, 18 podoficerów, 17 szeregowych i 6 cywilów.

Wydział stworzony i prowadzony przez Stanisława Jankowskiego „Agatona" to jedna z najlepiej zorganizowanych i przynoszących najlepsze efekty komórek Oddziału II KG AK. Przez kilka lat jego pracy udało się wytworzyć wiele fałszywych dokumentów umożliwiających prowadzenie działalności wywiadowczej przez nie tylko pojedynczych agentów, ale całe komórki i struktury. To fenomen, że w niezwykle ciężki warunkach konspiracji przy ograniczonym zaopatrzeniu i możliwościach produkcyjnych udało się przygotować produkcję na tak wysokim poziomie technicznym. ■

[1] Studium Polski Podziemnej w Londynie. [2] Techniczna Instrukcja wywiadowcza, AAN. [3] AAN. [4] Tamże.

Łatwiej walczyć niż żyć
por. Jan Rodowicz

Niezależnie od niejasności związanych z jego śmiercią, Jan Rodowicz „Anoda” stał się niekwestionowaną symboliczną postacią konspiracji antyniemieckiej oraz oporu przeciw władzy komunistycznej.

PRZEMYSŁAW BENKEN



Powojenne zdjęcie Jana Rodowicza.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Jan Rodowicz urodził się 7 marca 1923 r. w Warszawie. Jego ojciec Kazimierz Rodowicz był profesorem Politechniki Warszawskiej, a matka Zofia z d. Bortnowska była siostrą gen. Władysława Bortnowskiego, który w 1939 r. dowodził Armią „Pomorze”. Przyszły bohater dorastał w domu o tradycjach patriotycznych. Jego przodkowie walczyli w powstaniach narodowych w 1831 i 1863 r. W dzieciństwie – jak wspominała po latach jego matka – był „żywiołowy, dowcipny, rogaty, pełen pomysłów i marzeń. Uparty i zacięty. Aż się martwiłam. Ale, gdy wydoroślał, ta zawziętość stała się po prostu siłą woli”[1]. Jan Rodowicz ukończył elitarne Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie w 1939 r. W latach 1939–1941, już w warunkach okupacyjnych, kontynuował naukę na tajnych kompletach, czego zwieńczeniem była matura w czerwcu 1941 r.

Konspiracja antyniemiecka

Przed wojną Jan Rodowicz należał do 23 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej, a w 1940 r. – niejako naturalną koleją rzeczy – znalazł się w Szarych Szeregach i przyjął pseudonim „Anoda”. W konspiracyjnych drużynach harcerskich, tzw. Grupach Szturmowych, ukończył kursy z przeszkolenia bojowego, nauki o broni, dywersji i posługiwania się materiałami wybuchowymi. Był także absolwentem tajnej szkoły podchorążych, w 1942 r. uzyskał stopień starszego strzelca podchorążego.

Jan Rodowicz uczestniczył w słynnej akcji pod Arsenałem, gdy 26 marca 1943 r. Grupy Szturmowe Szarych Szeregów odbiły z rąk gestapo Janka Bytnara „Rudego”. Był wówczas dowódcą czteroosobowej sekcji „Butelki” – dzięki niej udało się zatrzymać więźniarkę, którą z innymi więźniami przewożono „Rudego”. W kilkunastominutowej wymianie ognia z ochroną pojazdu odniósł lekką ranę szyi. Podczas odwrotu, gdy przy śmiertelnie rannym Macieju Dawidowskim „Alku” pojawił się ubrany po cywilnemu uzbrojony Niemiec, „Anoda”, strzelając z dwóch rewolwerów, zabił napastnika. Dzięki temu można było ewakuować Dawidowskiego w bezpieczne miejsce. Za udział w odbiciu więźniów Rodowicza odznaczono Krzyżem Walecznych, w rozkazie podpisanym przez dowódcę Armii Krajowej gen. Stefana Roweckiego „Grota” jego

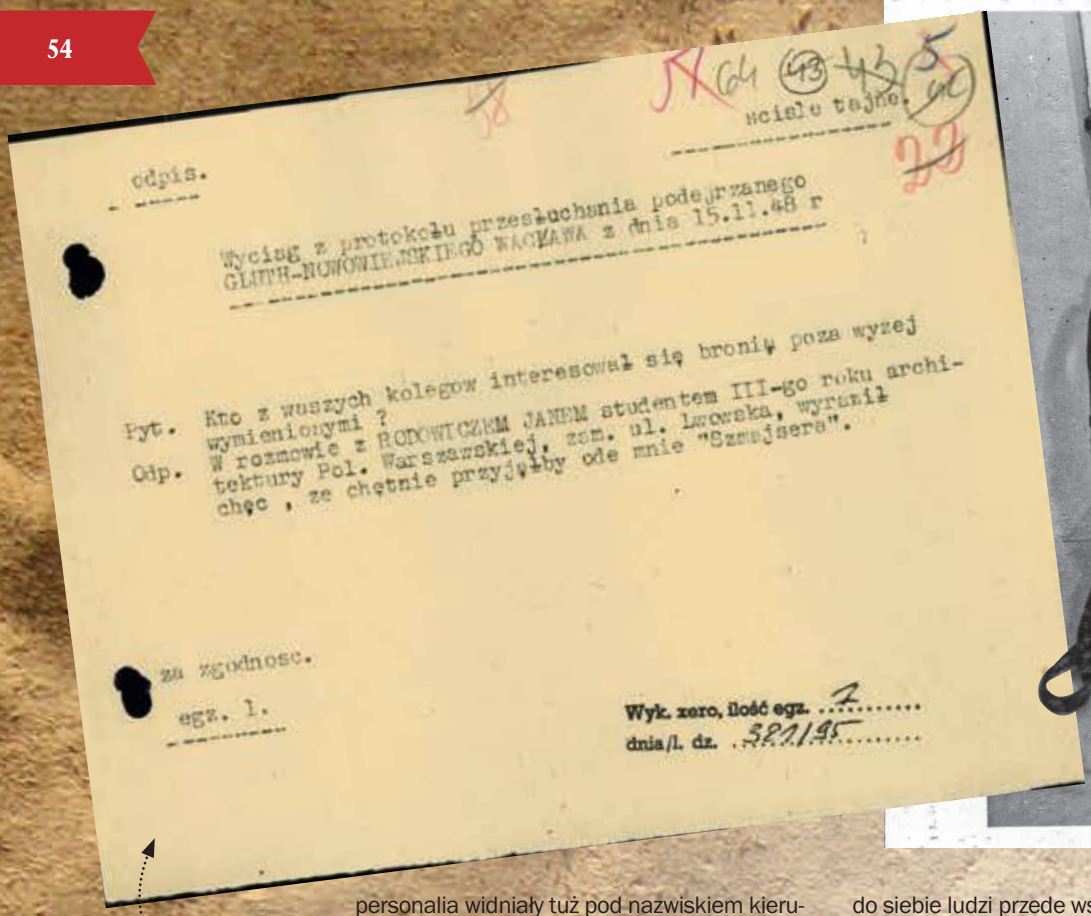

odpis.

Wyciąg z protokołu przesłuchania podejrzanego GLATH-NOWOWIEJSKIEGO WACŁAWA z dnia 15.11.48 r

Pyt. Kto z waszych kolegów interesował się bronią poza wyżej wymienionymi ?

Odp. W rozmowie z RODOWICZEM JANEM studentem III-go roku architektury Pol. Warszawskiej, zam. ul. Lwowska, wyraził chęć , że chętnie przyjąłby ode mnie "Szmajsera".

za zgodnosc.

egz. 1.

Wyk. zero, ilość egz. 7
dnia/l. dz. 321/45



Jeden z wielu przyczynków do aresztowania „Anody". Wyciąg z protokołu przesłuchania kolegi z konspiracji.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Broń z okresu wojny – ukryta przed ujawnieniem się we wrześniu 1945 r. przez Jana Rodowicza i Henryka Kozłowskiego – 4 stycznia 1949 r. odnaleziona przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

personalia widniały tuż pod nazwiskiem kierującego akcją Tadeusza Zawadzkiego „Zośki"[2].

Po przeorganizowaniu Grup Szturmowych w batalion Armii Krajowej „Zośka" Rodowicz „Anoda" 1 września 1943 r. został zastępcą dowódcy III plutonu w 1 kompanii „Felek". Brał udział we wszystkich akcjach bojowych tego oddziału, między innymi 26 września 1943 r. uczestniczył w ataku na posterunek niemieckiej żandarmerii w Wilanowie, w nocy z 23 na 24 października 1943 r. w wykolejeniu i ostrzelaniu wojskowego niemieckiego pociągu urlopowego pod Pogorzelą, natomiast w nocy z 5 na 6 kwietnia 1944 r. dowodził szczególnie udaną akcją wysadzenia przepustu kolejowego pod Rogoźnem, za co odznaczono go Krzyżem Walecznych[3].

W listopadzie 1943 r. Jan Rodowicz awansował do stopnia sierżanta podchorążego. W kwietniu 1944 r., obawiając się dekonspiracji, wyjechał z Warszawy i od 22 maja do 17 czerwca 1944 r. przebywał z plutonem „Alek", podlegającym 2 Kompanii, w tzw. bazie w lasach Puszczy Białej k. Wyszkowa, gdzie prowadził szkolenie wojskowe. Do macierzystego plutonu, który 1 czerwca wszedł w skład 2 kompanii, przyjmując kryptonim „Felek", powrócił 19 czerwca i wraz z nim przebywał w bazie od 29 czerwca do 25 lipca 1944 r. Anna Borkiewicz-Celińska „Iza" z Batalionu „Zośka" zapamiętała, że w tym czasie „Anoda": „Przyciągał do siebie ludzi przede wszystkim wielką koleżeńskością. Nigdy nie był dla nikogo obojętny i chociaż jako dowódca był jednocześnie wymagający [...] – i podkomendni, i przełożeni po prostu bardzo go lubili. Mimo że tak niezmiernie żywy i wesoły, ślubował, że nie będzie tańczył, dopóki trwa wojna. [...] gdy czasem na imprezach towarzyskich zdziwione panny pytały, dlaczego nie tańczy, odpowiadał z niezmąconą powagą: »bo nie umiem«. A tańczył świetnie!"[4].

Powstanie

I Jan Rodowicz, i jego starszy brat Zygmunt walczyli w Powstaniu Warszawskim, Zygmunt zginął 30 sierpnia. Na Woli 2 sierpnia 1944 r. „Anoda" uczestniczył w akcji zakończonej zdobyciem dwóch niemieckich czołgów średnich typu „Pantera" i w zajęciu budynku szkoły powszechnej przy ulicy Spokojnej. Jan 5 sierpnia został ranny w lewą nogę pociskiem z pistoletu maszynowego na ulicy Okopowej, po opatrzeniu rany kontynuował walkę. „Anoda" 8 sierpnia kolejny raz wyróżnił się podczas skutecznego kontrataku z rejonu Cmentarza Ewangelicko-Augsburskiego w kierunku ulic Kajetana Sołtyka i Młynarskiej na flankę niemieckiego natarcia w krytycznym momencie walki, umożliwiając powstańcom utrzymanie pozycji. Jeden z jego kolegów, Stanisław Sieradzki „Świst" zapamiętał to następująco: „Niemcy uciekają [...]. Walimy do nich skutecznie [...].



Pociski z lewej strony syczą jak osy. […] Z prawego skrzydła wali w nich ogień broni maszynowej, wpadają w gęstą sieć ognia powstańczego. Ze strzelnicy bramy centralnej kąsa erkaem »Sępa«, kąsa empik [zdobyczny niemiecki pistolet maszynowy typu MP kalibru 9 mm] »Anody«. […] Nieprzyjaciel na naszym odcinku kompletnie rozbity”[5]. Za ten wyczyn Rodowicza odznaczono Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari V kl. 14 sierpnia, a trzy dni później przedstawiono go również do awansu na stopień podporucznika.

Gdy 10 sierpnia przy ulicy Spokojnej pocisk snajpera przeszył jego lewe ramię, Rodowicza ulokowano w Szpitalu św. Jana Bożego przy ulicy Bonifraterskiej na Starówce, po czym przeniesiono do szpitala przy ulicy Miodowej. Pomimo ciężkiej rany, „Anodzie” udało się 30 sierpnia przedostać kanałami ze Starego Miasta do Śródmieścia, 8 września zaś, wraz z resztkami Batalionu „Zośka”, dotarł na Czerniaków. Rodowicz 15 września został poważnie raniony na ulicy Wilanowskiej w lewe ramię i łopatkę z potrzaskaniem kości. Następnego dnia, podczas drogi do szpitala polowego, odłamek granatu moździerzowego trafił go w lewy łokieć, dodatkowo na skutek upadku z noszy złamał lewą rękę.

Ciężko ranny, nieprzytomny powstaniec został 17 września ewakuowany na pontonie saperów Wojska Polskiego na Saską Kępę. Grozę tej przeprawy opisał po latach Stanisław Sieradzki: „[Rodowicz] z przestrzelonym płucem targa peema i walczy… I dostaje… Ramię poszarpane tuż nad sercem. […] Berlingowcy [żołnierze 1 Armii Wojska Polskiego] […] zabierają rannych pontonami. Płynę na pierwszym, Janek na trzecim. Drugi trafiony serią z granatnika idzie w nurty rzeki. Krzyk rannych zagłusza szorowanie mego pontonu o wiślany brzeg”[6].

Jan Rodowicz trafił do szpitala polowego w Aninie, gdzie poddano go operacji i trzy razy miał transfuzję krwi. Po tygodniu rannego przewieziono do szpitala wojskowego w Otwocku, z którego zbiegł do Warszawy, obawiając się aresztowania w związku z przynależnością do Armii Krajowej. W stolicy „Anoda” w miejscu dawnego mieszkania zastał zgliszcza. Wyruszył do Milanówka, gdzie odnalazł rodzinę, która przebywała tam po zakończeniu walk o miasto. Do Warszawy powrócił ponownie na przełomie lutego i marca 1945 r.

Druga konspiracja

Klęska Powstania Warszawskiego nie oznaczała, że ci z Batalionu „Zośka”, którzy przeżyli walki w obronie stolicy, nie zamierzali prowadzić działań niepodległościowych. Koniec okupacji niemieckiej i systematyczne zalewanie kraju przez siły Armii Czerwonej, za którymi podążały formacje mające za zadanie zwalczać wszelkie przejawy działalności niezależnego od Sowietów Polskiego Państwa Podziemnego, wymagały wypracowania metod adekwatnych do nowej sytuacji.

W listopadzie 1944 r. jeden z byłych dowódców kompanii Batalionu „Zośka”, Henryk Kozłowski „Kmita”, spotkał się w stolicy z płk. Janem Mazurkiewiczem „Radosławem” (dawnym dowódcą powstańczego zgrupowania swego imienia, w skład którego wchodził Batalion „Zośka”), który go poinformował o tworzeniu się tajnej, kadrowej organizacji wojskowej „Nie”, mającej kontynuować walkę o niepodległą Polskę. W styczniu 1945 r. „Kmita” dostał od „Radosława” rozkaz sformowania oddziału złożonego z weteranów batalionu. Nie był on liczny. W jego szeregach Jan Rodowicz został najpierw zastępcą dowódcy oddziału, a następnie dowódcą Grupy Specjalnej, tzw. Grupy Bojowej.

Oddział kolportował ulotki antykomunistyczne i przemalowywał rządowe plakaty, w czym specjalizował się „Anoda”. Członkowie Grupy podejmowali też próby zatrzymywania żołnierzy ludowego Wojska Polskiego, by odebrać im broń i elementy umundurowania. Planowali śmielsze działania z użyciem uzbrojenia ocalałego z czasów konspiracji antyniemieckiej i powstańczych walk w stolicy, lecz ostatecznie nigdy do tego nie doszło. Jedną z najważniejszych operacji, którą rozważali, było odbicie z obozu w Rembertowie gen. Augusta Fieldorfa „Nila”, dawnego dowódcy Kierownictwa Dywersji Armii Krajowej, zastępcy dowódcy AK i dowódcy organizacji „Nie”. Akcja została jednak odwołana, ponieważ gen. Fieldorfa wywieziono do Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Henryk Kozłowski i Jan Rodowicz stali się najbardziej zaufanymi zośkowcami „Radosława”. Towarzyszyli mu między innymi podczas konspiracyjnych spotkań, tworząc jego ochronę osobistą. W czerwcu 1945 r., doce-

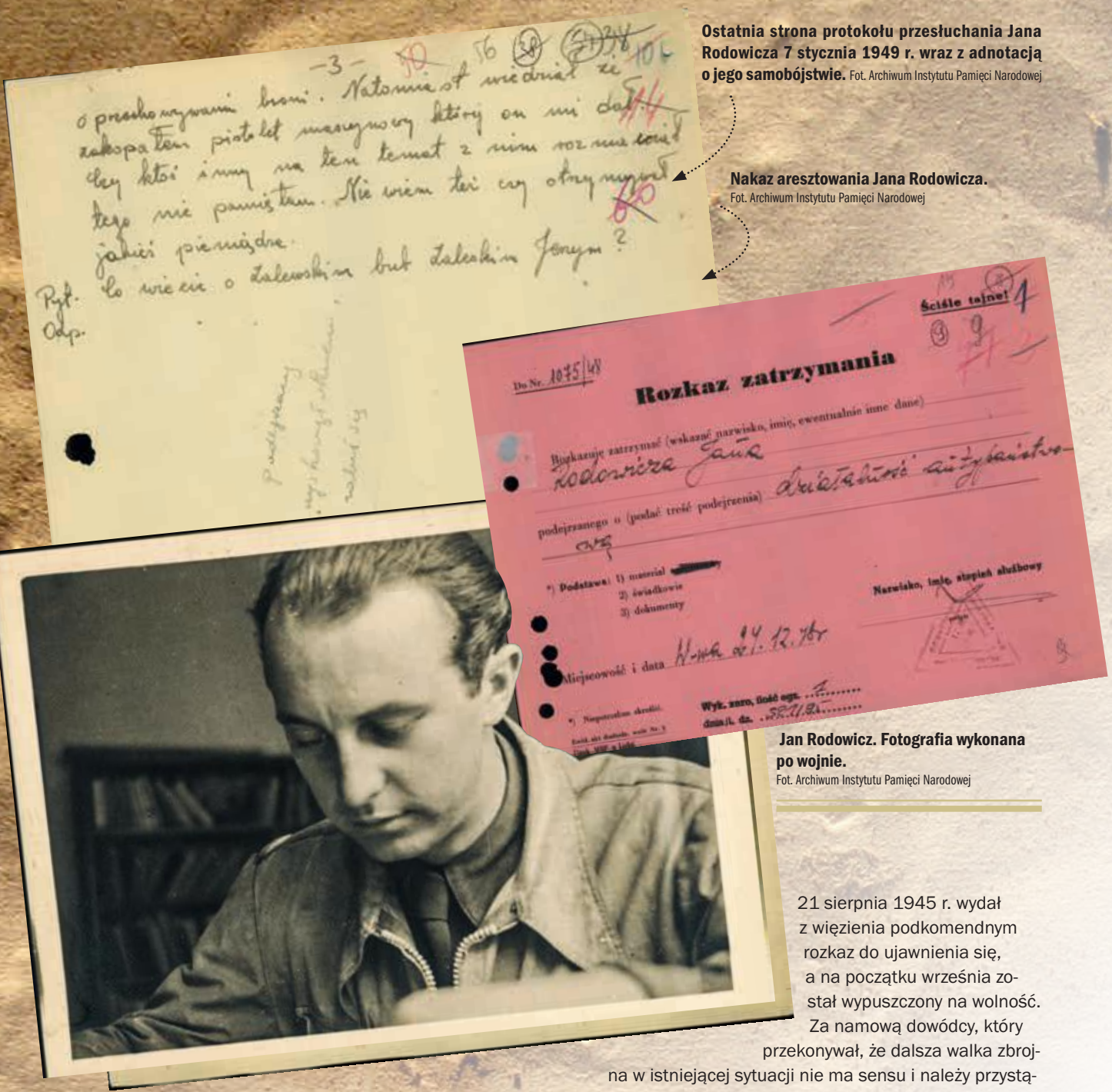

Ostatnia strona protokołu przesłuchania Jana Rodowicza 7 stycznia 1949 r. wraz z adnotacją o jego samobójstwie. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Nakaz aresztowania Jana Rodowicza. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Jan Rodowicz. Fotografia wykonana po wojnie. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

niając zaangażowanie „Anody” w działalność niepodległościową, rozkazem Delegata Sił Zbrojnych na Kraj nadano mu stopień porucznika.

W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, 1 sierpnia 1945 r., funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa aresztowali „Radosława”. Wśród jego podwładnych powstał pomysł odbicia dowódcy. W nieudanej akcji porwania sowieckiego ambasadora, w celu wymienienia go na płk. Mazurkiewicza, wziął udział także „Anoda” jako zastępca dowódcy. „Radosław” 21 sierpnia 1945 r. wydał z więzienia podkomendnym rozkaz do ujawnienia się, a na początku września został wypuszczony na wolność. Za namową dowódcy, który przekonywał, że dalsza walka zbrojna w istniejącej sytuacji nie ma sensu i należy przystąpić do odbudowy kraju oraz zdobycia wykształcenia, wielu weteranów AK się ujawniło. Chcieli oni skorzystać z zagwarantowanej im dekretem z 22 lipca 1945 r. tzw. amnestii dla żołnierzy podziemia niepodległościowego. Rodowicz przed Komisją Likwidacyjną Armii Krajowej ujawnił się na czele zorganizowanej grupy kilkunastu kolegów w połowie września, po czym przez pewien czas pracował w jej kancelarii, gdzie zbierał informacje o zaginionych w powstaniu kolegach. Wcześniej zakopał przekazaną mu przez Kozłowskiego broń zlikwidowanego oddziału.

Próba ułożenia sobie życia

Jesienią 1945 r. Jan Rodowicz rozpoczął studia. Początkowo kształcił się na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Z uwagi na duże problemy z ranioną w powstaniu ręką, nie mógł wówczas aplikować na bardziej zgodny z jego zainteresowaniami i planami zawodowymi Wydział Architektury PW, na który przeniósł się dopiero w 1947 r., gdy był już w stanie wykonywać rysunki techniczne.

Oprócz studiów Jan Rodowicz zajął się działalnością społeczną, między innymi współorganizował ekshumacje ciał poległych zośkowców leżących wciąż pod ruinami zniszczonych budynków; przygotował ewidencję zaginionych. Zachęcał kolegów do spisywania wspomnień z okresu okupacji niemieckiej i zabezpieczania zachowanych dokumentów, które zbierał, by stworzyć z nich nieformalne oddziałowe archiwum. Spośród zgromadzonych w tym celu materiałów szczególne wrażenie robiło napisane przez Jana Rodowicza w 1946 r. wspomnienie poświęcone jednemu z przyjaciół, dowódcy 2 drużyny plutonu „Felek" – Tadeuszowi Tyczyńskiemu „Pudlowi". Tyczyński był pierwszym poległym w powstaniu członkiem plutonu i fakt ten odcisnął na „Anodzie" niezatarte piętno, czemu dał wyraz, opisując myśli i emocje, które towarzyszyły mu, gdy dowiedział się o śmierci kolegi. Tekst ten ukazywał Jana Rodowicza w pełniejszym niż to często bywa świetle, a więc także jako osobę wrażliwą i skłonną do głębokich refleksji: „Samo przezwisko »Pudel« jak dużo zawiera treści, ile mieści wspomnień wesołych i smutnych, wzniosłych i zwyczajnych, z życia i z walki. Och, kochany Pudelku, jakże bliski mi jesteś – »jesteś« czy byłeś, zastanowiłem się, przecież już nie żyjesz. Ale nie! Jeszcze żyjesz, żyjesz w naszej pamięci i żyć będziesz, aż nie zginie teraz albo nie umrze później ten, kto cię choć trochę pamięta. Teraz, gdy wymawiam twoje imię – jest ono, choć tak niedawnym, lecz już tylko wspomnieniem. Ale przecież kto wie, czy za godzinę, dzień czy tydzień nie spotkamy się gdzieś tam w zaświatach i to rozstanie jest tylko bardzo krótkie"[7].

Kombatanci Batalionu „Zośka" utrzymywali ze sobą bliskie relacje. Wspólnie wyjeżdżali na obozy zimowe, w których uczestniczyli także członkowie innych powstańczych oddziałów. Pierwszy z nich odbył się na przełomie 1945 i 1946 r. w Zakopanem. Drugie zimowisko miało miejsce w Szklarskiej Porębie (1946/1947), a trzecie i zarazem ostatnie – w Karpaczu (1947/1948). Z tego właśnie okresu pochodził interesujący epizod, wspomniany przez weterankę Batalionu „Zośka", Annę Jakubowską „Paulinkę", który ukazywał rzadziej eksponowane w literaturze cechy osobowości „Anody": „Na drugim naszym wspólnym zimowisku byłam w ostatnich miesiącach ciąży i pamiętam, że właśnie Janek, chcąc mi uprzyjemnić ten okres, który dla wszystkich był czasem wesołej zabawy [...], wciągnął mnie na sankach na wysoką górę, po czym zjechał na nartach i oczekiwał mnie na dole. Oczywiście ja natychmiast się wywaliłam, podrzucona na jakiejś grudzie ziemi, i dotarłam do miejsca przeznaczenia po wielokrotnym przeturlaniu się po śniegu. Nigdy nie zapomnę miny Janka. Podleciał do mnie przerażony, podniósł ostrożnie, otrzepywał, podtrzymywał, jakbym miała się za chwilę rozpaść na kawałki. Ja śmiałam się, cały czas wiedząc, że nic mi się nie stało, a on jeszcze długo z niepokojem śledził każdy mój ruch. Bardzo mnie wtedy rozczulił tym swoim odpowiedzialnym niepokojem i troskliwością"[8].

Obozy zimowe były miejscem prowadzenia rozmów o bieżącej sytuacji geopolitycznej, część ich uczestników nie ukrywała negatywnego stosunku do nowych władz. Wśród zośkowców, którym najtrudniej było się pogodzić z komunistycznymi rządami w Polsce, był Jan Rodowicz. Młodzi ludzie snuli podczas wspólnych spotkań ogólne plany działań, które można by podjąć, gdy pojawiają się sprzyjające okoliczności. Niemniej, korzystając z okresu pozornego obniżenia poziomu represji ze strony aparatu bezpieczeństwa, nawet najbardziej antykomunistyczni zośkowcy starali się optymalnie zagospodarować ostatnie lata młodości, które mogli przeżyć w pokoju. Niestety, nie zdawali sobie sprawy ze stopnia inwigilacji ich środowiska przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Tym samym czas względnego wytchnienia, zapoczątkowany amnestią, był ciszą przed burzą, która wkrótce miała się rozpętać[9].

Śmierć

Okoliczności śmierci Jana Rodowicza, do której doszło 7 stycznia 1949 r., wciąż nie są jednoznaczne. Według oficjalnej wersji funkcjonariuszy bezpieki, do śmierci młodego mężczyzny doszło na skutek skoku samobójczego z czwartego piętra budynku MBP przy ulicy Koszykowej. Zgon nastąpił po upadku na betonowy dziedziniec. Niemniej fakt, że w sprawie „Anody", aresztowanego przez funkcjonariuszy w Wigilię Bożego Narodzenia 1948 r., dochodzenie prowadził Wydział IV Departamentu V MBP, kierowany przez znanego z bezwzględności w tropieniu wrogów komunistycznego reżimu mjr. Wiktora Herera, skłonił rodzinę Jana Rodowicza i jego kolegów z konspiracji do uznania, że „Anoda" został zamordowany. Wersja o samobójstwie miała być wykorzystana przez funkcjonariuszy, by ukryć przedwczesne uśmiercenie podejrzanego i pognębić rodzinę ofiary oraz zniszczyć powojenną legendę Rodowicza.

Aresztowanie „Anody" było elementem większej operacji wymierzonej w środowisko weteranów Armii Krajowej ze Zgrupowania „Radosław" i jego dowódcę. Rodowicza funkcjonariusze bezpieki zatrzymali pierwszego, gdyż uznano go za osobę o dużej wiedzy na temat kolegów z konspiracji, a ponadto mjr Herer miał informacje agenturalne o ukrywaniu przez „Anodę" broni z okresu okupacji, której żołnierze AK nie zdali podczas akcji ujawniania się w 1945 r. Chociaż uzbrojenia tego nigdy nie użyli prze- ▶



Zdjęcia Jana Rodowicza zrobione w siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Koszykowej w Warszawie w dniu aresztowania.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

ciw komunistom, ci ostatni chcieli je wykorzystać do oskarżenia podkomendnych „Radosława" o przygotowywanie aktów terroru wymierzonych we władze. W rzeczywistości dawni powstańcy, którzy po ujawnieniu się poszli na studia, podjęli działalność zarobkową, zaczęli zakładać rodziny – i nie stanowili dla komunistów realnego zagrożenia.

Tajemnicze przesłuchania

Niewiele wiadomo o przebiegu śledztwa „Anody". Zachowało się z niego między innymi kilka protokołów przesłuchań, życiorys Jana Rodowicza, charakterystyki oddziałów wchodzących w skład Zgrupowania AK „Radosław", protokół odkopania ukrytej przez „Anodę" broni i oficjalne informacje na temat jego śmierci przedstawione w zawiadomieniu wysłanym do rodziny. Wspomniane protokoły należy uznać za specyficzny materiał źródłowy. Wprawdzie można z nich było wyczytać, że Rodowicz wskazał miejsce ukrycia broni i opowiedział o nieobjętym tzw. amnestią z 1945 r., gdyż pochodzącym sprzed kilku miesięcy, rzekomym planie powołania „oddziału" na wypadek wojny, jednak zeznania te zapewne wymuszono oszustwem, szantażem lub biciem. Major Herer i por. Bronisław Kleina, który ostatni przesłuchiwał „Anodę", zarzekali się po latach, że Rodowicza nie tylko nigdy nie uderzono, nawet nie podnoszono na niego głosu, niemniej relacje innych więźniów MBP wskazywały, że terror fizyczny i psychiczny był podczas przesłuchań stałą praktyką.

Interesującą funkcjonariuszy wiedzę mogli oni przynajmniej częściowo uzyskać także w inny sposób. Komunistyczny aparat bezpieczeństwa pozyskał w otoczeniu weteranów Zgrupowania AK „Radosław" kilkunastu informatorów, z których część była na tyle dobrze ulokowana, że potrafiła zdobyć informacje wykorzystane później podczas poszczególnych śledztw do wpływania na podejrzanych.

Z zachowanych protokołów wynikało, że podczas przesłuchań „Anoda" nie obciążył „Radosława", odpowiadał wymijająco na pytania dotyczące dawnego dowódcy. Uzyskanie materiałów przeciwko płk. Mazurkiewiczowi było jednym z głównych celów aresztowania jego podwładnych, dlatego mjr Herer zastosował wobec Rodowicza wyrafinowane środki psychologicznego nacisku. Funkcjonariusze bezpieki 3 stycznia 1949 r. zatrzymali kilku kolejnych dawnych oficerów Batalionu „Zośka". Tego dnia „Anoda" widziany był po raz ostatni przez kolegę z Batalionu „Zośka" i nie miał wówczas śladów pobicia[10].

Hipotezy badaczy

Istniało kilka hipotez na temat okoliczności śmierci „Anody". Początkowo największe emocje budziła wersja mówiąca o tym, że Jana Rodowicza zastrzelono podczas przesłuchania. Jednym z głównych argumentów wskazujących na to, że „Anoda" został zabity strzałem w głowę, miały być świadczące o tym dokumenty, na które natrafiła jakoby w latach sześćdziesiątych krewna powstańca, Leonarda Rodowicz, pracująca wówczas w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Z akt osobowych kobiety wynikało jednak, że wydarzenia miały nieco inny przebieg. Wprawdzie rzeczywiście zetknęła się ona z materiałami dotyczącymi „Anody", jednakże nie zawierały one informacji o zastrzeleniu Jana Rodowicza w trakcie śledz-



Jan Rodowicz z Alicją Arens na spacerze w Warszawie, między 1945 r. a 1947 r. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

twa, lecz jedynie dane ewidencyjne jego sprawy z lat czterdziestych.

Część poszlak wskazywała na to, że „Anoda" mógł zginąć na skutek pobicia przez funkcjonariuszy. W 1949 r. ojciec Jana Rodowicza został poinformowany w prywatnej rozmowie przez dr. Konrada Okolskiego, dyrektora Szpitala Dzieciątka Jezus, że postanowił on złamać obietnicę milczenia daną prof. Wiktorowi Grzywo-Dąbrowskiemu, który potajemnie dokonał sekcji zwłok „Anody", i ujawnić, że „Janka zamęczono, gdyż miał wgniecioną klatkę piersiową"[11]. Według Okolskiego, gdy ciało „Anody" wkrótce po zgonie pracownicy MBP przewieźli do kierowanego przez prof. Grzywo-Dąbrowskiego Zakładu Medycy Sądowej, odmówił on podpisana przedłożonego przez funkcjonariuszy protokołu sekcji, a następnie bez ich wiedzy przeprowadził w nocy oględziny zwłok. Wykazały one liczne obrażenia, które musiały powstać na skutek pobicia. Okolski prosił o zachowanie tej wiedzy w tajemnicy, na co Rodowiczowie przystali. Słowa dyrektora szpitala znalazły potwierdzenie w liście jego córki, która w lipcu 1959 r. napisała do matki „Anody", że ojciec twierdził, powołując się na relacje wiarygodnych osób, iż: „Jan Rodowicz nie odebrał sobie życia, lecz mu je odebrano i że fakt ten nie ulega wątpliwości. [...] Myślę, że jako dyrektor szpitala związanego z kliniką, na której terenie dokonano oględzin zwłok, [ojciec] miał dostęp do prawdy o warunkach i przyczynach śmierci syna Pani"[12].

Niestety, prof. Grzywo-Dąbrowski w rozmowie z matką „Anody" na ten temat, do której doszło w 1960 r., zasłonił się niepamięcią. Było to o tyle dziwne, że lekarz ten nie był dla Rodowiczów osobą obcą, ponieważ przyjaźnił się z bratem matki „Anody". Trudno byłoby uznać, że nie pamiętał wydarzeń, do których miało dojść w styczniu 1949 r. Dlaczego nie chciał o nich porozmawiać z Zofią Rodowicz, która usiłowała ustalić w sposób definitywny przyczynę zgonu syna?

Trzecia wersja wydarzeń mówiła o tym, że Rodowicz zginął po tym, jak wyskoczył z okna budynku MBP na stojące nieopodal garaże, podejmując nieudaną próbę przedostania się na teren ambasady Wielkiej Brytanii. Rozsierdzeni tym funkcjonariusze mieli go skatować wkrótce po ujęciu. Anonimowy świadek, na podstawie którego relacji sformułowano tę hipotezę, okazał się jednak osobą mało wiarygodną.

Jak zatem było naprawdę? Wszystko wskazuje na to, że ostatecznej wersji wydarzeń nigdy już nie uda się ustalić. Niemniej nawet przyjmując, że śmierć bohatera miała miejsce na skutek skoku samobójczego, odpowiedzialność za nią spadała na funkcjonariuszy MBP. Oni to bowiem zadecydowali o jego aresztowaniu i bezpośrednio wpływali na stan psychofizyczny osadzonego.

Epilog

Komunistycznemu aparatowi bezpieczeństwa nie udało się w dłuższej perspektywie czasowej zrealizować celu, którym było wyeliminowanie ze zbiorowej pamięci Polaków bohaterskiej karty zapisanej w latach 1939–1945 i po zakończeniu II wojny światowej przez młodych ludzi walczących o niepodległą i suwerenną ojczyznę. O ludziach takich jak „Anoda" powstają filmy fabularne i dokumentalne, monografie naukowe, literatura beletrystyczna, artykuły i reportaże. Ich również upamiętniają rekonstruktorzy historyczni oraz nazwy reprezentacyjnych placów i ulic w miastach całej Polski.

PRZEMYSŁAW BENKEN doktor nauk humanistycznych, historyk wojskowości i politolog, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie, autor m.in. książki *Tajemnica śmierci Jana Rodowicza „Anody"*, Warszawa 2016.

[1] Cyt. za. B. Wachowicz, *Ułan Batalionu „Zośka". Gawęda o Janku Rodowiczu „Anodzie"*, Warszawa 2015, s. 46. [2] Zob. S. Broniewski, *Akcja pod Arsenałem*, Warszawa 1972. [3] S. Broniewski, B. Celiński, *Jan Rodowicz*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 31/3, z. 130, red. E. Rostworowski, Warszawa 1988, s. 357–358. [4] Archiwum Akt Nowych, Zbiór Akt Żołnierzy Batalionu „Zośka", sygn. 57, Odczyt Anny Borkiewicz-Celińskiej wygłoszono w Muzeum Wojska Polskiego, 2 I 1969 r., b.p. [5] [S. Sieradzki], *„Świst" – Pluton „Felek" atakuje* w: *Pamiętniki żołnierzy Batalionu AK „Zośka"*, t. 1, oprac., T. Sumiński, Warszawa 2012, s. 196 [6] Cyt. za: B. Wachowicz, *Ułan batalionu „Zośka"* w: *Antologia reportażu polskiego*, oprac. K. Heska-Kwaśniewicz, B. Zeler, Katowice 1998, s. 315. [7] Cyt. za: M. Olczak, *Jan Rodowicz. Życie i śmierć bohatera „Kamieni na szaniec"*, Warszawa 2015, s. 244. [8] Zbiory Agnieszki Pietrzak; A. Jakubowska, *Wspomnienie o Janku Rodowiczu „Anodzie"*, 7 maja 1990 r. [9] Zob. m.in. A. Pietrzak, *Żołnierze Batalionu Armii Krajowej „Zośka" represjonowani w latach 1944–1956*, Warszawa 2008. [10] Zob. m.in. P. Benken, *Tajemnica śmierci Jana Rodowicza „Anody"*, Warszawa 2016. [11] AAN, Zbiór Akt Żołnierzy Batalionu „Zośka", sygn. 57, Relacja Zofii Rodowicz, 30 maja 1968 r., b.p. [12] Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego, sygn. MPW-A/185 MPW-A/1830, List Haliny Kaczorowskiej do Zofii Rodowicz, 29 lipca 1959 r., b.p.

Bibliografia

Benken P., *Tajemnica śmierci Jana Rodowicza „Anody"*, Warszawa 2016. Broniewski S., *Akcja pod Arsenałem*, Warszawa 1972. Olczak M., *Jan Rodowicz. Życie i śmierć bohatera „Kamieni na szaniec"*, Warszawa 2015. Pietrzak A., *Żołnierze Batalionu Armii Krajowej „Zośka" represjonowani w latach 1944–1956*, Warszawa 2008. *Pamiętniki żołnierzy Batalionu AK „Zośka"*, t. 1, oprac. T. Sumiński, Warszawa 2012. *Polski słownik biograficzny*, t. 31/3, z. 130, red. E. Rostworowski, Warszawa 1988. Wachowicz B., *Ułan Batalionu „Zośka". Gawęda o Janku Rodowiczu „Anodzie"*, Warszawa 2015.

Niezniszczalny funkcjonariusz

„Zadaniem naszym jest nie tylko zniszczyć was fizycznie, ale my musimy zniszczyć was moralnie w oczach społeczeństwa” – mówił Wiktor Herer podczas przesłuchania żołnierza Armii Krajowej.

PRZEMYSŁAW BENKEN

Wiktor Herer urodził się 19 stycznia 1920 r. w Czerniowcach na Bukowinie (Rumunia). W 1920 r. jego rodzina przeniosła się do Lwowa. Rodzice pracowali jako urzędnicy, ojciec należał do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. W 1934 r. Wiktor Herer wstąpił do organizacji „Pionier” kierowanej przez Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej; wkrótce jednak zatrzymała go policja przy rozrzucaniu nielegalnych ulotek.
W 1935 r. stanął przed sądem dla nieletnich. Został uniewinniony i wkrótce wyjechał do Warszawy, gdzie do 1938 r. uczęszczał do prywatnego gimnazjum. Nie zaprzestał przy tym aktywności politycznej – w latach 1935–1938 zaangażował się między innymi w działalność Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (w 1936 r. spędził sześć wakacyjnych tygodni w areszcie w Kosowie Huculskim).



Wiktor Herer w 1947 r.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

II wojna światowa

Po zakończeniu edukacji w Warszawie Herer powrócił do Lwowa, gdzie bezskutecznie aplikował na studia. Dopiero po wkroczeniu do miasta Armii Czerwonej dostał się na Wydział Rolny Politechniki Lwowskiej, z którego w 1940 r. przeniósł się na Wydział Ekonomiczny Instytutu Handlu Radzieckiego we Lwowie. Oprócz podjęcia nauki, Herera pochłaniała działalność o charakterze społeczno-politycznym. W latach 1939–1940 sprawował funkcję kierownika dzielnicowego klubu dla młodzieży robotniczej oraz sekretarza biura Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży na Wydziale Rolnym Politechniki Lwowskiej.

Po ataku III Rzeszy na ZSRS Herer ewakuował się na wschód. Przebywał krótko w obwodzie charkowskim, po czym w październiku 1941 r. znalazł się w Tbilisi, gdzie do 1943 r. studiował na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu im. Józefa Stalina.
W czerwcu 1943 r. zgłosił się na ochotnika do formowanej wówczas 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W lipcu ukończył szkolenie dla oficerów oświatowych i otrzymał stopień chorążego. Był następnie zastępcą dowódcy baterii artylerii do spraw politycznych w ośrodku szkolenia artylerzystów w Tambowie, po czym służył jako instruktor propagandy w różnych pododdziałach piechoty ludowego Wojska Polskiego. W grudniu 1944 r. został członkiem Polskiej Partii Robotniczej, zaś w marcu 1945 r. awansował na porucznika. Koniec wojny zastał go w rejonie Berlina, po czym przybył do Warszawy, gdzie do września 1945 r. służył jako st. instruktor Zarządu Polityczno-Wychowawczego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Następnie Herer został na własną prośbę przeniesiony do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i wkrótce objął funkcję zastępcy naczelnika Wydziału IV Departamentu V.

W bezpiece

Kierowany przez Julię Brystygierową Departament V zajmował się sprawami społeczno-politycznymi, a Wydział IV rozpracowywał legalne organizacje młodzieżowe. Służba w MBP była jednym z ważniejszych elementów biografii Herera, który wykonywał powierzone mu zadania tak dobrze, że w maju 1946 r. mianowano go p.o. naczelnika Wydziału IV, zaś już w grudniu awansowano na stopień majora. Jednym z głównych zadań funkcjonariusza było uniemożliwienie przeprowadzenia rzekomych działań antypaństwowych przez ▶

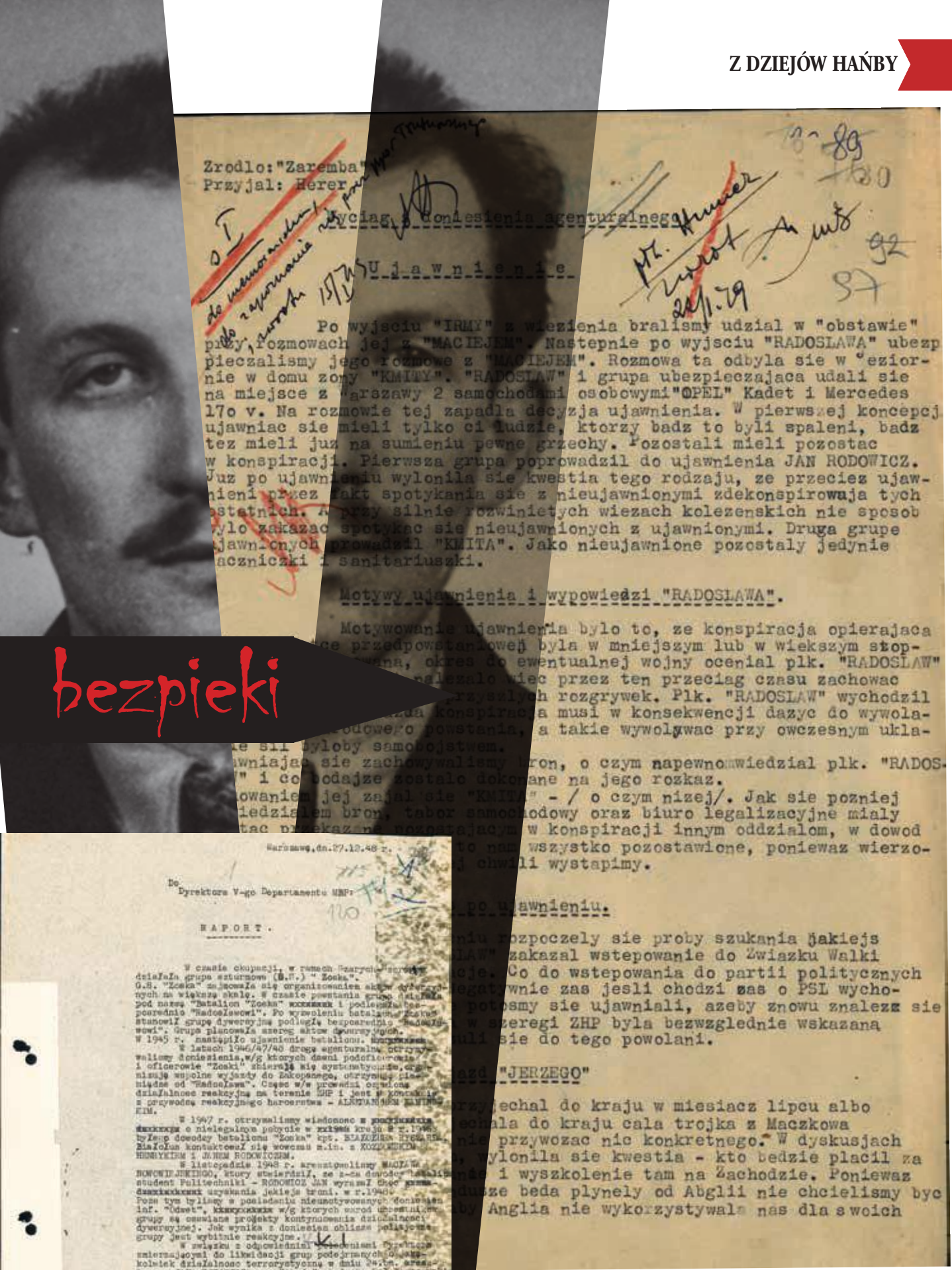

bezpieki

Zrodlo:"Zaremba"
Przyjal: Herer

Wyciag z doniesienia agenturalnego

U j a w n i e n i e

Po wyjsciu "IRMY" z wiezienia bralismy udzial w "obstawie" przy rozmowach jej z "MACIEJEM". Nastepnie po wyjsciu "RADOSLAWA" ubezpieczalismy jego rozmowe z "MACIEJEM". Rozmowa ta odbyla sie w [illegible]ezior-nie w domu zony "KMITY". "RADOSLAW" i grupa ubezpieczajaca udali sie na miejsce z Warszawy 2 samochodami osobowymi "OPEL" Kadet i Mercedes 170 v. Na rozmowie tej zapadla decyzja ujawnienia. W pierwszej koncepcji ujawniac sie mieli tylko ci ludzie, ktorzy badz to byli spaleni, badz tez mieli juz na sumieniu pewne grzechy. Pozostali mieli pozostac w konspiracji. Pierwsza grupe poprowadzil do ujawnienia JAN RODOWICZ. Juz po ujawnieniu wylonila sie kwestia tego rodzaju, ze przeciez ujawnieni przez fakt spotykania sie z nieujawnionymi zdekonspirowuja tych ostatnich. A przy silnie rozwinietych wiezach kolezenskich nie sposob bylo zakazac spotykac sie nieujawnionych z ujawnionymi. Druga grupe ujawnionych poprowadzil "KMITA". Jako nieujawnione pozostaly jedynie lacznicki i sanitariuszki.

Motywy ujawnienia i wypowiedzi "RADOSLAWA".

Motywowanie ujawnienia bylo to, ze konspiracja opierajaca [illegible] przedpowstaniowej byla w mniejszym lub w wiekszym stop-[illegible]ana, okres do ewentualnej wojny ocenial plk. "RADOSLAW" [illegible] nalezalo wiec przez ten przeciag czasu zachowac [illegible] przyszlych rozgrywek. Plk. "RADOSLAW" wychodzil [illegible] konspiracja musi w konsekwencji dazyc do wywola-[illegible] powstania, a takie wywolywac przy owczesnym ukla-[illegible] byloby samobojstwem.
[illegible]awniajac sie zachowywalismy bron, o czym napewno wiedzial plk. "RADOS-[illegible]" i co dodajze zostalo dokonane na jego rozkaz.
[illegible]owaniem jej zajal sie "KMITA" - / o czym nizej /. Jak sie pozniej [illegible]iedzialem bron, tabor samochodowy oraz biuro legalizacyjne mialy [illegible] przekazane pozostajacym w konspiracji innym oddzialom, w dowod [illegible] wszystko pozostawione, ponieważ wierzo-[illegible] chwili wystapimy.

[illegible] po ujawnieniu.

[illegible]niu rozpoczely sie proby szukania jakiejs [illegible]LAW" zakazal wstepowanie do Związku Walki [illegible]cje. Co do wstepowania do partii politycznych [illegible]egatywnie zas jesli chodzi zas o PSL wycho-[illegible] potomy sie ujawnieli, azeby znowu znalezc sie [illegible] w szeregi ZHP byla bezwzglednie wskazana [illegible]uli sie do tego powolani.

[illegible] "JERZEGO"

[illegible]rzyjechal do kraju w miesiacz lipcu albo [illegible]echala do kraju cala trojka z Maczkowa [illegible] przywozac nic konkretnego. W dyskusjach [illegible], wylonila sie kwestia - kto bedzie placil za [illegible] i wyszkolenie tam na Zachodzie. Ponieważ [illegible]dsze beda plynely od Abglii nie chcielismy byc [illegible]by Anglia nie wykorzystywala nas dla swoich

Warszawa, dn. 27.12.48 r.

Do
Dyrektora V-go Departamentu MBP

R A P O R T .

W czasie okupacji, w ramach Szarych Szeregów działała grupa szturmowa (B.N.) "Zoska". G.S. "Zoska" zajmowała się organizowaniem aktów dywersyjnych na większą skalę. W czasie powstania grupa działała pod nazwą "Batalion "Zoska" [illegible] i podlegała bezpośrednio "Radosławowi". Po wyzwoleniu batalion "Zoska" stanowił grupę dywersyjną podległą bezpośrednio "Radosławowi". Grupa planowała szereg aktów dywersyjnych.
W 1945 r. nastąpiło ujawnienie batalionu. [illegible]
W latach 1946/47/48 drogą agenturalną otrzymywaliśmy doniesienia, w/g których dawni podoficerowie i oficerowie "Zoski" zbierają się systematycznie, organizują wspólne wyjazdy do Zakopanego, otrzymują pieniądze od "Radosława". Część w/w prowadzi ożywioną działalność reakcyjną na terenie ZHP i jest w kontakcie z przywódcą reakcyjnego harcerstwa - ALEKSANDREM KAMIŃSKIM.
W 1947 r. otrzymaliśmy wiadomość o [illegible] o nielegalnym pobycie w [illegible] kraju [illegible] r. 1946 byłego dowódcy batalionu "Zoska" kpt. KAZIMIERZA MORAWSKIEGO. Działalnością kontaktował się wówczas m.in. z KOZŁOWSKIM HENRYKIEM i JANEM RODOWICZEM.
W listopadzie 1948 r. aresztowaliśmy WACŁAWA [illegible] RODOWICZUKIEGO, który stwierdził, że z-ca dowódcy batalionu student Politechniki - RODOWICZ JAN wyraził chęć [illegible] uzyskania jakiejś broni. W r. 1946 [illegible]
Poza tym byliśmy w posiadaniu nieumotywowanych doniesień inf. "Odwet", [illegible] w/g których wśród uczestników grupy są omawiane projekty kontynuowania działalności dywersyjnej. Jak wynika z doniesień obecnie politycznie grupa jest wybitnie reakcyjna.
W związku z odpowiednimi [illegible] zmierzającymi do likwidacji grup podejrzanych o [illegible] kolwiek działalność terrorystyczną w dniu 24.12. aresztowano JANA RODOWICZA, ps. "Anoda", studenta Pol. Warszawskiej. RODOWICZ złożył następujące zeznania:

1) Broń batalionu "Zoska" w ilości ok. 20 szt. (automaty, pistolety) wraz z amunicją została zamelinowana przed ujawnieniem w dwóch miejscach.

2) Dowództwo batalionu w osobach KOZŁOWSKIEGO HENRYKA inżyniera, mieszkającego w Min. Przemysłu, RODOWICZA JANA, CHLIMIŃSKIEGO BOGDANA, inżyniera-mechanika i [illegible] WOJCIECHOWSKIEGO [illegible] poczyniło przygotowania na wypadek wybuchu wojny. Postanowiono przenieść broń na upatrzone miejsce w lasach na [illegible] gdzie miała nastąpić koncentracja [illegible].

verte:

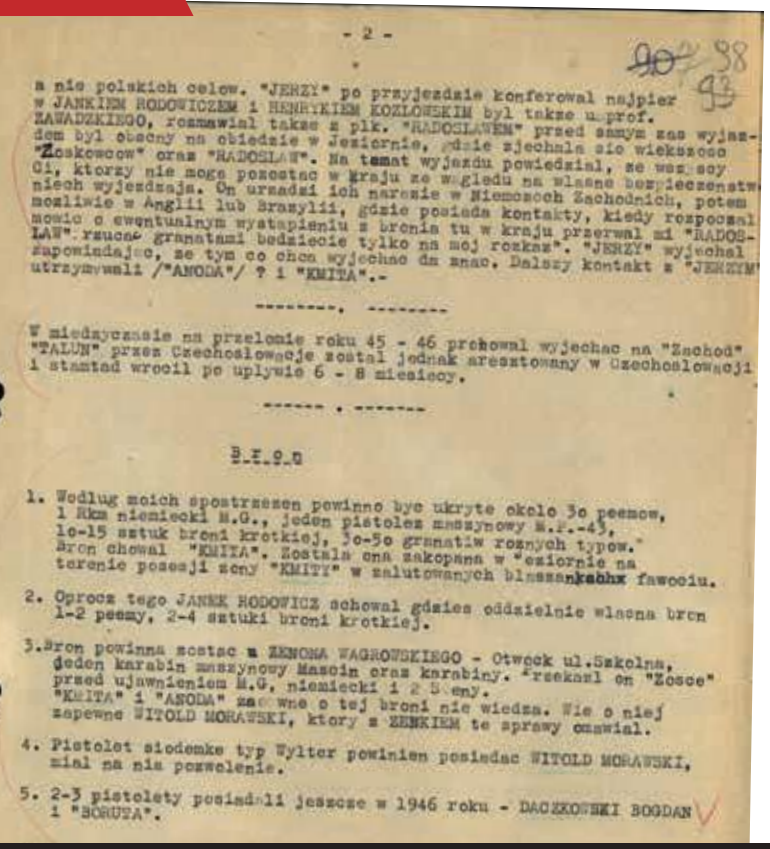

- 2 -

a nie polskich celow. "JERZY" po przyjezdzie konferowal najpier
w JANKIEM RODOWICZEM i HENRYKIEM KOZLOWSKIM byl takze u prof.
ZAWADZKIEGO, rozmawial takze z plk. "RADOSLAWEM" przed samym zas wyjaz-
dem byl obecny na obiedzie w Jezierniu, gdzie zjechala sie wieksz
"Zoskowcow" oraz "RADOSLAW". Na temat wyjazdu powiedzial, ze wsz
Ci, ktorzy nie moga pozostac w kraju ze wzgledu na wlasne bezpieczenstw
niech wyjezdzaja. On urzadzi ich narazie w Niemczech Zachodnich, potem
mozliwie w Anglii lub Szwajcarii, gdzie posiada kontakty, kiedy rozpocza
mowic o ewentualnym wystapieniu z bronia tu w kraju przerwal mi "RADOS-
LAW": rzucac granatami bedziecie tylko na moj rozkaz". "JERZY" wyjechal
zapowiadajac, ze tym co chca wyjechac da znac. Dalszy kontakt z "JERZYM"
utrzymywali /"ANODA"/ ? i "KNITA".-

--------. --------

W miedzyczasie na przelomie roku 45 - 46 probowal wyjechac na "Zachod"
"TALUN" przez Czechoslowacje zostal jednak aresztowany w Czechoslowacji
i stamtad wrocil po uplywie 6 - 8 miesiecy.

------ . -------

B.r.g.n

1. Wedlug moich spostrzezen powinno byc ukryte okolo 3o peemow,
1 Rkm niemiecki M.G., jeden pistolet maszynowy M.P.-43,
1o-15 sztuk broni krotkiej, 3o-5o granatow rosnych typow.
Bron chowal "KNITA". Zostala ona zakopana w "oziornie na
terenie posesji zony "KNITY" w zalutowanych blaszankach fawoclu.

2. Oprocz tego JANEK RODOWICZ schowal gdzies oddzielnie wlasna bron
1-2 peemy, 2-4 sztuki broni krotkiej.

3. Bron powinna zostac u ZENONA WAGROWSKIEGO - Otwock ul.Szkolna,
jeden karabin maszynowy Maxim oraz karabiny. "rzekazl on "Zosce"
przed ujawnieniem M.G. niemiecki i 2 S[illegible]eny.
"KNITA" i "ANODA" zac[illegible]wne o tej broni nie wiedza. Wie o niej
zapewne WITOLD MORAWSKI, ktory z ZENKIEM te sprawy omawial.

4. Pistolet siedemke typ Wylter powinien posiadac WITOLD MORAWSKI,
zial na nia pozwolenie.

5. 2-3 pistolety posiadali jeszcze w 1946 roku - DACZKOWSKI BOGDAN
i "BORUTA".

młodych weteranów podziemia niepodległościowego, którzy skorzystali z zaproponowanej im w 1945 r. przez komunistyczne władze tzw. amnestii i się ujawnili.

Efektem procesu rozpracowywania przez Wydział IV wspomnianych środowisk była między innymi akcja aresztowań obejmująca kilkadziesiąt osób z dawnego Zgrupowania Armii Krajowej „Radosław", prowadzona na przełomie 1948 i 1949 r. oraz na początku 1950 r. (tzw. sprawa „Zośki"). Herer odgrywał w tych wydarzeniach znaczącą rolę, koordynując działania pracowników wydziału, osobiście przesłuchując podejrzanych, prowadząc pozyskanych wcześniej informatorów oraz werbując nowych. Druga połowa lat czterdziestych była najbardziej mrocznym okresem w życiu funkcjonariusza, i z tego okresu pochodzą słowa, które wypowiedział do jednego z podejrzanych, Wiesława Chrzanowskiego: „Zadaniem naszym jest nie tylko zniszczyć was

Doniesienie agenturalne przyjęte przez mjr. Wiktora Herera od Dontata Czerwacza, informatora o pseudonimie „Zaręba" w związku z tzw. sprawą „Radosława".
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

„musimy zniszczyć was moralnie



Wiktor Herer w mundurze z dystynkcjami podpułkownika, początek lat pięćdziesiątych XX w.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

fizycznie, ale my musimy zniszczyć was moralnie w oczach społeczeństwa"[1].

Według relacji osób przesłuchiwanych przez naczelnika Wydziału IV, nie stosował on wobec nich przemocy fizycznej, a jedynie perswazję słowną i psychologiczne manipulacje. Niemniej, gdy to zawodziło, podlegli mu funkcjonariusze sięgali po brutalne metody. W celu wymuszenia zeznań Herer nie cofał się przed straszeniem podejrzanych prześladowaniami ich najbliższych, jak również podejmował decyzje o umieszczaniu więźniów w karcerze, gdzie panowały straszne warunki.

Najbardziej znaną sprawą prowadzoną przez Herera było dochodzenie przeciwko Janowi Rodowiczowi „Anodzie", weteranowi Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego, w 1948 r. studentowi Politechniki Warszawskiej. Herer na początku lat dziewięćdziesiątych uparcie twierdził, że „Anodę" zatrzymano po wybuchu w łazience Pałacu Belwederskiego, w którym mieszkała Zofia Dzierżyńska. Wiedząc jakoby, że Rodowicza podejrzewano o spowodowanie tej eksplozji, funkcjonariusz postanowił podjąć stosowne środki zaradcze, by nie wpadł on w ręce słynącego z brutalnych metod Departamentu Śledczego Józefa Różańskiego. Herer – szanujący jakoby konspiracyjną przeszłość wojenną „Ano-

dy” – chciał go „chronić” przed wyniszczającym śledztwem poprzez aresztowanie przez Wydział IV i przetrzymywanie do momentu, aż sprawa wybuchu w Belwederze przycichnie.

Rodowicz nie wyszedł już żywy z aresztu śledczego MBP przy ulicy Koszykowej. Zakończył życie 7 stycznia 1949 r. Według Herera, więzień wykorzystał chwilę nieuwagi prowadzącego go na kolejne przesłuchanie do gabinetu majora funkcjonariusza, wyskoczył przez okno z czwartego piętra i zginął na miejscu. Zdaniem oficera, było to samobójstwo spowodowane załamaniem psychicznym. Major nie przyznawał się, by „Anoda” podczas śledztwa był bity. Okoliczności i przyczyny śmierci Rodowicza nie udało się do dzisiaj definitywnie ustalić[2].

Kariera naukowa i problemy z linią partii

Pod koniec 1950 r., w związku z reorganizacją struktur MBP, Herera mianowano naczelnikiem Wydziału I Departamentu V. Funkcję tę sprawował do końca 1951 r., po czym został zwolniony z MBP w stopniu podpułkownika i przekazany do dyspozycji Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. W PKPG (którą w 1957 r. przekształcono w Komisję Planowania Gospodarczego przy Radzie Ministrów) Herer pracował do końca lipca 1966 r., pełniąc między innymi funkcję dyrektora zespołu rolnictwa. Od 1 sierpnia 1966 r. pracował w Instytucie Planowania przy Komisji Planowania Gospodarczego, przez pewien czas zajmując stanowisko wicedyrektora.

Ważnym momentem w życiu Herera było kontestowanie w drugiej połowie lat sześćdziesiątych niektórych aspektów polityki ekonomicznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wpływ na to miało zapewne słabnięcie jego pozycji jako naukowca po 1956 r., związane z wymianą ekipy rządowej. Krytyka niektórych działań władz i żydowskie korzenie kosztowały go w 1966 r. utratę stanowiska w KPG.

W Solidarności

Kolejny krok w kierunku kontestacji polityki rządu Herer uczynił w latach 1980–1981. Z rekomendacji Jacka Kuronia został doradcą NSZZ „Solidarność” (w 1980 r.) i należał doń do 1989 r. To z pewnością ważny moment w jego życiu, będący w kontrze do jego wcześniejszych życiowych wyborów. W latach dziewięćdziesiątych Herer tłumaczył swój ideowy zwrot następująco: „Chciałem zaznaczyć, że w styczniu 1952 r. przestałem być pracownikiem MBP z rozmaitych powodów, m.in. na skutek nacisków doradców sowieckich. [...] W latach czterdziestych przeszedłem bardzo radykalną ewolucję poglądów politycznych. Już od połowy lat pięćdziesiątych podlegałem różnym formom dyskryminacji politycznej. [...] Po stanie wojennym przestałem być członkiem partii”[3]. Cytat ten wskazywał na to, że Herer chciał przedstawić siebie niemalże jako osobę dręczoną przez system komunistyczny, gdy w rzeczywistości padł jedynie ofiarą walk frakcyjnych wewnątrz partii. Służbę w aparacie bezpieczeństwa ukazywał on w kategoriach misji, której ukrytym celem było niedopuszczenie do sowietyzacji powojennej Polski.

Sugestie byłego funkcjonariusza MBP, jakoby jedynym jego celem było zapobieżenie wprowadzenia w Polsce sowieckiego terroru, należałoby odrzucić, podobnie jak stwierdzenia, że był on z tego powodu poddawany represjom. Tłumaczenia te były nieudolną próbą ucieczki od przeszłości w celu niedopuszczenia do jej rozliczenia. Jeszcze w 1980 r. głosił on publicznie, że system komunistycznych rządów w Polsce jest nieodwracalny, i przestrzegał przed zmianami o rewolucyjnym charakterze.

Herera uznano w środowisku opozycyjnym za cenny nabytek, ponieważ był uważany za specjalistę w zakresie ekonomiki rolnictwa i makroekonomii. Przeszłość uczonego wzbudziła jednak zastrzeżenia części członków Solidarności. Niektórzy z nich padli ofiarą represji w okresie stalinowskim, zatem trudno im było akceptować sytuację, w której dawny prominentny funkcjonariusz bezpieki miałby odgrywać w ruchu związkowym niemałą rolę. Przykładem tego był Wiesław Chrzanowski, którego konfrontację z Hererem z 1981 r. ▶

w oczach społeczeństwa”



Leszek Żebrowski opisał następująco: „W 1981 r. na posiedzeniu Komisji Krajowej »Solidarności« w Gdańsku Jacek Kuroń przyprowadził nową grupę doradców. Opowiadał to profesor Wiesław Chrzanowski [...]. Usiadł koło niego starszy pan, który wydał się Chrzanowskiemu znajomy, jednak skojarzenia wydawały się niemożliwe. Gdy Jacek Kuroń przedstawił ekspertów, okazało się, że to Wiktor Herer... nowy specjalista od rolnictwa. Tu profesor Chrzanowski nie wytrzymał. Wstał i powiedział, że: »Przecież ten człowiek to jest ubek, który nas przesłuchiwał«. Kuroń na to odpowiedział: »Jak wam się nie podoba, to możecie wyjść«"[4].

Zdemaskowanie przeszłości Herera nie doprowadziło do usunięcia go z Solidarności. Brał on udział w debatach organizowanych przez związek, był współautorem analiz omawiających sytuację gospodarczą kraju oraz wykonywał ekspertyzy wykorzystywane w toku negocjacji z rządem. Ponadto przez pewien czas publikował swoje teksty w „Tygodniku Solidarność".

Po wprowadzeniu stanu wojennego działalność Herera w podziemnym już związku uległa zawieszeniu. Demonstracja siły komunistycznego reżimu, którą były wydarzenia 13 grudnia, skłoniła Herera do zaprzestania angażowania się w krytykę polityki władz. Gdy w lutym 1982 r. zaczął pracę w Instytucie Gospodarki Narodowej, w publikacjach swych ograniczał się do wskazywania niedostatków strategii gospodarczej za rządów Edwarda Gierka. Herer ponownie stał się widoczny w kontekście współpracy z Solidarnością dopiero w 1989 r., gdy był konsultantem ekonomicznym przy formującym się rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Znalazło to odzwierciedlenie w dziennikach Waldemara Kuczyńskiego. Przykładowo pod datą 5 września znalazła się informacja o tym, że podczas prowadzenia rozmów związanych z exposé Mazowieckiego, Herer przebywał w Urzędzie Rady Ministrów, od wielu godzin pisząc notatkę „prawdopodobnie o sytuacji gospodarczej i pilnych działaniach doraźnych"[5].

Konkluzja

Herer zmarł 24 marca 2003 r. Nigdy nie został rozliczony za działalność w MBP, która przyczyniła się do wielu osobistych tragedii młodych patriotów walczących z Niemcami w okresie II wojny światowej. Ludzie ci, na których zeznania wymuszano torturami i których skazywano na wieloletnie pozbawienie wolności jedynie dlatego, że władze uważały ich za „element niepewny", spędzili w komunistycznych katowniach i więzieniach o zaostrzonym rygorze potencjalnie najlepszy okres powojennego życia. Nawet po wyjściu na wolność mieli oni często problemy ze znalezieniem pracy, dokuczały im choroby i urazy psychiczne, które były spowodowane pobytem w więzieniu. Na skutek działań MBP rozpadła się niejedna rodzina, a niewykluczone, że Jan Rodowicz został zamordowany podczas śledztwa. Trudny do zaakceptowania jest też fakt, że uczony występował jako zakulisowy konsultant strony solidarnościowej przy tworzeniu się pierwszego od zakończenia II wojny światowej rządu w Polsce, w którym komuniści nie byli stroną dominującą. ■

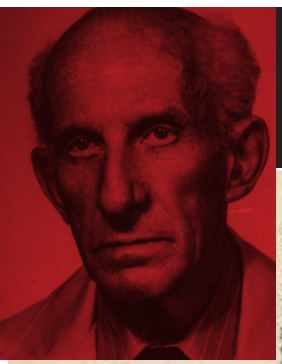

Gdy Jacek Kuroń przedstawił ekspertów, okazało się, że to Wiktor Herer... nowy specjalista od rolnictwa. Tu profesor Chrzanowski nie wytrzymał. Wstał i powiedział, że: »Przecież ten człowiek to jest ubek, który nas przesłuchiwał«. Kuroń na to odpowiedział: »Jak wam się nie podoba, to możecie wyjść«"

Wiktor Herer w 1987 r.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Poza tym przystąpiono do montowania radiostacji. Pieniądze na ten cel posiadał HENRYK KOZŁOWSKI. Pochodzenia pieniędzy nie ustalono. Kontaktów KOZŁOWSKIEGO odgórnych nie ustalono. Przygotowania były czynione w ciągu ostatniego miesiąca.

RODOWICZ twierdzi stanowczo, że "Radosław" wiedział o zachowaniu broni. Poza tym wyraża przypuszczenie że cała akcja przygotowawcza była prowadzona przez KOZŁOWSKIEGO w porozumieniu z "Radosławem". Sam RODOWICZ nie prowadził bezpośrednich rozmów z "Radosławem" w sprawie reaktywowania batalionu "Zośka".

Jak wynika z zeznań akcję przygotowawczą do reaktywacji działalności dywersyjnej prowadziły następujące osoby: KOZŁOWSKI HENRYK, SZYMANOWSKI WOJCIECH, CELIŃSKI BOGDAN, WOLSKI ANDRZEJ, student Pol. Warszawskiej, pracownik redakcji "Słowa Powszechnego".

Systematyczny kontakt utrzymywali ze sobą i wiedzieli o istnieniu zachowanej broni nast. osoby z "Zośki": LECHOWICZ STANISŁAW, ppor., MORAWSKI WITOLD, ppor. (zona urzędniczka Ambasady angielskiej), CZERWIACZ DONAT, GLINKA MICHAŁ, WOLSKI ANDRZEJ, SOWIŃSKI ANDRZEJ, CZERNY WŁODZIMIERZ (syn kontradmirała) KEPURA STANISŁAW, BĘDZIŃSKI RYSZARD, SUMIŃSKI JERZY, RYBKA STANISŁAW, RUDNICKI SŁAWOMIR.

Wszyscy w/w poza SOWIŃSKIM i BĘDZIŃSKIM są studentami warszawskich wyższych uczelni.

Uwaga

W związku z powyższą sprawą zachodzi konieczność realizacji KOZŁOWSKIEGO HENRYKA, SZYMANOWSKIEGO WOJCIECHA, CELIŃSKIEGO BOGDANA i WOLSKIEGO ANDRZEJA.

Pod znakiem zapytania jest celowość aresztu pozostałych wymienionych w raporcie ludzi z "Zośki".

Sądzę jednak stwierdzić, że w wypadku aresztu wymienionej przez nas grupy 4 osób, pozostali ludzie mogą się zacząć ukrywać, przyczym bardzo możliwe, że nie ograniczą się do pasywnego ukrywania, ale rozpoczną działalność bandycką. Taka możliwość jest b. prawdopodobna.

Proszę o decyzję w powyższej sprawie.

Naczelnik IV-go Wydziału

HERER, mjr.

Odb. egz. 2

Raport mjr. Wiktora Herera do dyrektor Departamentu V MBP Julii Brystygierowej w sprawie rozpracowania weteranów Zgrupowania AK „Radosław". Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

[1] Cyt. za: Cz. Leopold, K. Lechicki, *Więźniowie polityczni w Polsce 1945–1956*, Paryż 1983, s. 15. [2] Szczegółowe informacje na temat okoliczności śmierci „Anody" przedstawiono w: P. Benken, *Tajemnica śmierci Jana Rodowicza „Anody"*, Warszawa 2016. [3] Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 2188/680, Protokół z przesłuchania świadka Wiktora Herera w sprawie wyjaśnienia okoliczności śmierci Jana Rodowicza, 15 października 1992 r., k. 19. [4] L. Żebrowski, *Ostatnie powstanie narodowe*, źródło internetowe: http://www.blogpress.pl/node/17106 [dostęp 18 VII 2016 r.]. [5] W. Kuczyński, *Solidarność u władzy: dziennik 1989–1993*, Gdańsk 2010, s. 20, 369.

Postaci, które jako bardzo młode osoby tworzyły w Krakowie oddolnie struktury Kedywu, nazywam konspiracyjnymi szesnastolatkami i w moim przekonaniu powinny one stać się symbolami tamtego pokolenia na równi z bohaterami *Kamieni na szaniec* opisanymi przez Aleksandra Kamińskiego – mówi Janusz Baster, syn Józefa Bastera „Raka”.

KRAKOWSKA TRIADA



Sztab krakowskiego Kedywu 24 czerwca 1944 r. podczas imienin Jana Pańczakiewicza „Skały” w Zielonej k. Biórkowa, gdzie się „Skała” ukrywał, w dniu wspólnego podjęcia decyzji o zorganizowaniu batalionu partyzanckiego „Skała”. Pierwszy rząd, od lewej: Mieczysław Cieślik „Koral”, Jan Pańczakiewicz, syn „Skały” Andrzej, Ryszard Nuszkiewicz „Powolny”, Jan Wilczek „Karnik”. Drugi rząd od lewej: Henryk Januszkiewicz „Spokojny”, Józef Baster „Rak”, Zygmunt Kawecki „Mars”, Czesław Skrobecki „Czesław”. Fot. Archiwum Janusza Bastera

Co było istotne przy organizacji Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej? Jaka była rola gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” – który przecież pochodził z Krakowa – w działalności tamtejszego Kedywu?

Podczas okupacji niemieckiej konspiracje cywilna i wojskowa funkcjonowały głównie dzięki stale odtwarzającej się aktywności oddolnej. Władze Polskiego Państwa Podziemnego i dowódcy struktur Związku Walki Zbrojnej oraz Armii Krajowej w istocie scalały i koordynowały tworzące się siatki konspiracyjne. Istnienie podziemnych struktur państwa nadawało sens walce, ale jej konkretne przejawy zależały od zaangażowania spontanicznie działających ochotników. Wpływ dowództwa na funkcjonowanie struktur w terenie był więc niewielki i tylko pośredni. Znaczenie takiej organizacji doskonale ilustruje raport Reinharda Gehlena, szefa niemieckiego wywiadu na wschodzie, który jest wręcz laurką wystawioną polskiemu podziemiu przez nieprzyjaciela.

Dotyczyło to także gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, który na pewno bezpośrednio nie wpływał na działalność krakowskiego Kedywu. Nie miał też wcześniej znaczących kontaktów z oficerami mieszkającymi lub służącymi w Krakowie. Paradoks polega na tym, że ci wojskowi, którzy tu organizowali struktury najpierw Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej i byli dowódcami ich pionu zbrojnego, czyli Związku Odwetu, a następnie Kedywu, na ogół nie pochodzili z Krakowa. Często też odwoływano ich na inne placówki. Tak było w wypadku pierwszego dowódcy Kedywu Okręgu Krakowskiego AK Stefana Tarnawskiego „Jaremy”, który później w Powstaniu Warszawskim odpowiadał za szpitale na Starym Mieście, i pierwszego szefa Związku Odwetu w Krakowie Władysława Karasia „Pankracego”, który zginął rozstrzelany w 1942 r. w Warszawie. Podobnie kolejny szef krakowskiego Związku Odwetu Stefan Rychter „Brożyna” został szefem sztabu „Wachlarza” i zginął w Mińsku podczas jednej z akcji. A najbardziej charakterystycznym przykładem jest gen. Tadeusz Komorowski, wówczas „Korczak”, który – o czym się często zapomina – prawie półtora roku dowodził w Krakowie, zanim wyjechał do Warszawy i został zastępcą komendanta głównego ZWZ.

Miejsce urodzenia lub zamieszkania więc w niewielkim stopniu decydowały o dowodzeniu strukturami AK. Funkcjonowanie konspiracji było uzależnione od zaangażowania miejscowych konspiratorów oraz wzajemnych ▶





Sztab krakowskiego Kedywu zimą 1944 r. w karykaturze jego łączniczki Zofii Carnelli-Jasieńskiej „Iny". Osoby na obrazkach można rozpoznać po właściwych im atrybutach. Z szablą lub strzykawką przedstawiony został szef Kedywu mjr Stefan Tarnawski „Jarema", w 1939 r. naczelny lekarz 1 Pułku Szwoleżerów. Błyskawice w ręce to znak opiekuna Oddziału Partyzanckiego „Błyskawica", medale zawodowego oficera i okulary to atrybuty zastępcy szefa sztabu Kedywu kpt. Stanisława Więckowskiego „Wąsacza". Z planami, z procą jako Atlas dźwigający skały przedstawiony został oficer operacyjny (późniejszy szef krakowskiego Kedywu) por. Jan Pańczakiewicz „Skała". Skrzydła lub parasol jako atrybuty cichociemnego wyróżniają oficera operacyjnego por. Ryszarda Nuszkiewicza „Powolnego". Piszący na maszynie, ze szczypcami raka lub raczkujący to oficer łączności szef kancelarii Józef Baster „Rak". Szalik artysty wyróżnia oficera wywiadu por. Stanisława Matuszyka „Twardego", „Osy", „Tajnego" – filozofa, muzyka ekonomistę, stąd także paragraf. Występuje również autorka karykatur Zofia Carnelli-Jasieńska „Ina". Fot. Archiwum Janusza Bastera

lokalnych powiązań i kontaktów. W pierwszej fazie były to siatki tworzone przez wojskowych uciekających z obozów jenieckich albo wprost z frontu. Po pewnym czasie jednak – zwłaszcza w takim mieście jak Kraków – tych oficerów i podoficerów Niemcy w większości wykrywali i aresztowali. W ich miejsce wchodzili ludzie coraz młodsi, często rekrutujący się z harcerstwa. Po trzech latach okupacji, kiedy właśnie Kedyw się budował, w znacznej mierze jego żołnierzami stawali się chłopcy i dziewczęta, którzy w chwili wybuchu wojny mieli po 14–15 lat. Siłą rzeczy nie mogli mieć nie tylko przeszkolenia wojskowego, ale i większego życiowego doświadczenia. Równocześnie szybko dojrzewali i nabierali doświadczenia w okupacyjnych realiach.

Kraków jako stolica Generalnego Gubernatorstwa był miastem znacznie trudniejszym do prowadzenia w nim walki podziemnej niż Warszawa. Jak wobec tego wyglądała specyfika działań miejscowego Kedywu?

Wola walki w całej Polsce była podobna. Jednak na to, jak tę walkę prowadzono, mocno wpływały warunki lokalne. Zupełnie inaczej wyglądało to na Kresach Wschodnich, gdzie musiano liczyć się też z innymi narodowościami, często utrudniającymi konspirację, inaczej na terenach włączonych do Rzeszy, gdzie niemożność prowadzenia jakiejkolwiek polskiej działalności całkowicie blokowała stworzenie szerszej konspiracji. Na przykład w Poznaniu i Krakowie Niemców było procentowo tyle samo, ale w stolicy Wielkopolski żadna większa działalność podziemna nie mogła się rozwinąć, gdyż nie miała przykrywki w innej polskiej aktywności. A przykrywką dla konspiracji na terenie Generalnego Gubernatorstwa była polska działalność gospodarcza, szkolnictwo, nawet w tej okrojonej przez Niemców formie, oraz polskie organizacje charytatywne. To wszystko stwarzało możliwość konspiracji na różnych poziomach, od kontaktów po pozyskiwanie informacji.

Po pierwszych rozterkach Niemców, czym ma być Generalne Gubernatorstwo i gdzie ma leżeć jego stolica – bo brano pod uwagę też Łódź, a zupełnie wykluczono Warszawę – wyznaczono do tej roli Kraków. Gubernator Hans Frank miał aspiracje, żeby w przyszłości stworzyć tutaj własne „królestwo" związane z Rzeszą na wzór średniowiecznych państw lennych. Z tego powodu Kraków był traktowany jak odwieczne miasto niemieckie. To stwarzało stołeczny status miasta, czyli zainstalowanie wielu ważnych instytucji niemieckich. Z urzędnikami niemieckimi przybywały nad Wisłę ich rodziny i nagle bardzo wzrosła liczba Niemców w stosunku do pozostałych mieszkańców Krakowa. Paradoksalnie na ulicach mniej widoczne były uzbrojone wojsko i policja niemiecka,

gdyż zgodnie z intencjami Franka, Kraków miał grać rolę bezpiecznego, swojskiego niemieckiego miasta. Oczywiście tym więcej potrzebowano konfidentów i tajniaków, ale wrażenie życia w Krakowie, zwłaszcza na Starym Mieście, miało w porównaniu z innymi miejscami znamiona pokojowej sielanki.

Z niemieckiego punktu widzenia Warszawa mogła funkcjonować na uboczu, nie miała bowiem militarnie większego znaczenia, zwłaszcza po wybuchu wojny z Sowietami. Wprawdzie działała tam polska konspiracja i trzeba było trzymać w ryzach to ponadmilionowe miasto, ale nie stwarzało ono Niemcom większego problemu. A Kraków był miejscem, w którym należało pilnować niemieckich interesów, chociażby ze względu na wspomnianą wielość instytucji, które miały znaczenie także dla frontu. Nie bez znaczenia też były ambicje Franka, który stale udowadniał, że jest tutaj wręcz udzielnym władcą. To wszystko tworzyło niezwykle trudne warunki do rozwoju konspiracji. Prócz tego, że właściwie całe Stare Miasto zaludnili Niemcy, to Kraków stał się również mocnym ośrodkiem ukraińskim. A proniemieccy Ukraińcy, którzy znali język polski i wyglądali jak Polacy, stwarzali dla konspiracji ogromne zagrożenie. Nie bez znaczenia też był fakt, że Kraków ponad 100 lat był pod władzą austriacką i duża część jego elity miała pochodzenie austriackie. Trzeba podkreślić, że spora część jej przedstawicieli zachowywała się wspaniale – wobec niemieckich okupantów demonstrowała polski patriotyzm. Byli jednak i tacy, którzy z radością podpisali folkslistę. W związku z tym relatywnie mały Kraków był ogromnie nasycony wrogami i konfidentami i to był największy problem dla konspiracji.

Tę sytuację celnie określił komendant Szarych Szeregów Stanisław Broniewski „Orsza”, pisząc, że w czasie okupacji Warszawa była jak dżungla, w której można było się ukryć. Natomiast Kraków był jak patelnia, na której konspiratorzy cały czas byli na widoku. Gdy żołnierze Batalionu „Parasol” przyjechali z Warszawy do Krakowa w związku z akcją wykonania wyroku sądu Polskiego Państwa Podziemnego na Wilhelmie Koppem, zastępcy Hansa Franka, dziwili się, że na Plantach ludzie siedzą sobie spokojnie, jakby nie było okupacji – co wspominał jeden z nich. Jednocześnie mój ojciec, Józef Baster „Rak”, który był odpowiedzialny za organizację tej akcji ze strony krakowskiego Kedywu, opowiadał, że po tym, jak warszawiacy weszli w szyku do meliny konspiracyjnej, trzeba ją było natychmiast zlikwidować. W Warszawie można było coś takiego zrobić i pozostać niezauważonym, w Krakowie – absolutnie nie.

Wciąż mało znani są bohaterowie krakowskiego Kedywu. Zechce Pan nakreślić ich sylwetki?

Jest mało czasu, żeby mówić o najważniejszych. Przedstawię natomiast kilka postaci, które jako bardzo młode osoby tworzyły w Krakowie oddolnie struktury Kedywu. Nazywam je konspiracyjnymi szesnastolatkami i w moim przekonaniu powinny one stać się symbolami tamtego pokolenia na równi z bohaterami *Kamieni na szaniec* opisanymi przez Aleksandra Kamińskiego.

Pierwszy z nich to Jerzy Karwat „Kryński”, żołnierz Związku Odwetu. W czasie słynnej wielkiej wsypy w kwietniu 1941 r., która na długo sparaliżowała krakowską konspirację, Niemcy wtargnęli do domu jego rodziców, a Karwat w błękitnej piżamie – jak zapamiętała jego matka – zaczął do nich strzelać z dwóch rewolwerów. Udało mu się wtedy uciec, raniąc gestapowców. Aresztowano jednak jego rodziców, których postanowił za wszelką cenę wydobyć z więzienia. Niestety, został zadenuncjowany. Pobity ciężko przez gestapowców, zdołał i tym razem uciec, jednak zwichnął nogę i ostatecznie schwytany trafił do więzienia na Montelupich. Tutaj skatowany siedział z matką w ciemnicy 40 dni. Wywieziono go następnie razem z rodzicami do KL Auschwitz. Tam zginął on i jego ojciec, a matka przeżyła tę gehennę.

Druga postać to również harcerz – Leszek Guzy „Broniec”. Ze swoją drużyną już jesienią 1939 r. zaczął wydawać pierwsze gazetki konspiracyjne, a następnie „Przegląd Polski”. ▶



JANINA PAŁASIŃSKA „TELIMENA”



JERZY KARWAT „KRYŃSKI”

Fot. Domena publiczna (2)

CELEM AKCJI KRAKOWSKIEGO KEDYWU BYLI: HANS FRANK (29 STYCZNIA 1944 R.), FRIEDRICH KRÜGER (20 KWIETNIA 1943 R.) I WRESZCIE WILHELM KOPPE (11 LIPCA 1944 R.).



LESZEK GUZY „BRONIEC”

Fot. Domena publiczna

Ta gazeta wychodziła przez pięć lat, prawie regularnie co tydzień. Prócz tego Guzy został zastępcą dowódcy plutonu w „Bartku" – kompanii Szarych Szeregów i tutaj był odpowiedzialny za przejmowanie z niemieckich transportów broni. W maju 1944 r. został, niestety, aresztowany i zamordowany. Guzy to przykład świetnego organizatora, który potrafił wokół siebie skupić dużą grupę ludzi i prowadzić szeroko zakrojoną działalność konspiracyjną.

Trzecią osobą, którą chciałbym wymienić, jest Janina Pałasińska „Telimena". Jako piętnastolatka stworzyła drużynę harcerską, która następnie weszła do plutonu „Alicja". Oddział ten miał być w Krakowie odpowiednikiem warszawskiego „Parasola". Podporządkowano go Kedywowi, a dokładnie cichociemnemu Ryszardowi Nuszkiewiczowi „Powolnemu". Najprawdopodobniej przez pierwsze przypadkowe aresztowania Niemcy szybko oddział rozpracowali i rozbili. Było to tym prostsze dla gestapo, że pluton skupiał głównie harcerzy z jednej krakowskiej dzielnicy – Podgórza. Wpadła również „Telimena", którą wydała jedna z jej harcerek, ale przysłała jej potem gryps, w którym przyznała się, że nie wytrzymała śledztwa. W czasie aresztowania jesienią 1943 r. Pałasińska miała 17 lat. Koleżanka, która ją wydała, w tym samym obozie zginęła. „Telimena" wiedziała, że będzie aresztowana, ale – jak większość członków tego plutonu – nie miała się gdzie schować. Właśnie w Krakowie nie było takiej szansy. Udawało jej się ukrywać przez kilka tygodni, ale, niestety, zachorowała i na chwilę wstąpiła do domu, żeby się ogrzać. Gestapowcom to wystarczyło na jej schwytanie. „Telimena" jest kolejnym przykładem świetnej organizatorki konspiracyjnej pomimo młodego wieku.

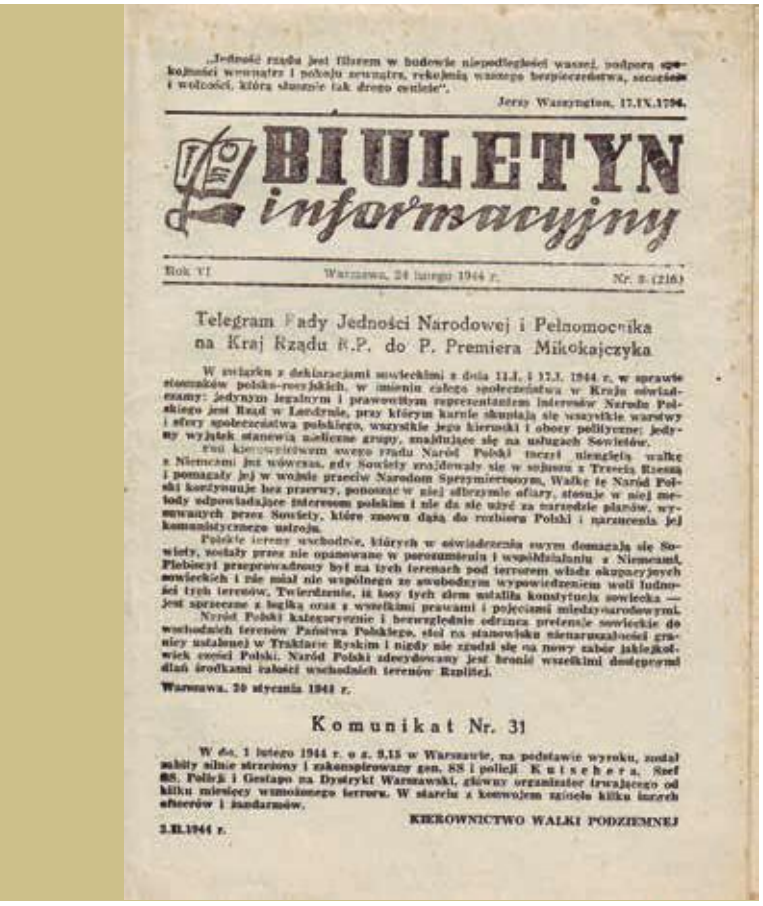

„Jedność rządu jest filarem w budowie niepodległości waszej, podpora spokojności wewnątrz i pokoju zewnątrz, rękojmią waszego bezpieczeństwa, szczęścia i wolności, która słusznie tak drogo cenicie".

Jerzy Waszyngton, 17.IX.1796.

BIULETYN informacyjny

Rok VI Warszawa, 24 lutego 1944 r. Nr. 8 (216)

Telegram Rady Jedności Narodowej i Pełnomocnika na Kraj Rządu R.P. do P. Premiera Mikołajczyka

W związku z deklaracjami sowieckimi z dnia 11.I. i 17.I. 1944 r. w sprawie stosunków polsko-rosyjskich, w imieniu całego społeczeństwa w Kraju oświadczamy: jedynym legalnym i prawowitym reprezentantem interesów Narodu Polskiego jest Rząd w Londynie, przy którym karnie skupiają się wszystkie warstwy i sfery społeczeństwa polskiego, wszystkie jego kierunki i obozy polityczne; jedny wyjątek stanowią nieliczne grupy, znajdujące się na usługach Sowietów.

Rząd kierownictwem swego rządu Naród Polski toczył nieugięty walkę z Niemcami jest wówczas, gdy Sowiety znajdowały się w sojuszu z Trzecią Rzeszą i pomagały jej w walce przeciw Narodom Sprzymierzonym. Walkę tę Naród Polski kontynuuje bez przerwy, ponosząc w niej olbrzymie ofiary, stoi w niej metody odpowiadające interesom polskim i nie da się użyć za narzędzie planów, wymuszanych przez Sowiety, które znowu dążą do rozbioru Polski i narzucenia jej komunistycznego ustroju.

Polskie tereny wschodnie, których w oświadczeniu swym domagają się Sowiety, uznały przez nie opanowane w porozumieniu i współdziałaniu z Niemcami. Plebiscyt przeprowadzony był na tych terenach pod terrorem władz okupacyjnych sowieckich i nie miał nic wspólnego ze swobodnym wypowiedzeniem woli ludności tych terenów. Twierdzenie, że losy tych ziem ustalił konstytuch sowiecka — jest sprzeczne z logiką oraz z wszelkimi prawami i pojęciami międzynarodowymi.

Naród Polski kategorycznie i bezwzględnie odrzuca pretensje sowieckie do wschodnich terenów Państwa Polskiego, sięgi na stanowisku niezmazalności granicy ustalonej w Traktacie Ryskim i nigdy nie zgodzi się na nowy zabór jakiejkolwiek części Polski. Naród Polski zdecydowany jest bronić wszelkimi dostępnymi dlań środkami całości wschodnich terenów Rzplitej.

Warszawa, 20 stycznia 1944 r.

Komunikat Nr. 31

W dn. 1 lutego 1944 r. o g. 9.15 w Warszawie, na podstawie wyroku, został zabity silnie strzeżony i zakonspirowany gen. SS i policji K u r t e b a c h, Szef SS, Policji i Gestapo na Dystrykt Warszawski, główny organizator trwającego od kilku miesięcy wzmożonego terroru. W starciu z konwojem zginęło kilku innych oficerów i żandarmów.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ

3.II.1944 r.

Czwartym takim nastolatkiem był Mieczysław Pogan „Błyskawica". Znalazł się w grupie chłopców z podkrakowskiego Zabierzowa, którzy otrzymali od Niemców nakaz pracy w warsztatach naprawczych broni przy ulicy Rakowickiej w Krakowie – tam, gdzie obecnie mieści się Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa „Nila". Młodzi potraktowali ten nakaz jak szansę. „Błyskawica" zorganizował system przerzucania części naprawianej broni na pobliski cmentarz, a następnie przewożenie ich do Zabierzowa, gdzie wokół rodziny Poganów tworzono oddział AK. Niemcy po pewnym czasie się zorientowali i w lipcu 1943 r. zorganizowali w Zabierzowie obławę, wtedy aresztowali między innymi „Błyskawicę". Ci, którzy ocaleli, znaleźli się pod opieką Kedywu i stali się pierwszym partyzanckim oddziałem (o kryptonimie „Błyskawica") w sąsiedztwie Krakowa. Pogana Niemcy wywieźli do KL Auschwitz. Uciekł, został schwytany i pobity do nieprzytomności, lecz gdy go konwojowano z powrotem do obozu, uciekł raz jeszcze. Wrócił do oddziału, został zastępcą dowódcy. Po kilku miesiącach działalności zginął w potyczce pod Tymbarkiem w końcu lipca 1944 r. „Błyskawica" jest przykładem nie tylko świetnego żołnierza, ale przede wszystkim organizatora, który – nie mając jeszcze 17 lat – potrafił od podstaw stworzyć oddział i jeszcze w dużej części go uzbroić.

Analizując dokonania krakowskiego Kedywu, najczęściej wymienia się nieudane akcje egzekucji na Hansie Franku w pociągu pod Grotkowicami i na Wilhelmie Koppem w Krakowie przygotowane wespół z Oddziałem Dyspozycyjnym Komendy Głównej AK „Parasol". Jakie jeszcze akcje krakowskiego Kedywu można by uznać za spektakularne lub przełomowe dla całej Armii Krajowej?

Uściślijmy najpierw pojęcie krakowskiego Kedywu. Chodzi oczywiście nie o samo miasto Kraków, ale o cały okręg krakowski. Czyli dość szeroki teren od Zakopanego po Jasło i Mielec. Na przykład ta ostatnia miejscowość miała dla Niemców duże znaczenie, gdyż leżała w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Tam zogniskowała się działalność sabotażowa, często dziś niedoceniana, a mająca dla osłabiania potencjału Niemiec istotne znaczenie. Prowadzona była intensywnie już przez Związek Odwetu, a potem Kedyw.

Akcje krakowskiego Kedywu o ogólnopolskim, a nawet szerszym znaczeniu to triada zamachów. Ich celem byli Hans Frank (29 stycznia 1944 r.), Friedrich Krüger

(20 kwietnia 1943 r.) i wreszcie Wilhelm Koppe (11 lipca 1944r.), główni odpowiedzialni za prowadzenie terroru w Generalnym Gubernatorstwie. Franz Kutschera, na którym wyrok wykonano w Warszawie, sytuował się szczebel niżej – był odpowiednikiem Krügera i Koppego jedynie na poziomie dystryktu. Tamci byli jego szefami. W wypadku wymienionych trzech zbrodniarzy uczestnikom akcji zabrakło łutu szczęścia, żeby wykonać na nich wyroki śmierci.

W przypadku Reinharda Heydricha w Pradze, najgłośniejszym zamachu w Europie, to właśnie łut szczęścia spowodował, że czeskim spadochroniarzom udało się go ranić, choć Heydrich nie zginął bezpośrednio w wyniku akcji, tylko od zakażenia rany.

O akcji wymierzonej w Heydricha, jednego z głównych architektów Holokaustu, dowiedział się cały świat, o co też zadbali Czesi, i do dziś jest traktowany jako symbol antyniemieckiego ruchu oporu w całej Europie. Tym bardziej powinniśmy podkreślać wspomniane trzy dokonania Armii Krajowej, bo każdy z nich był porównywalny z tym na Heydricha. Nigdzie w Europie nie było tylu akcji z zamiarem wykonania egzekucji na hitlerowskich dygnitarzach, co w Polsce. A ta na Koppego to prawdziwy majstersztyk logistyczny.

Akcje te nazywam krakowską triadą zamachów, bo się w Krakowie odbyły, choć zaangażowani w nie byli ludzie nie tylko z Krakowa. Używam określenia zamachy, bo tak mówiono wówczas o próbach wykonania wyroków na najważniejszych niemieckich dygnitarzach i tak je nazwano na tablicach upamiętniających. Nie znajduję lepszego określenia, chociaż wiem, że dzisiaj mamy do czynienia prawie wyłącznie z zamachami terrorystycznymi, które oznaczają zazwyczaj ślepy atak na niewinnych i bezbronnych ludzi.

Najczęściej podkreśla się ogromny efekt psychologiczny, który wywierały na okupancie.

Pomimo że akcje te nie doprowadziły do śmierci wymienionych funkcjonariuszy aparatu przemocy w Polsce, to zrobiły na Niemcach olbrzymie wrażenie. Zachowały się niemieckie relacje i zarządzenia, które tego dowodzą. Wiąże się to z ciągle ponawianym pytaniem, po co były te akcje i czy warto je było robić, gdy niosły za sobą tak okrutne represje. Są też tacy, którzy twierdzą przeciwnie, że spektakularnych akcji było zbyt mało.

Potwierdzenie, że miały sens, przynosi wspomniany na początku rozmowy raport Gehlena. Potwierdzają ten sens także wspomnienia gen. Bolesława Nieczui-Ostrowskiego, podczas „Burzy" dowódcy 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej, działającej na północ od Krakowa, który po wojnie siedział w polskim więzieniu razem z niemieckim generałem. Tenże generał miał stwierdzić, że gdyby nie dywizje, które musieli trzymać w Polsce przeciwko partyzantom i konspiratorom, nie wiadomo, jak ta wojna by się skończyła. Zadaniem podziemnego wojska nie było wysadzanie co popadnie i zabijanie jak największej liczby Niemców, nie zważając na nic – jak często czynili to chociażby partyzanci sowieccy – tylko takie prowadzenie walki, by utrzymywać w nieprzyjacielu poczucie zagrożenia, równocześnie uderzać precyzyjnie, a co za tym idzie bardziej boleśnie. Mieć na uwadze bezpieczeństwo własnego społeczeństwa i plany powstania powszechnego, do którego Armia Krajowa miała stanąć w dogodnych warunkach. Wobec tego część akcji dywersyjnych i sabotażowych wręcz pozorowano jako wypadki, by pozbawić je właśnie spektakularności, za którą konsekwencje ponieśliby zwykli ludzie. I to właśnie jest oznaka wielkiej odpowiedzialności członków Kedywu oraz całej Armii Krajowej. Oczywiście nie udawało się przy tym działać zupełnie bez ponoszenia ofiar, wszak okupacja w Polsce była najokrutniejszą w Europie, ale przy planowaniu akcji ten aspekt zawsze brano pod uwagę.

Trzeba stale mieć na względzie, że istotą funkcjonowania Polskiego Państwa Podziemnego było przygotowanie się do aktywnego udziału w wywalczeniu niepodległości Polski w ostatniej fazie wojny, zachowanie ciągłości państwowości w stosunkach międzynarodowych i przygotowanie do sprawnego funkcjonowania państwa po wojnie. Do jego istoty należały także działania na rzecz biologicznego przetrwania Polaków i minimalizowanie strat kulturowych. Istotą konspiracyjnej walki Polaków nie były dążenia, aby jak najwięcej Niemców zginęło, ani zwycięstwa w niewielkich bitwach. Istotą było absorbowanie niemieckich sił i środków, aby nie mogły być wykorzystane na głównych frontach, gdzie decydowały się losy wojny. I podnoszenie Polaków na duchu, że „nie zginęła, walczy, żyje". ■

Rozmawiał Piotr Korczyński



JANUSZ BASTER
matematyk, ekspert zarządzania publicznego, uczestnik konspiracji solidarnościowej, w latach dziewięćdziesiątych animator inicjatyw na rzecz aktywności obywatelskiej. Syn Józefa Bastera „Raka", szefa łączności Związku Odwetu Związku Walki Zbrojnej Kedywu Armii Krajowej. Od 2010 r. działa na rzecz pamięci krakowskich konspiratorów lat czterdziestych XX w.

Bić się na małym polu walki

Wojskową kadrę dowódczą średniego stopnia w pierwszej połowie XVI w. stanowili uzdolnieni rotmistrzowie, czyli dowódcy rot, którzy otrzymali od hetmanów podczas wypraw wojennych konkretne funkcje i zadania. Byli oni odpowiedzialni za realizację taktyki małego pola walki podczas kampanii wojennych.



TOMASZ MLECZEK

W historii wojskowości dotyczącej pierwszej połowy XVI w. możemy wyróżnić dwie definicje małego pola walki, które będą funkcjonowały przez cały okres epoki nowożytnej. Pierwsza z nich dotyczy poszczególnych starć mniejszych ugrupowań żołnierzy, jak hufce, chorągwie, roty, wchodzących w skład armii podczas bitwy. Druga odnosi się do operacji militarnych przeprowadzanych przez niewielkie ugrupowania wojskowe. Chodzi o takie akcje zbrojne, jak szybkie rajdy obrony potocznej przeciwko Tatrom, oczyszczenie Pokucia z sił mołdawskich przed bitwą pod Obertynem i wszelkiego rodzaju manewry roz-



***Bitwa pod Orszą*, 1514, autor nieznany, obraz datowany na 1524 r., dzieło przypisuje się Hansowi Krellowi, oryginał znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie.**
Fot. domena publiczna

poznawcze zakończone starciem z przeciwnikiem. W przypadku pierwszej i drugiej definicji bohaterami akcji zbrojnych była z reguły kadra dowódcza średniego szczebla. Średni szczebel dowodzenia określany jest za pomocą dwóch kryteriów. Pierwsze z nich to liczba żołnierzy pod rozkazami dowódcy, druga zaś waga zadania taktycznego, które spoczywało na ich barkach. Często dowódcy wyższych szczebli dowodzenia byli delegowani przez głównodowodzącego hetmana do wykonania zadań odpowiednich dla dowódcy szczebla średniego.

Całość strategii konkretnej kampanii lub bitwy zależała od hetmana. Ale to dowódcy wyższego i średniego ▶



Fragment obrazu „Bitwa pod Orszą”, dwaj oficerowie ciężkozbrojnej jazdy, w berecie najprawdopodobniej młody Jan Tarnowski.

Fot. domena publiczna



Fragment obrazu „Bitwa pod Orszą” przedstawiający przeprawę kopijników przez rzekę. Na czele oddziału dowódca – bez hełmu, ze złotym łańcuchem – najprawdopodobniej Wojciech Sampoliński lub Janusz Świerczkowski.

Fot. domena publiczna

szczebla byli odpowiedzialni za powodzenie taktyczne każdego z wykonywanych rozkazów. Od umiejętności dowódczych i rozeznania w ogniu kadry średniego stopnia dowodzenia zależał sukces na poszczególnych etapach kampanii wojennych i odcinkach pola bitwy. Starcia, w których po obu stronach brało udział od kilku do kilkudziesięciu tysięcy walczących, nie były rozstrzygane wskutek jednoczesnego ataku wszystkich sił zbrojnych. Bitwy dzieliły się na konkretne fazy, na które przypadały starcia poszczególnych ugrupowań taktycznych. W armii koronnej i armii Wielkiego Księstwa Litewskiego pierwszej połowy XVI w. mieliśmy do czynienia z chorągwiami o charakterze kopijniczym, husarskim, strzelczym i mieszanym, dlatego każdemu rodzajowi tych wojsk przypadały inne zadania taktyczne wykonywane podczas bitwy.

Spektakularne zwycięstwa, jak pod Kleckiem w 1506 r., Łopusznem w 1512 r., Orszą w 1514 r. i Obertynem w 1531 r., zawdzięczamy doskonałej kadrze dowódczej Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, a także zaprawionym w boju żołnierzom zaciężnym. Bohaterami kampanii wojennych i wielkich bitew z reguły zostawali głównodowodzący. W nowożytnej historii oręża polskiego byli to głównie królowie i hetmani. Jednak głównodowodzący często nie brali bezpośredniego udziału w walce. Tu wykazywała się kadra dowódcza średniego szczebla, która z narażeniem życia, na czele swych oddziałów zwierała się w śmiertelnych zapasach z Tatarami, Mołdawianami, Moskwicinami i zakonem krzyżackim. Zamysły strategiczne hetmanów realizowane były właśnie dzięki odwadze i kunsztowi bojowemu rotmistrzów. Zadania taktyczne, które wykonywali oni, to małe pole walki, gdyż dopiero kilka lub kilkanaście zadań taktycznych podczas bitwy bądź kampanii składało się na całą strategię. Niepowodzenie taktyczne podczas wykonywania zadań na małym polu walki mogło obrócić w perzynę całe założenie strategiczne i operacyjne głównodowodzącego. Dlatego też hetmani bardzo starannie dobierali kadrę dowódczą średniego szczebla. Wiedzieli, że to od niej zależne są losy kampanii lub bitwy. Dowódcy średniego szczebla osobiście zaangażowani na polu starć – oprócz świetnego rozeznania w sytuacji bojowej – musieli być wyjątkowo wyszkoleni w walce. Uwaga całego oddziału skierowana była na nich, mieli oni być wzorem dla swoich żołnierzy i cieszyć się wśród nich nie lada szacunkiem. Często kadra dowódcza średniego szczebla stawała przed dylematem: czy wykonać zadanie taktyczne, czy wykrwawić swój oddział, samemu dać gardła? Jako rotmistrzowie chorągwi mieli obowiązek nie tylko wypełniać rozkazy hetmana, ale także brać udział w naradach wojennych, gdzie opracowywano strategie oraz taktykę wypraw i starć. Najzdolniejszym z nich powierzano najtrudniejsze zadania i awansowano ich na wyższe stopnie w strukturze dowódczej. Dowódcom średniego szczebla zostało poświęcone miejsce w źródłach historycznych, stanowią oni jednak drugo- i trzecioplanowe postaci w porównaniu z władcami i hetmanami. Można zaryzykować stwierdzenie, że kadra średniego szczebla dowodzenia była szarą eminencją pola bitwy i dzięki jej działaniom na kartach kronik czytamy o wspaniałych zwycięstwach, np. pod Orszą i Obertynem. Rotmistrzowie w systemie wojsk zaciężnych nie tylko odpowiadali za działania taktyczne swych oddziałów, ale także za ich utworzenie, wyekwipowanie i wyszkolenie. Rotmistrz zaciężny otrzymywał od króla dokument, zwany listem przypowiednim, w którym władca zlecał mu zaciąg konkretnej liczby żołnierzy z określonym rodzajem uzbrojenia. Rotmistrzowie zatem sami dobierali towarzyszy służących w chorągwi i ich poczty, tym samym decydując o statusie oddziału.



Herb Sulima, Paweł Farurej.



Herb Jelita, Jakub Secygniowski.

Obrona potoczna

Prawdziwą kuźnią utalentowanych dowódców była obrona potoczna, której ideę zapoczątkował Kazimierz Jagiellończyk. Stanowiła ona system aktywnej obrony przed Tatarami, którego podstawą były wojska zaciężne. Siły obrony potocznej rozlokowano na Rusi Czerwonej i Podolu, czyli w miejscach, które nawet

kilka razy w roku narażone były na tatarskie zagony. Obrona potoczna to jedyne stale utrzymywane wojsko, nie licząc chorągwi rycerzy nadwornych króla – *curienses*. Podczas większych akcji zbrojnych przeciwko Tatarom, *curienses* wspomagali oddziały obrony potocznej. Jednym ze znakomitych dowódców wojsk nadwornych był Sędziwój Czarnkowski, który popisał się umiejętnościami dowódczymi w bitwie pod Kleckiem i walnie przyczynił się do zwycięstwa nad Tatarami.

Sędziwój Czarnkowski dowodził chorągwią nadworną w sile 300–400 kopijników i husarzy. Mimo że jego oddział nie brał udziału w zmaganiach z Tatarami, to Czarnkowski, będąc podczas bitwy dowódcą średniego szczebla, doskonale orientował się w sytuacji taktycznej pola walki. Po przeprawie przez bagnistą rzekę Łanię chorągwie ziemskie litewskie dowodzone przez wodza kampanii kleckiej kniazia Michała Glińskiego po kolei wchodziły do walki z Tatarami. Czarnkowski przeprawiwszy chorągiew, wykonał szerokie obejście pola walki. Gdy bitwa znajdowała się już w fazie kulminacyjnej, obsadził Wzgórze 192 oddalone o kilometr od ścierających się oddziałów litewskich i tatarskich. Ze wzniesienia miał doskonały wgląd na sytuację na polu walki i poczynania kniazia Glińskiego. Czarnkowski rozwinął swoją chorągiew tak, by z daleka wydawała się Tatarom jak najliczniejszym oddziałem, i dał rozkaz, aby uderzyć w bębny. Chciał zrobić wrażenie na przeciwniku. Wojsko tatarskie, które Gliński rozbił już na mniejsze grupy, uznało, że nowe siły przybywają Litwinom na pomoc i jednocześnie odcinają drogę ucieczki ordyńcom. Mimo że Czarnkowski nie wziął bezpośredniego udziału w walce, jego błyskotliwy manewr przyczynił się do zwycięstwa. Nawet kronikarz Marcin Bielski uznał, że był to wyczyn godny opisania: „W tym Sędziwoy Czarnkowski Nałęcz Woiewodzic Poznański z trzemi sty Polaków z Wilna od króla nadjeżdżał na pomoc Litwie y uczyniwszy czoło szerokie w trąby i bębny kazał uderzyć aby się tym więtsze i ogromniejsze woysko zdało nieprzyjacielowi, zaczym Tatary wnet potrwożył a swoim serca wiotszego dodał, tak iż jeli uciekać a Litwa je dopieroż biła i w staw napędziła”[1].



Fragment ryciny „Bitwa pod Kleckiem” z 1506, drzeworyt z „Kroniki polskiej” Marcina Bielskiego. Fot. domena publiczna

Hetman polny i jego sztab

Hetman polny podlegał rozkazom hetmana wielkiego i był jego zastępcą, dlatego należy go zaliczyć do dowódców szczebla najwyższego. Komenderował on obroną potoczną i sprawował nad nią nadzór administracyjny. Do jego kompetencji należało zapobieganie najazdom tatarskim i odbijanie ludzi z jasyru. Ponieważ hetman polny służył ze swymi oddziałami na odcinku stale zagrożonym, potrzebował biegłych w sztuce wojennej pomocników w postaci rotmistrzów. Rotmistrzowie służący w obronie potocznej musieli odznaczać się doskonałym wyszkoleniem indywidualnym i nie lada talentem dowódczym. Takim dowódcą średniego szczebla był Stanisław Balicki herbu Zadora, który jako weteran wojen jagiellońskich, w bitwie pod Obertynem okazał się człowiekiem do zadań specjalnych. Stanisław Balicki rotmistrzował w obronie potocznej w latach 1499–1545. Walczył przeciwko Tatrom, zakonowi krzyżackiemu i Mołdawianom. W bitwie pod Obertynem to właśnie jemu hetm. Jan Tarnowski powierzył decydujące zadanie: rozpoczęcie ataku jazdy polskiej na pozycje mołdawskie. Od tego manewru zależały dalsze losy bitwy i armii Tarnowskiego. Balicki musiał pod ostrzałem mołdawskich łuczników wyprowadzić chorągiew z taboru, przyjąć szyk bojowy oraz z oddziałem liczącym 270 koni zaatakować i przebić się przez ugrupowanie mołdawskie liczące ok. 3 tys. żołnierzy. Chorągiew Balickiego składała się z kopijników i husarzy. Balicki sprawnie uszykował chorągiew do natarcia. Stanął na czele oddziału i poprowadził atak. Konie szły najpierw stępa, potem kłusem. Gdy ▶



„Bitwa pod Obertynem", 1531, fragment ryciny z „Kroniki polskiej" Marcina Bielskiego.
Fot. domena publiczna

Balicki zbliżył się do ugrupowania mołdawskiego na odległość strzału z łuku, niebo przysłoniła chmura mołdawskich strzał. Rotmistrz dał znak do przejścia w galop i poderwał całą chorągiew do szarży. Uniknął w ten sposób strat od ostrzału i stalowym klinem wbił się w ugrupowanie mołdawskie. Ciężko uzbrojeni kopijnicy stratowali pierwsze szeregi wroga. Ich kopie przebijały po kilku żołnierzy mołdawskich naraz. Pierwsza chorągiew mołdawska został dosłownie przecięta na pół. Atak Balickiego powiódł się w pełni. Jednak dała znać o sobie dysproporcja sił. Atak utknął na kolejnych oddziałach nieprzyjaciela. Aby nie doprowadzić do wyrżnięcia swoich ludzi przez atakujących Mołdawian, rotmistrz musiał dokonać odwrotu, odcinając się od nieprzyjaciela. Balicki zluzowany przez inne polskie chorągwie wycofał się z pola walki, przegrupował swój oddział i ponawiał ataki na przeważające siły wroga jeszcze kilkakrotnie. Tak dzielnego rotmistrza wspomina Marcin Bielski: „Balicki acz w leciech zeszły był, ale na sercu nie – potykał się najpierwej ze swoją rotą z Wołochy [...], a drzewem dwu przebiwszy koniem ich potoczył"[2]. Manewr Balickiego był strategiczny dla bitwy pod Obertynem. Rozpoczął on starcie polskiej jazdy z przeciwnikiem, związał wroga walką i zmusił hospodara mołdawskiego do przerzucenia większej części wojska w jeden punkt, czym utorował drogę dla kolejnych manewrów polskiej jazdy.

Można zaryzykować stwierdzenie, że przy urzędzie hetmana polnego wyłaniały się początki sztabu generalnego. W obronie potocznej, w której narodziły się nowe funkcje dowódcze, wyraźnie rysował się średni szczebel dowódczy. Wszystkich pomocników hetmana polnego można zaliczyć w poczet średniego szczebla kadry dowódczej. Najważniejszym z nich był strażnik polny koronny – *custos finium*, zastępował on hetmana na najbardziej wysuniętych na południowy wschód stanicach obrony potocznej, dowodząc strażą przednią, czuwał nad bezpieczeństwem granic oraz dokonywał rozpoznania i zwiadów. W czasie wypraw pod dowództwem hetmana strażnik polny zawiadywał strażą, ubezpieczał armię podczas pochodu i postoju.

Jako strażnik polny oddziałami obrony potocznej w 1516 r. kierował Stanisław Lanckoroński. W listopadzie na Podole uderzyły zagony tatarskie. Przy Lanckorońskim znajdowali się dwaj utalentowani rotmistrzowie – Paweł Farurej (w którego żyłach płynęła krew Zawiszy Czarnego) i Jakub Secygniowski. Strażnik polny szybko opracował plan, który polegał na obronie linii górnego biegu rzeki Boh. Wymaszerował z Kamieńca na północny wschód, w dwóch potyczkach pod Latyczowem i Międzybożem pokonał Tatarów i wziął do niewoli kilku dowódców wroga. Kolejne starcia miały miejsce 7 grudnia. Paweł Farurej rozbił 400-konny czambuł, który podszedł pod Międzybuż. Uciekającym ze zdobyczami pozostałym zagonom tatarskim pod Zinkowem przeciął drogę Jakub Secygniowski. Mając pod rozkazami kilka chorągwi, starł się on z 1 tys. wojowników tatarskich. Tatarzy „widząc iż im przyszło gardło dać mężnie się z naszymi bili [...] a po tym od naszych pobici"[3]. Secygniowski odniósł zwycięstwo, uwolnił jasyr i odebrał bogate łupy. Stanisław Lanckoroński, Jakub Secygniowski i Paweł Farurej udowodnili swoją wyższość nad Tatarami w walce ruchomej, w której ci ostatni uznawani byli za niedoścignionych.

Pisarze i strażnicy koronni

Nad sprawami administracyjnymi wojska z kolei czuwał inny przedstawiciel kadry dowódczej średniego stopnia – pisarz polny koronny (pomocnik hetmana wielkiego). Dokonywał on popisów chorągwi, prowadził rachunkowość wojskową, lustrował zamki podolskie i ruskie, administrował artylerią obrony potocznej. Ludzie obsadzający to stanowisko byli także uzdolnionymi dowódcami średniego szczebla. Strażnicy polni koronni i pisarze polni koronni niejednokrotnie łączyli siły i wiedzę dowódczą podczas akcji zbrojnych. Najlepszym przykładem te-

go typu działań jest misja oczyszczania Pokucia z załóg mołdawskich w dniach 3–5 sierpnia 1531 r., jaką zlecił hetm. Tarnowski pisarzowi polnemu Szymonowi Słupeckiemu i pełniącemu obowiązki strażnika polnego Mikołajowi Sieniawskiemu (przyszłemu hetmanowi polnemu koronnemu i wielkiemu koronnemu). Całość ekspedycji można szacować na 1200–1300 jazdy. Chorągwie polskie pod dowództwem Słupeckiego 3 sierpnia przeprawiły się niepostrzeżenie dla Mołdawian przez Dniestr. Mimo że wojska hospodara obsadziły większość brodów, Słupecki znalazł niestrzeżoną przeprawę 4 km na wschód od Koropca. Następnie podzielił siły na dwa ugrupowania. Pierwszy oddział (500 koni) pod komendą Słupeckiego ruszył na południe w kierunku Obertyna, drugi (800 koni) pod dowództwem Mikołaja Sieniawskiego na zachód, kierując się na Tłumacz. Zdobywając miasteczka i zameczki na Pokuciu, obaj dowódcy stoczyli 12 zwycięskich potyczek. Mikołaj Sieniawski 3 sierpnia zajął Tłumacz, a następnie swój oddział podzielił na dwie części. Zastęp w sile 500 koni poprowadził rtm. Jan Mielecki, rozbijając wojska mołdawskie pod Niżniowem i Mariampolem, oczyszczając w ten sposób drogę na Czesybiesy obsadzone przez Mołdawian, które rtm. Mielecki zdobył 4 sierpnia. Sieniawski wraz ze swoją chorągwią husarską licząca 300 koni wziął 3 sierpnia Tyśmienicę, 4 sierpnia opanował Zabłotów i strategiczne przeprawy na rzece Bystrzyca. Mikołaj Sieniawski opanował 5 sierpnia Ottynię. W trzy dni Sieniawskiemu i Mieleckiemu udało się opanować całe północno-zachodnie Pokucie. Trudniejsze zadanie stało przed pisarzem polnym koronnym Zbigniewem Słupeckim. Mając pod rozkazami jedynie pięćsetkonny oddział, musiał zdobyć Kołomyję i Gwoździec. Po opanowaniu Obertyna i Chocimierza Słupecki 3 sierpnia rozdzielił skromne siły. Sam z oddziałem składającym się z 284 koni z marszu zdobył Kołomyję. Druga grupa pod dowództwem rtm. Macieja Włodka w sile 186 koni ruszyła zdobywać zamek Gwoździcu. Niestety, Włodkowi nie udała się ta sztuka i dopiero po połączeniu z siłami Słupeckiego zameczek został wzięty. Misja oczyszczenia Pokucia z wojsk mołdawskich potoczyła się szybko i skutecznie dzięki wysokim umiejętnościom taktycznym Zbigniewa Słupeckiego i Mikołaja Sieniawskiego.



Herb Rogala, Mikołaj Iskrzycki.



Herb Leliwa, Jan Tarnowski i Mikołaj Sieniawski.

Porucznik hetmański

Pomocnikiem hetmana w dowodzeniu armią był porucznik hetmański. Z reguły przy hetmanie znajdowało się kilku poruczników, którzy kierowali doraźnie tworzonymi grupami bojowymi pod rozkazami hetmana lub też dowodzili samodzielnie działaniami wojennymi o różnej skali wielkości i rozmaitym znaczeniu strategicznym. Zatem porucznicy hetmańscy mogli sprawować funkcje na poziome wysokiego szczebla kadry dowódczej, jak i szczebla średniego. Porucznika z XVI w. nie należy jednak kojarzyć z dzisiejszym niskim stopniem oficerskim. Termin „porucznik" pochodzi od słowa „poruczyć". Hetman poruczał porucznikowi ugrupowanie zbrojne (różnej wielkości), czyli zlecał mu wykonanie konkretnego zadania dowódczego (czasem administracyjnego i sądowego). Porucznicy hetmańscy dowodzili oddziałami złożonymi z kilku (średni szczebel kadry dowódczej) lub kilkunastu chorągwi, ale także powierzano im całe hufy stanowiące część szyku bojowego armii (wysoki szczebel kadry dowódczej).

Funkcje porucznika hetmańskiego w średnim szczeblu dowodzenia pełnił Jan Boratyński. W kampanii mołdawskiej 1531 r. osłaniał on z 1 tys. jazdy województwo ruskie z zadaniem obserwowania Wołochów do chwili przybycia hetm. Tarnowskiego. Prowadził następnie oddział jazdy w decydującej szarży pod Obertynem. W tym posunięciu wykazał się dużymi umiejętnościami dowódczymi. Dokładnie skoordynował manewr z innymi chorągwiami biorącymi udział w walce i precyzyjnie wyliczył moment uderzenia na siły mołdawskie, dzięki temu przełamał szyki przeciwnika na całej linii i zmusił wojska hospodara do ucieczki. Boratyński jako dowódca średniego szczebla dowodzenia w randze rotmistrza chorągwi spisał się także w 1514 r. pod Orszą. Służył wraz ze



Fragment obrazu „Bitwa pod Orszą", husaria z początków XVI w.

Fot. domena publiczna



Fragment obrazu „Bitwa pod Orszą", kopijnik z pierwszego dwudziestolecia XVI w.

Fot. domena publiczna

swoją chorągwią husarską pod rozkazami hetmana zaciężnego Janusza Świerczkowskiego, który dowodził całą zaciężną jazdą koronną. Jan Boratyński razem z Jakubem Secygniowskim i Mikołajem Iskrzyckim dowodził atakiem 34 chorągwi jazdy zaciężnej. Ten bardzo ważny manewr, wykonany po ostrzelaniu jazdy moskiewskiej przez polską piechotę i artylerię, przeprowadzono w trudnych warunkach i jedynie doświadczeni rotmistrzowie mogli podjąć się jego realizacji. Gdy polskie hufce posiłkowe w manewrze pozorowanej ucieczki naprowadziły jazdę moskiewską na ogień piechoty i artylerii, zawróciły nagle i uderzyły na zasypywanych ołowiem Moskwicinów. Hufce posiłkowe były wspierane przez część hufca walnego Świerczkowskiego. Moskiewski pułk lewej ręki z lewej strony był rażony ogniem broni palnej, od frontu został ostrzelany z łuków oraz zaatakowany przez husarię i łuczników. Najsilniejszy cios zadali Boratyński, Secygniowski i Iskrzycki. Musieli oni dokładnie, co do sekundy, wyliczyć moment natarcia swoich chorągwi. Nie mogli dostać się pod ostrzał własnej piechoty, artylerii i łuczników. Uderzenie chorągwi kopijniczych i husarskich przyniosło piorunujący efekt. Moskiewski pułk lewej ręki został zniesiony z pola walki.

Pod Orszą chorągwiami ochotniczymi o charakterze kopijniczym dowodził także młody Jan Tarnowski, przyszły hetman wielki koronny. Jego matką była Barbara z Rożnowa – wnuczka Zawiszy Czarnego. Wraz z hetmanem nadwornym Wojciechem Sampolińskim Jan Tarnowski popisał się wspaniałą szarżą kopijników, która powstrzymała okrążenie wojsk hetm. Ostrogskiego na lewym skrzydle. Sampoliński i Tarnowski zmienili kierunek ruchu, schodząc do wąwozu pugajłowskiego, następnie chorągwie nadworne i ochotnicze zatoczyły łuk i wydostały się na płaski teren. Dowódcy dali rozkaz do rozwinięcia szyku bojowego. Manewr był niebezpieczny, ponieważ Tarnowski i Sampoliński wykonywali go przed frontem moskiewskiego pułku straży przedniej. Wykorzystując opadający w dół teren płaskowzgórza, kopijnicy nabrali dużej szybkości, dzięki temu zminimalizowali straty od ostrzału moskiewskich łuczników. Natarcie w pełni się powiodło. Impet uderzenia zakutych w stal rycerzy był tak ogromny, że zachwiał potężnie ugrupowaniem moskiewskim. Tak wspomina tę szarżę kronikarz Marcin Bielski: „szystkieufy z sobą się stoczyły i zwarły, huk, krzyk, konie, wołanie, strzelanie, chrzęst zbrój, bębny, trąby [...]. Polacy jako w morzu trzykroć się w moskiewskich ludziechochynąwszy wielką w nich dziurę uczynili”[4].

Średni szczebel dowodzenia składał się z uzdolnionych rotmistrzów, czyli dowódców rot, którzy otrzymali od hetmanów na czas kampanii konkretne funkcje i zadania oraz nominacje. Spośród kadry dowódczej średniego szczebla dowodzenia można by wymienić jeszcze wielu rotmistrzów, którzy w omawianym okresie pierwszej połowy XVI w. błysnęli geniuszem dowódczym podczas bitew i kampanii. Rotmistrzowie, poruczni hetmańscy, pisarze polni koronni i strażnicy koronni byli niezbędni hetmanom do sprawnego przeprowadzania akcji zbrojnych na różnym poziomie. Mogli oni kierować do walki całe hufy i obsadzać poszczególne odcinki taktyczne pola walki oraz prowadzić samodzielnie działania wojenne. Spośród tej kadry dowódczej, która z biegiem lat awansowała w strukturach armii koronnej, władcy wyłonili dwóch hetmanów wielkich koronnych – Jana Tarnowskiego i Mikołaja Sieniawskiego. Dowódcy średniego stopnia dowodzenia doskonale spisywali się, realizując taktykę małego pola walki, a nawet zaryzykuję stwierdzenie, że stali się jej mistrzami. Zgodnie z definicją słowa, taktyka jest najniższym poziomem sztuki wojennej i polega na posługiwaniu się oddziałami wojskowymi dla osiągnięcia danego celu. I takie właśnie zadania stały przed średnim szczeblem kadry dowódczej wypełniającym swym talentem „małe pole walki”. ■



Herb Nałęcz, Sędziwój Czarnkowski i Wojciech Sampoliński.



Herb Zadora, Stanisław Balicki i Stanisław Lanckoroński.



Fragment obrazu „Bitwa pod Orszą”, dowódca jazdy kopijniczej Wojciech Sampoliński lub Janusz Świerczkowski prowadzi hufiec do natarcia. Fot. domena publiczna

TOMASZ MLECZEK absolwent Wydziału Historycznego na Uniwersytecie Warszawskim, doktor, historyk wojskowości oraz bronioznawca XV w. i epoki nowożytnej, specjalizuje się w zjawisku recepcji zachodnioeuropejskiej sztuki wojennej do armii koronnej w XVI w. Prywatnie rekonstruktor epoki grunwaldzkiej.

[1] Joachim Bielski, *Kronika polska Marcina Bielskiego nowo przez syna jego wydana*, Kraków 1597, k. 502. [2] Tamże, k. 565. [3] Tamże, k. 534. [4] Tamże, k. 526.

ZROZUMIEĆ WOJNĘ

GRUPY OPERACYJNE

Przez wojnę partyzancką należy rozumieć działania prowadzone przeciwko okupantowi przez oddziały (pododdziały) zbrojne przy szerokim poparciu ludności cywilnej. Celem wojny tej jest uniemożliwienie okupantowi realizacji jego celów i współudział w wypędzeniu go z kraju. Walkę z okupantem mogą podejmować pododdziały wojsk operacyjnych, które znalazły się w ugrupowaniu przeciwnika, bądź zgrupowania, które zorganizowali spontanicznie żołnierze rezerwy lub specjalnie przeszkolone osoby. Jednak fundamentalną zasadą zgrupowań partyzanckich jest koordynowanie działań z przełożonym, którego ośrodek dowodzenia i kierowania znajduje się na terenie niezajętym przez przeciwnika. Pozwoli to na wykonywanie uderzeń, które osłabią jego potencjał, zakłócą jego system dowodzenia, wsparcia i zabezpieczenia oraz zmuszą go do wydzielenia większych sił i środków do ubezpieczeń. Takie działanie spowoduje zmniejszenie jego zasadniczego potencjału bojowego przewidywanego do wykonania kolejnych zadań zmierzających na przykład do opanowania pozostałej części kraju.

Cel działań partyzanckich stanowią niszczenie środków komunikacji i łączności, siły żywej przeciwnika, obrona ludności cywilnej przed grabieżą, a także uniemożliwianie ekonomicznej eksploatacji okupowanego obszaru i udział z regularnymi siłami zbrojnymi w wyparciu przeciwnika poza granice kraju. Cechą prowadzonych działań przez pododdziały partyzanckie powinna być duża aktywność i zaskoczenie. Te atuty pozwolą narzucić przeciwnikowi walkę w miejscach, które zapewnią zadanie mu jak największych strat i pozwolą na szybkie opuszczenie ich po wykonanym ataku. Podczas prowadzonych działań pododdziały partyzanckie mogą stosować takie formy, jak dywersja, likwidacja okupacyjnego aparatu władzy, niszczenie obiektów komunikacyjnych o dużym znaczeniu dla przemieszczających się zgrupowań przeciwnika, napady na stanowiska dowodzenia i węzły łączności oraz zasadzki. Stosowanie wspomnianych form walki będzie zależeć od inwencji dowódców planujących określone działanie, które musi być poprzedzone rozpoznaniem terenu, gdzie będzie wykonana na przykład zasadzka, oraz szczegółowym określeniem zadań dla wykonawców, by jak najszybciej oddalić się z miejsca akcji, nie narażając się na reakcję przeciwnika, który z pewnością będzie usiłował przyjść z pomocą zaatakowanym siłom.

Należy również pamiętać o bardzo ważnym zadaniu realizowanym na korzyść wojsk własnych, czyli prowadzeniu rozpoznania przeciwnika i terenu. Jest to istotne z punktu planowania operacji mającej na celu odzyskanie utraconego obszaru kraju. Pozyskane informacje pozwolą na określenie potencjału bojowego, którym dysponuje przeciwnik na okupowanym obszarze, jego rozmieszczenia i środków walki. By skutecznie prowadzić walkę z okupantem, pododdziały partyzanckie muszą dysponować określonymi środkami walki, które umożliwią im realizację zadań. Do środków tych należy zaliczyć środki łączności, które pozwolą na komunikację z ośrodkiem decyzyjnym rozmieszczonym na nieokupowanej części kraju, oraz laserowe podświetlacze celów, którymi dysponują zespoły naprowadzania lotnictwa umożliwiające ich precyzyjne rażenie zarówno przez samoloty załogowe, jak i bezzałogowe.

Mówiąc o działaniach partyzanckich, należy uwzględnić problematykę przygotowania logistycznego. Można przyjąć, że jeśli chodzi o wyżywienie i udzielanie pomocy medycznej, z pomocą przyjdzie ludność cywilna. Jednak wiele problemów będzie nastręczać zaopatrywanie w amunicję, materiały wybuchowe i inne środki walki. Ich część można pozyskać, dokonując napadów na kolumny logistyczne przeciwnika, lecz musi to być amunicja o tym samym kalibrze co broń, którą dysponują partyzanci. W przeciwnym razie oprócz amunicji należy na przeciwniku zdobywać także środki walki, by ten problem rozwiązać. Można rozważać zaopatrywanie przez własne siły, jednak rejon zrzutu może zdemaskować położenie pododdziału partyzanckiego i narazić go na atak sił przeciwnika.

Partyzanci w razie schwytania mogą być potraktowani przez przeciwnika jak terroryści lub członkowie organizacji przestępczej. By do tego nie doszło i przeciwnik traktował schwytanych partyzantów jak jeńców wojennych, muszą oni zgodnie z międzynarodowym prawem humanitarnym konfliktów zbrojnych nosić stałą i dającą się rozpoznać z daleka odznakę wyróżniającą oraz przestrzegać praw i zwyczajów wojennych. Aby członkowie ruchu oporu mogli korzystać z ochrony prawnej, muszą spełniać te warunki. W kwestii odznaki wyróżniającej toczą się spory, ale pojawiają się głosy, że partyzanci nie mają obowiązku noszenia mundurów regularnej armii swego kraju. Uważa się jednak, że opaski naramienne nie są wystarczające. W art. 23 f konwencji haskiej z 1907 r. pojawia się nacisk na zakaz używania flagi narodowej, oznak wojskowych i uniformów przeciwnika: „Oprócz zakazów, ustanowionych przez specjalne konwencje, zabrania się mianowicie: f) bezprawnie używać flagi parlamentarnej, narodowej, oznak wojskowych i uniformów przeciwnika, jak również oznak odróżniających, ustanowionych przez konwencję genewską”. Dodatkowo członek sił zbrojnych, który usiłuje zbierać informacje na terytorium, na którym jest stałym mieszkańcem, nie będzie uważany za szpiega, chyba że działalność taką podejmuje pod fałszywymi pozorami lub w sposób skryty.

J.B.

TAKTYKA WALK PARTYZANCKICH

W konspiracyjnych instrukcjach skupiano się na szkoleniu indywidualnym, wprowadzano nowe pojęcia dotyczące sposobów prowadzenia działań i zachowania żołnierzy w specyficznych warunkach pola walki partyzanckiej.





Do grafiki wykorzystano zdjęcia oddziału Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Fot. Domena publiczna

JULIUSZ S. TYM

Armia Krajowa opracowała w miarę spójną doktrynę taktyczną prowadzenia działań partyzanckich, która stanowiła element wtórny w stosunku do zasadniczego dokumentu doktrynalnego, którym były opracowane w 1942 r. *Zasady walki powstańczej*. Instrukcja taktyczna *Zasady użycia i działania oddziałów partyzanckich* określała charakter tych działań oraz zasadnicze formy i sposoby prowadzenia działań. Trzy podstawowe formy walki partyzanckiej, które zostały omówione w instrukcji, to: napad, napad ogniowy i zasadzka.

Napad oraz napad ogniowy

Według instrukcji napad polegał na nagłym, niespodziewanym uderzeniu, którego celem miało być zniszczenie sił przeciwnika polegające na anihilacji, powiązane z czasowym lub trwałym opanowaniem obiektu ataku. Jako modelowe rozstrzygnięcie przyjmowano sytuację, w której siły żywe przeciwnika zostaną w całości zlikwidowane przez fizyczne wyeliminowanie z walki i wyłapanie pozostałych przy życiu, „by żaden n[ie]p[rzyjacie]lski świadek pogromu nie uszedł”[1]. Dopuszczano jednak umyślne wypuszczanie jeńców dla szerzenia paniki. Cel tak rozumianych napadów miały stanowić przede wszystkim niemieckie siły okupacyjne stanowiące aparat represji wobec ludności polskiej, czyli formacje policyjne i pomocnicze formacje uzbrojone, administracja i organy partyjne Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP). Jak nakazywała instrukcja, to właśnie przedstawiciele tych sił mieli być anihilowani. W odniesieniu do niemieckich sił zbrojnych napady miały na celu zdobycie uzbrojenia lub sprzętu wojskowego. W sytuacji, gdy szanse przeprowadzenia skutecznego napadu były zbyt małe, kiedy atak obarczony był dużym ryzykiem – zalecano napady ogniowe polegające na wyłącznie ogniowym oddziaływaniu na siły okupacyjne. Wytypowane cele powinny być starannie wybrane, a sposób przeprowadzenia napadu ogniowego miał gwarantować skuteczne porażenie ogniowe.

Zasadzka

Trzecią podstawową formę walki partyzanckiej stanowiła zasadzka. Jej cel to zarówno zniszczenie sił żywych przeciwnika, jak i zdobycie uzbrojenia lub sprzętu wojskowego albo odbicie więźniów. Zasadzka miała być zorganizowana w miejscu, w którym taktyczne właściwości terenu sprzyjały zarówno izolacji rejonu zasadzki, jak i zablokowaniu drogi przemieszczania się przeciwnika, a ponadto umożliwiały skryte podejście i bezpieczny odskok po wykonaniu zadania. Kwestia bezpiecznego wycofania się po wykonaniu napadu, napadu ogniowego lub zasadzki była silnie akcentowana w instrukcji *Zasady użycia i działania oddziałów partyzanckich*, podobnie jak konieczność osiągnięcia w każdym z tych działań efektu zaskoczenia. Preferowanym czasem prowadzenia działań była pora nocna jako najbardziej sprzyjająca skrytemu osiągnięciu rejonu działań, uzyskaniu efektu zaskoczenia i bezpiecznemu wycofaniu się oddziału. W związku z tym duży nacisk kładziono na prostotę planu walki, która miała umożliwić szybkie osiągnięcie powodzenia.

Wiedza i umiejętności

Sposób prowadzenia działań taktycznych przez poszczególne oddziały partyzanckie uzależniony był od wiedzy i umiejętności ich dowódców oraz poziomu wyszkolenia zarówno poszczególnych żołnierzy, jak i części składowych oddziału, czyli pododdziałów. Oddziały partyzanckie miały różną wielkość – zmieniała się ona w zależności od pór roku, dynamiki działań w danym terenie i innych warunków. Wpływało to na potencjał bojowy oddziałów i ich zdolności.

Tylko niewielka część oddziałów była dowodzona przez oficerów – cichociemnych, którzy w ramach szkolenia specjalistycznego w Wielkiej Brytanii (w różnym stopniu uzależnionym od konkretnej specjalności, do której ich przygotowywano) zapoznawani byli z zasadami prowadzenia działań partyzanckich. Na drugim biegunie znajdowali się organizatorzy oddziałów powstających oddolnie. Często byli to ludzie „spaleni”, dla których jedyna alternatywa dalszego funkcjonowania na danym terenie to „pójście do lasu”. Wielu spośród nich (nierzadko wybieranych na dowódcę przez innych członków oddziału) nie miało stopni oficerskich, a w niektórych przypadkach nawet elementarnego przeszkolenia wojskowego. Część zostawała później oficerami czasu wojny. Pomiędzy tymi dwoma biegunami sytuowali się dowódcy oddziałów partyzanckich, którzy byli oficerami służby stałej ▶





Od prawej: w skórzanym płaszczu por. Jerzy Stefanowski „Habdank", dowódca oddziału, por. Eugeniusz Gedymin Kaszyński „Nurt", dowódca Zgrupowania nr 1, ks. Marian Majewski „ks. Robak". Fot. Tadeusz Rylski „Ostoja"/Stowarzyszenie Pamięci „Ponury – Nurt"

Partyzanci z oddziału por. Euzebiusza Domoradzkiego „Grota" i wachm. Tomasza Wójcika „Tarzana" ze zwiadu konnego.
Fot. Tadeusz Rylski „Ostoja"/Stowarzyszenie Pamięci „Ponury – Nurt"

albo oficerami rezerwy lub podchorążymi rezerwy. Przed wojną nikt spośród nich nie odebrał przygotowania do dowodzenia oddziałem partyzanckim, a doświadczenia konspiracyjne z lat 1939–1942 w niewielkim stopniu przysposabiały do tej funkcji. Dlatego w wielu wypadkach ich dowodzenie w walkach partyzanckich miało charakter intuicyjny. Zazwyczaj dopiero w praktyce, w konkretnym starciu z realnym przeciwnikiem okazywało się, czy dany dowódca posiada zdolności do dowodzenia, czy potrafi wykorzystać taktyczne właściwości terenu, czy umie odpowiednio manewrować siłami i środkami oraz ogniem, czy jest w stanie wykorzystać podstawowe atuty walki partyzanckiej (zaskoczenie, szybkość i prostota) oraz czy zdoła w odpowiednim momencie zerwać kontakt ogniowy, aby zachować zdolność bojową oddziału.

Zauważyć należy, że poza okresem akcji „Burza" gros największych walk partyzanckich, bardzo często niesłusznie określanych jako bitwy partyzanckie, stoczono z konieczności, gdy dany oddział partyzancki zmuszony był przyjąć walkę, najczęściej z przeciwnikiem dysponującym przewagą zarówno liczebną, jak i techniczną. Były to zatem sytuacje wymuszone danym położeniem, najczęściej związane z akcjami przeciwpartyzanckimi prowadzonymi przez niemieckie siły wojskowe i policyjne, w których strona niemiecka używała znacznych sił i środków zarówno w postaci miejscowych sił porządkowo-ochronnych, jak i wyspecjalizowanych formacji przeciwpartyzanckich wspieranych artylerią, a nawet samolotami zdolnymi nie tylko prowadzić rozpoznanie z powietrza, ale również oddziaływać ogniowo na wykryte polskie oddziały partyzanckie.

Najczęściej do tego typu walk dochodziło wtedy, gdy Niemcy wykryli i zaatakowali oddział partyzancki w niekorzystnym dla niego położeniu. W konspiracyjnej instrukcji *Zasady użycia i działania oddziałów partyzanckich* przestrzegano przed doprowadzeniem do takich sytuacji, uznając, że oddział partyzancki, który zmuszony zostanie do obrony „można nieomal uważać za zgubiony"[2], a jedyną szansą uniknięcia zagłady oddziału było podjęcie próby przebicia się. Dlatego w takim położeniu część dowódców oddziałów partyzanckich decydowała się przyjąć walkę w korzystnym dla siebie położeniu, wyzyskując sprzyjające taktyczne właściwości terenu, na przykład organizując zasadzkę ogniową w celu zniszczenia części sił uczestniczących w obławie. Równie rzadkie były przypadki przejścia do działań zaczepnych, by starać się przerwać pierścień okrążenia. Zazwyczaj jednak dowódcy oddziałów partyzanckich usiłowali przenikać na zewnątrz pierścienia niemieckiej obławy, wykorzystując sprzyjające warunki terenowe lub atmosferyczne, odpowiednią porę dnia oraz luki w ugrupowaniu przeciwnika. W takim położeniu próby rozproszenia oddziału i przedzierania się lub przenikania w małych zespołach nie były najlepszym rozwiązaniem i często kończyły się tym, na co liczył przeciwnik, czyli rozproszeniem, a w zasadzie rozpadem oddziału i likwidacją jego działalności przez pewien czas lub nawet na stałe.

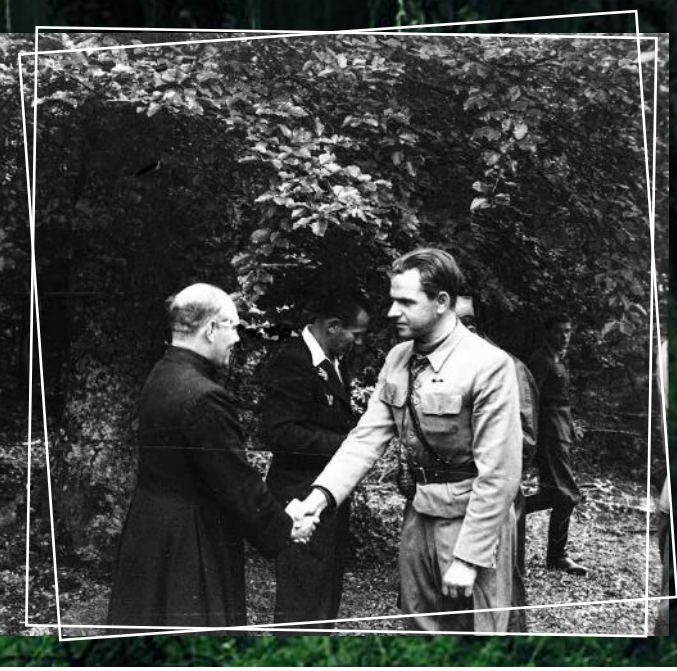

Komendant por. Jan Piwnik „Ponury” witał przybyłego do obozu w leśnej bazie na Wykusie w Puszczy Świętokrzyskiej kapelana ks. Mariana Majewskiego „ks. Robaka”, zaproszonego do odprawienia mszy, 12 września 1943 r.
Fot. Tadeusz Rylski „Ostoja”/Stowarzyszenie Pamięci „Ponury – Nurt”



Od lewej ppor. Leszek Popiel „Antoniewicz”, adiutant zgrupowań, por. Euzebiusz Domoradzki „Grot”, dowódca oddziału, por. „Hipolit Krogulec-Albiński”, zastępca „Ponurego”, Julian Materek „Szach”, kwatermistrz zgrupowań, Kazimierz Łotkowski „dr Zan”, lekarz. Fot. Tadeusz Rylski „Ostoja”/Stowarzyszenie Pamięci „Ponury – Nurt”

Tragiczne walki

Przykładem walk partyzanckich zakończonych rozbiciem oddziałów Armii Krajowej były te w lasach lipskich, janowskich i w Puszczy Solskiej toczone od 9 do 25 czerwca 1944 r. Ich tragiczny finał i wysokie straty stanowiły konsekwencję sprzecznej z podstawowymi zasadami działań partyzanckich koncepcji pozostania w kotle. W walkach tych zginęło kilkuset partyzantów oraz straciło życie kilkuset mieszkańców okolicznych wsi spacyfikowanych wówczas przez Niemców.

Podobnie było w Stołpeckim Obwodzie Armii Krajowej, gdzie zorganizowany 3 czerwca 1943 r. oddział partyzancki dowodzony przez ppor. Kaspra Miłaszewskiego „Lewalda”, liczący około 150 żołnierzy, 19 czerwca 1943 r. rozbił garnizon niemiecki w Iwieńcu. Zdobyte broń, oporządzenie i mundury umożliwiły szybką rozbudowę oddziału do trzykompanijnego batalionu liczącego 554 partyzantów. Jednak odpowiedzią Niemców było zorganizowanie operacji przeciwpartyzanckiej „Herman”, w wyniku której oddział ppor. „Lewalda” w czasie walk w lipcu i sierpniu 1943 r. poniósł straty ponad 40 zabitych, kilkudziesięciu rannych, ponad 100 zaginionych i uległ rozproszeniu, we wrześniu 1943 r. liczył bowiem zaledwie około 100 żołnierzy.

Szkolenia

Instrukcje komendantów poszczególnych okręgów Armii Krajowej dotyczące szkolenia były różnorodne. Podobnie jak proces szkolenia prowadzony w poszczególnych oddziałach partyzanckich, który był uzależniony od wielu czynników, takich jak wiedza i umiejętności dowódców, warunki miejscowe, stan uzbrojenia i wyposażenia oddziału oraz posiadane zapasy środków bojowych.

W konspiracyjnych instrukcjach skupiano się na szkoleniu indywidualnym, wprowadzano nowe pojęcia dotyczące sposobów prowadzenia działań i zachowania żołnierzy w specyficznych warunkach pola walki partyzanckiej. Natomiast założenia taktycznego użycia pododdziałów zazwyczaj stanowiły kopię przedwojennych założeń taktycznego użycia pododdziałów piechoty i często nie tylko bazowały na ustaleniach przedwojennego regulaminu walki piechot, lecz także je powielały. Problematyka ta jest słabo przebadana, a jedynym naukowym opracowaniem jest mająca 40 lat publikacja Jerzego Markiewicza *Szkoły partyzanckiej walki* traktująca o szkoleniu wojskowym w Batalionach Chłopskich i będąca rozprawą habilitacyjną autora.

Szkolenie w poszczególnych oddziałach partyzanckich było zróżnicowane. Przeważały różnorakie formy i metody szkolenia indywidualnego bądź w małych zespołach ludzkich. Prowadzeniu regularnego szkolenia ogniowego nie sprzyjały zły stan uzbrojenia oddziałów, mały zapas amunicji, a także brak strzelnic. Dlatego ogólny poziom wyszkolenia strzeleckiego większości oddziałów partyzanckich był niski. Najlepszych strzelców zazwyczaj kierowano do obsługi broni maszynowej – ręcznych i lekkich karabinów maszynowych lub broni przeciwpancernej, jeżeli oddział taką dysponował. Wyszkolenie zgranej ▶

obsługi ciężkich karabinów maszynowych w warunkach partyzanckich było olbrzymim wyzwaniem. Inny typ ciężkiej broni wsparcia piechoty w postaci uzbrojenia strzelającego pociskami odłamkowymi ogniem stromotorowym, czyli granatniki i moździerze, stanowił w oddziałach partyzanckich rzadkość i zazwyczaj był obsługiwany przez osoby odpowiednio przeszkolone w obsłudze tego uzbrojenia. Na przykład w świętokrzyskim zgrupowaniu partyzanckim dowodzonym przez cichociemnego kpt. Eugeniusza Kaszyńskiego „Nurta", funkcjonującym w czasie akcji „Burza" jako I batalion 2 Pułku Piechoty Legionów AK, za obsługę moździerza 81 mm odpowiadał por. Stanisław Pałac „Mariański" i ogniomistrz Marian Łyżwa „Żbik".

Charyzmatyczni dowódcy oddziałów partyzanckich, posiadający zarówno instynkt oraz zmysł taktyczny, jak i umiejętności organizatorskie, mający wizję funkcjonowania i działalności oddziału, o których przed wojną mówiło się w żargonie wojskowym „pistolet", a obecnie, snując różne wizje współczesnego modelu przywództwa wojskowego, często w odniesieniu do nich używa się dość pojemnego i niejednoznacznego określenia „dowódca polowy", potrafili zbudować system szkolenia. Przybierał on postać oryginalnego rozwiązania, charakteryzującego się planowaniem długo- i krótkoterminowym, unikatowymi formami i metodami szkolenia, a także znaczną improwizacją w zakresie organizacji zajęć i ich materiałowego przygotowania. W tak zorganizowanym systemie występowało szkolenie indywidualne w ramach poszczególnych funkcji i służb – inaczej szkolili się łącznicy i łączniczki, a odmiennie służba uzbrojenia lub służba zdrowia. W wyszkoleniu bojowym, czyli szkoleniu taktycznym, nacisk kładziono na działanie małych zespołów – szperaczy, patroli rozpoznawczych, elementów ubezpieczenia – wart, czujek i podsłuchów, placówek, a z czasem przechodzono do bardziej skomplikowanych elementów szkolenia. Dużą rolę odgrywało zgrywanie bojowe pododdziałów – poszczególnych drużyn i plutonów. Ze względu na specyfikę taktyki partyzanckiej i różnorodne uzbrojenie tych pododdziałów ważne było zgranie w jeden spójny system walki poszczególnych elementów ugrupowania bojowego odpowiedzialnych za podstawowe czynniki walki zbrojnej: ogień i ruch, które w warunkach partyzanckich można określić jako elementy ognia i manewru. W warunkach partyzanckich szkolenie było przeplatane różnego rodzaju zadaniami bojowymi, jak służba ubezpieczenia, prowadzenie rozpoznania oraz drobnych akcji, które nie zawsze musiały być związane z użyciem broni. Z tego powodu czasu na szkolenie, w tym zgrywanie bojowe pododdziałów, było niewiele. Dlatego w wielu oddziałach partyzanckich wypracowano sposoby działania w ugrupowaniu bojowym, które dziś – korzystając z języka współczesnej piłki nożnej – można określić jako „stałe elementy gry", czyli coś, co w taktyce regularnych sił zbrojnych nie występuje, choć pewne współczesne standardowe procedury operacyjne można by tak określić. Jednak w ówczesnej terminologii nie było standardowych procedur operacyjnych, natomiast „Wilk", „Kruk", „Czarny" i „Jasiek" musieli wiedzieć, jak mają współdziałać z sąsiednią drużyną.



W latach 1943–1944, czyli w okresie silnego rozwoju oraz szczytowych osiągnięć bojowych oddziałów partyzanckich zarówno Armii Krajowej, jak i innych zbrojnych formacji niepodległościowych Polskiego Państwa Podziemnego, nie istniał jednolity wzorzec doktrynalny działań partyzanckich ani system szkolenia oddziałów leśnych rozumiany jako skoordynowany wewnętrznie i wykazujący określoną strukturę układ elementów, rozpatrywany ze względu na zachodzące między nimi relacje wyrażające określone uporządkowanie. Nie określono także zespołu sposobów i metod działania oraz reguł obowiązujących w szkoleniu wojsk. ■

JULIUSZ S. TYM pułkownik, doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy. Współautor monografii *Mokra, Działoszyn 1939. Działania wielkich jednostek Grupy Operacyjnej „Piotrków" w pierwszych dniach kampanii 1939 roku*.

[1] *Zasady użycia i działania oddziałów partyzanckich*, Warszawa 1943.
[2] Tamże.

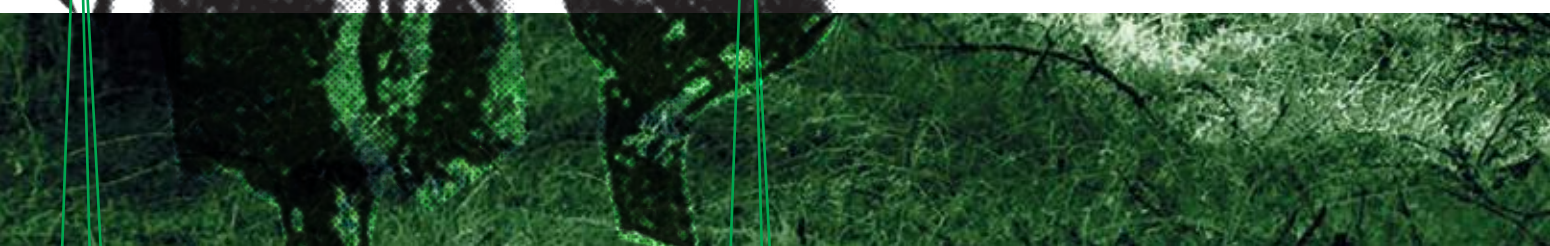



PATRONAT NARODOWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

RAJD ŚLADAMI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Rajd Śladami por. Józefa Świdra „Mściciela"
Termin: 14-15 marca 2020

Rajd Śladami Rotmistrza Witolda Pileckiego „Ucieczka z Auschwitz"
Termin: 16-17 maja 2020

Rajd Śladami por. Wacława Grabowskiego „Puszczyka"
Termin: 20-21 czerwca 2020

Rajd Śladami Powstańców Warszawskich
Termin: 1-2 sierpnia 2020

Rajd Śladami kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka"
Termin: 14-15 listopada 2020

Organizatorzy

FUNDACJA IM. JANUSZA KURTYKI

POJDŹ Z NAMI TROPEM BOHATERÓW

Patronaty Honorowe

Wsparli nas

Partnerzy

Patronaty medialne



Żołnierze 27 Pułku Piechoty Armii Krajowej na stanowiskach. Widoczne erkaem Bren, peem Sten i dwa zdobyczne pistolety P 08 Parabellum.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Peemy dla Armii Krajowej

Polskie Państwo Podziemne było bez wątpienia fenomenem II wojny światowej. Rozbudowana struktura i szeroki zakres konspiracyjnej aktywności obejmującej zarówno sferę wojskową, jak i cywilną nie miały precedensu. Jednym z najważniejszych aspektów działalności była produkcja uzbrojenia.

MICHAŁ MACKIEWICZ



Broń naszego podziemia w latach 1939–1945 pochodziła z pięciu zasadniczych źródeł. Pierwszym było uzbrojenie ukryte przez polskich żołnierzy w 1939 r. Drugie źródło stanowiły zakupy na czarnym rynku, przy czym znaczną część pozyskano od Polaków, którzy weszli w jej posiadanie w wyniku kradzieży, penetracji pobojowisk lub mieli ją jeszcze sprzed wojny. Nieprzyjacielscy żołnierze pozbywali się jej z początku niechętnie. Z półrocznego meldunku organizacyjnego Armii Krajowej z września 1942 r. można dowiedzieć się, że „Zakup broni i amunicji od npla [nieprzyjaciela], próbowany na całym terenie daje dotychczas wyniki małe. W okresie sprawozdawczym uzyskano tą drogą kilka sztuk broni maszynowej piechoty i kilkadziesiąt karabinów i pistoletów”[1]. Dopiero z czasem w wyniku ogólnego rozprężenia możliwości w tym zakresie znacznie wzrosły. Ilość tej broni była jednak stosunkowo niewielka i nigdy nie stanowiła istotnego składnika konspiracyjnego arsenału. Więcej zdobyto na wrogu w bezpośredniej walce, ale to trzecie źródło przyniosło obfitszy plon dopiero w 1944 r., co oczywiście wiązało się z akcją „Burza” i Powstaniem Warszawskim. Ważnym źródłem pozyskiwania uzbrojenia były alianckie zrzuty lotnicze. Łącznie w latach 1941–1944 przeprowadzono cztery sezony zrzutowe, dostarczając do kraju między innymi kilkanaście tysięcy peemów, ok. 10 tys. sztuk broni krótkiej, ponad tysiąc kaemów, kilkaset piatów i kilkadziesiąt tysięcy granatów ręcznych. Ostatnim, piątym źródłem była produkcja własna.

Sten

Gros przedwojennej kadry przemysłu zbrojeniowego trafiło do struktur Służby Zwycięstwa Polski i Związku Walki Zbrojnej, dlatego konspiracyjna produkcja uzbrojenia osiągnęła największą skalę w ramach Armii Krajowej. Produkcja leżała w gestii Szefostwa Uzbrojenia (kryptonim „Leśnictwo”), które działało

MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

UZBROJENIE AK

Pistolet maszynowy Błyskawica. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

w ramach Oddziału IV (Kwatermistrzostwo) Komendy Głównej AK i kierowane było przez ppłk. Jana Szypowskiego „Leśnika", mającego znaczący udział w rozwoju Centralnego Okręgu Przemysłowego w dwudziestoleciu międzywojennym, w Powstaniu Warszawskim dowódcy Zgrupowania „Leśnik". W 1942 r. utworzono także Szefostwo Produkcji Konspiracyjnej o kryptonimie „Cieśla", którego pracami kierował inż. Witold Gokieli „Ryszard". Poza owymi strukturami wytwarzaniem uzbrojenia zajęło się we własnym zakresie Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej (Kedyw)[2]. Próby produkcji inicjowane przez przedwojennych techników i konstruktorów amatorów podejmowano także oddolnie, w ramach różnych oddziałów, a nierzadko indywidualnie. Z czasem działalność taką włączano w struktury organizacji. Efektem tych wysiłków była seryjna produkcja granatów ręcznych, miotaczy ognia i pistoletów maszynowych.

Te ostatnie należały do najbardziej poszukiwanych rodzajów broni. Peem zadebiutował pod koniec I wojny światowej, ale dopiero kolejny światowy konflikt uczynił z niego jedną z najważniejszych broni ówczesnego pola walki. Niewielka masa, poręczność, a zwłaszcza szybkostrzelność to atuty, które sprawiły, że peemy cenili żołnierze oddziałów specjalnych i powietrzno-desantowych. Taka broń doskonale sprawdzała się podczas walk toczonych w plątaninie miejskiej zabudowy i leśnym gąszczu. Były wprost nieocenione w oddziałach nieregularnych, walczących z reguły z zaskoczenia i na bliską odległość. Przedwojenna armia nie doczekała się ich, a opracowany w warszawskiej Fabryce Karabinów Mors wz.39 kal. 9 mm nie ukończył prób poligonowych i oficjalnie nie został przyjęty do uzbrojenia, wyprodukowano zaledwie 40 jego egzemplarzy. Z początku jedynym źródłem pozyskiwania peemów był nieprzyjaciel. W przypadku zakupu na czarnym rynku należało się liczyć ze sporym wydatkiem – za erkaem i pistolet maszynowy trzeba było zapłacić aż 30 tys. złotych, droższy był jedynie cekaem – 40 tys. złotych, tymczasem karabin powtarzalny kosztował zaledwie 4 tys., a pistolet kal. 9 mm – 7 tys. Znaczący zastrzyk pełnowartościowej broni stanowiły zrzuty. Tą drogą trafiły do kraju tysiące angielskich Stenów kal. 9 mm Parabellum. Tani, łatwy w produkcji i prosty konstrukcyjnie stanowił brytyjską odpowiedź na niemieckiego MP 40, czyli popularnego Schmeissera. Nazwa Sten pochodzi od pierwszych liter nazwisk konstruktorów – Sephard i Turpin – i miejscowości Enfield, gdzie mieściła się Królewska Fabryka Broni. Peem działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego. Przystosowano go do strzelania ogniem ciągłym i pojedynczym, a zasilanie odbywało się z magazynka pudełkowego na 32 naboje dołączanego prostopadle z lewej strony. Najpopularniejszą wersją był Mark II produkowany w latach 1942–1944. Prostota tej broni umożliwiła uruchomienie produkcji w konspiracyjnych warsztatach.

Jeden z nich mieścił się w Warszawie przy ulicy Grzybowskiej 25 w Fabryce Łóżek i Sprzętu Szpitalnego „Konrad, Jarnuszkiewicz i S-ka". Józef Kapler „Jutka", członek Armii Krajowej, a przed wojną pracownik fabryki przy Grzybowskiej, zapoznawszy się z oryginalnym Stenem, najpierw zbudował prototyp, a wkrótce opracował dokumentację techniczną, narzędzia i oprzyrządowanie do produkcji. Ruszyła ona pod koniec 1943 r., a pierwsze seryjne egzemplarze były gotowe już na początku kolejnego roku. Pochodzące stamtąd unikatowe wyposażenie przetrwało wojnę. Zostało wydobyte podczas odgruzowywania stolicy w 1947 r. i obecnie eksponowane jest na wystawie stałej Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. To przeciągarka do gwintowania luf, przyrząd bruzdujący, matryca z wykrojnikiem, narzynka z oprawką – w sumie 16 metalowych elementów konspiracyjnego warsztatu. Ich opracowanie było wielkim osiągnięciem, zważywszy na braki materiałowe i trudne warunki konspiracji. Największe wyzwanie stanowił przyrząd do gwintowania luf, czyli przeciągarka zamontowana na stole warsztatowym. Była ona autorskim pomysłem „Jutki". Uruchamiano ją ręcznie za pomocą korby, a posuwisty ruch w przewodzie lufy wymuszała długa śruba o małym skoku, która przeciągała kolejne gwintowniki. Było ich jedenaście, każdy w innym rozmiarze i z sześcioma nożykami o różnych kształcie i funkcji. W sumie u Jarnuszkiewicza zmontowano ok. 180 Stenów. Peemy miały polskie sygnatury: na obsadzie magazynka wybijano polskiego orła w koronie, litery WP (Wojsko Polskie) i nazwę STEN PM. Fabryka Jarnuszkiewicza nie była jedynym miejscem, w którym podczas okupacji produkowano Steny.

Z innych warszawskich placówek wymienić można zakład przy ulicy Leszno 18, nowocześnie wyposażony, produkujący na zlecenie Niemców zaczepy do bomb lotniczych. Była to jednocześnie największa konspiracyjna wytwórnia luf do pistoletów Vis oraz peemów Sten i Błyskawica, którą zorganizowali Teofil Czajkowski „Aleksy" i Ryszard Białostocki „Robert", kierownik referatu broni w Szefostwie Produkcji Konspiracyjnej. Montowano tutaj także Steny z części dostarczanych przez rozmaitych kooperantów; w sumie zakład przekazał podziemnej armii 260 peemów, część już w trakcie Powstania Warszawskiego. Oprócz już wymienionych istniały inne warszawskie wytwórnie, ale produkcję zorganizowano także poza stolicą, między innymi w Krakowie przy ulicy Mogilskiej 97 i w Suchedniowie w Zakładach Przemysłowych „St. Tański i S-ka". Pochodzące stąd Steny trafiły do działających w Górach Świętokrzyskich żołnierzy zgrupowania Jana Piwnika „Ponurego". Łączną liczbę polskich Stenów szacuje się na tysiąc kilkaset sztuk. ▶

Błyskawica

Zrzutowy Sten był źródłem inspiracji dla innego polskiego peemu – Błyskawicy. Jej twórców, inżynierów Wacława Zawrotnego i Seweryna Wielaniera, urzekła bez wątpienia prostota budowy angielskiej konstrukcji, którą z uwagi na okupacyjne ograniczenia postanowili jeszcze bardziej uprościć technologicznie. Zrezygnowano między innymi ze spawów na rzecz połączeń gwintowanych, zarzucono przełącznik rodzaju ognia. Zasadę działania oparto na odrzucie zamka swobodnego, jak we wszystkich peemach epoki, a układ zaczerpnięto z niemieckiego MP 40. W Błyskawicy 32-nabojowy magazynek, identyczny jak w Stenie, dołączano prostopadle od dołu, a broń miała składaną kolbę. Błyskawicę dostosowano do amunicji 9 mm Parabellum. Produkcja ruszyła pod koniec 1943 r. Części wytwarzano w kilku miejscach w Warszawie, natomiast ostatecznego montażu dokonywano na placu Grzybowskim w firmie Franciszka Makowieckiego. „Części się zbierało – wspominał Sławomir Maruszewski „Ape", uczestniczący w logistycznym zabezpieczeniu procesu produkcji. – Głównymi punktami, w których żeśmy zbierali, to był Plac Żelaznej Bramy – tam były stragany, wszystko. Poza tym twórca Błyskawicy – tutaj różne są rzeczy pisane, ale według tego, co się mówiło i co ja wiedziałem, to konstruktorem Błyskawicy był inżynier Zawrotny – pseudonim »Błyskawica«. On miał warsztat swój, jakiś elektrotechniczny, na ulicy Elektoralnej – chyba Elektoralna 5. Od niego się brało dużo rzeczy, brało się z umówionych punktów"[3]. Z warsztatu przy placu Grzybowskim gotowe peemy przekazywano partiami do magazynów: „wywiezienie było już bardziej bezpieczne, bo Błyskawice i magazynki owijało się w tak zwaną »rabicówkę« – to jest siatka, taka rzadka zupełnie, którą przed wojną, jak się budowało, to się owijało belki metalowe do otynkowania. To się nazywało siatka Rabitza. I w tę siatkę się pięknie owijało, w worki dwa takie były włożone, worki sobie leżały na wózku i można było sobie z tym jechać"[4]. Pracami nad Błyskawicą zainteresowane było najwyższe kierownictwo Armii Krajowej. Wiąże się z tym niezwykła historia, która miałaby wszelkie znamiona nieprawdopodobnej, gdyby nie pochodziła od samego Wielaniera. Otóż jesienią 1943 r. inż. Ryszard Białostocki „Robert", wykonując polecenie przełożonych, dostarczył nowiutki peem do konspiracyjnego lokalu przy ulicy Niecałej w Warszawie. Ku swojemu zdumieniu zastał tam komendanta Kedywu płk. Augusta Emila Fieldorfa „Nila", który osobiście chciał obejrzeć nową broń. „W trakcie zaznajamiania się z budową i działaniem mechanizmów broni – wspominał Wielanier – płk »Nil« wyraził żal, że warunki spotkania nie pozwalają na ostateczny sprawdzian peemu, na co któryś z obecnych na spotkaniu oficerów (o ile się nie mylę był to inż. Białostocki) wpadł na bardzo ryzykowny pomysł i zaproponował, by wyjść na ulicę i w rejonie pl. Teatralnego przeprowadzić próbne strzelanie. Pomysł zrealizowano: na miejsce strzelania pierwszy kroczył pomysłodawca z ukrytą pod płaszczem załadowaną Błyskawicą i dwoma zapasowymi magazynkami, za nim – w pewnej odległości – szła reszta oficerów. Na pl. Tetralnym o tej porze (a było wczesne popołudnie) znajdowało się mnóstwo przechodniów, w tym także i umundurowanych Niemców. Projektodawca podszedł do trawnika na środku placu, wyjął spod płaszcza broń i celując w korony pobliskich drzew, opróżnił w ich kierunku cały magazynek. Posypały się gałęzie i liście, pl. Teatralny w panice i zamieszaniu błyskawicznie opustoszał, a nasi spokojnie wycofali się. Pułkownik »Nil« był szczęśliwy – przekonał się, że pistolet działa bez zarzutu i będzie przydatny w konspiracji"[5].



Powstaniec warszawski z Błyskawicą.
Zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego

Zdania dotyczące parametrów taktyczno-technicznych peemu są podzielone i zależą od indywidualnych doświadczeń jego użytkowników. Wśród wad wymienia się przede wszystkim niepraktyczną, wykonaną z aluminium i pękającą osłonę lufy, brak skutecznego bezpiecznika blokującego zamek, zbyt krótkie ramiona składanej



Konspiracyjny warsztat do produkcji Stenów z warszawskiej Fabryki Łóżek i Sprzętu Szpitalnego „Konrad Jarnuszkiewicz i S-ka" z ulicy Grzybowskiej 25 w ekspozycji stałej w Muzeum Wojska Polskiego.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie/ fot. Michał Mackiewicz



Sten wyprodukowany w warsztacie przy Grzybowskiej 25 w Warszawie. Na osadzie magazynka polskie oznaczenia: STEN PM // godło państwowe // WP. Dobrze widoczne także szczegóły konstrukcyjne przeciągarki do gwintowania przewodów luf. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie/ fot. Michał Mackiewicz

kolby i źle rozwiązane przyrządy celownicze. Niemniej kilkaset całkowicie sprawnych peemów – skalę produkcji szacuje się na minimum 700 sztuk – stanowiło istotne wzmocnienie warszawskiego garnizonu Armii Krajowej. Większość Błyskawic wykorzystano podczas Powstania Warszawskiego. Po jego upadku część broni schowano. Kilka takich pamiątek udało się odnaleźć po wojnie. Przekazano je do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, gdzie są eksponowane na wystawie stałej, świadcząc o dorobku polskich inżynierów i techników. Uruchomienie produkcji uzbrojenia w warunkach okupacji było bez wątpienia jednym z największych i najbardziej spektakularnych dokonań Armii Krajowej. Pomimo skomplikowanego procesu wytwarzania, trudności w pozyskaniu odpowiedniej jakości surowca, nieustannych kontroli oraz wszędobylskich szpicli udało się dostarczyć ruchowi oporu najbardziej pożądaną przezeń broń.

Część Błyskawic trafiło w ręce Niemców. Tadeusz Rymkiewicz „Habrowy", który w czasie Powstania Warszawskiego walczył między innymi w Śródmieściu Północnym, tak zapamiętał moment kapitulacji: „Broń oddawaliśmy na placu Kercelego. Tam była rogatka, teraz już nie ma tych rogatek, bo się Wolska łączyła z Chłodną i tam były te rogatki. Tam były te stragany z placu Kercelego i tam stali żołnierze, lotnicy niemieccy i przyjmowali broń w zależności od rodzaju; amerykańskie, radzieckie, niemieckie, angielskie pistolety to przyjmowali. A ja przechodziłem i nie chcieli ode mnie tego wziąć, bo nie wiedzieli co to jest. To była polska konspiracyjna »Błyskawica«. Tłumaczyłem, że to jest konspiracyjna i osobno to wzięli, jako ciekawostkę, bo to była broń nieznana. To był taki pistolet składany i z tyłu było takie oparcie i była właśnie narysowana błyskawica. To produkowano tu niedaleko, na Grzybowskiej"[6]. Najlepiej zachowana oryginalna Błyskawica, a przetrwało zaledwie około dziesięciu jej egzemplarzy, przechowywana jest w Muzeum Wojskowym w Pradze.

Na koniec trzeba wspomnieć o KIS-ie, peemie opracowanym przez Polikarpa Rybickiego „Konara", Witolda Szafrańskiego „Iga" i Stanisława Skorupkę „Smreka", partyzantów ze zgrupowania Jana Piwnika „Ponurego". Nazwa broni pochodzi od pierwszych liter ich pseudonimów. Prace nad KIS-em zlecił Eugeniusz Kaszyński „Nurt", od stycznia 1944 r. dowódca Świętokrzyskiego Zgrupowania Armii Krajowej. Także w tym przypadku wzorcem okazał się Sten, przy czym peem z Gór Świętokrzyskich był uproszczony nawet w porównaniu do Błyskawicy. „Wyprodukowany przez nas pistolet KIS nie różnił się, jeśli chodzi o jego skuteczność, od innych pistoletów maszynowych – wspominał „Konar". – Magazynek mieścił 32 naboje kaliber 9 mm. Przy »wyczuwalnym« trzymaniu języka spustowego można było strzelać ogniem ciągłym krótkimi seriami. Celownika ani kolby nie miał. Elementy te były pracochłonne, a bez nich pistolet był również pełnosprawny. Raził skutecznie na odległość do 100 m. Ważył ok. 2,3 kg [...]. W okresie od listopada 1943 r. do sierpnia 1944 r. wykonaliśmy ok. 38 sztuk"[7]. Charakterystycznym elementem KIS-a była lufa, nie miała osłony, ale przy części wlotowej była wyraźnie pogrubiona. Brak kolby i przyrządów celowniczych nie obniżały bojowych walorów – KIS był bronią szturmową, przeznaczoną do walki na najbliższych odległościach, z zasadzki. Niestety, nie zachował się – czy raczej: nie został dotąd odnaleziony – żaden oryginalny peem. ■

MICHAŁ MACKIEWICZ absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Dziale Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego. Zajmuje się m.in. ewolucją broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor licznych publikacji z dziedziny bronioznawstwa, historii wojskowości i muzealnictwa.

[1] Armia Krajowa w dokumentach, t. II, 1941-1943, Londyn 1973, s. 311.
[2] A.K. Sobczak, *Produkcja i naprawy uzbrojenia w polskich organizacjach zbrojnych (1939–1944)*, Pułtusk 2008, s. 103–104. [3] https://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/slawomir-maruszewski,925.html [dostęp 7 XI 2019].
[4] Tamże. [5] P.G. Krajewski, *Podziemna Błyskawica: zapomniany sukces, „Strzał"*, numer specjalny (5), sierpień 2014, s. 58–70. [6] https://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/tadeusz-rymkiewicz,123.html [dostęp 7 XI 2019]. [7] M. Krawczyk, *Zrzuty broni i produkcja uzbrojenia*, seria „Polska Walcząca – Historia Polskiego Państwa Podziemnego", t. 29, Warszawa 2016, s. 24.

Jeden z najlepszych oficerów polskiego wywiadu płk Aleksander Klotz należał do elitarnego grona agentów, którzy mogli o sobie mówić: „wygrałem z NKWD”.

TARGNĄĆ ZA WĄSY TYGRYSA



Aleksander Klotz.
Fot. Domena publiczna

PIOTR KORCZYŃSKI

Przyszły as polskiego wywiadu urodził się 31 sierpnia 1898 r. w Żyrardowie jako syn Józefa i Józefiny z d. Szczepańskiej. Patriotyczna atmosfera domu (ojciec przeżył zesłanie na Syberię za udział w rewolucji 1905 r.) i przynależność do tajnych organizacji w gimnazjum zaprowadziły go po wybuchu Wielkiej Wojny prosto do Legionów Józefa Piłsudskiego. Tam jednak szybko odkryto, że ten bystry, obdarzony dobrą pamięcią, a jednocześnie o silnym charakterze chłopak bardziej sprawdzi się na odcinku tajnego frontu i w 1916 r. przeniesiono go do Polskiej Organizacji Wojskowej. Tutaj rozpoczęła się jego kariera oficera wywiadu. W wojnie polsko-bolszewickiej był szefem Oddziału II 14 Dywizji Piechoty, od maja do września 1920 r. jako dowódca oddziału partyzanckiego działał na tyłach frontu nad Dnieprem, by następnie znowu pełnić funkcję szefa wywiadu w sztabie 14 Dywizji Piechoty. W lutym 1921 r. znalazł się w delegacji na rokowania pokojowe z Sowietami w Rydze jako oficer do zadań specjalnych. Z tym miastem związał się na następne kilka lat, oficjalnie jako attaché wojskowy, a nieoficjalnie jako organizator siatki wywiadowczej na Łotwie i w Rosji sowieckiej.

W 1925 r. kpt. Klotz ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie. Mimo samych pochwał w ocenach wojskowych przełożonych, podobnie jak w okresie Legionów przeznaczona mu była jednak inna kariera. W 1928 r. został przeniesiony w stan nieczynny, a w grudniu następnego roku na własną prośbę przeszedł do rezerwy. Rozpoczął się okres jego pracy w administracji państwowej, między innymi na stanowisku starosty grodzkiego we Lwowie, radcy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i konsula Rzeczypospolitej Polskiej w Morawskiej Ostrawie. Prawdopodobnie nadal jednak przy tym wszystkim pełnił jak najbardziej „czynne” funkcje w II Oddziale Sztabu Głównego. Świadczy o tym chociażby to, że w 1938 r. awansowano go do stopnia majora dyplomowanego. Udało się też ustalić, że bezpośrednio przed wybuchem wojny montował siatkę dywersji pozafrontowej w Wielkopolsce.

W kampanii 1939 r. walczył w Armii „Poznań”, z której resztkami przedarł się do Warszawy i wziął udział w jej obronie. Po kapitulacji stolicy od razu przeszedł

do konspiracji i w listopadzie 1939 r. został wysłany przez komendanta Służby Zwycięstwu Polski gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza do Lwowa.

Prosto w paszczę tygrysa

W lwim grodzie mjr Klotz został najpierw szefem sztabu dowództwa lwowskiego Służby Zwycięstwu Polski, a następnie szefem sztabu Obszaru Lwów Związku Walki Zbrojnej. W nocy z 6 na 7 marca 1940 r. Sowieci aresztowali gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza przy próbie przejścia granicy w drodze do Lwowa, gdzie miał zostać komendantem głównym ZWZ na terenie okupacji sowieckiej. Generała wywieziono w głąb Związku Sowieckiego, ale dowództwo polskiej konspiracji postanowiło go odbić. W tym celu wysłało na nieludzką ziemię Aleksandra Klotza występującego pod fałszywym nazwiskiem „dr. Henryka Urbańczyka" i łączniczkę Eleonorę Wandę Ptaszek „Kamilę Argasińską". Oboje mieli udawać przed milicją i NKWD, że są parą medyków (lekarz i pielęgniarka), którzy dobrowolnie wyjeżdżają z zachodniej guberni, by leczyć pod mandżurską granicą. Natomiast zwykłym ludziom, zwłaszcza polskiego pochodzenia, mieli mówić, że szukają brata „Kamili", oficera, który po 17 września 1939 r. dostał się do niewoli.



Jeden z łagrów w rejonie Irkucka. Fot. PAP/PAP/ITAR-TASS

Tak doszło do jednego z najbardziej spektakularnych wyczynów polskiego wywiadu – trwającej przeszło cztery miesiące wyprawy w głąb Związku Sowieckiego, gdzie teoretycznie nikt spoza „komunistycznego raju" nie mógł umknąć czujności wszechwładnego NKWD. Jednak mjr Klotz dzięki doświadczeniu oficera wywiadu, bardzo dobrej znajomości języka rosyjskiego i realiów sowieckiego imperium wraz z „asystentką" potrafił, jak sam to napisał, targnąć za wąsy tygrysa, którym było NKWD. Od maja do września 1940 r. major i „Kamila" przemierzyli koleją, furmankami, statkiem, a przede wszystkim na piechotę 28 tys. kilometrów w poszukiwaniu swego dowódcy. Majora tropili w miastach i na stepach wschodniej Ukrainy. Przeszli pustynie Azji Środkowej i przepłynęli Morze Kaspijskie, by wejść na ziemie Archipelagu Gułag. W rejonie Kotłasu widniejące na horyzoncie wieże strażnicze kompleksu łagrów Klotz w pierwszej chwili wziął za... wieże szybów naftowych. Wreszcie przez Ural i Nizinę Zachodniosyberyjską dotarli do Irkucka. Stąd, nie znalazłszy generała, powrócili do Lwowa.

Mimo że główny cel wyprawy nie został osiągnięty, Klotz zebrał bardzo dużo informacji o Polakach zesłanych w głąb Związku Sowieckiego. Udało mu się w kilku wypadkach nawiązać kontakt z polskimi jeńcami i zaprzysiąc ich do Związku Walki Zbrojnej. Tak było między innymi z grupą szeregowców ze Starobielska, których wyprowadzano do pracy poza obóz. W czasie tej odysei po „innym świecie" Klotzowi i jego towarzyszce bardzo pomogło ich medyczne alibi. Do największych wyczynów „dr. Urbańczyka", który w rzeczywistości nie miał żadnego medycznego wykształcenia, należało wyleczenie z impotencji oficera NKWD, co dawało mu swoisty glejt podczas jazdy kolejnymi pociągami sunącymi coraz dalej na wschód. Klotz badał i diagnozował pasażerów wagonów, kołchoźników, a przede wszystkim enkawudzistów, którzy dzięki temu bez wahania podbijali dokumenty pary z „zachodniej guberni". Jak się miało niedługo okazać, był to dopiero początek lekarskiej sławy polskiego oficera w sowieckim świecie.

Akowiec u Świerczewskiego

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. mjr Klotz został kierownikiem Odcinka III sieci wywiadowczej Komendy Głównej ZWZ/AK o kryptonimie „WW-72", a następnie „Pralnia". Podlegli mu wywiadowcy zbierali informacje na terenach od Lwowa aż po wciąż wtedy przesuwającą się na wschód linię frontu niemiecko-sowieckiego. Kiedy losy wojny się odwróciły i w lipcu 1944 r. Sowieci wkroczyli do Lwowa, Klotz, w odróżnieniu od wielu kolegów z AK, nie popełnił błędu ujawnienia się. Pod przybranym nazwiskiem, tym razem jako inżynier górnictwa naftowego, pracował w sowieckim przed-

siębiorstwie wydobywczym, do czasu aż NKWD nie zaczęło wyraźnie interesować się jego osobą.

W sierpniu 1944 r. wyjechał do Lublina jako „dr Jan Baranowski" i tutaj 30 października został przez tamtejszą Rejonową Komendę Uzupełnień zmobilizowany i przydzielony do służby zdrowia 3 Armii Wojska Polskiego. Kiedy okazało się, że nie uda się stworzyć 3 Armii z powodu braku poborowych, sformowane oddziały rozdzielono między istniejące już dwie armie ludowego Wojska Polskiego. I tak „dr Baranowski" trafił do 2 Armii pod dowództwo gen. Karola Świerczewskiego. Jak wspominał w *Zapiskach konspiratora*, znalazł się w bardzo osobliwym towarzystwie służby zdrowia 2 Armii: „Obok mniej lub więcej wyraźnych agentów [NKWD], grupę specjalną stanowili wszyscy lekarze, którzy przybyli z Rosji z armią Berlinga. Przeważnie Żydzi, którym nie udało się lub nie chcieli wyjść z ZSRR z armią gen. Andersa [...]. Wewnątrz tej grupy wachlarz poglądów politycznych był bardzo rozległy: od szukających drogi ucieczki na Zachód do oddanych całą duszą reżymowi. [...] Lekarze zmobilizowani przymusowo na terenie Polski należeli prawie bez wyjątku do wyznawców ideologii, której na imię »AK«"[1].

Dzięki zdolnościom organizacyjnym i znajomości sowieckiej mentalności „dr Baranowski" szybko piął się w hierarchii pionu medycznego ludowego WP. Został asystentem szefa oddziału organizacyjnego służby zdrowia 2 Armii, a od 3 grudnia 1944 r. był w niej dowódcą 6 Samodzielnej Kompanii Pogotowia Chirurgicznego. W kwietniu 1945 r. mianowano go komendantem 29 Szpitala dla Lekko Rannych. Z podległymi mu oddziałami brał udział w marszu 2 Armii na Drezno i – jak wielu jej żołnierzy – w zwycięskim, choć krwawym marszu targały nim sprzeczne uczucia; w *Zapiskach konspiratora* zanotował: „Mimo swej dwuznacznej pozycji, lekarskich odznak, munduru – nie będącego »moim« mundurem i służby w Wojsku Polskim, nie będącym Wojskiem Polskim – nie bez głębokiej satysfakcji, a nawet szczerego wzruszenia, przekraczałem pod Czarnkowem granicę Rzeszy Niemieckiej. Po raz pierwszy i ostatni zabłysło w sercu coś na kształt uczucia wdzięczności dla Czerwonej Armii, za przeżyty pod bramą triumfalną moment. Szczególnie za ten wielki i przekonywujący napis: WOT ONA – PROKLJATAJA GERMANJA! – »Oto one – przeklęte Niemcy!« [...]. Krwawo i dotkliwie spłacali Niemcy swoje długi. Nie wiem czy opłaciły się Wawry, Oświęcimie i Ravensbrücki"[2].

Zawrotna kariera

Klotz, otoczony oficerami w i informatorami NKWD oraz frontowcami na niemieckiej ziemi, paradoksalnie czuł się wśród nich całkiem bezpiecznie. Naprawdę zaczął się obawiać o swoje agenturalne szczęście dopiero po wycofaniu się jego jednostki z powrotem do Polski. Tutaj występowało prawdopodobieństwo, że rozpoznają go nieświadomi jego roli znajomi z przedwojennej armii, których coraz więcej pojawiało się w szeregach wojska marsz. Michała Żymierskiego. Jeszcze w Lublinie Klotz unikał jakiegokolwiek kontaktu z dawnym kolegą z Wyższej Szkoły Wojennej, gen. Zygmuntem Berlingiem. Chwile grozy przeżył, kiedy pewnego dnia do stołówki wszedł jego były dowódca z 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich, gen. Mikołaj Prus-Więckowski, który w 2 Armii był dowódcą 6 Dywizji Piechoty. Na szczęście generał albo nie chciał, albo naprawdę nie rozpoznał swego byłego oficera do zleceń specjalnych.

Takich sytuacji „dr Baranowski" przeżywał coraz więcej, a tutaj, jak na złość, przychodziły kolejne awanse. Odznaczono go Krzyżem Zasługi za Dzielność i Krzyżem Grunwaldu III klasy, przypięto gwiazdki podpułkownika i... naznaczono na komendanta Głównego Szpitala Klinicznego Ministerstwa Obrony Narodowej w Otwocku. Podpułkownik Klotz, oficer wywiadu II RP i Armii Krajowej, przez cały czas szukający kontaktu z podziemiem niepodległościowym, ironią losu stał się dygnitarzem komunistycznej władzy. Jako szef głównej kliniki MON zasiadł obok gen. Świerczewskiego i gen. Stanisława Popławskiego w prezydium I Kongresu Medycyny Wojennej Wojsk Polskich i Sojuszniczych w Poznaniu. Wieszczono mu rychłą karierę ministerialną.

Podpułkownik Klotz postanowił jednak nie przeciągać struny. Pod koniec lutego 1946 r. otrzymał pięciodniowy urlop dla załatwienia spraw rodzinnych, z którego już nie powrócił. Zamiast ministerialnej kariery i coraz wyraźniejszego widma aresztowania przez NKWD wybrał wolność na Zachodzie – najpierw w Wielkiej Brytanii, a następnie w Australii. W 1950 r. na wniosek ministra obrony narodowej marsz. Konstantego Rokossowskiego pozbawiono „ppłk. Baranowskiego" stopnia oficerskiego. W spisanych w 1948 r. *Zapiskach konspiratora* zanotował z satysfakcją: „Wprawdzie tylko kilka miesięcy, ale pod nosem tropiącego nas NKWD przewędrowaliśmy cały Sojuz [...] – z wolnością w plecaku i w sercach. Jakże nie wstyd – towarzyszu Beria! Gdyby mnie dzisiaj dosięgło NKWD, co jest zawsze i wszędzie możliwe – już mi nie odbiorą satysfakcji, jaką w sobie noszę. Mogą najwyżej obedrzeć ze skóry – co każdy hycel potrafi"[3].

Aleksander Klotz zginął w wypadku samochodowym w Australii 29 października 1976 r. Wbrew spekulacjom niektórych autorów w Polsce nie był to zamach KGB, lecz nagły zawał serca podczas kierowania samochodem, którym wiózł żonę Lidię do szpitala. W kraksie na autostradzie zginęli oboje. Po podpułkowniku zostały *Zapiski konspiratora*, które nie tylko krzepią serce, ale pokazują, jak nieprzewidywalnie może potoczyć się historia. ■

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia", publicysta. Autor książek, m.in.: *Elitarne oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939–1945*; *Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

[1] A. Klotz, Zapiski konspiratora 1939–1945, Kraków 2001, s. 242. [2] Tamże, s. 249. [3] Tamże, s. 15.

Tajny i skuteczny „Gryf Pomorski”

W okresie II wojny światowej na okupowanych ziemiach polskich Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Kaszubski”, następnie Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Pomorski” – była jedyną regionalną organizacją konspiracyjną, która prowadziła nieprzerwanie działalność od przełomu 1939 i 1940 aż do zajęcia Pomorza przez wojska sowieckie w 1945 r.

ANDRZEJ GĄSIOROWSKI

Organizację utworzył nauczyciel Józef Dambek „Jur”, „Kil”, „Lech”, przed wojną współpracujący z Oddziałem II Sztabu Głównego Wojska Polskiego i zaangażowany w prace struktur dywersji pozafrontowej. Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Kaszubski” powstała na przełomie roku 1939 i 1940 we wsi Czarlino (po kaszubsku Czôrlëno), leżącej w powiecie kartuskim, i najszybciej działalnością objęła powiaty kaszubskie: kartuski i kościerski.

Przez cały czas – aż do śmierci – całością prac organizacyjnych kierował Józef Dambek, założyciel „Gryfa”, wiceprezes, następnie prezes Rady Naczelnej i jednocześnie kierownik Głównego Wydziału Organizacyjnego. Ważną rolę odegrał ks. ppłk Józef Wrycza „Rawycz”, znany i popularny na Pomorzu działacz niepodległościowy, kapelan wojskowy, związany następnie z ruchem narodowym, po 1926 r. przeciwnik sanacji i działacz ruchu kombatanckiego. Ukrywający się od początku okupacji ksiądz w 1942 r. został prezesem Rady Naczelnej TOW „Gryf Pomorski”. Jego nazwisko przyciągnęło do organizacji wielu nowych członków, Józef Dambek nie był bowiem przed wojną postacią szerzej znaną. Członkami TOW „GP” zostawali przedstawiciele miejscowej inteligencji, głównie jednak rolnicy i pracownicy leśni, gdyż struktury „Gryfa” najbardziej rozbudowane były na wsi. Istotną rolę w „Gryfie” odegrali leśniczy doskonale znający tereny leśne. W organizacji – chociaż w nazwie i dokumentach podkreślano jej wojskowy charakter – byli tylko nieliczni oficerowie rezerwy i podchorążowie czy podoficerowie. Zdecydowana większość członków miała tylko zaliczoną zasadniczą służbę wojskową lub przeszkolenie wojskowe.



Struktura organizacji

Ważną rolę odgrywał stojący na czele pionu wojskowego komendant naczelny. Kolejno stanowisko to obejmowali: por. rez. Bolesław Formela (poseł na Sejm), jako p.o. Juliusz Koszałka „Jeremi” (przedwojenny policjant), por. rez. Józef Gierszewski „Ryś” (nauczyciel i członek sieci dywersji pozafrontowej), ppor. rez. inż. Grzegorz Wojewski „Ferrum” i jako p.o. Marian Jankowski „Szarak” (leśniczy). Wątpliwości dotyczą tego, kiedy komendantem naczelnym był ppor. rez. Aleksander Arendt „Konar” (od lata 1943 r. do jesieni 1943 r. czy od jesieni 1943 r. do marca lub maja 1944 r.), w związku z tym, że nie udało się bezspornie ustalić daty jego aresztowania przez gestapo. Kierownictwu organizacji podlegały komendy powiatowe, tym ostatnim z kolei podporządkowano komendy gminne, w ramach których istniały piątki szturmowe i oddziały obwodowe. W 1942 r. utworzono podporządkowany Komendzie Naczelnej szczebel Komend Okręgu, którym podlegało kilka komend powiatowych. W 1943 r. zaczęto też tworzyć tzw. Oddziały Samoobrony. Istotną rolę odgrywały oddziały partyzanckie, których rozwój nastąpił w latach 1942–1943, kiedy ich szeregi zasilili zagrożeni aresztowaniem członkowie „Gryfa” oraz dezerterzy z Wehrmachtu. Największe oddziały partyzanckie „Gryfa” były dowodzone przez: braci Leona Kulasa „Zawiszę” i Józefa Kulasa ▶

„Powałę”, pchor. rez. Jana Szalewskiego „Sobola”, ppor. rez. Alfreda Loeppera „Lwa”, Bernarda Michałki „Batorego”, Jana Bińczyka „Zagłobę”, Henryka Grabosza „Gwiazdę”, Alfonsa Kwiczora „Czarnego” i Emila Cysewskiego „Sokoła”.

Szacuje się, że w okresie największego rozwoju w 1943 r. „Gryf” liczył 5–8 tys. (taka liczba znajduje się w dokumentach Armii Krajowej i w biuletynach niemieckiej policji bezpieczeństwa) do niemalże 20 tys. członków (taką liczbę podano w kopii dokumentu organizacyjnego „Gryfa” z 31 grudnia 1943 r., którego oryginał się nie zachował). W tym ostatnim dokumencie wymieniono 66 Oddziałów Samoobrony, składających się z 3919 członków.

Deklaracje ideowe

Cele TOW „Gryf Pomorski” sformułowano w *Deklaracji ideowej* (jeden egzemplarz nosi datę: „lipiec 1941 r.”, drugi: „6 maja 1942 r.”) i w *Statucie*. Oba dokumenty znacznie od siebie się różnią. Pierwszy z nich – zawierający 10 punktów – był niezwykle patriotyczny i miał religijny charakter. Przede wszystkim deklarował podporządkowanie się organizacji Naczelnemu Wodzowi oraz Rządowi RP w Londynie. Podkreślano w nim wyraźnie, że „Gryf” jest organizacją katolicką, ponadpartyjną i o charakterze wojskowym. Odrzucano też separatyzm dzielnicowy jako najbardziej szkodliwy dla dobra państwa. W *Statucie* w punkcie 1 stwierdzono wyraźnie: „Tajna Organizacja Wojskowa »Gryf Pomorski« jest organizacją czysto wojskową, jako taka nie służy żadnej partii politycznej, jedynie żywotnym interesom Rzeczypospolitej Polski i jej obywatelom, Polakom. […] za oręż chwyci żołnierz nasz na rozkaz Wodza Naczelnego Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polski”[1]. W *Statucie* określono także strukturę i kompetencje najważniejszych komórek TOW „GP”. Zgodnie z nim Rada Naczelna była: „najwyższą władzą ustawodawczą i rozkazodawczą i kontrolującą dla organów jej podległych, którymi są: a) Główny Wydział Organizacyjny, b) Komenda Naczelna”[2]. Rada Naczelna mianowała kierownika Głównego Wydziału Organizacyjnego i komendanta naczelnego oraz członków Komendy Naczelnej. Nadawała stopnie oficerskie i podoficerskie, a także kontrolowała finanse organizacji oraz przestrzeganie *Statutu* i *Regulaminu*.

Skład osobowy Rady Naczelnej ulegał zmianom i rzadko Rada spotykała się w pełnym składzie. Prezesem RN był ks. Józef Wrycza (do wiosny 1943 r.), wiceprezesem Józef Dambek (a od wiosny 1943 r. do śmierci – prezes RN). Ostatnim prezesem RN był Augustyn Westphal „Echo”. Ksiądz Wrycza pełnił swą funkcję raczej honorowo, kontaktowano się z nim dość rzadko, tylko w najważniejszych sprawach. Kapelanami RN byli: ks. Ignacy Chmurzyński, a po nim ks. Leon Degner (do aresztowania 17 kwietnia 1944 r.). W działalności TOW „GP” uczestniczyli księża, siedmiu z nich

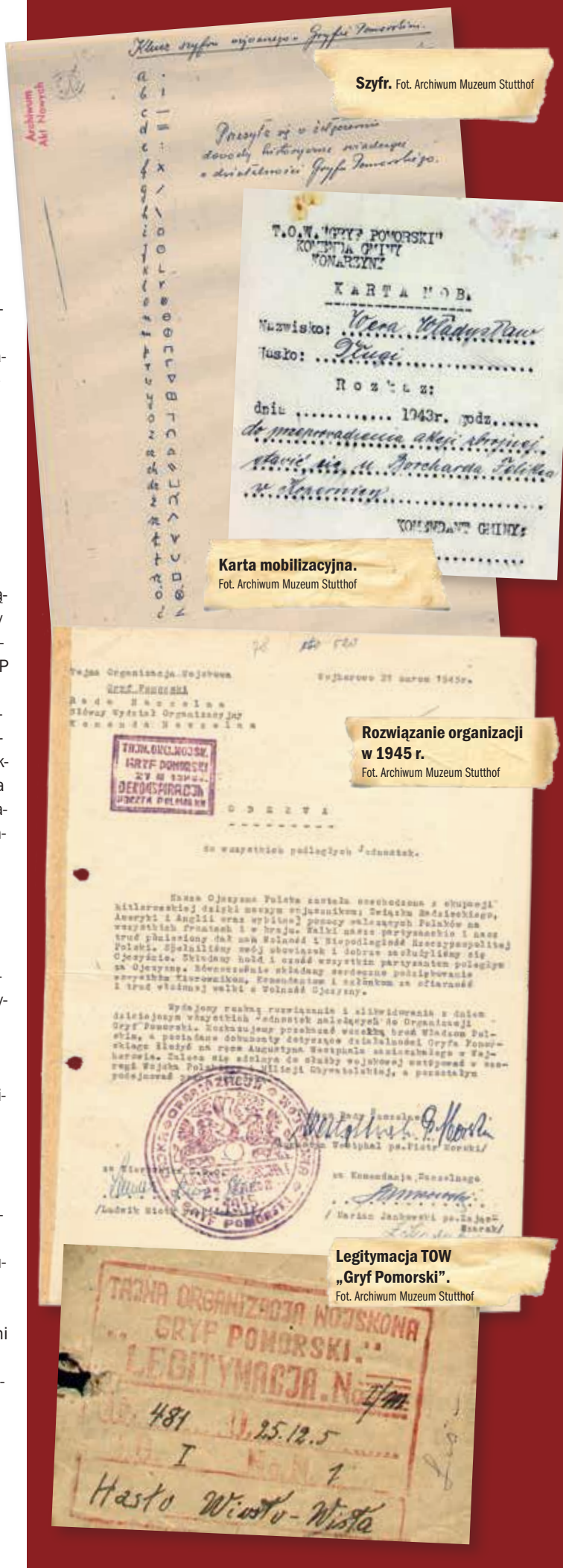

Szyfr. Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Karta mobilizacyjna.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Rozwiązanie organizacji w 1945 r.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Legitymacja TOW „Gryf Pomorski”.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

zostało aresztowanych przez gestapo i osadzonych w obozie koncentracyjnym Stutthof.

Istnieją wątpliwości odnośnie do tego, kiedy zmieniono nazwę organizacji. Według jednej z wersji do przemianowania TOW „Gryf Kaszubski" na TOW „Gryf Pomorski" doszło 6 lipca 1941 r. w Czarnej Dąbrowie (pow. bytowski), gdzie ukrywał się ks. Wrycza. Wydaje się jednak, że zmiana nazwy nastąpiła dopiero w połowie 1942 r. Wynikało to przede wszystkim z tego, że „Gryf" objął wówczas zasięgiem poza Kaszubami także pobliskie Kociewie oraz utworzono nieliczne struktury „Gryfa" na południu Pomorza: w Toruniu, Grudziądzu i Lubawie. Do „Gryfa Pomorskiego" w połowie 1942 r. włączono także kilka lokalnych organizacji i grup konspiracyjnych.

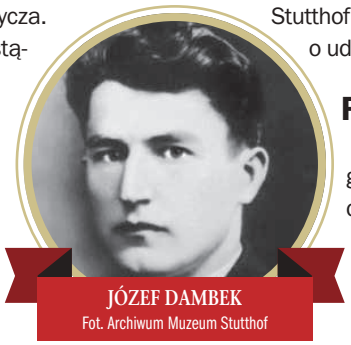

JÓZEF DAMBEK
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

W latach 1940–1942 „Gryf" nie prowadził akcji o charakterze zaczepnym, ograniczając się do tworzenia bezpiecznych warunków dla ukrywających się członków. Wyjątkiem były dwie akcje dywersji kolejowej przeprowadzone w czerwcu 1942 r. pomiędzy Starogardem a Chojnicami. Zorganizował je Stanisław Lesikowski „Las" z Polskiej Armii Powstania, ale uczestniczyli w nich także członkowie oddziału „Gryfa Pomorskiego", dowodzonego przez Jana Szalewskiego „Sobola". Wykolejono wówczas dwa pociągi: pasażerski i transport wojskowy. Wykolejenie pociągu jadącego z Królewca do Berlina jest przedstawiane jako próba zamachu na pociąg wiozący Adolfa Hitlera, co znajduje potwierdzenie w raporcie wywiadu brytyjskiego. O znaczeniu tych obu akcji świadczy wysoka nagroda za wskazanie sprawców: po pierwszej akcji 100 tys. marek, po drugiej 250 tys. marek. O akcjach tych głośno było nie tylko na Pomorzu. Pisano o nich w prasie konspiracyjnej i w prasie szwedzkiej. Największym tego typu przedsięwzięciem zorganizowanym przez Komendę Naczelną TOW „GP" była przeprowadzona 21 listopada 1943 r. przez 30 partyzantów akcja na lotnisko szkolne Luftwaffe w Strzebielinie Morskim (pow. wejherowski). Zdobyto wówczas bez strat własnych dwa lekkie karabiny maszynowe, kilka skrzyń granatów i amunicję. W latach 1943–1944 – w miarę rozwoju struktur partyzanckich „Gryfa" i akcji policyjnych skierowanych przeciwko partyzantom – dochodziło do różnych potyczek, a nawet bitew partyzantów z przeważającymi siłami policyjnymi i wojskowymi. Jedną z takich bitew z obławą liczącą ok. 500 policjantów i żołnierzy – stoczyli 29 lutego 1944 r. w rejonie Koleczkowa (pow. wejherowski) członkowie oddziału ppor. rez. Alfreda Loeppera „Lwa". Zginął wówczas dowódca tego oddziału i 10 członków. Partyzanci „Gryfa" przeprowadzali także tzw. akcje odwetowe, skierowane przeciwko wyróżniającym się antypolską postawą miejscowym Niemcom i osadnikom niemieckim. W ramach odwetu wysiedlono do obozu w Potulicach lub obozu koncentracyjnego Stutthof wielu mieszkańców wsi podejrzewanych o udzielanie pomocy partyzantom.



KSIĄDZ JÓZEF WRYCZA
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Rozłam

Dynamiczny rozwój „Gryfa Pomorskiego" skończył się wiosną 1943 r. Spowodowane było to przede wszystkim konfliktem pomiędzy kierującym całością organizacji Józefem Dambkiem „Jurem" a stojącym na czele struktur wojskowych „Gryfa Pomorskiego" por. rez. WP Józefem Gierszewskim „Rysiem". Po pozbawieniu 17 lutego 1943 r. Gierszewskiego stanowiska komendanta naczelnego doszło do rozłamu, Gierszewski przystąpił bowiem do tworzenia nowej organizacji o nazwie „Wolność", do której wprowadził niektórych członków „Gryfa". Konflikt zakończył się tragicznie. Sąd organizacyjny „Gryfa" wydał na Gierszewskiego wyrok śmierci, którego legalność i zasadność była kwestionowana już w okresie okupacji przez część członków i podzieliła środowisko „Gryfa Pomorskiego". W świetle powojennych badań zawarty w wyroku zarzut zdrady okazał się bezpodstawny z wyjątkiem zarzutu o oderwanie się od „Gryfa Pomorskiego". Gierszewski został zastrzelony w schronie niedaleko leśniczówki Dywan, prawdopodobnie 8 lipca 1943 r. Kiedy informacja o jego śmierci dotarła do członków struktur kierowniczych „Gryfa", niektórzy z nich postanowili zerwać z „Gryfem Pomorskim" i pomimo gróźb ze strony Dambka podporządkować się Armii Krajowej ze swoimi podwładnymi.



PPOR. REZ. GRZEGORZ WOJEWSKI Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Początkowo „Gryf Pomorski" prowadził działalność samodzielnie. Sytuacja zmieniła się dopiero wiosną – latem 1942 r. kiedy w ramach prowadzonej z rozkazu Naczelnego Wodza tzw. akcji scaleniowej podjęto pierwszą – nieudaną – próbę połączenia „Gryfa Pomorskiego" z Armią Krajową, która zbiegła się w czasie z masowymi aresztowaniami w Okręgu Pomorskim AK. Po fiasku tych starań rozmowy scaleniowe prowadzono pomiędzy TOW „Gryf Pomorski" a przedstawicielami Zjednoczonych Organizacji Ruchu „Miecz i Pług". Ich efektem było podpisanie w kwietniu 1943 r. umowy scaleniowej, z której wynikało, że TOW „Gryf Pomorski" po scaleniu z ZORMiP zachowa autonomię ▶

organizacyjną. Miało to poważne konsekwencje, gdyż członkowie kierownictwa ZORMiP współpracowali z niemiecką policją bezpieczeństwa i fakt ten był znany Komendzie Głównej AK. W związku z tym negatywnie oceniano wówczas także TOW „Gryf Pomorski".

Scalenie z AK

W wyniku postępującego później procesu rozbicia „Gryfa" od organizacji odrywały się poszczególne grupy i scalały się z AK. W październiku 1943 r. por. Henryk Gruetzmacher „Michał", komendant Podokręgu Północno-Zachodniego AK, wcielił do AK grupę Rudolfa Bigusa „Zbyszka", działającą w powiatach kartuskim i wejherowskim. W listopadzie 1943 r. Gruetzmacher wcielił do AK silną grupę Jana Szalewskiego „Sobola", działającą w powiecie kościerskim. W związku z tym Dambek „Jur" z członkami Rady Naczelnej Alojzym Kiedrowskim „Krukiem" i Józefem Kuklińskim „Sępem" wydali wyroki śmierci na kilku członków „Gryfa", którzy przeszli ze swoimi ludźmi do AK. To zaostrzyło konflikt z Armią Krajową. Porucznik Gruetzmacher skierował do „Jura", „Kruka" i „Sępa" pisma, żądając wstrzymania prac konspiracyjnych, odwołania wydanych wyroków i zaprzestania akcji wrogiej wobec AK, a w wypadku zlekceważenia tego ostrzeżenia zagroził wszczęciem „rygorystycznego postępowania wojskowego"[3]. Komendant główny AK gen. Tadusz Komorowski „Bór" 21 grudnia 1943 r. w rozkazie do Komendy Okręgu Pomorskiego AK pisał m.in.: „»Miecz i Pług« stoi całkowicie poza nawiasem akcji scaleniowej. Jest agenturą gestapo. Zerwać wszelkie kontakty. »Gryf« jest silnie związany z »Mieczem i Pługiem«"[4]. Wiosną 1944 r. z rozkazu por. Gruetzmachera ppor. Jarocki „Juhas", „Antoni" kontynuował rozmowy scaleniowe pomiędzy AK i „Gryfem Pomorskim", jednak i tym razem nie osiągnięto porozumienia. Podjęto jedynie współpracę z „Gryfem" w zakresie wywiadu: zarówno z wywiadem Okręgu Pomorskiego AK, jak i z siecią wywiadu ofensywnego KG AK o kryptonimie „Lombard".


Amtliche Bekanntmachung!

250 000 RM Belohnung

In der Nacht vom 20. zum 21. Juni 1942 gegen 2.10 Uhr entgleiste ein Güterzug auf der Strecke Dirschau-Konitz in Höhe der Blockstelle Steinkrug. Der Unfall ist vermutlich durch verbrecherischen Anschlag betriebsfremder Personen verursacht worden. Es besteht die Möglichkeit, daß es sich um die gleichen Täter handelt, die den verbrecherischen Anschlag auf den D-Zug 8 Königsberg-Berlin am 9. Juni 1942 ausgeführt haben. Die Reichsbahndirektion Danzig setzt auf die Ergreifung des oder der Täter, die die beiden Anschläge auf der Strecke Dirschau-Konitz verübt haben, an Stelle der bisherigen

Belohnung von 100 000 RM unwiderruflich eine

Belohnung von 250 000 RM aus.

über die Zuerkennung der Belohnung - und wenn mehrere Personen an der Ergreifung der Täter beteiligt sind, ihre Verteilung - entscheidet unter Ausschluß des Rechtsweges die Reichsbahndirektion Danzig.

Deutsche Reichsbahn
Reichsbahndirektion Danzig

Plakat – nagroda 250 tys. marek.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof


POR. REZ. JÓZEF GIERSZEWSKI
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Kierownictwo „Gryfa Pomorskiego" utrzymywało natomiast poprawne kontakty z Okręgową Delegaturą Rządu RP na Pomorze. Józef Dambek i kierownik Oddziału Administracji Samorządowej TOW „GP" Jan Biały utrzymywali za pośrednictwem pracowników Delegatury, Czesława Dawidzkiego i Ignacego Wujka, łączność z delegatem RP na Pomorze Antonim Antczakiem „Adamskim". Konsultowano między innymi sprawę obsady stanowisk w przyszłej administracji państwowej na terenie Kaszub i Kociewia.

Rozpad organizacji w 1943 r. pogłębiła prowokacyjna akcja gdańskiego gestapo. W jej wyniku gestapowiec Jan Kaszubowski, udający zastępcę komendanta powiatowego z Tczewa, 4 marca 1944 r. zastrzelił Józefa Dambka nad Jeziorem Dąbrowskim niedaleko Gołubia. W miejscu jego śmierci rokrocznie odbywają się uroczystości patriotyczne, a 5 marca 2017 r. Dambek został pośmiertnie awansowany na stopień kapitana. Przejęte po śmierci Dambka przez gestapo archiwum zawierało zakodowane prostym szyfrem listy członków „Gryfa Pomorskiego" z kilku powiatów. Po ich rozszyfrowaniu gestapo przystąpiło do masowych aresztowań. W wydawanym w Berlinie biuletynie policji bezpieczeństwa (Meldung wichtiger staatspolizeilicher Ereignisse), nr 4, z 22 września 1944 r., stwierdzano: „W toku akcji przeciwko GP [...] aresztowano 1105 członków, w tym 483 funkcjonariuszy. W walce i w czasie ucieczki zabito 23 funkcjonariuszy z komendantem głównym, członkami Rady i częścią głównych funkcjonariuszy"[5]. Wszyscy aresztowani członkowie „Gryfa Pomorskiego" osadzeni zostali w obozie koncentracyjnym Stutthof, gdzie uwięziono także osoby wspierające działalność „Gryfa Pomorskiego".

Z organizacją „Gryf Pomorski" wiążą się tajemnice. Już w okresie okupacji członkowie jej kierownictwa rozpowszechniali informacje o utrzymywaniu przez tę organizację łączności z polskimi władzami w Londynie i o nadaniu przez gen. Władysława Sikorskiego stopnia generała ks. Józefowi Wryczy, przed wojną kapelanowi WP w stopniu podpułkownika. Oficerowie AK dementowali to jako

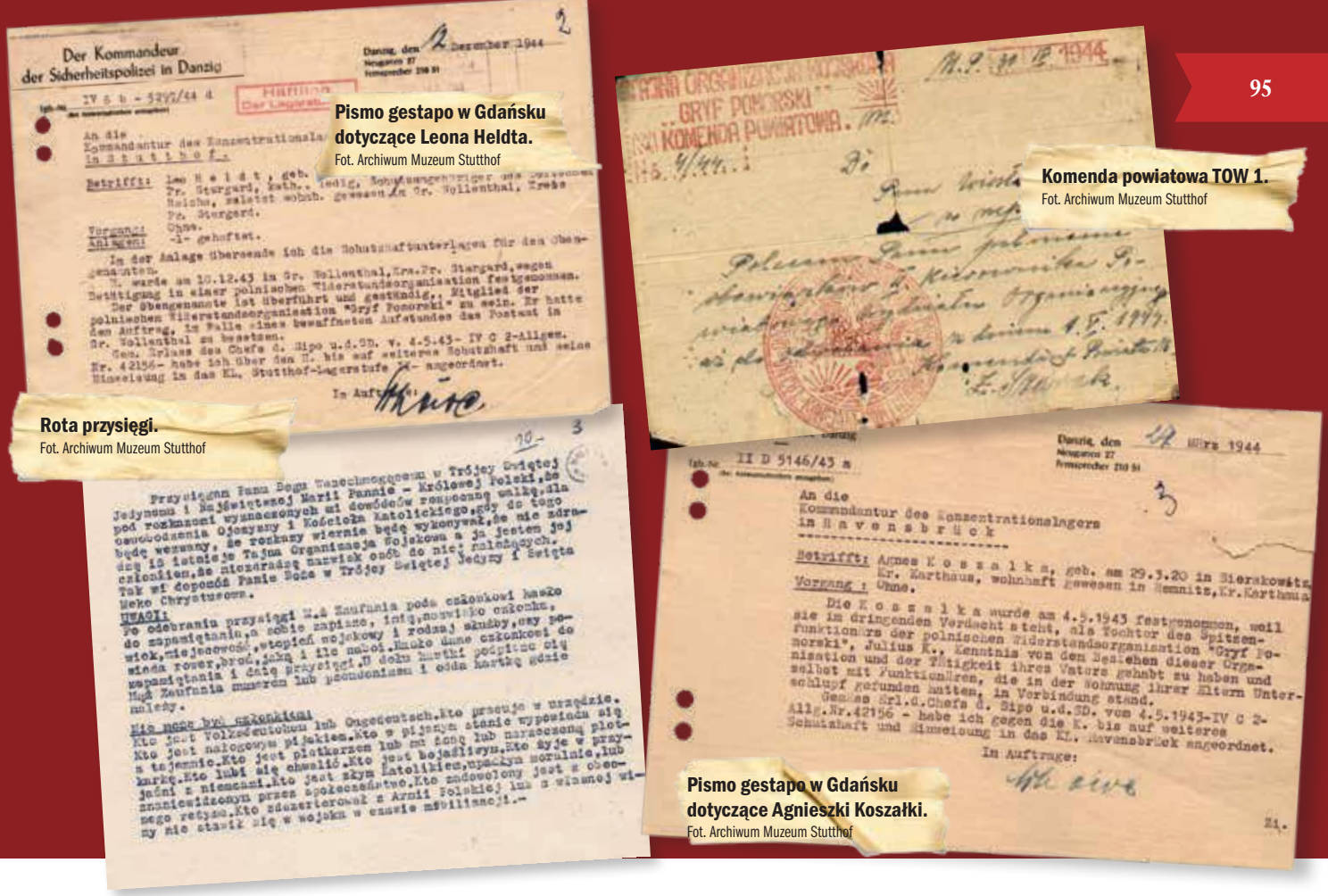

Pismo gestapo w Gdańsku dotyczące Leona Heldta.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Komenda powiatowa TOW 1.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Rota przysięgi.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Pismo gestapo w Gdańsku dotyczące Agnieszki Koszałki.
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

niepotwierdzone plotki mające podnieść znaczenie „Gryfa". Podczas powojennych badań ustalono, że rzeczywiście kierownictwo „Gryfa Pomorskiego" – za pośrednictwem Lucjana Cylkowskiego z Gdyni i wicekonsula duńskiego z Gdańska Jørgena Mogensena – próbowało nawiązać łączność z Londynem. Mogensen miał nawet dostarczyć klucz do nawiązania korespondencji radiowej z Londynem za pomocą radiostacji będącej w dyspozycji „Gryfa". Przygotowano także miejsce dla zrzutu broni z samolotów. Informacje o „Gryfie Pomorskim" dotarły przez Danię i Szwecję do Londynu, skąd w czerwcu 1944 r. nadeszło do wywiadu KG AK polecenie o przekazaniu informacji o „Gryfie Pomorskim". Po aresztowaniu w marcu 1944 r. przez gestapo Cylkowskiego i Mogensena łączność z Londynem została przerwana. Natomiast stopień generała brygady WP ks. Józef Wrycza otrzymał pośmiertnie dopiero postanowieniem prezydenta RP Andrzeja Dudy z 10 września 2019 r. Legenda stała się prawdziwa po ponad 70 latach.



PCHOR. REZ. JAN SZALEWSKI
Fot. Archiwum Muzeum Stutthof

Już podczas zajmowania Pomorza przez wojska sowieckie w 1945 r. zatrzymani zostali, a następnie wywiezieni do Rosji członkowie oddziałów partyzanckich „Gryfa Pomorskiego". Spośród aresztowanych ppor. rez. Grzegorz Wojewski, były komendant naczelny „Gryfa", zmarł w obozie etapowym NKWD w Grudziądzu; Jan Gończ, kronikarz „Gryfa", zmarł na Syberii. Gestapowiec Jan Kaszubowski podjął współpracę z sowieckimi służbami specjalnymi, przekazując swoją wiedzę o „Gryfie Pomorskim". Na podstawie jego informacji Rosjanie dokonywali aresztowań byłych członków organizacji. Wśród osadzonych w maju 1945 r. w więzieniu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Gdańsku byli czterej członkowie TOW „Gryf Pomorski": Marian Jankowski, Jan Pioch, Hieronim Preuss i Jan Labuda. Współpracę ze Smierszem, a następnie UBP podjął Aleksander Arendt „Konar". Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych rozpracowywaniem środowiska byłych członków „Gryfa Pomorskiego" zajęli się funkcjonariusze bezpieki, przesłuchując ich i inwigilując. Wielu członków tej organizacji nie przyznawało się więc początkowo do działalności w „Gryfie". Dopiero po 1956 r. zaprzestano szykan, chociaż nadal Służba Bezpieczeństwa interesowała się byłymi członkami „Gryfa". ■

ANDRZEJ GĄSIOROWSKI profesor doktor habilitowany, historyk, muzealnik, politolog, kierownik zakładu w Instytucie Politologii Uniwersytetu Gdańskiego i kustosz dyplomowany w Oddziale Muzeum Stutthof w Sopocie. Autor ponad 300 prac z historii najnowszej. Był przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Bałtyckiego. Członek Rady Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej w Toruniu.

[1] A. Gąsiorowski, K. Steyer, *Tajna Organizacja Wojskowa Gryf Pomorski*, Gdańsk 2010, s. 432. [2] Tamże, s. 433. [3] Raport „Michała", Dane dotyczące Organizacji „Gryf Pomorski" z 20 czerwca 1944. Zob. A. Gąsiorowski, K. Steyer, *Tajna Organizacja...*, s. 456. [4] A. Gąsiorowski, K. Steyer, *Tajna Organizacja...*, s. 263; Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej, Dokumenty Okręgu Pomorskiego AK, Pismo „Michała" do K, mp. 30.5.44. [5] A. Gąsiorowski, K. Steyer, *Tajna Organizacja...*, s. 465.



Grupa prowokacyjna: funkcjonariusze bezpieki ucharakteryzowani na partyzantów podczas akcji przeciwko oddziałowi „Wiarusy" w Gorcach. Na zdjęciu Kazimierz Nowotarski, Barbara Łączkowska oraz najprawdopodobniej Franciszek Szlachcic.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

GRA POZORÓW

Napady uzbrojonych bandytów w Generalnym Gubernatorstwie i powojennej Polsce należały do codzienności. Przestępcy zdobywali zaufanie podszywając się pod partyzantów i żołnierzy Armii Krajowej.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

„Przyszli nocą od strony Dunajca na plebanię, okradli dom, księdza, zabrali im różne rzeczy i nawet przybory liturgiczne. Gosposię księdza położyli pod karabinami na podłogę [...]. Odgrażali się, że zastrzelą księdza, ale go nie było. Wiele takich napadów w okolicy robili, ludzie się ich bardzo bali"[1] – wspominała mieszkanka małopolskiej wsi Wola Przemykowska w powiecie brzeskim. W strachu przed bandą zwaną „czarnymi sępami" żyły okoliczne wsie. Co kilka, kilkanaście dni ktoś tracił pieniądze, jedzenie, buty albo kożuch. Udając partyzantów, „sępy" kryły się w dalszych stronach, gdzie ich nie znano, po czym szły po kolejny łup.

Wojenny bandytyzm

Wraz z rozpoczęciem walk we wrześniu 1939 r. doszło do dezorganizacji władzy polskiej: administracji i policji, a z więzień zbiegło i zostało wypuszczonych wielu kryminalistów. Po Polsce krążyli żołnierze z rozbitych jednostek i dezerterzy, a także cywile – uciekinierzy. Cofająca się armia pozostawiła za sobą duże ilości broni. Natomiast niemieckie struktury okupacyjne dopiero się formowały. Te okoliczności wytworzyły idealną

sytuację dla powstania w całym kraju grup rabunkowych. Nie było to zjawisko wyjątkowe dla II wojny światowej; na przykład w 1918 r. w austro-węgierskiej Galicji ukrywało się szacunkowo kilkanaście tysięcy dezerterów, z których część zajmowała się rabowaniem, atakując nawet miasteczka i kolejowe transporty.

Ale II wojna światowa i pierwsze lata po jej zakończeniu to – jak je nazwał historyk Marcin Zaremba – czas wielkiej trwogi, straszniejszy od wszystkich dotychczasowych wojen. Okres, w którym społeczeństwo Polski doświadczyło okupacji dwóch totalitarnych systemów, nazizmu i komunizmu: masowych egzekucji, aresztowań, deportacji, wywózek do obozów koncentracyjnych i łagrów, walk – zwłaszcza na Kresach Wschodnich – między dotychczasowymi sąsiadami. Śmierć stawała się powszechna, a ci, którzy przeżyli, niepewni każdego dnia, zmagali się z biedą i głodem. Gdy wojna się skończyła, do Polski wracały setki tysięcy robotników przymusowych, przesiedleńców, zdemobilizowanych żołnierzy, którym w wyniszczonym kraju często nie było jak pomóc. Wojna wytworzyła pole dla społecznych patologii: demoralizacji, zobojętnienia na śmierć, kolaboracji, funkcjonowania czarnego rynku, alkoholizmu – i właśnie bandytyzmu.

Sytuacja podczas II wojny światowej różniła się w zależności od regionu. O ile na ziemiach włączonych do III Rzeszy Niemcy bezwzględnie zwalczali bandytyzm, to w Generalnym Gubernatorstwie dopuszczali go w ograniczonym i kontrolowanym przez siebie zakresie. Teoretycznie zwalczaniem pospolitej przestępczości miała zajmować się „granatowa" Policja (Polnische Polizei) i Policja Kryminalna (Kriminalpolizei). To ich zadaniem była ochrona ludności przed bandytami. Jednak ich szczupłe siły pozwoliły jedynie na zahamowanie wzrostu przestępczości, były natomiast zbyt słabe, żeby ją zredukować. Kolejna fala bandytyzmu przyszła w 1942 r., wraz z nasileniem terroru okupanta, wzmożeniem niemieckiej akcji mordowania społeczności żydowskiej oraz lokowaniem w Polsce obozów dla jeńców sowieckich; uciekinierzy z nich często zasilali szeregi band. W lasach pojawiły się grupy ukrywających się ludzi, z których niektórzy, z braku innych możliwości, zdobywali środki do życia – kradnąc. Bandyci byli też ogromnym zagrożeniem dla ukrywających się Żydów, których mogli okradać i szantażować bez konsekwencji ze strony władz okupacyjnych. „Bezpieczeństwo i porządek publiczny nie istnieją w niektórych obwodach zupełnie lub istnieją w stopniu niewystarczającym. Ludność miejscowa narażona jest na grabież mienia, szykany, gwałty i niejednokrotnie na utratę życia ze strony bandytów różnego pochodzenia"[2] – oceniał we wrześniu 1943 r. dowódca AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór". Napady, kradzieże pieniędzy, inwentarza, odzieży stawały się stałym elementem okupacyjnej codzienności. Na wsi i w mieście każdy mógł paść ofiarą przestępców.

Z orzełkiem na czapce

Część spośród grup przestępczych podszywała się pod partyzantkę. Napadali chłopów, odbierali żywność i odzież, deklarując, że zabierają na potrzeby podziemia. Z orzełkami na czapkach, uzbrojeni, ubrani w cywilną odzież i elementy wojskowych mundurów; na pierwszy rzut oka trudni do odróżnienia od prawdziwych partyzantów. Liczyli na łatwiejszy dostęp do broni i życzliwość Polaków, którzy sądząc, że mają do czynienia z podziemiem, chętniej nakarmili czy dali im kożuch, choćby jedyny, jaki posiadali. Oskarżenia o bandytyzm padały też pod adresem oddziałów partyzanckich, szczególnie Polskiej Partii Robotniczej i sowieckich. Pisał o nich w 1942 r. gen. Stefan Rowecki „Grot": „Ta rzekoma dywersja sprowadza się raczej do aktów bandytyzmu i rabunku mienia obywateli polskich, a unika szkodzenia Niemcom"[3].

Kilka takich grup działało na pograniczu GG i Słowacji. Jedną z nich kierował Wincenty Kalec zwany „Piekarzem", który zdezerterował z AK, zabierając broń.



Zebrał grupę pseudopartyzantów, którzy z orłami na czapkach rabowali mieszkańców Podhala i Orawy, rekwirując rzekomo na rzecz AK. Ścigana wytrwale przez jeden z partyzanckich patroli szajka została ostatecznie rozbita przez akowców, a część mienia wróciła do właścicieli. Bandyci podszywali się także pod inne formacje konspiracyjne, jak Bataliony Chłopskie, a nawet Armię Ludową. Zdarzało się też, że przestępcy próbowali dołączyć do oddziałów partyzanckich, licząc na łatwe zdobycie broni bądź starając się ukryć przed podziemnym wymiarem sprawiedliwości.

Działalność szajek bandyckich podszywających się pod partyzantów była podwójnie niebezpieczna: dla konspiratorów i dla społeczeństwa. Rabunki i mordy dokonywane na konto partyzantów niszczyły opinię państwa podziemnego i zniechęcały ludzi do akowców. Stwarzały jednocześnie wielkie zagrożenie dla ludności cywilnej: o ile Niemcy często patrzyli przez palce na rabunki i łagodniej karali pospolite przestępstwa (z czego korzystano czasami, przedstawiając okupantom akcje partyzanckie jako bandyckie napady), to na wszelkie działania o charakterze politycznym reagowali stanowczo, organizując pacyfikacje i obławy. Nic więc dziwnego, że Armia Krajowa starała się likwidować podszywających się pod nią bandytów.



Jednocześnie zagrożeniem dla Armia Krajowej, szczególnie jesienią 1944 r. po fiasku akcji „Burza", stawała się demoralizacja partyzantów. Brak wyraźnych rozkazów i wytycznych wobec zbliżających się Sowietów, trudności związane ze zbliżającą się zimą (jak brak żywności i ciepłej odzieży) oraz łatwy dostęp do broni wpływały na osłabienie dyscypliny w wielu oddziałach. W efekcie, jak pisał w październiku 1944 r. komendant Okręgu Kraków AK płk. cichociemny Przemysław Nakoniecznikoff „Kruk 2": „w terenie szerzy się bandytyzm, w którym biorą udział nawet oddziały AK. Drogą pogadanek i ze stosowaniem jak najostrzejszych środków polecam tępić bandytyzm, działając w ścisłym porozumieniu z miejscowymi delegatami pow[iatowymi] i [Kierownikami] Oporu Społecznego"[4]. Powołano w tym celu Oddziały Specjalne AK. Te kilku-, kilkunastoosobowe patrole, dobrze uzbrojone i wyposażone, miały za zadanie przede wszystkim zwalczanie konfidentów i pospolitych przestępców.

Zwiększona na skutek bliskości frontu dostępność broni sprawiała, że bandytyzm stał się jeszcze większym problemem dla ludności cywilnej. Już w styczniu 1945 r. zaczęła się ofensywa Armii Czerwonej, która w krótkim czasie doprowadziła do zajęcia większości pojałtańskiej Polski. W przeddzień rozwiązania AK „Kruk 2" rozkazywał: „Zwrócić uwagę na skrupulatne odebranie, zakonserwowanie i zamelinowanie broni i sprzętu. Broń nie może pozostać w rękach pojedynczych żołnierzy AK ze względu na możliwość nieodróżniania żoł[ierzy] powstania od bandytyzmu"[5].

„Wyklęci" vs bandyci

Rok 1946 r. „Część naszego terenu okupuje banda silnie uzbrojona w broń automatyczną [...]. Jest to banda polityczna, gdyż tępią bandytyzm. Wczoraj w nocy zastrzelili 2-ch bandytów"[6] – takimi na pozór niespójnymi logicznie słowami milicjanci z posterunku w miasteczku Panki między Wieluniem a Częstochową charakteryzowali przybyły w ich okolice oddział Konspiracyjnego Wojska Polskiego – największej w centralnej Polsce poakowskiej organizacji antykomunistycznego podziemia.

Milicjanci najwyraźniej znali swój teren i – pomimo użycia w wewnętrznej korespondencji narzuconego przez przełożonych języka – bez trudu odróżniali grupy rabunkowe od partyzantów. Wiedzieli także, że oddziały KWP stawiały sobie za cel między innymi zwalczanie bandytyzmu. Gdy władze komunistyczne koncentrowały siły na walce ze zbrojnym podziemiem, angażując niewiele środków w zwalczanie przestępczości kryminalnej, co mogło wynikać zarówno z celowego działania, jak i słabości sił Milicji Obywatelskiej w pierwszych latach „ludowej" władzy, oddziały partyzanckie pozostawały czasami jedynym obrońcą społeczeństwa przed bandyckim napadem.

„Wszędzie podszywali się pod AK..."

Również po 1945 r. bandy rabunkowe podszywały się pod partyzantkę. Udawanie akowców „ułatwiało nam ra-



Personel Komisariatu Kripo w Miechowie. W pierwszym rzędzie w mundurze, z lewej strony Untersturmführer Philipp Riedinger, organizator oddziału prowokacyjnego złożonego z funkcjonariuszy żandarmerii i Kripo, podszywających się pod partyzantów.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

bunki, gdyż ludzie odnosili się do nas nie jak do bandytów”[7] – zeznawał podczas śledztwa przywódca grupy rabującej w okolicach Olesna i Wielunia odzież, bieliznę, pościel i rowery, podszywając się na zmianę pod żołnierzy Armii Krajowej lub funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej albo Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Inną grupę partyzanci KWP charakteryzowali: „Smolański Józef [...] był dowódcą bandy składającej się [z] 60 ludzi, dokonał przeszło 30 napadów rabunkowych w różnych okolicach, miał łączność z bandami od Częstochowy do Łodzi i Śląsk, był postrachem dla społeczeństwa na kilka gmin. Wszędzie podszywał się pod AK. Przed 1939 rokiem był złodziejem i bandytą, siedział kilkakrotnie w więzieniu”[8]. Na oryginalny pomysł wpadł Wacław Kalarus „Tarzan”, akowiec spod Olkusza, który posługując się fałszywymi pieczątkami Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych, wykonał dokumenty, na podstawie których domagał się pieniędzy „na utrzymanie tajnej organizacji AK i NSZ”[9].

Nie tylko partyzanci KWP zwalczali bandytyzm. W wielu organizacjach i oddziałach konspiracyjnych istniały grupy żandarmerii lub patrole wysyłane w celu karania bandytów i likwidowania szajek przestępczych. Latem 1945 r. na Podlasiu oddziały 5 Brygady Wileńskiej AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” przeprowadziły dziewięć akcji przeciw grupom bandyckim i złodziejom. Działająca na lewym brzegu Bugu 6 Brygada Wileńska zlikwidowała kilka grup złożonych ze złodziei oraz miejscowych komunistów i milicjantów. W Małopolsce wyróżnił się oddział „Błyskawica” z rejonu Makowa Podhalańskiego, który w maju 1946 r. rozbił grupę jeszcze od czasów przedwojennych trudniącą się rabunkami na Orawie, po wojnie kontynuującą ten proceder jako funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej. Żołnierze podziemia zastrzelili dwóch kolejnych bandytów działających na pograniczu polsko-słowackim i podszywających się pod „Błyskawicę”. Dzięki temu „Od tej pory na Orawie ustały rabunki i rozboje”[10].

Nawet komuniści przyznawali między sobą, że na terenach opanowanych przez zbrojne podziemie zwalczało ono bandytyzm, zyskując w ten sposób uznanie miejscowych. O rozbiciu szajki pod Nowym Targiem przewodniczący tamtejszej Powiatowej Rady mówił: „w tym wypadku społeczeństwo nie ustosunkowało się negatywnie do mordu, bo pomordowani to byli przeważnie złodzieje. Chłopi tamtejsi musieli sypiać w stajni, bo im ginęły owce, konie i krowy. W ten sposób utworzyła się legenda, że [Józef Kuraś] »Ogień« robi porządek”[11].

Nie oznacza to, że demoralizacja była zjawiskiem obcym formacjom powojennego podziemia. Wiele grup partyzanckich rozpadało się lub schodziło na drogę rabunkową po śmierci charyzmatycznego dowódcy, który dotąd utrzymywał dyscyplinę w oddziale. Niektórzy partyzanci korzystali z szansy, którą dawały broń i pozorne poczucie bezkarności. Innych demoralizowały coraz trudniejsze warunki, przedłużające się tygodnie i miesiące ukrywania się, utrata celu dalszej walki i brak szansy na powrót do normalnego życia. Wielu partyzantów, a nawet ▶

całych oddziałów, które zaczynały od walki politycznej, po kilku latach zajmowało się już tylko zdobywaniem środków do przetrwania od przypadkowych chłopów.

Oddziały prowokacyjne

Nie tylko „zwykli" przestępcy kryminalni podszywali się pod niepodległościowe podziemie. Tę taktykę wykorzystywali także Niemcy i – po 1945 r. – komuniści. „Z wiadomości nadchodzących z powiatu sokołowskiego, grójeckiego, rawskiego i radzymińskiego wynika, że żandarmeria [niemiecka] pozostaje w pewnych kontaktach z bandami rabunkowymi. Powodem tego są nie tylko zyski z łapówek, ale też bezpieczeństwo własne, a także konfidencjonalna rola kryminalistów, operujących w bandach. Kryminaliści ci tworzą aparat donosicielski, donoszący o działalności organizacji niepodległościowych"[12] – zapisano w meldunku z września 1943 r. Niemcy wykorzystywali kryminalistów przeciw polskiemu społeczeństwu: bandyci donosili Niemcom o ukrywających się Żydach i o partyzantach, w zamian za usługi agenturalne uzyskiwali milczącą zgodę okupanta na rabunki. Inaczej było pod okupacją sowiecką, gdzie wszechobecne Armia Czerwona i NKWD skutecznie zdławiły pospolitą przestępczość.

Niemieckie służby okupacyjne – czasem wykorzystując policjantów „granatowych" i kryminalnych – dokonywały działań prowokacyjnych i formowały od 1943 r. całe oddziały prowokacyjne, określane jako kontrbandy. W teren wysyłano mówiących po polsku funkcjonariuszy ubranych po cywilnemu, którzy udawali konspiratorów, Polaków-dezerterów z Wehrmachtu lub robotników przymusowych. Czasem, dla uwiarygodnienia, prowokatorzy podawali się za konkretne osoby lub oddziały, np. na Kielecczyźnie udawali podkomendnych Mariana Sołtysiaka „Barabasza" i Antoniego Hedy „Szarego", a inna grupa prowokacyjna wcielała się w oddział NSZ.

Po nawiązywaniu kontaktu z oddziałami lub ich współpracownikami, Niemcy zatrzymywali rozpoznanych partyzantów, wprowadzali agentów prowadzących dalsze rozpracowanie lub wcielali się w role partyzantów, doprowadzając do kolejnych aresztowań, a nawet rozbicia struktur regionalnej konspiracji.

Prowokację stosowano także, by zidentyfikować i następnie spacyfikować miejscowości przychylne partyzantom. Tak postąpiono we wsi Józin koło Sokołowa Podlaskiego, gdzie we wrześniu 1943 r. pojawiła się grupa podająca się za angielskich spadochroniarzy. Życzliwie przyjęci przez miejscowych rzekomi spadochroniarze następnego dnia wraz z oddziałem SS otoczyli miejscowość i wymordowali wszystkich mieszkańców.

Prowokatorzy z Kripo i UBP

Większy oddział prowokacyjny, złożony z funkcjonariuszy Kripo i niemieckich żandarmów, powstał w marcu



Grupa operacyjna Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego udająca żołnierzy Ruchu Oporu Armii Krajowej podczas akcji prowokacyjnej zakończonej aresztowaniem partyzantów oddziału „Wiarusy". Lipiec 1949 r.
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

1944 r. w powiecie miechowskim i udawał komunistyczny „oddział im. Lenina". Jego celem było rozpracowanie podziemia, w szczególności silnej na tym terenie konspiracji lewicowej. W efekcie prowokatorzy rozbili miejscowy oddział Armii Ludowej „Augusta II", zabili kilka i aresztowali kilkadziesiąt osób, w większości ochotników chcących dołączyć do partyzantki. O innej akcji grupy prowokacyjnej opowiadał akowiec spod Miechowa: „Gestapowcy i żandarmi z posterunku Chroberz w przebraniach cywilnych. Przybysze zabrali się do rabowania mieszkań zabierając odzież i sprzęt domowy. W jednym z gospodarstw zabrano prosiaka, zabito go i na miejscu oprawiono. Pozory wskazywały na działanie zwykłej bandy rabunkowej. Aresztowanych załadowano na 2 wozy i ruszono do Marianowa"[13].

Powojenne „tajne oddziały dywersyjne UB i PPR", jak zwano je w raportach Zrzeszenia WiN, działały w różnych regionach kraju w 1945 r., a niewykluczone, że na obszarze tzw. Polski lubelskiej już wcześniej. W instrukcji zatytułowanej *Taktyki walki z bandami* Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego zalecał „tworzyć z aktywistów partyjnych, robotników, żołnierzy, oficerów oddziały partyzanckie ubrane po cywilnemu [i] wpuszczać w las celem wprowadzenia dezorganizacji w szeregach band"[14]. Pozorując na przykład grupę partyzantów lub dezerterów, szukających łączności z miejscowym oddziałem, prowokatorzy identyfikowali prawdziwych konspiratorów, którzy udzielali im pomocy. Przykładowo, w Białostockiem „zostało aresztowanych kilkadziesiąt osób na skutek wynurzeń niektó-

rych członków organizacji, bądź naszych sympatyków do oddziału UBP, który podawał się za rozbitą partyzantkę”[15]. Grupy prowokacyjne kierowano także przeciwko Ukraińskiej Powstańczej Armii.

„Nieumundurowane grupy operacyjne” (to określenie z nomenklatury władzy) miały także inne zadania: dokonywanie napadów rabunkowych i morderstw, tworząc w ten sposób pretekst do represji – na przykład aresztowań na dużą skalę w miejscowościach uznanych za „bandyckie”, czyli wspierające partyzantów, oraz kompromitowanie podziemia w oczach społeczeństwa. Zdarzało się, że w szeregi grup prowokacyjnych rekrutowano kryminalistów, którzy w zamian za ochronę bezpieki grabili na konto partyzantów. Szczególnie spektakularne stawały się w tych prowokacjach zabójstwa, zwłaszcza gdy ginęły osoby znane lub będące autorytetem lokalnej społeczności, oraz gwałty. Komuniści prowokacjami tymi uderzali w podziemie, a przez fizyczną eliminację pozbywali się przeciwników politycznych. W takich okolicznościach zginęli między innymi dwaj peeselowcy z powiatu nowosądeckiego, Józef Górowski i dr Szczepan Niedźwiedź, zastrzeleni przez ubeków podających się za partyzantów „Ognia”. Co najmniej 19 osób zginęło z rąk członków grupy kierowanej przez Jana Jaszczuka, działającej w latach 1945–1946 w powiatach chełmskim, włodawskim i hrubieszowskim, złożonej głównie z Ukraińców (członków komunistycznej partyzantki, samoobrony i Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej), powstałej z inicjatywy bezpieki. Prawdopodobnie także ta grupa, lub inny oddział prowokacyjny zorganizowany przez funkcjonariusza UBP w Chełmie, „działając pod widem [pozorem] oddziału NSZ”[16], uczestniczył w rozbiciu lokalnego oddziału partyzanckiego.

Ogromna skala pospolitej przestępczości, rabunki dokonywane przez grupy przestępcze często podszywające się pod polską partyzantkę oraz działalność oddziałów prowokacyjnych wpływały na społeczny odbiór polskiej konspiracji i powojennego podziemia. Na ten i tak skomplikowany obraz społeczeństwa powojennej Polski nakładają się lata komunistycznej propagandy, konsekwentnie budującej obraz partyzanta-bandyty. Do dziś w wielu miejscowościach można usłyszeć nieprawdziwe opowieści o rabunkach dokonywanych przez żołnierzy podziemia, a lektura źródeł z epoki uświadamia, że w rzeczywistości dokonali ich bandyci, których zadaniem było zniszczenie legendy Żołnierzy Niezłomnych. ■

KRZYSZTOF PIĘCIAK historyk, doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie.


RZECZPOSPOLITA POLSKA
Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
Dnia 194 r. Nr

[1] Nagranie w zbiorach Krzysztofa Pięciaka. [2] Rozkaz Nr 116/1 z dnia 16 września 1943 r., cyt. za: B.M. Nieczuja-Ostrowski, Inspektorat AK „Maria” w walce, t. II. Kryptonim „Michał”–„Maria” (1943–VI.1944), część II, Elbląg 2007, s. 362. [3] Armia Krajowa w dokumentach, t. 2: Czerwiec 1941 – kwiecień 1943, Wrocław – Warszawa – Kraków 1990, s. 288–289. [4] A. Fitowa, Inspektorat AK Nowy Sącz i 1 pułk strzelców podhalańskich pod dowództwem Adama Stabrawy „Borowego” w świetle dokumentów źródłowych, „Studia Historyczne” 1996, z. 1, s. 78. [5] Rozkaz komendanta Okręgu Kraków AK, 18 I 1945 r., za: R. Śmietanka-Kruszelnicki, Problem „bandycenia się” podziemia na przykładzie Kielecczyzny, „Polska 1944/45-1989. Studia i materiały” nr 4, Warszawa 1999, s. 61. [6] AIPN Wr 011/202 t. 1, odpis telefonogramu posterunku MO w Pankach z 20 VII 1946 r., Opole, 30 I 1959, k. 375. [7] AIPN Wr 011/1001, akta kontrolno-śledcze przeciwko Stefaniak Władysław, protokół przesłuchania Władysława Stefaniaka z 9 XI 1946, k. 129–136. [8] Akt oskarżenia, 15 X [19]45, fotokopia z AIPN w Łodzi, w: P. Wąs, Konspiracyjne Wojsko Polskie. Album fotograficzny, Łódź 2019, s. 120. [9] AIPN Kr 111/679, akta w sprawie przeciwko Kalarusowi Wacławowi, protokół przesłuchania podejrzanego Wacława Kalarusa, Olkusz, 14 V 1946, k. 7. [10] A. Bryndza, *Śladami zdarzeń sprzed pół wieku*, Chrzanów 2010, s. 111. [11] Cyt. za: D. Golik, M. Korkuć (oprac.), *Józef Kuraś „Ogień” i Zgrupowanie Partyzanckie „Błyskawica”*, Kraków 2017, s. 30. [12] Sprawozdanie Korpusu Bezpieczeństwa z 29 września 1943 r.; cyt. za: A. Hempel, *Pogrobowcy klęski. Rzecz o policji „granatowej” w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945*, Warszawa 1990, s. 278. [13] Relacja A. Gołębiowskiego „Sokoła II”, B.M. Nieczuja-Ostrowski, Inspektorat AK „Maria” w walce, t. II. Kryptonim „Michał”-„Maria” (1943–VI.1944), część II, Elbląg 2007, s. 256. [14] Cyt. za: M. Korkuć, *Oddziały prowokacyjne UB i KBW w Małopolsce*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” nr 8, 1996, s. 98. [15] Raport kpt. Stanisława Bęklewskiego vel Pieszkowskiego „Stanisławskiego” do Komendy Okręgu Białostockiego AKO, cyt. za: K. Krajewski, *Podziemna walka AK-AKO-WiN na Ziemi Ostrowskiej (1944–1947)*, Warszawa – Ostrów Mazowiecka 2016, s. 47. [16] Cyt. za: J.P. Ptak, *Grupa Jana Jaszczuka (1945–1946). Oddział pozorowany czy banda rabunkowa?*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” nr 47, 2018, s. 16.

Historia Armii Krajowej – największej wojskowej organizacji podziemnej w okupowanej Europie – pełna jest dramatów. Jeden z najtragiczniejszych rozegrał się w samej Komendzie Głównej AK.

SPRAWA PŁK. ALBRECHTA

PIOTR KORCZYŃSKI

Szef sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej płk dypl. Janusz Albrecht „Wojciech” 6 września 1941 r. przyszedł na umówione spotkanie ze swoim dowódcą, gen. Stefanem Roweckim, do mieszkania przy ulicy Świętokrzyskiej 23 w Warszawie. Nie zastał tam jednak komendanta głównego AK. Czekał natomiast na niego adiutant generała, Szymon Ryszard Krzywicki „Szymon”. Postawił on na stole przed „Wojciechem” szklankę wody z rozpuszczonym w niej cyjankiem i podał mu list od generała: „Kochany Januszu! Poszedłeś za daleko! Myślę, że znajdziesz właściwe rozwiązanie. Ściskam Cię. Stefan”[1]. Jak doszło do tego, że jeden z najbliższych współpracowników gen. Roweckiego, a przed wojną między innymi dowódca reprezentacyjnego 1 Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie – otrzymał rozkaz popełnienia samobójstwa?

„Ozimiński” w Legionach

Janusz Albrecht urodził się 14 lutego 1892 r. w Kaliskach w powiecie włocławskim w rodzinie rolnika Leopolda Albrechta i Emmy z domu Krieger. W młodości ukończył siedmioletnią szkołę handlową we Włocławku, a następnie przez dwa lata studiował w Konserwatorium Muzycznym w Petersburgu. W 1911 r. w stolicy carów wstąpił do nielegalnego w zaborze rosyjskim Związku Strzeleckiego. Po wybuchu I wojny światowej był już w Legionach Polskich pod pseudonimem „Ozimiński”. Walczył w składzie I Brygady pod dowództwem kmdt Józefa Piłsudskiego. Od 1917 r. w stopniu wachmistrza dowodził plutonem w 1 Pułku Ułanów. W czasie tak zwanego kryzysu przysięgowego Legionów znalazł się w gronie legionistów, którzy z inspiracji Piłsudskiego odmówili złożenia przysięgi „braterstwa broni” z armiami Niemiec i Austro-Węgier.

Albrechtowi udało się uciec z transportu do obozu internowania w Szczypiornie. Ukrywał się i jednocześnie konspirował w Polskiej Organizacji Wojskowej. W sierpniu 1919 r. wstąpił do Wojska Polskiego. Służył początkowo w 11 Pułku Ułanów, a następnie w 1 Pułku Szwoleżerów, z którym brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. W walce z bolszewikami był dwukrotnie ranny, awansował też z dowódcy plutonu na adiutanta pułku. W latach 1922–1924 ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie i do 1927 r. wykładał taktykę kawalerii w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu, gdzie awansował do stopnia rotmistrza, a następnie majora. W październiku 1927 r. został przeniesiony do Ministerstwa Spraw Wojskowych w charakterze kierownika Wydziału Departamentu Kawalerii. W 1928 r. mjr. Albrechta mianowano dowódcą szwadronu 1 Pułku Szwoleżerów, a od 1930 r. był szefem referatu operacyjnego Oddziału III Sztabu Głównego WP. W kwietniu 1932 r. został przeniesiony do Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych, w którym w październiku tego roku objął funkcję pierwszego oficera Sztabu Inspektora Armii gen. Jana Romera. W 1935 r. awansował do stopnia podpułkownika i został pierwszym oficerem do zleceń w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Stanął na czele – wzmiankowanego już – reprezentacyjnego 1 Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego 29 maja 1937 r.

Prawa ręka „Grota”

W wojnie obronnej 1939 r. płk Albrecht wraz ze swym 1 Pułkiem Szwoleżerów walczył w ramach Mazowieckiej Brygady Kawalerii na granicy z Prusami Wschodnimi. Pułk został rozbity i otoczony przez Sowietów pod Samborem. Po kapitulacji pułku 29 września ▶



Mjr Janusz Albrecht. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe





1 Pułk Szwoleżerów. Oficerowie w młodniaku. Stoją od lewej: N.N., por. Franciszek Flatau, mjr Janusz Albrecht. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Oficerowie 1 Pułku Szwoleżerów podczas ćwiczeń. Od lewej (wówczas) mjr Janusz Albrecht.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/koloryzacja Mirosław Szponar

Albrechta osadzono w obozie jenieckim w Jarosławiu, z którego po trzech dniach zbiegł i pod nazwiskiem Marian Jankowski przedostał się do Warszawy. Pod koniec października 1939 r. został zaprzysiężony przez płk. Stefana Roweckiego do Służby Zwycięstwu Polski, w której sztabie przyjął kierownictwo Oddziału III (operacyjnego). Po powołaniu w grudniu 1939 r. przez Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego Związku Walki Zbrojnej pod dowództwem gen. Kazimierza Sosnkowskiego (w Paryżu) i oddelegowaniu dowódcy SZP gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza do Lwowa na stanowisko komendanta okupacji sowieckiej – komendantem ZWZ okupacji niemieckiej został gen. Stefan Rowecki. Pułkownik Albrecht objął funkcję szefa sztabu i jednocześnie został zastępcą Roweckiego.

Przyszły komendant główny Armii Krajowej bardzo wysoko oceniał walory wojskowe swego zastępcy, zwłaszcza w zakresie spraw operacyjnych (Albrecht stworzył od podstaw Oddział III sztabu ZWZ). Razem opracowywali też założenia strategiczne do planowanego powstania powszechnego, które miało wybuchnąć w momencie militarnego załamania się III Rzeszy. Dla władz polskich we Francji, a następnie w Anglii był on jednak ideowym piłsudczykiem należącym do obozu, który ich zdaniem doprowadził do katastrofalnej klęski we wrześniu 1939 r. Od początku istnienia ZWZ do gen. Roweckiego płynęły żądania usunięcia ze sztabów ZWZ osób związanych z sanacją, niezależnie od ich przydatności w konspiracji.

Mimo to w większości wypadków gen. Rowecki – bądź przez przesuwanie niepożądanych przez Sikorskiego oficerów na inne stanowiska, bądź przez nieinformowanie przez dłuższy czas centrali o ich rzeczywistych funkcjach w sztabie ZWZ (tak było w wypadku Albrechta) – zachował w Komendzie Głównej ZWZ kadrę, którą – jak sam to określił – „z takim trudem zebrał generał Tokarzewski”[2]. Trzeba tutaj zaznaczyć, że miał w tym sojusznika w osobie gen. Sosnkowskiego, który bronił Roweckiego przed zarzutami, iż „umacnia w ZWZ sanację”. Od czasu do czasu docierały do Roweckiego zapytania z centrali, kto jest właściwie jego zastępcą, na co odpowiadał: „zastępcą moim w codziennej pracy jest szef sztabu, ten, który był [czyli pułkownik Albrecht]. W razie mego wykruszenia KG objąłby komendant najstarszy według d[aty starszeństwa], obecnie komendant Obszaru nr 4 [Krakowskiego – gen. Tadeusz Komorowski »Bór«]”[3].

Generał Sikorski dał w końcu za wygraną, ale zapamiętał Roweckiemu upór w sprawie jego zastępcy. Jak wspominał jeden z emisariuszy, płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Antoni”, kiedy w czerwcu 1941 r. wrócił z Polski do Londynu Naczelny Wódz spytał go między



Żołnierze 1 Pułku Szwoleżerów we wsi na ziemi łowickiej. Por. Kazimierz Pereświet-Sołtan sypie gęsiom ziarno. Obok niego mjr Janusz Albrecht. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

innymi: „jak sprawuje się szef sztabu ZWZ [Albrecht], czy nie wyłamuje się spod dyscypliny i czy nie robi już »Rakoniowi« [Roweckiemu] kawałów?”[4]. Pułkownik Iranek-Osmecki zapewnił go, że gen. Rowecki wyraził zadowolenie z pracy szefa i że „dyscyplina w szeregach ZWZ jest wzorowa”[5], a na koniec dodał: „generał »Rakoń« trzyma organizację twardą ręką”[6], na co gen. Sikorski odpowiedział sarkastycznie: „»Rakoń« był znany jeszcze w czasach pokojowych ze zbyt słabej ręki”[7]. Niedługo miało się okazać, że zaufanie komendanta głównego ZWZ do swego szefa sztabu zostanie wystawione na ciężką próbę.

W sidłach gestapo

Pułkownik Janusz Albrecht wpadł w ręce kieleckiego gestapo w Warszawie 7 lipca 1941 r. Do aresztowania doszło u zbiegu ulicy Koszykowej z Alejami Niepodległości, gdy „Wojciech” zdążał z mieszkania inż. Józefa Matusewicza przy ulicy Filtrowej 14 do swego konspiracyjnego mieszkania pod numerem 74 przy ulicy 3 Maja 2, w którym był zameldowany jako Marian Jankowski – nauczyciel muzyki. Niemcom wydał go jego były podwładny – dowódca szwadronu pionierów w 1 Pułku Szwoleżerów, rtm. Przemysław Dežakowski za 50 tys. zł. Dežakowski za ten czyn został przez Wojskowy Sąd Specjalny przy Komendzie Sił Zbrojnych w Kraju skazany 4 marca 1942 r. na karę śmierci, a wyrok wykonano 5 maja 1944 r.

Po aresztowaniu Albrecht został wywieziony do siedziby gestapo w Kielcach, gdzie – rozpoznany początkowo tylko jako przedwojenny pułkownik – był poddany bardzo brutalnemu śledztwu. Katowany nie przyznał się do swych konspiracyjnych funkcji. Niemcy, korzystając z przedwojennych *Roczników oficerskich* i z informacji od swej agentury zajmującej się Komendą Główną ZWZ, zorientowali się, że mają w rękach zastępcę komendanta głównego ZWZ, zaprzestali więc tortur i zmienili ekipę śledczą, która rozpoczęła z Albrechtem „rozmowy polityczne”. Tłumaczyli mu, że polskie podziemie, osłabiając III Rzeszę, utrudnia jej walkę z sowiecką Rosją. Za powstrzymanie się od antyniemieckich działań obiecywali zaniechanie represji wobec Polaków. Jednocześnie dali mu do zrozumienia, że walcząc z oboma potężnymi sąsiadami, Polacy nie zdołają odzyskać niepodległości, tym bardziej że gestapo ma dobrze rozpracowane polskie podziemie. Albrecht był pod wrażeniem informacji, które zebrali gestapowcy na temat polskiej konspiracji, i jak mówił później swej łączniczce Halinie Zakrzewskiej: „oni wszystko wiedzą [...] rozszyfrowana jest nie tylko prawie cała Komenda Główna, ale większość obsad okręgów. Nie mają tylko do nas dojścia [...], które może zaprowadzić ich na nasze lokale”[8].



Manewry wojskowe na Wołyniu. Wnętrze jednego z wagonów przeznaczonych dla dziennikarzy jadących na manewry. Płk Stefan Rowecki siedzi przy stole pierwszy z lewej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Mimo ciężkiego i przemyślnego śledztwa gestapowcy od Albrechta nie wyciągnęli na tyle istotnych informacji na temat celów i struktury ZWZ, by można było powiedzieć, że przyniosło ono całkowite złamanie przesłuchiwanego lub że zdradził. Na przykład Niemcy nie poznali planów wymierzonego przeciw nim powstania powszechnego, w których przygotowywanie Albrecht był zaangażowany bezpośrednio. Także w sprawach personalnych pułkownik kluczył, chociaż nie mógł wyprzeć się znajomości dat i nazwisk wszystkich osób, o które był pytany z *Rocznikami oficerskimi* w ręku. Natomiast Albrecht uwierzył, że zaniechanie walki z Niemcami może w przyszłości przynieść Polsce korzyści. Zaważyły tutaj też legionowe doświadczenia z I wojny światowej – współpraca z państwami centralnymi, która pozwoliła Piłsudskiemu stworzyć polskie oddziały zbrojne. Albrecht wykoncypował, że pozorne zawieszenie broni z Niemcami, pozorne rozkonspirowanie i ujawnienie części zdekonspirowanego przez wywiad niemiecki ZWZ przy zachowaniu większości walczącego podziemia (tylko głębiej i lepiej zakonspirowanego) spowoduje, że ustaną prześladowania społeczeństwa polskiego, zlikwidowane będą obozy zagłady i nastąpi scalenie kraju – terenów pod okupacją niemiecką i sowiecką.

Albrecht po rozmowach z ekipą wyższych wojskowych z Berlina był zupełnie przekonany do swych koncepcji militarno-politycznych i zobowiązał się wobec Niemców oficerskim słowem honoru, że omawiane plany przedstawi komendantowi głównemu ZWZ i że w razie jego zgody doprowadzi do spotkania partnerów w okolicach Falenicy. Na wypadek odmowy sam zgłosi się tam 12 września 1941 r. Niemcy zobowiązali się nie śledzić go i zapewnić mu miejsce w oflagu do końca wojny.

Śmiertelna gra

Pułkownik Janusz Albrecht wyszedł na wolność 27 sierpnia 1941 r. i rzeczywiście nieeskortowany i niepodsłuchiwany wrócił pociągiem z Kielc do Warszawy. Najpierw udał się do mieszkania inż. Matusewicza przy ulicy Filtrowej 14, a następnie razem obaj poszli do jego łączniczki Haliny Zakrzewskiej (wtedy jeszcze Grudzińskiej) mieszkającej przy Alejach Niepodległości 163. Albrecht na wstępie uspokoił przerażoną łączniczkę, że nikt go nie śledzi, i zapewnił, że wyjaśni jej to przy następnym spotkaniu. Poinformował ją też, że odtąd będzie mieszkał pod własnym nazwiskiem z żoną Marią w swoim domu przy Noakowskiego 20. Na pożegnanie Albrecht powiedział swojej podwładnej: „Potrzebuję kontaktu na »Jana« [ówczesny pseudonim Roweckiego] i pani mi to załatwi”[9]. Nieprzekonana Zakrzewska, sądząc, że śladem Albrechta podąża gestapo, po wyjściu obu mężczyzn opuściła natychmiast mieszkanie i jeszcze tego samego dnia powiadomiła o wszystkim szefa kontrwywiadu Bernarda Zakrzewskiego „Oskara”. Ten rozkazał objąć obserwacją mieszkanie jej, Albrechta,

Matusewicza i Pole Mokotowskie, gdzie Albrecht umówił się z Zakrzewską na kolejne spotkanie. Wywiadowcy stwierdzili, że istotnie „Wojciech" nie jest przez nikogo śledzony. Po spotkaniu na Polu Mokotowskim Zakrzewska przekazała treść rozmowy „Oskarowi" i przez znane jej osobiście łączniczki podjęła próbę dostania się do Roweckiego, by samej przedstawić mu prośbę Albrechta o spotkanie.

Komendant główny ZWZ, który dzięki Bernardowi Zakrzewskiemu znał już cel misji Albrechta, nie przyjął jednak Zakrzewskiej. Skierował na rozmowy z nią następcę „Wojciecha" na stanowisku szefa sztabu ZWZ płk. Tadeusza Pełczyńskiego „Grzegorza". Ten, wysłuchawszy relacji łączniczki Albrechta, spotkał się z nim osobiście i dał mu do zrozumienia, że uważa całą sprawę za dywersję Niemców przeciwko układowi Władysława Sikorskiego z Józefem Stalinem i że byłaby to zdrada aliantów, a ponadto zbyt wielka jest już nienawiść do Niemców za ich zbrodnie w społeczeństwie, by można było myśleć o rozejmie z nimi. Mimo to „Grzegorz" na koniec złożył Albrechtowi luźną obietnicę spotkania z gen. Roweckim.

Zakrzewska 6 września rano na polecenie „Oskara" zawiadomiła Albrechta, że o godz. 9.00 ma przyprowadzić go na spotkanie z komendantem. Pod ochroną kontrwywiadu przejechali z placu Starynkiewicza na plac Narutowicza, gdzie czekała na nich łączniczka „Jana" (Roweckiego) Jadwiga Piekarska „Basia". Doprowadziła ona Albrechta do mieszkania przy ulicy Świętokrzyskiej 23. Pułkownik Albrecht po przeczytaniu listu Roweckiego usiadł przy stole i napisał pożegnalny list do rodziny: „Kochani! Nie udało mi się nawiązać kontaktu z przyjaciółmi. Widać obawiają się mnie. Doszedłem do przekonania, że popełniłem błąd. Postanowiłem skończyć z sobą, by w ten sposób ratować swój honor, a Wam przekazać czyste imię. Żegnam Was, a Duszę swoją i Was polecam Bogu. Wasz Janusz i ojciec. 6 IX 41"[10]. Następnie Albrecht zdjął obrączkę i położył obok listu na stole. „Szymon" podał mu w milczeniu szklankę z trucizną. Pułkownik wypił ją, a „Szymon" podtrzymał jego głowę. Po chwili położył ciało na podłodze, zabrał ze stołu list Roweckiego i wyszedł z mieszkania.

Śmierć Albrechta była dużym wstrząsem dla środowiska konspiracji warszawskiej. Generał Rowecki nakazał otoczyć jej okoliczności ścisłą tajemnicą, ale jednocześnie musiał w tej sprawie złożyć meldunek do centrali w Londynie. Zdawał sobie sprawę z tego, że relację dla gen. Sikorskiego musi ułożyć bez uszczerbku dla honoru Albrechta i samego siebie; wszak sam walczył o utrzymanie Albrechta w sztabie Komendy Głównej. W meldunku organizacyjnym za okres od 1 marca do 1 września 1941 r. do Naczelnego Wodza Rowecki napisał między innymi: „aresztowany został na ulicy ob. »Wojciech« szef sztabu K.G. Wpadł rozpoznany i zidentyfikowany co do rodowego nazwiska i funkcji konspiracyjnej. Wobec tego, że nasza komórka więzienna działa sprawnie na Pawiaku, wywieziono go i ukryto w Kielcach (przez długie tygodnie był badany i wymyślnie torturowany). Nie wynikły z tego tytułu żadne u nas wsypy. W dniu IX [winno być 27 sierpnia] został wypuszczony na »wabia«, co potwierdziła ścisła obserwacja jego i jego rodziny. Ob. »Wojciech« pozostał w izolacji i wybrał żołnierską drogę samobójstwa celem uchronienia SSS [ZWZ] i rodziny. Ewen[tualna] jego ucieczka spowodowałaby niewątpliwie represje w stosunku do rodziny (żona i kilkoro dzieci)"[11]. Jak wynika z tego cytatu, Rowecki przemilczał przed Sikorskim fakt, że Albrecht chciał iść na współpracę z Niemcami przeciwko Sowietom, co było sprzeczne nie tylko z ówczesną polityką Naczelnego Wodza, lecz także całego obozu aliantów. Nieprawdą również było, że Niemcy go śledzili i że został wypuszczony na wabia.

Generał Sikorski w odpowiedzi na ten meldunek nadał płk. Januszowi Albrechtowi pośmiertnie Order Virtuti Militari IV klasy. Pułkownik został pochowany pod prawdziwym nazwiskiem na cmentarzu Czerniakowskim, oczywiście bez uczestnictwa kogokolwiek z ZWZ. Po pogrzebie agenci gestapo odwiedzili żonę Albrechta – Marię (z domu Pawłowska), by stwierdzić, w jakim nastroju jest rodzina. W rozmowie z wdową potępiali działania ZWZ, które doprowadziły do śmierci pułkownika, ale nie dała się ona sprowokować i nic od niej nie zyskali.

Sprawa płk. Albrechta dobrze ukazuje, jak nierealne było przekładanie sytuacji z I wojny światowej na politykę hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce. Jeśli nawet Niemcy rzeczywiście dążyli przez Albrechta do porozumienia z ZWZ, to ogrom ich zbrodni był nie do pokonania. Sama łączniczka „Wojciecha" Halina Zakrzewska w rozmowie z płk. Pełczyńskim podsumowała postulat Albrechta o zawieszeniu broni: „Będzie trudno! Czekamy rozprawy z Niemcami, walki zbrojnej, zemsty. Zbyt ich nienawidzimy. To są naturalne emocje, ale należy się z nimi liczyć"[12]. I o tych „naturalnych emocjach" należy pamiętać i dzisiaj, gdy analizuje się szanse jakichkolwiek sojuszy z Hitlerem przeciwko Związkowi Sowieckiemu. ■

Tekst pochodzi z książki Piotra Korczyńskiego *Dla ojczyzny ratowania: szubienica, pal i kula*, nad którą patronat objął kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia".

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia", publicysta. Autor książek, m.in.: *Elitarne oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939–1945; Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

[1] H. Zakrzewska, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*, cz. I: *W konspiracji 1939–1945*, Warszawa 1994, s. 115. [2] M. Ney-Krawicz, *Komenda Główna Armii Krajowej 1939–1945*, Warszawa 1990, s. 29. [3] Tamże, s. 59. [4] K. Iranek-Osmecki, *Powołanie i przeznaczenie. Wspomnienia oficera Komendy Głównej AK*, Warszawa 2004, s. 195. [5] Tamże. [6] Tamże. [7] Tamże. [8] J. Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1956, s. 194–195. [9] H. Zakrzewska, *Niepodległość będzie...*, s. 103. [10] Tamże, s. 115. [11] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. II, Wrocław 1990, s. 99. [12] H. Zakrzewska, *Niepodległość będzie...*, s. 100.

Gdy na barykadach Warszawy w 1944 r. toczyły się jeszcze walki, przedstawiciele Rady Jedności Narodowej ogłosili deklarację polityczną. Wkrótce z Londynu dotarły do nich dwa projekty memorandów z propozycjami normalizacji stosunków ze Związkiem Sowieckim. Pierwszy przygotował rząd Stanisława Mikołajczyka, drugi opracował Komitet Zagraniczny PPS.

PPS KONTRA „SOWIECKA ZARAZA”

PIOTR KORCZYŃSKI

Stosunek do Powstania Warszawskiego Sowieci spektakularnie ujawnili 14 sierpnia 1944 r. Wtedy to rosyjska agencja Tass podała, że „»rozruchy« w Warszawie zostały wywołane przez żywioły reakcyjne, pragnące odkuć się politycznie”[1]. W sztabie komendanta głównego Armii Krajowej gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego wzbudziło to zdumienie. Wszak jeszcze kilka dni temu dotarł do niego sowiecki oficer kpt. Konstanty Kaługin, który zapewniał, że Armia Czerwona przyjdzie Armii Krajowej z pomocą. Stawiał jedynie warunek,

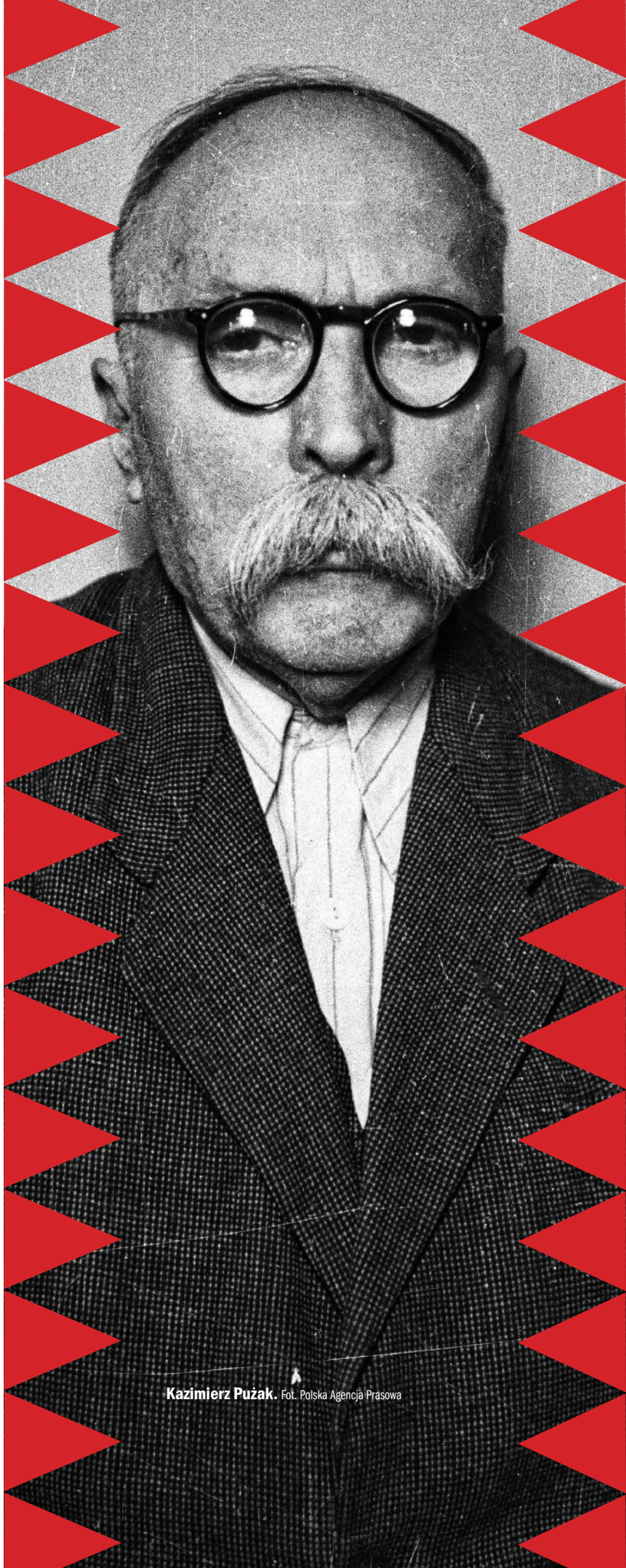

Kazimierz Pużak. Fot. Polska Agencja Prasowa

aby polscy oficerowie przedstawili mu rzeczywisty stan przygotowania Warszawy do walki. Jeden tylko człowiek u boku komendanta głównego AK nie miał wtedy wątpliwości, że sowiecki oficer to w istocie wywiadowca, który otrzymał zadanie zdobycia planów Polaków. Był nim socjalista Zygmunt Zaremba „Marcin", redaktor naczelny „Robotnika" i członek podziemnej Rady Jedności Narodowej. Zaremba kategorycznie odmówił spotkania z Kaługinem, choć ten mocno o nie zabiegał.

Sowiecki kapitan, najpewniej oficer NKWD, dobrze wiedział, że Polska Partia Socjalistyczna jest jedną z największych przeszkód na drodze do zwasalizowania Polski. Nie na darmo polscy socjaliści, działając w okupowanym kraju pod kryptonimem Wolność, Równość, Niepodległość, wspierali zbrojnie swymi oddziałami AK, a w Rządzie RP na Uchodźstwie stanowili jego główny filar. Sowieci pamiętali też rolę polskich socjalistów w wojnie 1920 r., kiedy to PPS odezwami zmobilizowała polskich robotników przeciwko Armii Czerwonej i w nieprzejednany sposób demaskowała dywersyjne działania komunistów w Polsce. Jak ognia bali się powtórzenia tego scenariusza w 1944 r.



Znak podziemnej organizacji Wolność, Równość, Niepodległość. Fot. Domena publiczna

Obudzić sumienie Zachodu

Być może sowiecki wywiadowca chciał przez Zarembę dotrzeć do polityków znacznie ważniejszych, bo tworzących z gen. Borem-Komorowskim tzw. wielką trójkę. Chodzi o delegata (wicepremiera) Rządu RP na Kraj Jana Stanisława Jankowskiego „Klonowskiego" i przewodniczącego Rady Jedności Narodowej Kazimierza Pużaka „Bazylego". Dla Sowietów szczególnie niebezpieczny był Pużak, przedwojenny poseł i sekretarz generalny Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. W czasie okupacji główny twórca PPS-WRN, komendant Gwardii Ludowej PPS-WRN, którą podporządkował dowództwu AK. Jako przewodniczący reprezentacji politycznej Polskiego Państwa Podziemnego całkowicie potwierdził sowieckie obawy, że będzie stanowczo pilnował polskiej racji stanu. Od pierwszych dni powstania zwracał na to uwagę politykom zachodnim.

W jednej z pierwszych depeszy radiowych, która dotarła z powstańczej Warszawy do Londynu 7 sierpnia 1944 r. Pużak pisał ostro do partyjnych kolegów w Londynie, Tomasza Arciszewskiego i Jana Kwapińskiego: „Stwierdzam całkowitą izolację naszego powstania w obozie anglosaskim – podobnie jak w 1939 roku. Całkowita bezczynność sowiecka i wreszcie wasza bezczynność oraz brak choćby jednego oficjalnego słowa do walczącej, płonącej, stale bombardowanej i opadającej z sił, prawie bezbronnej Warszawy. Te słowa dyktuje mi obowiązek powiedzenia prawdy o położeniu bez przesady i tragizowania: Stwierdzam, że mijają ostatnie minuty!"[2]. Te słowa sprawiły, że Jan Kwapiński 8 sierpnia w radiowym przemówieniu do walczącej Warszawy zapewnił, iż powstańcy nie zostaną bez pomocy. Jednocześnie Kwapiński dosłownie zasypał premiera Winstona Churchilla i wicepremiera Clementa Richarda Attlee listami z prośbą o natychmiastową pomoc Warszawie. W jednym z nich – z 10 sierpnia – zwracał się do wicepremiera Attlee, jako przewodniczącego siostrzanej Labour Party: „W dniu wczorajszym w godzinach wieczornych otrzymałem z Warszawy dramatyczną depeszę domagającą się natychmiastowego zrzucenia sprzętu wojennego nad Warszawę. Kierownicy walki w Warszawie nie mogą zrozumieć, dlaczego rząd polski nie jest w stanie wysłać tego sprzętu mając lotników polskich, którzy spełnią każdą najbardziej ryzykowną misję [...]. Jeżeli rząd Jego Królewskiej Mości nie chce lub nie może użyć do tej akcji lotników angielskich, rząd polski może dać swoje załogi dla wykonania tego zadania. W wypadku przełamania przez Niemców oporu Warszawy ludność zostanie wymordowana, a miasto spalone. Proszę zastanowić się nad ogromem nieszczęścia, jakie spadnie na nasz naród i proszę zważyć, jak to będzie wyglądać w obliczu historii, bo przecież wszyscy wiedzą, że rząd J[ego] K[rólewskiej] M[ości] dysponuje ogromnymi środkami, nie tak jak to było w 1939 roku"[3].

Ten i podobne apele spowodowały zorganizowanie pomocy lotniczej dla powstańców; politycy brytyjscy i amerykańscy zapewnili też, że pamiętają o walczącej stolicy Polski. Niestety, w sytuacji kategorycznego sprzeciwu Sowietów na lądowanie alianckich samolotów na ich lądowiskach – zrzuty lotnicze okazały się niewystarczające. W przemówieniach radiowych zachodnich polityków natomiast oprócz słów otuchy pojawiły się apele do dowództwa powstania o znalezienie porozumienia z Sowietami. Był to przejaw kompletnego niezrozumienia sytuacji, w której znalazła się Polska po wkroczeniu na jej terytorium Armii Czerwonej w 1944 r. Nie brakowało też sugestii obarczających stronę polską o brak tego porozumienia. Na takie dictum kategorycznie odpowiedział Zygmunt Zaremba, pisząc 27 sierpnia 1944 r. w „Robotniku": „Na marginesie podróży naszego premiera [Stanisława Mikołajczyka] do Moskwy jeszcze 1 sierpnia, w dniu wybuchu powstania, pisaliśmy: »Najwyższy czas, by jakiś kompromis,

możliwy do przyjęcia przez Polskę, regulujący przynajmniej tymczasowo stosunki między nami i Rosją został zawarty. Możliwe granice tego kompromisu określają niezmienne dążenia całej Polski streszczające się w dwóch słowach: całość i niepodległość Rzeczypospolitej«. I dziś stoimy na tym stanowisku. Problem całości – to problem granic. [...]. Problem niepodległości to dziś przede wszystkim sprawa umożliwienia rządowi polskiemu, rzeczywiście niezależnemu, powołanemu zgodnie z wolą całego narodu, rozpoczęcia na uwolnionych od Niemców terenach odbudowy organów administracyjnych i siły wojskowej, by naród polski mógł jak przez pięć ubiegłych lat przyczynić się w najwyższym stopniu do pobicia Niemców”[4].

Zahamować „sowiecką zarazę”

Niezależnie od toczących się na barykadach Warszawy walk przedstawiciele Rady Jedności Narodowej przystąpili do stworzenia wspólnej deklaracji politycznej, która jasno przedstawiłaby założenia ideowe powstania. Jej tekst opracowała tzw. specjalna komisja trzech, którą tworzyli Kazimierz Bagiński (Stronnictwo Ludowe), Władysław Jaworski (Stronnictwo Narodowe) i Zygmunt Zaremba (Polska Partia Socjalistyczna). W deklaracji podkreślono przede wszystkim potrzebę wprowadzenia pełnej demokracji społecznej, wywłaszczenia i parcelacji obszarów rolnych powyżej 50 hektarów, uspołecznienia kluczowych gałęzi produkcji oraz współudziału ludzi pracy w kontroli i kierownictwie produkcji przemysłowej i sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Jak podkreślał Zaremba we wspomnieniach, przedstawiciele wszystkich ugrupowań politycznych byli zgodni przy zatwierdzeniu tych postulatów, a Jaworski ze Stronnictwa Narodowego nie omieszkał przy tym podkreślić: „nasze stronnictwo przestało reprezentować klasy posiadające, nie dziwcie się więc, panowie, że głosuję za sformułowaniami, które dawniej bym odrzucił”[5]. Deklarację datowano nieprzypadkowo na 15 sierpnia 1944 r. – w Święto Żołnierza Polskiego. Poprzedzało ją – jak to określił Zaremba – „wyznanie wiary”[6]: „Polska chce się rządzić według własnych zasad i praw. Zasady te zostały ogłoszone w odezwie [Rady Jedności Narodowej] z dnia 26 lipca br. [1944]. Stanowią one gwarancję, że ustrój przyszłej Rzeczypospolitej oparty będzie na wolności politycznej i sprawiedliwości społecznej”[7].

Zmuszeni do kompromisu

Deklaracja ta była jasnym sygnałem dla aliantów zachodnich o kierunku politycznym powstania, nie niwelowała jednak przeszkód w ułożeniu stosunków z Sowietami. Coraz słabsza kanonada artyleryjska zza Wisły była dla powstańców widomym znakiem, że Armia Czerwona wyhamowała ofensywę i zwleka z przyjściem Warszawie na pomoc. Niedługo po ogłoszeniu deklaracji Rady Jedności Narodowej, z Londynu dotarły do jej członków dwa projekty memorandów zawierające propozycje normalizacji stosunków ze Związkiem Sowieckim. Nazwano je wariantem A i wariantem B. Pierwszy przygotował rząd Stanisława Mikołajczyka; drugi opracował Komitet Zagraniczny PPS.


WOLNOŚĆ – RÓWNOŚĆ – NIEPODLEGŁOŚĆ

ROBOTNIK

CENTRALNY ORGAN P.P.S.

Niech żyje rząd robotniczo-chłopski

Niech żyje Socjalizm!

PROLETARJUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

Towarzysze i Obywatele!

Ostatni numer „Robotnika” – z 4 października 1944 r.
Fot. Domena publiczna

Wariant A sprowadzał się do utworzenia natychmiast po oswobodzeniu Warszawy nowego rządu polskiego, złożonego z równej reprezentacji Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Pracy. Do rządu dopuszczał on również komunistów z Polskiej Partii Robotniczej. Rząd ten miał być powołany przez prezydenta na wniosek premiera po uzgodnieniu jego składu ze stronnictwami politycznymi w Warszawie. Następnie rząd miał natychmiast objąć administrację wyzwolonych ziem polskich, nawiązać stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Sowieckim, zachowując przy tym alians ze Stanami Zjednoczonymi, Wiel-



Początek politycznego procesu pokazowego działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej Wolność, Równość, Niepodległość przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie. Na ławie oskarżonych zasiedli: Kazimierz Pużak, Tadeusz Szturm de Sztrem, Józef Dzięgielewski, Feliks Misiorowski, Ludwik Cohn, Wiktor Krawczyk. Kompletowi sędziowskiemu przewodniczył ppłk Władysław Stasica; oskarżali prokuratorzy płk Stanisław Zarakowski i płk Oskar Karliner; oskarżonych bronili adwokaci: Marian Niedzielski, Mieczysław Maślanko, Mieczysław Rettinger, Marian Wagner i Jan Palatyński. Za stołem m.in. adwokaci Niedzielski i Maślanko, w drugim rzędzie oskarżeni Dzięgielewski i Szturm de Sztrem, w trzecim rzędzie Krawczyk i Cohn oraz w ostatnim rzędzie Pużak. Warszawa, 5 listopada 1948 r.
Fot. Polska Agencja Prasowa

ką Brytanią i Francją. Wariant A kończył się stwierdzeniem, że „przy uregulowaniu granic państwa [...] Polska nie może wyjść terytorialnie uszczuplona”[8].

Wariant B proponowany przez polskich socjalistów w Londynie zakładał odłożenie wszystkich spraw związanych z nawiązaniem stosunków ze Związkiem Sowieckim do czasu powrotu rządu emigracyjnego do kraju, czyli po zakończeniu wojny. Komitet Zagraniczny PPS wykluczał też jakiekolwiek dopuszczanie do współrządzenia komunistów z PPR. Jak podkreślał Zaremba, wybór między oboma wariantami postawił pepeesowców w niezwykle trudnej sytuacji. „Mieliśmy – pisał Zaremba – w Radzie Jedności Narodowej i w Krajowej Radzie Ministrów szukać kompromisu pomiędzy stanowiskiem rządu i własnych towarzyszy w Londynie. Naturalnie, wszystko skłaniało ku akceptacji stanowiska ludzi nam bliskich. Ale ani sentyment, ani poczucie solidarności nie mogły stanąć wyżej nad poczucie słuszności i własne rozumienie potrzeb walki”[9]. Wokół wariantów w Radzie Jedności Narodowej rozgorzała gorąca dyskusja. Ludowcy poparli wariant A bez zastrzeżeń. Stronnictwo Narodowe przyjęło taktykę wyczekiwania, wstrzymując się od zajęcia jednoznacznego stanowiska. W tym wypadku stanowisko PPS miało być decydujące.

Przyjęcie do rządu moskiewskiej agentury stanowiło dla pepeesowców trudny kompromis, ale, jak podkreślał Zaremba, najważniejsze w ogniu powstańczych walk było to, by nie dopuścić do kryzysu w rządzie. Ostatecznie poparli oni wariant rządowy. Zaremba tak uzasadniał tę decyzję we wspomnieniach: „Akceptowanie przez Radę Jedności Narodowej tekstu »A« było zejściem z zasad nienaruszalności granicy traktatu ryskiego z próbą ratowania Wilna, Lwowa i Borysławia. Było to zejście z platformy istniejącej koalicji stronnictw polskich i dopuszczenie do składu rządu »oka Moskwy« – PPR. Zmiany bardzo głębokie! Los takiego rządu zapowiadał się jako bardzo ciężki. Pragnęliśmy jednak, aby w tych warunkach trudnych i krzywdzących powstał bodaj nawet tego rodzaju rząd tu, w kraju, rząd mogący czerpać siły z własnego społeczeństwa, i położyć kres praktykom sowieckich marionetek, rządzących się już w Lublinie”[10]. Natomiast Kazimierz Pużak tak to uzasadniał: „Nieprzyjęcie tych propozycji – i to zaraz – doprowadzi w konsekwencji do wspólnego szantażu aliantów i Rosji. Na razie szantaż dojrzewał. Trzeba było wszystko uczynić, żeby ten szantaż stał się widoczny właśnie dzisiaj, gdy Warszawa krwawi się nie tylko pod atakami Hitlera, ale też przy cynicznej grze Piłatów alianckich, rozgrzeszających karygodną bezczynność Sowietów”[11].

Świadectwo prawdy

W drugim miesiącu Powstania Warszawskiego coraz wyraźniej było widać, że chyli się ono ku upadkowi. Mimo wszystko miano jeszcze nadzieję zarówno na większą pomoc z Zachodu, jak i na sowiecką ofensywę. ▶

Tym bardziej że w połowie września 1944 r. na Czerniakowie wylądowało kilka desantów żołnierzy polskich z 1 Armii dowodzonej przez gen. Zygmunta Berlinga, Sowieci pozwolili wreszcie alianckim samolotom lądować na swych lotniskach i zaczęli wysyłać swe lotnictwo nad Warszawę. Wszystko to jednak było spóźnione i nieefektywne – bohaterskie miasto dogorywało i stało się jasne, że jego los został przypieczętowany.

Zaremba na łamach „Robotnika" do końca starał się podtrzymywać wiarę w sens Powstania Warszawskiego. Jednocześnie demaskował poczynania renegatów moskiewskich. W artykule z 28 września 1944 r. zatytułowanym *Zakłamanie* pisał: „Aranżerowie polityki lubelskiej zorganizowali parodię zjazdu PPS. Pan [Bolesław] Drobner, usunięty z PPS jeszcze w 1937 r., został na tym zjeździe wybrany na prezesa Rady Naczelnej, a pan [Edward] Osóbka, kiepski kierownik małej spółdzielni wyrósł raptem na przewodniczącego Centralnego Komitetu. A wszyscy razem postanowili na przyszłość używać firmy PPS. Panów tych nic nie krępuje. Nic ich nie obchodzi, że Centralny Komitet Partii istnieje, że prezes Rady Naczelnej żyje i działa, że organizacja PPS nieprzerwanie w ciągu 5 lat pracuje i walczy. Im potrzebna jest firma PPS, żeby pokryć nią politykę wręcz przeciwną do tej, którą reprezentowała nasza partia w ciągu 50 lat swego istnienia"[12].



Powojenna emigracja. Dyskusja po Międzynarodowym Zjeździe Uczestników Oporu w Brukseli. Od lewej: Zbigniew Stypułkowski, Zygmunt Zaremba, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, Jan Nowak-Jeziorański.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W ostatnim numerze „Robotnika" (z 4 października 1944 r.) Zaremba podsumował postawę pepeesowców w Powstaniu Warszawskim: „Polska Partia Socjalistyczna wzięła pełny udział w Powstaniu, jako zorganizowana siła robotników i pracowników stanęła twardo do boju na barykadach i w służbie dla Powstania we wszystkich dziedzinach. Oddziały wojskowe i Milicja PPS zapisały się chlubnie w bohaterskiej walce i pracy [...]. Spełniliśmy swój obowiązek do końca, znacząc naszą pracę i walkę ofiarą życia i krwi setek najlepszych towarzyszy. Im i wszystkim, którzy polegli, składamy hołd. Odeszli ginąc w świętej walce o wolność, przekazując nam żywym dalszą pracę dla ideałów wolności i sprawiedliwości społecznej"[13].

Tych pepeesowców, którzy przeżyli Powstanie Warszawskie i pozostali w kraju oraz zachowali ideały prawdziwej PPS, zaczęło bez pardonu tropić i aresztować NKWD. Przykładem jest los Kazimierza Pużaka, który został aresztowany w 1945 r. i sądzony w procesie szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego w Moskwie. Zwolniony z Łubianki po czterech miesiącach powrócił do kraju, ale nie cieszył się długo spokojem. Aresztowany w Polsce przez komunistów, po pokazowym procesie działaczy PPS-WRN w listopadzie 1948 r. skazany został na 10 lat więzienia. Zmarł 30 kwietnia 1950 r. w więzieniu w Rawiczu. Zygmunt Zaremba wyjechał do Francji pod fałszywym nazwiskiem w transporcie Polskiego Czerwonego Krzyża. Do końca życia był czynny w emigracyjnej PPS. I nadal był groźny dla komunistów. Świadczy o tym chociażby to, że w czasie wizyty Nikity Chruszczowa we Francji w 1960 r. Zarembę zatrzymała policja i został deportowany na Korsykę, gdzie przetrzymywano go blisko miesiąc. Zygmunt Zaremba zmarł 5 października 1967 r. we Francji. ■

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia", publicysta. Autor książek, m.in.: *Elitarne oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939–1945; Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

[1] Z. Zaremba, *Wojna i okupacja*, „Zeszyty Historyczne Polskiego Ruchu Socjalistycznego", wybór tekstów K. Dunin-Wąsowicz, Warszawa 2004, s. 32. [2] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 4: *Lipiec – październik 1944*, Wrocław 1991, s. 73. [3] J. Kwapiński, *1939–1945. Kartki z pamiętnika*, Londyn 1947, s. 146. [4] Cyt. za: K. Dunin-Wąsowicz, *Ruch socjalistyczny w Powstaniu Warszawskim*, „Zeszyty Historyczne Polskiego Ruchu Socjalistycznego"..., s. 7. [5] Z. Zaremba, *Wojna i okupacja*..., s. 34. [6] Tamże. [7] Tamże. [8] Tamże, s. 35. [9] Tamże. [10] Tamże, s. 36. [11] K. Pużak, *Wspomnienia z Powstania Warszawskiego*, „Zeszyty Historyczne Polskiego Ruchu Socjalistycznego"..., s. 23. [12] Z. Zaremba, *Wojna i konspiracja*, Londyn 1957, s. 258. [13] K. Dunin-Wąsowicz, *Ruch socjalistyczny*..., s. 13.

Przeciw dwóm wrogom

Największym sukcesem Narodowych Sił Zbrojnych był wywiad antyniemiecki. Jego siatka pokryła nie tylko ziemie polskie, ale i spory obszar Rzeszy – mówi dr Wojciech Jerzy Muszyński.



WOJCIECH JERZY MUSZYŃSKI doktor nauk humanistycznych, historyk. Pracownik naukowy Instytutu Pamięci Narodowej, wydawca pisma historycznego „Glaukopis".

W lutym 1942 r. Związek Walki Zbrojnej został przekształcony w Armię Krajową. Miało to zwiększyć integrację organizacji wojskowych, a co za tym idzie – ich skuteczności w walce. Akcja scaleniowa nie szła jednak tak, jak chciały tego władze w Londynie i Komenda Główna AK. Na tym tle doszło do rozłamu wśród narodowców. O co chodziło niegodzącym się na wejście w struktury AK, którzy we wrześniu 1942 r. utworzyli Narodowe Siły Zbrojne?

Sprawa scalenia struktur podziemnych była dość skomplikowana. Teoretycznie chodziło, tak jak pan mówi, o poprawienie skuteczności i uporządkowanie konspiracji. W praktyce jednak dominowały powody polityczne tej akcji, o których mówi się mniej chętnie. Prawda bowiem była taka, że członkowie Komendy Głównej ZWZ usiłowali przejąć pełną kontrolę nad całym polskim ruchem podziemnym. Wynikało to zarówno z ambicji politycznych, jak i absurdalnej zupełnie wiary, że centralne sterowanie jest lepsze niż rozproszone i działające autonomicznie struktury. Powstające spontanicznie od jesieni 1939 r. podziemie miało różnorodny profil ideowy: były organizacje narodowe, chadeckie, lewicowe, natomiast ludzie z kierownictwa ZWZ wywodzili się w większości z dawnego obozu władzy, czyli sanacji, uważanego za winowajcę klęski wrześniowej i niepopularnego w społeczeństwie. To dlatego, prowadząc akcję scaleniową, ZWZ maskował to hasłem organizowania podziemnego wojska – Sił Zbrojnych w Kraju. Miało to przykryć sanacyjny charakteru ZWZ i jednocześnie zmusić oficerów do podporządkowania się ZWZ jako jedynej słusznej strukturze wojskowej. Czasami odbywało się to w formie brutalnej, z użyciem broni. Narodowcy, ale nie tylko oni, uważali, że sanatorzy nie mają moralnego prawa stać na czele polskiego podziemia niepodległościowego, i stąd opór przed akcją scaleniową.

Taka była geneza Narodowych Sił Zbrojnych, drugiej po AK największej centrali konspiracji w Polsce. Stworzyły ją Narodowa Organizacja Wojskowa i Związek Jaszczurczy – i ich polityczne ekspozytury: Stronnictwo Narodowe oraz Obóz Narodowo-Radykalny. Stanowisko NSZ można streścić następująco: „nie oddamy naszych żołnierzy organizacji, do której nie mamy zaufania". Ale ostatecznie w marcu 1944 r. nastąpiło scalenie NSZ, które stały się częścią Armii Krajowej.

Jak oceniłby Pan z wojskowego punktu widzenia wartość oddziałów NSZ? Jak one wypadały pod względem wyszkolenia, a przede wszystkim kadry dowódczej w porównaniu z oddziałami AK?

Panuje pogląd, że Polacy mają w sobie gen konspiratora i są doskonali w działalności podziemnej. Jest to zupełna bzdura. Generalnie całe podziemie polskie było jedną wielką improwizacją. Tworzyli je ludzie ideowi, chcący walczyć z wrogiem i gotowi poświęcić w tej walce życie, ale niebędący w większości ani wojskowymi, ani konspiratorami. Początki były makabrą, bo straty były ogromne i często z winy konspiratorów, którzy nie zachowywali się właściwie. Na przykład mieszkali we własnych mieszkaniach pod prawdziwymi nazwiskami. Z czasem jednak ci, którzy przetrwali wsypy lat 1940–1941, nauczyli się reguł i podziemie stało się bardziej profesjonalne i hermetyczne, ale też nie do końca. Z tzw. raportu Gehlena, niedawno wydanego w języku polskim, ►



Odznaka żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej noszona w Kompaniach Wartowniczych w latach 1945–1946.
Fot. Archiwum pisma „Glaukopis"



Oddział por. Zygmunta Jezierskiego „Orła”, Rejon Narodowych Sił Zbrojnych Mrozy, 1948 r. Fot. Archiwum pisma „Glaukopis”

a napisanego pod koniec w 1944 r., wynika, że struktura AK była dla niemieckiego wywiadu przeźroczysta – wiedziano, jakie struktury gdzie funkcjonują i w dużym stopniu kto stoi na ich czele. To jest w raporcie. Natomiast o NSZ napisano tam, że „Był to najsprawniej zorganizowany i najbardziej sprężyście dowodzony, nielegalny polski związek zbrojny. Brak dokumentów na temat jego dowództwa, struktury, stanu liczebnego, uzbrojenia”. Narodowe Siły Zbrojne okazały się więc skuteczniejsze w kamuflowaniu przed Niemcami niż AK. Dla wywiadu sowieckiego zaś obie struktury były podobnie „przeźroczyste” i obie zostały w poważnym stopniu spenetrowane agenturą.

Co do wyszkolenia wojskowego to można powiedzieć, że NSZ wykazały się niezwykłą skutecznością i żywotnością. Dysponując ograniczonymi środkami finansowymi i bez dotacji z Zachodu, w które była zaopatrywana AK, stworzono ponad 70-tysięczną strukturę, sprawny aparat wywiadowczy, propagandowy (ok. 100 czasopism) oraz działające z sukcesami oddziały konspiracyjne i partyzanckie. Miernikiem skuteczności był udział w Powstaniu Warszawskim. Znane jest stwierdzenie gen. Antoniego Chruściela „Montera”, który mówił, że jedynie Zgrupowanie „Chrobry II” nie oddało Niemcom przez cały czas trwania powstania ani piędzi terenu. „Chrobry II” sformowała kadra oficerska NSZ. Oddziały NSZ walczyły na najtrudniejszych odcinkach – na Starówce i Mokotowie, brały udział w walkach o Bank Polski, Pocztę Główną, Politechnikę i PAST. I biły się dobrze.

Chyba żadna inna formacja podziemna w Polsce nie była tak mocno targana konfliktami wewnętrznymi jak NSZ. Dochodziło też do krwawych porachunków. Paradoksalnie ten wojenny topór zdołano zakopać w czasie niepopularnego w dowództwie NSZ Powstania Warszawskiego, gdzie wszystkie nurty wojskowo-narodowe stanęły ramię w ramię do walki z Niemcami. Z pewnością na te konflikty miały wpływ jeszcze przedwojenne podziały frakcyjne pośród narodowców, ale czy tylko one?

Przedwojenne konflikty nie miały żadnego znaczenia. Krwawe porachunki w podziemiu to żaden ewenement. Ludzie konspiracji, żyjący w nienormalnych warunkach i ustawicznym zagrożeniu życia, stają się brutalni i bezwzględni. W ZWZ-AK były dziesiątki spraw, które można zaliczyć do krwawych porachunków, w których padły niewinne ofiary. Dziś mówi się eufemistycznie, że to sprawy niewyjaśnione.

W NSZ też były takie przypadki. Właściwie pojawiły się pod koniec wojny, po rozłamie w NSZ w maju 1944 r. Wówczas to część struktur wywodzących się z Obozu Narodowo-Radykalnego uznała, że w czasie scalenia z AK oszukano ich, bo odmówiono im prawa desygnowania reprezentantów do władz Polskiego Państwa Podziemnego. Jeśli mamy za Polskę przelewać krew i dla niej ginąć w szeregach AK – mówili – to powinniśmy mieć też prawo współdecydować o jej przyszłości. Komenda Główna AK i kierownictwo PPP umyły ręce,



Ryngraf Narodowych Sił Zbrojnych.

Fot. Archiwum pisma „Glaukopis"

uznając, że skoro do Rady Jedności Narodowej i Delegatury Rządu dopuszczono członków Stronnictwa Narodowego z zaplecza NSZ, to niech oni sami załatwią problem z ONR. Konflikt na linii: SN – ONR był bardzo ostry, występowały napaści i próby porwań, ale nie doszło do aktów bratobójczych. Natomiast po Powstaniu Warszawskim ONR-owcy się zradykalizowali i miało miejsce kilka zabójstw oficerów NSZ-AK i członków SN. W tle była rywalizacja o wpływy na struktury wojskowe scalone z AK. To rzeczywiście mało chwalebne epizody – ale tylko epizody.

Powszechnie twierdzi się, że po bitwie stalingradzkiej dowództwo NSZ uznało, że to Sowieci stają się wrogiem nr 1 dla Rzeczypospolitej i należy z nimi bezpardonowo walczyć. Jak w tym kontekście postrzegano w NSZ Zachód. Czy jego dowództwo zdawało sobie sprawę ze stopnia fraternizacji Churchilla i Roosevelta ze Stalinem?

Celem strategicznym podziemia niepodległościowego było wywalczenie wolnej Polski, a nie walka z tym czy innym wrogiem. Dlatego w 1941 r. narodowcy cieszyli się z wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Liczono, że obaj okupanci będą się wzajemnie wykańczać i nie chciano im w tym przeszkadzać. W 1944 r. sytuacja była już inna. Dowództwo NSZ zdawało sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji, w której znalazła się sprawa polska. Wiedziano o ustaleniach z Teheranu, o zgodzie aliantów na oddanie Polski do sowieckiej strefy wpływów. Nie mówiono o tym publicznie, żeby nie załamywać morale konspiracji. Liczono, że coś się jeszcze zmieni. Zakładano, że po wojnie współpraca aliantów i Sowietów szybko się skończy, bo Stalin będzie dążył do opanowania całej Europy i wybuchnie III wojna światowa. Dlatego w 1944 r. dowództwo NSZ uznało, że walka przeciwko Niemcom, które przegrały wojnę, jest bez sensu: należy przeczekać i oszczędzać ludzi na odpowiedni moment. Komenda Główna AK miała inne zdanie i doszło do Powstania Warszawskiego. Szkoda.



Cichociemny płk Leonard Zub-Zdanowicz, szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej.

Fot. Archiwum pisma „Glaukopis"

Czy rajd Brygady Świętokrzyskiej pod koniec wojny nie był z jednej strony próbą ratunku najwartościowszych żołnierzy, a z drugiej – przyznaniem się do tego, że w walce z Sowietami na terytorium Polski nie mamy szans na zwycięstwo?

Zdecydowanie tak. Ewakuacja Brygady Świętokrzyskiej była próbą ratowania sił. Z milionowymi armiami nowego okupanta nie sposób było walczyć. Wbrew temu, co pisała propaganda komunistyczna, ewakuacja nie była wcześniej uzgodniona z Niemcami. To była improwizacja, fortel wojenny, który udał się dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. W ostatnich dniach wojny Brygada walczyła u boku 3 Armii gen. George'a Pattona. Amerykanie uznali ją za formację sojuszniczą i włączyli do swoich sił. Polacy liczyli, że gdy wojska alianckie będą wyzwalały nasz kraj, wypierając Sowietów, Brygada znajdzie się w ich awangardzie. Niestety, nadzieje te się nie spełniły.

Nie możemy nie poruszyć czarnej legendy NSZ. Żołnierzom przypisywano nie tylko mordowanie komunistycznych partyzantów i sowieckich spadochroniarzy, ale także żołnierzy AK lub Batalionów Chłopskich. Kolejnym zarzutem był antysemityzm, a co za tym idzie mordowanie ukrywających się Żydów, wydawanie ich Niemcom. Wszystko to wieńczyły oskarżenia o kolaborację z Niemcami. Co na te zarzuty może odpowiedzieć dzisiaj badacz NSZ na podstawie najnowszych badań historycznych?

Zacznijmy od tego, że filarem ideologii ruchu narodowego była antyniemieckość. Kolaboracja lub sojusz z Niemcami były po prostu sprzeczne z tym, w co wierzyli żołnierze NSZ. Oczywiście mogło się to przytrafić jednostkom, pojedynczym osobom, które z jakichś powodów zdradziły, ale nie całej organizacji.

Czarna legenda NSZ to wytwór propagandy PRL, ale nie wyłącznie. W podziemiu, zwłaszcza pod koniec wojny, trwała brutalna walka polityczna. Prasa ludowa, socjalistyczna, nie mówiąc o komunistach, wypisywała o NSZ przeróżne bzdury – narodowcy nie pozostawali im dłużni. Rzucano najgorsze oskarżenia, w tym zarzuty o zdradę i kolaborację. Ich celem była także Brygada Świętokrzyska. Ale dzieje tej jednostki są dobrze zbadane i na tej podstawie można powiedzieć, że to zwykłe oszczerstwa. Pamiętam raport AK, w którym napisano, że żołnierze Brygady Świętokrzyskiej zmusili bronią chłopów z jakiejś wsi do kopania niemieckich rowów przeciwpancernych. Po sprawdzeniu okazało się, że Brygada w tym czasie stacjonowała prawie 100 km dalej



Ulotka Narodowych Sił Zbrojnych – Obozu Narodowo-Radykalnego z 1944 r.

Fot. Archiwum pisma „Glaukopis"



Cegiełka na fundusz Narodowych Sił Zbrojnych, 1943 r.

Fot. Archiwum pisma „Glaukopis"



Plakat Narodowych Sił Zbrojnych z projektem zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie, 1943 r.

Fot. Archiwum pisma „Glaukopis"

na zachód. Takie to były dowody kolaboracji. Coś ktoś usłyszał, pojawiła się plotka, którą wpisano jako informację do raportu, ale nie sprawdzono.

Brygada Świętokrzyska współpracowała z partyzantką AK, z BCh też, choć zwalczała oddziały współdziałające z komunistami. Bezwzględnie natomiast likwidowano sowieckie grupy desantowe i bandy komunistyczne. I robiono to skutecznie: zabito kilkuset komunistów, zdekomunizowano spore połacie Kielecczyzny. Dla ludzi mających złudzenia, że z Sowietami można się porozumieć – a takich w AK jednak trochę się znajdowało – mogło być to „dowodem" kolaboracji. Ale obiektywnie to nie była kolaboracja, bo Brygada nie działała na polecenie Niemców ani nie była z nimi w kontakcie. Sowieci i komuniści stanowili forpocztę nowej okupacji, zwalczanie ich służyło więc sprawie niepodległości. Warto wspomnieć, że szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej płk. Leonard Zub-Zdanowicz został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Komandorskim „Polonia Restituta" w 2013 r.

Nie ma najmniejszego potwierdzenia, że NSZ i Brygada Świętokrzyska miały coś wspólnego z wydawaniem ich Niemcom lub zabijaniem. Wręcz przeciwnie – w szeregach Brygady służyło przynajmniej kilku Żydów, w tym lekarz dr Julian Kamiński. Znamy więcej przykładów pomocy, której udzielali ludzie konspiracji NSZ. Kierownik struktur ONR w Krakowie Julian Zakulski „Czarny Mecenas" uratował uciekinierkę z getta i jej dziecko. Po wojnie uratowana zeznała o tym przed sądem w czasie procesu Zakulskiego o udział w podziemiu antykomunistycznym. Sędzia nie uznał tego za okoliczność łagodzącą: Zakulski został skazany na śmierć i stracony. Zmarłym Yad Vashem medali nie przyznawał. Ale byli też tacy eneszetowcy, którzy je otrzymali, między innymi Edward Kemnitz, Władysław Olizar i Sławomir Modzelewski. Podobnych przykładów jest więcej. Stanisława Ostwind-Zuzdze – Polaka z wyboru pochodzenia żydowskiego, majora NSZ – w 1945 r. zamordowało NKWD, bo nie chciał wydać podległych mu struktur organizacyjnych.

Reasumując, Żydzi nie byli dla NSZ celem do zwalczania. Wyjątek stanowili ci, którzy należeli do band komunistycznych – wówczas mogli zostać zabici, ale nie miało to związku z ich etnicznym pochodzeniem. Natomiast reguła generalna była taka, że NSZ przeciwstawiały się zagładzie Żydów i – podobnie jak AK – starały się pomagać ludziom w potrzebie.

Proszę o wymienienie największych sukcesów bojowych w walce z dwoma okupantami Polski – niemieckim i sowieckim i Pańskim zdaniem najlepszych dowódców NSZ.

Największym sukcesem NSZ był wywiad antyniemiecki. Organizował go od 1940 r. Związek Jaszczurczy, później przejęty przez NSZ. Siatka wywiadu pokryła nie tylko ziemie polskie, ale spory obszar Rzeszy. Zdobyte informacje, często kluczowe dla aliantów, przekazywano wywiadowi ZWZ-AK, a za jego pośrednictwem do Londynu. Ustalono między innymi pozycję niemieckiego pancernika „Tirpitz" w Norwegii, co pozwoliło Brytyjczykom zaatakować i zneutralizować okręt. Niemcy doceniali zdolności wywiadowcze Polaków – w berlińskim gestapo powstała specjalna komórka do zwalczania struktur ZJ-NSZ, która zadała im duże straty. Aresztowanych dręczono nieludzko, potem ścinano gilotyną, a czasami, jak w średniowieczu, toporem. W służbie wywiadowczej zginęły setki ludzi. Ich wysiłek i sukcesy do dziś pozostają niedoceniane i przemilczane.

Podczas wojny z rąk polskiej partyzantki padło dwóch generałów armii niemieckiej i w obu przypadkach wydarzyło się to za sprawą podziemia narodowego, niezależnego od AK. Pierwszym był gen. Kurt Renner, zlikwidowany 26 sierpnia 1944 r. na Kielecczyźnie przez oddział wachmistrza Tomasza Wójcika „Tarzana". Niedługo później Wójcik podporządkował się Zgrupowaniu AK „Ponury", ale w czasie akcji był to jeszcze oddział NSZ. Drugim zabitym był gen.-mjr Walter Herold, należący do najwyżej odznaczonych dowódców Wehrmachtu. Został zlikwidowany przez oddział Obozowych Drużyn Bojowych, bojówki Stronnictwa Narodowego współpracującej z NSZ i niescalonej z AK, pod Bochnią 27 listopada 1944 r. Te przykłady są dowodem skuteczności podziemia narodowego w walce przeciwko Niemcom. W walce z Sowietami tak spektakularnych sukcesów, niestety, nie było. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński



Był bodaj największym dziwakiem pośród polskich generałów – nieustraszony żołnierz, dobry dowódca, obdarzony twardym, nieustępliwym charakterem, zasłużony bohater narodowy. A przy tym człowiek o złotym sercu, ezoteryk, wolnomularz i kapłan Kościoła liberalnokatolickiego.

JERZY KIRSZAK

Wachlarz niekonwencjonalnych zachowań Karasia – jak zwykli nazywać go od legionowego pseudonimu towarzysze walki spod znaku Józefa Piłsudskiego, z samym Komendantem na czele – był niezwykle szeroki. Dość wymienić jego charakterystyczną formę powitania przyjaciół, polegającą niekiedy na całowaniu ich w... serce. W niniejszym szkicu nie ma miejsca na przedstawienie pozawojskowych dokonań i pasji Tokarzewskiego. Zainteresowanych odsyłam do monumentalnego dzieła Daniela Bargiełowskiego, który w trzech świetnie i niezwykle barwnie napisanych tomach nakreślił sylwetkę tej ujmującej postaci.

Późniejszy generał urodził się 21 grudnia 1892 r. – w aktach personalnych i większości publikacji: 5 stycznia 1893 r. – we Lwowie, ale wychowywał się w Drohobyczu. Od 1903 r. uczył się w tamtejszym gimnazjum realnym im. Cesarza Franciszka Józefa I, gdzie uczęszczali między innymi Kazimierz Wirstlein (później Wierzyński) i Stanisław Maczek. Zadzierzgnięta wówczas przyjaźń z późniejszym wybitnym poetą i ze słynnym generałem – przetrwała do czasów emigracji po II wojnie światowej. Wiosną 1911 r. Tokarzewski zdał egzaminy maturalne. Zaraz potem (19 czerwca) wziął

Gen. dyw. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, zastępca dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie, dowódca 3 Korpusu Polskiego, lata 1943–1944. Fot. Domena publiczna

ŻADNEJ KAPITULACJI

Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz







WOJENNY LOS

1. Kpt. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, między 1915 a 1916 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowea
2. Gen. bryg. Michał Tokarzewski-Karaszewicz jako dowódca 25 Dywizji Piechoty w Kaliszu, pierwsza połowa lat trzydziestych. Fot. Wojskowe Biuro Historyczne
3. Po marszu ze Stróży III pluton Związku Strzeleckiego wkroczył do Zakopanego. Prowadził dowódca kompanii Mieczysław Trojanowski „Ryś", za nim dowódca plutonu Michał Tokarzewski „Karasiewicz", 19 sierpnia 1913 r. Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

udział w zamieszkach ulicznych spowodowanych jawnymi nadużyciami podczas wyborów do parlamentu w mieście. Interweniująca austriacka żandarmeria użyła broni, zabijając i raniąc kilkudziesięciu protestujących. Wśród tych ostatnich był Tokarzewski, ciężko raniony bagnetem w lewą pierś, kilka milimetrów poniżej serca. Przeżył dzięki natychmiastowej chirurgicznej operacji w miejscowym szpitalu. O jego zranieniu informowały liczne tytuły galicyjskiej i wiedeńskiej prasy.

Strzelec Komendanta

Po dojściu do zdrowia, latem 1911 r. wyjechał do Lwowa. Poznał tam Józefa Piłsudskiego i za jego namową przystał do grona polskich irredentystów. Wstąpił 1 września 1911 r. do Związku Walki Czynnej oraz Związku Strzeleckiego i został mianowany komendantem obwodu drohobyckiego ZS. Przybrał wówczas pseudonim „Karasiewicz", który z czasem w nieco zmienionym brzmieniu (Karaszewicz) stał się drugim członem jego nazwiska. Jednak już miesiąc później, 1 października, został powołany do odbycia służby w armii austriackiej. Ukończył oficerską szkołę jednorocznych i z dniem 1 października 1912 r. przeniesiono go do rezerwy w stopniu plutonowego, po czym rozpoczął studia na Uniwersytecie im. Cesarza Franciszka I we Lwowie, gdzie do 1913 r. ukończył dwa semestry prawa. Następnie przeniósł się na medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim i do wybuchu I wojny światowej ukończył dwa semestry.

Latem 1913 r. dowodził plutonem i był instruktorem podczas kursu oficerskiej szkoły Związku Strzeleckiego w Stróży. Z rąk komendanta Piłsudskiego otrzymał elitarną odznakę – tzw. Parasol – którą odtąd stale nosił na mundurze: czy to strzeleckim, czy od 1918 r. już Wojska Polskiego. Po wybuchu Wielkiej Wojny, od 7 sierpnia 1914 r. służył w oddziale Józefa Piłsudskiego. Z chwilą połączenia oddziałów strzeleckich i utworzenia 1 Pułku Legionów Polskich (16 sierpnia) „Karasiewicz" został dowódcą V batalionu. Było to wielkie wyróżnienie, zważywszy, że pozostałymi batalionami dowodzili starsi od niego oficerowie, jak choćby Edward Rydz „Śmigły". Na czele swojego oddziału wziął udział w kampanii kieleckiej i działaniach ofensywnych w kierunku Dęblina, z kulminacyjnym bojem pod Laskami, gdzie – już jako kapitan – 24 października 1914 r. został ciężko ranny kulą karabinową, która przeszyła go na wylot, przestrzeliwszy lewe płuco. Do końca listopada leczył się w szpitalach w Wiedniu i Krakowie, po czym do lutego 1915 r. był dowódcą stacji etapowej I Brygady Legionów w Suchej i Nowym Targu; do sierpnia – oficerem wywiadowczym przy sztabie I Brygady Legionów i do maja 1916 r. – dowódcą baonu zapasowego I Brygady Legionów w Kozienicach. Następnie objął dowództwo III baonu 6 Pułku Piechoty III Brygady Legionów Polskich. Jednak już 2 lipca 1916 r. za naszycie odznak I Brygady wydalono go z 6 Pułku i odesłano z powrotem do 5 Pułku I Brygady, do którego przybył przedeniu rozpoczęcia najwięk-



4



5

4. Parasol – odznaka absolwentów kursu w Stróży z 1913 r., którzy zdobyli pełne kwalifikacje wyszkolenia wojskowego, wykonana według projektu Włodzimierza Przerwy-Tetmajera. Odznakę tę przyznano też niektórym oficerom mającym pełne kwalifikacje oficerskie, którzy nie uczestniczyli w kursie w Stróży, m.in. Edwardowi Rydzowi „Śmigłemu" i Marianowi Januszajtisowi „Żegocie". Łącznie Parasol otrzymało 72 strzelców. Fot. Domena publiczna

5. Oficerowie 2 batalionu 5 Pułku Piechoty Legionów Polskich. Pierwszy z lewej siedzi kpt. Michał Tokarzewski, z prawej stoi ppor. Stefan Starzyński. Pozycje nad Stochodem, Wołyń, lato 1916 r. Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

szej bitwy Legionów Polskich – pod Kostiuchnówką. W jej trakcie początkowo nie miał przydziału, dopiero 5 lipca objął dowództwo improwizowanej kompanii złożonej z rozproszonych żołnierzy, na czele której wziął udział w walce. Już po bitwie, 9 lipca, objął po poległym mjr. Tadeuszu Furgalskim „Wyrwie" dowództwo II baonu 5 Pułku. Po kryzysie przysięgowym, od sierpnia do września 1917 r. dowodził 5 Pułkiem, z którym – po wydzieleniu żołnierzy pochodzących z Królestwa Polskiego, czyli z zaboru rosyjskiego – przyjechał do Przemyśla. Tutaj został uwięziony przez Austriaków, wkrótce jednak zwolniono go i przydzielono jako podporucznika do 80 Pułku Piechoty. Ze względu na zły stan zdrowia – komplikacje z płucami po zranieniu w latach 1911 i 1914 – przebywał w szpitalu w Bielsku i do pułku nie dotarł. W grudnia 1917 r. rozpoczął natomiast pracę w Polskiej Organizacji Wojskowej, zostając z czasem nominalnym komendantem w Lublinie. Wiosną 1918 r. z ramienia POW wyjechał na Ukrainę do III Korpusu Polskiego, a stamtąd do Moskwy, gdzie działał w Wydziale Mobilizacyjnym, trudniącym się przerzutem polskich wojskowych na Murmań. Był tam też przedstawicielem POW przy francuskiej misji wojskowej, a następnie przy Wojskowym Polskim Komitecie armii gen. Antona Denikina w Jekaterynodarze. W październiku wrócił do kraju.

Na odsiecz wiernemu miastu i w wojnie z bolszewicką Rosją

Rozkazem Polskiej Komendy Wojskowej w Krakowie z 2 listopada 1918 r. Tokarzewskiemu powierzono organizację 5 Pułku Piechoty z przebywających w Krakowie legionistów i peowiaków. Już jako dowódca 5 Puku został 10 listopada mianowany podpułkownikiem z pominięciem stopnia majora. Równocześnie powierzono mu Komendę Okręgu Wojskowego w Przemyślu. Już 19 listopada wyruszył stamtąd na czele około 1400 żołnierzy wspartych 8 armatami i 19 karabinami maszynowymi z odsieczą dla walczącego z Ukraińcami Lwowa i w brawurowej akcji oswobodził miasto. Marszałek Piłsudski tak o tym mówił: „Lwów w początkach naszego istnienia zajął bardzo wielkie i zaszczytne dla niego miejsce. Stał się on centrum myśli, życzeń serc i uczuć polskich. [...] Obrońców spośród siebie miał względnie niewielu – większość przybiegła skądinąd. Miasto zostało polskim, po akcie odwagi i czynu 5 pułku legionowego pod dowództwem ppłk. [Michała] Tokarzewskiego. Im należy przypisać fakt, że Lwów od tej chwili, gdy pułk ten wszedł do Lwowa, stał się na zawsze polskim. Czyn ten tym bardziej jest znaczny, że [Tokarzewski] zrobił to wbrew bojaźniom, wbrew naciskom bezpośrednim swoich władz przełożonych, zrobił to na własną rękę i na własne ryzyko"[1].

W pierwszej dekadzie grudnia podpułkownik objął dowodzenie kombinowaną brygadą złożoną z 4 i 5 Pułku Piechoty Legionów, z którą uczestniczył w dalszych walkach z Ukraińcami. W marcu 1919 r. wyjechał ze Lwowa do Warszawy, gdzie został mianowany dowódcą I Brygady Piechoty w 1 Dywizji Piechoty Legionów. Na czele brygady w kwietniu 1919 r. wziął udział w wyprawie wileńskiej, a po zajęciu miasta uczestniczył w dalszych działaniach na froncie litewsko-białoruskim. Między innymi 6 i 7 maja prowadził zakończoną sukcesem akcję zaczepną na Podbrodzie. Walczył następnie w kampanii letnio-jesiennej w rejonie Dźwińska, gdzie szczególnie odznaczył się we wrześniu 1919 r. jako dowódca grupy atakującej umocnienia na lewym brzegu Dźwiny. „W czasie decydującego ataku na forty – w chwili zawahania ▶



KAWALER VIRTUTI MILITARI

1. Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz pod rękę z płk. Józefem Kustroniem, 1935 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe,
2. Moment dekoracji płk. Tokarzewskiego Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari V kl. przez marsz. Józefa Piłsudskiego, Warszawa, 8 kwietnia 1921 r.
Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

1

się własnej piechoty, z powodu silnego ognia artylerii nieprzyjacielskiej – podrywa ją osobiście prowadząc aż do zajęcia fortów a nawet do wdarcia się części piechoty do miasta" – napisał we wniosku o odznaczenie Tokarzewskiego dowódca 1 Dywizji Piechoty Legionów płk Stefan Dąb-Biernacki[2].

Były to jednak ostatnie wyczyny Tokarzewskiego na froncie polsko-bolszewickim, w listopadzie 1919 r. wyjechał bowiem do Warszawy i został mianowany zastępcą generalnego inspektora piechoty, a w marcu 1920 r. szefem Departamentu Piechoty Ministerstwa Spraw Wojskowych. Dwa miesiące później awansował do stopnia pułkownika.

W czasie pokoju

Wraz z kilkoma wybitnymi oficerami, w tym generałami Kazimierzem Sosnkowskim i Stanisławem Szeptyckim, 8 kwietnia 1921 r. został osobiście odznaczony przez Naczelnego Wodza marsz. Józefa Piłsudskiego Orderem Virtuti Militari V kl. na dziedzińcu Belwederu, co utrwalono na pamiątkowej fotografii. Miesiąc później objął dowodzenie 1 Dywizją Litewsko-Białoruską w Wilnie, która wraz z reorganizacją Wojska Polskiego została w październiku 1921 r. przemianowana na 19 Dywizję Piechoty. Pod koniec roku dowódca 2 Armii gen. Edward Śmigły-Rydz pisał o nim: „Oficer o wybitnej inteligencji, wyjątkowej energii i świeżości umysłu, bardzo dobry organizator. Typ bojowy przy dużych zaletach wychowawczych. Bardzo rozwinięta ideowość"[3]. Piękna przeszłość bojowa, wybitne talenty wojskowe i organizacyjne, przy tym rozległe horyzonty, co podkreślali wszyscy opiniujący, zaowocowały 15 sierpnia 1924 r. nominacją generalską. Tym samym Tokarzewski, nie mając ukończonych jeszcze 32 lat, został najmłodszym spośród służących wówczas 143 generałów Wojska Polskiego. W listopadzie 1925 r. Józef Piłsudski w rozmowie z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim wymienił Tokarzewskiego jako jednego z czterech swoich kandydatów na stanowisko ministra spraw wojskowych.

W marcu 1927 r. Tokarzewski został szefem Biura Personalnego MSWojsk. Przypisywano mu usunięcie z armii wielu wartościowych oficerów, przeciwników tzw. sanacji. Wyjątkowo nieprzychylny mu pamiętnikarz przesadnie stwierdził, że dwuletni okres urzędowania Tokarzewskiego charakteryzowały „rugi, świństwa i bezprawie"[4]. Dwa lata później wrócił do służby liniowej i od marca 1929 r. dowodził 25 Dywizją Piechoty w Kaliszu, skąd po przeszło sześciu latach – już po śmierci Marszałka – został odwołany, otrzymując w listopadzie 1935 r. nominację na dowódcę Okręgu Korpusu nr III w Grodnie. Był to wątpliwy awans, w tym czasie bowiem dowództwa okręgów korpusu pełniły funkcje mobilizacyjne i administracyjno-gospodarcze. W wypadku wojny dowództwa te większość zadań miały wykonywać na tyłach frontu. Później Tokarzewski pełnił analogiczne funkcje w DOK VI we Lwowie (sierpień 1936 – luty 1938 r.) i DOK VIII w Toruniu (luty 1938 – 1 września 1939 r.). Młodszy kolega Tokarzewskiego jeszcze z 5 Pułku Legionów, a niebawem jego najbliższy współpracownik w konspiracyjnym wojsku płk dypl. Stefan Rowecki w opiniach wystawionych wyższym dowódcom w maju 1939 r. napisał o nim: „Ma piękną przeszłość liniowo-bojową. Dowódca batalionu w roku 1914–1916, dowódca pułku i brygady 1918–1920, dowódca


2

odsieczy Lwowa. Po wojnie dowódca dywizji. Mimo tej przeszłości bojowej w grach wojennych często go biją. Ma pecha, no może za specjalny sposób analizowania położenia, zbyt wchodzi w szczegóły, wybitny to natomiast talent organizacyjny i prawdziwy, niezależny charakter. Świetny byłby minister spraw wojskowych. Jako dowódca operacyjny na pewno będzie użyty, trzeba aby dobrać mu odpowiedniego szefa sztabu”[5].

Podczas II wojny światowej w linii, konspiracji, więzieniach i łagrach

Z chwilą rozpoczęcia działań zbrojnych, 1 września 1939 r. gen. Tokarzewski zarządził wojenną organizację DOK VIII, które przemieniono na Dowództwo Etapów Armii „Pomorze”. W nocy z 4 na 5 września opuścił Toruń i przeniósł się do Włocławka, następnie powierzono mu dowództwo połączonych etapów Armii „Poznań” i Armii „Pomorze”. Od 9 września kierował osłoną od północy polskiego zwrotu zaczepnego nad Bzurą, a dwa dni później został dowódcą Grupy Operacyjnej swego imienia w składzie 15 Dywizji Piechoty, 27 Dywizji Piechoty i drobniejszych oddziałów. Z powierzonego zadania wywiązał się dobrze, wprawdzie z powodu szczupłości sił i środków nie udało mu się zlikwidować niemieckiego przyczółka na lewym brzegu Wisły w rejonie Płocka, ale też nie dopuścił do jego rozszerzenia oraz ataku na flankę i tyły walczących wojsk gen. Tadeusza Kutrzeby (12–14 września). Wobec niepowodzenia nad Bzurą i rozkazu ogólnego odwrotu na Warszawę Grupa Operacyjna gen. Tokarzewskiego pełniła rolę straży tylnej resztek Armii „Poznań” oraz Armii „Pomorze” i w ciężkich walkach w dniach 16–17 września uległa całkowitej zagładzie. Tokarzewski uniknął niewoli i przez Puszczę Kampinoską z nielicznymi już żołnierzami nocą z 20 na 21 września dotarł do stolicy. Nazajutrz dowódca Grupy Armii „Warszawa” gen. dyw. Juliusz Rómmel, mianował go swoim drugim zastępcą. Podczas wielu spotkań w tych dniach, między innymi z prezydentem Stefanem Starzyńskim i szefem propagandy Dowództwa Obrony Warszawy ppłk. Wacławem Lipińskim – z oboma służył jeszcze podczas I wojny światowej w 5 Pułku Legionów – opowiadał się za dalszą nieustępliwą obroną stolicy. Ten ostatni zanotował: „Karaś jest w znakomitej formie, gotów zaraz do upartej walki, do roboty na całego”[6]. Podczas narady oficerów dowództwa obrony Warszawy (generałowie Rómmel, Kutrzeba, Walerian Czuma, płk Aleksander Pragłowski i ppłk Lipiński) 24 września stwierdził, że należy „bronić się i bić się jak długo tylko się da, póki nie wyczerpią się wszystkie ludzkie możliwości. […] Wiążemy przecież nie tylko nadal siły niemieckie, ale bronimy jednocześnie honoru Polski i jej armii […]. O żadnej kapitulacji nie może być mowy, jak długo mamy czym się bić, jak długo mamy broń, amunicję i karabiny w garści”[7]. Gdy jednak dwa dni później zapadła decyzja o kapitulacji, przedstawił projekt zorganizowania w Polsce podziemia dla kontynuowania walki i poprosił gen. Rómmla o zwolnienie go z obowiązku pójścia do niewoli. Ten zaś zgodził się i 27 września przekazał mu swoje pełnomocnictwo otrzymane od Naczelnego Wodza do dowodzenia dalszą walką o utrzymanie niepodległości i całości granic. Nazajutrz, 28 września, Warszawa skapitulowała.

Tokarzewski przystąpił energicznie do tworzenia Służby Zwycięstwu Polski – podziemnych struktur zbrojnych, które wkrótce objęły wszystkie województwa. Już 5 października mianował swoim zastępcą i szefem sztabu płk. dypl. Stefana Roweckiego. Tymczasem w listopadzie 1939 r. nowy Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski powołał do życia organizację konspiracyjną Związek Walki Zbrojnej, który miał przejąć struktury SZP, a Tokarzewskiemu powierzył funkcję komendanta ZWZ na okupację sowiecką z siedzibą we Lwowie. Stało się to wbrew intencji komendanta ZWZ gen. Sosnkowskiego, który jako siedzibę dowódcy okupacji sowieckiej widział Wilno. We Lwowie Tokarzewski był powszechnie znany i rozpoznawalny, co od razu czyniło jego misję bardzo ryzykowną. Jednak zarówno Sosnkowski, jak i Tokarzewski byli postrzegani przez Sikorskiego oraz jego otoczenie jako ludzie torujący powrót do władzy sanacji, w związku z tym Naczelny Wódz decyzji nie zmienił, niejako świadomie skazując Tokarzewskiego na zagładę. Ten ostatni, mając pełną świadomość zagrożenia, wyruszył w marcu 1940 r. na straceńczą placówkę. Jednak do Lwowa nie dotarł, gdyż już 6 marca został aresztowany w chwili przekraczania granicy okupacji niemiecko-sowieckiej na Sanie pod Jarosławiem. Nierozpoznany –

podawał się za lekarza Tadeusza Mirowego – został osadzony w więzieniu w Dniepropietrowsku, a jesienią 1940 r. skazany na pięć lat za nielegalne przekroczenie granicy. Przewieziono go do łagru pod Archangielskiem. Tam dopiero zidentyfikowali go funkcjonariusze NKWD i odtransportowali na Łubiankę w Moskwie. Otrzymał propozycję przerzucenia go do Warszawy w celu objęcia dowództwa nad całością konspiracji w Polsce, oczywiście pod kontrolą Moskwy. Gdy odmówił, męczono go torturą bezsenności, przez trzydzieści nocy pod rząd prowadząc wielogodzinne przesłuchania, a w dzień nie pozwalając spać ani leżeć. Mimo to nie załamał się i stanowczo odmówił współpracy.

Z powrotem w mundurze

Wolność odzyskał na mocy układu Sikorski-Majski i wstąpił do formującej się w Związku Sowieckim Armii Polskiej. W sierpniu 1941 r. został dowódcą organizującej się w Tockoje 6 Dywizji Piechoty. Dzięki jego staraniom Dywizja ta od maja 1942 r. nosiła nazwę „Lwów". W sierpniu 1942 r. wraz z ostateczną ewakuacją Polskich Sił Zbrojnych z ZSRR odpłynął z Krasnowodzka do Iranu, następnie z całą armią przeszedł do Iraku. Do stopnia generała dywizji awansował 1 stycznia 1943 r., a dwa miesiące później został zastępcą dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie gen. dyw. Władysława Andersa. W lipcu 1943 r. odleciał do Anglii na uroczystości pogrzebowe gen. Sikorskiego. Odbył wówczas kilka konferencji z prezydentem RP Władysławem Raczkiewiczem i nowym Naczelnym Wodzem gen. Sosnkowskim, usilnie zabiegając w imieniu gen. Andersa i całej Armii Polskiej na Wschodzie, by prezydent nie zaprzysięgał rządu z premierem Stanisławem Mikołajczykiem, w ich ocenie politykiem zbyt uległym Anglikom i Sowietom. Jak wiadomo, rozmowy te zakończyły się fiaskiem. W listopadzie 1943 r. towarzyszył gen. Sosnkowskiemu w inspekcji Armii Polskiej na Wschodzie i wyłonionego z niej 2 Korpusu Polskiego. Z chwilą wyjazdu 2 Korpusu na front włoski zajmował się sprawami kwatermistrzowsko-administracyjnymi w Egipcie, głównie na rzecz 2 Korpusu. W związku z rozpoczętą rozbudową Polskich Sił Zbrojnych został w sierpniu 1944 r. dowódcą formowanego 3 Korpusu Polskiego w Egipcie, który według polskich planów miał być przetransportowany do południowej Francji dla ostatecznej organizacji. Korpusu tego poza utworzeniem szkieletowego dowództwa nie sformowano i ostatecznie, na życzenie Anglików, w grudniu 1944 r. uległ on rozwiązaniu, a gen. Tokarzewski został przeniesiony do dyspozycji Ministerstwa Obrony Narodowej. W tej sytuacji bezrobotny generał dwukrotnie (w styczniu i sierpniu 1945 r.) prosił o skierowanie go do Polski w celu stworzenia nowej organizacji konspiracyjnej pod drugą sowiecką okupacją. Nie otrzymał zgody, odkomenderowano go do prac specjalnych w dowództwie 2 Korpusu we Włoszech, gdzie zajmował się sprawami związanymi z utrzymaniem łączności konspiracyjnej z krajem. Opracował w tym celu specjalny szyfr cyfrowy, niezłamany nawet przez współczesnych kryptologów.

Generał Tokarzewski uczestniczył 28 maja 1946 r. w odprawie wyższych dowódców 2 Korpusu z gen. Andersem, na której razem z generałami Romanem Odzierzyńskim i Nikodemem Sulikiem opowiedział się za protestem przeciw jednostronnej decyzji władz brytyjskich o likwidacji Polskich Sił Zbrojnych. Postulowano odmowę zaokrętowania 2 Korpusu na rejs do Wielkiej Brytanii, gdzie korpus miał zostać rozwiązany. Generał Anders nie zaakceptował ich pomysłu. Do dowództwa 2 Korpusu Tokarzewski był przydzielony do końca 1946 r.

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych bez wojska

Michał Tokarzewski po demobilizacji osiedlił się w Londynie. Od roku 1948 ciężko pracował między innymi jako nocny stróż w fabryce, pakowacz oraz pielęgniarz i salowy w angielskim szpitalu. Na emeryturę przeszedł w 1957 r. Równolegle uczestniczył w życiu politycznym polskiej emigracji. W 1947 r. wszedł w skład Rady Naczelnej Koła Armii Krajowej oraz Głównej Komisji Skarbu Narodowego RP na Uchodźstwie, był członkiem Rady Studium Polski Podziemnej w Londynie oraz członkiem-współzałożycielem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, wchodząc w 1947 r. w skład Rady Instytutu. W lutym 1948 r. brał udział w zebraniu założycielskim Koła Generałów i Pułkowników byłych Dowódców Wielkich Jednostek, a od listopada 1951 do listopada 1953 r. zasiadał w IV Radzie Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej. Z jej ramienia wyruszył 1 grudnia 1951 r. w podróż morską do Kanady, gdzie w ciągu trzech miesięcy uczestniczył w wielu konferencjach i wygłosił prelekcje w kilkudziesięciu miejscowościach od Atlantyku po Pacyfik. Ich głównym przesłaniem było przekonywanie do koncepcji odbudowy Polskich Sił Zbrojnych wobec spodziewanego wybuchu wojny między Związkiem Sowieckim a państwami Zachodu.

W wyniku rozłamu dokonanego na tle akcji zjednoczeniowej w polskich władzach na emigracji latem 1954 r. i wypowiedzeniu posłuszeństwa konstytucyjnemu prezydentowi RP Augustowi Zaleskiemu przez gen. Andersa, Tokarzewski opowiedział się po stronie prezydenta. Ten 12 sierpnia 1954 r. w miejsce zwolnionego gen. Andersa mianował Tokarzewskiego Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych. Doprowadziło to do rozbicia kadrowych struktur wojskowych na emigracji i zniesmaczenia wielu wojskowych. Generał Sosnkowski pisał: „Czyż i wojsko ma być rozwalone i to rękami piłsudczyka? Czyż zdaje mu [Tokarzewskiemu] się, że Anders jest C.K. Komendą Legionów, a on Komendantem? Gdzież jest dno tych wszystkich okropnych nonsensów?"[8]. Tymczasem Tokarzewski powołał Sztab Główny, którego szefem mianował



Uczestnicy gry wojennej pod kierownictwem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych marsz. Józefa Piłsudskiego, drugi od prawej siedzi gen. Tokarzewski-Karaszewicz, Warszawa, 25 czerwca 1931 r. Fot. Wojskowe Biuro Historyczne/ koloryzacja Mirosław Szponar

byłego oficera Legionów i szefa sztabu dowodzonej przez siebie jeszcze w Kaliszu 25 Dywizji Piechoty płk. dypl. Romana Szymańskiego. W lutym 1955 r. wydał wytyczne do opracowania zagadnienia odtworzenia Polskich Sił Zbrojnych na emigracji, „co do którego – jak zaznaczył – nie możemy przewidzieć, kiedy i w jakim ostatecznym ujęciu będzie nam potrzebne”[9]. Oficerowie z GISZ pod komendą Tokarzewskiego, mimo zaawansowanego wieku, przejawiali nadzwyczajną aktywność, organizując między innymi gry wojenne, celem których było określenie możliwości obrony polskich granic zachodnich na Odrze i Nysie. Z perspektywy czasu mogłoby się to wydawać dość operetkowe, ale wówczas oficerowie ci z gen. Tokarzewskim na czele traktowali to bardzo poważnie.

Tokarzewski 19 marca 1964 r. awansował do stopnia generała broni. Dwa miesiące później odleciał na leczenie do Casablanki, gdzie 22 maja zmarł nagle na atak serca. Uroczysty pogrzeb z udziałem około tysiąca osób odbył się na cmentarzu Brompton w Londynie 5 czerwca 1964 r. Obecny był prezydent RP August Zaleski, rząd, generalicja obu przeciwstawnych obozów politycznych, choć samego gen. Andersa nie było. Przemówienie nad trumną zmarłego wygłosił jeden z jego najbliższych współpracowników – szef Sztabu Głównego i zastępca w GISZ gen. Roman Szymański. Wśród licznych kondolencji, z dalekiej Kanady nadeszła depesza od gen. Sosnkowskiego: „Biorę udział w żałobie z powodu zgonu generała Tokarzewskiego, mego najstarszego Kolegi, gorącego patrioty i nieustraszonego bojownika o wolność”[10].

We wrześniu 1992 r. urnę z prochami gen. Tokarzewskiego ekshumowano i złożono na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, w kwaterze dowódców i komendantów głównych SZP-ZWZ-AK, przy pomniku Gloria Victis. ■



Nierozpoznany podczas aresztowania gen. Tokarzewski jako „Mirowoj Tadeusz Michajłowicz 1890 g[od]” z zakrzepłymi strupami po pobiciu przez sowieckich funkcjonariuszy więziennych. Fot. Domena publiczna

JERZY KIRSZAK doktor habilitowany, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej oraz Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego.

[1] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. VI, Warszawa 1937, s. 98. [2] Centralne Archiwum Wojskowe, Kolekcja Generałów i Osobistości, I.400.307, Wniosek o odznaczenie Krzyżem Walecznych, 4 II 1921 r., k. 4. [3] CAW, Kolekcja Generałów i Osobistości, I.400.307, Roczne uzupełnienie listy kwalifikacyjnej za rok 1921, 13 XII 1921 r., k. 98. [4] M. Romeyko, *Przed i po maju*, Warszawa 1983, s. 509. [5] S. Rowecki, *Wspomnienia i notatki autobiograficzne (1906–1939)*, Warszawa 1988, s. 99. [6] W. Lipiński, *Dziennik, wrześniowa obrona Warszawy 1939 r.*, oprac. J.M. Kłoczowski, Warszawa 1989, s. 122. [7] Tamże, s. 132. [8] Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Mjr Jan Jawicz, KOL.465/26, List Kazimierza Sosnkowskiego do Bogusława Miedzińskiego, Arundel, 22 VIII 1954 r., s. 5. [9] IPMS, Gen. broni Michał Tokarzewski-Karaszewicz, KOL.329/62, Sztab Główny Sił Zbrojnych. Wytyczne dla prac wstępnych Sztabu Głównego Sił Zbrojnych, Londyn, 7 lutego 1955 r. [10] „Rzeczpospolita Polska” nr 5/6, 30 czerwca 1964 r., Londyn, s. 2.



Żołnierze zamojskiej AK w 1944 r. Pierwszy z lewej zastępca por. Tadeusza Kuncewicza „Podkowy” Marian Mijalski „Maf”.
Fot. Zbiory Grzegorza Makusa

Rajd porucznika „Podkowy”

Porucznik Tadeusz Kuncewicz „Podkowa” był legendą zamojskiej Armii Krajowej. Jego oddział wykonał najwięcej akcji zbrojnych spośród oddziałów AK tam działających, ponosząc przy tym najmniejsze straty.

GRZEGORZ MAKUS

Tadeusz Kuncewicz urodził się 26 listopada 1916 r. w Fastowie pod Kijowem. Był synem Stanisława i Anny z d. Mijakowskiej. Rodzina po I wojnie światowej przeniosła się do Stanisławowa, gdzie Tadeusz ukończył średnią szkołę handlową. W 1935 r. wstąpił ochotniczo do wojska, ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 27 Dywizji Piechoty w Łucku, a następnie kurs kolejowy. Wojna zastała go na stacji kolejowej w Ruskich Piaskach, gdzie był zawiadowcą i dyżurnym ruchu. Jesienią 1939 r. wstąpił do konspiracji i został szefem wywiadu placówki Związku Czynu



1



2

1. Żołnierze por. Tadeusza Kuncewicza „Podkowy” z II batalionu 9 Pułku Piechoty Armii Krajowej oraz batalionu zbornego 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK wkraczający do Szczebrzeszyna 26 lipca 1944 r. Na czele ppor. Franciszek Mucha „Komar”. Fot. Zbiory Grzegorza Makusa

2. Por. Tadeusz Kuncewicz „Podkowa” przed frontem Oddziału Zbiorczego 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w dniu rozbrojenia, Szczebrzeszyn, 30 lipca 1944 r. Fot. Zbiory Grzegorza Makusa

Zbrojnego, który na przełomie 1939 i 1940 r. wszedł w skład Związku Walki Zbrojnej w Nieliszu. Od 1940 r. był adiutantem komendanta Obwodu Zamość ZWZ-AK, mjr. Stanisława Prusa „Adama” i oficerem do zadań specjalnych. W kwietniu 1942 r. komendant Obwodu AK Zamość nakazał Tadeuszowi Kuncewiczowi zorganizowanie oddziału dywersyjnego, który w 1943 r. liczył już ok. 120 ludzi.

W listopadzie 1942 r. Niemcy rozpoczęli wysiedlanie ludności polskiej z Zamojszczyzny. W odpowiedzi na to mjr „Adam” w noc sylwestrową 1942 r. zorganizował szeroko zakrojone działania przeciwko okupantom, w ramach których miano przeprowadzić możliwie najwięcej akcji dywersyjnych na terenie całego Inspektoratu Zamojskiego. Oddział Tadeusza Kuncewicza przejawiał niezwykle dużą aktywność bojową i to na nim w znacznej mierze spoczął ciężar walki z Niemcami w okresie wysiedleń i pacyfikacji, a ludność wielu tamtejszych wsi zawdzięcza „Podkowie” ocalenie. W październiku 1943 r. do grupy Tadeusza Kuncewicza czasowo dołączył zrzucony do Polski cichociemny ppor. Hieronim Dekutowski „Zapora”, obejmując dowodzenie wydzielonym z żołnierzy „Podkowy” plutonem. W tym czasie w polskim oddziale walczyła również drużyna Ormian, którzy porzucili służbę niemiecką i przeszli na stronę polskich partyzantów.

Na początku 1944 r. rozpoznanie doniosło o ruchach dużego oddziału rajdowego partyzantki sowieckiej – 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej im. gen. Sidora Kowpaka, dowodzonej przez ppłk. Piotra Werszyhorę, która operowała w powiatach biłgorajskim, tomaszowskim i zamojskim. Doszło do spotkania z Sowietami, uzgodniono warunki współdziałania, a w nocy z 18 na 19 lutego 1944 r. wykonano wspólną akcję na most kolejowy pod Wólką Orłowską. Po operacji, w dowód uznania zasług bojowych, ppłk. Werszyhora ofiarował „Podkowie” pepeszę z wygrawerowaną dedykacją: „Por. Podkowie w znak drużby ruskogo i polskogo narodów – od kowpakowcew”. Pod koniec maja 1944 r. oddział por. „Podkowy” otrzymał rozkaz, aby wyjść naprzeciw okrążonej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i umożliwić jej oddziałom przeprawę przez Bug. W czasie niemieckiej operacji „Sturmwind II” wymierzonej w partyzantów oddział Tadeusza Kuncewicza przebił się przez okrążenie z minimalnymi stratami.

Podczas akcji „Burza”, w ramach Odtwarzania Sił Zbrojnych w Inspektoracie Zamość AK, zorganizowano dwustuosobowy II batalion 9 Pułku Piechoty Legionów AK, którego dowódcą mianowano por. Tadeusza Kuncewicza. W tym czasie kwaterował on w okolicy Topólczy razem z Oddziałem Zbiorczym 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w sile 168 ludzi, który został włączony w skład batalionu na okres przejścia frontu. Zgrupowanie stoczyło kilka ostatnich walk, a szczególne ich nasilenie miało miejsce 24 lipca 1944 r. W udanych zasadzkach zdobyto kilkanaście wozów taborowych i wzięto do niewoli ok. 10 jeńców. Od nich partyzanci uzyskali informacje, że wycofują się ostatnie jednostki niemieckie. Wczesnym rankiem 26 lipca „Podkowa” zarządził marsz na Szczebrzeszyn i niebawem jego żołnierze wkroczyli do opuszczonego przez Niemców miasta, manifestując to zawieszeniem na ratuszu biało-czerwonej flagi. Po jakimś czasie nadjechał samochód z wysokim rangą oficerem sowieckim, który przez radiostację poinformował dowództwo o zajęciu Szczebrzeszyna.

Rozbita pepesza

Oddziały partyzanckie kwaterowały w Szczebrzeszynie do 30 lipca 1944 r., kiedy to zostały zmuszone do złożenia broni przed Sowietami. Żołnierze ukryli większość ▶



Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej W Lublinie

najlepszego uzbrojenia, zdali zaś egzemplarze stare lub niesprawne. Po rozbrojeniu „Podkowa" ostentacyjnie roztrzaskał o bruk pamiątkową pepeszę od ppłk. Werszyhory.

Porucznik Tadeusz Kuncewicz powrócił do podziemia, by podjąć walkę z nowym okupantem. Jeszcze w sierpniu wyruszył w stronę Warszawy w celu rozpoznania możliwości udzielenia pomocy powstańcom przez oddziały partyzanckie z Zamojszczyzny. Nasycenie terenu wojskiem sowieckim było jednak tak ogromne, że przebicie się do stolicy okazało się niemożliwe. Powrócił na Zamojszczyznę i jeszcze w końcu września 1944 r. usiłował zorganizować akcję rozbicia więzienia w Zamościu, ale wobec niesprzyjających okoliczności została ona odwołana.

W końcu 1944 r. Tadeusz Kuncewicz ukrywał się na terenie obwodu i nie podejmował żadnych działań. Po przesunięciu się frontu na zachód został w końcu stycznia 1945 r. dowódcą dywersji Obwodu Zamość i rozpoczął organizowanie struktur terenowych. Wiosną dysponował już oddziałem złożonym z ok. 40 ludzi, do wykonania większych akcji mobilizował także żołnierzy stale przebywających w domach, co kilkakrotnie powiększało stan. Już w lutym 1945 r. jego oddział przeprowadził wiele akcji, by zlikwidować funkcjonariuszy komunistycznego aparatu represji, a 24 marca – wspólnie z partyzantami Bolesława Sobieszczańskiego „Pingwina" i Romana Szczura „Urszuli" – rozbił posterunek Milicji Obywatelskiej w Skierbieszowie. W kwietniu 1945 r. partyzanci „Podkowy" przeszli do Puszczy Solskiej, na teren powiatu biłgorajskiego, gdzie dołączył do nich kilkunastoosobowy oddział specjalny przy komendancie Obwodu AK Biłgoraj mjr. Józefie Gniewkowskim „Orszy", dowodzony przez ppor. Tadeusza Borkowskiego „Mata".

PPOR. STANISŁAW BIZIOR

Ppor. Stanisław Bizior „Śmigło", „Eam", uczestnik rajdu por. „Podkowy". Jeden z trzech, którym udało się wrócić do Polski. Od wiosny 1946 r. w Obwodzie WiN Zamość. Od marca 1948 r. dowódca żandarmerii w II Inspektoracie Zamojskim AK pod dowództwem mjr. Mariana Pilarskiego „Jara". Aresztowany 13 kwietnia 1950 r. Zamordowany 4 marca 1952 r. w więzieniu na Zamku w Lublinie. Szczątki Stanisława Biziora zostały odkryte przez Instytut Pamięci Narodowej 23 stycznia 2017 r. na cmentarzu przy ul. Unickiej w Lublinie. Jego uroczysty pogrzeb odbył się 14 października 2017 r. w kryptach pod bazyliką w Radecznicy. Zdjęcie sygnalityczne wykonane przez funkcjonariuszy UBP w Lublinie.

Połączone oddziały „Podkowy", „Mata", Antoniego Sanetry „Mściciela" oraz miejscowe grupy Ruchu Oporu Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych w sile ok. 50 partyzantów zaatakowały i rozbiły posterunek MO we Frampolu i w Kocudzy 27 kwietnia 1945 r.

Wcześniej, 10 kwietnia 1945 r. partyzanci „Podkowy" zajęli Janów Lubelski, gdzie opanowali miejscowe więzienie i uwolnili 15 aresztowanych. Rozbili także tamtejszy posterunek MO i wykonali wyrok śmierci na gminnym referencie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Zaatakowali również dom, w którym kwaterowali doradcy sowieccy, raniąc dwóch z nich. Podczas tej akcji żołnierze „Podkowy" uderzyli na stacjonujący w mieście oddział Armii Czerwonej, zdobyli cztery samochody ciężarowe i 600 litrów benzyny.

W połowie maja 1945 r. „Podkowa" postanowił zająć Krasnystaw i uwolnić swoich ludzi osadzonych w tamtejszym więzieniu. Zgrupowanie złożone z ponad 100 partyzantów 12 maja 1945 r. zebrało się w lesie pod miastem, jednak wywiad doniósł, że do Krasnegostawu wkroczyły oddziały wojskowe zaopatrzone w broń pancerną i z akcji trzeba było zrezygnować. Żołnierze „Podkowy" pod dowództwem jego zastępcy Mariana Mijalskiego „Mafa" 15 maja opanowali posterunek MO i Urząd Gminy w Izbicy w powiecie krasnostawskim. Uprowadzili dwóch funkcjonariuszy milicji, na których po przeprowadzonym śledztwie wykonali wyrok śmierci. Również w maju 1945 r. plut. Witold Kot „Osa" z kilkoma partyzantami z oddziału por. „Podkowy" zorganizował zasadzkę i odbił więźniów transportowanych przez milicjantów ze Zwierzyńca do Biłgoraja. Przy pomocy swoich agentów funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie próbowali 19 maja 1945 r. zlikwidować oddział „Podkowy" stacjonujący w miejscowości Czysta Dębina k. Gorzkowa. Partyzanci, ostrzeżeni przez miejscową ludność, zdołali jednak przygotować się do starcia, w którym zginęło dwóch ubeków, a kilku kolejnych zostało ciężko rannych.

Do 2 Korpusu Polskiego

Na początku czerwca 1945 r. partyzanci wrócili do powiatu zamojskiego, gdzie wykonali jeszcze kilka wyroków na współpracownikach NKWD i UBP. Potem por. Tadeusz Kuncewicz rozformował oddział i zgłosił swoim przełożonym zamiar przedarcia się przez Niemcy

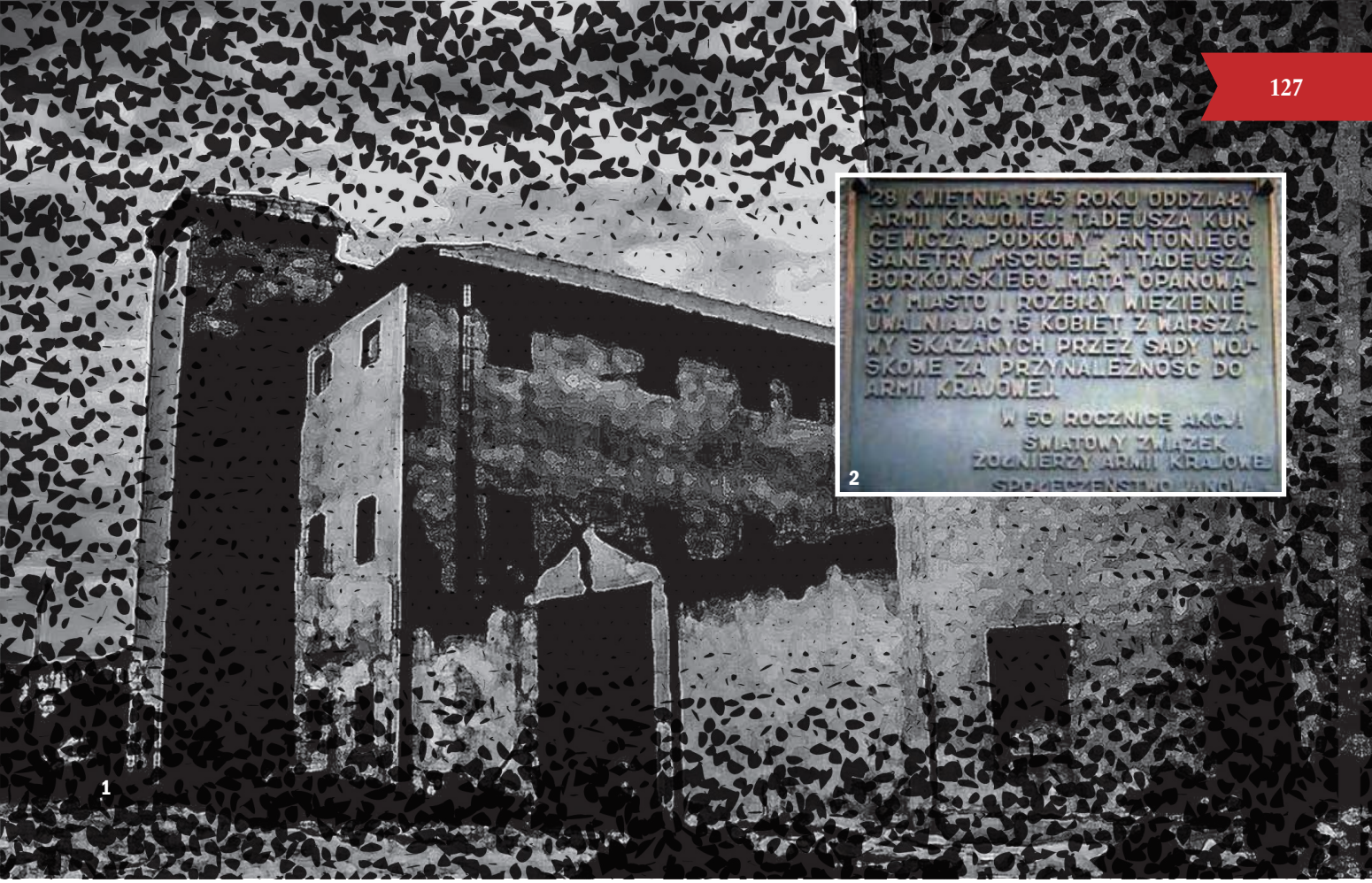

do 2 Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa i uzyskał ich akceptację. Pod koniec czerwca wybrał 21 partyzantów, którzy wyrazili gotowość uczestnictwa w tej niebezpiecznej wyprawie. Wszyscy byli przebrani w mundury berlingowców i mieli sfałszowane dokumenty. W Zwierzyńcu przejęli ciężarówkę Studebaker i pojechali przez Stalową Wolę oraz Sandomierz w kierunku Dolnego Śląska. Często zmieniali tablice rejestracyjne i starali się trzymać mniej uczęszczanych dróg. Mieli mapy obszarów należących do Polski w 1939 r., więc po przekroczeniu przedwojennej granicy musieli zdać się na własne rozeznanie. Konieczność unikania głównych szlaków sprawiła, że 5 lipca oddział zgubił się i zamiast do Niemiec wjechał do Czechosłowacji. Jeden z partyzantów – Zdzisław Szyndzielarz „Lotnik" – jeszcze w okresie międzywojennym bywał w tych okolicach i znał mieszkającą w miejscowości Šluknov polską rodzinę Kłusowskich, do których udało im się dotrzeć. Na miejscu okazało się, że w ich domu mieszka Niemka. Nie byłby to problem, gdyby następnego dnia nie odwiedził jej narzeczony, oficer czechosłowackiego wywiadu, por. Josef Sindelar. Szarmancki por. Tadeusz Kuncewicz traktował atrakcyjną Niemkę z dużą atencją, co denerwowało Czecha. Opuścił on niebawem dom Kłusowskich, a po kilku godzinach wrócił samochodem z kierowcą i z nakazem natychmiastowego stawienia się dowódcy polskiego oddziału w komendanturze sowieckiej. Porucznik „Podkowa" stwierdził, że sam nie pojedzie i rozkazał wszystkim swoim ludziom wejść do ciężarówki, która ruszyła za samochodem osobowym z Czechami i Niemką. W pewnym momencie por. Tadeusz Kuncewicz polecił zatrzymać ciężarówkę, a Tadeusz Jankowski „Żbik" zaczął pozorować naprawę silnika. Trzech żołnierzy „Podkowy" zeskoczyło z budy i schowało się za samochodem. Gdy Czesi zawrócili, żeby zobaczyć, co się dzieje, zostali zaskoczeni i obezwładnieni. Grupa por. Tadeusza Kuncewicza ruszyła w dalszą drogę, a po godzinie zatrzymała się w lesie, gdzie Marian Mijalski „Maf" zastrzelił Sindelara i jego kierowcę Vlastimila Malinę. „Maf" nalegał, by nie zostawiać świadków i to samo zrobić z Niemką. „Podkowa" nie wyraził na to zgody i kazał ją jedynie przywiązać do drzewa. Później okazało się, że ta decyzja zaważyła na losie całej wyprawy. Gdy partyzanci odjechali, kobieta zdołała się uwolnić i zawiadomiła

1. Budynek, w którym mieściło się więzienie w Janowie Lubelskim.
Fot. Zbiory Grzegorza Makusa
2. Tablica na budynku więzienia w Janowie Lubelskim upamiętniająca akcję „Podkowy" i „Mata".
Fot. Zbiory Grzegorza Makusa

czechosłowacką bezpiekę, która natychmiast wszczęła pościg. Po kilku godzinach Polacy zorientowali się, że są poszukiwani. Na drogach stały warty i krążyły patrole, więc oddział ukrył się w lesie, a gdy zapadła noc ruszył w dalszą drogę. Po północy żołnierze „Podkowy" dojechali do miejscowości Czeska Łaba, zepchnęli ciężarówkę do rzeki – samochód oficerów porzucili wcześniej – i w dalszą drogę ruszyli pieszo. Przez dwie doby szli ostrożnie, ponieważ wszędzie było mnóstwo sowieckiego wojska, a na drogach stały kilkuosobowe posterunki. Maszerowali nocami, w ciągu dnia spali w lasach. W końcu dotarli do samotnego domu, w którym mieszkał Niemiec. Poinformował partyzantów, gdzie stacjonują Amerykanie, a także zaoferował bezpieczne doprowadzenie do miejsca ich postoju. Dzięki jego pomocy żołnierze „Podkowy" ominęli sowieckie warty pilnujące mostu i niedługo zobaczyli zajęte przez Amerykanów miasto – wyruszyli do niego „Żbik" i „Maf", pozostali zajęli pozycje obronne i przygotowywali się do walki w razie pojawienia się pościgu.



Por. Tadeusz Kuncewicz „Podkowa". Zdjęcie wykonane przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie, 31 lipca 1947 r.
Fot. Zbiory Grzegorza Makusa

U Amerykanów

Rankiem 10 lipca 1945 r. pod ich stanowiska podjechał jeep, w którym siedzieli „Żbik", „Maf", oficer US Army i kierowca. W oddziale zapanowała nieopisana radość. „Żbik" oznajmił, że partyzanci mają oddać broń i po sprawdzeniu zostaną wcieleni do polskich jednostek wojskowych gen. Andersa. Następnie Amerykanie przewieźli ich do miasta, gdzie dostali jedzenie, papierosy i gumę do żucia. Na drugi dzień amerykański oficer zażądał od „Podkowy" wyjaśnień, jaką trasą jechał oddział. Jakież było zdziwienie partyzantów, gdy nagle Amerykanie ich aresztowali i osadzili w więzieniu na miejscowym zamku. Wkrótce okazało się, że komuniści poinformowali Amerykanów, iż oddział „Podkowy" to grupa żołnierzy SS. Czeska bezpieka – po zeznaniach uwolnionej w lesie Niemki – postanowiła za wszelką cenę schwytać Polaków. Rano przyjechali Czesi i zabrali partyzantów do Karlowych Warów. Tam zamknięto ich w więzieniu na terenie koszar, gdzie zostali ciężko pobici deskami z łóżek. Niedługo później skatowanych więźniów skierowano do Pragi. Trzech uzbrojonych konwojentów – oddzielonych okratowanymi drzwiami – jechało razem z aresztowanymi, trzech kolejnych zaś w kabinie kierowcy. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Partyzanci byli tak pobici, że niektórzy mdleli w samochodzie, mimo to „Podkowa" postanowił zaryzykować ucieczkę. Więźniowie zaczęli stukać w drzwi i prosić o wodę. Gdy samochód zatrzymał się i konwojenci otworzyli metalowe drzwi, żołnierze Tadeusza Kuncewicza rzucili się na nich. Kilku wyskoczyło z samochodu, zdobyto automat, „Żbik" puścił z niego serię w stronę szoferki, ale, niestety, kule poszły za wysoko i strażnicy zaczęli strzelać przez okienko oddzielające kabinę kierowcy od tylnej części auta. W samochodzie zginęło ośmiu partyzantów, między innymi Zygmunt Kuncewicz „Podkówka", młodszy brat por. „Podkowy". Ci, których nie dosięgły kule, wyskoczyli z samochodu i zaczęli uciekać. Marian Mijalski „Maf", Seweryn Błaszczak „Szczygieł" i Tadeusz Jankowski „Żbik" zostali ujęci kilka minut później. Na miejscu konwojenci zaczęli ich bić i kopać do tego stopnia, że „Maf" został zamęczony na śmierć. „Podkowę" i sześciu jego ludzi schwytano w ciągu następnych dwóch dni. Uciec udało się jedynie czterem partyzantom. Henryk Marczeski „Jurand", Wacław Mączka „Wierny" i Stanisław Bizior „Eam" wrócili do Polski, a Jan Chwiejczak „Wrzask" przedostał się do amerykańskiej strefy okupacyjnej i trafił do 2 Korpusu.

Schwytanych Polaków – „Podkowę" i ośmiu jego ludzi – przewieziono do więzienia w Czeskiej Kamienicy i poddano torturom. Głodzono ich i bito gumowymi i drewnianymi pałkami aż do omdlenia, cucono i znowu bito. Piotr Radziejowski „Gwiazda" i Witold Lew „Azja" zmarli z wycieńczenia. Po prawie dwóch latach pobytu w różnych czechosłowackich więzieniach, w lipcu 1947 r., na żądanie polskich władz komunistycznych, pozostających przy życiu partyzantów przekazano bezpiece. W wyniku amnestii sześciu z nich opuściło więzienie na Zamku Lubelskim 16 grudnia 1947 r. Jedynie por. Tadeuszowi Kuncewiczowi „Podkowie" wytoczono proces i skazano go na 10 lat więzienia. Na wolność wyszedł w 1955 r. Zmarł 8 lutego 1991 r. w Warszawie. ■

GRZEGORZ MAKUS historyk, twórca strony „Żołnierze Wyklęci – Zapomniani Bohaterowie" (http://podziemiezbrojne.blox.pl), badacz dziejów oddziału partyzanckiego Obwodu Włodawa Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Autor publikacji naukowych w Zeszytach Historycznych WiN-u i popularnonaukowych oraz przeszło 50 artykułów prasowych na temat antykomunistycznego podziemia.

OCHOTNIK DO POLSKI



Wizytacja Oddziałów Wartowniczych
Fot. Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego/ udostępniona Łukaszowi Wolakowi

Zbigniew Kowalczyk „Dziakoński" był w więzieniu NKWD, walczył w Powstaniu Warszawskim, dostał się do niemieckiej niewoli, a po wyzwoleniu obozu zgłosił się do karkołomnej misji wywiadowczej (eksfiltracyjnej).

ŁUKASZ WOLAK

Zbigniew Michał Kowalczyk urodził się 29 września 1920 r. w Warszawie. W okresie międzywojennym ukończył szkołę średnią. Najprawdopodobniej nie decydował się na podjęcie studiów. Był natomiast zapalonym harcerzem i chętnie uczestniczył we wszelkich inicjatywach ruchu.
Gdy 30 sierpnia 1939 r. wrócił z obozu harcerskiego w Rumunii do rodzinnego domu, czekało już na niego powołanie do wojska.

W wojsku i w niewoli

Tuż po napaści Niemiec na Polskę niespełna dwudziestoletni Zbigniew stawił się w komendanturze meldunkowej. Otrzymał przydział do służby przy starostwie w Prużanie, nie trwała ona jednak zbyt długo, gdyż wraz z oddziałem musiał wycofać się dalej na wschód. Podczas tego manewru spotkał wycofującego się gen. Józefa Rybaka, byłego dowódcę 3 Armii z okresu wojny polsko-bolszewickiej, który przekazał mu wiadomość, że od wschodu na terytorium Polski wkroczyła Armia Czerwona.
W nocy z 18 na 19 września 1939 r. oddział Kowalczyka spotkał wycofującego się ze wschodu płk. Antoniego Kamińskiego, który wraz ze swoim oddziałem i grupą nadleśniczych przedzierał się do Puszczy Białowieskiej. Kowalczyk uznał, że teren puszczy jest dobrym miejscem na przeczekanie oblężenia, i przyłączył się do oddziału pułkownika. Niestety, podczas marszu do celu na drodze z Różanej do Prużany oddział Kowalczyka i płk. Kamińskiego został zatrzymany przez ogień partyzantki białoruskiej i piechoty Armii Czerwonej. Na pewien czas udało im się odeprzeć atak, ale ostrzał białoruskiej ludności cywilnej przesądził o przegranej potyczce. W krzyżowym ▶

ogniu Kowalczyk wraz z płk. Antonim Kamińskim podjął decyzję o poddaniu całego oddziału. Wszyscy zostali wzięci do niewoli przez białoruską ludność cywilną i umieszczeni w składzie soli w Różanie Grodzieńskiej. Wkrótce do miejscowości, gdzie byli przetrzymywani, przybył oddział NKWD. Po kilku dniach rozmów Kowalczyk, płk. Kamiński i wszyscy żołnierze (ponad 30 osób) zostali przewiezieni do tzw. „więzienia Białego" NKWD w Słonimiu, w którym przebywali do ostatniej dekady czerwca 1941 r. W okresie powojennym Kowalczyk tak wspominał początek niewoli i absurdalną rzeczywistość wykreowaną przez NKWD: „Długo trwały przygotowania do zarejestrowania nas, do wciągnięcia, do samooskarżania się. Całe nasze przestępstwo polegało bowiem na tym, że w czasie badań wszyscy zostali doprowadzeni do samooskarżania się. My nie znaliśmy systemu sowieckiego, nie wiedzieliśmy, czego oni szukają. Oni zaś kazali nam przyznawać się do wszystkiego, co my robimy, co robiliśmy poprzednio, a więc np. że ja należałem do Ligi Ochrony Przeciwlotniczej, do harcerstwa, do Czerwonego Krzyża i podobne rzeczy. Wszystko to zostało potraktowane jako wystąpienie wrogie wobec sowietów, mimo że byliśmy przecież obywatelami kraju wolnego, niezależnego. Warunki w więzieniu – przede wszystkim trzeba powiedzieć, że wszystko zostało prz[e]jęte przez sowietów tak, jak to było w więzieniu polskim, poczynając od ręcznika, przez mydło, koszulę i koc – wszystko nam zostało wydane z depozytu poprzedniego polskiego. Po[t]em to się skończyło, wyginęło, wytarło, ludzie rozkradli, zabrali ze sobą w czasie wyjazdu do Sowietów. [...] Oczywiście było wielkie zdziwienie, gdy powiedzieliśmy, że nie wiemy, co to jest »bania« i »odwszawianie«. Oni powiedzieli »no cóż, to jest niekulturnyj naród, kraj, jeżeli wy odwszalni nie macie«. Gdy powiedzieliśmy, że nie mamy papieru w ustępach, to nic się nie działo, ale jak powiedzieliśmy, że to »niekulturnie« nie mieć papieru, to oni nam dali kartki powyrywane z książek, żeby było »kulturalnie« właśnie"[1].

Warunki w celi były bardzo trudne, ponieważ NKWD tłoczyło więźniów po 50–80 osób. Co kilka dni Kowalczyk był wzywany na nocne przesłuchania, podczas których był bity, aż przyznał się do przynależności do Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. To wystarczyło, aby stanął przed plutonem egzekucyjnym i to w najmniej spodziewanym momencie – po wkroczeniu Wehrmachtu do ZSRS w czerwcu 1941 r. Od kilku dni od wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej NKWD prowadziło masowe rozstrzeliwania w więzieniu, w którym przebywał Kowalczyk. Te dramatyczne chwile uchwycił w powojennych wspomnieniach, wskazując na podobieństwa do eksterminacji polskich oficerów w Katyniu: „Byliśmy zupełnie otępiali, niewrażliwi na nic, tacy jacyś zupełnie myślowo mało działający, opóźnieni jakoś w sposobie myślenia. Potem wychodziliśmy na dwór, stawaliśmy pod murem naprzeciwko wejścia. Pierwszy był pułkownik, drugi byłem ja, trzeci był Karol Kamiński, potem był kpt. nadleśniczy Urban z Białowieży – razem 32 osoby. Przypuszczam, ze innym tak jak i mnie odczytano wyrok śmierci. Po kolei przychodzili pod ścianę, pod mur więzienny. Potem przyszedł aszelon do rozstrzelania nas. Do tego momentu nie mieliśmy nic ogłoszonego, żadnego wyroku. Było to przygotowane do normalnej likwidacji, tak jak zostało wykonane w Katyniu"[2].

W chwili, kiedy stał przed plutonem egzekucyjnym, niemieckie samoloty zbombardowały okolicę. Jedna z bomb spadła na więzienie, burząc mur. Kowalczyk wraz z innymi współwięźniami wykorzystał tę okazję i uciekł. Schronienie znalazł w domu, w którym mieszkali Żydzi. „Powiedzieliśmy, że uciekliśmy z więzienia. Wtedy ta Żydówka powiedziała »my Was schowamy, będziemy Was bronić, ale jak przyjdą Niemcy, to Wy nas będziecie bronić«"[3]. Następnego dnia znaleźli inne schronienie.

Po kilku dniach tułaczki i próbach przetrwania w środku walk niemiecko-sowieckich Zbigniew Kowalczyk zdobył w Stadtkommando pozwolenie na przejazd koleją dla siebie i kolegów. Niemieckimi pociągami wojskowymi wraz kolegami przedostał się przez Brześć nad Bugiem do Mińska Mazowieckiego, gdzie dotarł na Dworzec Wschodni w Warszawie. Tutaj się rozdzielili. Zbigniew Kowalczyk miał wiele szczęścia, gdyż nieindagowany przez żandarmów dotarł do centrum Warszawy. W centrum mieszkał jego ojciec, który od pierwszych chwil namawiał Zbigniewa do zaangażowania się w działalność istniejących już wówczas struktur konspiracyjnych Związku Jaszczurczego Narodowych Sił Zbrojnych.

W konspiracji

Niewiele wiadomo o działalności konspiracyjnej Zbigniewa Kowalczyka w latach 1941–1944. On sam mało o niej wspominał. Wiadomo, że w 1943 r. ukończył szkołę podchorążych Związku Jaszczurczego, a z początkiem 1944 r. otrzymał awans na stopień podporucznika Narodowych Sił Zbrojnych. Został aresztowany przez Niemców i osadzony w połowie listopada na Pawiaku. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach opuścił więzienie. W lipcu 1944 r. otrzymał przydział mobilizacyjny na stanowisko zastępcy dowódcy kompanii Legii Akademickiej. W czasie Powstania Warszawskiego posługiwał się pseudonimami „Żbik", „Żbikowski" i walczył na Starówce w Brygadzie Dyspozycyjno-Zmotoryzowanej NSZ „Koło" Zgrupowania „Róg" pod dowództwem kpt. Lucjana Giżyńskiego „Gozdawa". W czasie walk powstańczych otrzymał kolejny awans do stopnia porucznika NSZ i był trzykrotnie ranny. Po upadku powstania został wzięty do niewoli i wywieziony do obozu w Ożarowie, a następnie z początkiem października 1944 r. do obozu w Lamsdorf, w którym przebywał około trzech tygodni. W drugiej połowie października 1944 r. został przewieziony do Oflagu VIIA w Murnau







MANNHEIM, MURNAU

1. Wartownicy w Mannheim-Käfertal.
Fot. Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego/ udostępniona Łukaszowi Wolakowi.

2. Zawody sportowe dla jeńców w Oflagu VII A w Murnau (Niemcy, Bawaria). Sztafeta lekkoatletyczna.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

3. Książeczka Brygady Świętokrzyskiej.
Fot. Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego/ udostępniona Łukaszowi Wolakowi.

w Bawarii. W baraku H doczekał końca wojny. Tak wspominał okres niewoli: „Był ładny słoneczny dzień października 1944 r. Gdy szliśmy do obozu ze stacji w Murnau, a obok wołami jechali w pole Bawarczycy. Ten dzień kojarzy mi się z nimi właśnie, bo pierwszy raz zobaczyliśmy ich w ich typowych strojach: w krótkich skórzanych portkach z szelkami, kobiety też w bawarskich wiejskich strojach, zaś podkute... tak, podkute woły ciągnęły wozy. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widzieliśmy [...]. W obozie rozdzielono nasz transport po kompaniach w baraku H – byłym hangarze koszarów pancernych. Ja dostałem się do świetlicy, czy mniejszej sali w owym hangarze. Odnaleźliśmy się – znajomi z Warszawy. Zebrała się tam gromadka ludzi z grupy NSZ-u. W owej braci NSZ-owskich powstańców w Murnau siedziałem i ja, dwudziestoczteroletni wówczas podporucznik”[4].

Więźniowie obozu w Murnau 28 kwietnia 1945 r. zostali wyzwoleni przez wojska amerykańskie. Niespełna dwa miesiące później Zbigniew Kowalczyk wstąpił do Brygady Świętokrzyskiej, która stacjonowała w Bernardowicach k. Pilzna. Zdawał sobie sprawę, że Polska była okupowana przez komunistów i Armię Czerwoną. Chciał włączyć się w misję ratowania oficerów, którzy pozostali w kraju i groziła im śmierć ze strony funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego oraz NKWD.

Przerzuty przez zieloną granicę

Od dowódcy otrzymał przydział na szkolenie wywiadowcze w Oddziale II Brygady Świętokrzyskiej w Ratyzbonie, gdzie znajdowała się centrala łączności NSZ z krajem. Ważnym elementem jej działalności był ścisły kontakt z komórką Office of Strategic Services, która nadzorowała wiele powojennych misji wywiadowczych do czasu jej likwidacji z końcem 1945 r. Stamtąd przerzucano przede wszystkim wywiadowców do Polski, wykorzystując do tego kanały zorganizowane podczas stacjonowania Brygady Świętokrzyskiej w Czechosłowacji. Po przeszkoleniu wywiadowczym por. Zbigniew Kowalczyk zaczął posługiwać się na stałe przybranym nazwiskiem „Dziakoński”. Wtedy też otrzymał pierwszą i niezwykłą misję. Amerykańskie dowództwo zdawało sobie sprawę z tego, że Rosjanie nie cofną się z zajmowanych terenów, chciało więc za pomocą struktur wywiadowczych Brygady Świętokrzyskiej zbudować radiostację. Misja, z którą wyruszył por. Dziakoński, zakładała dostarczenie kryształków do jej uruchomienia w Polsce. Drugi oficer Sławomir Modzelewski „Lanc” miał przemycić do kraju książkę szyfrów do nadawania meldunków i wiadomości oraz wydobyć rodzinę gen. Władysława Andersa. Dodatkowym zadaniem Dziakońskiego w drodze powrotnej z Polski była eksfiltracja żon byłych ministrów Słowacji przez zieloną granicę na terytorium okupowanych Niemiec oraz żon: gen. Klemensa Rudnickiego, gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego i premiera Tomasza Arciszewskiego. Z końcem sierpnia 1945 r. Dziakoński jako repatriant przedostał się drogą Jerzego Kozarzewskiego „Konrada” do Dziedzic na Śląsku. Z tego samego kanału w tamtym czasie korzystali również żołnierze Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” (WiN), a także wywiadowcy 2 Korpusu Polskiego, w tym rtm. Witold Pilecki. W kraju Dziakoński otrzymał komplet dokumentów, które umożliwiły mu swobodne poruszanie się po Polsce. Po latach ▶

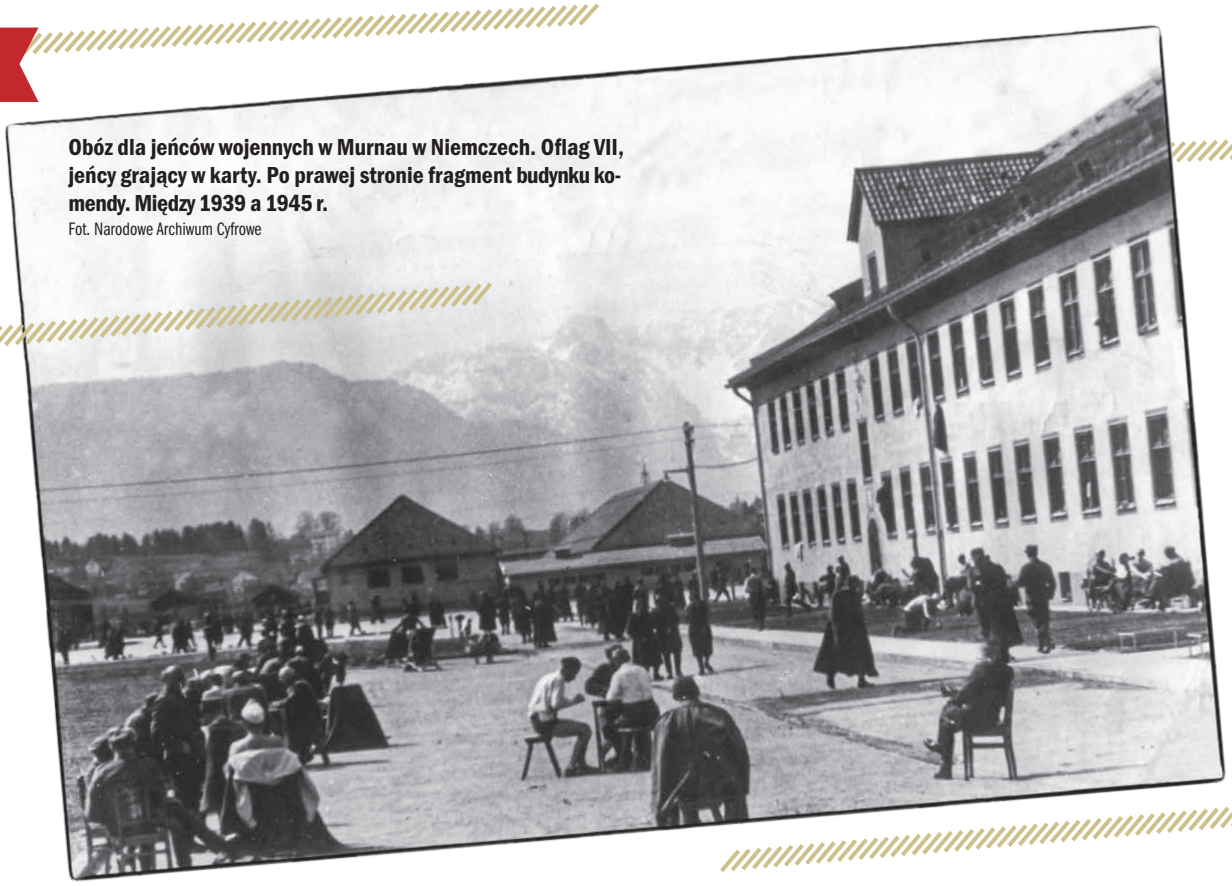

Obóz dla jeńców wojennych w Murnau w Niemczech. Oflag VII, jeńcy grający w karty. Po prawej stronie fragment budynku komendy. Między 1939 a 1945 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

wspominał: „Tymczasem zrodziła się nowa sprawa. Ja miałem początkowo w drodze powrotnej przerzucić do Regensburga żonę generała Rudnickiego, która jak się potem okazało sama przedostała się na Zachód; małżonkę generała Bora-Komorowskiego, którą wywiózł w sumie wywiad brytyjski, oraz małżonkę premiera Arciszewskiego. Zadaniem Sławomira Modzelewskiego było przeprowadzenie przez granicę rodziny generała Andersa, z którą był zresztą spokrewniony, ale ponieważ zachorował, przeprowadzenie tego zadania przekazano mnie”[5].

Jego zadnie okazało się tym pilniejsze, ponieważ niedługo po przekroczeniu granicy „Lanc” został aresztowany przez bezpiekę. Okazało się również, że żona gen. Rudnickiego sama przedostała się na Zachód, żony gen. Bora-Komorowskiego i premiera Arciszewskiego eksfiltrował brytyjski wywiad. Tym samym Dziakoński przejął zadanie wydobycia rodziny gen. Andersa. Rozpoczął się wyścig z czasem. Wtedy też Dziakoński dowiedział się, że w Warszawie mieszkała z rodzicami jego znajoma – przyszła żona – Regina Kamerduła. Po jej odnalezieniu wspólnie podjęli decyzję o wyjeździe. Jeszcze przed upływem pozwolenia na pobyt w Polsce oboje wzięli ślub. Dziakoński rozpoczął przygotowania do ewakuacji rodziny gen. Władysława Andersa, czyli żony, córki i zięcia mjr. Jana Romanowskiego. W sumie musiał wydostać z kraju aż osiem osób. Jego plan zakładał, że przedostanie się do Czech przez zieloną granicę na Śnieżce. W tym celu wszyscy dotarli do Cieplic, skąd mieli wyruszyć w dalszą drogę. Niestety w wykonaniu planu nastąpiły komplikacje, ponieważ okazało się, że małżonka gen. Andersa nie może przejść założonej trasy. Przypadkowo spotkany kierowca UNRRA przewiózł rodzinę generała do Czech, pozostałe osoby przeszły zaś przez zieloną granicę na Śnieżce. Po wielu trudnościach wszyscy szczęśliwie spotkali się w Pradze. Aby zachować bezpieczeństwo i uniknąć wpadki, Dziakoński zdecydował o rozdzieleniu grupy. Stamtąd w trzech grupach – rodzina gen. Andersa, żony słowackich ministrów i pozostała grupa andersowców – wyruszyli pociągiem w stronę amerykańskiej strefy okupacyjnej.

Nie był to koniec dramatycznej akcji. Na granicy czeskiej żandarmi wzięli grupę Dziakońskiego za uciekających Niemców. Pociąg cofnięto na stację i kazano im opuścić wagon. Po wytłumaczeniu, że wszyscy są Polakami, kapitan NKWD zażądał od niego łapówki. Dziakoński chciał przekupić go zwitkiem koron, które miał przy sobie, ale oficer odmówił. Szybko jednak dostrzegł złoty łańcuszek, który zerwał z szyi żony Reginy. Korony czeskie zarekwirował inny enkawudzista, który nieoczekiwanie zaoferował pomoc. Poinformował Dziakońskiego, że musi wyjechać przed północą, gdy nastąpi zmiana wartowników. Aby ten plan się powiódł, Dziakoński wręczył wartownikom dwie butelki wódki. Gdy nadjechał pociąg, wykorzystując zamieszanie na stacji, cała jego grupa schowała się w przedziałach na półkach przeznaczonych na bagaże. Mimo alarmu dowódcy stacji, który gorączkowo poszukiwał uciekinierów, udało im się dotrzeć do Rokician w amerykańskim sektorze. W tym miejscu doszło do rozdzielenia grupy i rodzina gen. Andersa pojechała dalej. Wydawało się, że misja zakończyła się pełnym sukcesem. Dziakoński nie podejrzewał, że nastąpią kolejne komplikacje. Otóż wła-

dze sowieckie wymieniły się z amerykanami częścią sektorów. Szybko się okazało, że nadal znajdowali się w części rosyjskiej. Na szczęście zgodnie z planem po upływie tygodnia do Domažlic, gdzie przebywali w hotelu, przyjechał po jego grupę kolega oficer z Brygady Świętokrzyskiej, który zabrał wszystkie osoby wraz z bagażami rodziny gen. Andersa. W ten sposób Dziakoński i osoby przez niego eksfiltrowane z Polski i Czech trafiły do Ratyzbony. Była to jedyna misja Dziakońskiego, z którą wyruszył do Polski. Mimo kolejnych propozycji jego żona nie wyraziła zgody na zaangażowanie w kolejne wyprawy. Po wojnie wspominał: „Ludzie chodzili jeszcze do Polski z ważnymi zadaniami, ale właściwie to nikt już nie wrócił, wszystkich wyaresztowano. Jedynie grupie »Mazura« [Tadeusza Siemiątkowskiego] udało się zorientowawszy się w sytuacji, nie próbowali nawiązać z nikim kontaktu w Polsce i powrócili cało na Zachód”[6].



Symbole Oddziałów Wartowniczych przy USArmy.

Fot. Zbiory Krzysztofa Barbarskiego/ udostępniona Łukaszowi Wolakowi

W kompaniach wartowniczych

Ponieważ nie zdecydował się na działalność liniową, otrzymał przydział na stanowisko zastępcy dowódcy Kompanii Wartowniczej nr 4020 w Dachau. Z czasem został dowódcą plutonu Kompanii Wartowniczej nr 4101, następnie dowódcą plutonu Kompanii nr 4104 i 4028 oraz zastępcą dowódcy Kompanii Wartowniczej nr 4028. W tym samym czasie otrzymał skierowanie na szkolenie oficerskie w obozie szkoleniowym Kompanii Wartowniczych w Mannheim-Käfertal, a po 1947 r. został dowódcą Kompanii Wartowniczej nr 4084 w Dachau. W 1949 r. jako chorąży brał również udział w Olimpiadzie Dipisów, którą współorganizowało w Norymberdze Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, reaktywowane po zakończeniu wojny na terytorium okupowanych Niemiec.

Już w Republice Federalnej Niemiec zdecydował się na podjęcie studiów inżynierskich, a od 1951 r. pracował w stopniu podporucznika w 7317 Labour Service Unit (Gd) w Landsbergu nad rzeką Lech. Z chwilą powstania Zjednoczenia Polskich Uchodźców jego kompania w Landsbergu przystąpiła do członkostwa tej organizacji. Mężem zaufania Zjednoczenia w jej szeregach był 1st. Lt. Jerzy Ostrzycki. Od 1951 r. Dziakoński był pełnoprawnym członkiem ZPU (nr leg. 20009). Po rozwiązaniu kompanii w 1954 r. zatrudnił się w niemieckim koncernie Linde AG w Bawarii, w którym przepracował ponad 20 lat. Po krótkiej przerwie w aktywności z końcem lat pięćdziesiątych ponownie zaangażował się w działalność ZPU. W latach 1959–1965 był przewodniczącym Komisji Rewizyjnej ZPU. W 1971 r. popadł w spór z Kazimierzem Odrobnym i ponownie wystąpił z organizacji. Dekadę później, w 1981 r. został członkiem-założycielem organizacji Solidarność Wolnych Polaków w Bawarii i przewodniczącym Zarządu. Organizacja i jej członkowie koncentrowali swoją uwagę na pomocy podziemiu solidarnościowemu w Polsce. Mógł tym samym po raz kolejny wspierać Polskę i Polaków.

Angażował się także w działalność Polskiej Misji Katolickiej w Monachium, gdzie był wiceprzewodniczącym Rady Parafialnej, a od 1992 r. członkiem Klubu Katolickiego w Monachium. W lutym 2004 r. otrzymał awans na stopień podpułkownika rezerwy Wojska Polskiego. Przez wiele lat aktywnie działał wśród Polaków w Monachium. Brał udział w wielu rocznicach upamiętniających zbrodnie na narodzie polskim, wyzwolenia obozów koncentracyjnych i angażował się w działalność polskich organizacji niepodległościowych. Zmarł 9 sierpnia 2006 r. w Monachium. Ceremonia pogrzebowa z honorami wojskowymi odbyła się 1 września 2006 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. ■

ŁUKASZ WOLAK doktor nauk humanistycznych, historyk i dokumentalista. Pracował w Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu oraz Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy'ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 2013–2018 był uczestnikiem Centralnego Projektu Badawczego IPN „Polska emigracja niepodległościowa 1945–1990”. Kontynuuje badania związane z polskimi uchodźcami w Niemczech po II wojnie światowej. Zainteresowania badawcze: Polacy w Niemczech, polskie organizacje emigracyjne oraz działacze emigracyjni w Niemczech po 1945 r., tajne służby PRL.

[1] Archiwum Ośrodka „Karta”, sygn. AW I/0148, Relacja Zbigniewa Dziakońskiego z XI 1989 r.; http://www.dlibra.karta.org.pl/dlibra/publication?id=76387&tab=3 [dostęp: 18.02.2017 r.]. [2] Tamże. [3] Tamże. [4] Z. Dziakoński, *Stracony czas?*, w: *Wygnańcze szlaki. Relacje uchodźców i emigrantów z Polski do Niemiec*, oprac. A. Dyrko, Warszawa 2007, s. 9–19. [5] Tamże. [6] Z. Dziakoński, *Stracony...*, s. 9–19.

Bibliografia:

AOK sygn. AW I/0148, Relacja Zbigniewa Dziakońskiego z listopada 1989 r.; http://www.dlibra.karta.org.pl/dlibra/publication?id=76387&tab=3 [dostęp: 10 lutego 2020 r.].
Pracownia Badań nad Polską Emigracją w Niemczech po 1945 r. w Instytucie Historycznym UWr. (APPEN), Protokół z siódmego zebrania Rady ZPU, Mannheim 18–19.10.1969 r., k. 16 –17; ACMJW WASt-St.344,l. 367PW, Wyciąg z bazy archiwalnej dot. Zbigniewa Kowalczyka, Lamsdorf 19.10.1944 r., k. 1 [korespondencja Łukasza z Piotrem Stankiem].
Dziakoński Z., *Stracony czas?*, w: *Wygnańcze szlaki. Relacje uchodźców i emigrantów z Polski do Niemiec*, oprac. A. Dyrko, Warszawa 2007, s. 9–19.
Hładkiewicz W., *Meandry polityki. Życie polityczne emigracji polskiej w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945 –1949: liderzy, organizacje, poglądy*, Zielona Góra 2011, s. 194–197.
Krótki biogram Zbigniewa Dziakońskiego na stronie Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, https://www.sowiniec.com.pl/php/3_p_podziemna.php?ID3=358&s=3&li=1&sort=K_OPS [dostęp: 10 lutego 2020 r.].
Krótki biogram Zbigniewa Dziakońskiego na stronie Muzeum Powstania Warszawskiego, https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/zbigniew-kowalczyk,23304.html [dostęp: 10 lutego 2020 r.].
Wolak Ł., Leksykon działaczy Zjednoczenia Polskich Uchodźców w Republice Federalnej Niemiec 1951-1993, Wrocław 2018, s.71-73, 311, 326, 367, 371, 389-398.

Dwa oblicza agenta wywiadu

Major Edmund Piechowiak był jednym z oficerów polskiego wywiadu, który szkolił przyszłego agenta nr 1, późniejszego bohatera greckiego ruchu oporu.

MARIUSZ BOROWIAK

Dużą wiedzę na temat wojennych losów Jerzego Iwanowa-Szajnowicza – który otrzymał od Niemców trzy wyroki śmierci, od Polaków wysokie odznaczenie, a od Greków miano półboga – zawdzięczamy Stanisławowi Strumph-Wojtkiewiczowi, autorowi książki *Agent nr 1*, która doczekała się aż siedmiu wydań, osiągając blisko ćwierć miliona egzemplarzy, a nade wszystko filmowi fabularnemu, w którym tytułowego bohatera zagrał Karol Strasburger. Okazuje się, że postać wspaniałego sportowca, wojennego wywiadowcy i dywersanta fascynuje do dzisiaj. Nie jest tajemnicą, że Grecy uważali Iwanowa za najskuteczniejszego sabotażystę II wojny światowej. Przez lata przypisywano mu znaczne sukcesy w walce z okrętami nawodnymi i podwodnymi Kriegsmarine i statkami zaopatrzeniowymi sił Osi. Dzięki aktualnej wiedzy i dokumentom odtajnionym w zachodnich archiwach wiemy, że osiągnięcia Szajnowicza należy zweryfikować.

Jeszcze mniej wiadomo o agenturalnej roli Szajnowicza, którego do służby na Bałkanach przygotowywali oficerowie polskiego wywiadu.

Kim był przyszły agent nr 1?

Urodził się 14 grudnia 1911 r. w Warszawie. Jego ojciec płk Władimir Iwanow był Rosjaninem, a matka Leonarda Szajnowicz była warszawianką. Małżeństwo rodziców się rozpadło. Matka później po raz drugi wyszła za mąż za Greka, kupca z Batumi, i przeprowadziła się do Salonik, gdzie (już jako czternastolatek) zamieszkał także Jerzy. Po zdaniu matury w Liceum Francuskiej Misji Świeckiej w Salonikach rozpoczął studia rolnicze na Katolickim Uniwersytecie w Lowanium (Katholieke Universiteit Leuven) w Belgii. W 1935 r. uzyskał obywatelstwo polskie. Trzy lata później ukończył studia jako magister nauk rolniczych. Na dyplomie wystawionym mu przez Instytut Agronomiczny Wydziału Przyrodniczego Katolickiego Uniwersytetu w Lowanium dopisano, że specjalizował się dodatkowo w etnologii, etnografii, polityce i gospodarce belgijskiego Konga. Wkrótce zaczął poszerzać wiedzę, stając się słuchaczem rocznego studium organizowanego przez Instytut Agronomii Zamorskiej w Paryżu. Po jego ukończeniu Iwanow-Szajnowicz zamierzał wyjechać do Konga. Decyzją rady profesorskiej 31 lipca 1939 r. otrzymał tytuł agronoma ziem zamorskich. Jego sportowe pasje to pływanie i żeglarstwo. Od 1927 r. trenował piłkę nożną i piłkę wodną w „Iraklis", czołowym klubie sportowym Salonik. W latach 1931–1935 startował we wszystkich najważniejszych zawodach pływackich, a w 1936 r. zwyciężył w greckich zawodach żeglarskich. Został również jednym z czołowych graczy drużyny waterpolowej Akademickiego Związku Sportowego (AZS) Warszawa i członkiem reprezentacji Polski. Iwanow był poliglotą



Edmund Piechowiak wziął udział w Powstaniu Wielkopolskim w latach 1918–1919.
Fot. Zbiory Mariusza Borowiaka

i znał sześć języków: polski, angielski, rosyjski, francuski, niemiecki i grecki.

W chwili napaści Niemiec na Polskę przebywał w Grecji. W Salonikach ochotniczo włączył się do akcji, której celem było ułatwienie polskim uchodźcom wojskowym wyjazdu do Francji i Palestyny. Jego wielokrotne starania o przyjęcie do wojska się nie powiodły. Po napaści Niemiec na Grecję wiosną 1941 r. udało mu się przedostać na pokładzie frachtowca „Warszawa" do Palestyny, gdzie ponowił starania. Postanowił dołączyć do żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Edmund Piechowiak – oficer polskiego wywiadu

Major art. Edmund Piechowiak to oficer wywiadu, który w 1941 r. był zastępcą szefa Ekspozytury „T" (Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego) – polskiej komórki wywiadowczej w Jerozolimie, a następnie szefem Ekspozytury „Bałkany" w Stambule. Piechowiak urodził się 18 września 1896 r. w Poznaniu. Po ukończeniu ośmiu klas szkoły powszechnej i średniej od sierpnia do grudnia 1918 r. służył w armii pruskiej w stopniu wachmistrza. Zrzucił jednak znienawidzony mundur i jako dwudziestodwuletni mężczyzna brał udział w Powstaniu Wielkopolskim w Poznaniu. W styczniu i lutym 1919 r., podczas walk powstańczych, służył jako zastępca dowódcy baterii polowej na froncie pod Zbąszyniem. Jeszcze w tym samym miesiącu otrzymał przydział do 17 Pułku Artylerii Lekkiej w Gnieźnie, w którym był zastępcą, następnie dowódcą baterii aż do kwietnia 1933 r. Uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Walczył w Powstaniu Górnośląskim od stycznia do czerwca 1921 r. Awansował kolejno na podporucznika i porucznika. W latach 1921–1933 ukończył siedem kursów szkoleniowych z artylerii i kurs dla pracowników II Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza (wywiad wojskowy) w Warszawie. W 1924 r. awansował do stopnia kapitana artylerii. Ożenił się z gnieźnianką Stefanią Cecylią Langowską.

Pod koniec kwietnia 1933 r. Piechowiaka przeniesiono z Gniezna do Ekspozytury nr 3 Oddziału II Sztabu Głównego w Bydgoszczy. Jego przełożonym był mjr Jan Żychoń, znany z rozgrywek politycznych i akcji wywiadowczych na Pomorzu. Do zadań i kompetencji Piechowiaka należało umieszczenie i prowadzenie agentów w dowództwie niemieckiej Kriegsmarine. W marcu 1939 r. kapitan wyjechał z kraju jako jeden ▶



Edmund Piechowiak jako szef ekspozytury na Bałkanach – Oddziału Informacyjnego Wywiadu Sztabu Naczelnego Wodza mieszkał w Stambule w latach 1943–1945. Fot. Zbiory Mariusza Borowiaka

z konsulów do Stambułu, gdzie prowadził działalność wywiadowczą. Po klęsce wrześniowej, od 30 stycznia do 30 kwietnia 1940 r., został oddany do dyspozycji Francuzów (Amirauté Française Bureau Polonais). Świadczy o tym tajny list adm. François Darlana, dowódcy Marynarki Wojennej Francji, do gen. bryg. Władysława Sikorskiego: „Współpraca sztabów polskiego i francuskiego w poszukiwaniu informacji dotyczących Niemiec pozwoliła mi w pełni ocenić wartość organów informacyjnych Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie. Ważność kilku dokumentów przekazywanych przez Pańskie organa Marynarce Francuskiej uprzytomniła mi, że byłoby we wspólnym interesie starać się utrzymać łączność z pewnymi polskimi źródłami informacji dotyczących marynarki nieprzyjaciela.

Mam zaszczyt prosić Pana o oddanie do dyspozycji Admiralicji francuskiej oficerów polskich, którzy wydają się najodpowiedniejsi do odtworzenia sieci agentów, którzy mieli zadanie obserwować działalność marynarki niemieckiej podczas wojny. Major Żychoń Jan, mjr Janicki Czesław, kapitanowie Piechowiak Edmund, Szefer Tadeusz, Schmidt Henryk i porucznik Kucharski Stefan”[1].

W dalszej części listu znajdowała się informacja, że wspomniani oficerowie nadal zachowują przynależność do Polskich Sił Zbrojnych. Administracyjnie podlegać jednak będą Admiralicji podobnie jak personel marynarki polskiej na służbie Admiralicji.

Od maja do czerwca 1940 r. Piechowiak przebywał w Bukareszcie, gdzie kierował placówką wywiadowczą Admiralicji francuskiej Oddział 5. Po klęsce Francji przez Bułgarię i Turcję wyjechał z Rumunii do Palestyny, gdzie odkomenderowano go we wrześniu 1940 r. do dyspozycji Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych na Zachodzie (wywiad). Awans na majora artylerii w listopadzie 1940 r. został poprzedzony wysłaniem byłego agenta Admiralicji francuskiej do Ośrodka Zapasowego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w Latrun w Palestynie.

Przeniesienie w styczniu 1941 r. do dyspozycji Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza (służba zagraniczna) w Jerozolimie umożliwiło Piechowiakowi zawarcie znajomości z Iwanowem-Szajnowiczem, a następnie podjęcie szkolenia przyszłego agenta.

Spotkanie Piechowiaka z Iwanowem-Szajnowiczem

Jerzego Iwanowa-Szajnowicza zwerbował do wywiadu kpt. Tadeusz Szefer, ówczesny pracownik placówki Oddziału II w Atenach, w 1940 r. Początkowo Szajnowicz otrzymywał zadania kontrwywiadowcze. Utrzymywał on także dość bliskie stosunki z personelem konsulatu brytyjskiego, co mogłoby świadczyć, że Brytyjczycy snuli plany wykorzystania agenta polskiego w Grecji. Podobną koncepcję miał również Oddział II.

Tymczasem w marcu 1941 r. – krótko przed inwazją Niemców na Grecję, która nastąpiła 6 kwietnia 1941 r. – Szefer musiał opuścić Ateny, przedostał się do Palestyny, zabierając ze sobą Szajnowicza. Miesiąc później Iwanow stawił się w stacji zbornej Ośrodka Zapasowego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Do czasu powołania do armii polskiej pozostawał do dyspozycji konsula generalnego Rzeczypospolitej w Jerozolimie. W ciągu kilku następnych tygodni wywiązał się spór między ppłk. Walerianem Mercikiem, szefem bazy Oddziału VI w Kairze, a ppłk. Stanisławem Orłowskim, szefem Ekspozytury „T”. Otóż szef Oddziału VI próbował uzyskać



Mjr art. Edmund Piechowiak od stycznia 1941 r. przebywał na Bliskim Wschodzie.
Fot. Zbiory Mariusza Borowiaka

zgodę gen. Stanisława Kopańskiego, dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, na wykorzystanie agenta w specjalnej misji w Grecji. Miał on zorganizować łączność z Polską. Nieudane zabiegi Mercika u dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich wskazują na to, że pułkownika nie poinformowano o dotychczasowej współpracy Szajnowicza z Oddziałem II. Mercik dopiero na początku sierpnia 1941 r. otrzymał wiadomość, że Iwanow natychmiast po przybyciu do Palestyny trafił do Ekspozytury „T" i tam od przeszło dwóch miesięcy przechodził odpowiednie przeszkolenie do przyszłej pracy wywiadowczej w Grecji.

„W czasie pobytu w Jerozolimie Iwanow zgodził się kontynuować działalność dla wywiadu polskiego [to stwierdzenie będzie bardzo istotne przy ocenie dalszej postawy „agenta nr 1"] na terenie okupowanej Grecji i na tej podstawie został przyjęty do ewidencji Jerozolimskiej Ekspozytury Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego. Od maja 1941 r. Iwanow-Szajnowicz przechodził intensywne szkolenie wywiadowcze" – informował po latach Edmund Piechowiak[2].

Major Piechowiak w tym czasie zajmował stanowisko zastępcy szefa Ekspozytury i jako kierownik wyszkolenia brał bezpośredni udział w przygotowaniach Iwanowa do pracy wywiadowczej w Grecji. Zapoznano go z techniką wywiadu oraz organizacją i uzbrojeniem armii niemieckiej, SS, SA i organizacji Todta. Z kolei Szefer i jeden z radiotelegrafistów Ekspozytury poinstruowali agenta z zakresu łączności i techniki pracy wywiadowczej.

We wrześniu 1941 r. – po uprzednim uzgodnieniu z wywiadem angielskim przerzutu polskiego agenta okrętem podwodnym HMS „Thunderbolt" – Szajnowicza przewieziono do Kairu. Wspólnie z Szeferem został tam odstawiony w towarzystwie oficera angielskiego, który czekał w porcie w Aleksandrii na przybycie okrętu. Polska Ekspozytura „T" wyposażyła Iwanowa-Szajnowicza w radiostację nadawczo-odbiorczą, szyfry i środki finansowe na pół roku. Iwanow oficjalnie zadeklarował chęć współpracy na rzecz Oddziału VI – podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy i wykonywania zleconych zadań na miarę możliwości. Po upływie kilku tygodni Ekspozytura „T" – za pośrednictwem placówki w Stambule – otrzymała wiadomość, że agent „Athos" (takiego pseudonimu używał Iwanow) wylądował 21 listopada w okolicach Salonik. Szajnowicz meldował, że na wybrzeżu musiał zakopać sprzęt radiowy, szyfry i otrzymane pieniądze i że... nie może tego miejsca odszukać. Dlatego poprosił o nową dotację pieniężną. Po dokładnym przeanalizowaniu sytuacji Ekspozytura „T" postanowiła zerwać kontakt z agentem, ponieważ stał się dla polskiego wywiadu bezużyteczny, a poza tym nie było z nim bezpośredniego kontaktu radiowego. Według informacji, do których dotarł ▶



Mjr art. Edmund Piechowiak pracował w Oddziale Informacyjno-Wywiadowczym Sztabu Naczelnego Wodza. Był odpowiedzialny za wyszkolenie wywiadowcze Jerzego Iwanowa-Szajnowicza w Jerozolimie. Zdjęcie z września 1945 r. Fot. Zbiory Mariusza Borowiaka

prof. Andrzej Pepłoński, opierając się na dokumentach londyńskich – radiostacja przywieziona przez Iwanowa wpadła w ręce Włochów. Podobno szef Ekspozytury „T" wydał zgodę na przerzut radiostacji, którą dostarczono kilka tygodni później do jednego z greckich portów. Następnie – po wielu perypetiach – trafiła ona do Aten i została zdeponowana u Konstantego Marakisa, członka greckiego ruchu oporu. Ustalono, że „Athos" zgłosił się po radiostację[3].

Trudno uwierzyć, że agent, którego przygotowywano do działalności wywiadowczej i dywersyjnej, nie potrafił odnaleźć ukrytego przez siebie nadajnika i pasa z pieniędzmi. Już po wojnie okazało się, że Szajnowicz pracował wyłącznie dla wywiadu brytyjskiego. Do współpracy zwerbował go kmdr. Bolbi. Iwanow posługiwał się kryptonimem „033 B". Bez dodatkowych źródeł – znajdujących się bez wątpienia w Anglii – trudno dociec, w którym momencie Iwanow zdecydował się pracować na dwa fronty. Prawdopodobnie nastąpiło to po przeszkoleniu go przez polski wywiad. Brytyjczycy już wcześniej upatrzyli sobie Iwanowa. Był on bowiem bardzo sprawny fizycznie i znał kilka języków. Decyzję o zerwaniu kontaktu z polską placówką wywiadowczą, do czego pretekstem był rzekomy brak nadajnika i pieniędzy, z pewnością skonsultował on z wywiadem brytyjskim: Secret Intelligence Service lub Special Operations Executive, czyli Zarządem Operacji Specjalnych. Brytyjczycy nie postąpili uczciwie wobec Polaków, bo wówczas nie wchodziło w grę werbowanie personelu bez powiadamiania drugiej strony. Współpraca zaprzyjaźnionych służb wywiadowczych – zgodnie z umowami – miała polegać na wzajemnym zaufaniu i partnerstwie. Szajnowicz wykonywał głównie zadania wywiadowcze i dywersyjne jako poddany królowej.

„Razi mnie kreowanie agenta Iwanowa-Szajnowicza na polskiego bohatera. Porzucił on przecież nasze szeregi i wolał pracować dla wywiadu brytyjskiego. Jest chyba jasne, że postąpił nielojalnie w stosunku do tych, którzy się nim zaopiekowali w Jerozolimie, a ponadto polskie pieniądze przeznaczył na cele osobiste"[4] – to opinia Piechowiaka.

Szajnowicz kontra Kriegsmarine

Iwanow był skuteczny przez 10 miesięcy. Robią wrażenie jego liczne dokonania dywersyjne na lądzie i próby niszczenia lub poważnego uszkodzenia wrogich jednostek morskich. Chociaż po latach okazało się, że nie był sprawcą zatopienia niemieckiego okrętu podwodnego „U 133" i niszczyciela „Vasilefs Georgios" oraz uszkodzenia „U 372". Prawdopodobnie wziął udział w niegroźnym uszkodzeniu hiszpańskiego transportowca „San Isidore" i statku szpitalnego, gdy nie było na nim chorych, które cumowały w porcie Patras. Na Cykladach spowodował zatopienie flotylli kutrów i kaików z transportem paliwa i amunicji. Sporym sukcesem agenta było zorganizowanie ze współtowarzyszami sabotażu w zakładach lotniczych Malziniotti w Nowym Faleronie w dzielnicy Aten, gdzie uszkodzono silniki wie-

lu samolotów, które miały być wysyłane na front. Iwanow przekazywał dane licznych obiektów wojskowych alianckim siłom lotniczym, wskazywał niemieckie magazyny amunicji i składów paliwa. Meldował drogą radiową o ruchach wrogich okrętów nawodnych, podwodnych i konwojach statków zaopatrzeniowych sił Osi. Dzięki jego precyzyjnym meldunkom Brytyjczycy wysyłali w morze zespoły okrętów nawodnych Royal Navy z zadaniem przechwycenia i zniszczenia.

Gdy w maju 1942 r. za Iwanowem rozesłano listy gończe, zwrócił się on o pomoc do Oddziału VI – nalegał, by zabrano go z Grecji. Kilkakrotne jego samodzielne próby ucieczki do Turcji się nie powiodły. Mimo że Iwanow porzucił wywiad polski dla brytyjskiego, Ekspozytura „T" rozpoczęła starania o ściągnięcie go do Palestyny. Brytyjczycy zaoferowali pomoc, byli jednak opieszali w działaniach i ostatecznie nie wywieźli tajnego agenta z Aten.

We wrześniu 1942 r. Niemcy aresztowali Iwanowa wraz z wieloma greckimi współtowarzyszami walki. Prawdopodobnie jeszcze w tym czasie istniała szansa, by wymienić go na więzionych przez Brytyjczyków niemieckich agentów lub wysokiej rangi oficera. Londyn z tej możliwości nie skorzystał. Jerzy Iwanow-Szajnowicz został rozstrzelany w ateńskiej dzielnicy Kiesariani wraz z najbliższymi współpracownikami 4 stycznia 1943 r.



Drugi od lewej: mjr Edmund Piechowiak, od maja 1945 r. zastępca komendanta kursu doskonalenia oficerów administracji wojskowej w Szkole Oficerów Wywiadu w Londynie, i jego syn st. mar. Alfred Piechowiak, który służył na niszczycielu ORP „Garland" i krążowniku ORP „Conrad", 1945 r.
Fot. Zbiory Mariusza Borowiaka

W 1945 r. marsz. Harold Alexander oficjalnie podziękował rodzinie nieżyjącego agenta wywiadu. Natomiast po latach królowa Anglii przekazała matce Iwanowa-Szajnowicza 1 tys. funtów pod warunkiem, że zrzeknie się ona jakichkolwiek dodatkowych roszczeń finansowych związanych z jego służbą w wywiadzie brytyjskim. Iwanow został również pośmiertnie odznaczony przez rząd polski w Londynie Orderem Virtuti Militari V kl.

Dalsza służba wywiadowcza i życie na obczyźnie

Major art. Edmund Piechowiak zaś od 1 czerwca 1943 do 25 marca 1945 r. był szefem ekspozytury Bałkany – Oddziału Informacyjnego Wywiadu Sztabu Naczelnego Wodza w Stambule, gdzie oficjalnie pełnił obowiązki konsula. Używał pseudonimu Edward Panasiewicz. Pod koniec maja 1945 r. przybył do Londynu i został między innymi zastępcą komendanta kursu doskonalenia oficerów administracji wojskowej w Szkole Oficerów Wywiadu. Współpracował z Henrykiem Zygalskim, jednym z kryptologów, którzy złamali kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigmy. Piechowiak stopień podpułkownika w korpusie oficerów artylerii uzyskał 1 stycznia 1946 r. W latach 1947–1948 był w Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Zdemobilizowano go 9 września 1948 r. W latach 1945–1980 mieszkał w Londynie i w domu wiejskim koło Oksfordu. Wielokrotnie honorowano go polskimi, francuskimi i angielskimi odznaczeniami wojskowymi oraz cywilnymi – między innymi za zasługi podczas I i II wojny światowej, Powstania Wielkopolskiego, III Powstania Śląskiego – Krzyżem Walecznych, Orderem Virtuti Militari V kl., Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Imperium Brytyjskiego.

W lipcu 1980 r. w Opolu – zaledwie cztery miesiące po śmierci żony – zmarł Edmund Piechowiak. „Gdy przybył do mnie do Opola, był już ciężko schorowany, wyniszczony wieloletnim procesem chorobowym, z którego stanu dobrze sobie zdawał sprawę i z którym to stanem dzielnie przez wiele lat walczył, zawsze zachowując godną wysokiego oficera przedwojennego – postawę moralną i wytrzymałość fizyczną. Przyjechał do Polski, by złożyć na cmentarzu w Gnieźnie prochy swej małżonki Stefanii"[5] – wspominał krewny majora, Zdzisław Jacek Pizio. Zasłużony oficer spoczął na cmentarzu św. Piotra i Pawła w Gnieźnie.

MARIUSZ BOROWIAK pisarz, dziennikarz, poszukiwacz wraków. Autor 70 książek o tematyce wojennomorskiej.

[1] Fotokopia pisma adm. F. Darlana do gen. W. Sikorskiego, b.d., w zbiorach A. Piechowiaka, odpis w zbiorach M. Borowiaka. [2] Relacja Edmunda Piechowiaka, w zbiorach M. Borowiaka. [3] A. Pepłoński, *Wywiad Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie*, Warszawa 1995, s. 147. [4] Relacja Edmunda Piechowiaka, w zbiorach M. Borowiaka. [5] List Z.J. Pizio do M. Borowiaka z 2 lutego 2005 r.

Bitwa pod

Pułk Ułanów Polskich trzy dni walczył skutecznie przeciwko żołnierzom trzech zaborców. Najpierw oczyścił Stanisławów z rosyjskich maruderów grabiących i mordujących mieszkańców, a następnie podczas działań opóźniających sześciokrotnie szarżował na bawarskie karabiny maszynowe i bośniacką piechotę.



KRECHOWCE

Krechowcami

część 1

ANDRZEJ ŁYDKA



***Bitwa pod Krechowcami*, obraz Michała Byliny.**
Fot. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

1 Pułk Ułanów Polskich sformowano na bazie dywizjonu ułanów Dywizji Strzelców Polskich powstałego 16 listopada 1915 r. z dwóch szwadronów kawalerii Legionu Puławskiego, przez pewien czas noszących miano 104 i 105, następnie 115 i 116, sotni pospolitego ruszenia.

W Bobrujsku 30 stycznia 1916 r. dowództwo dywizjonu objął artylerzysta konny, rtm. Władysław Obuch-Woszczatyński. W ocenie oficerów „dywizjon nie jest teraz tem, czem był, opuszczając Puławy, to już nie jest grupa pełnych dobrej woli, lecz nic nie umiejących rekrutów, teraz są to już żołnierze dobrze ostrzelani. Parę miesięcy twardej pracy wojennej zmieniły ich nie do poznania, ułani wyrobili się, zmężnieli. Dowodzą nimi oficerowie, a nie ludzie cywilni w mundury przebrani. Pierwsze powodzenia dodały otuchy, napełniły ich wiarą we własne siły. Wreszcie już i nazwa ich inna, to nie jakieś pospolite ruszenie, to zupełnie oficjalnie »polscy ułani« i to w znacznym stopniu dzięki własnym zasługom, które się niemało przyczyniły do otrzymania zezwolenia na tą zmianę nazwy. Dzięki swej postawie w ogniu, młody dywizjon od razu zyskał sobie popularność w jeździe rosyjskiej, a i odznaczeń sporo. Wielu ułanów już nosi krzyże »Świętego Jerzego«”[1].

W kwietniu 1916 r. kornet (odpowiednik podporucznika w kawalerii Armii Imperium Rosyjskiego) Stanisław Moczulski został wysłany na dwór carski do Petersburga z dezyderatem dotyczącym rozwinięcia dywizjonu ułanów w Pułk Ułanów Polskich. Dezyderat wręczył adiutantowi cara. Odpowiedzi nie było. Zastępcą dowódcy dywizjonu i jednocześnie dowódcą 1 szwadronu został 5 maja 1916 r. rtm. Adolf Mikołaj Waraksiewicz. W maju 1916 r. pod Baranowiczami sztabsrotmistrz Aleksander Miniszewski przystąpił do tworzenia oficjalnie „oddziału zapasowego”, który według zamierzeń miał stać się 3 szwadronem. W tajemnicy przed Rosjanami zorganizowano tam dywizjonową szkołę podoficerską, dowodzoną przez rtm. Tadeusza Żółkiewskiego. W lutym 1917 r. dywizjon ułanów przesunięto do Czugujewa na Ukrainie. Rotmistrz Obuch-Woszczatyński 28 lutego przekazał dowodzenie rtm. Waraksiewiczowi i udał się do Kijowa, aby zabiegać u władz rosyjskich o zgodę na utworzenie pułku, jednak również jej nie uzyskał.

Po rewolucji lutowej 1917 r., zgodnie z decyzją dowódcy dywizjonu, rtm. Mikołaja Waraksiewicza, ułani odmówili złożenia przysięgi wymaganej przez nowy, rewolucyjny rząd rosyjski. Wydelegowany do dowódcy garnizonu w Czugujewie, gen. Jeremiasza Fenstera, sztabsrotmistrz Tadeusz Żółkiewski wytłumaczył, że oddział składający się z samych Polaków nie może ślubować według rosyjskiej przysięgi i złoży własną. Sztabsrotmistrz zaznaczył, że polscy ułani poprą rosyjski Rząd Tymczasowy, jeżeli będzie to leżało w polskim interesie narodowym i będą walczyć ramię w ramię z wojskiem rosyjskim. Ułani 25 marca 1917 r. złożyli przysięgę według roty ułożonej przez oficerów pułku, w której ślubowali „wierność idei walki o wolną Polskę". Nie mieli własnego sztandaru, dlatego przyrzeczenie złożono na krucyfiks. Po latach, w oficjalnej historii pułku zaznaczono, że „przez fakt osobnej, komu innemu złożonej przysięgi, pułk wyodrębnił się całkowicie z wojska rosyjskiego. Przy tym w chaosie rewolucyjnym odnalazł znowu swoją gwiazdę przewodnią – wierność sprawie ojczystej"[2]. Dowódca dywizjonu, rtm. Mikołaj Waraksiewicz, wykorzystał wywołany rewolucją lutową bałagan panujący w sztabach rosyjskich i samowolnie podjął decyzję sformowania drugiego dywizjonu ułanów. Porozumiał się z komisarzem rewolucyjnym w Charkowie, Aleksiejem Poddubnym, który nie mając do tego kompetencji, wydał na piśmie zgodę na wcielenie do dywizjonu jednego szwadronu z 5 Pułku Zapasowego Jazdy, w skład którego wchodzili sami Polacy. Zadanie przejęcia szwadronu – w sile 200 umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy – na podstawie tego „dokumentu" otrzymali sztabsrotmistrz Tadeusz Żółkiewski i kornet Michał Dziewanowski. Z tych dwóch dywizjonów 5 kwietnia 1917 r. sformował się – a nie „został sformowany" – Pułk Ułanów Polskich. W tym dniu rtm. Waraksiewicz wydał na własną rękę i odpowiedzialność rozkaz o sformowaniu Pułku Ułanów Polskich W dokumencie tym podał, „że oddział zapasowy stał się 3-im szwadronem, a dowódcą jego został ppor. Zdzisław Chrząstowski, któremu dotychczasowy dowódca sztabrotmistrz Żółkiewski, natychmiast odda szwadron. [...] przybyły z Bałaklei szwadron zapasowy zostaje włączony do pułku i otrzymuje nr 4. [...] Sztabrotmistrz Żółkiewski zostaje dowódcą nowego szwadronu"[3]. Tym samym rozkazem

List płk. Mościckiego do Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie

Burmistrzowi Stanisławowa – dowódca pułku przesyła tych kilka słów, które chciał wypowiedzieć przy pożegnaniu. Polscy ułani spełnili jedynie swój żołnierski obowiązek i stanęli w obronie honoru armji rosyjskiej, w szeregach której, związani przysięgą i poczuciem honoru żołnierza, walczą. Korzystając ze szczęśliwej okoliczności, prosimy Radę Sławetnego miasta Stanisławowa o przesłanie wyrazów czci, Miłości, Wierności i Synowskiego Przywiązania do ukochanej, Zbolałej i Zniszczonej ziemi Ojczystej Naszej. Jedynym promieniem jasnym, który nam każe żyć, jest głębokie przekonanie, że ta Ukochana Polska Nasza zmartwychwstaje teraz z gruzów i podnosi się do nowego życia. Wspaniała, Niepodległa i Silna. Uznając powagę Rady Stanu i ciężkie zadanie, jakie wzięła na swoje barki, przesyłamy jej wyrazy głębokiego szacunku.

Nowopowstającemu Rządowi składamy hołd!

Przewodnikowi i budzicielowi militarnego ducha Polaków, generałowi Piłsudskiemu, wiernemu synowi Ojczyzny – czołem.

Wierząc w rychłe wszystkich Polaków, walczących obecnie pod obcemi sztandarami o wolność Ojczyzny, zjednoczenie w nowopowstającej pod sztandarem narodowym armii w kraju naszym ukochanym, ślemy szczere, serdeczne, braterskie pozdrowienie.

Niech żyje przyszła potężna Polska Armia, ostoja Wolności i Niepodległości Ojczyzny Naszej. A gdy ta Święta Nasza Polska nareszcie świtać światu będzie, to wszyscy Jej synowie, po świecie rozsiani, w Niej swe miejsce odnajdą, i Jej tylko służyć będą, teraz zaś niech nam, ułanom polskim, wolno będzie złożyć wszystkim Polakom najserdeczniejsze życzenia, by ta chwila jak najprędzej nastąpiła.

Niech zagrzmi nad wszystkimi nasze hasło najświętsze: Niech żyje Wolna, Niepodległa i Zjednoczona Polska!!!

Źródło: J. Odziemkowski, *Krechowce*, Pruszków 1993, s. 18.

podniósł znak 2 szwadronu do rangi sztandaru pułkowego. Dowództwo rosyjskie zaakceptowało ten stan rzeczy, ponieważ pułk – na tle powoli rozkładającej się pod wpływem ideologii bolszewickiej armii rosyjskiej – wyróżniał się wysokim poziomem karności i dyscypliny. Rosjanie pozwolili również pułkowi wybrać sobie dowódcę. Oficerowie pułku wytypowali płk. Bolesława Mościckiego, dowodzącego 1 Zaamurskim Pułkiem Kawalerii. Był on weteranem wojny rosyjsko-japońskiej i kawalerem wszystkich odznaczeń carskich możliwych do otrzymania przez oficera w jego stopniu wojskowym. Dowódca Dywizji Strzelców Polskich wystosował odpowiednie dokumenty do naczelnego dowództwa armii rosyjskiej w celu przeniesienia pułkownika do 1 Pułku Ułanów Polskich. Pułkownik Mościcki 19 lipca 1917 r. objął dowództwo tej jednostki i niezwłocznie przystąpił do jej reorganizacji, tworząc w niej szwadron karabinów maszynowych. Szwadron na razie był





Portret Bolesława Mościckiego z lat 1917–1918.
Fot. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

w sile plutonu konnego i bez tych karabinów, jednak miał już nazwę. Uporządkował również konie w szwadronach: 1 szwadron otrzymał kasztany, w 2 szwadronie 1 pluton – kare, 2 pluton – gniade, 3 pluton – siwe, 3 szwadron – gniadokasztanowate, a 4 szwadron – gniade. Pułk liczył wtedy około 500 szabel, z tego w szwadronach liniowych – 400. Pułkownik Mościcki dokonał również zmian w obsadzie personalnej pułku. Zastępcą dowódcy został rtm. Mikołaj Waraksiewicz, drugim zastępcą (gospodarczym) rtm. Aleksander Pajewski, a adiutantem (obecnie odpowiednikiem tego stanowiska służbowego jest szef sztabu) kornet Karol Zdziechowski; dowódcami zaś: 1 szwadronu – rtm. Feliks Dziewicki, 2 szwadronu – por. Zygmunt Podhorski, 3 szwadronu – sztabrotmistrz Włodzimierz Sobieszczański, 4 szwadronu – rtm. Tadeusz Żółkiewski, szwadronu karabinów maszynowych – por. Władysław Zboromirski, a plutonu łączności – kornet Włodzimierz Bem de Cosban. Wszystkich oficerów młodszych, dotychczas podlegających dowódcom szwadronów, płk Mościcki wyznaczył na dowódców konkretnych plutonów, za które ponosili pełną odpowiedzialność. Wymagał od nich, by znali zarówno każdego ułana, jak i każdego konia w plutonie. Już po dwóch dniach od wprowadzonych zmian mógł sprawdzić swój pułk w działaniu.

Obrona Stanisławowa

Po załamaniu się ofensywy Kiereńskiego w Małopolsce Wschodniej oddziały armii rosyjskiej rozpoczęły bezładny odwrót. Straciły one spoistość, a żołnierze podbuntowani przez bolszewickich agitatorów przestali słuchać rozkazów. To już nie była armia, lecz tłumy rozbestwionego żołdactwa, rabującego dobytek ludności w miasteczkach i wsiach na drogach odwrotu. Fala tych rozbitków 21 lipca dotarła do Stanisławowa. Tego samego dnia wieczorem Pułk Ułanów Polskich wyruszył ze wsi Porohy do Stanisławowa z zadaniem dołączenia do II Korpusu Kawalerii gen. księcia Konstantego Aleksandrowicza Tumanowa. Pułk maszerował całą noc szosą, pod prąd uciekinierów. Ze względu na zatłoczoną drogę, ułani jechali rzędem, jeździec za jeźdźcem.

Do wsi Krechowce pod Stanisławowem dotarli ok. godz. 7.00 rano. Tam płk Mościcki zarządził odpoczynek. Rozsiodłano konie i zaczęto przygotowywać śniadanie. Dalszy marsz miał rozpocząć się po obiedzie. Dowódca pułku oraz adiutant pułku kornet Karol Zdziechowski i kornet Włodzimierz Bem de Cosban udali się do Stanisławowa, do dowództwa 11 Dywizji Piechoty, aby zapoznać się z sytuacją i odebrać dalsze rozkazy. Stanisławów płonął, a rozbestwieni Kozacy i piechurzy rabowali jego bezbronną ludność, nie stroniąc od gwałtów i mordów. Polscy oficerowie wykazali się brakiem tolerancji dla bandytów w mundurach rosyjskiego wojska. Pułkownik bez namysłu ciął szablą żołdaka usiłującego obrabować kobietę przemykającą ulicą, a jego adiutant zastrzelił innego bandytę napastującego małoletnią dziewczynkę. W odpowiedzi na taką reakcję oficerów, burmistrz Stanisławowa Antoni Stygar poprosił pułkownika o obronę polskiej i żydowskiej ludności miasta. Widząc, że dowódca 11 Dywizji Piechoty gen. Paweł Pawłowicz Sytin nie panuje nad własnymi maruderami, płk Mościcki poprosił dowódcę 7 Dywizji Kawalerii gen. Piotra Wrangla o zgodę na oczyszczenie miasta z maruderów i bandytów. Prośbę poparł obecny tam dowódca 1 Zaamurskiej Brygady Kawalerii, w skład której wchodził 1 Pułk Polskich Ułanów, gen. Aleksander Karnicki. Po uzyskaniu aprobaty wysłał gońca ▶

do pułku z rozkazem przerwania odpoczynku i jak najszybszego przybycia do Stanisławowa. Ułani natychmiast osiodłali konie i w zwartym szyku ruszyli kłusem w kierunku miasta. Po drodze pułk spotkał jadącego naprzeciw korneta Bema, który poinformował dowódców szwadronów o sytuacji. Pułkownik Mościcki czekał na pułk na wlotowej ulicy do miasta. Na jego czele wkroczył do Stanisławowa. Ułani jechali w szyku zwartym, wyrównani jak do defilady, stanowiąc swoisty dysonans na tle przewalającej się przez miasto masy rosyjskich maruderów oraz krzyków i lamentów rabowanych i mordowanych cywilów. Pułk w kolumnie wjechał na rynek, gdzie w hotelu „Warszawa" płk Mościcki nakazał zorganizować stanowisko dowodzenia. Cały czas pamiętał o zbliżających się do Stanisławowa wojskach niemieckich i natychmiast wysłał patrole, by prowadziły rozpoznanie przedpola miasta od zachodu.

Następnie płk Mościcki podzielił miasto na cztery sektory rozchodzące się promieniście od rynku i przydzielił je poszczególnym szwadronom z zadaniem oczyszczenia stref z bandytów. Szwadrony miały działać w szyku pieszym. Konie rozmieszczono w podwórzach kamienic przy rynku pod opieką koniowodnych. Pułkownik Mościcki zakazał używać podczas akcji broni palnej. Ułani zaczęli metodycznie czyścić miasto, ulicę po ulicy, kamienicę po kamienicy, piętro po piętrze. Każdy z nich występował zarówno w roli władzy sądowniczej, jak i wykonawczej. Wobec umundurowanych bandytów złapanych na gorącym uczynku rabunku, gwałtu lub morderstwa, ułan był jednocześnie prokuratorem, sędzią i plutonem egzekucyjnym. Wyrok za bandytyzm na wojnie był tylko jeden. „Śmierć za zabójstwo, śmierć za gwałt, śmierć za grabież, śmierć za podpalenia"[4]. Apelacji od wyroku i próśb o łaskę nie przyjmowano i nie uznawano. Ze względu na zakaz użycia broni palnej, wyroki wykonywano na miejscu przez pchnięcie bagnetem lub cięcie szablą. Dużej pomocy udzielali mieszkańcy Stanisławowa, wskazując miejsca pobytu poszczególnych grup maruderów lub nawet pojedynczych bandytów. Młodzież na ochotnika zgłaszała się jako przewodnicy po zaułkach miasta. Poza likwidacją bandytów, ułani musieli również zająć się gaszeniem pożarów. Pomimo likwidacji grup maruderów pracy nie ubywało, ponieważ do miasta wciąż napływały nowe ich tłumy chcące się obłowić kosztem mieszkańców. Akcją oczyszczania kierował płk Mościcki ze swojego stanowiska dowodzenia w hotelu „Warszawa" na rynku. Po kilku godzinach pracy ułanów jego nazwisko znał każdy mieszkaniec Stanisławowa. Od tego dnia w rosyjskiej armii rozeszła się wieść, że Pułk Polskich Ułanów bije „klasowo uświadomionych obywateli" grabiących i mordujących cywilną ludność. Z tego względu wśród bolszewików zyskał złowrogą opinię pułku kontrrewolucyjnego.

Do wieczora 21 lipca udało się opanować sytuację w mieście, jednak napływające ciągle rzesze maruderów spowodowały, że burmistrz poprosił płk. Mościckiego o pozostawienie pułku jeszcze przez jakiś czas w mieście. Ten sam pogląd prezentował dowódca dywizji gen. Sytin oraz dowódca 1 Zaamurskiej Brygady Kawalerii gen. Aleksander Karnicki. Pułk pozostał w Stanisławowie przez następne trzy dni, likwidując w zarodku próby grabieży dokonywane przez przechodzące przez miejscowość grupy maruderów. Przez ten czas miasto wzięło na siebie ciężar wyżywienia żołnierzy i koni. Ułanów wolnych od służby mieszkańcy zapraszali na kwatery. Kucie koni odbywało się w kuźniach miejskich. W czasie ostatniej nocy, z 23 na 24 lipca bandy nie atakowały już miasta ze względu na obecność ułanów, zaatakowały za to rosyjski skład materiałowy rozlokowany w pobliżu dworca kolejowego. Pułkownik Mościcki wysłał tam 2 szwadron por. Zygmunta Podhorskiego, wzmocniony dwoma samochodami pancernymi, który po krótkiej walce z maruderami wspieranymi pociągiem pancernym przywrócił porządek.

Tego samego dnia w dowództwie pułku zjawiła się delegacja Rady Miasta z burmistrzem na czele, który zaproponował, aby pułk opuścił służbę w armii rosyjskiej i pozostał w mieście. Obiecał wynegocjowanie z wojskami niemieckimi i austro-węgierskimi układu, na mocy którego ułani nie pójdą do obozu jenieckiego, a będą mogli powrócić do swoich domów lub przejdą na służbę jako podlegli Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie. Pułkownik Mościcki zdecydowanie odmówił. Wyjaśnił burmistrzowi, że bronił Stanisławowa jako Polak i człowiek, ale jako żołnierz będzie przestrzegał przysięgi i kontynuował walkę przy boku armii rosyjskiej. Po odjeździe delegatów, nie będąc pewnym, czy został dobrze zrozumiany, płk Mościcki podyktował adiutantowi list do Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie. Jego treść została zaakceptowana przez oficerów pułku obecnych na odprawie. Użyte w piśmie sformułowania i twierdzenia zainteresowałyby z pewnością każdy sąd polowy armii rosyjskiej wyczulony na przestępstwa zdrady stanu. ■

ANDRZEJ ŁYDKA podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i w jednostkach logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu Polska-zbrojna.pl.

[1] J. Litewski, W. Dziewanowski, *Dzieje 1 Pułku Ułanów Krechowieckich im. płk. Bolesława Mościckiego*, Warszawa 1932, s. 30–31.
[2] A. Wojciechowski, *Zarys historii wojennej 1 Pułku Ułanów Krechowieckich*, Warszawa 1928, s. 8.
[3] H. Bagiński, *Wojsko Polskie na wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921, s. 77–78.
[4] J. Szlaszyński, *1 Pułk Ułanów Krechowieckich im. płk. Bolesława Mościckiego*, Augustów – Suwałki 2015, s. 31.

Piloci z Legionów

Legiony Polskie kojarzą się przede wszystkim z piechotą i kawalerią, w dalszej kolejności z artylerią. Mniej oczywiste są zaś ich związki z lotnictwem. A jednak oddziały lotnicze w tej formacji to ważny wątek początków polskich Wojsk Lotniczych.

MARIUSZ NIESTRAWSKI

Kiedy mówimy o Legionach Polskich i lotnictwie, na myśl przychodzi postać ppor. obs. Janusza de Beaurain (1893–1959). Jak wielu legionistów de Beaurain pochodził z ziem dawnego Królestwa Polskiego. Urodził się w Warszawie. Jeszcze przed rozpoczęciem działań zbrojnych I wojny światowej zdobył dyplom inżyniera Politechniki Lwowskiej. Po wybuchu Wielkiej Wojny wstąpił do Legionów Polskich. Brał udział w walkach I Brygady. Początkowo był kanonierem w II Dywizjonie Armat, a od maja 1915 r. – celowniczym w 5 Baterii Armat. W grudniu jako chorąży został oficerem wywiadowczym i instruktorem technicznym 5 Baterii. W marcu następnego rok mianowano go instruktorem w 1 Baterii Haubic, a 1 maja otrzymał awans na podporucznika.

Koncepcja legionowego oddziału lotniczego

Właśnie wiosną 1916 r. ppor. Janusz de Beaurain zaproponował stworzenie polskiego oddziału lotniczego, który byłby integralną częścią Legionów Polskich. Pomysł ten narodził się stosunkowo późno, gdyż aż do 1916 r. Legiony były rozrzucone na różnych obszarach działań wojennych. Dopiero po skoncentrowaniu wszystkich trzech brygad utworzenie przeznaczonej wyłącznie dla nich eskadry stało się zasadne. Rdzeniem takiej formacji lotniczej mieli być oficerowie i podoficerowie Legionów, którzy przeszliby przeszkolenie w austriackich szkołach lotniczych i odbyli praktykę frontową. Według zamysłu ppor. Janusza de Beaurain do takiego oddziału powinni zostać przeniesieni również Polacy z austro-węgierskich kompanii lotniczych. A w Cesarsko-Królewskich Siłach Powietrznych nie brakowało wówczas znanych nazwisk. Wystarczy wspomnieć ppor. obs. Stefana Steca, który latał w 3 Kompanii Lotniczej na froncie rosyjskim, por. obs. Mariana Gawła latającego w 5 Kompanii Lotniczej na froncie serbskim oraz ppor. obs. Stefana Bastyra – oficera technicznego 10 Kompanii Lotniczej. W owym czasie najgłośniejszym polskim nazwiskiem w austro-węgierskim lotnictwie był jednak por. obs. Jan Wierzejski, który 30 listopada 1914 r. odniósł pierwsze zwycięstwo powietrzne w historii CK Sił Powietrznych.



Odznaka kursów lotniczych organizowanych przez Polskie Towarzystwo Żeglugi Napowietrznej w Warszawie.
Fot. *Ku czci poległych lotników księga pamiątkowa*, Warszawa 1933

Pomysł ppor. de Beaurain zyskał akceptację Józefa Piłsudskiego. Autor koncepcji jako pierwszy złożył w dowództwie macierzystej armii podanie i dzięki poparciu wpływowych kół polskich w Wiedniu został wysłany do austriackich szkół aeronautycznych i lotniczych. Czerwiec i lipiec 1916 r. oficer legionowej artylerii spędził w Hainburgu na kursie obserwatorów balonowych. Od sierpnia do listopada szkolił się natomiast na obserwatora lotniczego w Wiener Neustadt. Poza nim z I Brygady Legionów Polskich na przeszkolenie zostali oddelegowani jeszcze plut. Antoni Poznański i dwaj inni podoficerowie. We wrześniu 1916 r. rozpoczęli kurs pilotażu na krakowskim lotnisku Rakowice.

Nieliczne stosunkowo grono łatwo było powiększyć o Polaków służących w austro-węgierskim lotnictwie. Czas spędzony w szkołach lotniczych de Beaurain wykorzystał na nawiązanie kontaktu z Janem Pareńskim, Wilhelmem Siemieńskim, Stanisławem Marią Tomickim, Marianem Gawłem, Augustem Menczakiem, Mieczysławem Szczudłowskim, Kazimierzem Kubalą, Julianem Pawłowskim i Eugeniuszem Rolandem, a w dalszej kolejności ▶

także z Władysławem Toruniem, Stefanem Bastyrem, Stefanem Stecem, Leonem Sapiehą, Adamem Tiegerem, Zygmuntem Tebinką i Gustawem Mokrzyckim. Po zakończonym kursie de Beaurain złożył podanie o przydział do działającej na odcinku Legionów Polskich 27 Kompanii Lotniczej, ale po wycofaniu legionistów z frontu zdecydował się odbyć praktykę w 34 Kompanii Lotniczej na froncie włoskim. Następnie w maju 1917 r. otrzymał rozkaz powrotu do polskich formacji. Przydzielono go do 1 Pułku Artylerii.


1


2

POLSCY LOTNICY

1. Por. Janusz de Beaurain w lotnictwie austro-węgierskim na tle swojego samolotu.

2. Por. pil. Ludomił Rayski. Rayski zrobił wręcz zawrotną karierę w niepodległej Polsce. Już w 1921 r. awansowano go na majora. W 1926 r. objął dowództwo nad całym polskim lotnictwem. Na stanowisku pozostawał przez 13 lat.

Fot 1 i 2: *Ku czci poległych lotników księga pamiątkowa*, Warszawa 1933

Kurs lotniczy Polskiego Towarzystwa Żeglugi Napowietrznej

Gdy państwa centralne zajęły już ziemie dawnego Królestwa Polskiego, większa część tego terenu, wraz z Warszawą, znalazła się pod kontrolą Cesarstwa Niemieckiego. Docelowo polskie formacje miały podlegać niemieckiemu dowództwu. W tych okolicznościach Komenda Legionów złożyła w berlińskim Generalnym Inspektoracie Wojskowej Służby Komunikacyjnej wniosek, by Polacy przejęli niemiecką szkołę obserwatorów w Warszawie, a grupa polskich podoficerów trafiła do szkół pilotażu w Rzeszy. Taki był ogólny plan stworzenia oddziałów lotniczych.

Na początek miał się w Warszawie odbyć kurs dla przyszłych lotników. Zorganizowano go z inicjatywy redaktora czasopisma „Lotnik i Automobilista" Zygmunta Deklera i przemysłowca Ludwika Pręgowskiego. Instytucją odpowiedzialną było Polskie Towarzystwo Żeglugi Napowietrznej – legalna instytucja działająca za zgodą Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego. O znaczeniu Towarzystwa i w ogóle o zrozumieniu nastawienia społecznego do konieczności utworzenia polskiego lotnictwa najlepiej świadczy wykaz osób, które w grudniu 1916 r. sygnowały statut Polskiego Towarzystwa Żeglugi Napowietrznej i podanie o jego legalizację: prezydent m.st. Warszawy książę Zdzisław Lubomirski, brygadier Józef Piłsudski, generał-gubernator hrabia Stanisław Szeptycki, rektor Politechniki Warszawskiej inż. Stanisław Patschke, rektor Uniwersytetu Warszawskiego i prezes Rady Miejskiej dr Józef Brudziński, wiceburmistrz m.st. Warszawy inż. Zygmunt Chmielewski, członek Rady Stanu Michał Łempicki, naczelnik Milicji Miejskiej i członek Rady Stanu książę Franciszek Radziwiłł, wiceprezes Rady Miejskiej i członek Rady Stanu Artur Śliwiński, ławnik magistratu m.st. Warszawy Teodor Toeplitz, radny miejski Eugeniusz Śmiarowski, członek Naczelnego Komitetu Narodowego dr Michał Sokolnicki, inż. Zygmunt Dekler oraz Ludwik Pręgowski.

Kurs był przeznaczony dla osób, które ukończyły 17 lat i legitymowały się ukończeniem sześciu klas szkoły realnej albo siedmiu klas gimnazjum. Zarząd

robił jednak wyjątki, przyjmując niespełniające tych warunków osoby z wiedzą techniczną. Język nauczania miał odpowiadać poziomowi szkoły średniej. Zamierzano szkolić przyszłych pilotów i konstruktorów w zakresie teorii lotnictwa. Zarejestrowano 260 słuchaczy. Inauguracja, podczas której głos zabrał szef sztabu Komendy Legionów płk Leon Berbecki, odbyła się 1 lutego 1917 r., a zajęcia trwały od 26 lutego do końca maja. Wykłady prowadzili profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego i inżynierowie specjaliści. Kwestie dotyczące silników spalinowych wykładał prof. inż. Karol Taylor, aerodynamiki – wyszkolony w Rosji aeronauta ppor. inż. January Grzędziński, który działał pod przybranym nazwiskiem „Bolesławski". Za aerostatykę i budowę płatowców odpowiadał inż. Michał Król, za wytrzymałość materiałów – prof. inż. Adolf Winawer, za meteorologię – dr Władysław Gorczyński. Zajęcia z radiotelegrafii prowadził prof. inż. Mieczysław Sikorski, z historii lotnictwa – inż. Zygmunt Dekler, prawa lotniczego – prof. mec. Feliks Ochimowski, budowy samolotów – inż. Jan Kawecki, natomiast higienę lotniczą i ratownictwo lotnicze wykładał dr Władysław Osmolski.

Do egzaminów końcowych przystąpiło 105 osób, a 73 z nich otrzymały świadectwo ukończenia kursu. Pozostałe 32 osoby uhonorowano zaświadczeniami o udziale. Na rozkaz płk. Berbeckiego na kurs oddelegowano ponad 20 podoficerów i żołnierzy. Większość z nich otrzymała świadectwa. Byli wśród nich obserwator lotniczy z okresu wojny polsko-bolszewickiej Franciszek Suchos, a także późniejszy pilot i historyk lotnictwa Adam Wojtyga. Tego ostatniego mianowano przełożonym grupy wojskowej.

Absolwenci warszawskich kursów zostali przeszkoleni jedynie tylko teoretycznie. Pojawiły się natomiast problemy z kursem praktycznym. Niemcy postawili bowiem twardy warunek – po zakończeniu kursów praktycznych Polacy mieli trafić na front zachodni i walczyć w niemieckich oddziałach lotniczych. Wkrótce doszło do kryzysu przysięgowego, który władze wojskowe państw centralnych uznały za wystarczający i zarazem ostateczny argument, by nie pozwolić na realizację kursu praktycznego.

August Menczak i kurs wiedzy lotniczej

Choć zmodyfikowana przez Polskie Towarzystwo Żeglugi Powietrznej wizja ppor. Janusza de Beaurain nie doczekała się realizacji, to oficer ten nie porzucił myśli utworzenia polskiego oddziału lotniczego. Po wydarzeniach z połowy 1917 r. lotnictwo mogło powstać tylko przy Polskim Korpusie Posiłkowym. Pod koniec roku wchodził on w skład austro-węgierskiej 3 Armii. Oparcie de Beaurain znalazł w ppor. pil. Auguście Menczaku – polskim oficerze służącym w austro-węgierskim lotnictwie.

Absolwent przemyskiego gimnazjum August Menczak brał udział w I wojnie światowej od 1914 r. Pierwotnie był jednak artylerzystą. Walczył na froncie włoskim. Odznaczono go najwyższymi austro-węgierskimi medalami wojskowymi. Od sierpnia do grudnia 1916 r. został przeszkolony na obserwatora w Wiener Neustadt. Po zakończonym kursie latał w 4 Kompanii Lotniczej. Latem 1917 r. rozpoczął kurs pilotażu w 7 Kompanii Lotniczej. W czasie szkolenia przeżył groźny wypadek lotniczy. Do końca I wojny światowej był tymczasowym dowódcą tej kompanii. Dwukrotnie raniono go w czasie wykonywania lotów bojowych na froncie bałkańskim.

W porozumieniu z ppor. Januszem de Beaurain por. August Menczak dążył do utworzenia kursu wiedzy lotniczej dla oficerów i podoficerów. Absolwenci mieli mieć ułatwiony dostęp do austriackich wojskowych szkół lotniczych.

W końcu 1917 r. por. Menczak rozpoczął wykłady na temat współpracy lotnictwa z piechotą i artylerią, na początku kolejnego roku zaś szkolenie praktyczne w Oroszlánach z wykorzystaniem sprzętu 7 Kompanii Lotniczej. Wśród słuchaczy znajdowali się między innymi kpt. Władysław Gniady-Trzecielski i kpr. Władysław Zdunik. Pierwszy z nich wkrótce awansował na majora, drugi, w nieco dalszej perspektywie, został pilotem 2 Wielkopolskiej Eskadry Lotniczej.

Jednak ta próba utworzenia polskiego oddziału lotniczego po stronie państw centralnych także zakończyła się niepowodzeniem. W połowie lutego 1918 r. II Brygada przekroczyła front pod Rarańczą. Niektórzy słuchacze kursu, jak kpt. Gniady, porzucili dotychczasową służbę. Pozostałym drogę do dalszej edukacji lotniczej zamknęły władze wojskowe państw centralnych, które z oczywistych względów akcję II Brygady uznały za przejaw braku lojalności z polskiej strony.

Polscy lotnicy lat 1918–1920 z legionowym rodowodem

Choć nigdy nie został powołany do życia legionowy oddział lotniczy jako taki, to jednak wielu legionistów zapisało piękną kartę w pierwszym okresie istnienia polskich wojsk lotniczych.

Za najsłynniejszego związanego z lotnictwem legionistę uważa się Ludomiła Rayskiego. W latach 1912–1914 był on członkiem Związku Strzeleckiego. Ukończył w nim szkołę podoficerską. Od sierpnia 1914 r. służył w 1 Pułku I Brygady Legionów Polskich. Został ranny pod Łowczówkiem 24 grudnia. Nie powrócił już do jednostki. Od listopada bowiem po stronie państw centralnych uczestniczyła w wojnie Turcja. W interesie Niemiec i Austro-Węgier było wzmocnienie jej armii weteranami z wiedzą techniczną. Idealnie do tej roli nadawał się Ludomił Rayski, który przed wybuchem Wielkiej Wojny ukończył kilka semestrów na Politechnice Lwowskiej, a po ojcu – uczestniku Powstania Styczniowego ▶

i emigrancie politycznym – miał obywatelstwo tureckie. Rayski 1 marca 1915 r. znalazł się na ziemi tureckiej. Pierwotnie służył w kompanii samochodowej Dardanelskiego Rejonu Umocnionego, ale jeszcze w 1915 r. skierowano go do lotnictwa. Po ukończeniu szkoły obserwatorów w Maltepe został chorążym obserwatorem lotniczym. W następnym roku latał jako obserwator w tureckiej 5 Armii. W lipcu 1917 r. ukończył kurs pilotażu. W grudniu 1918 r. zwolniono go z tureckiej służby, a w styczniu 1919 r. przedostał się do Odessy, gdzie wszedł w skład Oddziału Lotniczego przy 4 Dywizji Strzelców Polskich gen. Lucjana Żeligowskiego.

Wkrótce dywizja Żeligowskiego rozpoczęła marsz przez Rumunię w kierunku ziem polskich. W czerwcu dotarła do Galicji i wzięła udział w ostatnich walkach wojny polsko-ukraińskiej. Porucznik Ludomił Rayski 2 lipca został ranny w nogę, a w sierpniu przesunięto go do 7 Eskadry Myśliwskiej. Przez pewien czas dowodził tą jednostką. Następnie został komendantem Wyższej Szkoły Pilotów w Ławicy (ob. dzielnica Poznania). Od kwietnia do końca lipca dowodził sformowaną z jej najlepszych absolwentów 21 Eskadrą Niszczycielską. Na czele eskadry wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po zdaniu dowództwa wyruszył do Włoch dla sprowadzenia samolotu Ansaldo A.300-2, którego produkcję zamierzano wdrożyć w Lublinie. Po zakończeniu wojny z bolszewicką Rosją kariera Rayskiego nabrała jeszcze większego rozpędu.

Dłuższa była przygoda z Legionami Polskimi Stanisława Pietruskiego. Po wybuchu I wojny światowej w składzie Pierwszej Kompanii Kadrowej wkroczył w granice dawnego Królestwa Polskiego. Następnie służył w 1 Pułku Ułanów I Brygady Legionów Polskich. Po kryzysie przysięgowym został przeniesiony do austro-węgierskiego 6 Pułku Ułanów. Walczył na froncie włoskim. Tam przeszkolono go na obserwatora lotniczego.

Po zakończeniu I wojny światowej, prosto z frontu włoskiego, przedarł się do oblężonego przez Ukraińców Lwowa. Brał udział w wojnie polsko-ukraińskiej jako obserwator 6 Eskadry Lotniczej. Pietruski 24 lutego 1919 r. zmusił do lądowania nieprzyjacielski samolot, co było pierwszym zwycięstwem powietrznym w historii polskich skrzydeł. Latem został przeszkolony na pilota. W czasie wojny polsko-bolszewickiej był czasowo przydzielony do 5 Eskadry Wywiadowczej.

Innym obserwatorem z legionową przeszłością był Leon Loria, który udział w I wojnie światowej zaczął od strzelców Józefa Piłsudskiego. Po utworzeniu Legionów Polskich służył w 1 Pułku Ułanów, a w 1916 r. przeniesiono go do 1 Pułku Artylerii Legionów Polskich. Po kryzysie przysięgowym został zdemobilizowany. Do służby wojskowej powrócił w listopadzie 1918 r., już w niepodległej Polsce. Był oficerem ordynansowym Józefa



Stefan Bastyr w austro-węgierskim mundurze. Doświadczony lotnik CK Sił Powietrznych, a później bohater wojny polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej. Zginął śmiercią lotnika w 1920 r.
Fot. Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie

Władysław Toruń w mundurze austro-węgierskiej marynarki wojennej. Mimo że Toruń był wyszkolonym lotnikiem morskim, w Polsce służył w lotnictwie lądowym. Jest uznawany za jednego z twórców – obok por. Stefana Bastyra i por. Janusza de Beaurain – jednostki lotniczej w oblężonym przez Ukraińców Lwowie. Fot. Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie

Piłsudskiego. Rozpoczął naukę we Francuskiej Szkole Pilotów w Warszawie, ale przed jej ukończeniem trafił na front wojny polsko-bolszewickiej. Latał jako obserwator w 12 Eskadrze Wywiadowczej.

Członkiem Związku Strzeleckiego był także Zygmunt Kostrzewski. Po rozpoczęciu I wojny światowej został żołnierzem w Legionie Wschodnim. Wraz z jego rozformowaniem starał się o przydział do I Brygady Legionów Polskich. Przez chorobę odrzucono jednak jego kandydaturę. Zamiast do Legionów w sierpniu 1915 r. powołano go do armii austro-węgierskiej. Walczył na froncie rosyjskim w 10, a później 60 Pułku Piechoty. W lipcu 1917 r. rozpoczął kurs obserwatorów, a następnie kurs pilotażu. Latał na froncie włoskim. Po zakończeniu I wojny światowej znalazł się w Przemyślu. Pełnił służbę na lotnisku Hureczko. W styczniu 1919 r. skierowano go do 7 Eskadry Lotniczej (późniejszej 7 Eskadry Myśliwskiej) we Lwowie.



PONAD ATLANTYKIEM

Kazimierz Kubala w czasie służby w armii austro-węgierskiej. Fotografia prawdopodobnie z 1916 r. Pod koniec lat dwudziestych Kubala zasłynął podejmowanymi wraz z Ludwikiem Idzikowskim próbami przelotu ponad Atlantykiem. Próby zakończyły się niepowodzeniem. Kubala zdołał przeżyć, Idzikowski miał mniej szczęścia.

Fot. Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie

Uczestniczył w działaniach wojennych wojny polsko-ukraińskiej. Zginął 14 maja 1919 r. w czasie lotu bojowego w rejonie Kulikowa. Jego Oeffag C.II został celnie ostrzelany z ziemi przez Ukraińców. Pilot zginął w powietrzu, natomiast ranny obserwator ppor. Mieczysław Motylewski, we wraku samolotu.

Edward Lewandowski także był członkiem Związku Strzeleckiego i Polskiej Organizacji Wojskowej. Od stycznia 1917 r. służył w 1 Baterii Armat Legionów Polskich. Po kryzysie przysięgowym internowano go w Szczypiornie. W listopadzie 1917 r. został zwolniony i rozpoczął studia na Politechnice Warszawskiej. Jesienią 1918 r. otrzymał tzw. półdyplom. Od czerwca 1919 r. szkolił się w pilotażu we Francuskiej Szkole Pilotów w Warszawie. Od grudnia kontynuował szkolenie w Wyższej Szkole Pilotów w Ławicy. Po zakończonym kursie skierowano go do 4 Wielkopolskiej Eskadry Bojowej (późniejszej 15 Eskadry Myśliwskiej). Wraz z jednostką uczestniczył w działaniach bojowych wojny polsko-bolszewickiej. Odznaczył się szczególnie w czasie słynnych lotów 15 Eskadry Myśliwskiej przeciw nacierającej na Lwów 1 Armii Konnej Siemiona Budionnego.

Bardziej zawiłe były losy Edwarda Karasia, który od 1912 r. należał do Związku Strzeleckiego, a od 1914 r. walczył w składzie Legionów Polskich. Był żołnierzem 2, a następnie 3 Pułku Piechoty. Po przejściu przez II Brygadę frontu pod Rarańczą znalazł się w II Korpusie Polskim w Rosji. Dostał się do niemieckiej niewoli, z której zbiegł. Od czerwca do listopada 1918 r. służył w polskiej jednostce w rejonie Murmańska. W połowie marca następnego roku zameldował się nad Sekwaną. Został obserwatorem w lotnictwie Armii Polskiej we Francji. Wziął udział w przejmowaniu Pomorza Gdańskiego z rąk niemieckich i w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1920 r. mianowano go dowódcą 18 Eskadry Wywiadowczej.

Równie bogatym wojennym życiorysem mógł pochwalić się Teofil Dziama. Przed wybuchem Wielkiej Wojny był on członkiem Polowych Drużyn Sokolich, a w sierpniu 1914 r. wstąpił do strzelców Józefa Piłsudskiego. Po utworzeniu Legionów Polskich został podoficerem w 2 Pułku Piechoty Legionów. Walczył na froncie karpackim. Następnie jego batalion przeniesiono do dawnego Królestwa Polskiego, gdzie jednostka została rozbudowana i przekształcona w 4 Pułk Piechoty Legionów. W latach 1915–1916 Dziama walczył na Lubelszczyźnie, Polesiu i Wołyniu. Po kryzysie przysięgowym jego pułk rozwiązano, a Dziama trafił do austro-węgierskiego 40 Pułku Piechoty. Wysłano go na front włoski. Tam przed samym zakończeniem wojny trafił do niewoli. Skorzystał z oferty wstąpienia do Armii Polskiej we Francji. Nad Sekwaną został przeszkolony w pilotażu i odesłany do Polski. Jako pilot 17 i 16 Eskadry Lotniczej (Wywiadowczej) wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Ponadto, latając w drugiej z wymienionych eskadr, został lotnikiem Litwy Środkowej i uczestniczył w konflikcie zbrojnym z Litwą Kowieńską.

Przytoczone wojenne życiorysy jednoznacznie dowodzą, że Legiony Polskie to nie tylko piechota, kawaleria i artyleria. Z formacją tą wiążą się też bowiem wątki lotnicze. Choć – mimo wysiłków – nie udało się stworzyć legionowej eskadry, Legiony Polskie dały Wojsku Polskiemu wielu nieprzeciętnych oficerów i podoficerów, którzy znakomicie sprawdzili się jako piloci i obserwatorzy w czasie wojny polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej. ■

MARIUSZ NIESTRAWSKI absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii. W latach 2010–2014 pracownik Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu. Od 2015 r. w Muzeum Narodowym Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie.

Jak cesarz Franciszek Józef

Sprawa znaków bojowych dla oddziałów Legionów Polskich była niezwykle istotna w całym okresie funkcjonowania formacji. Niemal wszędzie, gdzie powstawały lub walczyły oddziały legionowe, znajdowali się patrioci gotowi fundować sztandary, które miały podkreślać narodowy charakter wojska i dobitnie świadczyć, że idea Polski niepodległej bliska jest nie tylko wojskowym, ale także szerokim rzeszom społeczeństwa.

JAROSŁAW PYCH

Niemal przez cały czas funkcjonowania Legionów z inicjatywy społeczności lokalnych fundowano poszczególnym oddziałom sztandary jako wyraz wdzięczności za trud legionowy, a także jako dowód szczególnej łączności tej formacji z narodem. Komenda Legionów – choć wdzięczna za darowane im znaki bojowe – nigdy jednak nie zaniechała prób usankcjonowania stosownymi przepisami używania i ujednolicenia wzoru swoich sztandarów.

Polski Korpus Posiłkowy

Dogodne okoliczności pojawiły się z chwilą, kiedy Legiony przekształcone miały być w Polski Korpus Posiłkowy. Cesarsko-Królewska Naczelna Komenda Armii 20 września 1916 r. wydała w tej sprawie rozkaz nr 19201. W jednym z jego punktów zdecydowano o nadaniu pułkom piechoty Legionów historycznych polskich sztandarów z wyobrażeniem orła polskiego na jednej stronie i wizerunkiem Matki Boskiej na drugiej. Zgodnie z tym rozkazem Komenda Główna Legionów miała w najbliższym czasie przedłożyć do zatwierdzenia stosowne barwne projekty sztandarów, wzorując się najściślej jak to możliwe na historycznych sztandarach wojskowych. O fakcie tym niemal niezwłocznie poinformował społeczeństwo ówczesny szef Departamentu Wojskowego Naczelnej Komendy Armii pułkownik Legionów Polskich Władysław Sikorski w specjalnej broszurze opublikowanej 27 września 1916 r. nakładem „Wiadomości Polskich", wyjaśniając między innymi znaczenie tego wydarzenia: „Znak pułku jako symbol gromadnej solidarności, sztandar pułkowy, oznaka zdobytej w polu chwały, historya przebytych przez żołnierza trudów i znojów w obronie najświętszych haseł poniesionych, pozostał i obecnie dźwignią tej siły moralnej Wojska, a co zatem idzie, dźwignią jego spoistości i sprawności. Sztandary pułkowe są również wewnętrznym dokumentem, że oddziały, które je posiadają, należą do armii stałej [...]. Przyznanie Legionom sztandarów jest zamknięciem świetnej dotychczasowej przeszłości, a zarazem wstępem do nowej ery [...]. Dawny znak Orła Białego jako oznaka Wojska Polskiego załopoce znowu nad szeregami polskich żołnierzy, którzy prawnie przejmują obecnie spuściznę ostatniej regularnej armii polskiej, a nawiązana w ten sposób nić tradycji nie zerwie się już w przyszłości. Nadanie historycznych sztandarów wojskowych Korpusowi Polskiemu przez panującego Monarchę posiada również doniosłe znaczenie międzynarodowe. Pierwszy Korpus Polski staje przez to w rzędzie innych armii stałych jako zawiązek armii regularnej. Zagadnienie państwowości polskiej zostało przez tę koncesyę rozstrzygnięte przez jedno z państw centralnych na korzyść najistotniejszego postulatu".

W związku z rozkazem Cesarsko-Królewskiej Naczelnej Komendy Armii – od listopada 1916 r. aż do lata roku następnego nastąpiła wymiana korespondencji pomiędzy Komendą Legionów a CK Naczelną Komendą Armii. Już 18 listopada 1916 r. Komenda Legionów wystosowała pismo, w którym prosiła o przyznanie zatwierdzonych historycznych sztandarów z wizerunkami orła i Matki Boskiej dla pułków piechoty nr 1–6. W załączniku przedłożono projekt rysunkowy malarza rtm. Wojciecha Kossaka.

Projekt Wojciecha Kossaka

Projekt rysunkowy wzoru sztandaru sporządzony przez wybitnego polskiego malarza batalistę nie zachował się w zbiorach polskich, trudno więc jednoznacznie stwierdzić, jak mógł on w szczegółach wyglądać. Nieco światła na tę kwestię rzuca analiza dalszej korespondencji w tej sprawie. W piśmie Cesarsko-Królewskiej Na-

sztandary Legionom nadawał

czelnej Komendy Armii do Stanisława Szeptyckiego, komendanta Polskiego Korpusu Posiłkowego, datowanym na 8 grudnia 1916 r. zawarte są uwagi do dostarczonego przez Komendę Legionów projektu. Strona austriacka zwracała uwagę na to, że z tej strony płata, na której jest herb, usunięty powinien zostać wizerunek rycerza na koniu – symbol Litwy. Czyżby więc Kossak w porozumieniu z Komendą Legionów zaprojektował płat sztandaru o znacznie bogatszej symbolice niż przewidywał rozkaz? Umieszczenie Pogoni razem z Orłem Białym było przecież czytelnym sygnałem, do jakich tradycji chciano się odwołać. Przypominają się tu wizerunki dawnych chorągwi Rzeczypospolitej. Pragnienia pielęgnowane przez niemal cały XIX w. przez kilka pokoleń Polaków, aby ojczyzna odrodziła się tak potężna jak dawna Rzeczpospolita, znalazły tu swoje ucieleśnienie. Jest to wielce prawdopodobne, zważywszy, że i Kossak na swoich płótnach tę dawną potęgę przecież opiewał. O ile tak było rzeczywiście, to zdaje się, że i Austriacy właściwie odczytali ten przekaz, skoro nakazano usunięcie Pogoni z projektu. Nie taki przecież cel przyświecał monarchom państw centralnych, kiedy godzili się na odrodzenie Królestwa Polskiego.



Fot. Domena publiczna

Nakreślony w rozkazie z 20 września 1916 r. ogólny zarys wizerunku sztandaru zbliżony był do wzoru sztandarów CK wojsk – na jednej stronie wyobrażenie orła z herbu państwowego, a na drugiej wizerunek Matki Boskiej. Prawdopodobnie strona austriacka założyła, że przy wszystkich różnicach we wzorach znaków wojskowych podobieństwo będzie się opierać na ogólnej zasadzie kompozycyjnej płata. Umieszczenie Pogoni na sztandarze niewłaściwe już ze względów ideologicznych – psułoby ten czytelny układ kompozycyjny, zbieżny dla sztandarów polskich i austriackich.

W grudniu 1916 r. w korespondencji pomiędzy dowództwem Legionów a CK Naczelną Komendą Armii oraz Komendą Legionów ▶



Fot. Domena publiczna

a poszczególnymi pułkami trwało ustalanie nazw pól bitewnych, które także znaleźć się miały na sztandarach, a już na początku stycznia roku następnego CK Naczelna Komenda Armii poinformowała Komendę Polskiego Korpusu Posiłkowego, że cesarz gotów jest zatwierdzić przedłożony projekt sztandarów. Data i program uroczystego wręczenia sztandarów uzgodnione miały być z Komendą Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Plansze Edwarda Trojanowskiego

W związku z uwagami władz austriackich należało wykonać poprawione i uszczegółowione plansze z wizerunkami sztandarów. Pracę tę pod nadzorem Wojciecha Kossaka wykonał malarz Edward Trojanowski.

Sprawa nadania sztandarów wydawała się już przesądzona. Wszelkie prace projektowe zostały zakończone, honoraria wypłacone, a sam cesarz gotów był zatwierdzić opracowany wzór. Tymczasem w maju 1917 r. uwagi do projektu sztandaru wniosło CK Ministerstwo Obrony Narodowej (das k.u.k. Ministerium für Landesverteidigung). W piśmie datowanym na 15 maja zawarto liczne zastrzeżenia natury technicznej. Zwrócono uwagę, że rysunek sztandaru nie ma zaznaczonego wzmocnionego obrzeża (obszycia?), a jest ono nie tylko powszechne w sztandarach, ale także konieczne ze względów praktycznych, aby zabezpieczyć delikatną tkaninę jedwabną przed strzępieniem się. Zanegowano zasadność zastosowania bogatych haftów reliefowych, argumentując to stwierdzeniem, że sztandary wojskowe powinny być lekkie, a płaty lejące się, tak zwiewne, aby można je było zawinąć na drzewcu i chronić specjalnym pokrowcem, co byłoby trudne do wykonania w przypadku zastosowania haftu reliefowego. Ponadto według tej opinii haft reliefowy przy zwijaniu sztandaru uszkadzałby delikatną tkaninę sztandarową, a i same hafty także narażone byłyby na uszkodzenia. Opiniującym projekt sztandaru nie podobały się także zbyt masywne ich zdaniem drzewce i orzeł je wieńczący. Według Ministerstwa Obrony ciężar takiego sztandaru byłby zbyt wielki, co utrudniałoby manewrowość, a sztandarowy nie mógłby go zbyt długo nieść.

Cesarsko-Królewska Naczelna Komenda Armii zaakceptowała wnioski Ministerstwa Obrony i przedstawiła je Komendzie Polskiego Korpusu Posiłkowego, która zwróciła się z prośbą do Wojciecha Kossaka o opinię i projekt uzupełniający. Poprawione projekty wykonał ponownie Edward Trojanowski pod nadzorem Kossaka. Komenda Legionów Polskich w porozumieniu z CK Naczelną Komendą Armii zaakceptowała i uwzględniła w nowym projekcie część uwag zgłoszonych przez Ministerstwo Obrony. Wprowadzono karmazynowe obrzeże, zrezygnowano z reliefowych haftów na rzecz ornamentyki płaskiej. Pozostawiono jednak dużego orła wieńczącego masywne drzewce.

Daleko zaawansowane prace nad projektem sztandarów dla Polskiego Korpusu Posiłkowego ostatecznie nie zostały uwieńczone wręczeniem zaszczytnych znaków bojowych oddziałom Korpusu. Kryzys przysięgowy zniweczył cały wysiłek i pozbawił nadziei związanych z tymi sztandarami, tak pięknie wyłożonych przez płk. Sikorskiego w przytoczonej wcześniej broszurze. Jedynym śladem i pamiątką po tych wydarzeniach może być pocztówka patriotyczna autorstwa Aleksandra Grzybowskiego, wydana pod koniec I wojny, przedstawiająca dwa skrzyżowane sztandary z wizerunkiem Orła Białego i Matki Boskiej Częstochowskiej na tle orła legionowego i snopa zboża otoczonego makami. W tle widoczny jest kopiec Kościuszki, a u dołu kartki widnieje wiersz patriotyczny: „Panienka nasza z Jasnej Góry,/ Chorągiew polska i snop żyta! Piastowska kosa przetnie chmury/ I wolność nam – zaświta!”. W symbolice sztandarów pokazanych na pocztówce widać wyraźną zbieżność z symboliką stanowiącą główny element kompozycyjny projektowanego wzoru sztandarów dla Polskiego Korpusu Posiłkowego. Skromny czterowiersz umieszczony u dołu pocztówki jest zaś, chyba nieprzypadkowo, krótkim, ale jakże trafnym podsumowaniem czynu legionowego i idei, o których pisał Sikorski.

Brak jednolitego wzoru sztandarów nadanych przez władze austriackie spowodował, że oddziały legionowe do końca swojego istnienia używały różnorodnych znaków bojowych i propagandowych, wręczanych spontanicznie przez obywateli i organizacje patriotyczne. ■

JAROSŁAW PYCH muzealnik, weksylolog, pracownik naukowy i kustosz kolekcji weksyliów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, członek Polskiego Towarzystwa Weksylologicznego i komisji historycznej w Ministerstwie Obrony Narodowej. Autor wielu publikacji z zakresu weksylologii i historii kolekcjonerstwa polskiego.

W marcu 1919 r. wojskowe władze automobilowe zdecydowały o utworzeniu w Warszawie Centralnych Składów Samochodowych. Ich zadaniem było zaopatrywanie Dywizjonów Samochodowych w pojazdy mechaniczne i części zamienne, ogumienie oraz narzędzia.



Zdezelowane ciężarówki w Centralnych Składach Samochodowych – na pierwszym planie wóz niemieckiej produkcji, między 1919 a 1920 r. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

CENTRALNE SKŁADY SAMOCHODOWE 1919–1921

JAN TARCZYŃSKI

Już 7 listopada 1918 r., a więc cztery dni przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, w utworzonym przez Radę Regencyjną Królestwa Polskiego Ministerstwie Spraw Wojskowych powstała Sekcja Automobilowa, wcielona do Departamentu II Technicznego, kierowanego przez płk. Stefana Stawińskiego. W każdym Wojskowym Okręgu Centralnym stworzono wówczas Autonaczelnictwa w składzie: dowództwo, kolumna samochodowa zapasowa, kolumna lokalna lub garażowa, okręgowe warsztaty i okręgowe składy. W maju 1919 r. nastąpił podział tej struktury na Sekcję Samochodową (podległą Departamentowi X Komunikacji MSWojsk) i Inspektorat Wojsk Samochodowych (nadzorowany bezpośrednio przez II wiceministra spraw wojskowych).

Inspektoratowi podporządkowano Autonaczelnictwa, przemianowane na Dowództwa Wojsk Automobilowych Okręgów Centralnych Wojska Polskiego. Ta struktura nie sprawdziła się w działaniu, toteż w obliczu przygotowywanej kampanii kijowskiej wyprzedzającej uderzenie na Polskę wojsk Rosji bolszewickiej, w marcu 1920 r. zlikwidowano podział, tworząc Sekcję Wojsk Samochodowych Departamentu II Wojsk Technicznych MSWojsk. Przetrwała ona wojnę o granicę odradzającego się państwa. Dopiero w 1922 r., po przejściu armii w stan pokojowy, dokonano reorganizacji, tworząc Wydział Wojsk ▶



1



2

WOJENNE POJAZDY

1. Słynny amerykański Ford T w wersji sanitarnej (4 cylindry, 22 KM) w oczekiwaniu na naprawę w Centralnych Składach Samochodowych w 1920 r. W tle zbiorniki paliw płynnych.
Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego
2. Niemiecki ciągnik artyleryjski Lanz z silnikiem 6-cylindrowym o mocy 100 KM w Centralnych Składach Samochodowych, między 1919 a 1920 r.
Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

Samochodowych IV, a później V Departamentu MSWojsk.

Organizacja centralnego zaopatrzenia

W marcu 1919 r. wojskowe władze automobilowe utworzyły Centralne Składy Samochodowe w Warszawie. Ich zadaniem było zaopatrywanie dywizjonów samochodowych (po jednym w każdym Autonaczelnictwie) w pojazdy mechaniczne oraz części zamienne, ogumienie i narzędzia.

W odróżnieniu od Centralnych Warsztatów Samochodowych Departamentu Technicznego MSWojsk, gdzie wśród kierownictwa i personelu nadzoru przeważali wojskowi, pracownikami Centralnych Składów Samochodowych byli najczęściej cywilni inżynierowie i urzędnicy oraz robotnicy dniówkowi i szeregowi żołnierze Wojska Polskiego. Pierwszym naczelnikiem został znany automobilista inż. Tadeusz Heyne, urzędnik wojskowy VII rangi, zastąpiony w lutym 1921 r. przez urzędnika wojskowego inż. Stanisława Hahna, a wśród kadry znalazł się por. inż. Władysław Mrajski, konstruktor i rajdowiec, późniejszy autor sportowych sukcesów pierwszego polskiego samochodu – CWS T1. Plan Centralnych Składów Samochodowych zakładał utworzenie sześciu działów–magazynów wyrobów gumowych, części zamiennych, surowców i półfabrykatów z magazynem narzędzi i akcesoriów; samochodów zdemontowanych, samochodów czynnych i magazynu materiałów pędnych. Ten ostatni w drugiej połowie 1921 r. przeszedł pod zarząd Intendentury Dowództwa Okręgu Korpusu nr 1 (przekształconego Okręgu Centralnego WP). Niezależnie od działów głównych miały powstać warsztaty montażowe, naprawcze, wulkanizacyjne, stolarskie i inne jednostki gospodarczo-pomocnicze.

Początki Centralnych Składów Samochodowych

Po wstępnych przygotowaniach, znalezieniu terenu z odpowiednimi zabudowaniami i bocznicą kolejową przy ulicy Stalowej 40 zajęto część tej obszernej posesji należącej do moskiewskiego Towarzystwa Wschodniego i utworzono Centralne Składy Samochodowe, znane także pod nazwą: Centralny Państwowy Autoskład. Początkowo trudno było prowadzić placówkę według planu z powodu braku środków materialnych i złych warunków lokalnych. Teren Towarzystwa Wschodniego wraz z zabudowaniami nosiły trwałe ślady planowej dewastacji przeprowadzonej przez niemieckiego okupanta. Niektóre budynki zajmowało Ministerstwo Przemysłu i Handlu, większa część posesji przypadała Magistratowi m.st. Warszawy.

Obejmowanie przez MSWojsk terenów Towarzystwa Wschodniego i oddanie ich pod zarząd Składów Samochodowych trwało aż do jesieni 1919 r.

Od lipca 1919 r. zaczęły napływać do Centralnych Składów Samochodowych transporty opon i dętek

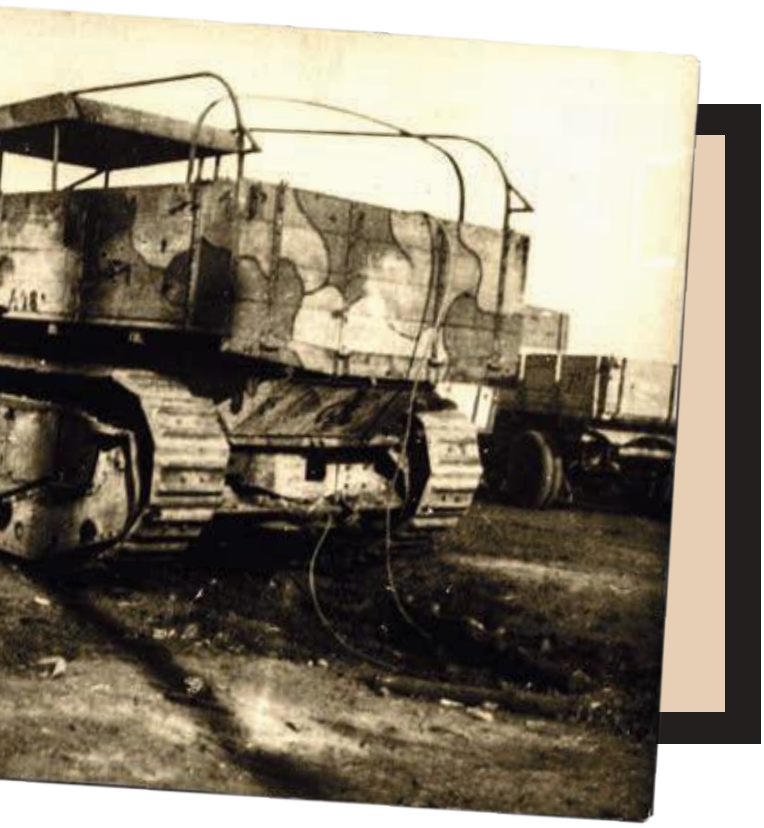

z Francji i ze Szwajcarii oraz samochody zdemontowane, przesyłane z frontu jako zdobycz wojenna, przeważnie mocno uszkodzone, toteż zaledwie niektóre ich elementy nadawały się do wtórnego wykorzystania.

Z nadejściem pierwszego transportu opon i samochodów zdemontowanych rozpoczęły funkcjonować: dział I wyrobów gumowych i dział IV samochodów wymagających naprawy. Pojazdy te podlegały weryfikacji i segregacji. Lepsze z nich, a takich było bardzo mało, remontowano w warsztatach Centralnych Składów Samochodowych. Samochody nienadające się do naprawy traktowano jako zapas części zamiennych, gdyż ich zakup za granicą nie był wówczas możliwy.

Napływające w tym okresie do Centralnych Składów Samochodowych opony i dętki samochodowe z innych formacji były również segregowane. Lepsze egzemplarze naprawiano w specjalnie zorganizowanych warsztatach wulkanizacyjnych, a następnie przekazywano do magazynu wyrobów gumowych jako materiał nadający się do użytku.

Dział V samochodów czynnych zaczął funkcjonować w lipcu 1919 r. po nadejściu pierwszych pojazdów kupionych za granicą. Z początkiem 1920 r. do Składów przybyły z zagranicy duże transporty kupionych tam części zamiennych. Zaistniała więc konieczność znacznego powiększenia powierzchni naprawczo-magazynowej. Wskutek wielokrotnych monitów naczelników Centralnych Składów Samochodowych i Centralnych Warsztatów Samochodowych przy wsparciu szefa Sekcji Samochodowej – Departament VIII Budownictwa MSWojsk rozkazem L. 6700/1 z 2 marca 1920 roku powołał „Komisję techniczną w sprawie najpilniejszych i niezbędnych potrzeb robót budowlanych Wojsk Samochodowych w Warszawie”[1].

Komisja w sprawie rozbudowy

W protokole komisji z 14 kwietnia 1920 r. napisano „Po rozpatrzeniu wniosków Sekcji Samochodowej, Komisja w zupełności podziela poglądy Sekcji Samochodowej, że całe terytorium, na którem się znajdują obecnie Centralne Składy Samochodowe, a należące do Towarzystwa Wschodniego mającego swą centralę w Moskwie, winno być wykupione, ewentualnie wywłaszczone na rzecz M.S.Wojskowych. Położenie tego terytorium tuż przy linjach [*sic!*] kolejowych z własną bocznicą, solidność budynków już istniejących do wykorzystania jako składy towarowe, obszar tego terytorium z ilością wolnego miejsca do dalszej rozbudowy składów, w zupełności się nadaje do powyższych celów, a odnaleźć w obecnym czasie inny taki komplet podobnych budynków było by [*sic!*] prawie niemożliwem.

Obecna pojemność istniejących budynków nie odpowiada właściwym potrzebom, wskutek czego bardzo cenne części zamienne samochodowe i różne materiały muszą być składane w pakach na dworze, pod gołym niebem, a więc wielomilionowy ten majątek narażony jest na poważne i wprost nieobliczalne straty, o ile nie będzie temu zaradzone natychmiast. Komisja uważa za rzecz nieodzownie pilną zbudowanie 3 magazynów długości po 60 mt. po 12 mt. szerokości, każdy rozdzielony na 3 części w podłuż z półkami po 7 rzędów. Magazyny te mogą być drewniane, kryte papą z odpowiednią izolacją ścian i jako takie w razie potrzeby mogą być rozebrane i przeniesione w inne miejsce. Jeden z tych magazynów może stanąć przed szeregiem trzech wielkich zbiorników naftowych, licząc od głównego wejścia na terytorjum [*sic!*] składów, a dwa inne przy uwzględnieniu warunków bezpieczeństwa pożarowego, z dostatecznem oddaleniem od siebie za temiż wielkiemi zbiornikami. Prócz tego nieodzownie potrzebny jest garaż, w którym by zarazem mogły być dokonywane i drobne reperacje, przynajmniej na 10 samochodów. Taki budynek o rozmiarach 44 mt. x 14 mt. może być dobudowany do istniejącego budynku, w którym mieści się obecnie warsztat ślusarski, jako jego przedłużenie. Teren, na którym mają stanąć składy i garaż, winien być wyrównany, a podwórze Centralnych Składów winno być wybrukowane, aby umożliwić ruch samochodowy na terytorjum [*sic!*] składów”[2].

Wnioski komisji, pracującej pod przewodnictwem urzędnika wojskowego VIII rangi Hieronima Mszczonowskiego z Departamentu Budownictwa MSWojsk, zbiegły się z oczekiwaniami naczelnika i załogi Centralnych Składów Samochodowych. Propozycję wybudowania trzech jednakowych drewnianych hal o wymiarach 60x13x6,5 m oraz budynku murowanego o wymiarach 44x14x6 m przeznaczonego na garaż i warsztaty



Centralne Składy Samochodowe, między 1919 a 1920 r.
Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

zaakceptował 27 kwietnia wiceminister spraw wojskowych gen. ppor. Kazimierz Sosnkowski. Niemniej przyznanie kredytu na realizację uzależnione było od opracowania szczegółowego kosztorysu. Wiceminister zastrzegł jednak, aby „projektowane budynki drewniane zastąpić murowanemi, gdyż jak doświadczenie poucza kalkulują się one w obecnej konjukturze [*sic!*] bardzo niewiele drożej, zaś stanowić będą cenniejszy i trwalszy wkład do własności państwowej”[3].

Działania w celu powiększenia zadaszonej powierzchni początkowo miały charakter prowizoryczny. Zajęto niewykorzystane jeszcze zabudowania i wyremontowano gruntownie 44 boksy garażowe.

Wobec znacznego napływu samochodów zdemontowanych i braku wolnego miejsca na terenach Składów w czerwcu 1920 r. dowództwo Centralnych Składów Samochodowych w porozumieniu z Sekcją Samochodową zajęło forty na Kamionku w warszawskiej dzielnicy Praga, organizując tam filię Wydziału Samochodów Zdemontowanych pod kierownictwem specjalnego magazyniera.

Ewakuacja, reewakuacja i rozwój

W drugiej połowie 1920 r., w czasie inwazji bolszewickiej na Warszawę, w Centralnych Składach Samochodowych nastąpiła przerwa w pracy spowodowana ewakuacją do Krakowa. Ten etap działań wojennych przeszkodził realizacji planów dalszej rozbudowy Składów. Po zwycięskiej Bitwie Warszawskiej, umożliwiającej powrót z Krakowa – Centralne Składy Samochodowe wznowiły działalność. Wskutek zniszczeń spowodowanych najazdem wojsk bolszewickiej Rosji warunki były wyjątkowo trudne. Sytuacja uległa polepszeniu, gdy w drugiej połowie 1921 r. z Francji i ze Szwajcarii nadeszły transporty ogumienia, a z Austrii i Włoch nowe samochody.

Planowe i systematyczne działanie rozpoczęło się dopiero w kwietniu 1921 r. po zawarciu pokoju w Rydze. W ciągu roku wykonano niezbędne prace remontowo-budowlane i porządkowe. Uporządkowano posesję b. Towarzystwa Wschodniego zajętą przez Centralne Składy Samochodowe, zniwelowano i wyrównano cały teren, przeprowadzono kapitalny remont ogrodzeń i budynków, doprowadzono wodę i elektryczność, a także zorganizowano rachunkowość, wprowadzając system kartoteki magazynowej i księgowości biurowej. W tym czasie kontynuowano budowę dwóch dużych magazynów murowanych dla największego działu części zamiennych. Prace trwały do 1922 r. niezależnie od



Angielski półgąsienicowy ciągnik Ruston z silnikiem 4-cylindrowym o mocy 75 KM (licencyjna wersja znanego Holta „Baby" amerykańskiej produkcji) w Centralnych Składach Samochodowych w Warszawie, 1920 r. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

działania Centralnych Składów Samochodowych na rzecz zaopatrzenia armii.

W 1922 r. w myśl rozkazu Wydziału Wojsk Samochodowych Departamentu IV MSWojsk zlikwidowano wydział samochodów nienadających się do użytku, przekazując je po oszacowaniu Ministerstwu Przemysłu i Handlu, gdzie powstał dział sprzedaży samochodów „Demat". Zostały zlikwidowane warsztaty montażowe i wulkanizacyjne Centralnych Składów Samochodowych, które przekazano do Centralnych Warsztatów Samochodowych.

Po reorganizacji Składy ukształtowano następująco: magazyn 1 przeznaczony na ogumienie, magazyn 2 – części zamienne, magazyn 3 – narzędzia, akcesoria i obrabiarki, magazyn 4 – surowce i półfabrykaty, magazyn 5 – samochody „czynne" i magazyn 6 – części zużyte.

Z dynamicznej, dużej jednostki naprawczo-magazynowej o istotnym znaczeniu państwowym, „Autoskład" przekształcił się w dobrze zorganizowaną bazę zaopatrzeniową, działającą dalej na rzecz armii, lecz już w odmiennych, pokojowych warunkach. Od maja 1922 r. naczelnikiem Centralnych Składów Samochodowych był płk Bronisław Koncewicz, a od sierpnia 1924 r. – mjr Stefan Krajewski.

W 1928 r. Centralne Składy Samochodowe funkcjonowały już pod zarządem Wojskowego Zakładu Zaopatrzenia Inżynierii. Wkrótce przekształcono je w Główną Składnicę Broni Pancernych, która zaopatrywała wszystkie jednostki i instytucje wojskowe w pojazdy mechaniczne. Działała ona jeszcze w pierwszych dniach tragicznego września 1939 r. ■

JAN TARCZYŃSKI działacz polskiej emigracji niepodległościowej w Wielkiej Brytanii, doktor historii, publicysta, dziennikarz, scenarzysta historycznych filmów dokumentalnych TVP S.A. Autor 30 książek i ponad 500 artykułów głównie o historii polskiej motoryzacji i emigracji niepodległościowej. Dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Członek Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Wiceprezes Polskiej Fundacji Kulturalnej w Wielkiej Brytanii, wydawcy „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" oraz „Tygodnia Polskiego". W 1996–2010 dyrektor Biura b. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie; w 2000–2012 w Londynie doradca prezesa Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, a w Polsce w 2008–2012 doradca szefa Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski (2008) i Srebrnego Krzyża Zasługi (1989, Londyn).

[1] Protokół „Komisji technicznej powołanej rozkazem Dept. VIII Budownictwa MSWojsk. L. 6700/1 z 20 marca 1920 r. w sprawie najpilniejszych i niezbędnych robót budowlanych Wojsk Samochodowych w Warszawie", Warszawa, 14 kwietnia 1920 r., WBH/CAW, I, 300.41.3. [2] Tamże, s. 3–4. [3] Tamże, s. 5.

Orzeł z monogramem Waleriana Łukasińskiego



Orzeł z czapki ucznia Gimnazjum im. Waleriana Łukasińskiego w Dąbrowie Górniczej. Wykonany przez Fabrykę Wyrobów Metalowych Goldberg i Kucyński w Sosnowcu.
Fot. Zbiory Tomasza Zawistowskiego

Niepozorny album z prywatnymi zdjęciami z lat trzydziestych XX w. zatytułowany *Buda i koledzy* pozwolił na rozwiązanie zagadki pochodzenia anonimowego dotąd orła z monogramem „GŁ".

TOMASZ ZAWISTOWSKI

W dniu rozpoczęcia kontrofensywy znad Wieprza, 16 sierpnia 1920 r., Rada Ministrów pracowała w normalnym trybie. Na liście powziętych tego dnia uchwał znalazł się zakaz noszenia przez urzędników i cywilnych funkcjonariuszy elementów mundurowych przysługujących wyłącznie wojskowym. Już sama data podpisania dokumentu wiele mówi o tym, jak bardzo kłopotliwy problem miał on rozwiązać. „Moda na wojsko" sprawiła, że mundurowi stylizowali swoje ubiory służbowe na militarne, przypasywali szable i zakładali oznaki stopni naśladujące dystynkcje oficerów liniowych. Trudno się temu dziwić, skoro wielu z nich miało za sobą służbę w szeregach takiej czy innej armii. Na załączonej do wspomnianego rozporządzenia liście elementów, których używania zakazano cywilom, znajdował się orzeł z tarczą amazonek.

Wojskowe orły z tarczami trafiały nie tylko na czapki urzędnicze; moda siłą rzeczy rozpowszechniła się wśród zawsze podatnej na wpływy młodzieży. Rozporządzeniem zakazano używania orłów wojskowych, ale godło państwowe jako takie na uczniowskich czapkach pozostało. Samorzutne początkowo dekorowanie czapek orłami legalizowały władze poszczególnych szkół, przede wszystkim stopnia średniego. W latach dwudziestych uczniowie znacznej części istniejących wówczas ośmioklasowych gimnazjów nosili na czapkach orły, najczęściej ozdobione monogramem patrona szkoły. Niektóre szkoły, pragnąc wyróżnić się na tle pozostałych, używających powtarzalnego rysunku godeł standardowych, projektowały własne, oryginalne oznaki. Autorami ich bywali nauczyciele, lecz znane są też przypadki rozpisywania konkursu wśród uczniów. Według obecnego stanu wiedzy można przyjąć, że pod koniec lat dwudziestych blisko 100 szkół średnich miało orły indywidualnego projektu, a w liczbie tej znajdowały się egzemplarze o naprawdę wysokim poziomie artystycznym. Kres epoce tych pięknych godeł położyła jędrzejewiczowska reforma szkolnictwa z 1932 r., która – modyfikując cały system szkolnictwa – ujednoliciła





Grupa uczniów Gimnazjum im. Waleriana Łukasińskiego w Dąbrowie Górniczej. Zdjęcie z albumu *Buda i koledzy* datowane na 1920 r. Na czapkach widoczne orły gimnazjalne.

też mundury i oznaki. Z początkiem roku szkolnego 1933/1934 zniknęły orły z czapek uczniowskich we wszystkich gimnazjach państwowych. Gimnazjom prywatnym pozostawiono możliwość wyboru między przyjęciem mundurków i oznak państwowych a zachowaniem własnych, pod warunkiem uprzedniego zatwierdzenia ich przez odpowiednie władze.

Orzeł z monogramem „GŁ”

Z wymienionej liczby blisko 100 oznak gimnazjalnych jedynie część – na szczęście większa – doczekała się identyfikacji i przypisania do konkretnych placówek; niektóre z nich mają nawet historię swego powstania. Cały czas istnieje jednak grupa orłów anonimowych, noszących monogramy rozpoczynające się od litery „S” – jak szkoła, bądź od „G” – jak gimnazjum, których pochodzenie pozostaje tajemnicą. Do niedawna należał do ich liczby przysadzisty, spójny w rysunku orzeł z monogramem wiązanym „GŁ” na piersi. Umieszczona na rewersie sygnatura sosnowieckiego wytwórcy pozwalała kojarzyć go ze Śląskiem, lecz wciąż nie było wiadomo, w której ze szkół go używano.

Wyjaśnienie zagadki przyniosło odnalezienie niewielkich rozmiarów albumu fotograficznego. Jego anonimowy właściciel zatytułował go treściwie *Buda i koledzy*, a do wnętrza wkleił kilkadziesiąt fotografii ze szkoły i ze szkolnych wycieczek. Z lakonicznych, ołówkowych zapisków autora wynika, że rok szkolny 1925/1926 spędził on w Gimnazjum Państwowym im. Stanisława Staszica w Sosnowcu, zaś w latach 1927–1932 był uczniem Gimnazjum im. Waleriana Łukasińskiego w Dąbrowie Górniczej. Na kilku zdjęciach widać chłopców w ciemnych, jednorzędowych mundurkach. Na czarno-białych odbitkach nie sposób określić koloru jasnych wypustek zdobiących ciemne, okrągłe, miękkie czapki, bez wątpienia jednak można rozpoznać charakterystyczny rysunek orła umieszczonego nad ich daszkami. Zagadka została rozwiązana. Monogram „GŁ” oznacza „Gimnazjum Łukasińskiego”.

Buda i koledzy

Na jednym ze zdjęć widać grupę uczniów, która stoi przed drewnianymi drzwiami prowadzącymi do murowanego budynku. Gmach ten zbudowano specjalnie na potrzeby dąbrowskiego Gimnazjum Męskiego, założonego w 1917 r. przez Antoniego Strzeleckiego jako ▶

czteroklasowe prywatne Gimnazjum im. Braci Śniadeckich, upaństwowionego w 1921 r. i przeniesionego do tegoż właśnie budynku w 1922 r. W tym samym roku gimnazjum otrzymało nowego patrona – mjr. Waleriana Łukasińskiego.

Żaden z „kolegów" ze zdjęcia nie poznałby dzisiejszej okolicy swojej dawnej „budy". Blokowisko z wielkiej płyty i parkingi, asfalt, beton i odrobina zieleni. W miejscu, gdzie stał budynek gimnazjum, nie biegnie już nawet ulica, która jeszcze w latach dwudziestych zmieniła nazwę z Fabrycznej na Łukasińskiego. Dzisiejszy jej przebieg na odległym od dawnej lokalizacji szkoły odcinku częściowo tylko pokrywa się z ówczesnym. Na trawniku pośród czternastopiętrowych bloków mieszkalnych skromny, czarny pomniczek upamiętnia miejsce, w którym stał budynek szkoły.

Na uwagę zasługuje związana z gimnazjum postać Franciszka Rembertowskiego, który przez wiele lat był nauczycielem rysunku w Gimnazjum im. Łukasińskiego oraz w drugiej dąbrowskiej szkole średniej, w Gimnazjum Żeńskim. Był on malarzem, absolwentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczniem – między innymi – Jacka Malczewskiego. Nie byłoby niczym dziwnym powierzenie przez dyrekcję szkoły zaprojektowania oznaki profesjonaliście, skoro taki był obecny na miejscu. Hipotezą opartą na wątłych przesłankach musi pozostać – na razie przynajmniej – przypisanie autorstwa projektu Rembertowskiemu, zamieszkałemu w nieodległym od Dąbrowy Górniczej Sosnowcu, lecz nie ulega wątpliwości fakt wyprodukowania orłów w tym właśnie mieście.



Uczeń Gimnazjum im. Waleriana Łukasińskiego w Dąbrowie Górniczej w mundurku i czapce z orłem. Jego kolega (może brat?) nosi polową bluzę i czapkę Korpusu Kadetów.
Fot. Zbiory Tomasza Zawistowskiego

Galmet w Sosnowcu

Miejsce przylutowania zapięcia orła wzmocnione zostało prostokątną blaszką z wypukło wytłoczonymi napisami: FABR. WYR. MET. / GOLDBERG I KUCYŃSKI / SOSNOWIEC. Jest to skrót nazwy firmy założonej w 1902 r. (taka data została podana we wpisie umieszczonym w katalogu Wystawy Przemysłowo-Rolniczej zorganizowanej w Częstochowie w 1909 r.) przez S. Goldberga i J. Kucyńskiego. Przedsiębiorstwo zatrudniające początkowo zaledwie kilka osób rozrastało się energicznie; we wspomnianym katalogu wystawy odnotowano, że miało już dwa motory elektryczne o sile 3,5 KM. Fabryka Wyrobów Metalowych Goldberga i Kucyńskiego przetrwała I wojnę światową i doczekała się odzyskania przez Polskę niepodległości, choć akurat lata wojny były trudne dla zakładów przemysłowych Królestwa Polskiego tracących możliwości zbytu na chłonnym dotąd rynku rozpadającego się właśnie imperium carów. W okresie międzywojennym firma produkowała metalowe oznaki, odznaki, odznaczenia, plakiety rajdów motorowych, a także papierośnice, ozdoby metalowe i wiele akcesoriów codziennego użytku, z których część chroniona była jako wzory zdobnicze zarejestrowane w Urzędzie Patentowym Rzeczypospolitej Polskiej. Z biegiem lat stała się bez mała monopolistą w zakresie produkcji wyrobów falerystycznych dla odbiorców z województwa śląskiego. W końcu lat dwudziestych zmieniła nazwę na Fabryka Galanterii Metalowej Goldberg i Kucyński, od 1931 r. zwała się „Galmet" Goldberg i Kucyński, a w 1934 r. reklamowała się już po prostu jako „Galmet". Pod tą nazwą dotrwała do roku 1939, rozrósłszy się w tym czasie do stanu zatrudnienia



Powierzchnia robocza matrycy do produkcji orłów gimnazjalnych firmy Galmet, odnaleziona w latach sześćdziesiątych XX w.
Fot. Zbiory Tomasza Zawistowskiego



100 osób. Kolejnej wojny światowej wraz z następującą po niej zmianą ustroju nie przetrwała. W „Śląsko-Dąbrowskim Dzienniku Wojewódzkim" z 1949 r. jest informacja o przejęciu na własność państwa firmy „Galmet" z rąk właścicieli: Chawy Lajberg i Gołdy Kucyńskiej, zamieszkałych na terenie zakładu, przy ulicy Przejazd 3. Tak zakończyła się trwająca blisko pół wieku historia słynnego sosnowieckiego przedsiębiorstwa, które, pośród ogromnej liczby innych wyrobów, wyprodukowało serię orłów dla uczniów Gimnazjum im. Waleriana Łukasińskiego.

Nietypowy patron

„Któż w Polsce nie słyszał o majorze Łukasińskim? Ale któż o nim ściślejszą powziął wiadomość? On był z szarego tłumu. [...] Pozostał on po dziś dzień czemś w rodzaju Maski Żelaznej. Sama postać błąka się na uboczu naszych dziejów porozbiorowych, jak blady, mglisty, zagadkowy cień. Pewnego dnia wzięto tego człowieka od swoich, od ludzi, gdzieś go męczono, gdzieś pogrążono na półwieku, na zawsze, i gdzieś wreszcie pochowano". Tak w roku 1908 pisał o Walerianie Łukasińskim jego biograf, profesor Uniwersytetu Lwowskiego Szymon Askenazy. Miał mocne podstawy do wyrażenia takiej opinii. O ile współczesne Łukasińskiemu postaci z kart dziejów Powstania Listopadowego (czy, jak piszą wyżej kwalifikujący nasz ówczesny zryw Rosjanie, wojny polsko-rosyjskiej lat 1830/1831) bez mała od razu trafiły do panteonu bohaterów narodowych niezależnie od wartości i prawdziwości zasług, o tyle oficer, któremu za działalność patriotyczną przyszło spędzić 46 lat życia w więzieniu, został właściwie zapomniany. Dopiero wiek XX przyniósł zmianę tej sytuacji, choć fałsz i licentia poetica walczyły o lepsze z faktami. Stanisław Wyspiański, zamykając dramatycznym akcentem *Noc listopadową* wydaną w 1904 r., kazał więźniowi siedzieć w podziemiach Belwederu, a nie w koszarach wołyńskich, w których ten w rzeczywistości pamiętnej nocy przebywał. Bodaj pierwszym upamiętnieniem Łukasińskiego było przyjęcie go za patrona przez żeńską II Lwowską Drużynę Skautów w roku 1912. Po odzyskaniu niepodległości nazwano jego imieniem kilka ulic, postawiono mu pomnik w Zgierzu, a na ścianie jego celi w Zamościu wmurowano tablicę pamiątkową projektu ppłk. Stanisława Kozubka. W filmie *Księżna Łowicka* mjr. Łukasiński – grany przez Józefa Węgrzyna – zakochał się, co gorsza z wzajemnością, w Joannie Grudzińskiej, w roli której wystąpiła Jadwiga Smosarska. Ten kuriozalny romans zrodził się w fantazji Wacława Gąsiorowskiego, którego zekranizowana w 1932 r. powieść *Księżna Łowicka* ukazała się drukiem jak na urągowisko akurat w roku 1908, tym samym, który przyniósł czytelnikom pomnikową biografię Łukasińskiego pióra Szymona Askenazego.

Majora Waleriana Łukasińskiego dostrzeżono jako bohatera narodowego zbyt późno, by w latach międzywojennych mógł stać się powszechnie znaną postacią. Dąbrowskie gimnazjum, przyjąwszy go w 1922 r. za patrona, było do wybuchu wojny jedyną szkołą jego imienia. Dla porównania: bracia Śniadeccy, wcześniejsi patroni tej samej placówki, mieli za czasów II RP przynajmniej trzy szkoły imienia ich obu, ponadto samego Jędrzeja jeszcze cztery, a Jana – dwie. Monarchowie patronowali zazwyczaj kilku gimnazjom; królowa Jadwiga – ośmiu, król Władysław Jagiełło – siedmiu. Swoistymi rekordzistami byli Maria Konopnicka, Tadeusz Kościuszko i Adam Mickiewicz – po piętnaście patronatów na osobę. Mikołaj Kopernik, Henryk Sienkiewicz i Stanisław Staszic również osiągnęli wynik powyżej dziesięciu placówek każdy. Majorowi Walerianowi Łukasińskiemu przyszło patronować jednej tylko szkole, w dodatku w miejscowości, której prawdopodobnie nigdy nie odwiedził. Czy rzeczywiście suum cuique? ■

TOMASZ ZAWISTOWSKI miłośnik historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego. Autor pięciotomowego opracowania *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945.*



Żołnierze Wyklęci 1863 r. z Góry Giedymina

Zanim weterani Powstania Styczniowego doczekali się należnego im szacunku, przez blisko 60 lat byli niczym Żołnierze Wyklęci swoich czasów.



Franciszek Streitt, „Spowiednik skazanych na śmierć”.
Fot. Tadeusz Rutkowski, *Rok 1863 w malarstwie polskim. 63 reprodukcyi*, Lwów – Warszawa 1917

KAROL JADCZYK

Józef Piłsudski w jednym z rozkazów (z 21 stycznia 1919 r.) skierowanych do odradzającego się Wojska Polskiego pisał: „Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 1863 r. są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski, walczącej o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy”[1]. Jednocześnie na mocy tego rozkazu weterani 1863 r. stali się oficerami II Rzeczypospolitej, a żołnierze późniejszych formacji zobowiązani byli oddawać im honory. Powstańcy styczniowi stali się autorytetami moralnymi II RP, odegrali niezwykle ważną rolę w wychowaniu następnego pokolenia – tego, które broniło Westerplatte, walczyło na barykadach Powstania Warszawskiego i zdobywało Monte Cassino, wreszcie prowadziło nierówną walkę z okupantem sowieckim w okresie II konspiracji w latach 1944–1963. Bez ich wpływu historia Polski byłaby inna. Lecz zanim weterani Powstania Styczniowego doczekali się należnego im szacunku, przez niemal 60 lat byli niczym Żołnierze Wyklęci swoich czasów.

Nieznane miejsca pochówków

Pomimo upływu ponad 150 lat wiele faktów z czasów Powstania Styczniowego pozostaje spowite mgłą tajemnicy. Partyzancki charakter powstania, ponad 1200 stoczonych bitew i potyczek oraz setki miejsc straceń rozsianych na znacznej przestrzeni Królestwa Polskiego i Kresów Wschodnich, naprędce usypywane prowizoryczne groby, zacieranie śladów egzekucji przez zaborcę, przy jednoczesnym niedoborze materiałów źródłowych nie ułatwia badaczom zadania. Najwięcej trudności historykom nastręcza kwestia identyfikacji wielu uczestników walk zrywu styczniowego oraz zlokalizowania miejsc ich pochówku. Władze carskie, podobnie jak późniejsze władze komunistyczne, wykonując egzekucje znaczących osobistości powstańczych, pilnowały, by nie powstawały miejsca kultu. Stąd też ich szczątki wrzucone niegdyś w pośpiechu do wykopanej jamy grobowej, posypane wapnem i pozostawione bez żadnego śladu pochówku, przez dziesiątki lat czekały, a niektóre nadal czekają na swe odkrycie. Do dziś ziemia skrywa miejsca wiecznego spoczynku członków ostatniego powstańczego Rządu Narodowego rozstrzelanych 5 sierpnia 1864 r. na stokach Cytadeli Warszawskiej z Romualdem Trauguttem na czele, a także wielu wybitnych naczelników wojskowych zrywu styczniowego, jak: Zygmunt Padlewski, Zygmunt Zwierzdowski „Topór”, ks. Stanisław Brzóska, Zygmunt Chmieleński i Matwiej Bezkiszkin. Szczątki dziesięciu nieznanych mężczyzn zostały co prawda dwukrotnie odnalezione (pięciu w 1920 i kolejnych pięciu w 1936 r.), nie udało się jednak potwierdzić, że należą one do członków powstańczego Rządu Narodowego: Romualda Traugutta, Jana Jeziorańskiego, Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego i Romana Żulińskiego.

Jedno z takich cmentarzysk powstańców styczniowych właśnie odkryli archeolodzy litewscy na Górze Zamkowej w Wilnie, zwanej Górą Giedymina. Prace wykopaliskowe prowadzone w latach 2017–2019, przy wykorzystaniu nowoczesnych technologii, pozwoliły na odnalezienie szczątków 20 uczestników walk o niepodległość Polski w latach 1863–1864. Szczątki zostały złożone bez trumien, ze związanymi rękami i posypane wapnem. W grobach były strzępy ubrań, butów, pasów, a także guziki i medaliki. Nasuwa się naturalnie wiele pytań: Kim byli owi powstańcy? Z jakiego powodu trafili na szafot? Z czyjego polecenia i w jakich okolicznościach zostali straceni przed ponad 150 laty?

Dotychczas z analiz różnego rodzaj źródeł pisanych wynikało, że na wileńskim placu Łukiskim Rosjanie w latach 1863–1864 przeprowadzili 21 egzekucji powstańców styczniowych. Wiele wskazuje na to, że to ich szczątki odnaleźli litewscy archeolodzy.

Straceni powstańcy

Pierwszym straconym na placu Łukiskim był ks. Stanisław Iszora, rozstrzelany 22 maja/3 czerwca 1863 r. (pierwsza data według kalendarza juliańskiego stosowanego w Rosji, druga według gregoriańskiego używanego w pozostałych krajach Europy), ostatnim zaś Wincenty Konstanty Kalinowski, który zawisł na carskiej szubienicy 10/22 marca 1864 r. Z informacji pochodzących od naocznych świadków tamtych wydarzeń, przekazywanych następnie z pokolenia na pokolenie, wynikało, że powieszeni i rozstrzelani powstańcy styczniowi byli grzebani w bezimiennych grobach w pobliżu miejsca kaźni. Przez wiele dziesięcioleci dominowało przeświadczenie, że straceni na Łukiszkach zostali pochowani na szczycie Góry ▶

Trzykrzyskiej (Trzech Krzyży), na prawym brzegu rzeki Wilejki. W 1889 r. potomek jednego ze straconych, prof. Józef Ziemacki, na podstawie relacji anonimowej mieszkanki Wilna, żony oficera rosyjskiego, obecnej przy egzekucji ks. Rajmunda Ziemackiego 24 maja/ 5 czerwca 1863 r., pisał: „Ciała ich obu [ks. Rajmunda Ziemackiego i Alberta Laskowicza] wrzucono natychmiast po egzekucji do dołów, zawczasu przygotowanych przed słupami, do których byli skazańcy uwiązani. Ciała zasypano ziemią; dół wyrównano”[2]. Kiedy jednak świadkowie egzekucji zniknęli, Rosjanie pod osłoną nocy, w tajemnicy przed rodzinami, wykopali zwłoki skazańców i z placu św. Jakuba przewieźli: „na Górę Trzykrzyską, do reduty, która była usypana na samym wierzchołku góry i w której były ustawione podczas powstania roku 1863 armaty, zwrócone ku miastu. Ciała złożone zostały na wierzchołku Góry Trzykrzyskiej do mogił przygotowanych zawczasu wzdłuż północnego wału reduty. W reducie tej, u południowego jej brzegu, stały trzy drzewa, a za nimi o jeden lub dwa kroki trzy wysokie krzyże”[3]. Owe trzy drewniane krzyże przetrwały do 1869 r. Gdy się zawaliły ze starości, władze carskie nie pozwoliły ich odbudować. Nowe betonowe, według projektu Antoniego Wiwulskiego, powstały w tym samym miejscu dopiero w 1916 r. „Po pogrzebie – podawał dalej Józef Ziemacki – określiła ona bardzo ściśle pozycję mogił. Wiedziała, że miejsce pogrzebania zwłok straconych stanowi wielką tajemnicę. Miała sobie nakazane absolutne milczenie i dlatego to powstała w jej głowie myśl, ażeby choć na przyszłość ściśle oznaczyć to miejsce, a że noc była jasna i gwiazdy świeciły, więc mogła doskonale określić strony świata i zapamiętała wyraźnie sytuację: od wschodniego krzyża 17 kroków, wprost na północ wypada mogiła ks. Ziemackiego, na lewo od niego, tj. ku zachodowi – Laskowicza, a jak się dowiedziała od narzeczonego, na prawo od ks. Ziemackiego – mogiła ks. Iszory, straconego parę dni przedtem. Mogiły następujących skazańców – a było ich wielu – położone są w porządku chronologicznym na lewo, tj. ku zachodowi”[4]. Władysław Zahorski, lekarz i badacz historii Wilna, w wydanym w 1927 r. *Przewodniku po Wilnie* odnotowywał: „W r. 1863 na Górze Trzykrzyskiej pogrzebano ciała niektórych uczestników powstania, straconych na Łukiszkach, między innymi ks. Ziemackiego”[5]. Informacje te nasuwały naturalnie przypuszczenia, że obok wzmiankowanych: Alberta Laskowicza oraz księży Rajmunda Ziemackiego i Stanisława Iszory owe tajemnicze cmentarzysko skrywa również szczątki innych litewskich insurgentów straconych na placu Łukiskim. W tym tak sztandarowe postacie Powstania Styczniowego na Litwie, jak: Zygmunt Sierakowski „Dołęga” – przywódca zrywu styczniowego na Żmudzi i naczelnik wojenny województwa kowieńskiego, stracony 15/27 czerwca 1863 r., oraz Wincenty Konstanty Kalinowski – najpierw komisarz Rządu Narodowego na województwo grodzieńskie, a następnie komisarz pełnomocny na całą Litwę, powieszony w tym miejscu 10/22 marca 1864 r. Z czasem jednak jako miejsce pochówku powstańców z lat 1863–1864 straconych na Rynku Łukiskim w Wilnie częściej zaczęto wskazywać Górę Zamkową, zwaną inaczej Górą Giedymina.



Zygmunt Sierakowski.
Fot. Domena publiczna

Rozwiązanie zagadki

Zawierucha II wojny światowej, a następnie komunistyczne rządy na Litwie sprawiły, że przez kolejne dziesięciolecia sprawa ta nie znalazła rozwiązania. I byłoby tak zapewne dalej, gdyby nie nowy przypadkowy trop, który pojawił się w 2017 r. Do odkrycia zbiorowego grobu ofiar carskiego terroru nie doszłoby, gdyby nie osunięcie się zboczy wileńskiej góry. Jak się jednak okazało nie Góry Trzykrzyskiej, lecz Góry Giedymina, umiejscowionej po przeciwnej, lewej stronie rzeki Wilejki. Gdy na początku 2017 r. rozpoczęto prace mające na celu zabezpieczenie zboczy przed dalszym osuwaniem, odkryto szkielety ludzkie. Przeprowadzone w latach 2017–2019 prace archeologiczne wykazały, że odnaleziona zbiorowa mogiła kryje szczątki 20 powstańców styczniowych straconych niegdyś na placu Łukiskim na rozkaz generała-gubernatora wileńskiego Michaiła Murawjowa, zwanego przez Polaków „Wieszatielem”. Odkrycie to udowodniło, że przytoczone przekazy źródłowe były nie do końca ścisłe bądź też Rosjanie, obawiając się odkrycia śladów zbrodni, dokonali powtórnego przeniesienia szczątków ofiar.

Oględziny i analiza znalezionych przy zwłokach przedmiotów oraz przeprowadzenie szczegółowych badań antropologicznych kości, a w niektórych przypadkach również badań genetycznych (DNA) pozwoliło na identyfikację wszystkich wydobytych z ziemi szkieletów. Dotychczasowe przypuszczenia potwierdziły się, wśród zwłok znalazły się również szczątki gen. Zygmunta Sierakowskiego



Ludomir Benedyktowicz, „Nad mogiłą powstańca”.
Fot. Tadeusz Rutkowski, Rok 1863 w malarstwie polskim. 63 reprodukcyi, Lwów – Warszawa 1917

i Wincentego Konstantego Kalinowskiego.

Sierakowskiego i Kalinowskiego wiele łączyło. Obaj wywodzili się ze zubożałych rodzin o rodowodzie szlacheckim, urodzili się na tzw. ziemiach zabranych, czyli terenach I Rzeczypospolitej włączonych w wyniku rozbiorów w granice Cesarstwa Rosyjskiego. Wcześnie stracili jednego z rodziców – pierwszy ojca, drugi matkę. Zygmunt Erazm Gaspar Józef Sierakowski, h. Dołęga (stąd późniejszy pseudonim w czasie powstania), syn Ignacego, dzierżawcy majątków, i Fortunaty z Morawskich, urodził się 19 maja 1827 r. w Lisewie lub jak podają inne źródła 26 maja 1826 r. w Łuszczach w guberni wołyńskiej, a młodszy od niego o 11 lat Wincenty Konstanty Kalinowski, h. Kalinowa, syn Szymona i Weroniki Rybińskiej, przyszedł na świat 2 lutego 1838 r. w Mostowlanach w powiecie wołkowyskim, guberni grodzieńskiej.

Zygmunt Sierakowski

Zygmunt Sierakowski, po śmierci ojca, który poległ w bitwie pod Latyczowem w 1831 r., pierwsze lata życia spędził wraz z matką i dwojgiem rodzeństwa u babki Marii Morawskiej. Gdy babka zmarła, rodzina Sierakowskich zamieszkała w Żytomierzu u wuja Zygmunta Kajetana Celermantha, podobnie jak ojciec, powstańca listopadowego, uczestnika walk pod Grochowem i Ostrołęką. Wpajanie od dziecka przez matkę, babkę i wuja wzorców patriotycznych nie pozostało bez wpływu na przyszłe losy chłopca. W 1843 r. Zygmunt ukończył gimnazjum w Żytomierzu, dwa lata później rozpoczął studia na Uniwersytecie Petersburskim, najpierw na wydziale matematycznym, a następnie prawno-administracyjnym. Początkowo nic nie znamionowało, że Zygmunt wybierze drogę wojskową. Zadecydowało o tym bowiem jedno zdarzenie. W 1848 r. aresztowały go władze carskie za nielegalną próbę przekroczenia granicy rosyjsko-austriackiej. W konsekwencji został skazany na bezterminową służbę wojskową w tzw. rotach aresztanckich w orenburskim korpusie karnym za Uralem. Spędził tam osiem lat, aż do tzw. amnestii po śmierci cara Mikołaja I. W 1856 r. w randze chorążego (praporszczyka) powrócił do Petersburga, a w sierpniu 1857 r. został przyjęty do tamtejszej elitarnej Akademii Sztabu Generalnego, którą ukończył z wyróżnieniem w 1859 r. Pomimo poniesionej kary rozpoczętą jeszcze w czasach studenckich działalność patriotyczną kontynuował na uczelni wojskowej, zakładając konspiracyjne Koło Oficerów Polskich, które zrzeszało kilkuset oficerów armii carskiej. Związek zakładał walkę z caratem i przygotowywanie kadr dla przyszłego powstania. Zygmunt Sierakowski 11 sierpnia 1862 r wziął w kościele ▶



Franciszek Streitt, „Pożegnanie skazańca”. Fot. Tadeusz Rutkowski, Rok 1863 w malarstwie polskim. 63 reprodukcyi, Lwów – Warszawa 1917

farnym pw. św. Jerzego w Kiejdanach ślub z poznaną wcześniej w Wilnie Apolonią Dalewską. Przez władze konspiracyjne stronnictwa „czerwonych” przewidziany był na dowódcę powstańczego na Litwie. Gdy na dobre rozgorzały walki partyzanckie na tym terenie, Sierakowski, wówczas w stopniu kapitana, porzucił w marcu 1863 r. mundur armii carskiej i przeszedł na stronę powstania. Przyjął z ramienia Rządu Narodowego stanowisko naczelnika sił zbrojnych województwa kowieńskiego i objął dowództwo nad (liczącymi 400–500 osób) połączonymi oddziałami Bolesława Kołyszki i ks. Antoniego Mackiewicza. Początkowo – pomimo braku wyszkolenia i złego uzbrojenie – Sierakowskiemu udało się odnieść drobne sukcesy w starciach pod Ginietynami 21 kwietnia 1863 r. i dwa dni później pod Korsakiszkami. Po rozbudowaniu swojego oddziału do ok. 2600 ludzi wyruszył na jego czele w kierunku Kurlandii, aby przejąć transport broni, który miał tam dotrzeć drogą morską. Na trasie jego marszu stanęła nieoczekiwanie kolumna wojsk rosyjskich dowodzona przez gen. Iwana Ganeckiego. W wyniku trzydniowego starcia, do którego doszło w dniach 7–9 V 1863 r. pod Birżami, partia powstańcza została rozbita i uległa rozproszeniu. Ciężko rannego w kość pacierzową Sierakowskiego przewieziono do dworu Ildefonsa Kościałkowskiego w Skrobiszkach. Tam otoczyli go Rosjanie i wzięli do niewoli. Przewieziony do szpitala św. Jakuba w Wilnie miał pogruchotane żebra i wyrostki kręgów lędźwiowych, gorączkował i często tracił przytomność. Mimo to w czasie śledztwa nie obciążył zeznaniami nikogo, a do żony Apolonii apelował: „aby żadnych kroków w celu ocalenia jego nie przedsiębrała, bo te nie mogą nic pomóc, tylko by jej i jemu ubliżyły”[6]. Pomimo licznych interwencji członków rodziny, jego przyjaciół oraz ważnych osobistości, które niegdyś poznał, między innymi polityka i przywódcy walk o zjednoczenia Włoch, Giuseppe Garibaldiego oraz ambasadora Wielkiej Brytanii w Petersburgu, lorda Francisa Napiera – ówczesny generał-gubernator wileński Michaił Murawjow pozostał niewzruszony. Sąd wojskowy wydał werdykt 11/23 czerwca 1863 r. Sierakowskiego skazano

na karę śmierci przez rozstrzelanie. Murawjow zatwierdził wyrok śmierci, zmieniając jednocześnie formę egzekucji na powieszenie, co było dla człowieka pochodzenia szlacheckiego i zarazem byłego oficera armii rosyjskiej wyjątkowo hańbiące. Egzekucję wykonano 15/27 czerwca 1863 r. na placu Łukiskim w Wilnie. „Wieszatiel" nie oszczędził również najbliższych powstańczego generała. Żona Zygmunta Sierakowskiego, Apolonia, będąca przy nadziei, musiała najpierw oglądać egzekucję męża, a w 1864 r. została wywieziona w głąb Rosji. Przebywała kolejno w Nowogrodzie, Borowiczach, Moskwie i Samarze. Konsekwencją zsyłki była śmierć trzyletniej córeczki Sierakowskich Zygmunty (nazwanej tak na cześć ojca), do której doszło w 1866 r. w Samarze. Szwagra Zygmunta, brata Apolonii – Tytusa Dalewskiego, za udział w powstaniu Rosjanie rozstrzelali na tym samym placu Łukiskim 30 grudnia 1863/ 11 stycznia 1864 r.

Ciała Zygmunta Sierakowskiego nigdy nie wydano rodzinie, pochowano go potajemnie w obrębie wileńskiej cytadeli, zacierając wszelkie ślady. Szczątki bohatera bez trumny, ze związanymi z tyłu rękami, posypane wapnem spoczęły na kilkanaście dziesięcioleci w bezimiennym grobie. Dopiero teraz, po upływie ponad 150 lat, udało się je odnaleźć w zbiorowej mogile na Górze Giedymina. W identyfikacji gen. Zygmunta Sierakowskiego, oprócz analizy kości, w tym kości twarzy, pomogło odnalezienie przy jego szczątkach obrączki ślubnej z wygrawerowanymi imionami nowożeńców: Zygmunt i Apolonia oraz datą ich ślubu: 11 sierpnia/ 30 lipca 1862 r.

Wincenty Konstanty Kalinowski

Podobnie wyglądały pierwsze lata życia drugiego z przywódców Powstania Styczniowego na Litwie Wincentego Konstantego Kalinowskiego. Po śmierci matki, kiedy rodzina Kalinowskich mieszkała w folwarku Jakuszówka, wychowaniem małoletniego Konstantego zajmowała się macocha. Pierwsze kroki na drodze edukacji zdobywał w położonej niedaleko Świsłoczy, gdzie w latach 1846/1847–1854/1855 ukończył tamtejsze gimnazjum. Następnie przeniósł się do swojego brata Wiktora Ottona do Moskwy, a w 1856 r. rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Petersburskiego. Podczas trwającej kilka lat nauki zaangażował się w działalność konspiracyjną skierowaną przeciwko caratowi. W 1861 r. otrzymał dyplom i powrócił do guberni grodzieńskiej. Kalinowski początkowo starał się o posadę w kancelarii generała-gubernatora wileńskiego Władimira Nazimowa, gdy jej nie otrzymał, wznowił działalność konspiracyjną. Wykorzystując doświadczenie z czasów studenckich w pracy nielegalnych kółek w Petersburgu, stworzył grodzieńską organizację rewolucyjną, zbliżoną ideologicznie do narodników – radykalnych rewolucjonistów rosyjskich. Celem organizacji było przygotowanie zbrojnego powstania przeciwko caratowi. Od lipca 1862 r. wraz z Feliksem Różańskim, Walerym Wróblewskim i kilku innymi spiskowcami zaczął wydawać pierwsze pismo w języku białoruskim o znamiennym tytule: „Mużyckaja Prauda" („Chłopska Prawda"). Gdy Powstanie Styczniowe ogarnęło tereny dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, młody konspirator zaangażował się w działalność „czerwonego" Komitetu Prowincjonalnego Litewskiego, przekształconego z czasem w Wydział Zarządzający Prowincjami Litwy z siedzibą w Wilnie, w ramach którego objął stanowisko komisarza Rządu Narodowego na województwo grodzieńskie. Później pełnił funkcję komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego na całą Litwę, dzięki czemu zyskał władzę w strukturach powstańczych na wschodnich terenach I Rzeczypospolitej.

W ostatnim okresie działalności powstańczej Kalinowski ukrywał się w Wilnie, pod przybranym nazwiskiem Ignacy Witożeniec w gmachu gimnazjum rządowego przy ulicy Uniwersyteckiej. Mieszkając w samym centrum miasta, tuż przy pałacu cesarskim, ówczesnej siedzibie Murawjowa, i wiodąc życie statecznego obywatela, nie wzbudzał podejrzeń władz carskich. Dopiero na skutek denuncjacji niejakiego Parafianowicza Rosjanie wpadli na trop Kalinowskiego i w nocy z 9 na 10 lutego 1864 r. (według kalendarza gregoriańskiego) dokonali jego aresztowania. Osadzono go w murach klasztoru podominikańskiego przy ulicy Dominikańskiej, gdzie nazajutrz po aresztowaniu rozpoczęła działalność komisja śledcza. Przesłuchania trwały równo miesiąc. Komisja naciskana przez Murawjowa czyniła zabiegi, by wydobyć z aresztanta jak najwięcej informacji, przede wszystkim zaś ustalić nazwiska współpracowników. Kalinowski pozostał nieugięty. Zeznawał ogólnikowo, głównie brał winę na siebie, wspominał jedynie o osobach nieżyjących lub przebywających już na emigracji. Śledztwo zakoń- ▶



Michaił Murawjow.
Fot. Domena publiczna



Antoni Piotrowski, „Rozstrzelanie skazańca w Cytadeli Warszawskiej”.
Fot. Tadeusz Rutkowski, Rok 1863 w malarstwie polskim. 63 reprodukcyi, Lwów – Warszawa 1917

czono 26 lutego/10 marca 1864 r., a trzy dni później, 1/13 marca 1864 r., rozpoczął się proces, w którym Kalinowski był sądzony na zasadach polowego sądu wojennego. Decyzją sądu z 2/14 marca 1864 r.: „za przyjęcie stanowiska członka rewolucyjnego Komitetu Litwy, a potem głównego naczelnika powstania w tutejszym kraju, a więc zdradę cesarstwa i skłanianie mieszkańców do buntu”[7] został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Podobnie jak w przypadku Zygmunta Sierakowskiego, na polecenie Murawjowa, dwa dni później zmieniono wyrok na śmierć przez powieszenie. O godz. 10.30 dnia 10/22 marca 1864 r. na placu Łukiskim w Wilnie przywódca Powstania Styczniowego na Litwie stanął przed przygotowaną dla niego szubienicą. Według relacji naocznych świadków, tuż przed śmiercią miał wykrzyczeć słowa: „U nas nie ma szlachty, my wszyscy równi!”.

Odnalezieni po latach

Po przeszło 150 latach udało się również zidentyfikować szczątki pozostałych 18 powstańców. W gronie straconych przez władze carskie na placu Łukiskim i potajemnie pochowanych na Górze Zamkowej znaleźli się: ks. Rajmund Ziemacki (ur. 1810), wikariusz kościoła św. Rafała w Wilnie w latach 1837–1849, a następnie proboszcz w Wawiorce w powiecie lidzkim, oraz Albert Laskowicz (ur. 1840), obywatel ziemski z powiatu lidzkiego – obaj rozstrzelani 24 maja/ 5 czerwca 1863 r.; Bolesław Kołyszko (ur. 1837), wychowanek Polskiej Szkoły Wojskowej w Genui i Cuneo, dowódca powstańczy na Żmudzi, powieszony 28 maja/ 9 czerwca 1863 r.; Julian Leśniewski (ur. 1835), ekonom z majątku hr. Grabowskiego w powiecie lidzkim, rozstrzelany 10/22 czerwca 1863 r.; bracia Aleksander i Józef Rewkowscy, obaj żandarmi narodowi z Wilna, powieszeni 5/17 sierpnia 1863 r.; Karol Sipowicz i Józef Jabłoński, oskarżeni o przynależność do żandarmerii narodowej w Wilnie i udział w zamachu na marszałka szlachty guberni wileńskiej Aleksandra Domejkę, powieszeni 7/19 sierpnia 1863 r.; Henryk Makowiecki, były chorąży korpusu leśniczych, rozstrzelany 17/29 sierpnia 1863 r.; Jan Bieńkowski (ur. 1837), felczer rodem z Warszawy; Jan Marczewski, mieszczanin, felczer z Królestwa Polskiego; Edward Czapliński, uczeń aptekarski z guberni kowieńskiej – wszyscy trzej członkowie powstańczej żandarmerii narodowej, tzw. sztyletnicy, powieszeni 28 sierpnia/ 9 września 1863 r. za zamach na Aleksandra Domejkę; Władysław Nikolai, podporucznik wojsk rosyjskich, rozstrzelany 13/25 września 1863 r. za służbę w partii powstańczej; Kazimierz Syczuk, żołnierz rosyjskiej artylerii fortecznej, rozstrzelany 10/22 grudnia 1863 r. za udział w powstaniu; Mieczysław Dormanowski, członek organizacji narodowej w Wilnie, i Ignacy Zdanowicz (ur. 1840), były student prawa Uniwersytetu w Petersburgu, członek organizacji narodowej – powieszeni 21 grudnia 1863/ 2 stycznia 1864 r.; Tytus Dalewski (ur. 1840), brat Apolonii, żony Zygmunta Sierakowskiego, członek Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy i najbliższy współpracownik Wincentego Konstantego Kalinowskiego, rozstrzelany 30 grudnia 1863/ 11 stycznia 1864 r., i Jakub Czechan, szeregowiec armii rosyjskiej, rozstrzelany 1/13 stycznia 1864 r. za służbę w oddziale powstańczym. Spośród 21 powstańców styczniowych pochowanych na Górze Giedymina w Wilnie nie udało się dotąd odnaleźć szczątków ks. Stanisława Iszory (ur. 1838), straconego 22 maja/3 czerwca 1863 r. za odczytanie z ambony manifestu Rządu Narodowego.

Na cmentarzu Na Rossie w Wilnie 22 listopada 2019 r. odbyły się uroczystości pogrzebowe wymienionych bohaterów Powstania Styczniowego, w których udział wzięli prezydent RP Andrzej Duda, prezydent Litwy Gitanas Nausėda i wicepremier Białorusi Ihar Pietryszenka.

Cześć i chwała bohaterom powstańczego zrywu! ■

KAROL JADCZYK doktor nauk humanistycznych, historyk, kustosz Działu Zbiorów Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Specjalizuje się w biografistyce i historii wojskowości Powstania Styczniowego. Autor książki: *Dowódcy powstania styczniowego. Portret zbiorowy* i artykułów związanych z tematyką powstania publikowanych na łamach: „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Historica”, „Rocznika Łódzkiego”, „Przeglądu Historyczno-Wojskowego” oraz „Niepodległości i Pamięci”, współautor pracy: *Powstanie styczniowe w Łodzi i regionie. Studia i materiały.*

[1] Cytat za: http://www.jpilsudski.org/przemowienia-odezwy-rozkazy/1270-rozkaz-jozefa-pilsudskiego-w-rocznice-powstania-styczniowego-21-stycznia-1919-r. [dostęp: 14.01.2020]. [2] Cytat za: L. Narkowicz, *Pamięci księdza Rajmunda Ziemackiego*: http://archiwum2000.tripod.com/471/narkow.html [dostęp: 14.01.2020]. [3] Tamże. [4] Tamże. [5] W. Zahorski, *Przewodnik po Wilnie*, Wilno 1927 (brak numeracji stron). [6] J. Sawicki-Stella, *Ludzie i wypadki z 1861–1865. Obrazki z powstania*, cz. I, Lwów 1894, s. 145. [7] Cytat za: W. Kordowicz, *Konstanty Kalinowski*, Warszawa 1955, s. 266.

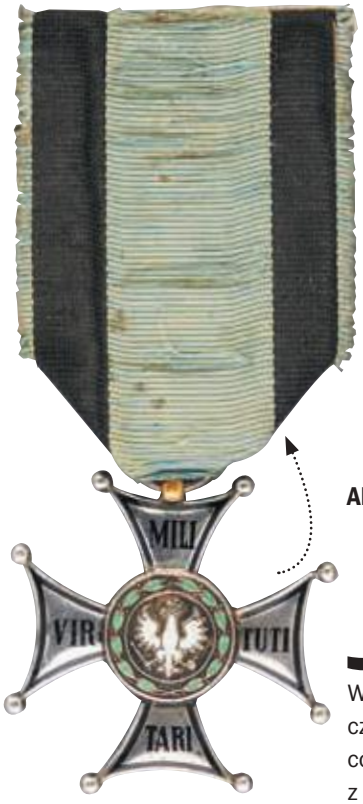

Virtuti Militari V klasy.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Fot. Jakub Kunicki/MWP

Najmłodszy żołnierz AK wyróżniony Orderem Virtuti Militari

Odznaczył go osobiście gen. Tadeusz Komorowski „Bór”.

ANNA DĄBROWSKA

Jerzy Bartnik urodził się 25 stycznia 1930 r. w Warszawie, a dzieciństwo spędził w Gdyni. Pod koniec sierpnia 1939 r. ojciec Jerzego wysłał rodzinę do Warszawy. Sam został w Gdyni, gdzie uczestniczył w obronie miasta, a po wkroczeniu Niemców został aresztowany i rozstrzelany. Jerzy z matką i młodszą siostrą Marią zamieszkali pod Warszawą. Matka zaangażowała się w konspirację. W willi, w której mieszkali, produkowano części do granatów. W 1943 r. wszystkich aresztowało gestapo. Matka trafiła do KL Auschwitz, gdzie zmarła, a Jurka i siostrę Niemcy wypuścili.

Babka wywiozła ich w Góry Świętokrzyskie. Tam w sierpniu 1943 r. trzynastoletni Jurek wstąpił do partyzanckiego oddziału por. Jana Piwnika „Ponurego”. Na początku stycznia 1944 r. wrócił do Warszawy i jako kurier Armii Krajowej został wysłany do Florencji, a po powrocie otrzymał przydział do Batalionu AK „Parasol”. W jego szeregach jako „Magik” walczył na Woli w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Uczestniczył w starciach o pałacyk Michla i w obronie cmentarzy ewangelickich. Jego młodsza siostra była łączniczką w Batalionie „Parasol”; poległa 13 sierpnia na ulicy Długiej.

Od 9 sierpnia „Magik” służył w oddziale specjalnym „Juliusz” Batalionu AK „Gustaw” jako dowódca sekcji łączników-butelkarzy. Na Starym Mieście brał udział w obronie Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. W tych walkach został ranny w głowę, stracił prawe oko. Po operacji powrócił jednak do oddziału i po przejściu kanałami do Śródmieścia walczył w kościele Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Za odwagę 23 września „Magika” odznaczył osobiście komendant główny AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór” Orderem Virtuti Militari V klasy. Jerzy Bartnik był najmłodszym żołnierzem AK wyróżnionym tym odznaczeniem.

Po upadku Powstania Warszawskiego czternastoletni kapral Bartnik trafił do obozu jenieckiego na Zachodzie i po wyzwoleniu nie wrócił do Polski. Ukończył Wydział Metalurgiczny na politechnice w Londynie i pracował w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Afryce i Szwajcarii. W 1992 r. wrócił z rodziną do Warszawy.

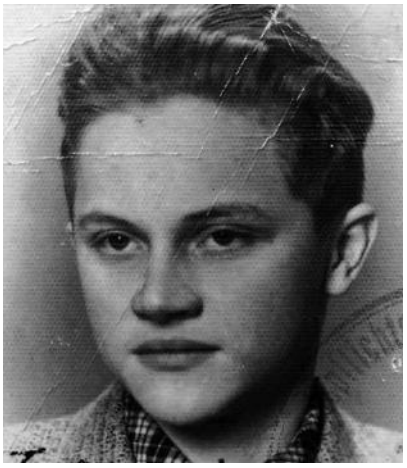

Jerzy Bartnik. Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Został awansowany do stopnia kapitana, a w 2008 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Trzy lata później Bartnik jako jeden z kilku kombatantów spotkał się z prezydentem Stanów Zjednoczonych Barackiem Obamą podczas jego oficjalnej wizyty w Polsce. „Magik” zmarł 13 grudnia 2011 r. w wieku 82 lat, został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach. ■

ANNA DĄBROWSKA dziennikarka portalu Polska-zbrojna.pl i miesięcznika „Polska Zbrojna”.

POWIEDZ MU,



Ksiądz Jan Ziółkowski przy rannym żołnierzu, Żytomierz, 1920 r.
Fot. Wojskowe Biuro Historyczne/kolo-ryzacja: Mirosław Szponar

ŻE UMIERA

Śmierć żołnierza charakteryzują: nagłość, tragizm okoliczności, często samotność umierania w cierpieniu, które pragnie się maksymalnie skrócić – co składa się na smutny obraz rzeczywistości stawającej przed oczami ginących na polu walki wojowników.

MIROSŁAW LENART

Wezwanie o zachowanie życia, z którym żołnierz zwracał się do Boga przed bitwą, w świecie chrześcijańskim nabrało szczególnego znaczenia także dzięki jasnemu rozgraniczeniu zaświatów. Potępienie bądź zbawienie dawało dwie skrajnie różne możliwości kontynuowania życia „po tamtej stronie". Terror śmierci – który jest zawsze czymś niewyobrażalnym jako doświadczenie jedyne w swoim rodzaju i nieodwracalne – wzmocniony dodatkowo wizją sądu, a w konsekwencji zbawienia bądź potępienia, paraliżował szyki wojska na polu walki. Dlatego sakramentalne przygotowanie na śmierć okazywało się tak ważne, co niejednokrotnie podkreślali kaznodzieje obozowi w swoich mowach do wojska. Zalecenia dotyczące pójścia do boju z czystym sumieniem odszukamy w każdym modlitewniku żołnierskim. Są to teksty dla osób, które znajdują się w niebezpieczeństwie śmierci, toteż w pewnym sensie można je porównać do wspomnianych średniowiecznych sztuk umierania, pokazują bowiem, jak należy przygotować się na moment, kiedy ciało będzie musiało rozstać się z duszą. Tyle tylko że do rozdziału owych dwóch elementów dojdzie w dramatycznych okolicznościach, często związanych z ogromnym cierpieniem, którego żołnierze bali się równie mocno, jak samej śmierci.

O ile duchowe przygotowanie się do bitwy i modlitwa w obliczu śmierci są w dużym stopniu aktami bardzo osobistymi, to jednak kapelani obozowi zwracali uwagę na ten szczególny moment, przygotowując bądź to publiczne modlitwy, bądź też zamieszczając ich propozycje w książeczkach do nabożeństwa.

W szczególny sposób starano się nadać odpowiednią rangę śmierci na polu walki, o czym świadczą słowa duchownych pełniących posługę w wojsku, którzy zawsze opatrywali ten rodzaj śmierci określeniem „chwalebna". Wspominanie o śmierci w bitwie w czasie przeszłym dawało więcej możliwości manipulowania obrazem, a w ten łatwy sposób mógł być poddawany upiększeniu i alegoryzacji. O wiele trudniej zaś odnieść się do cierpień tych, którzy przeżyli. Ich ból był czymś namacalnym, czymś, co nieznośnie przedłużało realność zmagań na polu walki, co było nieustannie obecne nie tylko w doświadczeniu cierpiących, ale i pozostających z nimi w ciągłym kontakcie.

Aby przybliżyć codzienność żołnierzy borykających się z bólem własnego okaleczonego ciała, warto odwołać się do przekazów, których dostarcza nam historia medycyny wojskowej. Przynosi ona dość ponury obraz okoliczności, z jakimi musiał liczyć się każdy uczestnik bitwy, zdany tylko na siebie, ewentualnie na współtowarzyszy i kolegów. Nie zawsze jednak ranny mógł o własnych siłach czy nawet z czyjąś pomocą wycofać się z pola walki. I tak, pod Zbarażem w 1649 r. „niemało bez spowiedzi umierało, bo księża dochodzić ich nie mogli, ani jeden drugiego ratować mógł, bo i sam taki zostawał na zabitym bez dusze; a który zostawał jeszcze żywy, aż do nocy leżeć musiał"[1].

Temat cierpienia poruszają także pieśni wojenne, a zwłaszcza znajdujące się w nich akty strzeliste (*actus iaculatorii, orationes iaculatoriae*) i modlitwy do Boga. Pieśni układali często żołnierze i dlatego są to świadectwa traktujące o rzeczywistości żołnierskiej w sposób bezpośredni, ukazujące ją w całej prostocie, podejmujące unikany temat żołnierskiej nędzy i niedoli. Jedna z najbardziej znanych niegdyś pieśni (powstała w XV w.), *Idzie żołnierz borem lasem*, kończy się wezwaniem: „Zapłaćże mu, Jezu, z nieba,/ boć go pilna jest potrzeba"[2].

Ten swego rodzaju akt strzelisty zaczerpnięty został z bardzo starych pieśni, które układano w wojsku. Pojawia się już w *Pieśni o kole rycerskim*, zapisanej na okładce książki z XVI w.: „A gdy się już potkać mieli,/ Jezu Chrysta zawołali:/ Jezu Chryste Nazareński,/ Wejrzyj na lud chrześcijański!/ W żarskim biegu drzewce kruszą,/ Niejeden się żegna z duszą./ Jednemu się mienią oczy,/ A z drugiego krew się toczy,/ Trzeci woła, by dobito/ Albo szablą łeb ucięto./ A ci, co w mogiłach leżą,/ Do pewnego kresu bieżą [...] Wtenczas żołnierza ▶

MODLITWA DO SAMEJ POTRZEBY I SPOTKANIA W IMIĘ BOŻE

Zdrowie moje i ducha mego oddaję Tobie, P[anie] Boże mój, i z prawego serca żałuję i pokutuję za grzechy moje, a tej trochę krwie mojej ofiarowuję Tobie na Twojej chwały podwyższenie, na obronę Kościoła ś[więtego] Twego, na zachowanie ojczyzny i wszytkiego, co się w niej zamyka. Wejrzy na pokorne serce moje, a naucz ręce moje do boju, aby ten nieprzyjaciel w swojej niesprawiedliwości góry nie miał. Daj mi stróża, anioła Twego, aby mnie prowadził i bronił, i serce mi na te postrachy czynił. Przez Jezusa Chrystusa, który krew swoję za nas wylał, abyśmy ją i my dla imienia Jego i dla braciej naszej w takiej potrzebie wylali.

Piotr Skarga, *Żołnierskie nabożeństwo*, Kraków 1606, s. 92.



Monte Cassino. Fot. Felicjan Maliniak/ Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

szanują,/ Kiedy trwogę na się czują. [...] Zapłać-że mu, Jezu, z nieba/ Boć go pilnie jest potrzeba”[3].

Powiedz mu, że umiera

W zamieszaniu bitewnym trudno o obecność kapelana obozowego. Świadomość tego szczególnie bliska była autorom modlitewników wojskowych wydawanych podczas wojny. Różnią się one od tych służących żołnierzom w czasach pokoju zwłaszcza zredukowaną do minimum objętością. Inną charakterystyczną dla nich cechą jest dosadność języka i świadomość przygotowujących je osób co do okoliczności, w których będą towarzyszyły żołnierzom. Wymownym tego przykładem jest modlitewnik opublikowany podczas II wojny światowej w Szkocji nakładem Wydawnictwa Kurii Biskupa Polowego Wojska Polskiego. To w nim właśnie umieszczono nabożeństwo służące przygotowaniu umierającego żołnierza na śmierć. Podzielono je na: oddanie ostatniej przysługi, litanię do św. Józefa i modlitwę za konających. Modlitewnik zatytułowany *Z Bogiem za wiarę i ojczyznę* uzyskał imprimatur (pozwolenie na druk) opatrzone datą 10 sierpnia 1940 r., podpisane przez biskupa polowego Józefa Gawlinę. Działania przy śmiertelnie rannym opisano w punktach poprzedzonych krótkim wstępem: „Kiedy towarzysz broni zostanie ciężko ranny, sprowadź mu za wszelką cenę kapłana. W razie niemożności osiągnięcia kapłana, sam go przygotuj na drogę wieczności. 1. Powiedz mu szczerze i otwarcie, że umiera. 2. Mów z nim o osobach mu bliskich i drogich, odbierz od niego ostatnie dla nich zlecenia; zapisz sobie adres tych osób. 3. Pociesz go, że wnet się z nimi zobaczy w niebie. 4. Mów mu o Panu Jezusie, Zbawicielu, że Chrystus umarł, ale też zmartwychwstał. Umarł za nasze grzechy, znosząc straszne cierpienia, a jednak nas kocha i chętnie odpuści każdemu grzechy, ale żąda tylko jednego: żebyś żałował za nie i prosił Go o odpuszczenie. Wzbudź teraz z nim żal doskonały [...]. 5. Mów z nim o najlepszej z matek, o Matce Boskiej, która nas

Odchodzenie z tego świata bez bólu i psychicznego cierpienia należy z pewnością do pragnień osób świadomych swej ludzkiej kondycji. Wśród nich szczególne miejsce zajmowali od zawsze ludzie parający się rzemiosłem wojennym. Śmierć żołnierza, szczególnie jeśli następuje na polu walki, odróżnia się od „śmierci w łóżku” zwłaszcza brakiem rytualizacji tego aktu w aspekcie religijnym. Świadomość tego braku musiała być szczególnie bliska autorowi Pieśni o Rolandzie, który umieranie tytułowego bohatera przedstawił w sposób tyleż piękny i wzniosły, co mało prawdopodobny. W odróżnieniu od barwnego opisu ostatnich chwil życia legendarnego rycerza śmierć żołnierza charakteryzują: nagłość, tragizm okoliczności, często samotność umierania w cierpieniu, które pragnie się maksymalnie skrócić – co składa się na smutny obraz rzeczywistości stawającej przed oczami ginących na polu walki wojowników. Rekompensatą tego stanu było niegdyś dążenie do swoistej estetyzacji śmierci wiązanej z czynami bohaterskimi podczas bitwy.

W pojęcie śmierci żołnierskiej wpisane jest znaczenie śmierci heroicznej. Różni się ona od innych zgonów nie tylko dlatego, że w pewnym sensie jest efektem osobistego wyboru. Żołnierz ginie przede wszystkim w walce za innych, co nadaje jego odejściu wyjątkową wartość, łatwo porównywalną z naśladującymi mękę Chrystusa aktami męstwa znanymi z dzieł hagiograficznych. Stąd też ostateczność tej ofiary zasługuje na najwyższą nagrodę: unieśmiertelnienie w wymiarze kultury i religii. Dzięki temu poległy żołnierz staje się równy antycznym herosom, co zapewnia mu istnienie w wiecznej pamięci ludzi. Mit śmierci rycerskiej, znajdujący ostateczny kształt w kulturze polskiej poprzez odniesienie do idei mesjańskiej, wyraża nadto głębokie pobudzenia egzystencjalne: tęsknotę za trwaniem i pełnią. Żołnierz jest w tym wymiarze postrzegany jako nosiciel określonych wartości pozytywnych, a jego śmierć podkreśla zasadność jego postępowania i pieczętuje zwycięstwo wartości, za które umiera i które reprezentuje.

więcej kocha od matki ziemskiej. Wzbudź zaufanie w nim do Maryi, że ona jest przy nim i bezpiecznie go przeprowadzi na drugi świat. Zmów z nim »Zdrowaś Maryjo«. 6. Tak przygotowanego pobudź do poddania się woli Bożej, do ofiarowania cierpień i życia jako swoją najświętszą pokutę za grzechy, za swoich najbliższych, za zwycięstwo ojczyzny z pomocą Chrystusa Pana. 7. Odmawiaj z nim następujące akty: »Jezu, Maryjo, Józefie św., Wam oddaję serce, duszę i życie moje«. »Jezu, Maryjo, Józefie św., Bądźcie przy moim konaniu«. »Boże i Ojcze mój, kocham Cię z całego serca mego. W ręce Twoje oddaję ducha mego«".

Rytuał asystowania przy śmierci żołnierza ma wymowne elementy, przywołujące zapomniane dzisiaj, a wspomniane na wstępie „sztuki umierania". Jako pierwszy i najważniejszy akt jawi się akceptacja sytuacji przez osobę, która doznaje własnej śmierci, a więc niepowtarzalnego doświadczenia, zakończonego zgonem. Dopiero oswojenie się z tym stanem otwiera na możliwość nabrania odpowiedniego dystansu do świata, pożegnalne nawiązanie, i przygotowania się na to wszystko, co do tej chwili pozostawało u niego w sferze wiary. Wyrównanie relacji z najbliższymi sprowadza się do najprostszych form powiadomienia o śmierci oraz przekazania ostatnich pozdrowień i swoistego testamentu. Zaraz po tym ciężar aktywności spada na osobę asystującą, która – przywołując wizję szybkiego spotkania z bliskimi w niebie i zapewniając o opiece Matki Boskiej w przejściu do wieczności – wspiera walkę z cierpieniem ciała, koncentrującego na sobie całą uwagę konającego. Ostatnim aktem dobrej śmierci żołnierza jest odmawianie wspólne aktów strzelistych będących wymownym świadectwem wiary przed definitywnym odłączeniem duszy od ciała.

Z pewnością opisany w modlitewniku rytuał asystowania przy umieraniu żołnierza był pewnym wzorem, który ulegał modyfikacji w zależności od tego, czy śmierć następowała pod ostrzałem nieprzyjaciela, czy w polowym lazarecie. Bez względu jednak na to, czy asysta wiązała się z wypełnianiem wszystkich punktów przewidzianych w nabożeństwie, co limitował pozostały do dyspozycji czas świadomej komunikacji i ogólny stan cierpiącego od ran zadanych w potyczce, przedstawione punkty wprowadzały swoisty porządek w chaos sytuacji, z którą należało się zmierzyć. Śmierć żołnierza bardzo szybko rozprawia się z typowo ludzkim przekonaniem streszczającym się w zdaniu: wiemy, że umrzemy, ale w to nie wierzymy. Człowiek bowiem z natury odrzuca własną śmierć. Nie inaczej zachowuje się żołnierz, który pragnie wyjść z walki nie tylko zwycięsko, ale także z życiem. Jego obcowanie ze śmiercią drugiego pozwalało mu jednak od zawsze obejmować głębszą refleksją własną kondycję, kierując myśli w stronę rzeczywistości otwierającej się poza granicą własnego ciała. Zdyscyplinowane nagrobki na cmentarzach żołnierskich, noszące na sobie wyryte symbole religijne, są wymownym znakiem wiary łączącym żywych i umarłych w przeżywaniu misterium śmierci zbierającej żniwo na polach walki. Są zatrzymanym w obrazie aktem strzelistym umierającego, być może także takim, jaki znajdziemy w cytowanym wyżej nabożeństwie: „w ręce Twoje oddaję ducha mego". ■



Mogiła kpt. Wacława Kwiatkowskiego, który poległ 17 maja 1944 r. pod Monte Cassino.
Fot. Felicjan Maliniak/ Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

MIROSŁAW LENART profesor, wykładowca Uniwersytetu Opolskiego, dyrektor Archiwum Państwowego w Opolu. Absolwent opolskiej polonistyki i teologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Badacz związków literackich, artystycznych i kulturalnych polsko-włoskich oraz literatury religijnej i religijności. Autor opracowań na temat piśmiennictwa propagującego wzorzec żołnierza katolickiego w kulturze polskiej.

[1] *Diaryusz albo krótkie opisanie impetów nieprzyjacielskich wojska kozackiego i ordy pod Zbarażem oraz bitwy pod Zborowem, d. 10. Julij 1649 r.*, w: *Starożytności historyczne polskie, czyli pisma i pamiętniki do dziejów dawnej Polski, listy królów i znakomitych mężów, przypowieści, przysłowia itp., z rękopismów zebrał i przydał Żywoty uczonych Polaków A. Grabowski*, wyd. J. Czech, Kraków 1840, t. 1, s. 259–260. [2] *Wojenna pieśń Polska*, t. 1: *Pieśni rycerskie, żołnierskie i ludowo-żołnierskie z okresu Rzplitej dawnej (wiek XII-XVII)*, zebrał i ułożył Z. Andrzejowski, Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1939, s. 36. [3] Cyt. (ze zmianami interpunkcji) za: *Polska pieśń ludowa*, wybór i oprac. J.S. Bystroń, Kraków 1925, „Biblioteka Narodowa", Seria I, nr 25, s. 94; zob. także: *Wojenna pieśń polska*, t. 1: *Pieśni rycerskie, żołnierskie i ludowo-żołnierskie...*, s. 33–34, druga część jako *Idzie żołnierz*.

Najgorszy karabin

Początek XX w. to era karabinów powtarzalnych i ciężkich karabinów maszynowych. Dopiero tragedia wojny pozycyjnej wymusiła poszukiwanie broni samoczynnej, z którą piechota byłaby zdolna szybko się przemieszczać. Czas ręcznych karabinów maszynowych nadszedł wrazz konstrukcją mało funkcjonalną, która stała się także doświadczeniem polskiego żołnierza.

PIOTR KOCYAN

CHAUCHAT MLE



Chauchat Mle15: wylot lufy z muszką i wzmacniaczem odrzutu lufy. Fot. Polarms sp.j.

Używanie cekaemów początkowo było limitowane z uwagi na wyjątkowo duże zużycie amunicji. Obawiano się załamania łańcucha dostaw dla walczących oddziałów. Do 1914 r. była to główna obawa dowodzących. Ów konserwatyzm generałów stał jednak w sprzeczności z możliwościami tej broni i doświadczeniami jej użycia podczas wojen lokalnych. Wynikał też z wizji dużej autonomiczności oddziałów. Tabory piechoty miały podążać za wojskiem z zapasem wszystkich środków potrzebnych do walki. Zakładano bowiem dużą mobilność piechoty. Od oddziałów wymagano przemarszu dobowego do 30 km i możliwości podjęcia natychmiastowej walki przy kontakcie z wrogiem. Ciężkie karabiny maszynowe nadmiernie obciążały tabory głównie swoją jednostką ognia, czyli liczbą amunicji przydzielonej na jednostkę broni, a ich wprowadzenie do walki często trwało dłużej niż artylerii polowej.

W drodze do erkaemów

Szukano broni lekkiej, ale wydajnej ogniowo, o dużej manewrowości i elastyczności użycia. Koncepcja broni samoczynnej, z którą piechota będzie zdolna szybko się przemieszczać i która będzie możliwa do natychmiastowego użycia – była kusząca. Tak zrodziło się zapotrzebowanie na lekkie karabiny maszynowe, które z biegiem czasu wyewoluowały w ręczne karabiny maszynowe. O ile elkaemy były na ogół bronią zespołową wywodzącą się konstrukcyjnie z cekaemów, to erkaemy były



Rączka zamka, poniżej widoczny uchwyt i stopki złożonego dwójnogu. Fot. Polarms sp.j.



Amunicja 8x50,5 mm R Lebel posiadała silnie stożkową łuskę, co wymusiło stosowanie magazynka o mocno łukowatym kształcie. Fot. Polarms sp.j.



Konstrukcja Chauchat Mle15 miała wiele zalet i tyleż samo wad. Niska jakość wykonania elementów i otwarte magazynki zaważyły o niskiej ocenie tej broni. Fot. Polarms sp.j.

15 WZ.15

już skrojone pod nowe wyzwania. Pierwszą propozycją mającą cechy typowego erkaemu była konstrukcja duńska – Madsen. Nieco później do wyścigu stanął Rudolf Frommer; opracował on projekt erkaemu działającego w oparciu o długi odrzut lufy i zasilanego z magazynka pudełkowego. Pomysłem tym zainteresowali się Louis Chauchat i Charles Sutter z podparyskiego Atelier de Construction de Puteaux, czyli państwowego arsenału francuskiej armii, odpowiedzialnego za badania nad bronią palną. Rozwinęli oni koncepcję Frommera i w efekcie powstał karabin samoczynny Mle13 z magazynkiem łukowym umieszczonym nad komorą zamkową. Broń była przewidziana jako lotniczy karabin pokładowy. Konwersja dla wojsk lądowych powstała niespełna rok później i zaowocowała początkowo niewielką produkcją. Pierwszą serię karabinów wykonano w państwowym Manufacture d'Armes de Saint-Etienne, traktując nowy model jako tanią i lekką alternatywę dla cekaemów. Doświadczenie pierwszego roku Wielkiej Wojny pokazało, jak wielkie jest zapotrzebowanie na elkaemy i erkaemy. Natarcia piechoty poprzedzone nawałą artyleryjską załamywały się pod gęstym ogniem z cekaemów. Piechota na ziemi niczyjej nie miała żadnej broni, która mogłaby ją wesprzeć w natarciu. Wobec braku dojrzałych konstrukcji Chauchat Mle15 dla Francuzów stał wyborem niemal naturalnym i oczywistym.

Ograniczony wybór

Armia francuska mogła postawić na Hotchkiss Mle 1909, ale wybór padł na CSRG Chauchat Mle15. Prawdopodobnie czynnikami przeważającymi na jego korzyść była mniejsza masa i niewielkie koszty wytwarzania. Znaczenie miało też zasilanie magazynkowe, a nie – jak w przypadku Hotchkissa – ze sztywnej taśmy. Broń rokowała dobrze, ale... od początku wprowadzenia do służby Mle15 zawodził. Produkowany na masową skalę w trybie wojennym z kiepskich materiałów i z ręcznie pasowanymi elementami zacinał się po krótkich seriach. Duży łukowy magazynek tłoczony z blachy stalowej z otworami bocznymi ulegał nieustannym zanieczyszczeniom i był podatny na odkształcenia. Silnie stożkowa łuska amunicji 8x50 mmR Lebel wymusiła łukowaty kształt stający się pojemnikiem dla piasku i błota. Długi odrzut lufy, choć dawał niską szybkostrzelność na poziomie do 250–300 strz./min, uniemożliwiał celny ogień. Zamek z lufą silnie uderzał w tylec komory zamkowej, destabilizując ją, a będący na wyposażeniu dwójnóg stanowił zbyt słabe podparcie. Aby uzyskać nadmiar energii pchnięcia zespołu odrzucanego, zastosowano wzmacniacz odrzutu, co dodatkowo pogarszało sytuację. W efekcie ogień skuteczny można było prowadzić jedynie do 200 m. W warunkach wojny pozycyjnej była to wartość wystarczająca, ale w realiach wojny manewrowej – to stanowczo za mało. Silnie nagrzana lufa Chauchat miała tendencję do zacierania się w komorze zamkowej, doprowadzając do niepełnego przeładowania i zacięcia, co wymuszało ogień krótkimi seriami. Niemniej była to konstrukcja na tyle lekka, że walczący mogli podążać za kolejnymi falami natarcia, strzelając z biodra i „wymiatając okopy". Z czasem wiele z tych mankamentów usunęli sami użytkownicy, dbając o stan magazynków oraz czystość mechanizmów i amunicji. Przy odpowiedniej zaradności i dbałości Mle15 był akceptowalny, a nawet wykazywał pewne zalety. Okazało się, że niska karencja broni i długi odrzut lufy powodowały, że przy strzelaniu krótkimi seriami Mle15 wykazywał ponadprzeciętną trwałość. Mimo to Chauchat zyskał miano najgorszego rkm-u na świecie. Broń była używana w wielu konfliktach zbrojnych aż do drugiej połowy XX w. Wyprodukowano ponad ćwierć miliona egzemplarzy używanych



Dźwignia zmiany rodzaju prowadzonego ognia umieszczona została nad chwytem pistoletowym. Fot. Polarms sp.j.

w Stanach Zjednoczonych, Polsce, Grecji, Serbii, Rumunii, Rosji, Belgii i we Włoszech.

Chauchat a sprawa polska

Pierwsze egzemplarze Chauchat Mle15 (wz.15) dotarły do Polski wraz z Błękitną Armią gen. Józefa Hallera. Ręczny karabin maszynowy Chauchat w polskich realiach był jedną z wielu używanych konstrukcji. Zdecydowanie bardziej preferowano elkaem MG 08/15 i Bergmann LMG M15 z uwagi na standardową w polskiej armii amunicję Mauzera. Niestandardowy nabój 8x50 mmR Chauchat komplikował logistykę, a niezamienność części pomiędzy egzemplarzami utrudniała naprawy. Podczas wojny polsko-sowieckiej z uwagi na trudne warunki działań broń zyskała złe opinie. W warunkach polowych trudno było o zachowanie odpowiedniej czystości eksploatacji. Mimo wielu sprzeciwów w 1923 r. zdecydowano o zakupie erkaemu Chauchat dla Wojska Polskiego. Decyzja ta podyktowana była koniecznością szybkiego uzupełnienia stanów w jednostkach wobec ciągłego zagrożenia ze wschodu. Francuzi oferowali atrakcyjne kredyty na zakup uzbrojenia, w tym erkaemów Chauchat. Broń ta przetrwał w uzbrojeniu polskim do początku lat trzydziestych, kiedy rozpoczęto przezbrajanie oddziałów w erkaem Browninga wz.28 na amunicję 7,92x57 mm Mauzer. Chauchat Mle15 przesunięto wtedy do oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza, skąd w drugiej połowie lat trzydziestych wyparły je lekkie karabiny maszynowe LMG M15 Bergmann. Pewne ilości otrzymała także Policja Państwowa. W okresie przedwojennym część erkaemów Chauchat sprzedano za granicę do Meksyku i Grecji. Broń próbowano także dostosować do standardowej amunicji Mauzer i magazynków od erkaemów wz.28, ale zakończono na nieokreślonej partii próbnej. We wrześniu 1939 r. erkaem Chauchat był używany sporadycznie głównie przez pospieszne oddziały improwizowane, a także jako wyposażenie Batalionów Obrony Narodowej.

Do dzisiejszych czasów przetrwało sporo egzemplarzy sprawnych erkaemów Chauchat Mle15. Można je obejrzeć w wielu muzeach wśród innych reliktów I wojny światowej. W historii broni jest to jeden z nielicznych przykładów wykorzystania mechanizmu długiego odrzutu lufy do napędu mechanizmu przeładowania i głównie dlatego karabin ten zasługuje na opisanie. Druga Rzeczpospolita korzystała z tej konstrukcji niejako z przymusu i bez żalu wycofała ją z uzbrojenia. Jedna dekada w linii to wynik raczej mierny. Mimo wszystko dzięki temu zakupowi udało się zamknąć proces tworzenia i kompletowania broni wielu oddziałów, przez co wprowadzenie erkaemów Browning wz.28 przebiegało sprawnie. Oddziały we wrześniu 1939 r. miały niezbędny zasób wiedzy i doświadczenia potrzebnych do sprawnego używania erkaemów. Bez użycia modelu przejściowego Chauchat Mle15, z czego od początku zdawano sobie sprawę, proces szkolenia przebiegałby znacznie dłużej i mniej efektywnie.

PIOTR KOCYAN magister inżynier, konstruktor mechanik, bronioznawca, członek Security Direct. Specjalizuje się w tematyce uzbrojenia, lotnictwa i energetyki jądrowej. Autor ok. 100 publikacji z dziedziny budowy, eksploatacji i produkcji broni w miesięcznikach „Arsenał" i „W Sieci Historii".

1. Broń sprawia wrażenie konstrukcji samodziałowej. Wynikało to z założenia, że broń będzie masowo wytwarzana przez drobne warsztaty ślusarskie.
Fot. Polarms sp.j.

2. Mocowanie dwójnoga, który z racji konstrukcji powodował dodatkowy rozrzut ognia w pionie.
Fot. Polarms sp.j.


1


2

Gridy, paxy, ammo i sopy

Żołnierze każdej armii świata posługują się własnym językiem zawodowym, który ze względu na specyficzne słownictwo ma cechy gwary, w tym przypadku gwary żołnierskiej.



Żołnierze 7 Pułku Ułanów Lubelskich przejeżdżający przez wieś na koniach służbowych.
Fot. Narodowe Archiwum

ANDRZEJ ŁYDKA

Język wojskowy jest hermetyczny i z reguły niezrozumiały dla ludzi spoza wojska. Posługiwanie się gwarą żołnierską daje wtajemniczonym pewne, choć nieuzasadnione poczucie wyższości nad otoczeniem. Pozytywnym efektem istnienia i pielęgnowania nawet trochę archaicznej gwary żołnierskiej jest solidarność wewnątrz środowiska wojskowego.

Dla angielskiego lansjera koń nie miał lewego boku. Miał za to „bok szablowy" (*sword-side*). W Wojsku Polskim kawalerzyści dosiadali (i dosiadają) koni służbowych. Ich odpowiednikiem w armii francuskiej lub włoskiej były „szarżowce" (*chargeur*). W międzywojniu można było zauważyć, że żaden szanujący się stary francuski oficer nie nazwał lekarza inaczej niż „toubib". Z kolei opowiadając o jakimkolwiek starciu zbrojnym, używał wyłącznie słowa „baroud". Dzisiaj oba wymienione wyrazy, choć pochodzenia arabskiego, są już zadomowione w języku francuskim. Wspomniany oficer, gdyby nie używał tych wyrazów, mógłby zostać posądzony o to, że nigdy nie służył w Afryce.

Identyczne zachowanie można zaobserwować wśród polskich oficerów, którzy jako podporucznicy lub porucznicy dowodzili patrolami na pustkowiach Iraku, a język angielski był (i jest) językiem współdziałania. Fraza „podaj swoje gridy" wypowiadana jest przez radio szybciej i łatwiej niż „podaj swoje współrzędne", a oznacza to samo. Dwusylabowe słowo „gridy" zadomowiło się w polskiej gwarze wojskowej właśnie ze względu na łatwiejszą wymowę niż nasze polskie „współ-rzęd-ne" czy „ko-or-dy-na-ty". Podobnie taki oficer nie powie, że w przedziale desantowym KTO Rosomak znajduje się sześciu żołnierzy. Użyje frazy „sześciu paxów". W tym przypadku „pax" oznacza żołnierza lub pasażera pojazdu. Podobnie zamiast polecenia „szefie, uzupełnij amunicję", powie „szefie, pobierz ammo". Wyrazy „a-mu-nic-ja" w języku polskim i „ammunition" w angielskim wydają się zbyt długie. „Ammo" nie ma tych wad. Odpowiedzi na wszystkie pytania żołnierz znajdzie w tzw. SOP-ach. SOP – *Standard Operating Procedure*, czyli Standardowa Procedura Operacyjna. Nie trzeba dodawać, że „gridy", „paxy", „ammo" czy „sopy" zadomowiły się w polskiej gwarze żołnierskiej dzięki udziałowi żołnierzy w misjach poza granicami kraju.

ANDRZEJ ŁYDKA podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu Polska-zbrojna.pl.

Bibliografia

F. Skibiński, *Rozważania o sztuce wojennej*, Warszawa 1990.



Król Afganistanu Anullach Khan (z prawej) w towarzystwie prezydenta RP Ignacego Mościckiego (z lewej), gen. Kazimierza Sosnkowskiego (z prawej za Mościckim) i gen. Daniela Konarzewskiego (z lewej za Mościckim) przed frontem kompanii honorowej Wojska Polskiego na peronie dworca przed odjazdem z Warszawy 10 sierpnia 1933 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pod sztandarem i z orkiestrą

Podczas przyjazdów zagranicznych delegacji ważnym i widowiskowym ich elementem jest ceremoniał powitania gości w asyście Wojska Polskiego.

MARIUSZ KUBAREK

Wizyty zagranicznych delegacji – szczególnie oficjalne, kiedy do kraju przybywają koronowane głowy, prezydenci, premierzy i wysocy dostojnicy państwowi – stanowią zawsze doniosłe wydarzenie, między innymi ze względu na zapadające wtedy ustalenia i podpisane umowy. Często towarzyszy im oprawa ceremonialna, którą zajmuje się wojsko. Polska również ma w tym zakresie wspaniałą tradycję, która choć powstawała przez stulecia, ulegając zagranicznej modzie i wpływom, to głównego narodowego kształtu nabrała dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, a znany nam obecnie ceremoniał zaistniał w latach dziewięćdziesiątych XX w.

Przepisy, których oficjalnie nie było

Kiedy po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Polska na nowo zaczęła nawiązywać relacje z innymi krajami, udział wojskowej asysty honorowej w przedsięwzięciach związanych z powitaniami delegacji był ujęty tylko w jednym dokumencie wojskowym – *Projekcie regulaminu służby wewnętrznej* (1919 r.), w części X: *Uroczystości, obchody i przyjęcia*. Regulamin ten oficjalnie nigdy nie doczekał się wprowadzenia w Wojsku Polskim, co nie znaczyło, że nie był inspiracją do licznych rozkazów i zarządzeń związanych z oprawą wizyt. W jego rozdziale B opisano przedsięwzięcia związane z uroczystym przyjęciem naczelnika państwa, naczelników państw obcych oraz wyższych przełożonych wojskowych. W części dotyczącej zagranicznych delegacji dokument był dosyć ogólny: „Naczelników obcych Państw przyjmuje się tak uroczyście, jak Naczelnika Państwa, o ile nie zostały wydane rozkazy uzupełniające. Muzyka gra hymn narodowy dotyczącego państwa, w braku muzyki grają trębacze marsz generalny. Koszary i budynki wojskowe przyozdabia się w chorągwie narodowe i chorągwie o barwach dotyczących państwa”[1].

W regulaminie podano więcej szczegółów dotyczących naczelnika państwa, które bezpośrednio odnosiły się do przyjmowania gości zagranicznych. Można dowiedzieć się między innymi, że podczas oficjalnych podróży uroczyste przyjęcie podróżujących odbywało się tylko na wyraźny rozkaz generalnej adiutantury do dowódcy okręgu generalnego względnie dowództw armii lub grupy operacyjnej na froncie. Przyjęcie to było tylko na stacji końcowej podróży lub w miejscu kwaterowania. Nie organizowano uroczystości w miejscowościach, przez które naczelnik prze-

jeżdżał, nawet wtedy gdy wypadał tam postój. Również nie przygotowywano przyjęcia gości w godz. 23.00–6.00. Odpowiedzialnym za wydanie rozkazów i koordynację wizyty był najwyższy dowódca wojskowy, na nim spoczywał też obowiązek porozumienia się z miejscową władzą polityczną co do udziału w przyjęciu cywilnych władz państwowych.

W dokumencie tym również określono, kto powinien witać przybywających. Byli to dowódca garnizonu (odcinka frontu), który składał meldunek; kompania honorowa (nie mniej niż 48 ludzi) ze sztandarem i orkiestrą, bezpośredni przełożeni kompanii, generalicja i delegacje korpusów oficerskich garnizonu (w Warszawie tylko generałowie). Ponadto szwadron w sile nie mniej niż 48 rot, ale tylko w przypadku podróżowania z dworca powozem. Obowiązującym strojem był mundur paradny, na froncie zaś – ubiór polowy.

W regulaminie opisano również ceremonię powitalną. W chwili przybycia gościa kompania prezentowała broń, zaś orkiestra rozpoczynała granie hymnu narodowego, który przerywała, gdy gość odbierał meldunek lub zaczynał przemawiać. Jeżeli w garnizonie była artyleria – to z chwilą przybycia delegacji oddawała salut armatni. Podczas pożegnania gości stosowano założenia takie same jak do powitania.

Pierwsze wizyty w niepodległej Polsce

Dzięki tym wytycznym powstawały specjalne rozkazy i zarządzenia na okoliczność przybycia delegacji zarówno szczebla wojskowego, jak i państwowego, które w okresie międzywojennym licznie zjeżdżały do Polski. Do najważniejszych pod względem ceremonialnym należały wizyty pary królewskiej Rumunii, króla Ferdynanda I i królowej Marii w 1923 r., a także pary królewskiej Afganistanu, Anullacha Khana z żoną Surią w 1928 r., oraz króla Rumunii Karola II w 1937 r.

Za każdym razem na potrzeby wydarzenia powstawały nowe dokumenty, choć – jak wynika z pisma Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 12 marca 1928 r. wystosowanego do Ministerstwa Spraw Wojskowych w związku z planowanym przyjazdem pary królewskiej Afganistanu – wizyty pod względem udziału w nich wojska niewiele różniły się od siebie. „W głównych zarysach całość tego programu nie różniłaby się od tego, co było już zastosowane w czasie pobytu w Polsce Króla Rumuńskiego”[2] – pisano.

Schematy, które były wówczas stosowane, przetrwały w większości do lat dziewięćdziesiątych XX w. Udział wojskowej asysty honorowej podczas wizyt zagranicznych rozpoczynał się w miejscu przekroczenia granicy Polski. Najczęściej były to przygraniczne dworce kolejowe, gdzie delegacja przesiadała się do polskiego pociągu. W miejscu przekroczenia granicy na gości czekała kompania honorowa ze sztandarem i orkiestra. Najczęściej polecano wystawienie pododdziału nie mniejszego niż 48 żołnierzy. Kompania ustawiana była bezpośrednio na peronach. Po przybyciu głównego gościa witał go w imieniu gospodarzy oficer w stopniu generała skierowany do towarzyszenia delegacji wraz z władzami lokalnymi. W przypadku wizyty pary królewskiej z Afganistanu był to gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski, który witał gości jako przedstawiciel prezydenta. Po powitaniu gość główny przechodził przed szyk kompanii. Wówczas odgrywany był hymn kraju, z którego delegacja przybywała. Kolejnym elementem było przedstawienie przybyłych na powitanie, które zazwyczaj odbywało się w wagonie salonce. Po spełnieniu tych formalności pociąg ruszał w kierunku Warszawy przy dźwiękach orkiestry ponownie grającej hymn.

Niezależnie od powitania na granicy, w stolicy odbywało się drugie powitanie. Na spotkanie delegacji – najczęściej na Dworcu Głównym – przybywał prezydent z marszałkami Sejmu i Senatu RP, ministrami oraz generalicją. Ceremonia powitania przebiegała dwuetapowo. Najpierw na peronie dworca, gdzie prezydent w towarzystwie ministra spraw wojskowych i generałów oraz kompanii honorowej i orkiestry oczekiwał na przyjazd pociągu, odbywało się powitanie przez prezydenta i wysłuchanie hymnu gościa przed frontem kompanii honorowej, po czym wszyscy udawali się do przygotowanego wcześniej saloniku na dworcu, gdzie odbywała się prezentacja przybyłych na uroczystość powitania przedstawicieli obu stron.

Następnie przed wejściem na Dworzec Główny gościa oczekiwała kompania honorowa i orkiestra. Po jego pojawieniu się w drzwiach wejściowych kompania prezentowała broń, a orkiestra ponownie odgrywała hymn. Nieopodal dworca, u wylotu ulicy Tytusa Chałubińskiego, lokowano baterię lekkich dział polowych, która na cześć przybywających gości oddawała salut armatni. Po tym ceremoniale delegacja odjeżdżała do hotelu lub innego miejsca, w którym mieszkała.

Nieodłącznym elementem ówczesnego pobytu delegacji najwyższego szczebla były szpalery wojskowych wystawiane wzdłuż całych tras przejazdów. W rozkazie dowódcy Okręgu Korpusu nr 1 z 21 kwietnia 1928 r. widnieje m.in. takie polecenie „W dniu »X« na godzinę »A« wymienione w tabeli formacje utworzą ciągły szpaler pojedynczy po obu stronach ulicy od Dworca Głównego, ul. Marszałkowską i Królewską do Pałacu Rady Ministrów z 1.50 m. odstępu między żołnierzami”[3].

Niezależnie od powitania również przed miejscem zakwaterowania gościa – na dziedzińcu Zamku Królewskiego lub przed hotelem – oczekiwały na niego kompania honorowa i orkiestra wojskowa.

Oprócz państwowych odbywały się też oficjalne wizyty wojskowe. Na szczególną uwagę zasługuje przyjazd rumuńskiego księcia Mikołaja Hohenzollerna-Sigmaringena, marszałka lotnictwa rumuńskiego, który wizytę w Polsce rozpoczął od Lwowa, gdzie wylądował na lotni- ▶

sku cywilnym. Tam odbyło się powitanie przez dowódcę Okręgu Korpusu nr VI gen. bryg. Bolesława Popowicza i wojewodę lwowskiego Józefa Rożnieckiego z udziałem kompanii honorowej 6 Pułku Lotniczego. Po południu odbył się przelot do Warszawy w eskorcie eskadry honorowej i powitanie na lotnisku mokotowskim. Asystę stanowiła kompania ze sztandarem 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej i orkiestra wojskowa. Po wylądowaniu księcia powitał I wiceminister spraw wojskowych gen. Kazimierz Fabrycy, który dokonał wraz z gościem przeglądu pododdziału, po czym nastąpiło odegranie hymnu Rumunii. Nie była to pierwsza wizyta delegacji zagranicznej, która przybyła samolotem. We wrześniu 1922 r. do Warszawy przyleciały cztery estońskie maszyny wojskowe. Pilotów witały władze Dowództwa Okręgu Korpusu nr 1 i kompania 1 Pułku Lotniczego.

Z dworców na lotniska

Ceremoniał powitania gości wypracowywany w okresie międzywojennym w prawie niezmienionej formie w Polsce stosowano również po wojnie, jednak głównym organizatorem nie było już wojsko tylko Protokół Dyplomatyczny Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Do kraju zjeżdżały wówczas pierwsze delegacje wojskowe, na przykład 22 września 1945 r. przybył amerykański gen. Dwight Eisenhower, a 14 marca 1946 r. marszałek Jugosławii Josip Broz-Tito, jak również partyjno-rządowe, między innymi 9 marca 1946 r. przybyli przedstawiciele rządu Czechosłowacji z premierem Klementem Gottwaldem na czele. W grudniu 1950 r. odbyła się pierwsza wizyta prezydencka, odwiedzającym był prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej Wilhelm Pieck, a 21 lutego 1955 r. pierwsza wizyta koronowanej głowy – królowej Belgii Elżbiety Gabrieli Bawarskiej. Zmianie coraz częściej ulegało miejsce organizowania uroczystości z dworców kolejowych na lotniska, jednak formuła pozostawała podobna.

Jedna z pierwszych znaczących uroczystości powitania na lotnisku związana była z przybyciem 2 sierpnia 1959 r. wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Richarda Nixona. Ze względów technicznych odbyła się ona nie na lotnisku Okęcie, lecz na wojskowym lotnisku na Bemowie (pas startowy na Okęciu był za krótki dla Air Force2 – Boeinga 707). Po wyjściu z samolotu i powitaniu przez władze państwowe, nastąpił przegląd kompanii honorowej. Kolejnym elementem było odegranie przez orkiestrę hymnów Stanów Zjednoczonych i Polski, po czym przed gośćmi odbyła się defilada.

Podobnie jak w okresie międzywojennym szczegółowy przebieg realizacji wizyty i udziału w niej wojskowej asysty honorowej był regulowany wyłącznie rozkazami specjalnymi, zaś ceremoniał – na podstawie ustaleń roboczych Komendy Garnizonu Warszawa z Protokołem Dyplomatycznym MSZ. Zmieniło się to wraz z wprowadzeniem Ceremoniału Wojskowego w 1973 r. Wówczas po raz pierwszy w oficjalnym dokumencie pojawił się rozdział *Udział kompanii honorowej w powitaniu zagranicznych delegacji państwowych i partyjno-rządowych na lotniskach i dworcach kolejowych*. Z zamieszczonego tam opisu można dowiedzieć się między innymi, że kompania honorowa powinna wystąpić w składzie od 40 do 80 żołnierzy, a w przypadku przylotu delegacji samolotem od granic gościom powinna towarzyszyć honorowa eskorta 3–5 samolotów myśliwskich. Szczegółowo podany został również przebieg ceremonii powitania, która zawierała takie elementy, jak: powitanie przez dygnitarzy państwowych, odegranie hymnów gościa i hymnu polskiego, złożenie meldunku przez dowódcę kompanii reprezentacyjnej, przegląd pododdziału, powitanie z wojskiem, po czym przegrupowanie do defilady, podczas którego przedstawiano delegacje i odbywały się ewentualne wystąpienia. Ceremonię kończyła defilada kompanii honorowej i orkiestry. Pożegnanie delegacji odbywało się w sposób analogiczny w następującej kolejności: przyjazd na dworzec lub lotnisko, hymny, meldunek dowódcy, przegląd kompanii, przywitanie z wojskiem, pożegnanie z gospodarzami, ewentualne przemówienia, defilada.

Wznowienie Ceremoniału Wojskowego z 1978 r. w przypadku najważniejszych gości zakładało już udział kompanii honorowej występującej w trzech rodzajach umundurowania Rodzajów Sił Zbrojnych (Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej).

Powitania po zmianach ustrojowych

Największe zmiany w ceremoniale powitań delegacji zagranicznych nastąpiły na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. Pierwszy raz zdecydowano o odstąpieniu od organizowania powitań oficjalnych na dworcach i lotniskach. W czasie wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych George'a W. Busha 5 lipca 1992 r. powitanie odbyło się na Zamku Królewskim, a w związku z wizytą prezydenta Billa Clintona w 1994 r. zapadła decyzja, która na stałe zmieniła ceremoniał. Po raz pierwszy powitanie zorganizowano na dziedzińcu Pałacu Prezydenckiego. Od tego czasu przebieg uroczystości powitania i pożegnania oficjalnych delegacji zaczął przechodzić coraz to nowe zmiany.

W Ceremoniale Wojskowym z 1995 r. odstąpiono od podawania miejsca uroczystości, a podczas powitania dodano przedstawienie zaproszonego na uroczystość korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Polsce, nie zmieniając pozostałych elementów. Kolejne zmiany powodowane były dostosowywaniem się do potrzeb Protokołu Dyplomatycznego. W zależności od rangi gościa różnicowano wielkość asysty honorowej. Wprowadzono formę powitania nieoficjalnego w postaci szpaleru wystawianego przy samolocie na przylot i wylot gościa. Uroczystości zaczęły odbywać się przed Pałacem Prezydenckim, Kancelarią Prezesa Rady Ministrów i Belwederem. Oddzielne powitania



Powitanie rumuńskiej pary królewskiej na peronie dworca w Warszawie 1 maja 1928 r. Królowa Maria (z kwiatami), żona prezydenta RP Maria Wojciechowska (pierwsza z prawej), prezydent RP Stanisław Wojciechowski i gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Powitanie na dworcu kolejowym delegacji francuskich kombatantów, 25 czerwca 1923 r. Z przewieszonym na ręku płaszczem przewodniczący delegacji Bauer; na przodzie: prezes Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny gen. Roman Górecki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

na szczeblu ministra obrony narodowej miały miejsce przed jego siedzibą. Nie znaczyło to jednak, że całkowicie zrezygnowano z powitań i pożegnań na lotniskach, czego przykładem są wizyty w Polsce papieży: Jana Pawła II w 1997, 1999 i 2002 r., Benedykta XVI w 2006 r. i Franciszka w czasie Światowych Dni Młodzieży w 2016 r.

W celu podkreślenia rangi przybywających delegacji przywódców państwowych i koronowanych głów przywrócono przedwojenną tradycję udziału w powitaniach Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego. Pierwsza taka uroczystość odbyła się 25 czerwca 2007 r. podczas wizyty króla Arabii Saudyjskiej Abdullaha bin Abdulaziza Al Sauda. W latach 2008–2015 w niektórych powitaniach zagranicznych delegacji w składzie kompanii honorowej występował zamiast pocztu sztandarowego poczet z flagą państwową z godłem na drzewcu.

Ceremoniał Wojskowy z 2009 i jego aktualizacja z 2014 r. usystematyzowały zasady powitań delegacji. Dokonano rozdziału na powitania oficjalne i nieoficjalne, zróżnicowano kategorie gości na przywódców państw, szefów rządów oraz przywódców organizacji międzynarodowych i innych delegacji. Określono, że ceremonia oficjalnego powitania poprzedzona jest powitaniem nieoficjalnym na lotnisku, dworcu kolejowym, przejściu granicznym, w porcie, w którym udział bierze przedstawiciel urzędu zapraszającego i Protokołu Dyplomatycznego MSZ, a pożegnania każdorazowo będą tylko nieoficjalne. W dokumencie tym również przygotowano przykładowe scenariusze uroczystości ze szczegółowym opisem wykonywanych czynności.

Nie znaczy to jednak, że są to rozwiązania uniwersalne. Zdarzają się uroczystości, które wymagają specjalnie przygotowywanego scenariusza, jak wizyta kilku przywódców jednocześnie podczas spotkań wielostronnych lub powitanie w nowym miejscu.

Niezależnie od tego każda obecnie przygotowywana uroczystość oficjalnego powitania powinna zawierać takie elementy, jak odegranie hymnu państwowego gościa i hymnu RP, złożenie meldunku przez dowódcę uroczystości, przegląd pododdziału i przywitanie z wojskiem oraz defilada. Opracowując taki scenariusz, konieczne jest stosowanie zasad protokołu dyplomatycznego i związanej z nim precedencji. Wojskową asystę honorową stanowi kompania reprezentacyjna WP w umundurowaniu trzech Rodzajów Sił Zbrojnych z pocztem sztandarowym oraz orkiestra wojskowa. Przy powitaniach przywódców państwowych i koronowanych głów w miesiącach od maja do października dodatkowo asystę honorową stanowi Szwadron Reprezentacyjny WP.

Zmiany, które nastąpiły na świecie w ostatnich 100 latach, miały duży wpływ na organizację wizyt delegacji zagranicznych. Rozwój środków transportu i komunikacyjnych sprawił, że wizyt jest znacznie więcej i są one krótsze niż wcześniej.

Skrócony jest również okres ich przygotowań, niekiedy nawet do 2–3 dni. Dzięki wypracowanym przez lata rozwiązaniom i ujednoliceniu oraz uproszczeniu formuły udziału w nich wojska, istnieje możliwość wykonania tego zadania na bardzo wysokim poziomie, co jest wielokrotnie podkreślane przez zagranicznych gości.

Polski ceremoniał powitania z udziałem wojskowej asysty honorowej jest jednym z przykładów, że pomimo zmian ustrojowych i zmian regulaminów po II wojnie światowej – udało się zachować jego narodowy charakter zgodny ze światowymi standardami protokołu dyplomatycznego i podkreślający tradycyjną polską „broń i barwę”. ■

MARIUSZ KUBAREK pułkownik, naczelnik Wydziału Protokołu Wojskowego Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych Ministerstwa Obrony Narodowej.

[1] Regulamin Służby Wewnętrznej część X Uroczystości, obchody i przyjęcia – projekt. Wyd. 1919 – Broszura, CBW sygn. Arch. 302762, Cz. 10 s. 12. [2] WBH sygn. CAW I.300.1.382 Pismo z dnia 12 marca 1928 r. nr P.D.1018/28. [3] Rozkaz Dowódcy Korpusu nr 1 L. dz:23731/Wyszk. Warszawa 21 kwietnia 1928 r., WBH, sygn. CAW I.300.1.382.

„Są narody, które znają/ W dziejach swoich każdy kamyk,/ Tak, że mało o to dbają –/
A my mamy – Białe Plamy./ Plam tych biel – historię naszą/ Skupia w sobie, niby w lustrze:/
Wizje czasów, które straszą,/ Wizje – których się nie ustrzec”[1]
– śpiewał w *Balladzie o bieli* Jacek Kaczmarski.

Okruszki

1



2



3



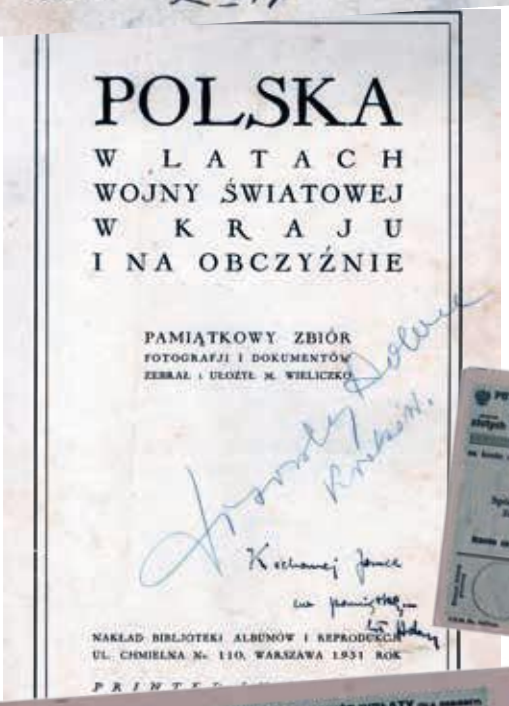

4



5



6



7



8



9



10



Fot. Dominik Kaźmierski

DOMINIK KAŹMIERSKI

Poeta i pieśniarz dotknął tutaj bardzo ważnego problemu. Doskonale zna go każdy, kto zajmował się jakimkolwiek aspektem najnowszych dziejów Polski. Tego mianowicie, że okupanci w czasie wojny, a ich powojenni pomocnicy po jej zakończeniu – zadali sobie wiele trudu, aby po polskich mieszkańcach dawnych naszych ziem wschodnich nie pozostał żaden ślad. Niszczono polskie budowle, instytucje, zasoby archiwalne. W niebyt miała także odejść historia poszczególnych polskich mieszkańców. Ten plan się nie udał i wciąż – czasami w najmniej spodziewanych okolicznościach – można natrafić na ślady, które pozostały.

Kilka lat temu w jednym ze stołecznych antykwariatów kupiłem przedwojenny album poświęcony dziejom polskiej piechoty. Książka z tak zwanej wyższej półki. Solidnie i nawet luksusowo wykonana. Na stronie tytułowej odręczny podpis i dedykacja. Być może jednego z autorów. Jednak nie to okazało się najciekawsze. Przeglądając ją, co rusz między stronicami natrafiałem na skrawki pozostawione tam przez poprzedniego właściciela lub właścicieli. I z każdym kolejnym okazywały się one coraz bardziej intrygujące. Niczym pieczołowicie zbierane okruszki odsłaniały fragmenty dziejów jednego z tysięcy polskich mieszkańców naszych dawnych Kresów Wschodnich.

Co można na ich podstawie powiedzieć o wcześniejszym właścicielu albumu? Z dużym prawdopodobieństwem to człowiek z wyższych warstw społecznych – taki album był dość drogi i nie każdy mógł sobie pozwolić na jego zakup. Być może przedstawiciel inteligencji. Urzędnik lub nauczyciel. Może weteran którejś z kampanii omówionej w książce? Przekonania miał patriotyczne. Mogą o tym świadczyć blankiety zbiórek publicznych, m.in. na sfinansowanie przelotu samolotu RWD nad Atlantykiem.

Później przyszedł straszny rok 1939 i jego konsekwencje. To najciekawszy fragment zbioru notatek znalezionych między stronami albumu. Książka razem z właścicielem znalazła się pod okupacją sowiecką – stąd wniosek, że był on mieszkańcem Kresów. Są to głównie mapki wycięte z sowieckich gazet, a dotyczące walk w Europie z lat 1940–1941. Atak faszystowskich Włoch na Albanię. Walki w Grecji. Ale także Afryka – walki w Abisynii i Libii, tu z podkreślonymi odręcznie miastami Bengazi i Tobruk. Dla każdego zajmującego się dziejami społeczeństw pod okupacją wymowa tego jest oczywiście jasna. Są to notatki Polaka, mieszkańca terenów okupowanych, spragnionego informacji o bieżącej sytuacji politycznej. W wielu wspomnieniach i opracowaniach często pojawia się motyw poszukiwania informacji. W ówczesnych warunkach stanowiło to problem. Informacji było bowiem mało. I były one skażone propagandą. Dzisiejszemu czytelnikowi, żyjącemu w chaosie informacyjnym, cierpiącemu raczej na nadmiar wiadomości niż ich brak, ciężko to sobie wyobrazić. W owych czasach było dokładnie odwrotnie. Artykuł z prasy okupanta wnikliwie studiowano, analizowano, porównywano i zestawiano z informacjami zdobytymi gdzie indziej, czytano między wierszami. A skąd wniosek, że był to Polak? Z powodu zaznaczenia Bengazi i Tobruku, miejsc, w których stacjonowały i walczyły polskie jednostki wojskowe. Kto wie, może wśród walczących tam żołnierzy byli bliscy analizującego tę mapkę?

Z nieznanych przyczyn tutaj następuje pewnego rodzaju luka czasowa. Otóż wśród umieszczonych między stronami skrawków brakuje wydrukowanych pod okupacją niemiecką – czyli w tym przypadku: z lat 1941–1944, bo to wszak wschodnia Galicja. Być może były one, jeżeli takie w ogóle istniały, za bardzo kompromitujące po wojnie i zostały wyrzucone. A może pierwszy właściciel owej książki został wywieziony przez Sowietów do łagru lub zginął, publikacja zaś do końca wojny znajdowała się na strychu.

I tutaj dochodzimy do ostatniej części znalezisk. To kilka strzępków gazet wydanych już po wojnie. Jeden z nich to fragment tużpowojennego czasopisma o nieustalonym tytule. Nie gazety codziennej, lecz tygodnika poświęconego sprawom kultury i reportażom o ówczesnym świecie. Dla właściciela albumu ważny okazał się felieton o Niemcach z Wrocławia. Jeszcze bowiem kilka lat po wojnie w polskim Wrocławiu mieszkała dość spora grupa osób dawnego niemieckiego Breslau. Dlaczego dla poprzednich właścicieli albumu było to takie ważne? Ot, kolejna tajemnica. Ostatnim okruszkiem jest gazetowy nekrolog z 1984 r. z odręcznym dopiskiem z nazwą gazety. Czy to wzmianka o śmierci właściciela książki, czy jego znajomego? Nie sposób już dzisiaj dociec. I takie to urywki czyichś losów można znaleźć na kartach albumu poświęconego dziejom polskiej piechoty. Z Krakowa po Kresy, później Warszawa. Strzępki historii jednego, polskiego „ja", rzuconego w wir dziejowych burz minionego stulecia. ■

ZNALEZIONE WYCINKI

1. Mapka Grecji; 2. Notatka na skrawku papieru; 3. Felieton z powojennej prasy dotyczący Niemców we Wrocławiu; 4. Mapki Abisynii i Erytrei wycięte z sowieckiej prasy; 5. Niewykorzystany blankiet pocztowy na prenumeratę jednego z przedwojennych czasopism; 6. Mapka pogranicza albańsko-greckiego; 7. Mapka Libii z podkreślonymi miastami: Tobruk i Bengazi; 8.Czysty blankiet pocztowy ze społecznej akcji pozyskiwania funduszy na przelot RWD 5 nad Atlantykiem; 9. Mapka Abisynii; 10. Notka prasowa o wojnie angielsko-włoskiej.

DOMINIK KAŹMIERSKI historyk, dziennikarz, nauczyciel. Współpracował m.in. z „Nowym Państwem", „Dziennikiem. Polska, Europa, Świat" i „Uważam Rze. Historia".

[1] www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/wiersze/ballada-o-bieli/ [dostęp 30 stycznia 2020 r.].

Ujazdów, część VII

Przewodnik po miejscach, których już nie ma



Szpital Ujazdowski, zwany też od 1818 r. Szpitalem Głównym Wojskowym, zajmował przede wszystkim stary Zamek Ujazdowski i pałac Radziwiłłów. Z początku przewidywano, że będzie mógł pomieścić ok. 700 chorych.

ROBERT MARCINKOWSKI

Pierwszym komendantem szpitala został chirurg dywizji strzelców konnych Józef Przybylski. W skład placówki wchodziły wówczas cztery wydziały wewnętrzne, trzy chirurgiczne i jeden wydział osobny tylko dla oficerów. Po kilku latach na terenie szpitala uruchomiono szkołę felczerów, poza tym personel był uzupełniany o osoby, którym władze wojskowe fundowały na Uniwersytecie Warszawskim specjalne stypendia. Otwarto też działającą aż do ostatniej wojny aptekę wraz z odpowiednim laboratorium i kwalifikowanym personelem, którą dziś uznalibyśmy za lokalną fabryczkę farmaceutyczną. Zakład ów działał głównie na potrzeby szpitala, jednak z czasem pozwolono korzystać z niego osobom niezwiązanym z lecznicą.

Sam szpital, jak i towarzyszące mu instytucje rozwijały się prężnie, zwiększając wciąż liczbę miejsc, aż do wybuchu Powstania Listopadowego. W przededniu tego zrywu placówka dysponowała ok. 1300 łóżkami, jednak w zaistniałej sytuacji liczba miejsc znacznie wzrosła, chociażby za sprawą otwarcia w zabudowaniach łazienkowskich dodatkowego lazaretu, bagatela, na 600 miejsc. Efekt był taki, że w 1831 r. szpital mógł pomieścić już ok. 2300 osób. Początkowo instytucja była podzielona: osobno leczono Polaków, osobno Rosjan. Z chwilą wybuchu powstania szpital przeszedł pod zwierzchnictwo władz polskich, które konsekwentnie finansowały też działalność rosyjskiej części lazaretu.

Liczba leczonych Rosjan systematycznie jednak malała, bowiem od 9 stycznia 1831 r. jeńców zaczęto od razu odsyłać poza granice Królestwa Polskiego. W związku z tą sytuacją obie części szpitala (polską i rosyjską) zdecydowano się połączyć w jeden organizm występujący pod wspólnym zarządem i prowadzący jedną administrację, co znacząco ułatwiało jego funkcjonowanie, gdyż dotychczas większość rozliczeń przeprowadzana była dwutorowo.

Rozrośnięta placówka miała teraz aż trzy oddziały dla oficerów, dwa dla gorączkujących, cztery dla zewnętrznych, trzy dla wenerycznych i po jednym oddziale: cholerycznym i oftalmicznym (okulistycznym) oraz dla dotkniętych świerzbem. W czasie Powstania Listopadowego szpital działał nieprzerwanie, przyjmując bez wyjątku zarówno polskich, jak i rosyjskich rannych żołnierzy.

Z chwilą klęski zrywu narodowościowego placówkę przejęli Rosjanie. Dalej pozostał tu wojskowy szpital, zwany jednak od tej pory Szpitalem Głównym Wojsk Rosyjskich. Mimo że placówka z założenia miała mieć charakter rosyjski, do czego po powstaniu dążono w przypadku wszystkich instytucji publicznych, to nie dało się uniknąć sytuacji, w których część Polaków – dawnych pracowników szpitala – pracowała nadal w nowych, rosyjskich strukturach. Rosjanie godzili się na to – gdyż nie mieli wystarczającej liczby tak wysoko kwalifikowanego personelu; Polacy zaś godzili się na pracę w zrusyfikowanej instytucji – zmuszani przede wszystkim względami finansowo-ekonomicznymi.

Osiem lat po Powstaniu Listopadowym przywrócono też, początkowo zlikwidowaną, dwuletnią szkołę felczerską, która wobec zamknięcia uniwersytetu była jedyną możliwością jakiegokolwiek doszkalania starych lub kształcenia nowych kadr. Początkowo mogło się tu uczyć 30 osób, jednak ok. 1850 r. liczba miejsc wzrosła do 50. Systematycznie rozbudowywano też cały kompleks, próbując stworzyć niezależny od otaczającego miasta twór. Działały tu więc apteka i laboratorium oraz szkoła felczerów, dysponowano kuchnią, piekarnią, a także zakładem fryzjerskim. Były kaplica przedpogrzebowa i cmentarz. Wzniesiono też cerkiew. Jeszcze przed zaprowadzeniem Lindleyowskiej sieci wodno-kanalizacyjnej szpital ów miał własny niezależny kanał odprowadzający w szybki i niekłopotliwy sposób wszelkie nieczystości wprost do Wisły. Pomiędzy budynkami dla lepszej komunikacji i łatwiejsze-





Widok na południowy wschód, w kierunku jednego z pawilonów szpitalnych, który mieścił oddział dla nerwowo chorych, zwany też pawilonem psychiatrycznym. Budynek przetrwał wojnę i powojenną odbudowę Warszawy. Zachował się do naszych czasów. Niestety, nie uszanowano zabytkowego gmachu, rozbierając go ok. 2006 r. pod wznoszoną wówczas niemiecką ambasadę, co widać na współczesnym zdjęciu. Pocztówka, bez obiegu, ok. 1915 r.
Zbiory Roberta Marcinkowskiego

Fot. Robert Marcinkowski

go transportu ułożono szyny lokalnej konnej kolejki wąskotorowej. Znajdowało się tu wiele budynków gospodarczych i mieszkalnych udostępnianych pracownikom. Całość wkrótce po Powstaniu Listopadowym ogrodzono murem. Jedynie od strony przyszłego parku Ujazdowskiego stanął drewniany płot. Początkowo był tu rozległy tzw. plac musztry, gdzie na ubitej ziemi dokonywano przeglądów wojsk z okolicznych garnizonów.

Rozbudowę kompleksu zaczęto już w 1834 r., wznosząc dom podoficerski, później co kilka, kilkanaście lat w miarę rozwoju instytucji ogromny kwartał pomiędzy ulicami: Piękną, Górną, Myśliwiecką i Agrykolą wypełniał się nowymi budynkami. Łącznie, oprócz samego pałacu, można było się tu doliczyć ok. 35 obiektów, z których do naszych czasów przetrwało zaledwie kilka.

W zamku bezpośrednio po Powstaniu Listopadowym zorganizowano zamknięty oddział dla więźniów przywożonych na leczenie z Cytadeli. Na pierwszym piętrze znajdowały się liczne pomieszczenia z zakratowanymi oknami, przeznaczone dla więźniów. Były to specyficzne cele. Każda z nich składała się z przedsionka, gdzie wartę pełnili zmieniający się strażnicy, potem był pokój sanitariusza przypisanego każdorazowo do konkretnego więźnia. Sanitariusz, zajmując pomieszczenie połączone amfiladowo z pokojem więźnia, przebywał przy nim przez cały czas rekonwalescencji. Więzień natomiast ▶





Fot. Robert Marcinkowski

Widok w kierunku wschodnim; prezentuje unikatowe ujęcie jednego z pawilonów szpitalnych. Dokładna identyfikacja miejsca była możliwa na podstawie nikłego napisu na murze: Zahn Station kierującego do zlokalizowanego obok oddziału dentystycznego, w którym mieści się dziś przedszkole. Na uwagę zasługują wyglądający ciekawie przez okno żołnierze, pilnie śledzący poczynania fotografa. Dwie trzecie obiektu uległo zniszczeniu z powodu działań wojennych. Resztę – mimo że była pod dachem – rozebrano wkrótce po 1945 r. Pocztówka, bez obiegu, ok. 1915 r.
Zbiory Roberta Marcinkowskiego



Guzik z okresu Powstania Listopadowego. Awers: skrzyżowane armaty pod płonącym granatem otoczone labrami. Rewers (sygnatura wytwórcy): WARSZ: MÜNCHHEIMER. Zakład Samuela Münchheimera, pieczętarza (współcześnie pieczątkarza), wykonywał zarówno guziki, jak i medale, żetony, wszelkiego rodzaju emblematy, szyldy, plombownice, pojedyncze litery różnych krojów, herby, odznaki i wiele innych podobnych przedmiotów. Wytwórnia pierwotnie mieściła się przy ulicy Bielańskiej 23. W miejscu tym stoi dziś blok o adresie aleja Solidarności 68. Firma, kilkakrotnie zmieniając właścicieli, przetrwała do II wojny światowej. [Mosiądz, uszko druciane (brak), średnica: 2,4 cm].
Zbiory Roberta Marcinkowskiego

miał do dyspozycji pokój z łóżkiem, stołem oraz krzesłem i... oknem do pokoju sanitariusza.

Jednym z pierwszych szczególnych pensjonariuszy owego przybytku był Piotr Wysocki – major 10 Pułku Piechoty, jeden z członków załogi sławnej Reduty Wolskiej, dowodzonej przez gen. Józefa Sowińskiego. Wysocki pod ścisłą kontrolą spędził w szpitalu kilka tygodni, począwszy od września 1831 r. Po kuracji stanął przed rosyjskim sądem, który skazał go na śmierć, zamieniając wkrótce tę karę na wieloletnią zsyłkę w głąb Syberii. ■

ROBERT MARCINKOWSKI absolwent Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Z wykształcenia i zawodu kartograf. Z zamiłowania varsavianista. Wieloletni członek Komisji ds. Nazewnictwa Miejskiego Rady m.st. Warszawy. Wyróżniony odznaką „Zasłużony dla Warszawy". Autor kilkunastu książek, w tym *Ilustrowanego Atlasu Dawnej Warszawy*.



ANDRZEJ WITKOWSKI

Świat filokartystyki

„Wchodzimy przez murowaną bramę. Obszerne, prostokątne, trzymorgowe pole, rozszerzające się u podstawy, ogrodzone płotem lichym z drzewa” – tak Jan Szczęsny Mayzel w listopadzie 1923 r. na łamach „Polski Zbrojnej” pisał o Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.

Jednak nie zawsze była to nekropolia, którą znamy jako miejsce spoczynku zasłużonych dla ojczyzny Polaków. Jej początki sięgają 1912 r. – czyli czasu zaborów – kiedy rosyjskie dowództwo Warszawskiego Okręgu Wojskowego podjęło decyzję o grzebaniu tutaj zmarłych wojskowych. Cmentarz podzielono na kwatery według pułków i „klas”. Dlatego „kwalifikowanie” zmarłego do wyznaczonego miejsca pochówku spowodowało, że wiele mogił żołnierzy z carskich formacji zostało rozproszonych po różnych zakątkach cmentarza.

Po wybuchu I wojny światowej Rosjanie w głębi cmentarza chowali także zmarłych jeńców z armii niemieckiej i austro-węgierskiej.

W sierpniu 1915 r., po wyparciu Rosjan z Warszawy, zarząd nad cmentarzem przejęli Niemcy. W tym czasie w pobliżu widocznej na pierwszej z prezentowanych pocztówek bramy wejściowej zwieńczonej cebulastą kopułą powstały kwatery żołnierzy niemieckich. Ponoć Niemcy byli tak dotknięci poślednim traktowaniem ich zmarłych rodaków przez Rosjan, że nakazali ekshumować szczątki z tej odległej części cmentarza do kwatery przy bramie wejściowej do nekropolii. Jak pisał Mieczysław Orłowicz w 1921 r. w *Przewodniku po cmentarzach warszawskich*, grabarze, którzy brali udział w tych czynnościach, opowiadali później mrożące krew w żyłach historie, jak „przy sposobności [Niemcy] zdzierali z ekshumowanych buty, wyrywali z czaszek, jeśli kto miał, złote zęby itp., wszystkie te kosztowności wrzucając zawczasu do wielkiej kadzi dezynfekcyjnej. Tak obdarłszy swych zmarłych – grzebali ich w nowych kwaterach z wielką pompą”.

W latach I wojny światowej na Powązkach miejsce spoczynku znalazło 4850 żołnierzy armii niemieckiej i austro-węgierskiej. Wśród nich było wielu Ślązaków i Wielkopolan o polsko brzmiących nazwiskach. W kwaterze prawosławnych żołnierzy armii rosyjskiej pochowano ponad 18 700 szeregowców, których grzebano w masowych grobach aż w trzech warstwach. Osobne kwatery mieli oficerowie rosyjscy wyznania prawosławnego oraz oficerowie i żołnierze katolicy. Na drugiej pocztówce, wydanej przez władze niemieckie, widać zwarte szeregi świeżo usypanych nagrobków świadczące o skrupulatnym wykorzystaniu każdego skrawka ziemi.

W kwaterze legionowej z kolei, utworzonej niedaleko bramy wejściowej, w latach 1917–1918 pochowano ponad 50 żołnierzy Legionów Polskich i Polskiej Siły Zbrojnej. „Czuła ręka zarządu cmentarza wielu z nich przeniosła z przeciwległych kwater, gdzie pochowani byli wespół z Niemcami” – pisano w „Polsce Zbrojnej” z 1923 r.

Po 1945 r. w czasach PRL nie przykładano wagi do ustawy z 1933 r. o grobach i cmentarzach wojennych – na miejscu niemieckich i rosyjskich dokonywano nowych pochówków. Tylko zagubiony wśród współczesnych mogił pomnik z prawosławnym krzyżem, stela i tablica nagrobna z grobów dwóch rosyjskich żołnierzy oraz jedyny grób, który skrywa szczątki Mikołaja Kwasznina Samarina, dziewiętnastoletniego podporucznika Litewskiego Pułku Lejbgwardii poległego w 1915 r. pod mazowiecką wsią Jednorożec, są świadectwem początków tej szacownej wojskowej nekropolii.



Pocztówki ze zbiorów Andrzeja Witkowskiego

DOKUMENTY POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO

Archiwum Czynu Niepodległościowego utworzone zostało pod koniec lat dziewięćdziesiątych jako oddział Archiwum Akt Nowych. Udało się w nim zgromadzić największy zbiór dokumentów Polskiego Państwa Podziemnego.

MARIUSZ OLCZAK

Po zakończeniu II wojny światowej spuścizna archiwalna Polskiego Państwa Podziemnego w dużej części znalazła się w posiadaniu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Stamtąd z czasem trafiła do zbiorów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a następnie do zbiorów Wojskowego Instytutu Historycznego im. Wandy Wasilewskiej oraz Centralnego Archiwum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Znaczna część dokumentów spoczywała nadal w rękach żołnierzy podziemia niepodległościowego, ukryta w schowkach, wreszcie zdeponowana w zbiorach kościelnych, jak na przykład w klasztorze jasnogórskim i na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Z czasem próby gromadzenia oryginalnych dokumentów Armii Krajowej podjęły inne ośrodki, w tym Ossolineum oraz Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

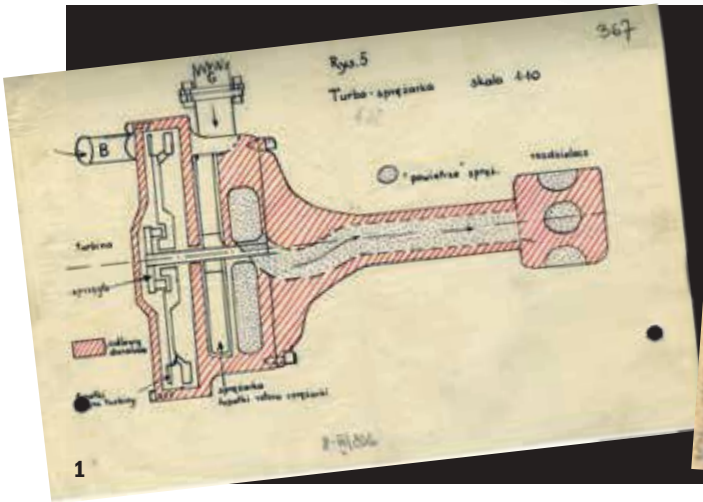

1


2

Archiwum Czynu Niepodległościowego powołano do życia pod koniec lat dziewięćdziesiątych jako oddział Archiwum Akt Nowych. Pozyskuje ono do zbiorów państwowych różnorodne materiały zarówno podmiotów społecznych, jak i osób prywatnych. Od wielu lat współpracuje z organizacjami społecznymi, partiami politycznymi i osobami prywatnymi. Akcja ta przyniosła w ciągu ostatnich lat konkretne efekty, a w jej wyniku pozyskano wiele zespołów archiwalnych (ponad 42 tys. jednostek archiwalnych, 790 metrów bieżących). W AAN udało się zgromadzić największy zbiór dokumentów Polskiego Państwa Podziemnego. Przejęty z zasobu Centralnego Archiwum KC PZPR zbiór dokumentów Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Delegatury Rządu RP na Kraj i innych podziemnych organizacji w ostatnich latach znacznie się powiększył.

Do zbiorów publicznych trafiły bowiem m.in. następujące kolekcje akt: Eugeniusza Ajewskiego „Kotwy"; Lesława Bartelskiego; Ryszarda Białousa „Jerzego"; Romualda Bielskiego „Beja"; Stanisława Błaszczaka „Roga"; Adama Borysa „Pługa"; Wojciecha Borzobohatego „Jelity"; Eligiusza Brulińskiego „Zarzyckiego"; Tadeusza Chciuka „Celta"; Cezarego Chlebowskiego; Andrzeja Chmielarza; Wiesława Chrzanowskiego; Władysława M. Cieplaka „Giewonta"; Juliusza B. Deczkowskiego „Laudańskiego"; Edwarda Dietricha „Ralfa"; Jakuba Dymitrowskiego; Lucjana Fajera „Ognistego"; Zygmunta Głuszka „Victora"; Jana Gozdawy-Gołębiowskiego „Dziryta"; Bolesława Góreckiego „Sznicy"; Jerzego Hagmajera „Kiejstuta"; Antoniego Hedy „Szarego"; Stanisława

Jankowskiego „Agatona”; Urszuli Katarzyńskiej „Uli”; Romana Kiźnego „Poli”; Leona Wacława Koca; Stefana i Zofii Korbońskich; Henryka Kozłowskiego „Kmity”; Bolesława Kozubowskiego „Plebana”; Juliusza Kuleszy „Julka”; Juliana Kulskiego „Chojnackiego”, „Goliata”; Aleksandra Kunickiego „Rayskiego”; Kazimierza Leskiego „Bradla”; Władysława Liniarskiego „Mścisława”; Stanisława Łuckiego; Haliny Martin „Doroty”; Jana Mazurkiewicza „Radosława”; Wacława Micuty „Wacka”; Jerzego Nowaka; Stanisława Nowickiego; Wincentego Orlińskiego „Broniwoja”; Stanisława Pieńkosia „Skały”; Mariana Pobóg-Malinowskiego; Andrzeja Pomiana; Józefa Rella „Klona”; Władysława Romana „Krzesława”; Jana Rossmana „Kuny”; Jana Rzepeckiego „Wolskiego”; Antoniego Sanojcy „Kortuma”; Janiny Sikorskiej „Janeczki”; Władysława Siła-Nowickiego; Jerzego Skorupińskiego „Bema”; Piotra Stachiewicza „Wyrwy”; Tomasza Strzembosza; Cezarego Szemleya „Ketlinga”; Halszki Szołdrskiej „Wandy”; Jerzego Ślaskiego; Romualda Śreniawy-

BEZCENNE DOKUMENTY

1. Rysunek fragmentu rakiety V-2 sporządzony przez Armię Krajową, 1944 r. Fot. Archiwum Akt Nowych

2. Jedna z depesz Komendy Głównej Armii Krajowej dotyczących zbrodni katyńskiej. Fot. Archiwum Akt Nowych

3. Raport dowódcy „Pegaza” Adama Borysa do dowódcy Kedywu Emila Fieldorfa „Nila” z akcji na Franza Kutscherę. Fot. Archiwum Akt Nowych

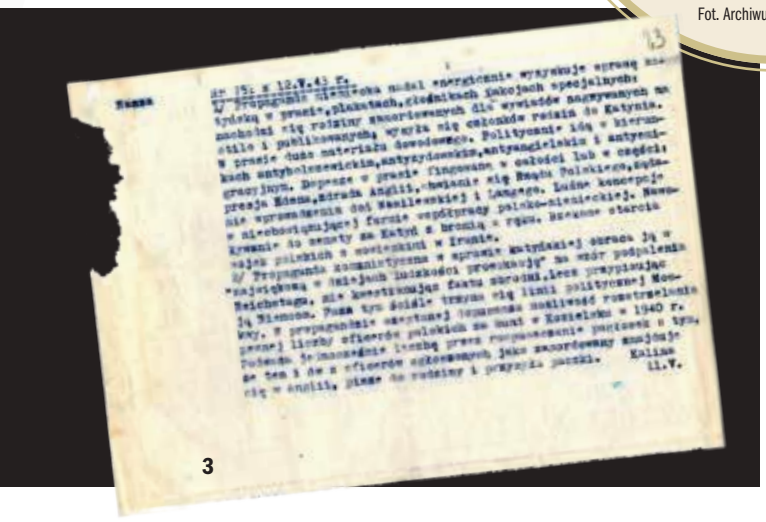

3

-Szypiowskiego „Romana”; Stefana Tkaczuka; Stanisława Tymkiewicza „Michała”; Anny Wyganowskiej-Eriksson „Ani”; Janusza Zabłockiego; Władysława Zachariasiewicza; Haliny Zakrzewskiej „Bedy” i Bernarda Zakrzewskiego „Oskara”; Jana Zientarskiego „Eina” oraz zbiór prasy Narodowych Sił Zbrojnych Czesława Uhmy.

Warto wymienić również historyczne archiwum Baonu AK „Zośka”; akta: Batalionu AK „Miotła”; organizacji Polska Niepodległa; Obwodu Tomaszów Lubelski AK; Komendy Głównej NSZ; Organizacji Wojskowej – Korpusu Bezpieczeństwa; Związku Peowiaków; 9 Kompanii Dywersyjnej „Żniwiarz” AK; Związku Młodocianych Więźniów Politycznych 1944–1956 „Jaworzniacy”; Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej; Obwodu Jędrzejów AK; 3 Wileńskiej Brygady AK „Szczerbca”; Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych; Związku Powstańców Warszawskich; Socjalistycznej Organizacji Bojowej; Zbrojnego Pogotowia Narodu; organizacji „Miecz i Pług”; Samodzielnego Batalionu im. Brygadiera Mączyńskiego; Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (Zarząd Główny, Okręg Warszawa-Powiat, Okręg Warszawa; Podokrąg Zachodni Obszaru Warszawskiego AK); Stowarzyszenia „Rodzina 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich”; żołnierzy Oddziału Dywersji Obwodu Tomaszów Lubelski AK, Stowarzyszenia Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu, Komisji Historycznej Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej; Klubu Kombatanta 3 Pomorskiej Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta; Batalionów Iwo-Ostoja AK; Obwodu Włoszczowa AK; kół b. żołnierzy AK w Nowym Jorku, Chicago, Pittsburghu, Filadelfii, Toronto, Nowej Anglii, San Francisco i Los Angeles; Zarządu Okręgu AK w Ameryce.

W ramach akcji gromadzimy dokumenty pochodzące z innych instytucji oraz pozyskujemy informacje, w których zbiorach znajdują się dokumenty o tematyce niepodległościowej. Dzięki temu włączyliśmy do zasobu funkcjonujące od 1957 r. archiwa: Zakładu Historii II Wojny Światowej Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, archiwum Józefa Krzyczkowskiego „Szymona” z Archiwum Zakładu dla Niewidomych w Laskach, Batalionu „Gozdawa” z Archiwum Archidiecezjalnego Warszawskiego, a także zbiory Fundacji „Archiwum Polski Podziemnej 1939–1956”.

Obecnie jest to największy zbiór zarówno oryginalnych dokumentów Polskiego Państwa Podziemnego, jak i akowskich środowisk kombatanckich powstałych po wojnie. Oryginalnych dokumentów podziemnej Polski jest ok. 250 tys. stron. Inne duże zbiory dokumentów AK znajdują się w zasobie Wojskowego Biura Historycznego im. Kazimierza Sosnkowskiego oraz Instytutu Pamięci Narodowej, które mają ich po ok. 100 tys. stron. ■

Osoby, które mają interesujące dokumenty ukazujące udział w walce o niepodległość Polski lub chciałyby złożyć relację na ten temat, proszone są o kontakt – tel.: (22) 822 90 53, 728 996 094, e-mail: sekretariat@aan.gov.pl; mariusz.olczak@aan.gov.pl lub osobiście w gmachu AAN przy ulicy Hankiewicza 1 w Warszawie.

MARIUSZ OLCZAK historyk-archiwista, absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Badacz i dokumentalista Polskiego Państwa Podziemnego. Autor biografii Jana Rodowicza „Anody” i Ryszarda Białousa „Jerzego”. Wydawca dokumentów Okręgu Warszawskiego ZWZ-AK i Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Kierownik Archiwum Czynu Niepodległościowego i zastępca dyrektora Archiwum Akt Nowych.

Ku niepodległości, przeciw bolszewikom

Gdy wybuchła I wojna światowa, w której starły się państwa zaborcze wobec Polski, a sprawa jej istnienia nie miała właściwie znaczenia dla państw Zachodu, stało się z czasem jasne, że niepodległość Polski musi zostać wywalczona, a nie darowana w jakichkolwiek układach międzynarodowych.

MAREK KLECEL

Wywalczona zbrojnie przez samych Polaków, przez własne wojsko, które musiało powstawać od podstaw w osobnych zaborach. Tylko patriotycznej determinacji części Polaków należy zawdzięczać stałą dążność do tworzenia własnych sił zbrojnych od 1914 r. Po Legionach Piłsudskiego w Galicji, które po znaczących walkach i potyczkach zostały rozproszone i w części wcielone do armii austriackiej, takie formacje polskie zaczęły powstawać w Rosji, najpierw u boku armii rosyjskiej.

Wojciech Muszyński poświęcił dziejom tych mniej znanych polskich formacji już drugą – obszerną i poglądową, dzięki bogatemu materiałowi ilustracyjnemu – pracę. W pierwszej, zatytułowanej *Białe Legiony 1914-1918* opisywał polskie formacje powstające od początku wojny bez pewności, co z wojennej gry wszystkich ze wszystkimi wyniknie. Od rewolucji lutowej do bolszewickiej rewolucji październikowej w Rosji w ciągu 1917 r. sytuacja wyjaśniła się o tyle, że polskie oddziały powstające wtedy w różnych rejonach Rosji, musiały nastawić się na walkę także z bolszewikami.

Autor opisuje tworzenie trzech korpusów polskich: w rejonie Białorusi (Mińsk Litewski, Bobrujsk); na Ukrainie i w Besarabii; na Wołyniu i Podolu, a także oddziałów polskich w drodze na północ do Archangielska (tzw. murmańskie) oraz 4 Dywizję Strzelców Polskich na Ukrainie i Kubaniu i 5 Dywizję Strzelców Polskich na Syberii. Opisał trudny proces koncentracji tych oddziałów, zbieranych z odległych obszarów Rosji, w ciężkich warunkach zimowych przełomu 1917 i 1918 r. i w sytuacji nadal wojennej. Scalanie tych formacji nie odbywało się przecież pokojowo, gdy bolszewicy zorientowali się w polskich zamiarach. Działo się to drogą walk, bitew, potyczek, dywersji, zdobywania miast i osiedli. Do I Korpusu na Białorusi pod wodzą gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, w rejon Mińska Litewskiego polskie oddziały ze Wschodu musiały przebijać się nieraz po kilkaset kilometrów.

Na południu II Korpus Polski powstawał w bardzo trudnych warunkach z Frontu Rumuńskiego, z rozproszonych na Ukrainie jednostek, wśród wielu konfliktów, kłopotów organizacyjnych i sporów, także politycznych. W tym czasie II Brygada Legionów Polskich, walcząca u boku armii austriackiej, na wieść o nowych układach niemiecko-austriackich i oddaniu części ziem polskich Ukrainie, podniosła bunt i przeszła zbrojnie pod wodzą gen. Józefa Hallera, po bitwach pod Rarańczą i Rokitną, za front rosyjski. Ich droga prowadziła dalej przez Ukrainę aż do połączenia z II Korpusem, pod dowództwem gen. Hallera. Pod Kaniowem nad Dnieprem doszło do okrążenia Korpusu przez wojska niemieckie, po ciężkich walkach ogłoszono kapitulację i częściowe rozproszenie Brygady.

III Korpus powstawał na Ukrainie pod dowództwem Eugeniusza Henninga-Michaelisa, później Juliusza Rómmla. Musiał zwalczać prowokacje bolszewickie i liczne walki podjazdowe, a także ochraniać ludność polską na tych terenach, bronić polskich dworów, wsi i osiedli przed pogromem bolszewików i ukraińskiego chłopstwa oraz przebijać się dalej na Wschód szlakiem potyczek w rejonie Niemirowa, Gniwania, Winnicy.

Atakowani przez bolszewików, rozbrajani przez Austriaków i Niemców polscy dowódcy, by uniknąć bezpośredniego starcia z Armią Czerwoną, zdecydowali o ewakuacji pozostałych sił zbrojnych I i II Korpusu, a także wszystkich Polaków z rozproszonych oddziałów, na północ w rejon Archangielska, gdzie następował także desant sił aliantów zachodnich, zaniepokojonych nowym układem niemiecko-bolszewickim. „Na Murmań!" – takie było hasło Polaków, którzy mieli zebrać pozostałe siły polskie i zabezpieczyć ich gotowość bojową. W całej Rosji było jeszcze wiele takich odległych ośrodków, w których gromadziły się polskie siły. Autor opisał takie formacje, jak dywizje strzelców na Ukrainie i Kubaniu oraz na dalekiej Syberii.

Wojciech Muszyński przedstawił w obszernej pracy złożony, okupiony trudami walk, stratami i licznymi ofiarami, fenomen powstawania, czy może odradzania się polskich sił zbrojnych w różnych zaborach. Udało się autorowi pokazać nie tylko wojskową i wojenną mobilizację, ale także determinację patriotyczną i moralną tychże sił, gotowych do decydującej obrony przed największym wtedy zagrożeniem – nadchodzącym najazdem bolszewickim i groźbą wprowadzenia w nowej Polsce sowieckiego systemu komunistycznego.

Białe Legiony Wojciecha Muszyńskiego mają charakter poglądowy i w zasadzie albumowy. Do zwięzłych opisów poszczególnych formacji i ich działań dołączono obszerny materiał ilustracyjny, który pozwala lepiej poznać odległe już dzieje, wniknąć i unaocznić sobie wojenną rzeczywistość, okoliczności, w których wysiłkiem Polaków z różnych stron kraju i z ich wielką ofiarą powstawała przed stu laty Polska, znów niepodległa. ■

Wojciech Jerzy Muszyński, *Białe Legiony przeciwko bolszewikom. Polskie formacje w Rosji 1918–1920*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2019

Białe Legiony
przeciwko bolszewikom
Polskie Formacje w Rosji 1918–1920

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

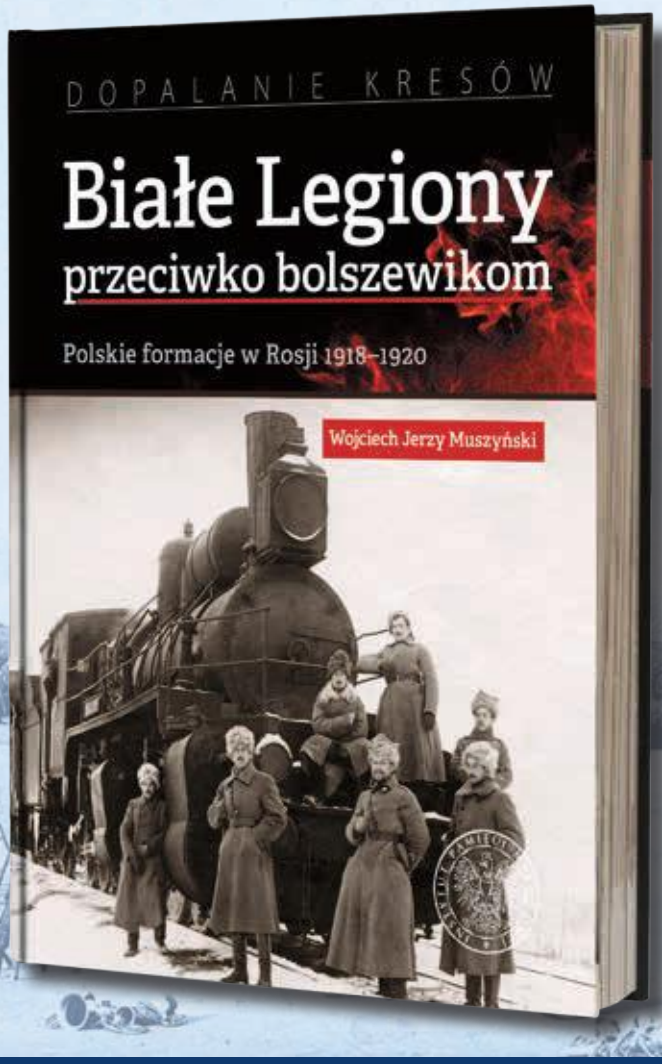

Polecamy nowość!

Kontynuacja albumu

Białe Legiony 1914–1918.
Od Legionu Puławskiego
do I Korpusu Polskiego

który ukazał się nakładem
Instytutu Pamięci Narodowej
w 2018 roku.

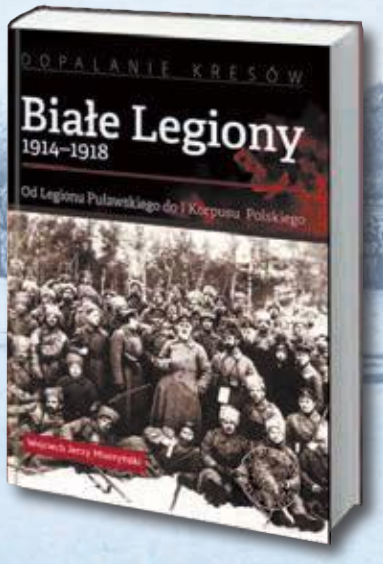

Narracja Białych Legionów 1914–1918 kończy się w maju 1918 r., kiedy żołnierze I Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego zostali rozbrojeni przez Niemców. Kapitulacja Bobrujska nie była jednak kresem wysiłku żołnierzy polskich rozproszonych w dawnym Imperium Rosyjskim bowiem zamierzali kontynuować walkę o wolną Polskę. To oni zainicjowali tworzenie – mniejszych i większych – polskich oddziałów wojskowych w różnych częściach Rosji: od Ukrainy po Syberię i od Morza Białego po Kaukaz. Zanim pojawiła się szansa na powrót do kraju, oddziały polskie czekała krwawa przeprawa zbrojna z wrogiem groźniejszym niż Niemcy – z bolszewikami. Właśnie o dziejach tych zmagań opowiada niniejszy album.

Szukaj w księgarniach IPN i punktach sprzedaży
w całej Polsce ipn.poczytaj.pl

Spotkaj nas na Facebooku: @ksiegarnia.ipn

Strażnicy polskich rzek

O formacjach rzecznych Polskiej Marynarki Wojennej mówiono, że są „podszewką polskiej floty wojennej na Bałtyku”[1]. Było to proste stwierdzenie elitarności kadry marynarskiej służącej na wodach rzek odrodzonej Rzeczypospolitej.

PIOTR KORCZYŃSKI

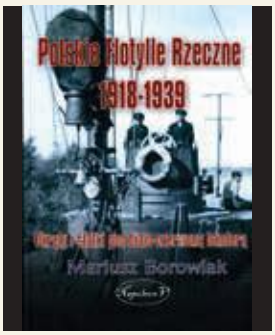

Mariusz Borowiak, *Polskie flotylle rzeczne 1918–1939. Okręty i statki pod biało-czerwoną banderą*, Oświęcim 2019.

Słuszność tej tezy dobitnie udowadnia Mariusz Borowiak w iście monumentalnej publikacji *Polskie flotylle rzeczne 1918–1939. Okręty i statki pod biało-czerwoną banderą*. Tego autora nie trzeba rekomendować nie tylko miłośnikom historii Polskiej Marynarki Wojennej. Na ponad 500 stronach Borowiak fascynująco opisał dzieje Flotylli Wiślanej, Flotylli Pińskiej i wreszcie Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej w Pińsku. Dzieje tych formacji związane są z przełomowymi datami II Rzeczypospolitej – odzyskaniem niepodległości w 1918 r., zwycięską wojną polsko-bolszewicką w 1920 r. i tragicznym końcem II RP we wrześniu 1939 r.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, jak pisze Borowiak: „Początki naszej Marynarki Wojennej były niezwykle trudne. Dopiero w lutym 1920 roku uzyskaliśmy dostęp do Bałtyku. Dlatego do tego czasu pierwotnym akwenem działań Polskiej Marynarki Wojennej stały się rzeki – Wisła, Pina, Prypeć, a baza w Modlinie u ujścia Narwi do Wisły – pierwszym z prawdziwego zdarzenia portem wojennym II Rzeczypospolitej”[2]. Ludzie, którym przyszło tworzyć zręby polskiej floty wojennej na rzekach, potwierdzili następnie swą wartość w starciu z bolszewickimi okrętami rzecznymi, które wtargnęły na polskie wody na Kresach Wschodnich w 1919 i 1920 r. A kiedy Sowieci jako sojusznicy Adolfa Hitlera znowu przekroczyli polską granicę 17 września 1939 r., drogę zastąpili im między innymi żołnierze w granatowych mundurach Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej. Marynarzy nie zabrakło również w szeregach sławnej Samodzielnej Grupy Operacyjnej gen. Franciszka Kleeberga, która zakończyła pełen chwały wojennej szlak w bitwie pod Kockiem 5 października 1939 r.

O tym wszystkim Mariusz Borowiak pisze fascynująco i wyczerpująco. Lecz nie jest to jedyna zaleta tej publikacji, ponieważ to jednocześnie bogaty w unikatowe fotografie album i opis sprzętu, który wykorzystywały flotylle rzeczne. Słowem, to lektura obowiązkowa dla wszystkich miłośników i badaczy Polskiej Marynarki Wojennej. Mariusz Borowiak w udany sposób wypełnił jedną z największych białych plam tej historii, o której przez tyle lat nie można było w pełni mówić. Z pewnością spełnił marzenie swego patrona – Jerzego Pertka, który o „marynarzach gen. Kleeberga” zawsze wspominał z atencją, ale pełnej prawdy wobec peerelowskiej cenzury czytelnikom przedstawić nie mógł. Dziś uczynił to Mariusz Borowiak. ■

[1] M. Borowiak, *Polskie flotylle rzeczne 1918–1939. Okręty i statki pod biało-czerwoną banderą*, Wyd. Napoleon, Oświęcim 2019, s. 9.
[2] Tamże.

WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszmy się, że żyjemy w pokoju i nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl

DARMOWA PRZESYŁKA



FOT. STUDIO MTJ

MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA
SEKRETARZ REDAKCJI

TYM, KTÓRZY PRZEŻYLI, **KOSZMARY WIĘZIEŃ I GUŁAGÓW ŚNIĄ SIĘ PO NOCACH**

Armia Czerwona w nocy z 4 na 5 stycznia 1944 r. przekroczyła granicę polsko-sowiecką wytyczoną traktatem ryskim z 1921 r. Polskie władze zdecydowały o przeprowadzeniu akcji „Burza". Armia Krajowa miała ogłosić mobilizację, podjąć walkę z Niemcami, a z chwilą nadejścia Armii Czerwonej ujawnić się jako gospodarz terytorium państwa.

Początkowo polska podziemna armia walczyła wspólnie z jednostkami sowieckimi. Później wojska NKWD zaczęły rozbrajać polskie oddziały. Tak działo się na Wołyniu, Wileńszczyźnie, we Lwowie... Oficerowie zostali aresztowani, po czym internowano ich w obozach NKWD. Wobec części żołnierzy stosowano alternatywę: obóz lub służba w prosowieckiej armii dowodzonej przez gen. Zygmunta Berlinga. Szacuje się, że internowano w ten sposób 25–30 tys. uczestników akcji „Burza".

Nierzadko cele więzień były tak przepełnione, że więźniowie leżeli w nich na zakładkę. A trwające kilka miesięcy śledztwa były okrutne. Aresztowanym zarzucano usiłowanie oderwania od Związku Sowieckiego części jego terytorium, prowadzenie walki z władzą sowiecką i przynależność do Armii Krajowej. Następnie doraźne sądy skazywały ich na wieloletnie zsyłki do obozów w głąb Związku Sowieckiego. Dostawali wyroki wieloletniej katorżniczej pracy, pozbawienia praw obywatelskich i konfiskaty mienia.

I nie był to koniec represji wobec Polaków. Także na terenach na zachód od linii Curzona, gdzie AK zmobilizowała – nie licząc Warszawy – 30–40 tys. żołnierzy i wyzwoliła wiele miejscowości, podążające za frontem wojska NKWD i SMIERSZ-u, wojskowego kontrwywiadu, zatrzymały i rozbroiły około 25 tys. żołnierzy Armii Krajowej.

W październiku 1944 r. Ławrientij Beria powołał do życia specjalną dywizję wojsk NKWD, która stacjonować miała w Polsce. Od tej chwili do końca 1944 r. zatrzymano około 17 tys. osób, z których ponad 4 tys. zesłano do obozów w Związku Sowieckim. Jednostki sowieckie od marca 1945 r. były podporządkowane kolejno głównym doradcom NKWD przy polskim Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Dywizje NKWD działały w Polsce do wiosny 1947 r. Aresztowały od stycznia 1945 r. do sierpnia 1946 r. około 3,4 tys. żołnierzy różnych formacji konspiracyjnych.

Skazanych na pobyt w obozach w Związku Sowieckim ładowano do bydlęcych wagonów. Gdy wiadomość o transporcie rozchodziła się, za torami stawał tłum rodzin, aby pożegnać bliskich. Do obozów wieziono ich tygodniami. Otwór w podłodze na potrzeby fizjologiczne, woda i solona ryba. Ciała tych, którzy nie przeżyli podróży, pozostawały przy torach.

Na nieludzkiej ziemi żołnierze Armii Krajowej zostali pozbawieni wszelkich praw – wycieńczeni niewolniczą pracą, głodem, zimnem, chorobami. Poniżani na każdym kroku. Pracowali w kopalniach, przy wyrębie lasów, w fabrykach ołowiu, przy budowie dróg, w kamieniołomach. Polskich żołnierzy umieszczano w obozach z sowieckimi kryminalistami. Ci potrafili zabić współtowarzysza niedoli, by zostać odesłanym do więzienia, gdzie łatwiej było przeżyć. Śmierć towarzyszyła Polakom codziennie. Jeśli przetrwali straszliwe wyroki, robiono im trudności z powrotem do Polski.

Spektakularnym ciosem była prowokacja zakończona aresztowaniem w marcu 1945 r. 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i przewiezienie ich do moskiewskiego więzienia na Łubiance. Zarzucono im działania przeciwko Armii Czerwonej i Związkowi Sowieckiemu. Po śledztwie i publicznym procesie trzech z nich uniewinniono, a pozostałych skazano na kary od 4 miesięcy do 10 lat pozbawienia wolności. W tym czasie w Moskwie toczyły się rozmowy w sprawie utworzenia w Polsce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. ■

Bibliografia: *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, wydanie polskie, Warszawa 1999; „Kwartalnik Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK".

Fundacja
Dorastaj z Nami



Mój TATA zginął na służbie

Pomóż mi dorosnąć do nowego życia

PRZEKAŻ MI 1%

KRS 0000 361265

dorastajznami.org

XXVI TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

XXVI TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

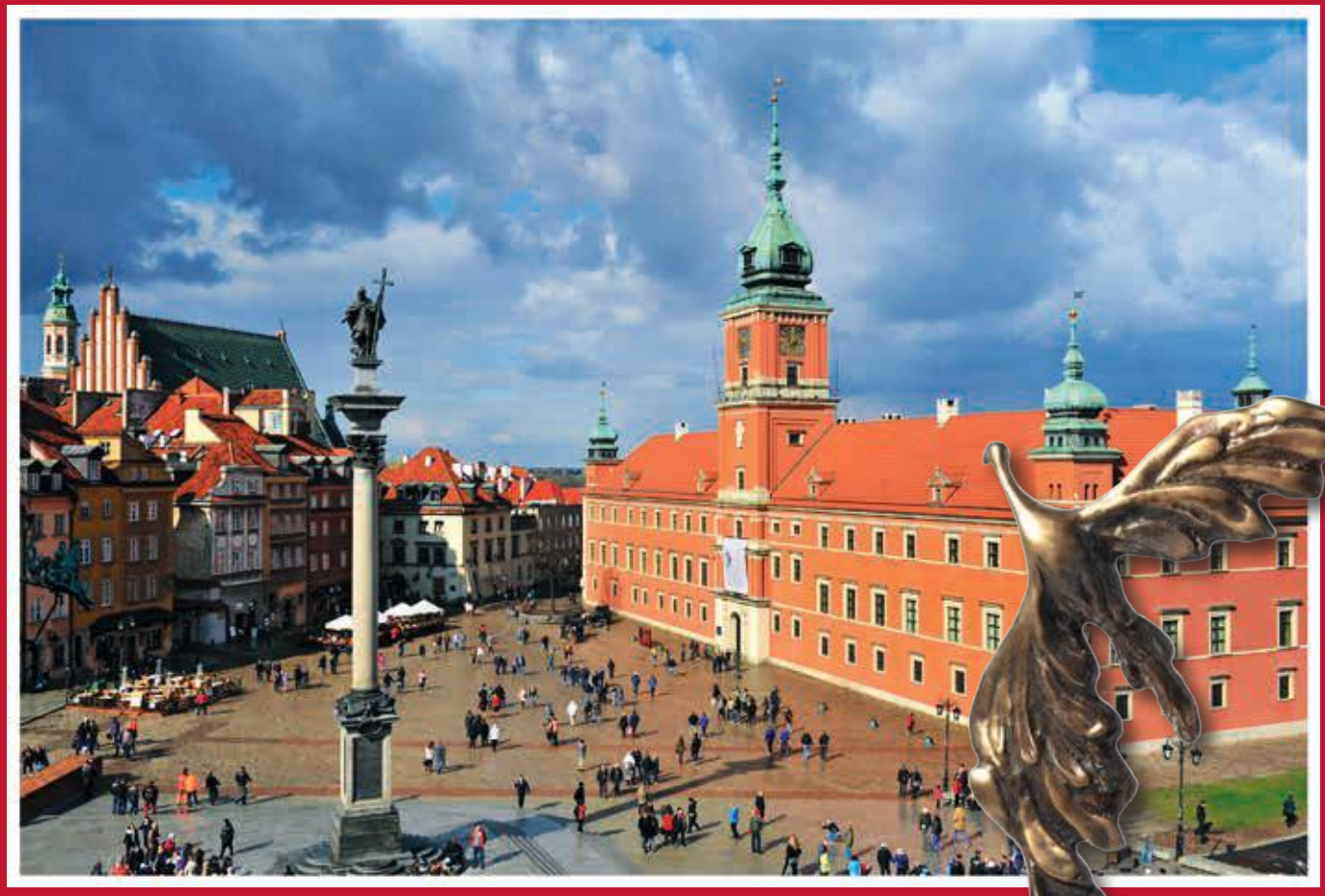

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

23-26 IV 2020

Zamek Królewski w Warszawie
Plac Zamkowy 4

NAGRODA FENIKS 2020

ORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE WYDAWCÓW KATOLICKICH

WSPÓŁORGANIZATOR

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl

www.swk.pl